

BERNARD MINIER

BIELSZY
'ODCIEŃ
SMIERCI

Mroczna i duszna atmosfera,
mistrzowska intryga, zawile śledztwo
– ten thriller ma to wszystko!



BERNARD MINIER



Przełożyła
Monika Szewc-Osiecka



Dom Wydawniczy REBIS

*Pamięci mojego ojca.
Mojej żonie, córce i synowi.*

*Jean-Pierre'owi Schamberowi
i Dominique Matos Venturze,
którzy zmienili wszystko.*

Diane Berg
Genewa

Doktor Wargnier
Instytut Psychiatryczny Doktora Wargniera
Saint-Martin-de-Comminges

CURRICULUM VITAE

Diane Berg
Psycholog FSP
Specjalista psychologii sądowej SSPL

Data urodzenia: 16 lipca 1976
Narodowość: Szwajcarska

WYKSZTAŁCENIE:

2002: Magisterium z psychologii klinicznej (DES), Uniwersytet Genewski. Temat pracy dyplomowej: „Gospodarka popędami, nekrofilia i rozczłonkowanie zwłok u kompulsywnych zabójców”.

1999: Licencjat z psychologii, Uniwersytet Genewski. Temat pracy dyplomowej: „Niektóre aspekty lęków dziecięcych u dzieci w wieku 8–12 lat”.

1995: Matura: profil klasyczny i łacina

1994: First certificate of English

DOŚWIADCZENIE ZAWODOWE:

2003 – Prywatny gabinet psychoterapii i psychologii sądowej, Genewa

2001 – Asystentka doktora P. Spitznera na Wydziale Psychologii i Nauk o Wychowaniu (FSPE), Uniwersytet Genewski

1999–2001 – Staż w Uniwersyteckim Instytucie Psychologii Sądowej, Genewa

Staż w więziennym zakładzie opieki zdrowotnej w Champ Dollon

CZŁONKOSTWO W ORGANIZACJACH ZAWODOWYCH:

International Academy of Law and Mental Health (IALMH) Genewskie Stowarzyszenie
Psychologów-Psychoterapeutów (AGPP)

Szwajcarska Federacja Psychologów (FSP)

Szwajcarskie Towarzystwo Psychologii Sądowej (SSPL)

ZAINTERESOWANIA:

Muzyka poważna (10 lat gry na skrzypcach), jazz, czytanie

Sport: pływanie, bieganie, nurkowanie, speleologia, spadochroniarstwo

PROLOG

Dgdgdgdgdgdg – taktaktak – ddgdgdgdgdgdg – taktaktak

Ilekcroć ślizgacz wagonika przejeżdżał przez umieszczony na podporze blok, do miarowego terkotania liny dołączał łoskot koła, a kabina wpadała w drgania. Dochodziło do tego wszechobecne, świszczące zawrodozenie wiatru, przypominające nieutulony szloch dziecka. Oraz głosy pasażerów kabiny, którzy się przekrzykiwali, by zagłuszyć płynące z zewnątrz wycie. Razem z Huysmansem było ich pięciu.

Dgdgdgdgdgdgdg – taktaktak – ddgdgdgdgdgdgdg – taktaktak

– Cholera! Nie znoszę tam wjeżdżać przy takiej pogodzie! – powiedział jeden z mężczyzn.

Huysmans milczał. Przez śnieżną zamieć, która otaczałaabinę, wypatrywał taflileżącego tysiąc metrów niżej dolnego jeziora. Kable wyglądały na dziwnie luźne, jak dwie łukowate linie leniwie zagłębiające się w szarość.

Chmury się rozstały i ukazało się jezioro. Na krótko. Przez chwilę wyglądało jak kałuża pod sklepieniem nieba, zwykła dziura wypełniona wodą pośród górskich szczytów i poszarpanych skrawków chmur.

– Do diabła z pogodą – powiedział inny. – Tak czy siak, będziemy siedzieli tydzień pod tą pieprzoną górą!

Elektrownia wodna Arruns: ciąg komór i sztolni wydrążonych siedemdziesiąt metrów pod ziemią na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza. Najdłuższy z kanałów miał jedenaście kilometrów. Woda płynęła nim z górnego zbiornika do biegnącego w dół rurociągu ciśnieniowego złożonego z rur o średnicy półtora metra, a następnie spadała na spragnione turbiny generatorów leżących u podnóża. Do położonej w sercu góry nastawni prowadziła tylko jedna droga: najpierw windą umieszczoną w szybie, którego wlot znajdował się tuż pod szczytem góry, zjeżdżało się do głównego korytarza; następnie, przy zamkniętych śluzach, dwuosobowym traktorkiem trzeba było pokonać jeszcze osiem kilometrów. Godzinna podróż w zupełnych ciemnościach.

Innym sposobem był helikopter, ale używano go tylko w razie niebezpieczeństwa. W pobliżu górnego jeziora przygotowano lądowisko, dostępne przy sprzyjającej pogodzie.

– Joachim ma rację. W taką pogodę helikopter nie dałby rady nawet wylądować – powiedział najstarszy.

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Gdy śluzy zostaną otwarte, tysiące metrów sześciennych wody z górnego zbiornika runą z hukiem do korytarza, od którego teraz dzieli ich kilkanaście minut. W razie wypadku trzeba będzie dwóch godzin na opróżnienie korytarza z wody, godziny

na dotarcie do szybu, piętnastu minut na wydostanie się na powietrze, dziesięciu na zjazd kolejką do rozdzielni i jeszcze trzydziestu na dojazd do Saint-Martin-de-Comminges – przy założeniu, że droga nie zostanie odcięta.

Gdyby zdarzył się wypadek, znaleźliby się w szpitalu nie prędzej niż po jakichś czterech godzinach. A elektrownia się starzała... Działała od 1929 roku. Każdej zimy, przed roztopami, spędzali tu, odcięci od świata, cztery tygodnie, naprawiając pochodzącą z ubiegłego wieku maszynę. Ciężka, niebezpieczna praca.

Huysmans obserwował orła, który szybował unoszony wiatrem jakieś sto metrów od kabiny.
Cisza.

Odwrócił wzrok ku rozciągającym się w dole mroźnym przepaściom.

Trzy ogromne rury przyklejone do zbocza opadały ku otchłani. Dolina już dawno znikła z pola widzenia. Trzysta metrów niżej ostatnia podpora, ustawiona w miejscu, w którym zbocze tworzyło wybrzuszenie, przebijała się samotnie przez warstwę mgły. Wagonik wspinał się teraz prosto do wylotu szybu. Gdyby lina się zerwała, spadłby z wysokości kilkudziesięciu metrów i roztrzaskał się o skalną ścianę jak orzeszek. Kołysał się wśród zamieci niczym koszyk na ramieniu gosposi.

– Hej, kucharzu! Co tym razem będzie do żarcia?

– Na pewno żadnej zdrowej żywności.

Huysmans jako jedyny się nie roześmiał. Śledził wzrokiem żółtego busa jadącego drogą do rozdzielni. Był to samochód dyrektora. Potem auto zniknęło mu z oczu, pochłonięte przez kłębiące się chmury jak dyliżans pochwycony przez Indian.

Za każdym razem, kiedy wjeżdżał na górę, miał wrażenie, jakby docierał do jakiejś podstawowej prawdy swojej egzystencji. Nie był jednak w stanie powiedzieć do jakiej.

Huysmans spojrzął na szczyt.

Końcowa stacja kolejki – metalowe rusztowanie wmurowane w betonowe wejście do szybu – była coraz bliżej. Gdy wagonik się zatrzyma, mężczyźni ruszą systemem kładek i stopni prowadzących do betonowego bunkra.

Porywy wiatru były gwałtowne. Na zewnątrz musiało być około dziesięciu stopni poniżej zera.

Huysmans zmrużył powieki.

Rusztowanie wyglądało jakoś dziwnie.

Jakby było tam *coś jeszcze*...

Coś jakby cień między stalowymi belkami i poprzecznkami kołysanymi podmuchami wiatru.

Orzeł, pomyślał. Orzeł wpadł w sidła lin i bloczków.

Nie, nonsens. A jednak właśnie tak to wyglądało: wielki ptak z rozpostartymi skrzydłami. Może sęp, uwięziony w górnej części konstrukcji, zakleszczony wśród prętów i krat.

– Hej, patrzcie tam!

Głos Joachima. On też zauważył. Pozostali odwrócili się w stronę peronu.

– Boże! Co to jest?

W każdym razie nie ptak, pomyślał Huysmans.

Narastał w nim nieokreślony niepokój. To coś wisiało nad platformą, tuż pod linami i belkami, jakby w powietrzu. Przypominało gigantycznego ciemnego motyla, odcinającego się

złowieszczo od bieli śniegu i nieba.

– Jasny szlag! Co to ma być?

Kolejka zwolniła bieg. Dobijali do celu. Wiszący kształt był teraz większy.

– Matko Boska!

To nie był motyl. Ani ptak.

Wagonik stanął, drzwi automatycznie się otworzyły.

Lodowaty podmuch niosący płatki śniegu uderzył ich prosto w twarz. Nikt nie wysiadł. Zostali wewnątrz, patrząc na dzieło szaleństwa i śmierci. Wiedzieli, że nigdy nie zapomną tego widoku.

Wiatr wył wokół peronu. Nie brzmiało to już jak płacz dziecka, teraz Huysmans słyszał straszliwe odgłosy innych tortur, które zagłuszał skowyt wiatru. Cofnęli się o krok w głąb wagonika.

Strach uderzył w nich jak rozpędzony pociąg. Huysmans rzucił się w stronę słuchawek i wcisnął je na głowę.

– ROZDZIELNIA? TU HUYSMANS! WEZWIJCIE ŻANDARMERIE! SZYBKO! POWIEDZCIE IM, ŻEBY SIĘ POŚPIESZYLI! NA GÓRZE JEST TRUP! JAKAŚ CHORA SPRAWA!



CZŁOWIEK, KTÓRY LUBIŁ KONIE

Pireneje wyłoniły się przed Diane Berg, gdy przejeżdżała przez jedno ze wzniesień.

O białą, odległą jeszcze zaporę, zajmującą cały horyzont, rozbijały się fale pagórków. Drapieżny ptak kreślił kręgi na niebie.

Była dziewiąta rano, 10 grudnia.

Według mapy samochodowej rozłożonej na desce rozdzielczej Diane powinna opuścić autostradę na najbliższym zjeździe i skierować się na południe, w stronę Hiszpanii. W wiekowej lancii nie było GPS-u ani komputera pokładowego. Zobaczyła tablicę nad autostradą: „Zjazd nr 17, Montréjeau/Hiszpania, 1000 m”.

Zatrzymała się na nocleg w Tuluzie: tani hotel, małe pokój z odlaną w plastiku łazienką i minitelewizorem. W nocy obudziło ją jakieś wycie. Z walącym sercem siadła w głowach łóżka i nasłuchiwała. Hotel był pogrążony w absolutnej ciszy. W pierwszej chwili Diane pomyślała, że się jej przyśniło, jednak po jakimś czasie wycie znów się rozległo, nawet jeszcze głośniejsze. Żołądek podszedł jej do gardła. Wreszcie uświadomiła sobie, że za oknem biją się koty. Trudno jej było ponownie zasnąć. Dzień wcześniej była jeszcze w Genewie i świętowała swój wyjazd w gronie znajomych i przyjaciół. Patrzyła na swój pokój na uczelni i zastanawiała się, co przyniesie przyszłość.

Kiedy na hotelowym parkingu otwierała drzwi swojej lancii, wśród mokrego śniegu, który wolno opadał na samochody, uświadomiła sobie nagle, że właśnie zostawia za sobą młodość. Wiedziała, że za tydzień czy dwa zapomni o dawnym życiu, a w ciągu kilku miesięcy przejdzie gruntowną przemianę. Zważywszy na otoczenie, w którym miała spędzić najbliższe dwanaście miesięcy, nie mogło być inaczej. „Pozostań sobą” – radził jej ojciec. Wyjeżdżając z niewielkiego placu, by włączyć się do ruchu na zapchanej już autostradzie, zastanawiała się, czy te zmiany będą pozytywne. Ktoś powiedział, że czasem adaptacja oznacza amputację – mogła tylko mieć nadzieję, że w jej przypadku te słowa się nie potwierdzą.

Nie mogła przestać myśleć o instytucie.

O tych, którzy byli tam zamknięci...

Przez cały poprzedni dzień Diane prześladowała jedna myśl: Nie dam rady. To mnie przerasta. Mimo że się przygotowywałam i że mam doskonałe kwalifikacje na to stanowisko, nie mam absolutnie żadnego pojęcia, co mnie czeka. Ci ludzie będą we mnie czytać jak w otwartej książce.

Myślała o nich jak o ludziach, o mężczyznach – nie jak o *potworach*. A jednak nimi byli: jednostkami naprawdę potwornymi, istotami, które różnią się od niej, jej rodziców i wszystkich, których zna, tak jak tygrys różni się od kota.

Tygrysy... W ten sposób należało na nich patrzeć: nieprzewidywalni, niebezpieczni, zdolni

do niewyobrażalnego okrucieństwa. Uwięzione w górach tygrysy.

W punkcie opłat zorientowała się, że pochłonięta myślami zapomniała, gdzie włożyła bilet. Gorączkowo przetrząsała schowek, potem torebkę. Kontrolerka mierzyła ją wzrokiem z groźną miną. A przecież nie było pośpiechu: prócz nich w zasięgu wzroku nie było nikogo.

Na następnym rondzie skręciła w kierunku Hiszpanii i gór. Po kilku kilometrach równina nagle się skończyła i z podłoża wyrosły pierwsze zbocza przedgórza Pirenejów. Droga biegła teraz wśród porośniętych drzewami, zaokrąglonych pagórków, nie miały one jednak nic wspólnego z wysokimi, postrzępionymi szczytami, które widać było w głębi. Pogoda także się zmieniła: śnieg padał gęściej.

Za zakrętem droga zaczęła ostro wspinać się ponad krajobraz białych łąk, rzek i lasów. Na szczycie jednego ze wzgórz Diane zauważyła gotycką katedrę otoczoną zabudowaniami miasteczka. Pejzaż widoczny przez pracujące miarowo wycieraczki zaczął przypominać starą akwafortę.

Spitzner uprzedzał ją: „Pireneje to nie Szwajcaria”.

Zaspy po obu stronach drogi były coraz wyższe.

Przez sypiący śnieg dostrzegła najpierw światła kogutów, a następnie blokadę. Opady były coraz gęstsze. Żandarmi machali świetlnymi sygnalizatorami. Diane zauważyła, że są uzbrojeni. W brudnym śniegu na poboczu, pod okazałymi jodłami stała furgonetka i dwa motocykle. Gdy Diane opuściła szybę samochodu, wielkie płatki śnieżnego puchu natychmiast zmoczyły jej fotel.

– Poproszę panią o dokumenty.

Schyliła się do schowka, by wyjąć papiery. Usłyszała strzępy wiadomości dobywających się z trzeszczących krótkofalówek żandarmów zmieszane z szumem szybko pracujących wycieraczek i oskarżycielskim hałasem rury wydechowej. Zimna wilgoć owionęła jej twarz.

– Jest pani dziennikarką?

– Psychologiem. Jadę do Instytutu Wargniera.

Żandarm, potężny blondyn, na oko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, schylił się do otwartego okna samochodu i zmierzył ją wzrokiem. Od strony lasu Diane słyszała pomruk rzeki przebijający się przez głosy krótkofalówek.

– Co panią sprowadza w te strony? Szwajcaria to kawał drogi stąd.

– Instytut to szpital psychiatryczny, a ja jestem psychologiem. Dostrzega pan związek?

Oddał jej papiery.

– W porządku. Może pani jechać.

Ruszając, zastanawiała się, czy francuska policja zawsze w ten sposób kontroluje samochody, czy może coś się stało. Droga raz po raz skręcała, równoległe do meandrów rzeki (według przewodnika rzeka w Pirenejach to nie rzeka, lecz *gave*) płynącej między drzewami. Następnie las zniknął, ustępując miejsca równinie, która miała co najmniej pięć kilometrów szerokości. Długa, prosta aleja, po obu stronach puste kempingi z banerami trzepoczącymi smutno na wietrze, stacje benzynowe, urokliwe domki przypominające alpejskie schroniska, parada billboardów wychwalających zalety pobliskich ośrodków narciarskich.

W tle – SAINT-MARTIN-DE-COMMINGES, 20 863 MIESZKAŃCÓW, jeśli wierzyć wymalowanej w żywych kolorach tablicy. Górujące nad miastem szczyty tonęły w szarych

chmurach. Przebijające się gdzieś słońce jak snop światła latarni wydobywało z cienia górskie granie i zbocza. Na pierwszym rondzie Diane porzuciła kierunek „centrum” i skręciła w prawo za budynkiem z krzyczącą neonowymi literami witryną „Sport & Natura”. Na ulicach było sporo pieszych i wiele zaparkowanych samochodów. „Niezbyt zabawne miejsce dla młodej kobiety” – przypomniała sobie słowa Spitznera, gdy przemierzała ulice miasta sam na sam z dobrze znanym, uspokajającym szuraniem wycieraczek.

Droga pięła się wyżej. Przez krótką chwilę Diane widziała w dole zbocza skupisko dachów. Przy gruncie śnieg zmieniał się w ciemnoszare błoto, które obryzgiwało podwozie samochodu. „Jesteś pewna, że chcesz tam jechać? To nie to samo co Champ-Dollon”. Champ-Dollon to nazwa szwajcarskiego więzienia, w którym po obronie licencjatu z psychologii robiła ekspertyzy prawne i zajmowała się przestępcami seksualnymi. Zetknęła się tam z seryjnymi gwałcicielami, pedofilami i sprawcami przemocy seksualnej w rodzinie (tak w eufemistycznym języku administracji nazywa się kazirodcze gwałty). Przeprowadzała też jako współekspert ocenę wiarygodności nieletnich, którzy uważali się za ofiary wykorzystywania seksualnego, i była przerażona odkryciem, jak bardzo – często ze szkodą dla obiektywizmu – określone założenia ideologiczne czy moralne specjaliści mogą wpływać na osąd w tej dziedzinie.

– Dziwne rzeczy opowiadają o tym Instytucie Wargniera – powiedział Spitzner.

– Rozmawiałam z doktorem Wargnierem przez telefon. Zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie.

– Tak, Wargnier jest bardzo dobry – przyznał Spitzner.

Wiedziała jednak, że to nie Wargnier będzie ją przyjmował, lecz pochodzący z Quebecu doktor Xavier, który przyjechał z Instytutu Pinela w Montrealu. Poprzedni dyrektor pół roku wcześniej przeszedł na emeryturę. To on opiniował jej kandydaturę i zaakceptował ją przed odejściem ze stanowiska. Podczas licznych rozmów telefonicznych uprzedzał ją o trudnościach, jakie mogły ją spotkać w nowej pracy.

– To nie jest łatwe miejsce dla młodej kobiety, doktor Berg. Nie mówię tylko o Instytucie, mówię o całej okolicy. Ta dolina... Saint-Martin... To są Pireneje. Zimy są długie, rozrywek mało. Chyba że lubi pani sporty zimowe, ma się rozumieć.

– Niech pan nie zapomina, że jestem Szwajcarką – odpowiedziała, śmiejąc się.

– W takim razie, jeśli mogę dać pani pewną radę, proszę nie pozwolić, by praca za bardzo panią pochłonięła. Niech pani zadba o przestrzeń dla siebie i spędza wolny czas na zewnątrz. To miejsce na dłuższą metę może być... szkodliwe.

– Postaram się o tym pamiętać.

– I jeszcze jedno: nie będę miał przyjemności pani przywitać. Zajmie się tym mój następca, doktor Xavier z Montrealu. To bardzo dobry lekarz. Ma przyjechać w przyszłym tygodniu. Jest pełen zapału. Jak pani wie, oni są trochę lepsi od nas w leczeniu agresywnych pacjentów. Myślę, że wymiana poglądów z nim może być ciekawa.

– Ja też tak uważam.

– W każdym razie asystent dyrektora od dawna jest w tej placówce potrzebny. Ja oddawałem za mało obowiązków.

Diane znowu jechała wśród drzew. Droga wciąż pięła się w górę, aż zanurzyła się w wąskiej, zalesionej dolinie, która wydała się jej wręcz niezdrowo, przygniatająco ustronna. Diane uchyliła szybę. W nozdrza uderzył ją przenikliwy zapach liści, mchów, igliwia i mokrego śniegu. Hałas

płynącego w pobliżu potoku prawie zagłuszał warczenie silnika.

– Oto miejsce pustynne – powiedziała głośno, by dodać sobie odwagi.

Diane prowadziła ostrożnie w szarówce zimowego poranka. Reflektory lancii ślizgały się po korze jodeł i buków. Wzdłuż drogi biegła linia elektryczna. Gałęzie drzew wspierały się o nią, jakby nie mogły się już utrzymać o własnych siłach. Miejscami las się cofał, ustępując miejsca zamkniętym, opuszczonym stodołom o pokrytych łupkiem dachach, które porastał mech.

Kawałek dalej, za zakrętem dostrzegła jakieś zabudowania, które wyłoniły się znowu, za następnym skrzyżowaniem. Kilka budynków z betonu i drewna, z dużymi oknami na parterze. Od drogi prowadziła do nich ścieżka – najpierw żelaznym mostkiem przekraczała potok, a następnie biegła przez zaśnieżone pola. Na widok tych wyraźnie opuszczonych i zrujnowanych budynków zagubionych w głębi doliny Diane zadrżała. Nie wiedziała dlaczego.

OŚRODEK KOLONIJNY *LES ISARDS*, głosiła zardzewiała tablica na początku ścieżki. Nadal nie było śladu szpitala ani nawet informacji na jego temat. Najwyraźniej Instytut Wargniera nie szukał reklamy. Diane zaczęła się zastanawiać, czy aby nie pomyliła drogi. Obok niej, na miejscu pasażera leżała rozpostarta mapa w skali 1:25 000 wydana przez Narodowy Instytut Geofizyczny. Po przejechaniu kilometra i pokonaniu kilkunastu zakrętów Diane dostrzegła parking otoczony kamienną balustradą. Zwolniła i skręciła. Lancia zatrzęsła się, przejeżdżając przez wypełnione wodą doły i wzbijając fontanny błota. Diane sięgnęła po mapę i wysiadła. Wilgoć od razu ją oblepiła jak mokre, lodowate prześcieradło.

Mimo sypiącego śniegu rozłożyła mapę. Budynki, które przed chwilą minęły, były zaznaczone trzema małymi prostokątami. Spojrzała na trasę, którą już miała za sobą, przebiegając wzrokiem sinusoidę powiatowej drogi. Kawałek dalej zaznaczono dwa inne prostokąty, zbiegające się w kształt litery T. Nie było informacji na temat charakteru tego budynku, nie mogło jednak chodzić o nic innego, ponieważ w tym miejscu kończyła się droga i na mapie nie było żadnych innych symboli.

Była już blisko.

Odwróciła się, podeszła do murku i zobaczyła je.

W górze rzeki, na przeciwnym brzegu, wyżej na stoku stały dwa długie budynki z ciosanego kamienia. Pomimo znacznej odległości Diane domyślała się ich rozmiarów. Architektura olbrzymów. Ten typ budownictwa można było spotkać w górach na każdym kroku: od elektrowni, poprzez zapory wodne, aż po ubiegłowieczne hotele. To było właśnie to: grota cyklopa. Z tą różnicą, że w głębi tej jaskini siedział nie jeden Polifem, lecz wielu.

Diane nie należała do osób, które można łatwo przestraszyć. Podróżowała w miejsca, które odradzano turystom, a ryzykowne sporty zaczęła uprawiać jako nastolatka. W dzieciństwie i w wieku dorosłym nie należała do lękliwych. A jednak coś w tym widoku sprawiło, że ścisnął jej się żołądek. Nie, nie chodziło o jakieś fizyczne zagrożenie. To było co innego. Skok w nieznanie...

Wyjęła telefon i wybrała numer. Nie wiedziała, czy w okolicy jest maszt, który umożliwi jej połączenie, ale po trzech sygnałach w słuchawce odezwał się znany głos.

– Spitzner.

Od razu poczuła ulgę. Ten ciepły, zdecydowany i spokojny głos zawsze działał na nią kojąco i sprawiał, że znikwały wszelkie wątpliwości. To był Pierre Spitzner, jej mentor na wydziale. To za jego sprawą zainteresowała się psychologią sądową. Dzięki prowadzonemu przez niego intensywnemu kursowi SOKRATES na temat praw dziecka, odbywającemu się pod egidą

europiejskiej sieci międzyuczelnianej o nazwie „Children’s Rights”, Diane zbliżyła się do tego dyskretnego i czarującego mężczyzny, dobrego męża i ojca siedmiorga dzieci. Znany psycholog przygarnął ją pod swoje skrzydła na Wydziale Psychologii i Nauk o Wychowaniu i pozwolił, by z larwy zmieniała się w motyla – choć wymagający umysł Spitznera z pewnością uznałby tę metaforę za zbyt konwencjonalną.

– Mówi Diane. Nie przeszkadzam?

– Oczywiście, że nie. I jak idzie?

– Jeszcze nie dojechałam. Jestem na drodze. Widzę stąd Instytut.

– Czy coś się stało?

Ach ten Pierre. Nawet przez telefon potrafił rozpoznać najmniejsze drżenie jej głosu.

– Nie, wszystko w porządku. Tylko że... oni postanowili odizolować tych facetów od zewnętrznego świata. Wepchnęli ich w najdalszy i najbardziej ponury kąt, jaki mogli znaleźć. Ta dolina sprawia, że dostają gęsiej skórki.

Od razu pożałowała, że to powiedziała. Zachowuje się jak nastolatka, która pierwszy raz w życiu jest zdana sama na siebie. Albo jak sfrustrowana studentka zakochana w swoim promotorze, która robi wszystko, żeby przyciągnąć jego uwagę. Pomyślała, że pewnie Pierre właśnie zaczął się zastanawiać, jak ona sobie poradzi, skoro sam widok budynków wywołuje w niej taki lęk.

– Poczekaj. Miałaś już na tapecie przestępców seksualnych, paranoików i schizofreników, prawda? Powiedz sobie, że tutaj będzie to samo.

– Ale nie wszyscy byli mordercami. Prawdę mówiąc, tylko jeden był.

Nie potrafiła nie przywołać w myśli jego postaci: szczupłej twarzy, miodowych tęczywek, którymi wpatrywał się w nią z łapczywością drapieżnika. Kurtz był prawdziwym socjopatą. Jedynym, jakiego do tej pory spotkała. Zimny, niezrównoważony manipulator. Bez najmniejszych oznak wyrzutów sumienia. Zgwałcił i zabił trzy matki, z których najmłodsza miała czterdzieści sześć, a najstarsza siedemdziesiąt pięć lat. To była jego specjalność – dojrzałe kobiety. A do tego sznury, więzy, kneble, węzły samozaciskowe. Im bardziej usiłowała o nim nie myśleć, tym natarczywiej pojawiał się w jej wyobraźni ze swym przewrotnym uśmiechem i spojrzeniem dzikiego zwierzęcia. Przypomniał jej się napis, który Spitzner wywiesił na drzwiach swojego gabinetu, na pierwszym piętrze w gmachu psychologii: NIE MYŚL O SŁONIU.

– Diane, już trochę za późno na zadawanie sobie takich pytań, nie sądzisz?

Zaczerwieniła się, słysząc tę uwagę.

– Dasz radę, jestem tego pewien. Jesteś wymarzoną kandydatką na to stanowisko. Nie mówię, że będzie łatwo, ale zapewniam cię, że sobie poradzisz.

– Masz rację – odpowiedziała. – Jestem śmieszna.

– Ależ nie. Każdy na twoim miejscu zareagowałby tak samo. Wiem, jakie słuchy krążą o tym miejscu. Nie skupiaj się na tym. Skoncentruj się na swojej pracy. Gdy do nas wrócisz, będziesz największą specjalistką od niezrównoważonych psychopatów we wszystkich kantonach. Muszę już kończyć. Czeka na mnie dziekan, chce rozmawiać o pieniądzach. Wiesz, jaki on jest. Będę musiał użyć wszystkich moich zdolności. Powodzenia, Diane. Dawaj znać, jak leci.

Sygnał. Spitzner się rozłączył.

Zapanowała cisza. Zakłócał ją jedynie szum potoku, który spadał na nią jak mokra plandeka.

Śnieżna czapa zsunęła się z gałęzi i plasnęła o ziemię. Diane podskoczyła. Schowała telefon do kieszeni puchowej kurtki, złożyła mapę i wsiadła do samochodu.

Wykonała kilka manewrów i opuściła parking.

Tunel. Światła reflektorów odbijały się od czarnych, ociekających wodą ścian. Żadnego oświetlenia. Zakręt przy wyjeździe. Niewielki mostek na potoku po lewej. I wreszcie pierwsza tablica przybita do białej barierki: OŚRODEK PSYCHIATRII PENITENCJARNEJ DR. CHARLES'A WARGNIERA. Skręciła powoli i przejechała przez most. Droga gwałtownie i stromo pięła się pod górę, kreśląc zygzaki wśród jodeł i zasp, aż Diane przestraszyła się, że jej gruchot zacznie się ślizgać na oblodzonym zboczu. Nie miała opon zimowych ani łańcuchów. Po chwili jednak zrobiło się bardziej płasko.

Jeszcze jeden zakręt i będzie po wszystkim.

Ledwie zdążyła poprawić się na fotelu, gdy zza lasu, śniegu i mgły wyłoniły się budynki.

Była jedenasta piętnaście, środa, 10 grudnia.

Ośnieżone czubki jodeł widziane z góry, w pionowej, przyprawiającej o zawrót głowy perspektywie. Wcinająca się głęboko pomiędzy otulone mgłą pnie prosta wstążka szosy. Szybka defilada górskich szczytów.

W głębi, pomiędzy wielkimi drzewami jeep cherokee rozmiarów chrząszcza. Jego reflektory przebijają się przez falujące opary mgły. Po obu stronach drogi piętrzą się wysokie zasy pozostałe przez pług śnieżny. W oddali białe góry zasłaniają horyzont. Nagle las się urywa. Droga ostrym zakrętem omija skalistą skarpe, a następnie biegnie wzdłuż płynącej wartkim nurtem rzeki, której wzburzone wody przelewają się przez niewielką tamę. Po drugiej stronie wycięta w zboczu góry czarna paszcza elektrowni wodnej.

Na poboczu tablica: SAINT-MARTIN-DE-COMMINGES – KRAINA NIEDŹWIEDZI, 7 KM.

Servaz w przełocie zerknął na informację. Na tablicy wymalowany był niedźwiedź pirenejski na tle gór i sosen.

Pirenejski, akurat! W okolicy żyły niedźwiedzie słoweńskie. Miejscowi pasterze marzyli, by wziąć je na muszkę.

Twierdzili, że niedźwiedzie za bardzo zbliżają się do ludzkich siedzib, atakują stada i stają się niebezpieczne nawet dla człowieka. Jedynym gatunkiem niebezpiecznym dla człowieka jest sam człowiek, pomyślał Servaz. Rok w rok w kostnicy w Tuluzie oglądał nowe trupy. I nie były to bynajmniej ofiary niedźwiedzi. *Sapiens nihil affirmat quod no probet*. „Mędrzec nie potwierdza, czego nie udowodnił”, powiedział do siebie. Zwolnił, gdy droga zakrętem weszła w las. Teraz nie był to jednak wysoki las iglasty, raczej niskopienne zagajniki wyrastające z nieokreślonego poszycia. Tuż obok szumiął potok. Servaz słyszał go przez okno, które uchylił, nie zważając na zimno. Krystaliczny śpiew wody niemal zagłuszał płynące z odtwarzacza *allegro z V Symfonii* Gustawa Mahlera. Muzyka przesycona gorączką i trwogą, doskonale pasująca do tego, co go czekało.

Nagle z przodu dostrzegł migotanie kogutów. Sylwetki na środku drogi wymachiwały świetlnymi sygnalizatorami.

No tak...

Kiedy żandarmeria nie wie, od czego zacząć śledztwo, ustawia blokady. Przypomniał sobie, co rano w siedzibie policji kryminalnej w Tuluzie mówił Antoine Canter:

– To się stało dziś w nocy w Pirenejach, parę kilometrów od Saint-Martin-de-Comminges. Dzwoniła Cathy d’Humières. Chyba już z nią pracowałeś?

Canter był olbrzymem o chropowatym akcencie z południowego zachodu. Ten były brutalny zawodnik rugby lubił karać swoich przeciwników, biorąc ich w młynek. Glina wywodzący się z nizin, który awansował na wiceszefa lokalnej policji sądowej. Skóra na jego policzkach, usiana

drobnymi kraterami, wyglądała jak piasek po deszczu. Wpatrywał się w Servaza wielkimi oczyma legwana.

– To się stało? To znaczy co? – zapytał Servaz.

Canter rozchylił wargi. W kącikach jego ust widać było ślady białawego osadu.

– Nie mam pojęcia.

Servaz spojrział na niego zbity z tropu.

– Jak to?

– Nie chciała nic powiedzieć przez telefon, mówiła tylko, że czeka na ciebie i że zależy jej na całkowitej dyskrecji.

– I to wszystko?

– Tak.

Servaz patrzył na szefa zdeorientowany.

– Saint-Martin, czy to nie tam jest ten psychiatryk?

– Instytut Wargniera – przytaknął Canter. – Placówka psychiatryczna unikatowa w skali Francji, a nawet Europy. Zamykają tam morderców, których sąd uznał za psychicznie chorych.

Czyżby jakaś zbrodnia popełniona podczas ucieczki? To by tłumaczyło blokady. Servaz zwolnił. Wśród broni żandarmów rozpoznał pistolety maszynowe FAMAS i strzelby Browning BPS-SP. Uchylił szybę. Wraz z zimnym powietrzem leciały na niego tysiące płatków śniegu. Pomachał legitymacją policyjną przed nosem żandarma.

– Którędy?

– Musi pan jechać do elektrowni wodnej. – Mężczyzna mówił podniesionym głosem, by przekrzyczeć hałas wydobywający się z krótkofalówek. Jego oddech zamieniał się w białą parę.

– To jakieś dziesięć kilometrów stąd, w górach. Na pierwszym rondzie przy wjeździe do Saint-Martin skręci pan w prawo. Potem, na następnym rondzie, znowu w prawo, kierunek na jezioro Astau. Dalej tak jak prowadzi droga.

– Te blokady to czyj pomysł?

– Pani prokurator. Zwykła rutyna. Otwieramy bagażnik, sprawdzamy papiery. Nigdy nic nie wiadomo.

– Mhm... – Servaz chrząknął z powątpiewaniem.

Ruszył i podkręcił głośność odtwarzacza. Dźwięk rogów grających *scherzo* wypełnił wnętrze samochodu. Odwróciwszy na chwilę wzrok od drogi, sięgnął po wsunięty w uchwyt kubek z zimną kawą. Ten rytuał powtarzał za każdym razem. Zawsze przygotowywał się tak samo. Wiedział z doświadczenia, że pierwszy dzień, pierwsza godzina są dla śledztwa decydujące. Że w tym czasie trzeba być jednocześnie przytomnym, skupionym i otwartym. Kawa na obudzenie, a muzyka na koncentrację i oczyszczenie umysłu. Kofeina i muzyka... A dzisiaj jodły i śnieg – powiedział do siebie i poczuł skurcz żołądka. Servaz był urodzonym mieszczuchem. Góry odbierał jako wrogie terytorium. Przypomniawszy sobie jednak, że nie zawsze tak było. Kiedy był dzieckiem, ojciec co roku zabierał go na włóczęgę po tych dolinach. Jak dobry pedagog uczył go rozróżniać drzewa, skały, chmury i młody Martin Servaz go słuchał, podczas gdy matka rozkładała koc na wiosennej trawie i otwierała kosz z piknikowym prowiantem, uważając męża za „pedanta” i „nudziarza”. W tych bajkowych czasach światem rządziła niewinność. Wpatrując się w drogę, Servaz zastanawiał się w duchu, czy prawdziwym powodem, dla którego nigdy tutaj nie wracał, nie był fakt, że wspomnienie tych dolin było nierozzerwalnie związane ze

wspomnieniem rodziców.

Kiedy się wreszcie od tego, do jasnej cholery, uwolnisz? Przez jakiś czas chodził do psychologa. Ale po trzech latach specjalista załamał ręce: „Bardzo mi przykro, chciałem panu pomóc, ale nie potrafię. Nigdy nie spotkałem tak wielkiego oporu”. Servaz się uśmiechnął i odpowiedział, że to bez znaczenia. W tamtej chwili myślał przede wszystkim o pozytywnym wpływie zakończenia psychoanalizy na stan jego portfela.

Jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Oto rama. Brakowało obrazu. Canter oświadczył, że o niczym nie wie. A Cathy d’Humières, prokurator z Saint-Martin, nalegała, żeby przyjechał sam. Dlaczego? Nie przyznał się jednak, że ta sytuacja mu odpowiada. Stał na czele siedmioosobowej grupy śledczej i jego ludzie (w tym jedna kobieta) mieli wystarczająco dużo roboty. Poprzedniego dnia zamknęli śledztwo w sprawie zabójstwa bezdomnego. Jego ciało, ze śladami wcześniejszego pobicia, znaleziono do połowy zanurzone w stawie w pobliżu miasteczka Noé, niedaleko autostrady, którą Servaz wyjechał z miasta. Wystarczyło czterdzieści osiem godzin i winowajcy się znaleźli. Włóczęgę – mężczyznę około sześćdziesiątki – ktoś widział kilka godzin przed śmiercią w towarzystwie trzech nastolatków z okolicy. Najstarszy z nich miał siedemnaście lat, najmłodszy dwanaście. Najpierw wszystkiemu zaprzeczali, ale później dość szybko się przyznali. Żadnych motywów zbrodni. I żadnych wyrzutów sumienia. Najstarszy powiedział wręcz: „To był wyrzutek społeczeństwa. Do niczego nieprzydatny”. Żaden z nich nie miał wcześniej do czynienia z policją ani z opieką społeczną. Młodzi ludzie z dobrych domów, uczący się, niezadający się z podejrzanym towarzystwem. Ich obojętność zmroziła krew w żyłach wszystkim, którzy uczestniczyli w śledztwie. Servaz miał jeszcze w pamięci ich dziecięce buzie, duże oczy, jasne i uważne, które wpatrywały się w niego bez lęku, wręcz wyzywająco. Próbował określić, który z nich pociągnął pozostałych: w tego rodzaju sprawach zawsze był przywódca, i Servaz sądził, że go znalazł. Nie był to najstarszy, ale średni spośród chłopców. Paradoksalnie, miał na imię Clément...

– Kto nas wsypał? – spytał chłopak. Wcześniej wprawił w konsternację swojego adwokata, kiedy odmówił rozmowy z nim, do której miał prawo, twierdząc, że adwokat to „palant”.

– To ja jestem tutaj od zadawania pytań – powiedział policjant.

– Mówię wam, to ta stara kurwa Schmitz.

– Spokojnie. Pilnuj swojego języka – ostrzegł wynajęty przez jego ojca adwokat.

– Nie jesteś na szkolnym boisku – zauważył Servaz. – Wiesz, co wam grozi, tobie i twoim kumplom?

– To nieco przedwczesne – zaprotestował słabo adwokat.

– Ta suka dostanie wpierdol. Zginie. Jestem wkurwiony.

– Przestań przeklinać! – adwokat miał dosyć.

– Słuchasz mnie? – Servaz był zły. – Grozi wam dwadzieścia lat więzienia. Policz sobie. Kiedy wyjdziesz, będziesz stary.

– Bardzo proszę nie... – zaczął adwokat.

– Taki stary jak ty, co? Ile ty masz lat? Trzydzieści? Czterdzieści? Fajna ta sztruksowa marynarka. Musiała kosztować sporo szmalu. Co mi tu wciskacie? To nie my! Nic, kurwa, nie zrobiliśmy! Naprawdę. Nic nie zrobiliśmy. Jesteście idiotami, czy co?

To zwyczajny nastolatek, przypomniał sobie Servaz, by opanować narastający gniew. Nigdy nie miał zatargów z policją. Ani problemów w szkole.

Adwokat był bardzo blady i obficie się pocił.

– To nie serial telewizyjny – powiedział Servaz spokojnie. – Nie wyjdiesz z tego. Wszystko już skończone. To ty jesteś idiotą.

Każdy inny nastolatek okazałby jakieś poruszenie. Ale nie on. Nie chłopiec o imieniu Clément. Chłopiec o imieniu Clément wydawał się kompletnie nie dostrzegać wagi tego, co mu zarzucano. Servaz czytał trochę na ten temat – o nieletnich, którzy gwałcili, zabijali, torturowali i sprawiali wrażenie doskonale nieświadomych potworności własnych czynów. Jakby grali w grę wideo czy RPG, która po prostu pechowo się skończyła. Jednak aż do tego dnia nie wierzył, że tak jest. Uważał, że dziennikarze przesadzają. I oto stał twarzą w twarz z tym zjawiskiem. Bo jeszcze bardziej przerażający od obojętności tych trzech zabójców był fakt, że tego rodzaju sprawy nie były już niczym wyjątkowym. Świat stał się gigantycznym poletkiem coraz bardziej obłąkanych doświadczeń, które Bóg, diabeł czy przypadek warzyli w swoich próbkach.

Po powrocie do domu Servaz długo mył ręce, po czym zrzucił ubranie i przez dwadzieścia minut stał pod prysznicem, aż skończyła się ciepła woda, jakby chciał się odkazić. Następnie sięgnął na półkę po tomik Juwenalisa. Otworzył na Satyrze XIII:

*W jakież święto przestają tutaj kraść złodzieje,
Nie ma draństwa, oszustwa zysk zbrodni nie sieje
I pieniądz bez trucizny zdobywać się umie?
Mało tu ludzi dobrych: tyle ich jest w sumie,
Ile bram w mieście Tebach i ujść Nilu rzeki*.*

To przez nas te dzieciaki są takie a nie inne, powiedział do siebie, zamykając książkę. Jaką mają przed sobą przyszłość? Żadną. Wszystko się rozłązi. Cwaniacy napychają sobie kieszenie i paradują w telewizji, podczas gdy wyrzuceni z pracy rodzice uchodzą w oczach swoich dzieci za biednych frajerów. Dlaczego się nie buntują? Dlaczego zamiast autobusów i szkół nie podpalają luksusowych sklepów, banków, ośrodków władzy?

Myślę jak stary piernik, zauważył. Czy to dlatego, że za kilka tygodni miał skończyć czterdzieści lat? Zostawił dzieciaki pod opieką grupy śledczej. Cieszył się z tego przeniesienia, mimo że nie wiedział, co go czeka.

Zgodnie ze wskazówkami żandarma okrążył Saint-Martin, nie wjeżdżając do miasta. Zaraz za drugim rondem droga zaczęła się piąć pod górę i Servaz zobaczył w dole białe dachy domów. Zatrzymał samochód na poboczu i wysiadł. Miasto było bardziej rozległe, niż się spodziewał. Przez szarówkę z trudem rozpoznawał wielkie śnieżne połacie, którymi wcześniej jechał, i przemysłową część miasta na wschodzie, po drugiej stronie rzeki. Stało tam też kilka osiedli długich, niskich bloków. Pocięte labiryntem wąskich uliczek centrum usadowiło się u podnóża najwyższej z okolicznych gór. Podwójny rząd słupów kolejki linowej biegł prosto do góry przecinką w jodłowym lesie porastającym jej zbocze.

Mgła i sypiący śnieg budowały dystans między nim a miastem, zacierając szczegóły. Servaz pomyślał, że Saint-Martin nie wyjawia łatwo swoich sekretów i należy raczej podejść je z boku,

niż stawać twarzą w twarz.

Wsiadł z powrotem do jeepa. Droga nadal wiodła pod górę.

Wokół roślinność, która latem musiała być bujna, obfitość zieleni, cierni i mchów, nie do ukrycia, nawet pomimo warstwy śniegu. I wszechobecny szum wody: źródła, potoków, strumieni... Z opuszczoną szybą samochodu Servaz przejechał jedną czy dwie wioski, w których połowa domów była zamknięta. Kolejna tablica: ELEKTROWNIA WODNA, 4 KM.

Jodły zniknęły. Mgła również. Nie było już żadnej roślinności, tylko lodowe ściany wznoszące się po obu stronach drogi na wysokość człowieka i ostre północne światło. Przełączył napęd samochodu na pozycję „lód”.

Wreszcie pojawiła się elektrownia. Typowa architektura ery przemysłowej: ogromny budynek z kamienia z wysokimi, wąskimi oknami, przykryty ogromną połacią łupkowego dachu, na którym zalegała gruba warstwa śniegu. Z tyłu trzy gigantyczne rury spadające z góry. Na parkingu był spory tłum. Samochody, ludzie w mundurach i dziennikarze. Furgonetka telewizji regionalnej z wielką paraboliczną anteną na dachu i dużo zwykłych aut. Servaz zauważył identyfikatory prasowe na przednich szybach. Wśród zaparkowanych samochodów był także jeden land rover, trzy peugeoty 306 i dwa transity – wszystko w barwach żandarmerii, a także furgonetka z podnoszonym dachem, którą Servaz zidentyfikował jako mobilne laboratorium żandarmerii z Pau. Na lądowisku czekał helikopter.

Zanim wysiadł, przejrzał się krótko w samochodowym lusterku. Miał podkrążone oczy i lekko zapadnięte policzki – jak zwykle wyglądał, jakby przez całą noc imprezował, choć wcale tak nie było – jednocześnie miał jednak pewność, że nikt nie dałby mu czterdziestu lat. Przygładził palcami gęste, ciemne włosy, potarł dwudniowy zarost, żeby się obudzić, i podciągnął spodnie. Do diabła, znowu schudł!

Kilka płatków śniegu musnęło jego policzki, ale to było nic w porównaniu ze śnieżycą w dolinie. Panował okrutny ziąb. Od razu zdał sobie sprawę, że powinien był ubrać się ciepłej. Dziennikarze, kamery i mikrofony – wszystko to zwróciło się w jego stronę, ale nikt go nie rozpoznał i ciekawość szybko się ulotniła. Ruszył w stronę budynku, pokonał trzy schodki i pokazał legitymację.

– Servaz!

Głos w hallu huknął jak wystrzał z armatki śnieżnej. Servaz odwrócił się ku zmierzającej w jego stronę postaci. Wysoka, szczupła, elegancko ubrana kobieta około pięćdziesiątki. Włosy farbowane na blond, płaszcz z alpaki z przerzuconym swobodnie szalem. Catherine d’Humières osobiście pofatygowała się na miejsce, zamiast wysłać kogoś w zastępstwie: Servaz poczuł przypływ adrenaliny.

Jej profil i błyszczące oczy przypominały drapieżne zwierzę. Ludzie, którzy jej nie znali, czuli się przy niej onieśmieleni. Ci, którzy ją znali, również. Ktoś kiedyś powiedział Servazowi, że Cathy d’Humières gotuje znakomite spaghetti alla puttanesca. Servaz zastanawiał się, czy przypadkiem nie dodaje do sosu ludzkiej krwi. Podała mu rękę – krótki uścisk suchej, silnej dłoni, jak u mężczyzny.

– Spod jakiego znaku pan jest, Martin?

Servaz się uśmiechnął. Zadawała mu to pytanie za każdym razem od czasu, kiedy spotkali się po raz pierwszy: on dopiero co przyjechał do wydziału zabójstw w Tuluzie, a ona była jeszcze

jednym z wielu zastępców.

– Koziorożec.

Udała, że nie zauważyła uśmiechu.

– To by tłumaczyło pańską ostrożność, flegmatyczność i opanowanie, co? – Przyglądała mu się z napięciem. – Tym lepiej. Zobaczmy, czy po czymś takim będzie pan równie opanowany i flegmatyczny.

– Po czym?

– Chodźmy, pokażę panu.

Pierwsza ruszyła przez hall. Ich kroki rozbrzmiewały w rozległej, akustycznej przestrzeni. Dla kogo stawiano wszystkie te budowle w górach? Dla przyszłej rasy nadludzi? Wszystko w nich tchnęło ufnością w wielką i świetlaną industrialną przyszłość. Dawno miniona epoka wiary, pomyślał Servaz. Skierowali się ku przeszklonemu pomieszczeniu. Wewnątrz stały metalowe komody i jakieś dziesięć biurtek. Przecisnęli się między nimi i dołączyli do grupki stojącej pośrodku. D’Humières dokonała prezentacji: kapitan Rémi Maillard, szef brygady żandarmerii w Saint-Martin, i kapitan Irène Ziegler z wydziału śledczego w Pau; mer Saint-Martin – niewysoki, barczysty mężczyzna z lwią czupryną i wyrazistą twarzą – oraz dyrektor elektrowni wodnej, inżynier o wyglądzie inżyniera: krótkie włosy, okulary, sportowy golf i gruba narciarska kurtka.

– Poprosiłam komendanta Servaza o pomoc. Kiedy byłam zastępcą prokuratora w Tuluzie, miałam okazję korzystać z jego usług. Jego brygada pomogła nam rozwiązać wiele skomplikowanych spraw.

„Pomogła nam rozwiązać”, cała d’Humières. Stawianie siebie w centrum obrazka było bardzo w jej stylu. Ale natychmiast pomyślał, że taka ocena jest trochę niesprawiedliwa – wiedział, że jest kobietą, która lubi swoją pracę i nie szczędzi na nią czasu ani wysiłku. Doceniał to. Servaz lubił poważnych ludzi. Siebie także zaliczał do tej kategorii: poważny, uparty i prawdopodobnie nudny.

– Komendant Servaz i kapitan Ziegler będą wspólnie prowadzili śledztwo.

Servaz zauważył napięcie na pięknej twarzy kapitan Ziegler. Po raz kolejny przez głowę przebiegła mu myśl, że sprawa musi być poważna. Wspólne prowadzenie śledztwa przez policję i żandarmerię było niewyczerpanym źródłem kłótni, rywalizacji, przypadków ukrywania materiału dowodowego – ale także wpisywało się w aktualną tendencję. A Cathy d’Humières była ambitna i nigdy nie traciła z oczu politycznego aspektu spraw. Pokonała wszystkie szczeble kariery: zastępca prokuratora, pierwszy zastępca, asystent prokuratora... Przed pięcioma laty stanęła na czele prokuratury w Saint-Martin i Servaz był pewien, że nie zamierza na tym poprzestać. Saint-Martin to zbyt skromna jednostka, za bardzo oddalona od głównego nurtu wydarzeń jak na jej wybujałą ambicję. Był przekonany, że za rok czy dwa obejmie któryś z sądów o pierwszorzędym znaczeniu.

– Czy ciało znaleziono tutaj, w elektrowni? – zapytał.

– Nie, na górze, na końcu kolejki. – Maillard wskazał palcem sufit.

– Kto korzysta z kolejki?

– Robotnicy, którzy konserwują maszyny – odpowiedział dyrektor. – To coś w rodzaju podziemnego zakładu, który funkcjonuje samodzielnie. Zbiera wodę z górnego zbiornika i przesyła do rurociągu ciśnieniowego, który widać na zewnątrz. Kolejka to jedyny sposób, by

się tam dostać przy normalnej pogodzie. Jest jeszcze helikopter, ale używa się go wyłącznie do pomocy medycznej.

– Nie ma żadnej drogi ani ścieżki?

– Jest ścieżka, ale dostępna tylko latem. Zimą leży na niej kilka metrów śniegu.

– Chce pan powiedzieć, że ten, kto to zrobił, skorzystał z kolejki. Jak ona działa?

– To bardzo proste. Uruchamia ją jeden klucz i jeden guzik. W razie kłopotów zatrzymuje się ją dużym, czerwonym przyciskiem.

– Szafka, w której znajdują się klucze, jest tutaj – włączył się Maillard, wskazując wiszącą na ścianie zaplombowaną metalową skrzynkę. – Zamek był wyłamany, a drzwiczki uszkodzone. Ciało zawieszono na górze, na ostatniej podporze. Nie ma wątpliwości: sprawca czy sprawcy musieli użyć kolejki, by je przewieźć.

– Nie ma odcisków palców?

– W każdym razie nie ma niczego, co rzucaloby się w oczy. Jest mnóstwo niewidocznych śladów w wagoniku. Próbkę zostały wysłane do laboratorium. Jesteśmy w trakcie pobierania odcisków palców od wszystkich pracowników, dla porównania.

– W jakim stanie było ciało?

– Miało odciętą głowę. Płaty skóry zdarte z obu boków wyglądały jak wielkie skrzydła. Zobacz pan na wideo: naprawdę makabryczna inscenizacja, robotnicy jeszcze nie doszli do siebie.

Servaz wpatrywał się w żandarma. Wszystkie jego zmysły były teraz w stanie najwyższej gotowości. Choć przemoc osiągnęła w tych czasach najwyższy poziom, ta sprawa nie wyglądała na banalną. Zauważył, że kapitan Ziegler się nie odzywa, ale uważnie słucha.

– Jakaś charakteryzacja? – Potrząsnął dłonią. – Odcięte palce?

W żargonie policyjnym słowo „charakteryzacja” oznacza pozbawienie ofiary szczegółów zewnętrznego wyglądu, które ułatwiłyby jej identyfikację, bądź zniszczenie ich: twarzy, palców, zębów...

Oficer szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

– Jak to? Nie powiedzieli panu?

Servaz zmarszczył brwi.

– Czego nie powiedzieli?

Zauważył, że Maillard rzuca niepewne spojrzenie najpierw Ziegler, a potem prokurator d’Humières.

– To ciało... – wyjąkał żandarm.

Servaz czuł, że zaraz straci cierpliwość, ale czekał na dalszy ciąg.

– To koń.

– Koń?

Servaz z niedowierzaniem patrzył na resztę grupy.

– Tak. Koń. O ile nam wiadomo, czystej krwi.

Teraz Servaz odwrócił się do Cathy d’Humières.

– Wezwała mnie pani z powodu konia?

– Sądziłam, że pan wie – broniła się. – Canter panu nie powiedział?

Servaz przypomniał sobie spotkanie z Canterem w jego biurze i jego nic niewiedzącą minę. *Wiedział*. Wiedział też, że Servaz odmówiłby wyjazdu do konia, mając na głowie sprawę zabójstwa bezdomnego.

– Mam trzech smarkaczy, którzy zmasakrowali bezdomnego człowieka, a pani wzywa mnie do jakiegoś konia?

– Nie chodzi o jakiegoś konia. To koń czystej krwi. Bardzo drogie zwierzę. Które należało do Érica Lombarda – odpowiedziała d’Humières pojednawczo, ale zdecydowanie.

No, to jesteśmy w domu, pomyślał. Éric Lombard, syn Henriego Lombarda, wnuk Édouarda Lombarda... Dynastia finansistów, potentatów przemysłowych i przedsiębiorców, od sześćdziesięciu lat rządząca tą częścią Pirenejów, departamentem, a nawet całym regionem. Posiadająca, rzecz jasna, nieograniczony dostęp do wszystkich przedsióneków władzy. W tym regionie rasowe konie Érica Lombarda na pewno liczyły się bardziej niż jakiś zamordowany włóczęga.

– I nie zapominajmy, że niedaleko stąd znajduje się zakład pełen groźnych szaleńców. Jeśli zrobił to jeden z nich, to znaczy, że teraz jest na wolności.

– Instytut Wargniera. Dzwoniliście do nich?

– Tak. Według nich na apelu nikogo nie brakowało. Zresztą nikt nie może stamtąd wychodzić, nawet na jakiś czas. Twierdzą, że nie da się uciec, że środki bezpieczeństwa są zaostrzone: liczne pierścienie zabezpieczające, systemy biometryczne, wysoko wykwalifikowany personel... Oczywiście wszystko to sprawdzimy. Ale Instytut ma pod tym względem bardzo dobrą opinię – ze względu na swoją renomę oraz... *specyficzny* rodzaj pensjonariuszy.

– Koń! – powtórzył Servaz.

Kątem oka dostrzegł, że rezerwa wreszcie zniknęła z twarzy kapitan Ziegler, a zamiast niej pojawił się delikatny uśmiech. Był jedynym, który to zauważył. Uśmiech Ziegler rozbroił narastający w nim gniew. Jej zielone oczy miały głębię jeziora. Spod służbowej czapki wystawały blond włosy upięte w kok. Servaz domyślał się, że muszą być niezwykle piękne. Wargi miała zaledwie muśnięte szminką.

– Po co więc te wszystkie blokady?

– Dopóki nie będziemy w stu procentach pewni, że żaden z pacjentów nie uciekł, nie zdejmujemy ich – odpowiedziała d’Humières. – Nie chcę być oskarżana o zaniedbanie środków ostrożności.

Servaz nic nie powiedział. Ale nie znaczy to bynajmniej, że nie pomyślał. D’Humières i Canter otrzymali rozkazy z góry. Zawsze tak było. Choć obydwójce byli dobrymi szefami, znacznie lepszymi niż większość karierowiczów zaludniających prokuratury i ministerstwa, mieli na równi z innymi wysoko rozwinięte wyczucie zagrożenia. Ktoś na górze, może i sam minister, rozpętał cały ten cyrk, by wyświadczyć przysługę Éricowi Lombardowi, osobistemu przyjacielowi najwyższych władz państwa.

– A Lombard? Gdzie jest?

– W Stanach, w podróży służbowej. Zanim go uprzedzimy, chcemy się upewnić, czy to faktycznie jego koń.

– Któryś z jego pracowników zgłosił dziś rano zniknięcie jednego zwierzęcia – wyjaśnił Maillard. – Boks był pusty. Ten koń pasuje do opisu. Facet powinien tu być lada moment.

– Kto znalazł konia? Robotnicy?

– Tak, rano, kiedy wjeżdżali na górę.

– Często tam wjeżdżają?

– Co najmniej dwa razy w roku. Na początku zimy i przed nadejściem roztopów – odpowiedział dyrektor elektrowni. – Nastawnia jest stara, maszyny też. Trzeba je regularnie konserwować, mimo że wszystko działa automatycznie. Ostatni raz byli na górze trzy miesiące temu.

Servaz zauważył, że kapitan Ziegler nie spuszcza z niego oczu.

– Wiadomo, kiedy nastąpiła śmierć?

– Ze wstępnych ustaleń wynika, że dziś w nocy – odpowiedział Maillard. – Dokładniejsze informacje będziemy mieć po sekcji. W każdym razie wydaje się, że ten lub ci, którzy przewieźli zwierzę na górę, musieli wiedzieć, że niedługo będą tam robotnicy.

– A jak jest w nocy? Elektrownia jest pilnowana?

– Tak. Jest dwóch strażników. Stróżówka znajduje się na końcu tego budynku. Twierdzą, że niczego nie widzieli ani nie słyszeli.

Servaz się zawahał. Znowu zmarszczył brwi.

– Ale przecież konia nie da się tak po prostu przenieść, prawda? Nawet martwego. Potrzebny jest jakiś wóz. Furgonetka. Nie było tu żadnego samochodu? Nic? Może spali i boją się przyznać? Albo oglądali mecz. Albo film. No i załadowanie zwłok do wagonika, jazda na górę, powieszenie zwłok, jazda w dół, to wszystko trochę trwa. À propos, ilu osób potrzeba, żeby przenieść konia? Czy kolejka hałasuje podczas jazdy?

– Tak – odezwała się po raz pierwszy kapitan Ziegler. – Nie da się jej nie słyszeć.

Servaz odwrócił głowę. Kapitan Ziegler już wcześniej zadawała sobie te pytania. *Coś tu nie grało.*

– Potrafi pani to wyjaśnić?

– Jeszcze nie.

– Trzeba będzie ich przesłuchać oddzielnie – stwierdził. – To znaczy dzisiaj, zanim ich wypuścimy.

– Już ich rozdzieliliśmy – oświadczyła Ziegler pewnym i spokojnym głosem. – Są w osobnych pomieszczeniach, pod dobrą ochroną. Czekają na *pana*.

Servaz zauważył lodowate spojrzenie, jakie rzuciła w kierunku d’Humières. Nagle podłoga zaczęła się trząść. Miał wrażenie, że wibracje rozchodzą się po całym budynku. Przez moment dezorientacji myślał, że to lawina albo trzęsienie ziemi, ale po chwili zrozumiał: kolejka. Ziegler miała rację: tego się nie da nie zauważyć. Drzwi pomieszczenia się otworzyły.

– Zjeżdżają – oznajmił dyżurny.

– Kto? – zapytał Servaz.

– Ciało – wyjaśniła Ziegler. – Kolejka. I technicy kryminalistyki.

Technicy: to do nich należało mobilne laboratorium. W środku znajdował się sprzęt fotograficzny, kamery, pojemniki do przechowywania próbek biologicznych i plomb, które zostaną następnie przesłane do Instytutu Badań Kryminalnych Żandarmerii Narodowej, mieszczącego się w Rosny-sous-Bois w regionie paryskim. Z całą pewnością była tam też lodówka na najbardziej nietrwałe materiały. I cały ten cyrk z powodu jednego konia.

– Chodźmy – powiedział. – Chcę zobaczyć gwiazdę dnia, zdobywcę Grand Prix miasta Saint-Martin.

Na zewnątrz Servaz zdumiał się liczbą dziennikarzy. Zrozumiałby, gdyby przybyli tu z powodu morderstwa, ale z powodu konia? Najwyraźniej drobne prywatne kłopoty miliardera pokroju Érica Lombarda były tematem godnym zainteresowania zarówno dla gazet, jak i ich czytelników.

Szedł ostrożnie, starając się, na ile to możliwe, nie przemoczyć butów i poczuł, że znowu jest przedmiotem uważnej obserwacji kapitan Ziegler.

A potem, nagle, zobaczył go.

To była piekielna wizja... Jeżeli piekło jest zrobione z lodu...

Odrzuciło go, ale zmusił się do patrzenia. Ciało konia przymocowane było szerokimi pasami do wózka podnośnikowego przeznaczonego do transportu dużych ciężarów, wyposażonego w niewielki silnik i agregaty hydrauliczne. Komendant pomyślał, że ci, którzy powiesili zwierzę na górze, mogli się posłużyć podobnym urządzeniem. Byli w trakcie wysiadania z kolejki. Servaz zauważył, że wagonik jest sporych rozmiarów. Przypomniał sobie wibracje budynku. Jak to możliwe, żeby strażnicy niczego nie zauważyli?

Następnie, pokonując odrazę, spojrział na zwierzę. Nie znał się na koniach, ale miał wrażenie, że ten musiał być wyjątkowo piękny. Czarny ogon – długi i gęsty – był ciemniejszy od reszty umaszczenia, które miało kolor prażonej kawy z wiśniowym połyskiem. Wspaniały koń przypominał rzeźbę z gładko wypolerowanego egzotycznego drewna. Nogi były tak samo czarne jak ogon i to, co zostało z grzywy. Ciało pokrywała biel mnóstwa lodowych kryształków. Servaz domyślił się, że skoro w rozdzielni jest kilka stopni poniżej zera, to tam, na górze, musiało być znacznie zimniej. Może żandarmi użyli palnika albo lutownicy do roztopienia lodu wokół więzów. Zwierzę było jedną wielką raną. Dwa duże płaty skóry, oderwane od ciała, zwisały po bokach jak rozłożone skrzydła.

Zebranymi wstrząsnął dreszcz przerażenia.

Tam, gdzie zdjęto skórę, widać było żywe mięso, każdy mięsień z osobna, jak na rysunku anatomicznym. Servaz szybko rozejrzał się wokół siebie. Ziegler i d’Humières były blade; dyrektor elektrowni wyglądał, jakby zobaczył ducha. Servaz nieczęsto miał do czynienia z czymś równie przerażającym. Skonsternowany zdał sobie sprawę, że cierpienie zwierzęcia jest dla niego bardziej wstrząsające i poruszające niż widok ludzkiego cierpienia, do którego zdążył już przywyknąć.

I wreszcie głowa – a raczej jej brak: wielka rana na wysokości karku. Ten brak sprawiał, że widok całości był tak osobliwy, że aż trudny do zniesienia. Był jak dzieło sztuki objawiające szaleństwo swojego autora. Ten spektakl był w istocie niepodważalnym świadectwem obłądki i Servaz nie mógł się powstrzymać od przywołania w myślach Instytutu Wargniera: trudno byłoby nie wiązać tych spraw, mimo zapewnień dyrektora, że żaden z pacjentów nie miał szans się stamtąd wydostać.

Instynktownie przyznał, że niepokój Cathy d’Humières był uzasadniony. Tu nie chodziło tylko o konia. Sposób, w jaki zwierzę zostało zabite, przypominał o dreszczu.

Duży czarny japoński SUV ukazał się na drodze i zaparkował kilka metrów od nich. Kamery natychmiast zwróciły się w jego stronę. Z pewnością dziennikarze spodziewali się ujrzeć Érica Lombarda, ale się przeliczyli. Z terenówki o przyciemnianych szybach wysiadł mężczyzna około sześćdziesiątki, o ciemnosiwych włosach obciętych na jeża. Wysoki i barczysty, wyglądał jak emerytowany żołnierz albo drwal. Kraciasta koszula również upodabniała go do drwala. Rękawy miał podwinęte na muskularnych przedramionach, jakby nie odczuwał zimna. Servaz widział,

że mężczyzna nie spuszcza oczu z konia. Jakby ich nie zauważył – ominął całą grupę i podszedł szybko do zwierzęcia. Szerokie ramiona mężczyzny opadły.

Kiedy się do nich odwrócił, jego zaczerwienione oczy błyszczały. Z bólu – ale także z wściekłości.

– Co za kanalia mogła to zrobić?

– Pan André Marchand, zarządca stadniny pana Lombarda? – zgadła Ziegler.

– Tak, to ja.

– Poznaje pan to zwierzę?

– Tak, to Freedom.

– Jest pan pewien? – spytał Servaz.

– Oczywiście.

– Czy mógłby pan mówić jaśniej? Przecież nie ma głowy.

Mężczyzna rzucił mu piorunujące spojrzenie, a potem wzruszył ramionami i obrócił się w stronę konia.

– Sądzi pan, że w okolicy jest wiele gniadych yearlingów takich jak on? Dla mnie on jest tak samo rozpoznawalny jak dla pana brat albo siostra. Z głową czy bez. – Wskazał palcem lewą przednią nogę. – Proszę, na przykład ta skarpetka na śródreżcu.

– Co? – zdziwił się Servaz.

– Biała opaska nad kopytem – wytłumaczyła Ziegler. – Dziękujemy, panie Marchand. Przewieziemy ciało do stadniny w Tarbes, gdzie zostanie zbadane. Czy Freedomowi podawano jakieś leki?

Servaz nie wierzył własnym uszom: zamierzają poddać konia badaniom toksykologicznym!

– Był całkowicie zdrow.

– Przywiózł pan dokumenty?

– Są w wozie. – Zarządca poszedł do samochodu, pogrzebał w schowku i wrócił z plikiem papierów. – Tu jest paszport i książeczka zdrowia.

Ziegler przejrzała dokumenty. Patrząc jej przez ramię, Servaz zobaczył rubryki, okienka i pola wypełnione precyzyjnym odręcznym pismem. Oraz rysunki koni, z przodu i z profilu.

– Pan Lombard uwielbiał tego konia – stwierdził Marchand. – To był jego ulubieniec. Urodził się w ośrodku. Wspaniały yearling. – W jego głosie było słycać smutek i wściekłość.

– *Yearling?* – szepnęła Servaz do Ziegler.

– Koń czystej krwi, który skończył rok.

Ziegler pochylała się nad papierami, a on nie mógł oderwać wzroku od jej profilu. Była pociągająca, emanowała z niej pewność siebie i znajomość rzeczy. Dawał jej jakieś trzydzieści lat. Nie nosiła obrączki. Servaz zastanawiał się, czy ma kogoś, czy jest samotna. Chyba że jest rozwiedziona, tak jak on.

– Podobno dziś rano zauważył pan, że jego stanowisko jest puste? – zwrócił się do Marchanda.

Marchand znowu rzucił mu ostre spojrzenie, w którym widać było całą pogardę specjalisty wobec laika.

– Ależ skąd. Żaden z naszych koni nie nocuje na stanowisku – wycedził. – Wszystkie mają swoje boksy. A na dzień wspólną stajnię z wybiegiem, co sprzyja ich socjalizacji. To prawda,

zauważyłem pusty boks. I ślady włamania.

Servaz nie widział różnicy między boksem a stanowiskiem, ale jak widać, dla Marchanda była ona istotna.

– Mam nadzieję, że znajdziecie tych łajdaków, którzy to zrobili.

– Dlaczego mówi pan w liczbie mnogiej?

– No chyba pan sobie nie wyobraża, że jeden człowiek może wtaszczyć konia na górę? Mam nadzieję, że elektrownia była pilnowana?

Nikt się nie kwapił, by odpowiedzieć na to pytanie. Cathy d’Humières, która do tej pory trzymała się z boku, podeszła do zarządcy.

– Proszę przekazać panu Lombardowi, że dołożymy wszelkich starań, żeby znaleźć sprawcę lub sprawców. Niech pan mu to powie.

Marchand wpatrywał się w nią jak etnolog w przedstawicielkę wyjątkowo osobliwego amazońskiego plemienia.

– Powiem mu – obiecał. – Chciałbym odebrać ciało po sekcji. Pan Lombard na pewno zechce pochować je na swojej ziemi.

– *Tarde venientibus ossa* – rzucił Servaz.

Twarz Ziegler wyrażała zdziwienie.

– Łacina – zauważyła. – Co to znaczy?

– Dla przychodzącego późno zostają tylko kości. Chciałbym wjechać na górę.

Pani kapitan zatopiła spojrzenie w jego oczach. Była prawie jego wzrostu. Servaz domyślał się, że pod mundurem kryje się krzepkie, zwinne i umięśnione ciało. Zdrowa, piękna dziewczyna bez kompleksów. Przypomniał sobie młodą Alexandrę.

– Przed przesłuchaniem strażników czy po?

– Przed.

– Zawiozę pana.

– Mogę pojechać sam – powiedział, wskazując dolną stację kolejki.

Zrobiła nieokreślony gest.

– Pierwszy raz widzę glinę mówiącego po łacinie – odpowiedziała ze śmiechem. – Kolejka jest zaplombowana. Polecimy helikopterem.

Servaz zbladł.

– Pani będzie pilotować?

– Czy to pana dziwi?

* W: *Trzej satyrycy rzymscy*, przeł. J. Czubek, J. Sękowski, opr. Lidia Winniczuk, PIW, Warszawa 1958, ss. 198–199.

Helikopter zaatakował górę jak komar usiłujący dolecieć do pleców słonia. Duży łupkowy dach rozdzielni i pełen samochodów parking szybko się oddalały – za szybko jak na gust Servaza, który poczuł ściskanie w żołądku.

Poniżej technicy w białych kombinezonach chodzili tam i z powrotem po białym śniegu między dolnym peronem kolejki a furgonetką-laboratorium, przenosząc walizeczki z pobranymi na górze próbkami. Z tej perspektywy wyglądało to zabawnie, jak wrzenie w kolumnie mrówek. Miał nadzieję, że znają się na swojej robocie. Nie zawsze tak było. Poziom wyszkolenia techników pracujących na miejscu zbrodni często pozostawiał wiele do życzenia. Brak czasu, brak środków, za mały budżet – ciągle ta sama śpiewka, pomimo przemówień polityków obiecujących nadejście lepszych dni. Ciało konia zostało w końcu zawinięte w derkę, zasunięto nad nim zamek błyskawiczny i pakunek na wielkich noszach pojechał w stronę długiego ambulansu, który czekał z włączoną syreną, jakby temu biednemu zwierzęciu jeszcze się dokąds spieszyc.

Servaz spojrzął do przodu przez wypukłe okno z pleksi.

Pogoda się zepsuła. Trzy gigantyczne rury, które widać było na tyłach budynku, wspinały się w dół po górskim zboczu. Na tej samej trasie ustawione były podpory kolejki. Przypadkiem jeszcze raz spojrzął w dół – i natychmiast tego pożałował. Elektrownia w głębi doliny była już bardzo odległa, samochody i furgonetki mały w zawrotnym tempie, zabawne kolorowe punkciki znikające wraz z rosnącą wysokością. Rury opadały ku dolinie jak skoczki narciarscy po wybiciu się z progu: zapierająca dech w piersi skalno-lodowa przepaść. Servaz zbladł, przełknął ślinę i skupił się na górnych partiach masywu. Poczuł, że kawa ze stojącego w hallu automatu, którą wypił na dole, podeszła mu do przełyku.

- Nie wygląda pan dobrze.
- Nie ma problemu. Wszystko w porządku.
- Ma pan zawroty głowy?
- Nie...

Kapitan Ziegler uśmiechnęła się pod kaskiem. Servaz nie widział już jej oczu ukrytych za szklami okularów przeciwsłonecznych, ale mógł podziwiać opaleniznę i delikatny jasny puszek na jej policzkach, muskany ostrym światłem odbitym od grani.

– Cały ten cyrk z powodu jednego konia – odezwała się nagle.

Zrozumiał, że podobnie jak on nie zgadza się z takim trwonieniem środków i korzystając z okazji, że znaleźli się z dala od niedyskretnych uszu, postanowiła go o tym poinformować. Zastanawiał się, czy przełożeni zmuszali ją do zajęcia się tą sprawą. I czy się sprzeciwiała.

- Nie lubi pani zwierząt? – zażartował.
- Bardzo lubię – odpowiedziała poważnie – ale nie w tym problem. Mamy takie same

kłopoty jak wy. Brak pieniędzy, sprzętu, ludzi. A przestępcy ciągle są o dwie długości przed nami. Więc poświęcanie takiej energii zwierzęciu...

– A jednak człowiek zdolny zrobić coś takiego z koniem...

– Tak – przyznała skwapliwie i Servaz domyślił się, że podziela jego niepokój.

– Proszę mi wyjaśnić, co się wydarzyło na górze.

– Widzi pan tę metalową platformę?

– Tak.

– To górna stacja kolejki. To tam był powieszony koń, na ramownicy, tuż pod linami. Prawdziwa inscenizacja. Zobacz pan na wideo. Robotnicy, widząc go z daleka, myśleli najpierw, że to ptak.

– Ilu ich było?

– Czterech, plus kucharz. Górny peron kolejki prowadzi do wylotu szybu wejściowego: to ten betonowy bunkier za peronem. W szybie jest winda do zwożenia sprzętu, który ładuje się na dwa dwuosobowe traktorki z przyczepą. Szyb schodzi siedemdziesiąt metrów w dół i prowadzi do korytarza wydrążonego w środku góry. Siedemdziesiąt metrów to piekielny zjazd. Żeby się dostać do nastawni, używają tego samego korytarza, który doprowadza wodę z górnego jeziora do rurociągów ciśnieniowych. Na czas, kiedy przejeżdżają, śluzy się zamyka.

Maszyna znajdowała się teraz nad peronem, który wyrastał z górskiego zbocza jak wieża wiertnicza, niemal zawieszony w pustce Servaz znowu poczuł, że robi mu się niedobrze. Poniżej peronu skalna ściana spadała w dół przerażającą stromizną. Tysiąc metrów niżej widać było otoczony góorskimi szczytami dolny zbiornik z ogromną zaporą w kształcie łuku.

Wokół peronu Servaz zauważył ślady, tam gdzie technicy pobierali materiał do badania i przekopali śnieg. W miejscach, w których coś znaleźli, leżały żółte plastikowe prostokąty z czarnymi numerami. Na metalowych słupach nadal wisiały reflektory halogenowe. Pomyślał, że przynajmniej tym razem technicy nie mieli problemu z odgrozzeniem miejsca zbrodni, ale zimno musiało utrudniać im pracę.

Kapitan Ziegler wskazała rusztowanie.

– Robotnicy nawet nie wysiedli z wagonika. Zadzwonili na dół i od razu wrócili. Byli przerażeni. Może się bali, że ten wariat, który to zrobił, jest jeszcze gdzieś w okolicy.

Servaz wpatrywał się w nią. Im więcej jej słuchał, tym bardziej rosło jego zainteresowanie sprawą i liczba nasuwających się pytań.

– Czy pani zdaniem jeden człowiek mógł wtaszczyć nieżywego konia na tę wysokość i powiesić go wśród tych lin bez niczyjej pomocy? To raczej trudne, prawda?

– Freedom to yearling o wadze około dwustu kilogramów – odpowiedziała. – Nawet po odjęciu głowy i szyi zostaje jeszcze jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów mięsa. Widział pan jednak ten wózek: coś takiego może przewozić ogromne ciężary. Z tym że, jeżeli nawet jeden człowiek dałby radę przetransportować konia za pomocą wózka, to na pewno nie zdołałby go podnieść i przywiązać do ramownicy. Poza tym ma pan rację: żeby dojechać do elektrowni, potrzebny był samochód.

– A strażnicy nic nie widzieli.

– I jest ich dwóch.

– Ani nic nie słyszeli.

– I jest ich dwóch.

Obydwoje doskonale wiedzieli, że siedemdziesiąt procent sprawców zabójstw wykrywa się w ciągu dwudziestu czterech godzin od popełnienia zbrodni. Ale jeśli ofiarą zabójstwa jest koń? Prawdopodobnie statystyki policyjne nie odnotowały takiego przypadku.

– To zbyt proste – powiedziała Ziegler. – Tak właśnie pan myśli. Zbyt proste. Dwaj strażnicy i koń. Jaki mieliby powód, żeby to zrobić? Gdyby chcieli zabić konia należącego do Érica Lombarda, po co wieszaliby go akurat na górnej stacji kolejki, w miejscu, w którym pracują? Żeby być pierwszymi podejrzanymi?

Servaz zastanowił się nad tym, co powiedziała. Faktycznie, po co? Z drugiej strony, czy to możliwe, żeby niczego nie słyszeli?

– Zresztą, dlaczego mieliby coś takiego zrobić?

– Nikt nie jest tak po prostu strażnikiem, gliną albo żandarmem – powiedział. – Każdy ma swoje tajemnice.

– Pan ma?

– A pani nie?

– Tak, ale jest jeszcze Instytut Wargniera – rzuciła szybko, wykonując manewr helikopterem. Servaz znowu wstrzymał oddech. – Na pewno niejedyn typ stamtąd byłby do tego zdolny.

– Chce pani powiedzieć, że ktoś mógłby wyjść i wrócić niezauważony przez personel? – Zastanawiał się przez chwilę. – Pójść do ośrodka jeździeckiego, zabić konia, wynieść go z boksu i wtaszczyć do samochodu? Tak, żeby nikt tego nie zauważył ani tu, ani tam? I jeszcze obciąć mu głowę i wywieźć na górę, i...

– Dobrze, dobrze, to bez sensu – ucięła. – Ciągłe wracamy do tego samego punktu: W jaki sposób ktoś, nawet szaleniec, dałby radę powiesić konia tam na górze bez niczyjej pomocy?

– Czyżby w takim razie dwóch wariatów wydostało się niepostrzeżenie i wróciło do swoich cel, zamiast spróbować ucieczki? To się nie trzyma kupy.

– W tej historii nic się nie trzyma kupy.

Maszyna przechyliła się gwałtownie w prawo, żeby okrążyć górę, a może to góra przechyliła się w lewo – Servaz nie wiedział. Znowu przełknął ślinę. Peron i betonowy bunkier zostały za nimi. Pod bańką z pleksi przesunęły się tony skał, potem pojawiło się jezioro. Znacznie mniejsze od tego w dole, wyglądało, jakby przycupnęło w skalnym wyżłobieniu. Jego powierzchnię pokrywała gruba warstwa lodu i śniegu. Sprawiało wrażenie zamrożonego wulkanicznego krateru.

Servaz zauważył budynek mieszkalny na brzegu jeziora, przyklejony do skały w pobliżu niedużej tamy.

– Górny zbiornik – wyjaśniła Ziegler. – I chatka robotników. Dostają się tam kolejką, która łączy domek z podziemną nastawnią. Tam śpią, jedzą i odpoczywają po skończonej dniówce. Spędzają tu pięć dni, na weekend wracają do doliny, a potem znów wjeżdżają na górę, i tak przez trzy tygodnie. Mają tu wszelkie nowoczesne udogodnienia, łącznie z telewizją satelitarną, ale to i tak wyczerpująca praca.

– Dlaczego nie dostają się na miejsce tak jak my teraz, zamiast za każdym razem zatrzymywać podziemną rzekę?

– Elektrownia nie ma helikoptera. Z lądowiska, tego na górze i tego na dole, korzysta tylko w krytycznych sytuacjach ekipa ratunkowa. I tylko przy dobrej pogodzie.

Helikopter łagodnie obniżył lot i znalazł się nad płaską powierzchnią, przygotowaną pośród

rozrzucanych pól firmowych i moren. Otoczyła ich chmura pyłu. Servaz wypatrzył na śniegu dużą literę H.

– Mamy szczęście – rozległ się w słuchawkach jej głos. – Pięć godzin temu, kiedy robotnicy znaleźli ciało, nie dało się tu dolecieć: była fatalna pogoda.

Płozy maszyny dotknęły podłoża. Servaz poczuł, że wraca do życia. Wreszcie twardy grunt, choćby na ponad dwóch tysiącach metrów wysokości. Ale przed nimi była jeszcze droga powrotna i na tę myśl znowu poczuł ściskanie w dołku.

– O ile dobrze zrozumiałem, przy złej pogodzie, po napełnieniu korytarza wodą, robotnicy są tutaj uwięzieni. Co robią w razie wypadku?

Kapitan Ziegler zrobiła wymowną minę.

– Muszą znowu opróżnić korytarz i wrócić windą do kolejki. Dojazd do rozdzielni zajmuje co najmniej dwie godziny, raczej trzy.

Servaza zaciekawiło, jakie dodatki dostają ci goście za tak ryzykowną pracę.

– Do kogo należy elektrownia?

– Do grupy Lombarda.

Grupa Lombarda. Śledztwo dopiero się zaczęło, a już drugi raz pojawiła się na ekranie ich radaru. Servaz wyobraził sobie mgławicę spółek, filii, holdingów we Francji, a prawdopodobnie także za granicą, ośmiornicę o sięgających wszędzie mackach, w której ciele zamiast krwi krążyły pieniądze, miliardami płynące z jego najodleglejszych krańców do serca. Servaz nie był ekspertem od biznesu, ale jak wszyscy w tych czasach mniej więcej wiedział, co to jest przedsiębiorstwo międzynarodowe. Czy ta stara elektrownia była naprawdę opłacalna dla takiego potentata jak Lombard?

Łopaty zatrzymały się i świst turbiny umilkł.

Cisza.

Ziegler zdjęła kask, otworzyła drzwi i stanęła na śniegu. Servaz zrobił to samo. Powoli ruszyli w stronę zamrożonego jeziora.

– Jesteśmy na dwóch tysiącach metrów – oświadczyła kobieta. – To czuć, prawda?

Servaz głęboko odetchnął upojnym, mroźnym, krystalicznie czystym powietrzem. Lekko kręciło mu się w głowie – z powodu lotu helikopterem, a może wysokości. Uczucie to jednak było raczej radosne niż niepokojące i Servaz skojarzył je z efektem upojenia głębością. Zastanawiał się, czy istnieje coś takiego jak upojenie wysokością. Był poruszony pięknem i dzikością krajobrazu. Kamienna samotnia, świetliste, białe pustkowia. Servaz wyobrażał sobie, co muszą czuć robotnicy, gdy każdego ranka przed zstąpieniem w ciemności wstają i otwierają wychodzące na jezioro okna. Ale może myślą tylko o jednym: o dniu, który czeka ich tam na dole, w głębi góry, o ogłuszającym hałasie, sztucznym świetle i wlokących się, trudnych godzinach.

– Idzie pan? Sztolnie zostały wykute w 1929, nastawnię zbudowano rok później – wyjaśniła, kierując się w stronę domu.

Budynek miał wysunięty daszek, wsparty na czterech grubych słupach z surowego kamienia. Na powstały w ten sposób ganek wychodziły wszystkie okna poza jednym, które było z boku. Na jednym z filarów Servaz zauważył uchwyt do przymocowania anteny satelitarnej.

– Sprawdziliście korytarze?

– Oczywiście. Nasi ludzie jeszcze są wewnątrz. Ale nie sądzę, żebyśmy tu cokolwiek

znaleźli. On albo oni nie schodzili aż tutaj. Wpakowali konia do kolejki, powiesili go na górze i zjechali z powrotem.

Pociągnęła drewniane drzwi. Wszystkie światła wewnątrz były zapalone. Wszędzie byli ludzie: w dwuosobowych sypialniach, w salonie z telewizorem, dwiema sofami i kredensem, w obszernej kuchni ze stołem jadalnym. Ziegler pociągnęła Servaza na tył domu, tam gdzie łączył się on ze skałą. Znajdowało się tam pomieszczenie służące jednocześnie za służę i szatnię, z metalowymi szafkami i przymocowanymi do ściany wieszakami. W głębi pomieszczenia Servaz dostrzegł żółtą kratę kolejki, a za nim czarną dziurę wykutą w mrocznych wnętrzościach góry.

Skinieniem pokazała mu, żeby wsiadł, zamknęła kratę i nacisnęła guzik. Silnik natychmiast zaskoczył i wagonik zadrżał. Trzęsąc się delikatnie, zaczął wolno zjeżdżać po błyszczących szynach nachylonych pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Przez kraty widać było rytmiczne miganie lamp umieszczonych na czarnej ścianie. Korytarz wychodził na dużą salę wyciętą w żywej skale, jasno oświetloną rzędami jarzeniówek: warsztat pełen obrabiarek, rur i kabli. Wszędzie kręcili się technicy, ubrani w takie same białe kombinezony, jakie nosili ci, których widział na dole.

– Chciałbym od razu przesłuchać tych robotników, choćbyśmy mieli tam spędzić noc. Proszę ich nie wypuszczać do domu. Czy ci sami robotnicy pracują tu każdej zimy?

– Co pan ma na myśli?

– Na razie nic. Śledztwo w tym stadium jest jak skrzyżowanie w lesie: wszystkie ścieżki są do siebie podobne, ale tylko jedna jest właściwa. Te pobyty w górach, w zamknięciu, daleko od świata muszą tworzyć więzi, ale także napięcia. Trzeba być mocnym.

– Byli robotnicy, którzy mają pretensje do Lombarda? Po co w takim razie cała ta inscenizacja? Gdy ktoś chce się zemścić na swoim pracodawcy, pojawia się z bronią w miejscu pracy i strzela do szefa albo do swoich kolegów, a następnie sam pakuje sobie kulkę w łeb. Nie zawraca sobie głowy wieszaniem konia na słupie kolejki linowej.

Servaz wiedział, że ma rację.

– Zbierzmy informacje o psychiatrycznej przeszłości wszystkich, którzy pracują lub pracowali w elektrowni w ostatnich latach. Szczególnie o tych, którzy byli w grupach przyjeżdżających tutaj.

– W porządku! – zawołała, żeby przekrzyczeć hałas. – A co ze strażnikami?

– Najpierw robotnicy, potem strażnicy. Jeśli będzie trzeba, posiedzimy tam całą noc.

– Z powodu konia!

– Z powodu konia – potwierdził.

– Mamy szczęście! Normalnie panuje tu piekielny hałas. Ale zamknęli zasuwy i woda nie leci już do komory wlotowej.

Servaz zauważył, że i tak jest dość głośno.

– Jak to działa?! – zapytał, podnosząc głos.

– Nie znam się na tym! Zapora górnego zbiornika napełnia się podczas roztopów. Woda płynie podziemnymi sztolniami do rurociągu ciśnieniowego: to te ogromne rury, które widać na zewnątrz. Prowadzą wodę do generatorów elektrowni w dolnej części doliny. Siła spadającej wody wprawia w ruch turbiny. Ale tutaj też są turbiny. Mówią, że woda płynie przez turbinę kaskadowo, czy jakoś tak. Turbiny zamieniają siłę napędową wody w energię mechaniczną,

a następnie alternatory zmieniają energię mechaniczną w elektryczną, która jest odprowadzana przewodami wysokiego napięcia. Elektrownia produkuje pięćdziesiąt cztery miliony kilowatogodzin rocznie, tyle, ile zużywa trzydziestotysięczne miasto.

Słuchając tego wykładu, komendant Servaz nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Jak na kogoś, kto się nie zna, jest pani zaskakująco dobrze poinformowana.

Omiótł wzrokiem czarne ściany kamiennej jaskini pokryte kratami i metalowymi konstrukcjami, którymi biegły wiązki kabli, rzędy świetlówek, rury wentylacyjne, a potem olbrzymie maszyny z poprzedniej epoki, szafy sterownicze, betonową posadzkę...

– W porządku – powiedział. – Wracamy. Niczego tu nie znajdziemy.

Kiedy wyszli na zewnątrz, okazało się, że niebo pociemniało. Ruchliwe szare chmury przemieszczały się nad zamrożonym kraterem, który nagle przybrał złowieszczy wygląd. Porywisty wiatr miotał płatkami śniegu. Sceneria zaczynała pasować do zbrodni: było w niej coś chaotycznego, czarnego i lodowatego. Wycie wiatru mogłoby z łatwością zagłuszyć rozpaczliwe rzenie konia.

– Musimy się spieszyć! – popędzała go Ziegler. – Pogoda się psuje!

Wiatr targał jej blond włosy, sprawiając, że z koka wymykały się swawolne kosmyki.

– Panno Berg, nie będę ukrywał, że nie rozumiem, dlaczego doktorowi Wargnierowi zależało na tym, by zatrudnić właśnie panią. Chodzi mi o cały ten miszmasz psychologii klinicznej, genetycznej i freudyzmu. W sumie wolałbym już podejście anglosaskie.

Doktor Francis Xavier siedział za dużym biurkiem. Był jeszcze młodym, niewysokim, bardzo zadbanym mężczyzną z pofarbowanymi włosami, w krawacie z obfitymi motywami roślinnymi widocznym spod białego kitla oraz w ekstrawaganckich czerwonych okularach. Jego francuski lekko zatracał *québécois*.

Diane dyskretnie rzuciła okiem na DSM-IV, klasyfikację zaburzeń psychicznych opublikowaną przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne – była to jedyna książka na biurku lekarza. Dziewczyna lekko zmarszczyła brwi. Nie podobał jej się obrót, jaki przyjmowała rozmowa, ale czekała, aż nieduży doktor do końca wyłoży swoje karty.

– Niech mnie pani dobrze zrozumie. Jestem psychiatrą i... jak by to powiedzieć? Nie bardzo widzę, jakie korzyści miałyby wynikać z pani obecności w naszym zakładzie. Oczywiście bez urazy...

– Doktorze Xavier, jestem tutaj, aby się uczyć i doskonalić moje umiejętności. Doktor Wargnier na pewno panu o tym mówił. Poza tym pański poprzednik powołał asystentkę dyrektora przed swoim odejściem i wyraził zgodę na moją nieobecność... przepraszam, na moją obecność tutaj. Ustalił to stanowisko z Uniwersytetem Genewskim. Jeśli był pan przeciwny mojemu przyjazdowi, należało wcześniej...

– Uczyć się i doskonalić umiejętności? – Xavier nieznacznie ściągnął usta. – Myśli pani, że to instytucja akademicka? Mordercy, którzy czekają na panią w głębi tych korytarzy – wskazał drzwi gabinetu – są potworniejsi od najbardziej makabrycznych kreatur, jakie kiedykolwiek nawiedziły panią we śnie, panno Berg. To nasza nemezis. Kara za to, że zabiliśmy Boga i stworzyliśmy społeczeństwa, w których zło uznaje się za normę.

Ostatnie zdanie wydało jej się nieco zbyt patetyczne. Jak wszystko inne u doktora Xaviera. Ale sposób, w jaki je wypowiedział – interesująca mieszanina lęku i namiętności – sprawił, że zadrzała. Poczowała, jak włosy jeżą jej się na karku. On się ich boi. Prześladują go w nocy podczas snu albo kiedy słyszy ich wycie ze swojego pokoju.

Przyglądała się nienaturalnemu kolorowi włosów dyrektora i przypomniał jej się Gustav von Aschenbach ze *Śmierci w Wenecji*, który pofarbował włosy, brwi i wąsy, by podobać się spotkanemu na plaży młodzieńcowi i oszukać zbliżającą się śmierć, nieświadomy, jak bardzo jego zachowanie jest rozpaczliwe i patetyczne.

– Mam doświadczenie w psychologii sądowej. W ciągu trzech lat miałam do czynienia z ponad stu przestępcami seksualnymi.

– Ilu z nich było mordercami?

– Jeden.

Posłał jej chłodny uśmiezek i pochylił się nad jej papierami.

– Licencjat z psychologii i magisterium z psychologii klinicznej na Uniwersytecie Genewskim – przeczytał. Okulary w czerwonej oprawie zsunęły mu się z nosa.

– Pracowałam cztery lata w prywatnym gabinecie psychoterapii i psychologii sądowej. Wykonywałam ekspertyzy dla sądów w sprawach cywilnych i karnych. To wszystko jest w moim CV.

– Jakież staże w więziennictwie?

– Staż w więziennych służbach medycznych w więzieniu Champ-Dollon w charakterze współeksperta do spraw ekspertyz prawnych i kuratora przestępców seksualnych.

– International Academy of Law and Mental Health, Genewskie Stowarzyszenie Psychologów-Psychoterapeutów, Szwajcarskie Towarzystwo Psychologii Sądowej... taaak... – Znowu przeniósł wzrok na Diane. Poczwała się nieprzyjemnie, jak przed jakimś jury. – Jest tylko jeden szkopał. Nie ma pani absolutnie żadnego doświadczenia z pacjentami tego rodzaju, jest pani młoda, musi się pani jeszcze bardzo wiele nauczyć. Mogłaby pani, oczywiście nieumyślnie, wskutek braku doświadczenia, *zaszkodzić* temu, co próbujemy tutaj robić. Tyle czynników, które mogłyby się przyczynić do jeszcze większego cierpienia naszych „klientów”...

– Do czego pan zmierza?

– Bardzo mi przykro, ale chciałbym, żeby trzymała się pani z dala od najniebezpieczniejszych pacjentów, tych, którzy mieszkają w sektorze A. I jeszcze jedno: nie potrzebuję asystenta, pomaga mi szefowa pielęgniarek.

Tak długo nic nie mówiła, że Xavier spojrział na nią, unosząc brew. Kiedy się odezwała, jej głos był wyważony, ale zdecydowany.

– Doktorze Xavier, przyjechałam tu właśnie ze względu na nich. Na pewno ma pan w swoich dokumentach korespondencję między doktorem Wargnierem i mną. Warunki naszej umowy są jasne: doktor Wargnier nie tylko pozwolił mi się spotykać z pacjentami z sektora A, ale poprosił mnie o sporządzenie na koniec tych rozmów raportu zawierającego ekspertyzę psychologiczną; dotyczy to zwłaszcza Juliana Hirtmanna.

Nachmurzył się. Jego uśmiech zniknął.

– Panno Berg, teraz to ja kieruję tą placówką. Nie doktor Wargnier.

– W takim razie nic tu po mnie. Będę musiała skontaktować się w tej sprawie z pańskimi przełożonymi, a także z Uniwersytetem Genewskim. I z doktorem Spitznerem. Przyjechałam z daleka, doktorze. Powinien był pan oszczędzić mi tej niepotrzebnej podróży.

Diane wstała.

– No nie, panno Berg! – Xavier podniósł się z miejsca i rozłożył ręce. – Po co ten pośpiech? Niech pani usiądzie! Proszę, niech pani usiądzie! Jest pani tutaj mile widziana. Niech pani mnie zrozumie, ja nie mam nic przeciwko pani. Jestem pewien, że da pani z siebie wszystko. I kto wie? Być może spojrzenie... podejście, powiedzmy... „interdyscyplinarne” będzie pomocne w zrozumieniu tych *potworów*. Ależ tak, dlaczego by nie? Proszę panią tylko, by nie mnożyła pani tych kontaktów ponad to, co konieczne, i ściśle stosowała się do regulaminu wewnętrznego. Spokój tego miejsca zależy od utrzymania równowagi, która jest bardzo delikatna. Mimo że środki bezpieczeństwa są tu dziesięć razy ostrzejsze niż w innych szpitalach psychiatrycznych, najmniejszy nawet bałagan mógłby mieć skutki trudne do przewidzenia.

Francis Xavier okrążył biurko.

Był jeszcze niższy, niż sądziła. Diane miała metr sześćdziesiąt siedem. Xavier – z niewielkimi obcasami włącznie – musiał być tego samego wzrostu. Zbyt obszerny, nienagannie biały kitel fruwał wokół niego, kiedy się poruszał.

– Proszę, pokażę pani.

Otworzył szafę. Na wieszakach wisały w równym rzędzie białe kitle. Wyjął jeden i podał Diane. Poczowała mieszaninę stęchlizny i zapachu proszku do prania.

Niewielka postać niemal ją musnęła, kiedy Xavier położył dłoń o zbyt wypielęgnowanych paznokciach na ramieniu Diane.

– Ci ludzie są naprawdę przerażający – powiedział słodkim głosem, patrząc jej prosto w oczy. – Niech pani zapomni, kim są i co zrobili. Niech się pani skoncentruje na swojej pracy.

Przypomniała sobie to, co usłyszała w rozmowie telefonicznej od Spitznera. Niemal to samo, co do słowa.

– Miałam już do czynienia z socjopatami – zaproponowała, ale tym razem jej głos nie brzmiał już tak pewnie jak przed chwilą.

Za szklami okularów w czerwonej oprawie zapłonęło na moment dziwne spojrzenie.

– Ale nie z takimi, proszę pani. *Nie z takimi.*

Białe ściany, biała podłoga, białe światło... Jak większość ludzi Zachodu Diane kojarzyła biel z niewinnością, czystością, nieskalaniem. A tymczasem wśród tej bieli mieszkali potworni mordercy.

– Na początku biel była kolorem śmierci i żałoby – rzucił Xavier, jakby czytał jej w myślach.

– Na Wschodzie nadal tak jest. Tak jak czerni, biel jest barwą achromatyczną. To także kolor związany z rytami przejścia. To pasuje do pani obecnej sytuacji, prawda? Ale to nie ja wybrałem ten wystrój. Jestem tu dopiero kilka miesięcy.

Przed nimi i za nimi otwierały się i zamykały rozsuwane kraty, a w grubych ścianach szczękały elektroniczne zamki. Xavier szedł przed Diane.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, nie przestając liczyć kamer, drzwi i wyjść.

– Opuszczamy pomieszczenia administracji i wchodzimy do części ściśle psychiatrycznej. To pierwszy pierścień ochronny.

Diane patrzyła, jak wsuwa kartę magnetyczną do skrzynki zamocowanej na ścianie. Czytnik przeskanował kartę i wypluł ją. Krata się rozsunęła. Po drugiej stronie znajdowała się przeszklona budka. Wewnątrz przed ekranami monitoringu siedzieli dwaj strażnicy w pomarańczowych kombinezonach.

– Obecnie mamy osiemdziesięciu ośmiu pacjentów uznawanych za niebezpiecznych, z ryzykiem przejścia do fazy agresji. Nasza klientela pochodzi z instytucji karnych i innych zakładów psychiatrycznych Francji, ale także Niemiec, Szwajcarii, Hiszpanii... Są to jednostki z problemami psychicznymi powiązanymi z przemocą i przestępczością: pacjenci zbyt agresywni, by mogli pozostać w szpitalach, do których trafili, oraz zatrzymani, których psychozy są zbyt poważne, by mogły być leczone w więzieniu, a także mordercy uznani przez sąd za niepoczytalnych. Taka klientela wymaga wysoko wykwalifikowanego personelu oraz urządzeń, które zapewnią bezpieczeństwo chorym, pracownikom i odwiedzającym. Jesteśmy teraz w pawilonie C. Mamy trzy poziomy zabezpieczeń: niski, średni i wysoki. W tej chwili jesteśmy

w strefie niskich zabezpieczeń.

Diane wzdrygała się nerwowo za każdym razem, gdy Xavier mówił o klientach Instytutu.

– Instytut Wargniera wykazuje się wyjątkową skutecznością w opiece nad agresywnymi, niebezpiecznymi, skłonny do przemocy pacjentami. Nasze procedury oparte są na najwyższych i najnowszych standardach. Na początku wykonujemy ekspertyzę psychiatryczną i kryminologiczną, ze szczególnym uwzględnieniem analizy fantazji i badania pletyzmograficznego.

Diane podskoczyła. Badanie pletyzmograficzne polega na pomiarze reakcji pacjenta, którego poddaje się wpływowi bodźców akustycznych i wizualnych, według różnych scenariuszy i z wykorzystaniem różnych obrazów – na przykład nagiej kobiety czy dziecka.

– Stosuje pan terapię awersyjną wobec osób wykazujących dewiacje podczas badania pletyzmograficznego?

– Owszem.

– To bardzo kontrowersyjna metoda.

– Tutaj to działa – rzekł stanowczo lekarz.

Zauważyła, że Xavier się usztywnił. Za każdym razem, gdy ktoś mówił o terapii awersyjnej, Diane przypominał się film *Mechaniczna pomarańcza*. Metoda awersyjna polega na powiązaniu z niezdrową fantazją, odtwarzaną na wideo lub DVD, taką jak obraz gwałtu, rozebranych dzieci i tak dalej – przykrych lub bolesnych odczuć, na przykład porażenia prądem czy odoru amoniaku, zamiast miłych uczuć, które wcześniej wywoływały u pacjenta te obrazy. Systematyczne powtarzanie tego doświadczenia ma na trwałe zmodyfikować zachowanie jednostki. Tę metodę, przypominającą do pewnego stopnia warunkowanie Pawłowa, testowano na sprawcach nadużyć seksualnych w niektórych krajach, na przykład w Kanadzie.

Xavier bawił się przyciskiem długopisu wystającego z kieszonki kitla.

– Wiem, że wielu lekarzy w tym kraju sceptycznie się odnosi do podejścia behawioralnego. Inspiracją dla tej terapii jest myśl anglosaska i doświadczenia Instytutu Pinela w Montrealu, z którego przyjechałem. Ta metoda daje zadziwiające rezultaty. Ale oczywiście pani francuscy koledzy po fachu mają problem z uznaniem metody tak bardzo empirycznej, która w dodatku przysła z za oceanu. Krytykują ją za to, że nie bierze pod uwagę pojęć tak podstawowych, jak nieświadomość, superego, mechanizm wyparcia... – Wpatrywał się w Diane z irytującą pobłażliwością. – W tym kraju sporo osób nadal woli stosować podejście oparte na zdobyczach psychoanalizy, pracę nad przemodelowaniem głębokich struktur psychicznych. Nie biorą pod uwagę faktu, że całkowity brak poczucia winy i uczuć wyższych u perwersyjnych psychopatów z góry skazuje ich usiłowania na porażkę. W wypadku tego rodzaju chorych działa tylko jedna rzecz: „tresura”. – Jego głos przetoczył się nad tym słowem jak strużka lodowatej wody. – Wzbudzenie odpowiedzialności jednostki dzięki całej gamie nagród i kar oraz wywołanie uwarunkowanych zachowań. Na wniosek organów sądowych lub szpitali wykonujemy też ekspertyzy możliwości popełnienia przestępstwa – mówił dalej, zatrzymując się przed kolejnymi drzwiami ze szkła antywłamaniowego.

– Ale przecież większość badań wykazuje, że takie ekspertyzy mają niewielką wartość – zauważyła Diane. – Według niektórych psychiatryczne ekspertyzy możliwości popełnienia przestępstwa w pięćdziesięciu procentach przypadków były błędne.

– Tak się mówi – przyznał Xavier. – Ale błąd polega raczej na tym, że przecenia się niebezpieczeństwo, a nie odwrotnie. W wątpliwych przypadkach w naszych sprawozdaniach

konsekwentnie opowiadamy się za przedłużeniem zatrzymania lub hospitalizacji. Poza tym – dodał z zarozumiałym uśmiechem – te ekspertyzy to odpowiedź na głęboką potrzebę naszych społeczeństw, panno Berg. Sądy proszą nas, byśmy zamiast nich rozwiązywali moralny dylemat, którego tak naprawdę nikt nie jest w stanie rozwiązać: jak można być pewnym, czy środki podjęte w stosunku do niebezpiecznej jednostki spełniają wymóg ochrony społeczeństwa, nie łamiąc jednocześnie jej podstawowych praw? Nikt nie ma odpowiedzi na to pytanie. Sądy udają więc, że uważają ekspertyzy psychiatryczne za wiarygodne. Oczywiście nikt nikogo nie oszukuje. Pozwala to jednak, aby tryby maszyny sądowniczej zawsze zagrożonej obstrukcją, kręciły się, dając ludziom iluzję, że sędziowie to mędracy, podejmujący decyzje ze znajomością rzeczy. Nawiasem mówiąc, jest to jedno z największych kłamstw, na jakich zostały zbudowane demokratyczne społeczeństwa.

Kolejna czarna skrzynka wmurowana w ścianę była bardziej wymyślna od poprzedniej. Miała mały ekran i szesnaście klawiszy do wybrania kodu, a także duży czerwony czujnik, do którego Xavier przyłożył prawy kciuk.

– Oczywiście w przypadku naszych pacjentów nie mamy takich dylematów. Oni dostarczyli aż nadto dowodów, że są niebezpieczni. Proszę, oto drugi pierścień ochronny.

Po prawej stronie znajdowało się nieduże przeszklone pomieszczenie. Za szybą Diane znowu zobaczyła dwie postaci. Była rozczarowana, że Xavier przeszedł obok bez zatrzymania. Wolałaby, żeby przedstawił ją reszcie personelu. Zarazem jednak była przekonana, że nie zrobi nic w tym kierunku. Mężczyźni zza szyby śledzili ich wzrokiem. Diane nagle zaczęła się zastanawiać, jak ją tu przyjmą. Czy Xavier coś o niej mówił? Czy z rozmysłem postanowił nie ułatwiać jej życia?

Przez chwilę zatęskniła za swoim studenckim pokojem, przyjaciółmi z uniwersytetu, za gabinetem na wydziale. A potem pomyślała o *kimś*. Poczowała, że się czerwieni, i z wysiłkiem odsunęła obraz Pierre’a Spitznera w jak najdalszy zakątek umysłu. Servaz przejrzał się w lustrze w niepewnym świetle jarzeniówki. Był błądy. Oparłszy się obiema rękami o wyszczerbiony brzeg umywalki, próbował uspokoić oddech. Potem pochylił się i ochlapał twarz zimną wodą. Ledwie poruszał nogami. Miał wrażenie, że chodzi na podszewkach wypełnionych powietrzem. Powrotny lot helikopterem był burzliwy. Pogoda na górze zepsuła się na dobre i kapitan Ziegler musiała się przypiąć do sterów. Miotana podmuchami wiatru maszyna leciała w dół, kołysząc się jak łódź ratunkowa na wzburzonym morzu. Gdy tylko dotknął stopami ziemi, Servaz rzucił się w stronę toalety i zwymiotował.

Odwrócił się i oparł udami o rząd umywalk. Niektóre drzwi były pomazane długopisem lub markerem: NIECH WYJĘ KRÓL GÓR (zwykły wygłup); SOFIA TO DZIWKI (tu następował numer telefonu komórkowego); DYREKTOR TO PIEPRZONY DUPEK (jakaś wskazówka?); oraz rysunek à la Keith Haring, przedstawiający rząd kopulujących ze sobą męskich postaci.

Servaz wyjął z kieszeni mały aparat cyfrowy, który dostał od Margot na ostatnie urodziny, podszedł do drzwi i każde z nich sfotografował.

Następnie wyszedł i ruszył korytarzem do hallu.

Na zewnątrz znowu zaczął sypać śnieg.

– Lepiej?

W uśmiechu Irène wyczytał całkowite zrozumienie.

– Tak.

– To może pójdziemy przesłuchać robotników?

– Jeśli nie miałyby pani nic przeciw temu, wołałbym zrobić to sam.

Zobaczył, jak z pięknej twarzy kapitan Ziegler znika uśmiech. Z zewnątrz słyszał głos Cathy d’Humières rozmawiającej z dziennikarzami: strzępki konwencjonalnych zdań, typowy styl technokratów.

– Proszę rzucić okiem na graffiti w toalecie, to zrozumie pani dlaczego – wyjaśnił. – Być może są jakieś informacje, które będą skłonni ujawnić w obecności mężczyzny, a które przemilczeliby przy kobiecie.

– W porządku. Ale niech pan nie zapomina, że prowadzimy to śledztwo we dwójkę.

Od progu poczuł na sobie spojrzenia pięciu par oczu, w których dostrzegł mieszaninę niepokoju, zmęczenia i złości. Servaz przypomniał sobie, że siedzieli tu zamknięci od rana. Zauważył, że ktoś zadbał o jedzenie i napoje. Po stole konferencyjnym walały się opakowania po pizzy i kanapkach, puste plastikowe kubki i pełne popielniczki. Nieogolone twarze i rozczochrane włosy sprawiały, że wyglądali jak rozbitkowie na bezludnej wyspie. Wyjątek stanowił kucharz – brodac z łysej, błyszczącej czaszce i płatkach uszu poprzebijanych wieloma kolczykami.

– Dzień dobry – powiedział Servaz.

Żadnej odpowiedzi. Wyprostowali się jednak nieznacznie. W ich wzroku wyczytał zdziwienie. Zapowiadano im wizytę szefa grupy śledczej, a mieli przed sobą wysportowanego czterdziestolatka o wyglądzie nauczyciela czy dziennikarza, niedbale ogolonego, ubranego w sztruksową kurtkę i wystrzępione džinsy. Servaz bez słowa odsunął poplamiony tłuszczem karton po pizzy i kubek z resztką kawy, w której pływały niedopałki papierosów. Przysiadł jednym pośladkiem na brzegu stołu, przesunął dłonią po ciemnych włosach i odwrócił się w ich kierunku.

Przyglądał im się uważnie, na kilka chwil zatrzymując wzrok na każdym z osobna. Wszyscy spuścili oczy – z wyjątkiem jednego.

– Kto pierwszy go zobaczył?

Facet siedzący w rogu pokoju podniósł rękę. Miał na sobie kraciatą koszulę, a na niej bluzę z krótkim rękawem z napisem UNIVERSITY OF NEW YORK.

– Jak pan się nazywa?

– Huysmans.

Servaz wyjął notes z kieszeni kurtki.

– Niech pan opowiada.

Huysmans westchnął. Jego cierpliwość w ostatnich godzinach została wystawiona na ciężką próbę, a z natury nie był człowiekiem cierpliwym. Zdążył już opowiedzieć swoją historię kilka razy, więc teraz jego wypowiedź była niemal mechaniczna.

– Postanowiliście wrócić na dół, chociaż nawet nie wyszliście na peron. Dlaczego?

Cisza.

– Ze strachu – przyznał w końcu następny z robotników. – Baliśmy się, że ten gość jeszcze się tam kręci. Albo że się schował w korytarzach.

– Dlaczego myśli pan, że to mężczyzna?

– Wyobraża pan sobie, żeby kobieta zrobiła coś takiego?

– Czy między robotnikami zdarzają się jakieś kłótnie, spory?

– Jak wszędzie – odpowiedział inny. – A to bójka po pijaku, a to kłótnia o kobietę, a to jeden nie może z drugim wytrzymać. Tyle.

– Pana nazwisko? – zapytał Servaz.

– Etcheverry. Gratien.

– Życie tam na górze musi być mimo wszystko ciężkie, prawda? – spytał Servaz. – Ciągłe zagrożenie, izolacja, tylu facetów w zamkniętej przestrzeni. To musi rodzić napięcia.

– Ludzie, których się wysyła na górę, to twardziele, komisarzu. Dyrektor na pewno panu o tym powiedział. Jeśli ktoś nie jest twardy, zostaje na dole.

– Nie komisarzu. Komendancie. Ale kiedy jest burza, zła pogoda i tak dalej, wtedy można z byle powodu wybuchnąć, prawda? – nalegał. – Słyszałem, że na tej wysokości bardzo trudno zasnąć.

– To prawda.

– Niech pan wytłumaczy.

– Pierwszej nocy człowiek jest tak wykończony wysokością i robotą, że śpi jak kamień. Ale potem śpimy coraz mniej, w ostatnie noce dwie, najwyżej trzy godziny. Tak to jest w górach. Nadrabiamy w weekend.

Servaz znowu spojrzał na robotników. Kilku skinęło głową na znak potwierdzenia.

Wpatrywał się w nich. Faceci nie do zdarcia, którzy nie pokończyli wyższych studiów, nie udają geniuszy ani nie szukają łatwych pieniędzy, ale bez szemrania wykonują ciężką pracę dla wspólnego dobra. Byli mniej więcej w jego wieku, między czterdziestką a pięćdziesiątką, najmłodszy mógł mieć trzydzieści lat. Nagle zrobiło mu się wstyd z powodu tego, co w tej chwili robi. Pochwycił uciekające spojrzenie kucharza.

– A ten koń, czy coś wam to mówi? Znaliście go? Widzieliście go wcześniej?

Popatrzyli na niego zdumieni, a potem pokręcili przecząco głowami.

– Czy na górze zdarzały się już jakieś wypadki?

– Nieraz – odpowiedział Etcheverry. – Ostatni dwa lata temu. Jeden gość zostawił tam rękę.

– Co on teraz robi?

– Pracuje na dole, tam gdzie są biura.

– Jego nazwisko?

Etcheverry się zawahał. Czerwony i zakłopotany, spojrzał na kolegów.

– Schaab.

Servaz uznał, że trzeba zebrać informacje na temat tego człowieka: Koń z obciętą głową – robotnik z obciętą ręką...

– Jakież wypadki śmiertelne?

Etcheverry znowu pokręcił głową.

Servaz odwrócił się w stronę najstarszego. Postawny mężczyzna ubrany w T-shirt. Krótkie rękawy odsłaniały muskularne ramiona. Jako jedyny, oprócz kucharza, jeszcze się nie odezwał. To on wcześniej nie spuścił wzroku. Co więcej, Servaz dostrzegł w jego jasnych oczach błysk wyzwania. Płaska, masywna twarz. Zimne spojrzenie. Facet o ograniczonym umyśle, niezdolnym do niuansów, w którym nie ma miejsca na wątpliwości, pomyślał Servaz.

– Pan jest najstarszy?

– Taaa...

– Jak długo pan tu pracuje?

– Na górze czy na dole?

– Na górze i na dole.

– Na górze dwadzieścia trzy lata. W sumie czterdzieści dwa.

Płaski głos, żadnych zmian intonacji. Niezmienny jak górskie jezioro.

– Jak się pan nazywa?

– A dlaczego pytasz?

– To ja zadaję pytania, okay? No więc jak się nazywasz? – Servaz podjął grę rozmówcy.

– Tarrieu – wycedził mężczyzna urażony.

– Ile masz lat?

– Sześćdziesiąt trzy.

– Jak się układają stosunki z dyrekcją? Bez obaw, nic nie wyjdzie poza to pomieszczenie.

Przed chwilą widziałem w łazience napis: „Dyrektor to dupek”.

Przez twarz Tarrieu przemknął grymas pogardy i rozbawienia.

– To prawda. Ale gdyby chodziło o zemstę, to on wisiałby na górze. Nie koń. Nie sądzisz, *panie policjancie?*

– A kto tu mówi o zemście? – odpowiedział Servaz takim samym tonem. – Chcesz za mnie prowadzić śledztwo? Chcesz się zapisać do policji?

Część robotników zarechotała. Servaz zobaczył, że twarz Tarrieu oblewa się rumieńcem. Wyglądało to jak plama atramentu rozpluwająca się po powierzchni wody. Z pewnością ten człowiek był zdolny do przemocy. Ale do jakiego stopnia? Oto odwieczne pytanie. Tarrieu otworzył usta, zamierzając odpyskować, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Nie – rzucił w końcu.

– Czy któryś z was zna ośrodek jeździecki?

Zakolczykowany kucharz podniósł rękę. Wyglądał na zakłopotanego.

– Pan się nazywa?

– Marousset.

– Jeździ pan konno, Marousset?

Tarrieu parsknął za jego plecami. Inni poszli w jego ślady. Servaz poczuł, że narasta w nim gniew.

– Nie... jestem kucharzem... Od czasu do czasu pomagam szefowi kuchni pana Lombarda... w zamku... podczas uroczystości... urodzin... 14 lipca... A ośrodek konny jest tuż obok...

Marousset miał duże, jasne oczy o wielkich źrenicach. Obficie się pocił.

– A ten koń, widział go pan już?

– Nie interesuję się końmi. Może i tak... Tam jest mnóstwo koni...

– A pan Lombard, często go pan widuje?

Marousset pokręcił przecząco głową.

– Jestem tam raz w roku... albo dwa... i prawie nie wychodzę z kuchni...

– Ale czasem go pan widuje, prawda?

– Tak.

– Bywa w elektrowni?

– Lombard, tutaj? – odezwał się Tarrieu drwiąco. – Ten zakład to dla Lombarda ziarenko

piasku. Oglądasz każdą trawkę, kiedy kosisz trawnik?

Servaz spojrział na pozostałych. Potwierdzili lekkim skinieniem głowy.

– Lombard mieszka gdzie indziej – ciągnął mężczyzna tym samym prowokującym tonem. – W Paryżu, w Nowym Jorku, na Antylach, na Korsyce... Olewa ten zakład. Trzyma elektrownię, bo jego stary napisał w testamencie, że ma ją zatrzymać. Ale ma ją gdzieś.

Servaz skinął głową. Miał ochotę na jakąś ciętą ripostę. Ale po co? Może Tarrieu ma swoje powody. Może trafił kiedyś na skorumpowanych albo niekompetentnych gliniarzy. Ludzie są jak góry lodowe, pomyślał. Pod powierzchnią kryje się cała masa niedopowiedzeń, cierpienia i tajemnic. Tak naprawdę nikt nie jest tym, na kogo wygląda.

– Mogę ci coś doradzić? – zapytał nagle Tarrieu.

Servaz zamarł i wyostrzył czujność. Ale ton mężczyzny się zmienił: nie był już wrogi, nieufny ani sarkastyczny.

– Słucham.

– Strażnicy – powiedział stary. – Zamiast tracić tu z nami czas, powinienesz przesłuchać strażników. Potrząśnij nimi trochę.

Servaz wpatrywał się w niego intensywnie.

– Dlaczego?

Tarrieu wzruszył ramionami.

– To ty jesteś gliną.

Servaz szedł korytarzem. Ta część budynku była przegrzana. Gdy minął wahadłowe drzwi, uderzyło w niego lodowate powietrze wypełniające hall. Błyski fleszy na zewnątrz sprawiały, że w hallu raz po raz pojawiał się krótki blask i wielkie, niepokojące cienie. Servaz zobaczył, że Cathy d’Humières wsiada do samochodu. Zapadał zmierzch.

– No i jak? – zapytała Ziegler.

– Ci faceci najprawdopodobniej nie mają z tym nic wspólnego, ale chciałbym kompletnych informacji na temat dwóch. Pierwszy to Marousset, kucharz. Drugi nazywa się Tarrieu. I jeszcze na temat niejakiego Schaaba: gościa, który w ubiegłym roku stracił rękę w wypadku.

– A tamci dwaj? Dlaczego oni?

– Zwykła weryfikacja.

Przypomniały mu się oczy Marousseta.

– Prosiłbym jeszcze o skontaktowanie się z brygadą antynarkotykową i sprawdzenie, czy nie mają go w swojej bazie.

Kapitan Ziegler wpatrywała się w niego z uwagą, ale nic więcej nie dodała.

– Na jakim etapie jesteście ze śledztwem w okolicy?

– Przesłuchujemy mieszkańców wiosek leżących przy drodze do elektrowni. Na wypadek, gdyby ktoś widział w nocy przejeżdżający samochód. Na razie nic nie mamy.

– Co poza tym?

– Graffiti na zewnątrz, na murach budynku. Jeśli w okolicy są jacyś grafficiarze, to mogli coś zauważyć. Taka inscenizacja na pewno wymagała przygotowania, rozpoznania terenu. A to nas prowadzi do strażników. Może oni wiedzą, kto jest autorem tych napisów. No i dlaczego niczego nie widzieli?

Komendant przypomniał sobie słowa Tarrieu. Dołączył do nich Maillard. Robił notatki w małym zeszytiku.

– A co z Instytutem Wargniera? – zapytał Servaz. – Z jednej strony mamy zbrodnię najwyraźniej popełnioną przez wariata, z drugiej szalonych kryminalistów zamkniętych parę kilometrów stąd. Nawet jeśli dyrektor Instytutu zapewnia, że żaden z pacjentów nie uciekł, trzeba się tym poważnie zająć. – Popatrzył na Ziegler, a następnie na Maillarda. – Macie tu jakiegoś świrologa?

Zapytani wymienili spojrzenia.

– Psychiatra sądowy powinien przyjechać w najbliższych dniach – odpowiedziała Ziegler.

Servaz zmarszczył brwi. Psycholog sądowy przyjeżdżający z powodu konia... Wiedział, że w tej dziedzinie, podobnie jak w innych, żandarmeria wyprzedza policję o kilka długości, zastanawiał się jednak, czy tym razem nie posunęli się o krok za daleko. Nawet żandarmeria nie powinna tak łatwo mobilizować swoich ekspertów.

Ramię Érica Lombarda było naprawdę bardzo długie.

– Ma pan szczęście, że tutaj jesteśmy – rzuciła ironicznie, wytrącając go z zamyślenia. – Inaczej musiałby pan szukać niezależnego eksperta.

Nie podjął tego wątku. Wiedział, do czego zmierza. Zamiast, tak jak żandarmeria, kształcić własnych specjalistów, gliny często musiały korzystać z usług zewnętrznych ekspertów – świrologów, którzy nie zawsze byli kompetentni w tego rodzaju pracy.

– Poza tym chodzi tylko o konia – odpowiedział bez przekonania.

Popatrzył na nią. Irène już się nie uśmiechała. Wyczytał w jej twarzy niepokój i napięcie. Rzuciła mu spojrzenie pełne znaków zapytania. Zdał sobie sprawę, że ona przestała już traktować tę historię z przymrużeniem oka. Myśl, że za tym makabrycznym aktem może się kryć coś znacznie poważniejszego, zajmowała coraz więcej miejsca także w jej głowie.

– Czytała pani *Wehikuł czasu*?

Szli pustymi korytarzami. Pogłos kroków dźwięczał w uszach Diane, mieszając się z paplaniną psychiatry.

– Nie – odpowiedziała.

– Herbert George Wells jako socjalista interesował się kwestiami postępu technicznego, sprawiedliwości społecznej i walki klas. Zajmował się głównie tematyką manipulacji genetycznych, o czym pisze w *Wyspie doktora Moreau*, i szaleństwie nauki, którym poświęcony jest *Niewidzialny człowiek*. W *Wehikule czasu* stworzył narratora, który odbywa podróż do przyszłości i odkrywa, że Anglia stała się czymś w rodzaju rajy na ziemi zamieszkiwanego przez spokojny i beztroski gatunek ludzi zwany Elojami. – Nie spuszczać z niej wzroku, wsunął kartę do kolejnego czytnika. – Elojowie są potomkami uprzywilejowanych warstw mieszczańskiego społeczeństwa. W ciągu tysięcy lat osiągnęli taką stabilność i komfort, że ich iloraz inteligencji obniżył się do poziomu pięcioletniego dziecka. Ponieważ przez wieki nie musieli podejmować żadnych wysiłków, bardzo łatwo się męczą. Te sympatyczne istoty są łagodne i wesołe, ale zarazem przeraźliwie obojętne: gdy jedna z nich topi się na oczach innych, nikt nie spieszy jej na ratunek.

Diane słuchała go jednym uchem. Drugim próbowała uchwycić jakiś znak życia, ludzkiej obecności, by zorientować się w tym labiryncie.

– Z nastaniem nocy narrator odkrywa inną, jeszcze bardziej przerażającą rzeczywistość. Istnieją nie tylko Elojowie. Pod ziemią mieszka odrażająca i straszliwa rasa Morloków. To potomkowie proletariatu. Stopniowo, z powodu chciwości swoich panów, oddalali się od wyższych klas, aż w końcu stworzyli odrębną rasę. Są tak brzydzy, jak tamci urodziwi. Żyją zepchnięci do podziemnych korytarzy i studni. Tak bardzo przywykli do ciemności, że nie opuszczają swoich nor przed zapadnięciem zmroku. Dlatego gdy zachodzi słońce, Elojowie w popłochu opuszczają swe idylliczne łąki i gromadzą się w zrujnowanych pałacach. Morlokowie bowiem, aby przetrwać, stali się kanibalami...

Paplanina psychiatry zaczęła irytować Diane. Do czego on zmierza? Niewątpliwie ten człowiek uwielbiał słuchać samego siebie.

– Czy nie jest to w miarę celny opis naszych społeczeństw, panno Berg? Z jednej strony Elojowie, których inteligencja i wola osłabły pośród dobrobytu i braku zagrożeń, a egoizm i obojętność wzrosły. Z drugiej drapieżcy, którzy udzielają im starej lekcji: lekcji strachu. Pani i ja jesteśmy Elojami, panno Berg. Nasi pacjenci to Morlokowie.

– Czy to nie nazbyt duże uproszczenie?

Zignorował jej uwagę.

– Czy pani wie, jaki morał płynie z tej historii? Bo oczywiście jest to historia z morałem. Zdaniem Wellsa osłabienie inteligencji to konsekwencja... nieobecności zagrożenia. Zwierzę żyjące w doskonałej harmonii ze swoim otoczeniem działa w sposób mechaniczny. Natura odwołuje się do inteligencji jedynie wówczas, gdy przyzwyczajenie i instynkt są niewystarczające. Inteligencja rozwija się tylko w warunkach zmiany, *tam, gdzie istnieje zagrożenie*.

Spojrzał na nią przeciągle z szerokim uśmiechem na ustach.

– A personel? – zapytała. – Jak dotąd nie spotkaliśmy wielu osób. Czy wszystko tu jest automatyczne?

– Zatrudniamy trzydziestu pomocników medycznych, sześciu pielęgniarzy, jednego seksuologa, jednego szefa kuchni, siedmiu kucharzy i pracowników obsługi, dziewięć osób do sprzątania. Z powodu cięć budżetowych wszyscy są zatrudnieni na pół etatu z wyjątkiem trzech pomocników medycznych z nocnej zmiany, naczelniej pielęgniarki, szefa kuchni, no i mnie. Nocami więc śpimy tu w szóstkę. Plus ochroniarze, którzy, mam nadzieję, nie śpią. – Zaśmiał się krótko i ochryple. – Razem z panią będzie nas siedmioro – podsumował z uśmiechem.

– Sześć osób? Na osiemdziesięciu ośmiu pacjentów?

A ilu jest ochroniarzy? – zastanowiła się w tej samej chwili. Pomyślała o tym olbrzymim budynku opuszczonym nocą przez pracowników, z osiemdziesięcioma ośmioma groźnymi psychotykami zamkniętymi w głębi pustych korytarzy, i przeszedł ją dreszcz.

Xavier jakby dostrzegł jej zakłopotanie. Uśmiechnął się szerzej i objął ją spojrzeniem, czarnym i lśniącym jak płama benzyny.

– Już pani mówiłem: zabezpieczenia są nie tylko liczne, są wręcz przesadne. W Instytucie Wargniera od początku jego istnienia nie odnotowano żadnej ucieczki ani nawet żadnego godnego uwagi incydentu.

– Jakich leków pan używa?

– Jak pani wie, stosowanie substancji przeciwobsesyjnych okazało się skuteczniejsze od klasycznych leków. Nasza podstawowa terapia polega na łączeniu leczenia na bazie hormonalnej typu LHRH z antydepresantami SSRI. Taka terapia działa bezpośrednio na produkcję hormonów związanych z aktywnością seksualną i zmniejsza zaburzenia obsesyjne. Ma się rozumieć, w stosunku do siedmiu pacjentów mieszkających w sektorze A jest ona całkowicie nieskuteczna...

Znaleźli się w dużym hallu u stóp ażurowych schodów. W prześwitach stopni widać było ścianę z surowego kamienia. Diane domyśliła się, że jest to jedna z tych zachwycających ścian usianych rzędami niewielkich okien jak w więzieniu, które widziała, dojeżdżając do Instytutu. Kamienne ściany, betonowe schody, cementowa podłoga. Zastanawiała się, jakie było pierwotne przeznaczenie tej budowli. Tymczasem za oknem widać było, jak zapadający zmrok powoli pochłania górskie szczyty. Diane była zdziwiona, że tak szybko zrobiło się ciemno. Nie zauważyła upływu czasu. Nagle pojawił się przy niej milczący cień. Stłumiła okrzyk zaskoczenia.

– Panno Berg, przedstawiam pani naszą naczelną pielęgniarkę, Élisabeth Ferney. Liso, jak mają się dziś wieczór nasi „mistrzowie”?

– Są trochę nerwowi. Nie wiem, jak to zrobili, ale już są na bieżąco z wydarzeniami z elektrowni.

Zimny, władczy głos. Naczelna pielęgniarka była dużą kobietą około czterdziestki o twarzy nieco surowej, ale nie nieprzyjemnej. Kasztanowe włosy, wyniosła mina, spojrzenie proste, ale defensywne. Słyszając ostatnie zdanie, Diane przypomniała sobie blokadę na drodze.

– Kiedy tu jechałam, zatrzymała mnie żandarmeria. Co się stało?

Xavier nie pofatygował się, żeby odpowiedzieć, jakby Diane nagle stała się powietrzem. Lisa Ferney omiotła ją spojrzeniem brązowych oczu, po czym znowu utkwiała je w psychiatrze.

– Nie planuje pan chyba zabrać jej do sektora A? W każdym razie nie dziś.

– Liso, panna Berg to nasz nowy... *psycholog*. Przyjechała na jakiś czas. Będzie miała dostęp do wszystkiego.

Naczelna pielęgniarka znowu zatrzymała na niej wzrok.

– W takim razie przypuszczam, że będziemy zmuszone widywać się często – skomentowała już na schodach.

Betonowe stopnie prowadziły do kolejnych drzwi znajdujących się na najwyższym piętrze budynku. Drzwi nie były przeszklone, ale wykonane z bardzo grubego metalu. Miały prostokątny świetlik. Diane spojrzała przez okienko i dostrzegła drugie, identyczne drzwi. Śluzka – jak na statku podwodnym albo w bankowym skarbcu. Umieszczona nad metalową framugą kamera filmowała ich.

– Dobry wieczór, Lucas – powiedział Xavier, kierując twarz w stronę obiektywu. – Otworzysz nam?

Światło dwudiodowej lampki zmieniło kolor z czerwonego na zielony i Xavier pociągnął ciężkie pancerne skrzydło. Znalazłszy się w środku, czekali w milczeniu, aż drzwi się za nimi zamkną. W tej niewielkiej przestrzeni pielęgniarka stała tuż obok Diane, która poczuła górującą ponad zapachami kamienia i metalu woń jej perfum. Nagle zza drugich drzwi dobiegło przeciągłe wycie. Diane podskoczyła. Krzyk rozbrzmiewał przez dłuższy czas.

– Jak pani mówiłem, w przypadku siedmiu pensjonariuszy z sektora A stosujemy specjalną terapię awersyjną – powiedział Xavier, który zdawał się nie słyszeć wycia. – Rodzaj „tresury”. – Już drugi raz użył tego określenia i Diane znowu zeszywniała. – Powtarzam, te typy to czystej wody socjopaci: żadnych wyrzutów sumienia, żadnej empatii, żadnej nadziei na wyleczenie. Poza tą tresurą stosujemy terapię minimum. Na przykład regularnie kontrolujemy stężenie serotoniny. Zbyt mała zawartość serotoniny we krwi wiąże się z impulsywnością i przemocą. Co do reszty, chodzi o to, by nigdy nie dopuścić do sytuacji, w której mogliby szkodzić. Te potwory niczego się nie boją. Wiedzą, że nigdy stąd nie wyjdą. Nie ugną się przed żadną władzą ani żadną groźbą.

Znowu włączył się sygnał i Xavier wymanikiowaną dłonią popchnął pancerne drzwi.

– WITAMY W PIEKLE, PANNÓ BERG. Ale nie dzisiaj. Dziś wejść sam. Lisa panią odprowadzi.

Servaz wpatrywał się w drugiego strażnika.

– A zatem niczego nie słyszałeś?

– Nie.

– Z powodu telewizora?

– Albo radia – odpowiedział mężczyzna. – Kiedy nie oglądamy telewizji, słuchamy radia.

- Na cały regulator?
- Tak, dosyć głośno.
- A tej nocy co oglądaliście, czego słuchaliście?

Strażnik westchnął. Najpierw żandarmi, a teraz ten glina: trzeci raz powtarzał swoją wersję wydarzeń.

- Mecz piłkarski Marsylia–Atlético Madryt.
- A po meczu włączyliście DVD, tak?
- Tak.

Jego czaszka błyszczała w świetle jarzeniówki. Servaz widział efektowną bliznę biegnącą w poprzek ogolonej na łyso głowy. Gdy tylko wszedł do pomieszczenia, instynktownie postanowił zwracać się do strażnika na ty. Mając do czynienia z takim typem, trzeba było od razu wejść w jego świat i dać mu odczuć, kto tu rządzi.

- Jaki film?
- Horror... Klasy B: *Oczy nocy*.
- Jak głośno?
- Głośno, mówiłem już.

Strażnik czuł dyskomfort, gdy Servaz robił dłuższe pauzy. Miał potrzebę się wytłumaczyć:

- Kolega jest trochę głuchy. Poza tym jesteśmy tu sami. Po co się ograniczać?

Servaz przytaknął z rozumiejącym wyrazem twarzy. Odpowiedzi niemal słowo w słowo pokrywały się z zeznaniami pierwszego strażnika.

- Ile trwa mecz?

Mężczyzna spojrział na niego, jakby miał do czynienia z przybyszem z innej planety.

– Dwa razy po czterdzieści pięć minut. Do tego przerwa w połowie i przerwy w grze... Jakieś dwie godziny.

- A film?
- Nie wiem... Półtorej, dwie godziny...
- O której zaczął się mecz?
- To był Puchar Europy. Czyli 20.45.

– Hmm. A więc w sumie dałoby to mniej więcej wpół do pierwszej. Potem poszliście na obchód?

Strażnik spuścił głowę z miną winowajcy.

- Nie.
- Bo?
- Oglądaliśmy jeszcze jeden film.

Servaz się pochylił. Zobaczył swoje odbicie w szybie. Za oknem była już ciemna noc. Temperatura musiała spaść sporo poniżej zera.

- Znowu horror?
- Nie...
- A więc?
- Pornola.

Servaz uniósł brew i posłał mu okrutny uśmiech starego, zdeprawowanego zająca. Przez chwilę wyglądał jak postać z kreskówki.

- Hmm, rozumiem. Do której?
- Nie wiem. Mniej więcej do drugiej.
- Nieźle! A potem?
- Co: potem?
- Poszliście na obchód?
- Nie.
- Jeszcze jeden film?
- Nie, poszliśmy spać.
- Nie musicie robić obchodów?
- Musimy.
- Jak często?
- Co dwie, trzy godziny.
- Ale tej nocy nie zrobiliście ani jednego? Mylę się?

Strażnik wlepił wzrok w czubki własnych butów. Wyglądał, jakby znalazł tam małą plamkę i bez reszty oddawał się jej kontemplacji.

- Nie.
- Nie dosłyszałem.
- NIE.
- Bo?

Teraz strażnik podniósł głowę.

– Niech pan posłucha... Komu przysłoby do głowy wchodzić tutaj w środku zimy? Tu nigdy nikogo nie ma. To pustynia. Na co komu te obchody?

- A jednak za to wam płacą, prawda? A graffiti na murach?
- Młodzież czasami tu przychodzi. Ale tylko przy ładnej pogodzie...

Servaz jeszcze mocniej pochylił się do przodu. Jego twarz znajdowała się teraz o kilkanaście centymetrów od twarzy strażnika.

- Więc gdyby w trakcie filmu wjechał tu samochód, nie słyszelibyście tego?
- Nie.
- A kolejka?

Strażnik wahał się przez ułamek sekundy. Servaz dostrzegł to.

- Też nie.
- Jesteś pewien?
- Eee... tak.
- A wibracje?
- Jakie wibracje?
- Ruch kolejki wywołuje wibracje. Czujęm je. Wy nie czuliście ich tej nocy?

Znowu wahanie.

- Film nas wciągnął.

Kłamał. Servaz był tego absolutnie pewien. Stek kłamstw, które wymyślili razem przed przybyciem żandarmerii. Identyczne odpowiedzi, identyczne momenty wahania.

– Mecz plus dwa filmy, to daje około pięciu godzin – podsumował Servaz, jakby był kelnerem, który nabija rachunek na kasie fiskalnej. – Ale przecież film nie składa się tylko

z hałasu, prawda? W filmie są momenty cisy, nawet w horrorze... *Zwłaszcza w horrorze.* Kiedy emocje rosną, napięcie osiąga szczyt... – Servaz pochylił się jeszcze bardziej. Jego twarz niemal dotykała twarzy strażnika. Czuł jego nieświeży oddech. I strach. – Ostatecznie nie przez cały film aktorzy wrzeszczą i podrzynają sobie gardła, prawda? A kolejka? Jak długo jedzie na górę? Piętnaście minut? Dwadzieścia? I drugie tyle z powrotem. Rozumiesz, do czego zmierzam? Musiałby zajść cholerny zbieg okoliczności, żeby odgłosy filmu całkowicie zagłuszyły hałas kolejki, nie? Jak sądzisz?

Strażnik rzucił mu spojrzenie zaszczutego zwierzęcia.

– Nie wiem – przyznał. – Może to było wcześniej... albo w trakcie meczu... W każdym razie niczego nie słyszeliśmy.

– Macie jeszcze ten film?

– Eee... tak...

– Świetnie, zrobimy małą rekonstrukcję. Sprawdzimy, czy to fizycznie możliwe, żeby wasze prywatne przedstawienie zagłuszyło ten hałas. Zrobimy też eksperyment z meczem. A nawet z porno. To się nazywa poważne podejście do sprawy.

Servaz zauważył, że twarz strażnika pokryła się kropelkami potu.

– Trochę wypiliśmy – mężczyzna wydusił z siebie te słowa tak cicho, że Servaz musiał go poprosić, żeby powtórzył.

– Słucham?

– *Piliśmy.*

– Dużo?

– Sporo.

Strażnik podniósł ręce z dłońmi skierowanymi ku górze.

– Niech pan posłucha. Nie wyobraża pan sobie, jak tu jest w nocy zimą, komisarzu. Widział pan ten krajobraz? Gdy robi się ciemno, człowiek ma wrażenie, że się tak wyrażę, jakby był sam na świecie. Tak jakby... jakby był w środku nie wiadomo czego. No, jak na bezludnej wyspie. Na wyspie zagubionej w bezkresie oceanu lodu i śniegu – dodał z zaskakującym liryzmem. – W elektrowni wszyscy mają gdzieś, co się tu z nami dzieje w nocy. Dla nich jesteśmy niewidzialni, nie istniejemy. Zależy im tylko na tym, żeby nikt nie przyszedł i nie zniszczył sprzętu.

– Nie komisarzu. Komendancie. A jednak ktoś zdołał się tutaj dostać, wyważyć drzwi, uruchomić kolejkę i wnieść na jej pokład martwego konia – ciągnął Servaz cierpliwie. – To trochę trwa. Trudno czegoś takiego nie zauważyć.

– Zamknęliśmy okiennice. Tamtej nocy była zamieć. A ogrzewanie jest kiepskie. No więc zamknęliśmy się, wypiliśmy na rozgrzewkę i włączyliśmy telewizor albo muzykę na cały regulator, żeby nie słyszeć, jak wieje. Jeśli był jakiś hałas, to w tym stanie mogliśmy go wziąć za odgłosy wiatru. To prawda, zawaliliśmy robotę. Ale z tym koniem to nie my.

Punkt dla niego, zauważył Servaz. Z łatwością mógł sobie wyobrazić, czym jest wichura w takim miejscu. Uderzenia wiatru, śnieg, stare budynki, w których hulają przeciągi, skrzypienie drzwi i okiennic... Poczł instynktowny lęk, taki, jaki musiał ogarniać ludzi pierwotnych na widok nieokiełzanego szaleństwa żywiołów. To samo musieli czuć ci dwaj twardziele.

Zastanowił się. Wersje obu mężczyzn były ze sobą zgodne. A jednak im nie wierzył. Niezależnie od tego, jak podchodził do sprawy, Servaz był pewien jednego: *strażnicy kłamią.*

– No i?

– Zeznania się zgadzają.

– Tak.

– Nawet za bardzo.

– Jestem tego samego zdania.

Maillard, Ziegler i on zebrali się w niewielkim pomieszczeniu bez okna, oświetlonym bladym światłem jarzeniówki. Na ścianie informacja: „Medycyna pracy, prewencja i ocena ryzyka zawodowego” z instrukcjami i numerem telefonu. Na twarzach żandarmów widać było zmęczenie. Servaz wiedział, że wygląda podobnie. O tej godzinie i w tym miejscu mieli wrażenie, że doszli do potrójnego kresu: wyczerpania, świata i nocy...

Ktoś przyniósł kawę. Servaz spojrzął na zegarek. Była 5.32. Przed dwiema godzinami dyrektor elektrowni, z poszarzałą twarzą i zaczerwienionymi oczami, pożegnał się ze wszystkimi i poszedł do domu. Servaz zmarszczył brwi na widok Ziegler stukającej w klawiaturę laptopa: mimo zmęczenia była skoncentrowana na pisaniu raportu.

– Uzgodnili odpowiedzi, zanim ich rozdzieliliśmy – podsumował, przełykając kawę. – Albo są winni, albo mają coś innego do ukrycia.

– Co robimy? – zapytała Ziegler.

Zastanawiał się przez chwilę. Zgniół plastikowy kubek i rzucił nim w stronę pojemnika na śmieci, ale nie trafił.

– Nic na nich nie mamy. – Schylił się, by podnieść kubek. – Wypuścimy ich.

Servaz jeszcze raz spotkał się ze strażnikami. Żaden z nich nie wzbudzał zaufania. W swojej siedemnastoletniej karierze miał do czynienia z masą facetów tego pokroju. Ziegler powiedziała mu przed przesłuchaniem, że znalazła ich nazwiska w policyjnym rejestrze. Nie miało to żadnego znaczenia. W policyjnej bazie danych figurowało co najmniej dwadzieścia sześć tysięcy spraw, wśród których znajdowały się także drobne występki zaliczane do piątej kategorii wykroczeń. Baza spotkała się z potępieniem ze strony obrońców wolności osobistych, którzy za stworzenie tej „informatycznej wartowni” przyznali francuskiej policji nagrodę Big Brothera.

Ale Servaz i Ziegler odkryli, że nazwiska strażników figurowały też w pierwszym biuletynie rejestru karnego. Każdy z nich odsiedział kilka wyroków, stosunkowo krótkich jak na popełnione przestępstwa: obrażenia ciała, groźenie śmiercią, bezprawne pozbawienie wolności, wyłudzenie pieniędzy i cała gama rozmaitych aktów przemocy, w tym część wobec swoich partnerek. Choć ich kartoteki były równie obszerne jak *Bottin Mondain**, spędzili za kratkami wszystkiego pięć lat. Podczas przesłuchań byli łagodni jak baranki, zapewniali, że zrozumieli otrzymaną naukę i wracają do szeregu. Identyczne oświadczenia woli, zero wiarygodności. Klasyczny bluff. Jedyne adwokata mógłby udawać, że to łyka. Servaz instynktownie poczuł, że gdyby nie był gliną i zadawał im te same pytania na pustym parkingu, nie minąłby cholerny kwadrans, a ci dwaj z przyjemnością spuściliby mu lanie.

Przesunął dłonią po twarzy. Piękne oczy Irène były podkrążone i stwierdził, że teraz jest jeszcze bardziej pociągająca. Zdjęła służbową bluzę. Światło jarzeniówki grało w jej jasnych włosach. Popatrzył na jej szyję i zauważył niewielki tatuaż wystający spod kołnierzyka – chiński ideogram.

– Zrobimy sobie przerwę i prześpiemy się kilka godzin. Jaki jest program na jutro?

– Ośrodek jeździecki – powiedziała. – Wysłałam już ludzi, żeby opieczętowali boksy.

Technicy będą tam jutro.

Servaz przypomniał sobie, że Marchand mówił coś o włamaniu.

– Zaczniemy od personelu ośrodka. Niemożliwe, żeby nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Kapitanie – zwrócił się do Maillarda – nie sądzę, aby był pan potrzebny. Będziemy pana informować na bieżąco.

Maillard skinął głową.

– Przede wszystkim musimy sobie odpowiedzieć na dwa pytania. Gdzie się podziała głowa konia? I po co ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby wieszać zwierzę na najwyższym słupie kolejki? To na pewno coś znaczy.

– Elektrownia jest własnością grupy Lombarda – powiedziała Ziegler. – Freedom był ulubionym koniem Érica Lombarda. To jasne, że musiało chodzić o niego.

– Oskarżenie? – zasugerował Maillard.

– Albo zemsta.

– Zemsta też może być oskarżeniem – oświadczył Servaz. – Taki gość jak Lombard na pewno ma wrogów, ale nie sądzę, żeby zwykły rywal w biznesie zdobył się na taką inscenizację. Szukajmy raczej wśród pracowników: zwolnionych albo takich, którzy mają za sobą epizody psychiatryczne.

– Jest jeszcze jedna hipoteza – powiedziała Ziegler, zamykając laptop. – Lombard to międzynarodowa grupa obecna w wielu krajach: w Rosji, w Ameryce Południowej, w Azji Południowo-Wschodniej... Możliwe, że w którymś momencie facet wszedł w drogę jakimś mafiom czy grupom przestępczym.

– Świetnie. Miejmy na uwadze wszystkie hipotezy i żadnej na razie nie wykluczajmy. Czy gdzieś tutaj jest jakiś sensowny hotel?

– W Saint-Martin jest ponad piętnaście hoteli – odpowiedział Maillard. – Zależy, czego pan szuka. Ja na pana miejscu spróbowałbym w Le Russell.

Servaz zarejestrował informację, nie przestając jednak myśleć o strażnikach, ich zakłopotaniu i milczeniu.

– Ci faceci się boją.

– Co?

– Strażnicy. Boją się czegoś albo kogoś.

* Rocznik zawierający nazwiska, adresy i opis koneksji francuskiej arystokracji i burżuazji (przyp. tłum.).

Servaz podskoczył, obudzony dzwonkiem telefonu. Spojrzał na radiobudzik. Była 8.37. *Cholera!* Nie usłyszał budzika. Powinien był poprosić szefową hotelu, żeby go obudziła. Irène Ziegler miała wpaść po niego za dwadzieścia minut. Sięgnął po telefon.

– Servaz.

– I jak tam poszło?

Głos Espérandieu. Jak zwykle jego asystent był pierwszy w biurze. Servaz wyobraził go sobie czytającego japoński komiks albo testującego najnowsze policyjne aplikacje komputerowe, z kosmykiem włosów opadającym na czoło, ubranego w markowy sweter wybrany przez żonę.

– Trudno powiedzieć – mówił, idąc do łazienki. – Ogólnie rzecz biorąc, to jest do niczego niepodobne.

– Kurczę, chciałbym to zobaczyć.

– Zobaczysz na wideo.

– Ale co to jest?

– Koń powieszony na poprzecznicy słupa kolejki linowej na wysokości dwóch tysięcy metrów. – Servaz wolną ręką wyregulował temperaturę wody pod prysznicem.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Koń? Na górze kolejki?

– Tak.

Znowu zapadła cisza.

– O kurwa – powiedział powściągliwie Espérandieu, pijąc coś tuż przy mikrofonie.

Servaz domyślił się, że było to raczej coś musującego niż zwykła kawa. Espérandieu był specjalistą od leków. Środki na sen, na pamięć, na energię, przeciw kaszlowi, katarowi, migrenie, bólowi żołądka... Najbardziej niewiarygodny był przy tym fakt, że Espérandieu nie był starym policjantem, zbliżającym się do emerytury, ale młodym, zaledwie trzydziestoletnim detektywem z policji kryminalnej. W doskonałej formie. Który biegał brzegiem Garonny trzy razy w tygodniu. Bez problemów z cholesterolem i trójglicerydami. Wymyślał sobie jednak urojone choroby i przynajmniej niektóre z nich dzięki jego wytrwałości stały się faktem.

– Kiedy wracasz? Jesteś tutaj potrzebny. Gówniarze twierdzą, że policja ich *uderzyła*. Ich adwokat mówi, że stara to pijaczka – ciągnął Espérandieu. – I że jej zeznania są nic niewarte. Poprosił sędziego penitencjarnego o natychmiastowe zwolnienie najstarszego chłopca. Dwaj pozostali wrócili do siebie.

Servaz zastanawiał się chwilę.

– A odciski palców?

– Nie wcześniej niż jutro.

– Zadzwoń do zastępcy. Powiedz mu, żeby przytrzymali najstarszego. Wiemy, że to oni. Odciski palców to potwierdzą. Niech powie o tym sędziemu. I postaraj się popchnąć sprawę w laboratorium.

Rozłączył się. Teraz był już całkowicie obudzony. Wyszedł spod prysznic, szybko się wytarł i włożył czyste ubrania. Umył zęby i przejrzał się w lustrze nad umywalką, myśląc o Irène Ziegler. Zaskoczony zauważył, że przegląda się dłużej niż zwykle. Zastanawiał się, kogo ona w nim widzi. Jeszcze młodego i w sumie niczego sobie faceta, który jest po prostu potwornie zmęczony? Nieco ograniczonego, ale skutecznego glinę? Rozwiedzionego mężczyznę, którego twarz i stan odzieży zdradzają, jak bardzo jest samotny? A gdyby on sam miał siebie opisać, co by powiedział? Z całą pewnością miał podkrążone oczy, bruzdę wokół ust i drugą, pionową, między brwiami, i wyglądał, jakby właśnie wyszedł z wirówki. A jednak wciąż był przekonany, że mimo takiego rozmiaru szkód na powierzchnię wciąż przebija się jakaś młodzińczość i żywotność. Psiakrew! Co on wyrabia? Nagle poczuł się jak napalony nastolatek. Wzruszył ramionami i wyszedł na balkon swojego pokoju. Hotel Le Russell stał na jednej z wyżej położonych ulic Saint-Martin i z pokoju Servaza rozciągał się widok na sporą część dachów miasta. Z dłońmi wspartymi na poręczy obserwował, jak ciemności zalegające w wąskich uliczkach ustępują miejsca blaskowi poranka. O tej porze niebo nad górami było przejrzyste i błyszczące jak kryształowa kopuła. Lodowce na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów wychodziły z cienia, migocąc w słońcu, które wciąż pozostawało w ukryciu. Na wprost widać było starówkę, historyczne centrum miasta. Na lewo, na drugim brzegu rzeki, ciągi blokowisk. Po drugiej stronie rozległej niecki, w odległości dwóch kilometrów, wznosiło się jak fala wysokie, zalesione zbocze, przecięte szeroką raną trasy kolejki linowej. Ze swojego punktu obserwacyjnego Servaz patrzył na ludzi przemierzających się w cieniu uliczek do swoich miejsc pracy, światła samochodów dostawczych, sprzedawców podnoszących metalowe rolety sklepów, nastolatków na ryczących skuterach, którzy udawali się do miejscowych gimnazjów i liceów. Zadrzał, ale nie z powodu zimna. Pomyślał o koniu powieszonym na górze i o tym – albo o tych – którzy to zrobili.

Przechylił się przez poręcz. Ziegler czekała na dole. Zamiast munduru miała na sobie golf i skórzaną kurtkę. Stała oparta o służbowego peugeota 306 z torbą przewieszoną przez ramię i paliła papierosa.

Servaz zszedł do niej i zaproponował kawę. Był głodny i chciał przed wyjazdem coś przekąsić. Zerknęła na zegarek i wykrzywiła wargi z dezaprobatą, ale w końcu oderwała się od samochodu i poszła za nim. Hotel Le Russell zbudowano w latach trzydziestych dwudziestego wieku – niedogrzone pokoje, niekończące się mroczne korytarze i wysokie, ozdobione gzymsem sufity. Za to z mieszczącej się na obszernej werandzie restauracji, w której ustawiono sympatyczne, ozdobione kwiatami stoliki, rozciągał się widok zapierający dech w piersi. Servaz zajął miejsce przy oknie i zamówił czarną kawę i kromkę chleba z masłem. Ziegler poprosiła o wyciskany sok z pomarańczy. Przy sąsiednim stoliku pierwsi w tym sezonie hiszpańscy turyści prowadzili ożywioną rozmowę, przeplataną odważnymi przerywnikami.

Kiedy odwrócił głowę, jego uwagę przyciągnął pewien szczegół, który wprowadził go w zadumę: Irène Ziegler nie tylko była w cywilu. W lewej dziurce jej nosa Servaz zauważył delikatny złoty kolczyk, który lśnił w świetle wpadającym przez szybę. Takiej biżuterii spodziewałby się raczej u swojej córki niż u kobiety, która była oficerem żandarmerii. Czasy się zmieniają, pomyślał.

– Wyspana? – zapytał.

– Nie. W końcu wzięłam pół tabletki nasennej. A pan?

– Nie usłyszałem budzika. W hotelu jest spokój, przynajmniej tyle. Większość turystów jeszcze nie przyjechała.

– Przyjadą nie wcześniej niż za dwa tygodnie. O tej porze zawsze jest spokojnie.

– Czy tam, dokąd dochodzi kolejka, jest ośrodek narciarski? – Servaz wskazał podwójny rząd słupów na przeciwległym zboczu.

– Tak, Saint-Martin 2000. Dwadzieścia osiem tras, z czego sześć czarnych, w sumie czterdzieści kilometrów. Cztery wyciągi krzesełkowe, dziesięć orczyków. Ale jest jeszcze ośrodek w Peyragudes, piętnaście kilometrów stąd. Jeździ pan na nartach?

Na twarzy Servaza pojawił się autoironiczny uśmiech.

– Po raz ostatni miałem narty na nogach jako czternastolatek. Nie mam zbyt dobrych wspomnień. Nie jestem... *wielkim fanem sportu*.

– Wygląda pan całkiem nieźle – uśmiechnęła się Ziegler.

– Pani też.

Nieoczekiwanie oblała się rumieńcem. Rozmowa przestała się kleić. Poprzedniego dnia byli dwójką policjantów pochłoniętych tym samym śledztwem, którzy wymieniali fachowe uwagi. Teraz próbowali nawiązać znajomość i wychodziło to dość nieporadnie.

– Mogę pana o coś zapytać?

Servaz skinął głową.

– Wczoraj poprosił pan o zebranie wiadomości na temat trzech robotników. Dlaczego?

Kelner przyniósł im to, co zamówili. Wyglądał tak staro i smutno jak hotel, którego był pracownikiem. Servaz zaczekał, aż odejdzie, po czym opowiedział o wczorajszym przesłuchaniu.

– A ten Tarrieu? – zapytała. – Jakie zrobił na panu wrażenie?

Servaz przypomniał sobie masywną, płaską twarz o zimnym spojrzeniu.

– Inteligentny człowiek pełen złości.

– Inteligentny. To ciekawe.

– Dlaczego?

– Cała ta inscenizacja... to *szaleństwo*... Myślę, że ten, kto to zrobił, jest nie tylko szalony, ale również inteligentny. I to bardzo.

– W takim razie możemy skreślić strażników – powiedział.

– Być może. Chyba że jeden z nich udaje.

Wyjęła z torby laptop i położyła na stoliku między sokiem pomarańczowym i kawą. Czasy się zmieniają, pomyślał znowu Servaz. Nowe pokolenie detektywów przejmuje pałeczkę. Może brakuje jej jeszcze doświadczenia, ale jest na bieżąco z duchem czasu. A doświadczenie tak czy owak przyjdzie.

Stukała coś na klawiaturze. Servaz skorzystał z okazji, by jej się przyjrzeć. Wyglądała zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia, gdy widział ją w mundurze. Popatrzył na niewielki chiński ideogram wytatuowany na szyi, który wystawał spod golfu. Pomyślał o Margot. Co za moda z tymi tatuażami? I ten piercing. Co to wszystko oznacza? Ziegler ma tatuaż i przekłuty nos. A może gdzie indziej też nosi kolczyki? W pępku albo nawet w sutkach i w miejscach intymnych? Gdzieś o tym czytał. Ta myśl go zaniepokoiła. Czy to może mieć wpływ na jej

sposób rozumowania? Nagle zaczął się zastanawiać, jak wygląda życie intymne takiej kobiety jak ona. Nie zapominał, że jeśli o niego chodzi, to od kilku lat jest ono zredukowane do zera. Odegnął tę myśl.

– Dlaczego żandarmeria? – zapytał.

Podniosła głowę i przez chwilę się zawahała.

– Aha – powiedziała – chodzi panu o to, dlaczego postanowiłam wstąpić do żandarmerii?

Przytaknął, nie odrywając od niej oczu. Uśmiechnęła się.

– Myślę, że ze względu na stabilność zatrudnienia. I żeby się nie stać jak inni...

– To znaczy?

– Studiowałam socjologię. Byłam w grupie anarchistów, mieszkałam nawet na squacie. Gliny, żandarmi, to był wróg: psy gończe reżimu, forpoczta reakcji, faszyci, którzy dbają o wygodę burżujów, a uciskają słabych, imigrantów, bezdomnych. Mój ojciec był żandarmem, wiedziałam, że taki nie jest, ale mimo wszystko myślałam, że koledzy z wydziału mają rację, a ojciec jest po prostu wyjątkiem. A potem, po studiach, kiedy zobaczyłam, jak moi zbuntowani przyjaciele stają się lekarzami, aplikantami notarialnymi, pracownikami banków czy haerowcami i coraz więcej mówią o kasie, lokatach, inwestycjach, stopach zwrotu, zaczęłam się zastanawiać. Ponieważ byłam na bezrobociu, wzięłam udział w konkursie.

Jakie to proste, pomyślał.

– Servaz to nie jest nazwisko stąd – zauważyła.

– Ziegler też.

– Urodziłam się w Lingolsheim, koło Strasburga.

Właśnie miał odpowiedzieć, kiedy jej telefon zabrzączał. Zrobiła przeproszącą minę i odebrała. Zauważył, że słuchając rozmówcy, marszczy brwi. Zatrzasnęła kłapkę telefonu i posłała mu spojrzenie bez wyrazu.

– To Maillard. Znalazł głowę konia.

– Gdzie?

– W ośrodku jeździeckim.

Wyjechali z Saint-Martin inną drogą niż ta, którą się tu dostał. Opuszczając miasto, minęli posterunek żandarmerii górskiej – jej przedstawiciele wraz ze wzrostem popularności sportów ekstremalnych mieli coraz więcej pracy.

Po trzech kilometrach zjechali z głównej szosy. Droga prowadziła teraz szeroką równiną otoczoną górami, które jednak były dość daleko. Servaz poczuł, że wreszcie oddycha. Wkrótce po obu stronach drogi pojawiły się barierki ogrodzeń. Słońce odbijało się od śniegu oślepiającym blaskiem.

– To posiadłość rodziny Lombardów – oświadczyła Ziegler.

Prowadziła szybko, mimo nierówności. Dojechali do skrzyżowania, na którym ich droga przecinała leśną aleję. Dwoje jeźdźców w toczkach, kobieta i mężczyzna, przyglądało im się, gdy przejeżdżali. Ich wierzchowce miały takie samo czarno-brązowe umaszczenie jak martwy Freedom. Gniade – przypomniał sobie Servaz. Kawałek dalej tablica OŚRODEK JEŹDZIECKI kazała im skręcić w lewo.

Las się skończył.

Minęli kilka niskich, przypominających stodoły budynków. Dalej Servaz zauważył duże, prostokątne zagrody usiane przeszkodami, podłużny barak, w którym znajdowały się boksy, padok, a także bardziej okazały budynek – prawdopodobnie ujeżdżalnię. Stała przed nim furgonetka żandarmerii.

– Piękne miejsce – powiedziała Ziegler, wysiadając z samochodu. Rozejrzała się po ogrodzonej przestrzeni. – Trzy place: jeden parkur z przeszkodami, jedna ujeżdżalnia i jeden tor crossowy, a przede wszystkim, tam, w głębi, tor do galopu.

Wyszedł do nich jeden z żandarmów. Servaz i Ziegler ruszyli za nim. Powitało ich nerwowe rżenie i odgłosy grzebania kopytami, jakby konie wyczuwały, że coś się dzieje. Servaz natychmiast poczuł strużki potu ściekające po plecach. Kiedy był młodszy, próbował jazdy konnej. Poniósł druzgocącą porażkę. Bał się koni, podobnie jak prędkości, wysokości i tłumów. Gdy doszli do końca boksów, z boku, w odległości jakichś dwóch metrów od budynku zauważyli teren zagrodzony żółtą taśmą z napisem „żandarmeria narodowa”. Musieli iść po śniegu, żeby go okrążyć. Marchand i kapitan Maillard czekali na nich z tyłu, za odgrodzoną przestrzenią, z dwoma innymi funkcjonariuszami żandarmerii. W cieniu ceglanego muru widać było sporą stertę śniegu. Servaz wpatrywał się w nią przez jakiś czas, aż dostrzegł kilka brązowych plam. Zadrżał, gdy rozróżnił wśród nich końskie uszy i oko z opuszczoną powieką. Maillard i jego ludzie wykonali dobrą robotę: kiedy tylko się zorientowali, na co trafili, odgrodzili teren, nawet się nie zbliżając do zasy. Śnieg został wydeptany na pewno przed ich przyjściem, choćby przez człowieka, który znalazł głowę. Zadbali o to, by nie dodawać już swoich śladów. Technicy jeszcze nie dotarli na miejsce. Dopóki oni nie skończą pracy, nikt nie wejdzie na zagrodzony teren.

– Kto ją znalazł? – zapytała Ziegler.

– Ja – odpowiedział Marchand. – Dziś rano, gdy przechodziłem obok boksów, zobaczyłem ślady na śniegu, które biegły wokół budynku. Poszedłem za nimi i znalazłem tę zaspę. Od razu się domyśliłem, o co chodzi.

– Szedł pan *po śladach*? – zapytała Ziegler.

– Tak. Ale ze względu na okoliczności od razu pomyślałem o was i żeby ich nie zdeptać, szedłem w pewnej odległości.

Servaz wyostrzył uwagę.

– Chce pan przez to powiedzieć, że ślady są nietknięte i nikt po nich nie chodził?

– Zabroniłem moim pracownikom zbliżać się do tego miejsca i chodzić po śniegu. Tutaj są tylko dwa rodzaje śladów: moje i tego bandyty, który ściął mojego konia.

– Gdybym miała dość śmiałości, uściskałabym pana, panie Marchand – oświadczyła Ziegler.

Servaz zobaczył, jak stary zarządca oblewa się rumieńcem. Uśmiechnął się. Wrócili do oglądania terenu, patrząc ponad ogrodzeniem z żółtej taśmy.

– Tam. – Marchand wskazał ślady biegnące wzdłuż budynku, tak wyraźne, że każdy technik wpadłby w zachwyt. – To jego ślady; moje są tutaj.

Marchand starał się trzymać dobry metr od wcześniej wydeptanych śladów. W żadnym miejscu ich ścieżki się nie przecinały. Nie oparł się jednak pokusie i podszedł do sterty śniegu, o czym świadczyła końcówka jego marszruty.

– Nie dotykał pan tej zasy? – zapytała Ziegler, widząc, dokąd prowadzą ślady.

Spuścił głowę.

– Dotykałem. To ja odkopałem uszy i oko. Mówiłem już pani kolegom: mało brakowało, a odkryłbym całą głowę, ale w samą porę zdążyłem pomyśleć i przestałem.

– Bardzo dobrze pan zrobił, panie Marchand – pogratulowała mu Ziegler.

Marchand patrzył na nich ogłupiały. W jego oczach malowały się niepokój i niezrozumienie.

– Co za człowiek mógł zrobić coś takiego koniowi? Ktoś z tego towarzystwa coś z tego rozumie? Czy my już całkiem powariowaliśmy?

– Obłęd jest zaraźliwy – odpowiedział Servaz. – Tak jak grypa. Psychiatrzy już dawno powinni do tego dojść.

– Zaraźliwy? – powiedział Marchand zbity z tropu.

– Nie przechodzi z jednego człowieka na drugiego – wyjaśnił Servaz – ale z jednej grupy ludzi na inną. I zaraża całe pokolenie. Nosicielem malarii jest komar. Nosicielem obłędu, w każdym razie nosicielem szczególnie uprzywilejowanym, są media.

Marchand i Ziegler wpatrywali się w niego zaskoczeni. Servaz machnął ręką, co miało oznaczać: „Nie zwracajcie na mnie uwagi” i odszedł kawałek dalej. Ziegler popatrzyła na zegarek. Była 9.43. Spojrzała na słońce, które świeciło już ponad drzewami.

– Psiakrew! Co oni wyprawiają? Śnieg zaraz zacznie topnieć.

Rzeczywiście, słońce się przesunęło i część śladów, które były w cieniu, kiedy przyszli, teraz wystawiona była na działanie jego promieni. Było jeszcze zimno i śnieg się utrzymywał, ale to nie mogło trwać w nieskończoność. Wreszcie od strony lasu usłyszeli wycie syreny. Minutę później furgonetka-laboratorium wyłoniła się spośród drzew.

Trzyosobowa ekipa techników ponad godzinę obfotografowywała i filmowała teren, sporządzała elastomerowe odciski śladów, pobierała próbki śniegu z zagłębień zrobionych przez podeszwy i wreszcie powoli wydobyła głowę konia, nie przestając pobierać próbek i robić zdjęć na całym ogrodzonym obszarze i poza nim. Ziegler, zaopatrzona w kołonotatnik, skrupulatnie zapisywała każdy etap tej procedury i komentarze techników.

Servaz w tym czasie spacerował jakieś dziesięć metrów dalej wzdłuż strumyka, którego oba brzegi porastały krzewy jeżyn, i palił papierosa za papierosem. Po chwili jednak podszedł bliżej i nie wchodząc za żółtą taśmę, przyglądał się pracy techników. Jeden z żandarmów podszedł do niego z termosem i nalał mu kawy.

Obok każdego fotografowanego śladu i miejsca na śniegu leżał żółty plastikowy prostokąt z czarnym numerem. Jeden z techników, przykucnąwszy przed którymś ze śladów, fotografował go, błyskając fleszem, na zmianę zmniejszając i zwiększając głębieć ostrości. Na śniegu, obok fotografowanego obiektu spoczywała mała, zrobiona z PCV linijka z podziałką. Teraz zbliżył się drugi mężczyzna z kuferkiem – gdy go otworzył, Servaz rozpoznał kit do pobierania odcisków. Pierwszy z techników pośpieszył mu z pomocą. Trzeba było działać szybko, ponieważ śnieg w wielu miejscach zaczął już topnieć. W tym samym czasie trzeci mężczyzna odsłaniał głowę konia. Ściana zasłaniała zaspę od północy, więc w przeciwieństwie do kolegów nie musiał się śpieszyć. Servaz miał wrażenie, że obserwuje pracę archeologa wydobywającego spod ziemi jakieś szczególnie wartościowe znalezisko. Wreszcie ukazała się cała głowa. Servaz nie był znawcą koni, ale uznał, że nawet dla specjalisty Freedom musiał być wspaniałym okazem. Zamknięte oczy sprawiały wrażenie, że zwierzę śpi.

– Wygląda, jakby przed ścięciem został uspijony – zauważył Marchand. – Jeśli tak było, to

przynajmniej nie cierpiał. I to by wyjaśniało, dlaczego nikt niczego nie słyszał.

Servaz spojrzął na Ziegler. Badanie toksykologiczne to wyjaśni, ale byłaby to pierwsza odpowiedź na pytania, jakie sobie stawiali. Po drugiej stronie taśmy technicy pobierali pincetą ostatnie próbki i wkładali je do probówek, które następnie pieczętowali. Servaz wiedział, że niespełna siedem procent śledztw rozwiązuje się dzięki dowodom znalezionym na miejscu zbrodni, nie zmniejszało to jednak jego podziwu dla cierpliwości i skrupulatności tych mężczyzn.

Kiedy skończyli, jako pierwszy wszedł za taśmę i pochylił się nad śladami.

– Rozmiar czterdzieści pięć, czterdzieści sześć. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent mężczyzna.

– Według technika to są buty trekkingowe – powiedziała Ziegler. – Człowiek, który je nosi, odrobinę za bardzo naciska na pięty i zewnętrzne krawędzie stóp. Ale to ledwie zauważalne, chyba że jest się ortopedą. Są też specyficzne uszkodzenia: tu, tu i tu.

Jak na cyfrowym obrazie ślady w śniegu odbijały nie tylko wzór i rozmiar podeszwy, ale także całą serię drobnych uszkodzeń powstałych podczas chodzenia: ślady zużycia, kawałki żwiru wbite w podeszwę, pęknięcia, nacięcia i ubytki spowodowane kontaktem z patykami, gwoźdźmi, odłamkami szkła, metalu czy ostrymi kamykami. Tyle że w odróżnieniu od cyfrowego obrazu, trwałość tych śladów była bardzo ograniczona. Tylko błyskawiczne porównanie z oryginałem pozwoliłoby na dokonanie identyfikacji – zanim kolejne kilometry, jakie ich właściciel przejdzie po wszelkiego rodzaju nawierzchni, nie zamażą tych drobnych uszkodzeń, zastępując je nowymi.

– Zawiadomiliście pana Lombarda? – zapytał Marchanda.

– Tak, jest przygnębiony. Zamierza skrócić swój pobyt w Stanach i przyjechać najszybciej, jak to możliwe. Wylatuje dziś wieczór.

– A zatem to pan zarządza stajnią?

– Ośrodkiem jeździeckim. Tak, ja.

– Ile osób tu pracuje?

– To nie jest duży ośrodek. Zimą jesteśmy tu we czwórkę. Każdy zajmuje się mniej lub bardziej wszystkim. Ale oficjalnie jest stajenny, ja, Hermine, pod której opieką jest przede wszystkim Freedom i dwa inne konie. Ją ta sprawa najbardziej dotknęła. I jeden instruktor. Latem zatrudniamy dodatkowy personel: instruktorów, przewodników do jazdy w terenie i pracowników sezonowych.

– Ile osób tutaj nocuje?

– Dwie: stajenny i ja.

– Wszyscy są dziś na miejscu?

Marchand spojrzął kolejno na każde z nich.

– Instruktor jest na urlopie do końca tygodnia. Jesień to martwy sezon. Nie wiem, czy Hermine dziś przyszła. Jest bardzo poruszona. Proszę za mną.

Przecieli podwórze, kierując się w stronę najwyższego budynku. Już przy wejściu Servaza uderzył zapach końskich odchodów. Jego twarz natychmiast pokryła się potem. Minęli siodlarnię i stanęli u wejścia do dużego, krytego maneżu. Zobaczyli kobietę ujeżdżającą biało umaszczonego konia, który stawiał każdy krok z niezwykłą gracją. Amazonka i wierzchowiec wyglądali jak nierozzerwalna całość. Biała sierść konia miała niebieskawy odcień. Z daleka jego

pysk i klatka piersiowa wyglądały jak zrobione z porcelany. Servazowi ten widok przywiódł na myśl żeńskiego centaury.

– Hermine! – zawołał zarządca.

Amazonka odwróciła głowę i powoli skierowała zwierzę w ich stronę, a następnie zatrzymała i zeszła na ziemię. Servaz zauważył, że dziewczyna ma zaczerwienione, podpuchnięte oczy.

– Co jest? – zapytała, głaszcząc szyję i czoło konia.

– Zawołaj Hectora. Policja chce was przesłuchać. Idźcie do mojego biura.

Przytaknęła bez słowa. Miała najwyżej dwadzieścia lat. Niewysoka, raczej ładna, trochę chłopięca, piegowata, o włosach w kolorze mokrego siana. Rzuciła Servazowi zbolące spojrzenie, a potem odeszła ze spuszczoną głową, ciągnąc za sobą wierzchowca.

– Hermine uwielbia konie. To świetna amazonka i znakomita trenerka. Jest wspaniałą dziewczyną, ale ma cholernie trudny charakter. Musi po prostu trochę dojrzeć. To pod jej opieką był Freedom. Od urodzenia.

– Na czym to polegało? – zapytał Servaz.

– Na wstawaniu wcześniej rano, pielęgnowaniu i czyszczeniu konia, karmieniu go, wyprowadzaniu na zewnątrz i zabawie z nim. Maształerz to taki jeździec-opiekun. Hermine zajmuje się też dwoma dorosłymi końmi. Oczywiście ujeżdżanie Freedomu miała zacząć dopiero w przyszłym roku. Pan Lombard i ona z niecierpliwością na to czekali. To był bardzo obiecujący koń, ze świetnym rodowodem. Był trochę naszą maskotką.

– A Hector?

– Jest najstarszy z nas. Pracuje tu od zawsze. Był tu na długo przede mną, na długo przed nami wszystkimi.

– Ile tu jest koni? – zapytała Ziegler.

– Dwadzieścia jeden. Czystej krwi, konie rasy Selle français, jeden Holstein. Czternaście naszych, pozostałe to pensjonariusze. Mamy pensjonat, zajmujemy się rozrodem i prowadzimy treningi dla zewnętrznych klientów.

– Ile jest boksów?

– Trzydzieści dwa. Plus jeden specjalny boks do wyźrebień, o powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych, z kamerą do monitoringu. A także dwa stanowiska ginekologiczne, myjnie, stajnie wolnowybiegowe, punkt inseminacji, dwa place wyścigowe, jeden profesjonalny tor przeszkód, osiem hektarów padoków, zagrody i wybiegi z wiatami oraz tor do galopu.

– Bardzo piękny ośrodek – wyraziła podziw Ziegler.

– W nocy jest was tylko dwóch do pilnowania tego wszystkiego?

– Jest system alarmowy, a wszystkie boksy i budynki są zamykane na klucz. Te konie dużo kosztują.

– I nic nie słyszeliście?

– Nie, nic.

– Bierze pan coś na sen?

Marchand obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– To nie miasto. Tutaj człowiek dobrze śpi. Żyjemy tak, jak się powinno żyć, zgodnie z rytmem natury.

– Żadnego podejrzanego hałasu? Niczego szczególnego? A może coś pana obudziło w środku nocy? Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

– Już się nad tym zastanawiałem. Gdybym coś słyszał, powiedziałbym panu. W takim miejscu zawsze słyhać jakieś odgłosy: zwierzęta się poruszają, drzewo trzaska. Gdy ma się las pod bokiem, nigdy nie jest cicho. Już dawno przestałem zwracać na to uwagę. Poza tym są Cisco i Enzo, szczekałyby, gdyby coś się działo.

– Psy – powiedziała Ziegler. – Jakiej rasy?

– Cane corso.

– Nie widzę ich. Gdzie są?

– Zamknęliśmy je.

Dwa psy i system alarmowy.

I dwóch ludzi na miejscu.

Ile ważył koń? Usiłował sobie przypomnieć, co mówiła Ziegler: około dwustu kilogramów. Ci ludzie nie mogli przebyć tej drogi w obie strony pieszo. Jak to możliwe, żeby zdołali zabić konia, odciąć mu głowę, załadować go na samochód i odjechać, nie budząc psów ani domowników? I nie uruchamiając alarmu? Servaz nic z tego nie rozumiał.

Nic nie zaalarmowało psów ani mieszkańców. Strażnicy w elektrowni także niczego nie słyszeli. To po prostu niemożliwe. Odwrócił się do Ziegler.

– Czy można by wezwać weterynarza i poprosić, żeby zrobił psom badanie krwi? W nocy biegają luźno czy są zamykane? – zapytał Marchanda.

– Są na zewnątrz, uwiązane na długim łańcuchu. Nie da się dojść do boksów tak, żeby nie znaleźć się w ich zasięgu. Obudziłbym się, gdyby szczekały. Myśli pan, że ktoś im coś podał, tak? Zdziwiłbym się: rano były całkiem przytomne i zachowywały się jak zwykle.

– Badanie toksykologiczne wszystko wykaże – odpowiedział Servaz, zastanawiając się, dlaczego ktoś uśpił konia, a nie widział potrzeby, by uśpić psy.

Gabinet Marchanda był niewielkim pomieszczeniem wciśniętym między siodlarnie a stajnie. Półki znajdujących się w nim regałów były pełne różnych trofeów. Okno wychodziło na las i pokryte śniegiem łąki, poprzegradzane skomplikowaną siecią barier, parkanów i żywopłotów. Na biurku leżał laptop, lampka oraz sterta rachunków, segregatorów i książek o koniach.

W ciągu półgodziny Ziegler i Servaz obeszlą zabudowania i zbadali boks Freedom, w którym pracowali już technicy. Drzwi boksu były wyłamane, na podłodze zauważyli dużo krwi. Nie było wątpliwości, że koń został ścięty na miejscu. Prawdopodobnie użyto do tego piły, a zwierzę wcześniej uśpiono. Servaz odwrócił się do stajennego.

– Nic pan nie słyszał tamtej nocy?

– Spałem – odpowiedział potężnie zbudowany starzec.

Był nieogolony. Wyglądał na człowieka, który już dawno przekroczył wiek emerytalny. Szary zarost na jego podbródku i policzkach przypominał kolce jeżozwierza.

– Nic pan nie słyszał? Żadnych hałasów?

– W stajni zawsze słyhać jakieś odgłosy. – Jego odpowiedź pokrywała się ze słowami Marchanda, ale w przeciwieństwie do zeznań strażników, Servaz nie miał wrażenia, żeby była wcześniej przygotowana.

– Od dawna pracuje pan dla pana Lombarda?

– Od zawsze. Wcześniej pracowałem dla jego ojca.

Miał przekrwione oczy, a pod zbyt cienką skórą na nosie i kościach policzkowych widać było siatkę delikatnych fioletowych żyłek. Servaz przysiągłby, że ten człowiek nie korzysta z tabletek nasennych, ale zawsze ma pod ręką inny usypiacz pod postacią płynu.

– Jaki on jest?

Mężczyzna patrzył na Servaza czerwionymi oczami.

– Nie widuję go często, ale to dobry szef. I uwielbia konie. Freedom to był jego ulubieniec. Urodzony tutaj. Z królewskim rodowodem. Szalał na punkcie tego konia. Tak jak Hermine.

Starzec zwiesił głowę. Servaz zauważył, że stojąca obok dziewczyna usiłuje powstrzymać łzy.

– Sądzi pan, że ktoś mógłby mieć jakieś pretensje do pana Lombarda?

Mężczyzna znowu spuścił głowę.

– Nic mi do tego.

– Nigdy pan nie słyszał, żeby ktoś mu groził?

– Nie.

– Pan Lombard ma wielu wrogów – wtrącił się Marchand.

Servaz i Ziegler odwrócili się w jego stronę.

– Co pan ma na myśli?

– To, co powiedziałem.

– Zna pan jakichś?

– Nie zajmuję się sprawami Érica. Interesują mnie tylko konie.

– Ale użył pan słowa „wrogowie”. To nie jest bez znaczenia.

– Tak się mówi.

– To znaczy?

– W interesach Érica zawsze są jakieś napięcia.

– Wyraża się pan szalenie nieprecyzyjnie – nalegał Servaz. – Robi pan to specjalnie czy tylko tak wychodzi?

– Zapomnijcie o tym. Tak mi się powiedziało. Nic nie wiem o interesach pana Lombarda – odpowiedział zarządca.

Servaz nie uwierzył, ale mimo to podziękował Marchandowi.

Gdy wyszedł z budynku, w oczy uderzył go widok błękitnego nieba i śniegu topniejącego pod wpływem promieni słonecznych. Z końskich głów wystających z boksów unosiła się para. Część zwierząt była na zewnątrz i ćwiczyła skoki przez przeszkody. Servaz stał z twarzą wystawioną do słońca i usiłował zebrać myśli.

Dwa psy i system alarmowy. I dwóch ludzi na miejscu.

I nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Ani tutaj, ani w elektrowni. Niemożliwe. Bez sensu.

W miarę jak odkrywał szczegóły, afera z koniem zajmowała w jego głowie coraz więcej miejsca. Czuł się jak lekarz sądowy, który wydobywa spod ziemi najpierw palec, następnie dłoń, potem rękę i wreszcie całego trupa. Wszystko w tej historii było niezwykle. I niezrozumiałe. Instynktownie, jak zwierzę, Servaz wyczuwał niebezpieczeństwo. Uświadomił sobie, że drży, mimo że stoi w słońcu.

Vincent Espérandieu uniósł brew, gdy zobaczył, jak Servaz wchodzi do jego gabinetu na bulwarze Embouchure z twarzą spieczoną na raka.

– Oparzenie słoneczne – zauważył.

– Słońce odbite od śniegu – odpowiedział Servaz na powitanie. – Poza tym leciałem helikopterem.

– Helikopterem? Ty?

Espérandieu wiedział nie od dziś, że jego szef nie jest amatorem ani dużych prędkości, ani wysokości: po przekroczeniu stu trzydziestu kilometrów na godzinę staje się błądy i kuli się w fotelu.

– Masz coś od bólu głowy?

– Aspiryna? Paracetamol? Ibuprofen?

– Coś musującego.

Asystent wyjął małą butelkę wody mineralnej i szklanekę i podał Servazowi. Następnie położył przed nim dużą okrągłą tabletkę, po czym sam połknął jakąś kapsułkę i popił wodą. Przez otwarte drzwi słychać było, jak ktoś całkiem umiejętnie naśladuje rżenie konia. Kilka osób parsknęło śmiechem.

– Banda kretynów – stwierdził Servaz.

– A jednak mają rację: żeby wzywać brygadę kryminalną do konia...

– Ten koń był własnością Érica Lombarda.

– Ach tak.

– Gdybyś go widział, zastanawiałbyś się tak jak ja, czy ci, którzy to zrobili, nie są zdolni do czegoś gorszego.

– Powiedziałeś „ci”? Myślisz, że sprawców jest kilku?

Servaz spojrział roztargnionym wzrokiem na monitor komputera Espérandieu, na którym prześliczna jasnowłosa dziewczynka w makijażu klauna, z wielką gwiazdą wymalowaną wokół lewego oka, szczyrzyła w uśmiechu wszystkie zęby.

– Wyobrażasz sobie, że sam w środku nocy taszczysz dwieście kilo ścierwa, a potem wieszasz je trzy metry nad ziemią?

– Argument nie do podważenia – przyznał asystent.

Servaz wzruszył ramionami i rozejrzał się dokoła.

Zaciągnięte rolety z jednej strony zasłaniały szare niebo i dachy Tuluzy, a z drugiej szklaną ścianę oddzielającą gabinet od korytarza. Drugie biurko, zajmowane przez pracującą tu od niedawna Samirę Cheung, było puste.

– A jak tam dzieciaki? – zapytał.

– Najstarszy jest w tymczasowym areszcie. Dwaj pozostali wrócili do siebie, tak jak ci mówiłem.

Servaz skinął głową.

– Rozmawiałem z ojcem najstarszego – dodał asystent. – Jest agentem ubezpieczeniowym. Nic nie rozumie. Jest załamany. Ale kiedy powiedziałem coś o ofierze, wściekł się: „Ten facet to był włóczęga, przez cały boży dzień chodził pijany! Chyba nie wsadzicie dzieciaków do więzienia z powodu jakiegoś bezdomnego?”.

– Tak powiedział?

– Co do słowa. Przyjął mnie w dużym gabinecie. Pierwsze, co mi powiedział, to: „Mój syn niczego nie zrobił. Otrzymał porządne wychowanie. To przez tamtych dwóch. To ten Jérôme go namówił, jego ojciec jest na bezrobociu”. Powiedział to w taki sposób, jakby bezrobocie znaczyło dla niego to samo co handel narkotykami czy pedofilia.

– Jego syn to który?

– Chłopak ma na imię Clément.

Przywódca, pomyślał Servaz. Jaki ojciec, taki syn. Taka sama pogarda dla innych.

– Ich adwokat kontaktował się z sędzią – ciągnął Espérandieu. – Wygląda na to, że mają już ustaloną strategię: będą chcieli obciążyć najstarszego.

– Syna bezrobotnego?

– Tak.

– Najślabsze ogniwo.

– Rzygać mi się chce, jak patrzę na tych ludzi – stwierdził Espérandieu.

Miał młody głos i mówił powoli. Był też odrobinę zmanierowany, dlatego niektórzy z kolegów podejrzewali, że gustuje nie tylko w kobietach, choćby były tak piękne jak jego żona. Servaz też się nad tym zastanawiał, kiedy Espérandieu zaczynał pracę. Także upodobania odzieżowe Vincenta Espérandieu sprawiały, że niektórym jaskiniowcom z brygady włos się jeżył na głowie – tym, według których prawdziwa godność gliny objawia się w eksponowaniu wszelkich atrybutów męskości i triumfującego machismo.

Życie uśmiechnęło się do Espérandieu. W wieku trzydziestu lat był już szczęśliwym małżonkiem i miał śliczną pięcioletnią córeczkę – to właśnie ona uśmiechała się na monitorze. Servaz szybko zakolegował się ze swoim asystentem i w ciągu dwóch lat jego pracy w brygadzie kilka razy był u niego na kolacji. Żona i córka Espérandieu za każdym razem rozbrajały go swoim czarem i inteligencją: obie mogłyby reklamować w kolorowych czasopismach pasty do zębów, podróże lub rodzinne wakacje.

Któregoś dnia doszło do zatargu między nowo przybyłym a weteranami z brygady, w których perspektywa dzielenia codzienności z być może biseksualnym młodym kolegą budziła mordercze instynkty. Servaz musiał interweniować, przez co miał teraz śmiertelnych wrogów: w jednostce było dwóch „karków”, facetów twardych jak beton i zapamiętałych macho, z gatunku tych, co nigdy nie wybaczą. Jednym z nich podczas składania wyjaśnień trzeba było nieco potrząsnąć. Swoją postawą Servaz zyskał jednak także dozgonną wdzięczność i uznanie ze strony Espérandieu, który poprosił go, by był ojcem chrzestnym jego drugiego dziecka, jako że Charlène Espérandieu znowu była w ciąży.

– Dzwonił jakiś dziennikarz z France 3 i kilkunastu z prasy. Pytali, czy mamy jakieś dowody przeciwko tym dzieciakom. Ale przede wszystkim chcieli wiedzieć, czy ich biliśmy. „Pogłoski

o przemocy policjantów wobec nieletnich”, takiego wyrażenia używali. Jak zwykle powtarzają to samo na zasadzie kopiuj-wklej, to wszystko, na co ich stać. Ale ktoś pierwszy puścił plotkę.

Servaz zmarszczył czoło. Jeśli dziennikarze zwierzą sensację, telefon nie przestanie dzwonić. Będą oświadczenia, sprostowania, konferencje, a w telewizji pojawi się jakiś minister, który obieca wyjaśnić sprawę do końca. I nawet gdyby udowodniono, że wszystko działo się zgodnie z obowiązującymi zasadami, podejrzania i tak by pozostały.

– Chcesz kawy? – zapytał asystent.

Servaz przytaknął.

Espérandieu wstał i wyszedł. Servaz patrzył na migające w półmroku monitory komputerów. Znowu myślał o trzech młodych ludziach i o tym, co ich doprowadziło do popełnienia tak bezsensownego czynu.

Tym dzieciakom od rana do wieczora sprzedawano marzenia i kłamstwa. *Sprzedawano*: nie dostawali ich za darmo. Cyniczni handlarze zwierzyli w młodzieńczym nienasyconym doskonały rynek. Bylejakość, pornografia, przemoc, kłamstwa, nienawiść, alkohol, narkotyki – wszystko jest wystawione na sprzedaż w migocących witrynach społeczeństwa masowej konsumpcji. Młodzież to wymarzona klientela.

Espérandieu wrócił z dwiema filiżankami kawy.

– A co z pokojami tych chłopaków? – zapytał Servaz.

Weszła Samira Cheung. Ich nowa koleżanka była ubrana w krótką skórzaną kurtkę, zbyt lekką jak na tę porę roku, bluzę z krzyczącym napisem *I am an Anarchist*, spodnie z czarnej skóry i wysokie czerwone kalosze.

– Cześć – powiedziała. Na szyi dyndały jej słuchawki iPoda, w ręku trzymała parujący kubek.

Servaz odpowiedział na powitanie, odczuwając w obliczu nie zwykłego wyglądu swojej podwładnej mieszaninę fascynacji i skonfundowanie. Samira miała chińskie korzenie po ojcu i francusko-marokańskie po matce. Opowiadała Espérandieu (który nie omieszczał zrelacjonować wszystkiego Servazowi), że jej matka, światowej sławy dekoratorka wnętrz, przed dwudziestu sześciu laty zakochała się na zabój w pewnym kliencie z Hongkongu, który – jeśli wierzyć Samirze – był człowiekiem niezwyklej urody i inteligencji. Ciężarna dekoratorka odkryła jednak, że ojciec Samiry to zapalony amator twardych narkotyków, niemal codziennie odwiedzający prostytutki – i wróciła do Paryża. Kłopotliwy szczegół: postać Samiry Cheung stanowiła połączenie perfekcyjnego ciała z jedną z najbrzydszych twarzy, jakie Servaz kiedykolwiek widział. Wyłupiaste oczy podkreślone grubą kreską konturówki, ogromne usta w kolorze agresywnej czerwieni i spiczasty podbródek. Jeden z pracujących w brygadzie fallokratów podsumował jej wygląd jednym zdaniem: „Halloween każdego dnia”. W jednym punkcie trzeba było oddać sprawiedliwość jej genom lub wykształceniu: Samira Cheung miała znakomicie działający mózg. I nie wahała się z niego korzystać. Bardzo szybko przyswoiła sobie podstawy zawodu i często przejawiała inicjatywę. Servaz spontanicznie powierzał jej coraz bardziej skomplikowane sprawy, a ona ze swojej strony brała coraz więcej nadgodzin, aby je rozwiązać.

– Przeszukaliśmy pokoje chłopców – odpowiedziała na pytanie szefa. – W sumie niewiele znaleźliśmy. Poza jedną rzecz.

Servaz spojrzał na nią.

– U dwóch pierwszych były bardzo brutalne gry wideo. Takie, w których maksymalną liczbę

punktów zdobywa się za wysadzenie głowy przeciwnika albo w których trzeba bombardować całe grupy ludności lub zabijać wroga najwymyślniejszymi rodzajami broni. No, bardzo krwiste gry.

Servaz przypomniał sobie polemikę na temat naszpikowanych przemocą gier, która niedawno przetoczyła się przez prasę. Wydawcy gier się oburzali, deklarując, że „są bardzo uwrażliwieni na problem przemocy i nie robią głupstw”. Niektóre oskarżenia uznali za „nie do przyjęcia”, oferując jednocześnie gry, w których użytkownik mógł do woli mordować, napadać i torturować. Przy tej okazji niektórzy uznani psychiatrzy orzekli, że między grami wideo i przemocą wśród młodzieży nie ma żadnego związku. Inne badania wykazywały jednak coś przeciwnego – że młodzi ludzie spędzający czas na brutalnych grach wideo stają się coraz bardziej obojętni i niewrażliwi na cierpienie innych.

– Za to u tego, który ma na imię Clément, nie było żadnej gry. Ale była konsola...

– Jakby ktoś wszystko posprzątał – dodał Espérandieu.

– Ojciec... – zasugerował Servaz.

– Tak. Podejrzewamy, że to on usunął te gry, żeby syn wyglądał na jeszcze porządniejszego. I żeby bardziej obciążyć pozostałych.

– Zaplombowaliście pokoje?

– Tak, ale adwokat wniósł odwołanie, żeby zdjąć pieczęcie, ponieważ pokoje nie są miejscem zbrodni.

– W pokojach dzieciaków były komputery?

– Tak, sprawdziliśmy je, ale ktoś mógł bez problemu wykasować dane. Poleciliśmy rodzicom, żeby niczego nie ruszali. Trzeba by tam wrócić z fachowcem i sprawdzić twarde dyski.

– Możemy postawić zarzut działania z premedytacją – włączyła się Samira – jeżeli będziemy w stanie udowodnić, że chłopcy wcześniej przygotowali zbrodnię. Wtedy odpadłaby hipoteza o nieszczęśliwym wypadku.

Servaz spojrzał na nią pytająco.

– Jak to?

– No bo jak dotąd nic nie wskazuje na to, że faktycznie chcieli go zabić. Ofiara miała wysokie stężenie alkoholu we krwi. Adwokaci będą prawdopodobnie sugerowali, że główną przyczyną zgonu było utonięcie. To będzie zależało od wyników sekcji zwłok.

– Utonięcie na głębokości pół metra?

– Dlaczego nie? Bywały już takie przypadki.

Servaz zastanowił się przez chwilę. Samira miała rację.

– A odciski palców?

– Czekamy.

Wstała.

– Muszę iść. Mam spotkanie z sędzią.

– Dobry nabytek, co? – powiedział Espérandieu, kiedy wyszła z pokoju.

Uśmiechając się, Servaz kiwnął głową.

– Wygląda na to, że ją doceniasz.

– Robi dobrą robotę, przestrzega zasad, potrzeba jej tylko doświadczenia.

Servaz przytaknął. Nie wahał się powierzyć głównej części śledztwa w sprawie śmierci bezdomnego Vincentowi i Samirze. Dzielili jeden gabinet, mieli niemało wspólnych upodobań (w tym niektóre dotyczące ubioru) i wydawało się, że się rozumieją w stopniu, jakiego można oczekiwać od dwójki glin o twardych charakterach.

– Organizujemy w sobotę małe przyjęcie – powiedział Vincent. – Jesteś zaproszony. Charlène nalega, żebyś przyszedł.

Servaz pomyślał o ekscytującej urodzie żony swojego asystenta. Kiedy widział ją ostatnim razem, miała na sobie czerwoną wieczorową suknię, która podkreślała zgrabne kształty, a jej rude włosy tańczyły w świetle jak płomień, tak że poczuł ściskanie w gardle. Charlène i Vincent okazali się przemiłymi gospodarzami i Servaz spędził z nimi wspaniały wieczór, nie chciał jednak zostać włączony do kręgu ich przyjaciół. Wymówił się pretekstem, że ten wieczór obiecał już córce.

– Położyłem akta dzieciaków na twoim biurku! – rzucił asystent, gdy Servaz wychodził.

Kiedy komendant znalazł się w swoim gabinecie, podłączył komórkę do ładowarki i uruchomił komputer. Dwie sekundy później telefon zakomunikował przyjście esemesa i Servaz odsunął kłapkę. Zrobił to z niechęcią. W głębi serca był bliski uznania telefonów komórkowych za ostateczne stadium technologicznego obłądu. Margot zmusiła go jednak do nabycia komórki po tym, jak któregoś razu przyszedł na spotkanie z nią spóźniony o pół godziny.

tato to ja w sob po polud będziesz wolny? Buziaki

Co to za język? – pomyślał. Czy po tym, jak zeszedł z drzew, z powrotem na nie wchodzimy? Nagle poczuł się jak ktoś, kto zgubił klucz. Tak działał na niego współczesny świat. Nie czułby się bardziej obco, gdyby nagle na pokładzie wehikułu czasu przeniósł się w sam środek osiemnastego wieku. Wybrał z pamięci telefonu numer córki i usłyszał jej głos, którym zwięźle wyjaśniała, że oddzwoni do każdego, kto zostawi jej wiadomość. Słyszając podkład dźwiękowy, na którym nagrana była informacja, Servaz pomyślał, że piekło musi być pełne kiepskich muzyków.

Następnie jego wzrok spoczął na teczce z aktami sprawy bezdomnego. Logicznie rzecz biorąc, powinien się niezwłocznie zabrać do ich studiowania. Był to winien temu biednemu człowiekowi, którego wystarczająco już uprzykrzone życie skończyło się w najgłupszy z możliwych sposobów. Ale nie czuł się na siłach.

Co innego zajmowało myśli Servaza. Usiadł przed komputerem, otworzył Google i wystukał kluczowe słowa: „Éric Lombard grupa przedsiębiorstwo”. Wyszukiwarka wyświetliła ponad 20 800 wyników. Mniej, niż gdyby wpisał Obamę czy Beatlesów, ale i tak była to znaczna liczba. I nic dziwnego: Éric Lombard był postacią charyzmatyczną i medialną i zajmował piąte lub szóste miejsce w rankingu najbogatszych ludzi w kraju.

Servaz szybko przejrzał pierwsze wyniki wyszukiwania. Wiele stron przedstawiało biografie Érica Lombarda, jego ojca Henriego i dziadka Édouarda. Było też kilka artykułów z prasy ekonomicznej, czasopism poświęconych znanym ludziom, a nawet sportowych, ponieważ Éric Lombard prowadził stajnię dobrze zapowiadających się czempionów. Kilka artykułów poświęconych sportowym wyczynom samego Érica Lombarda, który był prawdziwym wyczynowcem i łowcą przygód: zapalonym alpinistą, maratończykiem, triathlonistą, pilotem

rajdowym; brał także udział w wyprawach na biegun północny i do Amazonii. Wiele zdjęć przedstawiało go jadącego na motorze przez pustynię lub siedzącego za sterami samolotu. Artykuły usiane były angielskimi słowami, które kompletnie nic Servazowi nie mówiły: *freeride, base jump, kitesurf...*

W części artykułów powtarzało się to samo charakterystyczne zdjęcie. Wiking – pomyślał Servaz na jego widok. Blond włosy, blond broda i metalicznie niebieskie spojrzenie. Opalony, zdrowy, energiczny, męski, pewny siebie. Patrzący w obiektyw tak, jak zapewne patrzył na swoich rozmówców: z niecierpliwością człowieka, na którego czekają jednocześnie w kilku miejscach.

Żywa reklama grupy Lombarda.

Wiek: trzydzieści sześć lat.

Z prawnego punktu widzenia grupa Lombarda była spółką komandytowo-akcyjną (S.K.A), ale spółka-matka – Lombard Entreprises – była holdingiem.

Cztery zasadnicze spółki zależne to: Lombard Media (książki, prasa, dystrybucja, audiowizualne środki przekazu), Lombard Group (sprzedaż sprzętu sportowego, odzieży, wycieczek i dóbr luksusowych, czwarte miejsce w światowym rankingu sprzedawców dóbr luksusowych), Lombard Chimie (chemia, farmacja) i AIR, producent sprzętu lotniczego, kosmicznego i obronnego. Grupa Lombarda posiadała piętnaście procent udziałów w AIR za pośrednictwem holdingu-matki, Lombard Entreprises. Sam Éric Lombard był partnerem zarządzającym i dyrektorem generalnym Lombard S.K.A., dyrektorem generalnym Lombard Group i Lombard Chimie oraz prezesem zarządu AIR. Jako absolwent jednej z francuskich akademii ekonomicznych oraz London School of Economics, Lombard zaczynał karierę w jednej z firm podległych Lombard Group, będącej rozpoznawalnym sprzedawcą sprzętu sportowego.

Grupa zatrudniała ponad 78 tysięcy osób w 75 krajach. Jej obroty sięgały w poprzednim roku 17 928 milionów euro, zysk operacyjny wyniósł 1537 milionów euro, a zysk netto 677 milionów, podczas gdy zobowiązania finansowe grupy oszacowano na 3558 milionów euro. Te liczby u każdego zwyczajnego człowieka wywołałyby zawrót głowy, być może jednak dla specjalistów w dziedzinie finansów międzynarodowych nie są czymś nadzwyczajnym. Odkrywając je, Servaz uświadomił sobie, że przyczyny, dla których grupa zachowała starzejącą się elektrownię wodną, mogły być wyłącznie historyczne lub emocjonalne. To właśnie tutaj, w Pirenejach, narodziło się imperium Lombardów.

Powieszenie konia w takim miejscu miało więc znaczenie symboliczne. Ktoś chciał uderzyć zarówno w historię rodziny Érica Lombarda, jak i w największą z jego pasji: konie.

Z artykułów poświęconych ostatniej męskiej latorośli rodu Lombardów wynikało bowiem, że wśród wszystkich jego zainteresowań konie były na pierwszym miejscu. Éric Lombard miał stadniny w wielu krajach – Argentynie, Włoszech, Francji... Zawsze jednak wracał do swojej pierwszej miłości, ośrodka jeździeckiego, w którym stawiał pierwsze kroki, położonego w pobliżu rodzinnego zamku, w tej właśnie dolinie, w regionie Comminges.

Servaz nagle nabrał przekonania, że inscenizacja w elektrowni nie była dziełem jakiegoś zbiegłego z Instytutu Wargniera szaleńca, ale świadomym, zaplanowanym i przemyślanym czynem.

Przerwał lekturę, żeby zebrać myśli. Wahał się przed wyciąganiem wszystkich trupów z szaf przemysłowego imperium tylko po to, by wyjaśnić tajemnicę śmierci konia. Z drugiej strony wciąż pamiętał potworny widok pozbawionego głowy zwierzęcia przywiezionego kolejką i szok,

jaki wówczas przeżył. Jak to powiedział Marchand? „Pan Lombard ma wielu wrogów”.

Zadzwonił telefon. Servaz odebrał. To była d’Humières.

– Strażnicy zniknęli.

– Niech się pani nigdy nie odwraca do nich plecami – powiedział doktor Xavier.

Za dużymi oknami góry płonęły zachodem słońca. Czerwony blask zalewał salę.

– Niech pani będzie uważna. W każdej sekundzie. Tutaj nie ma miejsca na błędy. Szybko się pani nauczy rozpoznawać sygnały: uciekające spojrzenie, szyderczy uśmiech, przyspieszony oddech... Niech pani nigdy nie osłabia czujności. I nigdy nie odwraca się do nich plecami.

Diane skinęła głową. Zbliżał się pacjent. Trzymał się za brzuch.

– Gdzie jest karetka, doktorze?

– Karetka? – odpowiedział Xavier uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Karetka, która ma mnie zawieźć na porodówkę. Odeszły mi wody. Już powinna tu być.

Stał przed nimi mężczyzna około czterdziestki. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i musiał ważyć jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów. Długie włosy, gęsta broda, drobne, niespokojnie błyszczące oczka. Xavier wyglądał przy nim jak dziecko. Nie robił jednak wrażenia zakłopotanego.

– Zaraz przyjedzie – odpowiedział. – To chłopiec czy dziewczynka?

Małe oczka wpatrywały się w doktora.

– To antychryst.

Odszedł. Diane zauważyła, że jeden z pielęgniarzy śledzi wzrokiem każdy jego ruch. Na wspólnej sali było może z piętnastu pacjentów.

– Mamy tu sporo bogów i proroków – skomentował Xavier, nie przestając się uśmiechać. – Szaleństwo od zawsze czerpie z repertuaru polityki i religii. Dawniej nasi pacjenci wszędzie widzieli komunistów. Dziś widzą terrorystów. Proszę za mną.

Psychiatra podszedł do okrągłego stolika, przy którym trzech mężczyzn grało w karty. Jeden z nich – z umięśnionymi, wytatuowanymi ramionami – przypominał więźnia. Pozostali wyglądali normalnie.

– Przedstawiam pani Antonia. – Xavier wskazał mężczyznę w tatuażach. – Antonio służył w Legii Cudzoziemskiej. Niestety był przekonany, że obóz, do którego go przydzielono, jest pełen szpiegów, i w końcu pewnej nocy jednego udusił. Prawda, Antonio?

Antonio skinął głową, nie przestając wpatrywać się w karty.

– Mosad – powiedział. – Są wszędzie.

– Robert z kolei rzucił się na rodziców. Nie, nie zabił ich, po prostu bardzo ich oszpecił. Trzeba powiedzieć, że rodzice od siódmego roku życia zmuszali go do ciężkich prac, karmili tylko chlebem i mlekiem i kazali spać w piwnicy. Robert ma trzydzieści siedem lat. To ich powinno się zamknąć, nie jego, jeśli chce pani znać moje zdanie.

– To głosy mi kazały tak zrobić – powiedział Robert.

– A to jest Greg. Być może najciekawszy przypadek. Greg w ciągu niecałych dwóch lat zgwałcił dziesięć kobiet. Wyhaczał je na pocztę lub w hipermarkecie, a potem szedł za nimi, żeby się dowiedzieć, gdzie mieszkają. Następnie, gdy spały, wchodził do mieszkania, bił je, wiązał i kładł na brzuchu, po czym zapalał światło. Nie wdawajmy się w szczegóły na temat

tęgo, co musiały znosić. Wystarczy pani wiedzieć, że następstwa tych cierpień pozostaną w nich do końca życia. Ale nie zabijał ich, nie. Za to któregoś ranka zaczął do nich pisać. Był przekonany, że w wyniku tych... *stosunków* kobiety zakochały się w nim i zaszły w ciążę. Podał im więc swoje nazwisko i adres. Policja szybko do niego dotarła. Greg ciągle do nich pisze. Oczywiście nie wysyłamy jego listów. Pokażę je pani. Są cudowne.

Diane popatrzyła na Grega. Był pociągającym mężczyzną około trzydziestki: brązowe włosy, jasne oczy – ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, Diane zdrżała.

– Idziemy dalej?

Długi korytarz zalany był czerwonym blaskiem zachodu.

Na lewo drzwi z okienkiem, zza których dochodziły jakieś głosy. Szybkie, nerwowe, pośpiesznie wypowiedane słowa. Przechodząc, rzuciła okiem do środka i doznała szoku. Na stole operacyjnym leżał mężczyzna w masce tlenowej, z elektrodami na skroniach. Wokół stali pielęgniarki.

– Co to jest? – zapytała

– Terapia elektrowstrząsowa.

Elektrowstrząsy... Diane poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku. Od samego początku, gdy w latach trzydziestych ubiegłego wieku zaczęto wykorzystywać je w psychiatrii, elektrowstrząsy były przedmiotem sporów. Krytycy tej metody uznawali ją za nieludzką i porównywali do tortur. Dlatego też, kiedy w latach sześćdziesiątych pojawiły się neuroleptyki, popularność terapii elektrowstrząsowej znacznie zmalała. Aż do lat osiemdziesiątych, kiedy to wiele krajów – w tym Francja – wróciło do niej z jeszcze większym zapałem.

– Proszę to dobrze zrozumieć – powiedział Xavier, dostrzegając jej milczenie – dzisiejsze elektrowstrząsy nie mają nic wspólnego z sesjami, jakie przeprowadzano dawniej. Aplikuje się je pacjentom dotkniętym ciężką depresją, podając znieczulenie ogólne i środek rozluźniający napięcie mięśniowe, który jest szybko usuwany z organizmu. Ta terapia daje dobre wyniki, jest skuteczna w osiemdziesięciu pięciu procentach przypadków poważnej depresji. Skuteczniejsza niż antydepresanty. Jest bezbolesna i dzięki współczesnym metodom nie pozostawia już następstw w układzie kostnym ani powikłań ortopedycznych.

– Ale pozostawia następstwa w obszarze pamięci i poznania. Po zabiegu przez wiele godzin może się utrzymywać splątanie. I wciąż nie wiadomo, jak elektrowstrząsy naprawdę działają na mózg. Macie tu dużo pacjentów z depresją?

Xavier spojrzał na nią podejrzliwie.

– Nie. Tylko dziesięć procent.

– A ilu schizofreników i psychopatów?

– Około pięćdziesięciu procent to schizofrenicy, dwadzieścia pięć procent psychopaci, trzydzieści procent psychotycy. Dlaczego pani pyta?

– I oczywiście stosujecie terapię elektrowstrząsową wyłącznie w przypadku depresji?

Poczuła jakby delikatny podmuch powietrza. Xavier utkwiał w niej spojrzenie.

– Nie. Stosujemy ją także wobec pacjentów mieszkających w sektorze A.

Uniosła brew, robiąc zdziwioną minę.

– Myślałam, że do tego potrzeba zgody pacjenta lub opiekuna prawnego.

– W tym jednym wypadku obchodzimy się bez niej.

Jej wzrok ślizgał się po nieprzeniknionej twarzy Xaviera. Coś jej się wymykało. Wzięła

głęboki oddech i starała się mówić jak najbardziej neutralnym tonem:

– W jakim celu? Bo przecież nie terapeutycznym. Skuteczność elektrowstrząsów wykazano wyłącznie w przypadku depresji, manii i nielicznych form schizofrenii...

– *Ze względów społecznych.*

Diane lekko zmarszczyła czoło.

– Nie rozumiem.

– Ależ to oczywiste: chodzi o wymierzenie kary.

Stał teraz odwrócony do niej tyłem i wpatrywał się w pomarańczowe słońce chowające się za czarnymi górami. Na podłodze rozciągał się jego cień.

– Panno Berg, zanim znajdzie się pani w sektorze A, musi pani zrozumieć jedno: tych siedmiu ludzi nic nie jest w stanie przestraszyć. Nawet izolacja. Żyją we własnym świecie i nic ich nie rusza. Niech sobie to pani dobrze wbije do głowy: nigdy nie spotkała pani takich pacjentów. Nigdy. A przy tym, rzecz jasna, kary cielesne są tutaj zabronione, tak jak wszędzie. – Odwrócił się i spojrzał na nią. – Tylko jednego się boją. Elektrowstrząsów.

– Chce pan powiedzieć – zawahała się – że stosujecie na nich elektrowstrząsy bez...?

– Bez znieczulenia.

Następnego dnia, jadąc autostradą, Servaz rozmyślał o strażnikach. Według Cathy d'Humières nie pojawili się wczoraj w pracy. Dyrektor elektrowni odebrał telefon dopiero po godzinie.

Dyrektor próbował się do nich dodzwonić na ich telefony komórkowe, ale żaden nie odbierał. Morane powiadomił więc żandarmerię, która wysłała ludzi do ich domów. Mężczyźni mieszkali samotnie – jeden dwadzieścia, a drugi czterdzieści kilometrów od Saint-Martin. Obydwaj mieli zakaz mieszkania w tym samym departamencie co ich dawne partnerki, którym wielokrotnie grozili śmiercią, co przynajmniej w przypadku jednej z nich skończyło się pobyt w szpitalu. Servaz doskonale wiedział, że w praktyce policja bynajmniej nie zawraca sobie głowy egzekwowaniem tego rodzaju zobowiązań. Rzecz była nie do zrealizowania z oczywistego powodu: było zbyt wielu przestępców, za dużo decyzji o nadzorze sądowym, toczących się postępowań i ogłoszonych wyroków. Sto tysięcy skazanych na karę więzienia było na wolności. Część z nich oczekiwała na swoją kolejkę, a niektórzy postanowili się ulotnić natychmiast po opuszczeniu sali sądowej, wiedząc, że istnieje niewielkie ryzyko, by państwo francuskie poświęciło pieniądze i ludzi na ich poszukiwania, i mając nadzieję, że gdy nadejdzie czas ich odsiadki, nikt nie będzie już o nich pamiętał.

Poinformowawszy go o zniknięciu strażników, pani prokurator oznajmiła, że Éric Lombard wraca ze Stanów i chciałby niezwłocznie rozmawiać z osobami prowadzącymi śledztwo. Servaz o mało nie stracił panowania nad sobą. Miał na głowie sprawę morderstwa i chociaż chciał się dowiedzieć, kto zabił konia, domyślając się zresztą, że było to zaledwie preludium do czegoś znacznie poważniejszego, nie oznaczało to, że jest na każde zawołanie Érica Lombarda.

– Nie wiem, czy będę mógł – oznajmił sucho. – Mam sporo roboty w związku z tym zamordowanym bezdomnym.

– Byłoby lepiej, gdyby pan przyjechał – nalegała d'Humières. – Wygląda na to, że Lombard skontaktował się z Ministerstwem Sprawiedliwości, oni zadzwonili do prezesa sądu pierwszej instancji, a on zatelefonował do mnie. No i z kolei ja dzwonię do pana. Reakcja łańcuchowa. Poza tym Canter powie panu to samo. Jestem pewna, że Lombard dzwonił również do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Swoją drogą myślałam, że ma pan już zabójców bezdomnego.

– Mamy zeznania dość słabego świadka – odpowiedział Servaz niechętnie; nie zamierzał w tym momencie wdawać się w szczegóły. – Czekamy na wyniki analizy śladów. Sporo ich było na miejscu: odciski palców, ślady butów, krew...

– W końcu jest pan kozioroźcem, prawda? Servaz, niech mi pan tu nie zgrywa przepracowanego policjanta, nie cierpię tego. Proszę mi wyświadczyć tę przysługę. Kiedy może pan tam wrócić? Éric Lombard będzie na pana czekał od jutra. Spędzi w dolinie cały weekend. Niech pan znajdzie chwilę.

– W porządku. Ale zaraz po audiencji wracam do śledztwa w sprawie bezdomnego.

Zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Świeciło słońce, chmury uciekły daleko. Skorzystał z okazji i zadzwonił do Ziegler. O dziewiątej miała asystować przy sekcji zwłok konia w stadninie w Tarbes. zaproponowała, żeby tam pojechał. Servaz się zgodził, ale powiedział, że zaczeka na zewnątrz.

– Jak pan chce – odpowiedziała, nie kryjąc zaskoczenia.

Jak miał jej wytłumaczyć, że boi się koni? Że przejście przez pełną zwierząt stadninę jest ponad jego siły? Rzuciła nazwę pobliskiej kafejki, w alei Régiment-de-Bigorre. Dołączy do niego, gdy skończą. Kiedy dojechał na miejsce, miasto tonęło w promieniach prawie wiosennego słońca. Zabudowania Tarbes, miasta położonego u wrót Parku Narodowego Pirenejów, wznosiły się wśród zieleni. W głębi widać było ścianę niepokalanie białych gór. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Migoczące w słońcu górskie szczyty wyglądały lekko i ulotnie jak balony gotowe w każdej chwili wznieść się w górę. To jakby psychiczna bariera, pomyślał Servaz na ich widok. Umysł rozbija się o te góry jak o mur. Jakby było to terytorium nieprzyjazne dla ludzi, *terra incognita*, w sensie dosłownym – ziemia nieznaną.

Wszedł do umówionej kafejki, usiadł przy stoliku koło okna i zamówił białą kawę z croissantem. W stojącym w kącie nad barem telewizorze z głośnością podkreconą do maksimum bez przerwy leciały wiadomości. Servaz nie mógł się skupić. Już miał poprosić o ściszenie, gdy z ekranu padło nazwisko Érica Lombarda. Wypowiadający je dziennikarz stał na skraju pasa startowego niewielkiego lotniska z mikrofonem w ręku. W tle zaśnieżone góry, podobne do tych na zewnątrz. Obraz na ekranie pochłonał uwagę Servaza, a kiedy pojawiła się twarz Érica Lombarda, policjant podszedł do baru.

Miliarder udzielał wywiadu tuż po wylądowaniu na lotnisku w Tarbes. Za nim stał mały prywatny samolot z niebieskimi literami LOMBARD wymalowanymi na lśniącej białej burcie. Lombard miał poważną minę człowieka, który stracił ukochaną istotę. Dziennikarz pytał go właśnie, czy to zwierzę miało dla niego szczególną wartość.

– To był nie tylko koń – odpowiedział biznesmen. W jego głosie słychać było starannie dawkowane poruszenie i pewność siebie. – To był towarzysz, przyjaciel, partner. Ci, którzy naprawdę kochają konie, wiedzą, że to nie są tylko zwierzęta. A Freedom był wyjątkowy. Pokładaliśmy w nim duże nadzieje. Ale poza wszystkim najstraszniejszy jest sposób, w jaki zginął. Dopilnuję, aby uczyniono wszystko, by znaleźć winowajców.

Servaz zobaczył, jak Lombard przesuwając wzrok, by utkwic go w obiektywie kamery, a za jej pośrednictwem – w oczach widzów. Jego spojrzenie wyrażało kolejno ból, wściekłość, wyzwanie i groźbę.

– Ci, którzy to zrobili, powinni sobie uświadomić, że mi nie uciekną. I że jestem człowiekiem spragnionym sprawiedliwości.

Servaz rozejrzał się wokół siebie. Wszyscy wpatrywali się w ekran telewizora. Niezłe, pomyślał, ładny numer. Nie ulegało wątpliwości, że został przygotowany wcześniej, ale to nie pozbawiło go brutalnej szczerości. Servaz zastanawiał się, jak daleko człowiek pokroju Érica Lombarda jest w stanie się posunąć, by zrealizować swoją groźbę. Następne dwie godziny spędził na robieniu bilansu rzeczy, które już wiedzieli, i tych, na których temat nie mieli informacji. Tych drugich było zdecydowanie więcej. Gdy Irène Ziegler pojawiła się wreszcie na chodniku za oknem, Servazowi na chwilę zaparło dech. Była ubrana w kombinezon motocyklowy z czarnej skóry z nakolannikami i naramiennikami wykonanymi z szarego metalu i buty z okuciami na noskach i obcasach. W ręku trzymała kask. Amazonka... Servaza znowu

uderzyła jej uroda. Uświadomił sobie, że jest niemal tak piękna jak Charlène Espérandieu, ale w inny sposób – bardziej sportowy, mniej wyszukany. Charlène wyglądała jak modelka, Irène jak mistrzyni windsurfingu. Znowu poczuł podniecenie. Przypomniał sobie, co myślał, kiedy zobaczył kolczyk w jej nosie. Niewątpliwie Irène Ziegler była pociągającą kobietą.

Servaz spojrział na zegarek. Była jedenasta.

– I jak? – zapytał.

Odpowiedziała, że sekcja nie wniosła wiele nowego do śledztwa poza informacją, że zwierzęciu obcięto głowę po śmierci. Marchand także przyjechał. Lekarz sądowy dał im do zrozumienia, że zwierzę prawdopodobnie zostało uśpione i że badanie toksykologiczne to potwierdzi. Kiedy zarządca ośrodka wychodził z sali, wyglądał, jakby mu ulżyło. Zgodził się wreszcie na zabranie ciała do utylizacji. Poza głową, którą chce zachować jego szef. Według Marchanda Lombard zamierzał ją wypchać i powiesić na ścianie.

– Powiesić na ścianie? – powtórzył Servaz z niedowierzaniem.

– Myśli pan, że oni są winni?

– Kto?

– Strażnicy.

– Nie wiem.

Servaz wyjął telefon i wybrał numer zamku. Usłyszał w słuchawce damski głos.

– Mówi komendant Servaz, policja kryminalna w Tuluzie. Chciałbym rozmawiać z panem Lombardem.

– Jak nazwisko?

– Servaz.

– Proszę się nie rozłączać.

Długi sygnał oczekiwania. Wreszcie odezwał się mężczyzna w nieokreślonym wieku:

– Tak?

– Komendant Servaz, policja kryminalna.

– W jakiej sprawie?

Servaz poczuł, że zaraz wybuchnie.

– Niech pan posłucha, to pański szef chciał się ze mną spotkać. To nie jest moje jedyne zajęcie. Nie zamierzam tracić czasu!

– Proszę powoli przeliterować nazwisko i przypomnieć mi, w jakiej sprawie pan dzwoni – powiedział mężczyzna po drugiej stronie niewzruszonym głosem. – Pan Lombard także nie zamierza tracić czasu.

Arogancja tego człowieka sprawiła, że Servaz zaniemówił. O mało nie przerwał rozmowy, ale się powstrzymał.

– Servaz. S, E, R, V, A, Z. Dzwonię w sprawie konia o imieniu Freedom.

– Nie mógł pan od razu tak mówić? Proszę się nie rozłączać. Pan Lombard oczekuje pana dziś o piętnastej.

To nie brzmiało jak zaproszenie, ale jak rozkaz.

Kiedy znaleźli się na ziemiach Érica Lombarda, poczuli się jak w krainie z bajki. Zostawili samochód i motocykl na parkingu żandarmerii w Saint-Martin i przesiedli się do służbowego

auta. Ta sama droga, która prowadziła do ośrodka jeździeckiego, ale w lesie zamiast skrócić w lewo, pojechali na wprost.

Następnie jechali przez rozległe, pofałdowane łąki, wysadzone lipami, dębami, sosnami i wiązami. Posiadłość była ogromna, ciągnęła się aż po horyzont. Wszędzie były barierki, na pastwiskach pasły się konie, przy drogach stały maszyny rolnicze w każdej chwili gotowe do użycia. Gdzieś leżał śnieg, ale powietrze było przejrzyste i jasne. Krajobraz przypominał Servazowi ranczo w Montanie albo hacjendę w Argentynie. Od samego początku widzieli powieszane na pniach drzew i barierkach tablice z napisem: TEREN PRYWATNY/WSTĘP WZBRONIONY. Ale nie natknęli się na żadną bramę. Pięć kilometrów dalej zobaczyli kamienny mur. Miał cztery metry wysokości i zasłaniał część krajobrazu. Teren za murem był porośnięty drzewami. Zahamowali przed kratą. Do jednego z filarów przymocowana była marmurowa tablica.

Servaz przeczytał złożone litery: BIAŁY ZAMEK.

Kamera umieszczona na szczycie filara odwróciła się w ich stronę. Nie musieli wysiadać z samochodu, żeby się przedstawić przez domofon: kraty otworzyły się niemal natychmiast.

Jechali jeszcze dobry kilometr aleją wysadzaną stuletnimi dębami. Prosta droga, wylana równym, czarnym asfaltem, biegła skarpą pod powykręcanymi gałęziami drzew. Servaz dostrzegł budynek powoli wyłaniający się w głębi parku. Po kilku chwilach zatrzymali samochód przed klombem przykrytych śniegiem zimowych wrzosów i bladoróżowych kamelii. Servaz był rozczarowany: zamek był mniejszy, niż się spodziewał. Ale gdy spojrzał drugi raz, rozczarowanie minęło. Stali przed pełnym dziecięcego uroku budynkiem pochodzącym prawdopodobnie z końca dziewiętnastego lub z początku dwudziestego wieku. Budowla w połowie przypominała zamki nad Loarą, a w połowie angielski dwór. Zamek z bajki... Przed oknami parteru stał szpaler dużych krzewów, odcinających się od śniegu, przyciętych na kształt zwierząt: były tam słoń, koń, żyrafa i jeleń. Na lewo, po wschodniej stronie, Servaz zauważył francuski ogród z rzeźbami zamyślonych postaci i sadzawkami. Przykryty plandeką basen i kort tenisowy. W głębi duża oranżeria z dziwnymi antenami na dachu.

Przypomniał sobie znalezione w Internecie liczby: Éric Lombard był właścicielem jednego z największych majątków we Francji i jednym z jej najbardziej wpływowych obywateli. Stał na czele imperium, które prowadziło interesy w siedemdziesięciu krajach. Wyglądało na to, że dawna letnia oranżeria została przerobiona na supernowoczesne centrum komunikacyjne. Ziegler zatrzasnęła drzwi wozu.

– Niech pan patrzy.

Wskazywała na drzewa. Podążył wzrokiem za jej ręką. Wśród gałęzi naliczył trzydzieści kamer. Musiały obejmować cały obszar. Żadnych kątów martwych. W którymkolwiek miejscu zamku by się znaleźli, byli pod obserwacją. Poszli wysypaną żwirkiem alejką, na której brzegach rosły kępy kwiatów, i przeszli między dwoma krzewami przyciętymi na kształt siedzących lwów. Dziwne, pomyślał Servaz. Ten ogród wygląda jak miejsce zabaw dla bardzo bogatych dzieci. Nigdzie jednak nie czytał, żeby Éric Lombard miał dzieci. Przeciwnie, większość artykułów pisała o zatwardziałym kawalerze i jego licznych podbojach. A może te zielone rzeźby pochodzą z czasów jego dzieciństwa? Na szczycie schodów czekał na nich mężczyzna około sześćdziesiątki. Wysoki, ubrany na czarno. Spojrzenie twarde jak lód. Choć Servaz widział go pierwszy raz, domyślił się, z kim ma do czynienia. To ten sam człowiek, z którym rozmawiał przez telefon. Servaz znowu poczuł narastający gniew. Facet przywitał ich bez uśmiechu

i poprosił, by szli za nim, po czym ruszył przed siebie. Ton, jakim się do nich zwracał, wskazywał, że i tym razem nie chodzi o prośbę, ale o rozkaz.

Przeszli przez próg.

Amfilada przestronnych, pustych i akustycznych salonów ciągnęła się na całej długości budynku, gdyż w głębi, na drugim krańcu dostrzegliienne światło, jakby dochodzące z końca tunelu. Wnętrze było monumentalne. Okna pierwszego piętra oświetlały hall. Sufit był bardzo wysoko. Mężczyzna w czerni przeszedł przed nimi przez hall i pierwszy z pustych salonów, a następnie skręcił w prawo ku podwójnym drzwiom. Znaleźli się w bibliotece. Pod ścianami stały regały pełne starych książek. Cztery balkonowe okna wychodziły na las. Przed jednym z nich stał Éric Lombard. Servaz natychmiast go rozpoznał, choć mężczyzna był do nich odwrócony plecami. Biznesmen prowadził rozmowę telefoniczną przez zestaw słuchawkowy.

– Policja już jest – powiedział mężczyzna w czerni tonem, w którym słycać było obojętność i pogardę wobec gości.

– Dziękuję, Otto.

Otto wyszedł z pomieszczenia. Lombard zakończył rozmowę po angielsku, zdjął słuchawki i położył je na dębowym stole. Spojrzał kolejno na każde na nich – najpierw na Servaza, a potem na Ziegler. Przyglądał jej się dłuższą chwilę. W jego oczach pojawił się błysk zdumienia na widok jej stroju. Uśmiechnął się ciepło.

– Proszę wybaczyć Ottonowi. Jest nie z tej epoki. Czasami ma skłonność do traktowania mnie jak księcia czy króla. Ale to zaufany człowiek, mogę na niego liczyć w każdej sytuacji.

Servaz nic nie powiedział. Czekał na dalszy ciąg.

– Wiem, że jesteście państwo bardzo zajęci. I że nie możecie tracić czasu. Ja też nie mogę. Ogromnie mi zależało na tym koniu. To było wspaniałe zwierzę. Muszę mieć pewność, że zostanie zrobione wszystko, absolutnie wszystko, żeby znaleźć człowieka, który popełnił tę zbrodnię. – Znowu na nich patrzył. W jego niebieskich oczach malował się smutek, ale także stanowczość i pewność siebie. – Chcę, żebyście wiedzieli, że możecie do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy i zadawać mi wszystkie pytania, jakie uznacie za stosowne, nawet najbardziej absurdalne. Zaprosiłem was tutaj, żeby się upewnić, że nie pominiecie żadnego tropu i użycie wszelkich środków, żeby doprowadzić to śledztwo do końca. Chcę, żeby sprawa została całkowicie wyjaśniona. Otrzymałem zapewnienie, że jesteście świetnymi detektywami. – Uśmiechnął się, ale jego uśmiech zaraz zniknął. – Gdyby się jednak okazało, że zaniedbujecie tę sprawę lub ją lekceważycie pod pretekstem, że chodzi tylko o konia, będę bezlitosny.

Nawet nie zakamufłował swojej groźby. „Chcę...” Ten człowiek nie stosował wybiegów. Nie chciał tracić czasu i zmierzał prosto do celu. Nagle wydał się Servazowi niemal sympatyczny. Tak jak jego miłość do konia.

Ale Irène Ziegler najwyraźniej słyszała go na innej częstotliwości. Servaz zauważył, że zbladła.

– Groźbami niczego pan nie osiągnie – rzuciła lodowato.

Lombard spojrział na nią. Nagle jego rysy złagodniały. Wyglądał na szczerze skruszonego.

– Proszę mi wybaczyć. Nie wątpię, że jesteście doskonałymi, sumiennymi fachowcami. Wasi przełożeni bardzo was chwala. Zachowałem się jak idiota. Te... *wydarzenia* mną wstrząsnęły. Pani kapitan Ziegler, proszę przyjąć moje przeprosiny. Są naprawdę szczerze.

Irène niechętnie kiwnęła głową. Nic nie powiedziała.

– Jeśli nie wyda się to panu niestosowne – włączył się Servaz – skoro już tu jesteśmy, chciałbym od razu zadać panu parę pytań.

– Oczywiście. Proszę za mną. Pozwólcie, że poczęstuję państwa kawą.

Éric Lombard otworzył drzwi w głębi biblioteki. Znaleźli się w salonie. Promienie słońca wpadające przez balkonowe okna oświetlały dwie skórzane sofy i niski stolik. Na tacy stały trzy filiżanki i dzbanek z wodą. Servaz ocenił, że podobnie jak meble, dzbanek musi być zabytkowy i bardzo cenny. Wszystko było przygotowane – także cukier, koszyk słodkiego pieczywa i dzbanuszek z mlekiem.

Servaz bezzwłocznie przeszedł do rzeczy:

– Pierwsze pytanie. Czy widzi pan kogoś, kto mógłby popełnić tę zbrodnię albo chociaż miałby powód, żeby to zrobić?

Éric Lombard akurat podawał kawę.

Przerwał i zanurzył spojrzenie w oczach Servaza. Duże lustro z tyłu odbijało jego blond czuprynę. Miał na sobie golf i spodnie z popielatej wełny. I był bardzo opalony.

Odpowiedział bez zmrużenia powiek.

– Tak.

Servaz się wzdrygnął. Siedząca obok Ziegler także się poruszyła.

– I nie – dorzucił po chwili. – To są dwa pytania w jednym. Tak, bo znam mnóstwo osób, które mogły mieć powody, żeby to zrobić. Nie, ponieważ nie znam nikogo, kto byłby do tego zdolny.

– Niech pan uściśli – powiedziała Ziegler rozdrażniona. – Dlaczego mieliby powody, żeby zabić to zwierzę?

– Żeby mnie skrzywdzić, żeby się zemścić, żeby zrobić na mnie wrażenie. Jak się pewnie domyślicie, w moim zawodzie i dysponując takim majątkiem, człowiek robi sobie wrogów, wzbudza zazdrość, podkrada rynki konkurencji, odrzuca oferty, doprowadza innych do ruiny, zwalnia setki osób... Gdybym miał zrobić listę tych, którzy mnie nienawidzą, miałyby objętość grubego tomu.

– Nie mógłby się pan wyrażać nieco bardziej precyzyjnie?

– Niestety nie. Rozumiem wasz tok myślenia: ktoś zabił mojego ulubionego konia i powiesił na najwyższym słupie kolejki linowej, która należy do mnie. A zatem ktoś ma do mnie pretensje. Wszystko wskazuje na mnie, zgadzam się z wami. Ale kto to zrobił? Nie mam żadnego pomysłu.

– Nie otrzymywał pan żadnych pogroźek ustnych albo pisemnych, żadnych anonimów?

– Nie.

– Pana grupa działa w siedemdziesięciu pięciu krajach – stwierdził Servaz.

– W siedemdziesięciu ośmiu – poprawił go Lombard.

– Czy grupa ma związki, nawet niebezpośrednie, z mafiami, z przestępczością zorganizowaną? Wyobrażam sobie, że w niektórych krajach ten rodzaj... kontaktów jest mniej lub bardziej nie do uniknięcia.

Lombard znowu intensywnie wpatrywał się w Servaza, ale tym razem bez agresji. Pozwolił sobie nawet na uśmiech.

– Jest pan bardzo bezpośredni, komendancie. Ma pan pewnie na myśli scenę z *Ojca chrzestnego* z odciętą głową konia? Nie, moja grupa nie ma związków z przestępczością zorganizowaną. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Nie mówię, że w niektórych krajach Afryki

czy Azji nie musimy przymykać oczu na pewne praktyki, ale powiedzmy wprost, tam chodzi o dyktatury, nie o mafie.

– Nie przeszkadza to panu? – zapytała Ziegler.

Lombard uniósł brew.

– Robienie interesów z dyktatorami – uściśliła.

Na twarzy Lombarda znowu pojawił się pobłażliwy uśmiech. Tym razem jednak był to uśmiech monarchy, który się waha, czy wykpić impertynencję swojego poddanego, czy też kazać go ściąć na miejscu.

– Nie sądzę, by odpowiedź na to pytanie miała w istotny sposób pomóc w waszym śledztwie – odpowiedział. – Musicie też wiedzieć, że wbrew pozorom nie jestem jedynym szefem: w wielu dziedzinach mamy partnerów, pierwszym z nich jest francuski rząd. Istnieją pewne aspekty „polityczne”, za które nie ja odpowiadam.

Bezpośredni, ale jeśli trzeba, świetnie żongluje politycznie poprawnym pustosłowiem, zauważył Servaz.

– Chciałbym zrozumieć jedną rzecz. Mianowicie, jak to możliwe, żeby nikt, ani w ośrodku jeździeckim, ani w elektrowni, niczego nie zauważył. Nie da się ot tak, w środku nocy przetransportować konia.

Lombard sposepniał.

– Ma pan rację. Ja także zadawałem sobie to pytanie. Z całą pewnością ktoś kłamie. *I bardzo chciałbym wiedzieć, kto to jest* – dodał tonem groźby. Odstawił filiżankę tak gwałtownie, że Servaz i Ziegler podskoczyli. – Zwołałem wszystkich, cały dzienny i nocny personel elektrowni i pracowników stadniny. Zaraz po przyjeździe każdego z nich przesłuchałem. Zajęło mi to cztery godziny. Nie osądzajcie mnie, przyznaję się, że użyłem wobec nich wszelkich dostępnych środków nacisku. Tamtej nocy nikt niczego nie słyszał. Ale to oczywiście niemożliwe. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Marchand i Hector mówią prawdę. Nigdy nie skrzywdziliby konia i służą naszej rodzinie od bardzo dawna. To prawi i kompetentni ludzie. Nasze stosunki zawsze były bardzo dobre. Można powiedzieć, że należą do rodziny. Możecie ich skreślić z waszej listy. To samo dotyczy Hermine. To wspaniała dziewczyna, która uwielbiała Freedom. Jest załamana tą historią.

– Wie pan o zniknięciu strażników?

Lombard zmarszczył brwi.

– Tak. Tylko ich nie przesłuchałem.

– Jest ich dwóch. Żeby powiesić konia na górze, trzeba było co najmniej dwóch osób. I byli już skazani.

– Idealni podejrzani – skomentował Lombard z powątpiewaniem.

– Nie wygląda pan na przekonanego.

– Nie wiem... Po co ci goście mieliby wieszać Freedom tam, gdzie pracują? To najlepszy sposób na ściągnięcie na siebie podejrzeń, prawda?

Servaz skinął głową z aprobatą.

– A jednak się ulotnili – zauważył.

– Niech się pan postawi na ich miejscu. Z takimi kartotekami. Niech pan tego nie bierze do siebie, ale oni dobrze wiedzą, że jeśli policja znajdzie sobie winnego, rzadko szuka dalej.

– Kto ich zatrudnił? – zapytała Ziegler. – Co pan o nich wie? Jak sądzę, zdążył pan od

wczoraj zebrać informacje.

– Oczywiście. Zatrudnił ich Marc Morane, dyrektor elektrowni. W ramach programu readaptacji zawodowej byłych skazanych z więzienia Lannemezan.

– Czy podczas pracy w elektrowni robili już jakieś numery?

– Morane zapewniał mnie, że nie.

– Czy w ostatnich latach wyrzucono kogoś z pracy w elektrowni lub w majątku?

Lombard popatrzył po nich. Blond włosy, broda i niebieskie oczy nadawały mu pociągający wygląd wilka morskiego. Wyglądał podobnie jak na zdjęciach, które oglądali.

– Nie zajmuję się takimi szczegółami. Zarządzanie personelem to nie moja sprawa. Podobnie w przypadku tak niewielkiego zakładu, jakim jest elektrownia. Ale możecie mieć dostęp do wszystkich akt personalnych, a moi współpracownicy są do waszej dyspozycji. Wszystkim wydałem stosowne polecenia w tym względzie. Moja sekretarka prześle wam listę nazwisk z numerami telefonów. Nie wahajcie się zwracać do moich ludzi. Gdyby któryś z nich robił jakieś trudności, dzwońcie do mnie. Powiedziałem wam: dla mnie to jest sprawa najwyższej wagi i jestem do waszej dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. – Wyjął wizytówkę i podał Ziegler. – Poza tym widzieliście elektrownię. Jest przestarzała i tak naprawdę nierentowna. Utrzymujemy ją tylko dlatego, że ma historyczne znaczenie dla grupy Lombarda i naszej rodziny. Jej obecnego dyrektora, Marca Morane'a, znam od dziecka. Chodziliśmy razem do podstawówki. Ale nie widziałem go przez wiele lat.

Servaz zrozumiał, że ostatnia uwaga miała na celu uświadomienie im hierarchii osób. Dla dziedzica imperium dyrektor elektrowni był po prostu jednym z wielu pracowników i stał na samym dole drabiny, na równi lub niemal na równi z robotnikami.

– Ile dni w roku spędza pan tutaj, panie Lombard? – zapytała Ziegler.

– To trudne pytanie: niech się zastanowię... Powiedzmy, że sześć do dziesięciu tygodni. Nie więcej. Oczywiście więcej czasu spędzam w moim paryskim mieszkaniu niż w tym starym zamku. Sporo bywam także w Nowym Jorku. I, szczerze mówiąc, połowę czasu zajmują mi podróże. Ale uwielbiam tutaj przyjeżdżać, szczególnie zimą w czasie sezonu narciarskiego, i latem, kiedy mogę jeździć na moich koniach. Mam inne stajnie, być może o tym wiecie. Ale najważniejsze lata dzieciństwa i młodości spędziłem tutaj, do czasu, kiedy ojciec wysłał mnie do szkoły. Ten budynek może się wam wydawać przygnębiający, ale czuję się tu u siebie. Tyle tu przeżyłem dobrego i złego. Ale nawet złe rzeczy z biegiem czasu wydają się dobre: pamięć wszystko przetwarza...

Pod koniec jego głos jakby zmatowiał. Servaz się wyprostował, stawiając wszystkie zmysły w stan gotowości. Czekał, co będzie dalej. Ale dalszy ciąg nie nastąpił.

– Co miał pan na myśli, mówiąc „dobrego i złego”? – zapytała łagodnie Ziegler.

Lombard zbył pytanie gestem ręki.

– To bez znaczenia. Wszystko jest już tak odległe... To nie ma żadnego związku ze śmiercią mojego konia.

– Ocena ewentualnego związku należy do nas – odparła Ziegler.

Lombard się zawahał.

– Powiedzmy, że mogłoby się wydawać, że życie chłopca, jakim byłem, w takim miejscu, to jedna wielka idylla. Ale wcale nią nie było.

– Ach tak?

Servaz zauważył, jak Lombard rzuca jej ostrożne spojrzenie.

– Niech pani posłucha, nie sędzę, że...

– Że co?

– Dajmy spokój. To nie ma znaczenia.

Servaz usłyszał westchnienie Ziegler.

– Panie Lombard – powiedziała. – Naciskał pan na nas, mówiąc, że jeżeli zlekceważymy tę sprawę, pożałujemy tego. Zachęcał nas pan, żebyśmy się nie wahali zbadać każdego tropu, nawet gdyby się wydawał najbardziej absurdalny. Jesteśmy detektywami, nie fakirami albo jasnowidzami. Musimy wiedzieć jak najwięcej na temat kontekstu tego śledztwa. Kto wie, czy ta rzeźnia nie ma związku z jakimś wydarzeniem z przeszłości?

– Szukanie związków i motywów to nasza praca – potwierdził Servaz.

– Pozwólcie, że opowiem wam o Henrim i Édouardzie Lombardach, moim ojcu i dziadku – powiedział nagle. – Szalenie budująca historia. Niech mi będzie wolno powiedzieć, kim był naprawdę Henri Lombard. Był człowiekiem zimnym jak lód, twardym jak kamień i absolutnie bezkompromisowym. Był także agresywnym egoistą. I fanatykiem porządku, tak samo jak przedtem jego ojciec.

Na twarzy Ziegler malowało się zdumienie. Servaz wstrzymał oddech. Lombard znowu przerwał. Przez chwilę mierzył ich wzrokiem. Dwójka detektywów w milczeniu czekała na dalszy ciąg historii. Cisza wydawała się trwać całe wieki.

– Jak może wiecie, przedsiębiorstwo Lombardów zaczęło naprawdę dobrze prosperować podczas drugiej wojny światowej. Trzeba powiedzieć, że mój ojciec i dziadek bynajmniej nie patrzyli na wkroczenie Niemców nieżyczliwym okiem. Ojciec miał niespełna dwadzieścia lat, przedsiębiorstwem kierował dziadek. Tutaj i w Paryżu. Był to jeden z najbardziej dochodowych okresów w historii firmy, która robiła z nazistami znakomite interesy. – Pochylił się do przodu. Jego odbicie w wiszącym za plecami lustrze powtórzyło ten gest: wyglądało to tak, jakby kopia dystansowała się od tego, co mówi oryginał. – Po wyzwoleniu mój dziadek był sądzony za kolaborację. Skazano go na śmierć, ale ostatecznie został ułaskawiony. Siedział w Clairvaux, gdzie, nawiasem mówiąc, jego sąsiadem był Rebatet. W 1952 został zwolniony. Umarł rok później na serce. W międzyczasie stery w przedsiębiorstwie przejął jego syn Henri. Postanowił rozwinąć rodzinny interes, zróżnicować go i zmodernizować. W przeciwieństwie do dziadka mój ojciec pomimo, a może właśnie z powodu młodego wieku, w 1943 roku wyczuł zmieniający się kierunek wiatru i za plecami własnego ojca nawiązał kontakty z ruchem oporu i gaullistami. Nie, nie ze względu na ideały. Z czystego oportunistu. Był człowiekiem błyskotliwym, wręcz wizjonerem. Po Stalingradzie zrozumiał, że dni Trzeciej Rzeszy są policzone, i zaczął grać na dwa fronty: z jednej strony z Niemcami, z drugiej – z ruchem oporu. To mój ojciec w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zrobił z grupy Lombarda to, czym jest ona teraz. Po wojnie utkał sieć decydujących kontaktów pomiędzy baronami gaullizmu a dawnymi bojownikami ruchu oporu, których obsadził na najważniejszych stanowiskach. Był wielkim potentatem przemysłowym, budowniczym imperium i wizjonerem, w domu jednak był tyranem, brutalnym ojcem i mężem. Nieczułym i dalekim. Fizycznie budził podziw: wysoki, smukły, zawsze ubrany na czarno. Wśród mieszkańców Saint-Martin jedni go szanowali, a inni nienawidzili, ale wszyscy się go bali. Ten człowiek tak bardzo kochał samego siebie, że dla innych miłości już nie starczało. Nawet dla własnej żony i dzieci...

Éric Lombard wstał i podszedł do kredensu. Chwył oprawione w ramki zdjęcie i podał

Servazowi. Ciemne ubranie, nieskalanie biała koszula, wysoki mężczyzna o srogich rysach, długim, wyrazistym nosie, siwych włosach i drapieźnie błyszczących oczach. Henri Lombard nie był ani trochę podobny do swojego syna. Przypominał raczej anglikańskiego pastora albo fanatycznego kaznodzieję. Servaz nie mógł nie pomyśleć o własnym ojcu, szczupłym mężczyźnie pełnym naturalnej szlachetności, którego twarz nie chciała się utrwalić na fotograficznej kliszy jego pamięci.

– W domu i w swoich spółkach ojciec wprowadził terror. Stosował prawdziwą przemoc psychiczną, a nawet fizyczną wobec swoich pracowników, żony i dzieci. – Servaz zauważył, że głos Lombarda się łamie. Nowoczesny poszukiwacz przygód, model z kolorowych czasopism, ustąpił miejsca innej osobie. – Moja matka umarła na raka w wieku czterdziestu dziewięciu lat. Była jego trzecią żoną. Przez dziewiętnaście lat małżeństwa z moim ojcem stale cierpiała z powodu jego tyranii, ataków wściekłości, sarkazmu i z powodu bicia. Wyrzucił wielu służących i pracowników. W naszym środowisku twardość jest cnotą. Ale mój ojciec przebrał miarę. Jego mózg pożerały cienie.

Servaz i Ziegler spojrzeli na siebie. Zdawali sobie sprawę, że dziedzic imperium serwuje im właśnie niesamowitą opowieść; byłaby to nie lada gratka dla brukowców. Najwyraźniej Éric Lombard postanowił im zaufać. Dlaczego? Nagle Servaz zrozumiał. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin biznesmen musiał odbyć wiele rozmów telefonicznych. Komendant jeszcze raz przypomniał sobie zawrotne liczby, o których czytał w sieci, i poczuł nieprzyjemne łaskotanie wzdłuż kręgosłupa. Éric Lombard miał dość pieniędzy i władzy, żeby zdobyć każdą informację. Policjant od razu zaczął się zastanawiać, czy aby Lombard nie prowadzi równoległego śledztwa – śledztwa w śledztwie – które dotyczy nie tylko śmierci konia, ale także – i to z bardzo bliska – samych detektywów. To było jasne. Lombard wiedział o nich przynajmniej tyle, ile oni wiedzieli o nim.

– To ważna informacja – oświadczyła Ziegler. – Dobrze pan zrobił, mówiąc nam o tym.

– Tak pani sądzi? Wątpię. Wszystkie te sprawy już dawno zostały pogrzebane. Oczywiście to, co wam powiedziałem, jest ściśle poufne.

– Jeśli to, co pan mówi, pokrywa się z rzeczywistością, mamy motyw zbrodni: nienawiść, zemsta. Na przykład ze strony dawnego pracownika, byłego znajomego, starego wroga pańskiego ojca.

Lombard sceptycznie potrząsnął głową.

– Gdyby tak było, to dlaczego tak późno? Mój ojciec umarł jedenaście lat temu.

Miał jeszcze coś dodać, gdy telefon Irène Ziegler zabręczał. Sprawdziła numer i spojrzała na nich.

– Przepraszam.

Wstała i odeszła w odległy kąt salonu.

– O ile się nie mylę, pański ojciec urodził się w 1920 roku – ciągnął Servaz. A pan w 1972. Delikatnie mówiąc, późno został ojcem. Miał jeszcze jakieś dzieci?

– Moją siostrę Maud. Urodziła się w 1976, cztery lata po mnie. Obydwoje pochodziliśmy z jego trzeciego i ostatniego małżeństwa. Przedtem nie miał dzieci. Według oficjalnej wersji wydarzeń spotkał moją matkę w Paryżu, w teatrze, gdzie była aktorką...

Lombard znowu wyglądał tak, jakby się zastanawiał, jak daleko może się posunąć w swoich wyznaniach. Badał Servaza, wpatrując się w jego oczy. Po chwili podjął decyzję.

– Moja matka rzeczywiście była niezłą aktorką, ale nigdy nie postawiła nogi na scenie ani w teatrze, chyba że w charakterze widza. Nigdy też nie występowała w kinie. Jej talent polegał raczej na odgrywaniu komedii przeznaczonych za każdym razem dla jednego tylko widza: grała dla dojrzałych, bogatych mężczyzn, którzy bardzo drogo płacili za jej towarzystwo. Zdaje się, że miała wierną klientelę wśród bogatych biznesmenów. Była rozchwytywana. Mój ojciec był jednym z najgorliwszych. Z całą pewnością bardzo szybko zrobił się zazdrosny. Chciał ją mieć tylko dla siebie. Tak jak w innych sytuacjach musiał być pierwszy i w ten czy inny sposób odsunąć rywali. A zatem poślubił ją. Innymi słowy, co bardziej do niego pasuje, „kupił”. Na swój sposób. Nigdy nie przestał uważać jej za... *kurwę*, nawet po ślubie. Kiedy mój ojciec się z nią ożenił, miał pięćdziesiąt jeden lat, ona trzydzieści. Ze swojej strony matka musiała dojść do wniosku, że jej „kariera” dobiega końca i najwyższy czas pomyśleć o nawróceniu. Nie wiedziała jednak, że człowiek, za którego wychodzi, jest agresywny. Cierpiała przez niego.

Nagle Éric Lombard spochmurniał. Nigdy nie wybaczył swojemu ojcu. Servaz z drżeniem uświadomił sobie, że łączyło go z Lombardem duże podobieństwo: dla każdego z nich rodzinne wspomnienia tworzyły przekładaniec radości i cierpienia, jasnych chwil i okropności. Kątem oka obserwował Ziegler. Ciągle rozmawiała przez telefon, stojąc na drugim końcu pomieszczenia, odwrócona do nich plecami.

Nagle się odwróciła i jej wzrok napotkał spojrzenie Servaza.

Policjant poczuł niepokój: musiała usłyszeć przez telefon coś, co nią wstrząsnęło.

– Od kogo się pan dowiedział tego wszystkiego o rodzicach?

Lombard uśmiechnął się smutno.

– Kilka lat temu wynająłem dziennikarza, żeby pogrzebać w rodzinnej historii... – Zawahał się przez chwilę. – Od dawna chciałem się dowiedzieć czegoś więcej na temat mojego ojca i matki. Dobrze wiedziałem, że nie byli zgraną parą, delikatnie mówiąc. Ale nie spodziewałem się, że to aż taki kram. Potem kupiłem milczenie tego dziennikarza. Drogo. Ale warto było.

– I od tamtej pory już żaden dziennikarz nie pchał nosa w te sprawy?

Lombard spojrzał na Servaza. Znowu był nieustępliwym biznesmenem.

– Ależ tak. Oczywiście. Kupiłem ich wszystkich. Jednego po drugim. Wydałem fortunę. Ale powyżej pewnej sumy każdego można kupić...

Spojrzał na Servaza, który zrozumiał przekaz: każdego, nawet pana. Policjant poczuł narastający gniew. Był oburzony jego arogancją. A jednocześnie wiedział, że mężczyzna siedzący naprzeciwko ma rację. Być może – w imię kodeksu etycznego, który przyjął, wstępując do policji – miałyby się odmówić, gdyby chodziło tylko o niego. Ale gdyby był dziennikarzem, a siedzący naprzeciw człowiek proponował mu opłacenie najlepszych szkół dla jego córki, najlepszych nauczycieli i uniwersytetów, a w dalszej kolejności pracę w jej wymarzonej zawodzie... Czy okazałby się na tyle niezłomny, żeby zrezygnować z takiej przyszłości dla Margot? W pewnym sensie Lombard miał rację: po przekroczeniu pewnej granicy każdego można kupić. Ojciec kupił sobie żonę. Syn kupował dziennikarzy – i z całą pewnością także polityków. Éric Lombard był bardziej podobny do swojego ojca, niż myślał.

Servaz nie miał więcej pytań.

Odstawił pustą filiżankę. Ziegler podeszła do nich. Przyglądał jej się dyskretnie. Była spięta i zaniepokojona.

– No dobrze, w takim razie chciałbym wiedzieć, czy macie jakiś trop – powiedział chłodno

Lombard.

Sympatia, którą Servaz przez chwilę do niego czuł, natychmiast wyparowała. Ten człowiek znowu zwracał się do nich jak do swojej służby.

– Bardzo mi przykro – odpowiedział szybko z uśmiechem kontrolera podatkowego. – Na tym etapie śledztwa wolelibyśmy nie omawiać go z żadną z osób, których ono dotyczy.

Lombard długo mierzył go wzrokiem. Servaz dostrzegł, że rozważa kolejno dwie opcje: kolejnej groźby i odroczenia. Wybrał tę drugą.

– Rozumiem. W każdym razie wiem, do kogo się zwrócić po informację. Dziękuję, że przyszedliście i poświęciliście mi czas.

Wstał. Audiencja zakończona. Nie było nic do dodania.

Ruszyli tą samą drogą do wyjścia. Amfilada salonów pogrążała się w mroku. Na zewnątrz wzmógł się wiatr. Drzewa kołysały się i szumiały. Servaz zastanawiał się, czy znowu zacznie sypać śnieg. Spojrzał na zegarek. Była szesnasta czterdzieści. Słońce zachodziło i na trawniku kładły się długie cienie rzucane przez roślinne rzeźby zwierząt. Zerknął za siebie, w stronę fasady zamku: Éric Lombard obserwował ich przez jedno z wielu okien na piętrze. Stał nieruchomo w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Otto. Servaz przypomniał sobie własną hipotezę: śledczy jako przedmiot śledztwa. W ciemnym prostokącie okna Lombard i jego przybocznicy wyglądali jak lustrzane odbicia. Dziwne, milczące i niepokojące. Gdy wsiedli do samochodu, Servaz odezwał się do Ziegler:

– Co się dzieje?

– Dzwonili z Rosny-sous-Bois. Skończyli badanie DNA.

Patrzył na nią z niedowierzaniem. Próbkę została pobrana niespełna czterdzieści osiem godzin wcześniej. Badanie DNA nigdy nie trwało tak krótko: laboratoria były przeciążone! Ktoś bardzo wysoko postawiony musiał położyć teczkę na samym wierzchu.

– Większość śladów DNA znalezionych w wagoniku: włosy, ślina, zarost, paznokcie, należy do robotników albo pracowników elektrowni. Ale na szybie znaleźli jeszcze ślad śliny człowieka spoza elektrowni. Jego próbka jest w bazie. *Ta osoba nigdy nie powinna była się tam znaleźć...*

Servaz się wyprostował. Ziegler miała na myśli krajową bazę danych DNA. Rejestr był kontrowersyjny: znajdowały się tam nie tylko próbki DNA gwałcicieli, morderców i pedofilów, ale także osób, które popełniły drobne przestępstwa, od kradzieży w sklepie po posiadanie kilku gramów marihuany. Efekt: w poprzednim roku liczba profili w bazie wzrosła do 470 492. Choć bazie zapewniono najwyższą kontrolę prawną we Francji, jej nienaturalny rozrost budził uzasadnioną troskę adwokatów i sędziów. Tendencja ta przyczyniła się jednak do kilku brawurowych zatrzymań, jako że przestępczość często nie mieści się w szufladkach, w których chciałoby się ją posegregować – taki gwałciciel może być jednocześnie włamywaczem i bandytą napadającym z bronią w ręku. A ślady DNA znalezione przy okazji włamań doprowadziły już do kilku aresztowań seryjnych gwałcicieli.

– Kto? – zapytał.

Ziegler rzuciła mu zmieszane spojrzenie.

– Julian Hirtmann, mówi to panu coś?

Z zimowego nieba znowu leciały płatki śniegu. Podmuch szaleństwa wtargnął do ich kryjówek. Niemożliwe! – krzyczał mózg Servaza.

Servaz przypomniał sobie, że czytał sporo artykułów, które ukazały się w „Dépêche du

Midi” przy okazji przeniesienia słynnego szwajcarskiego seryjnego mordercy do zakładu w Pirenejach. Autorzy artykułów rozpisywali się na temat środków bezpieczeństwa podjętych na czas tej podróży. W jaki sposób Hirtmann mógł się wydostać poza mury Instytutu, popełnić ten szalony czyn, a potem wrócić do swojej celi?

– To niemożliwe – szepnęła Ziegler, ubierając w słowa jego myśli.

Spojrzał na nią, wciąż z takim samym niedowierzaniem. Potem przez chwilę patrzył przez przednią szybę na wirujące płatki śniegu.

– *Credo, quia absurdum* – powiedział w końcu.

– Znowu łacina – zauważyła. – To znaczy?

– Wierzę, bo to niedorzeczność.

Diane od godziny siedziała przy swoim biurku, kiedy nagle drzwi gwałtownie się otworzyły i zamknęły. Podniosła oczy, zastanawiając się, kto mógł wejść w ten sposób bez pukania. Spodziewała się, że zobaczy przed sobą Xaviera albo Lisę Ferney.

Nie zobaczyła nikogo.

Zdezorientowana wpatrywała się w zamknięte drzwi. W pokoju słychać było kroki. Ale pokój był pusty... Szaroniebieskie światło wpadające przez okno z mlecznego szkła oświetlało tylko ścianę pokrytą tapetą i metalowy regał. Kroki ucichły, ktoś odsunął krzesło. Inne kroki – Diane rozpoznała damskie obcasy – także się zatrzymały.

– Jak się dziś mają pacjenci? – rozległ się głos Xaviera.

Diane spojrzała na ścianę. Obok znajdował się gabinet psychiatry, to stamtąd dochodziły dźwięki. Ale przecież pomieszczenia dzielił gruby mur. Nie minęło pół sekundy i zrozumiała. Jej wzrok spoczął na otworze wentylacyjnym w rogu pod sufitem.

– Nerwowi – odpowiedziała Lisa Ferney. – Wszyscy mówią tylko o tej historii z koniem. Można powiedzieć, że ich to podnieca.

Dziwne zjawisko akustyczne sprawiało, że każde słowo, każda sylaba wypowiedziana przez szefową pielęgniarek były doskonale słyszalne.

– Jeśli będzie trzeba, zwiększcie dawki – powiedział Xavier.

– Już to zrobiliśmy.

– Bardzo dobrze.

Mogła uchwycić najdrobniejszy szczegół, najmniejsze załamanie głosu – nawet wtedy, gdy rozmowa przechodziła w szept. Zastanawiała się, czy Xavier o tym wie. Prawdopodobnie nigdy tego nie zauważył. Przed Diane nikt nie korzystał z tego pokoju, a ona nie robiła dużo hałasu. Może nawet dźwięki przechodziły tylko w jedną stronę. Zajmowała zakurzony pokoik o wymiarach cztery metry na dwa, który wcześniej był graciarnią – w kącie nadal stał stos pudełek, w których mieściło się archiwum. Pachniało kurzem i czymś jeszcze. Nieokreślony nieprzyjemny zapach. Nic nie pomagało prowizorycznie wstawione biurko, komputer i fotel – efekt był taki sam, jakby ktoś urządził sobie gabinet w pomieszczeniu na odpady.

– A co myślisz o tej nowej? – zapytała Élisabeth Ferney.

Diane wstała i nadstawiła uszu.

– A ty co o niej myślisz?

– Nie wiem i to jest właśnie problem. Pomyślałeś, że w związku z tym koniem na pewno pojawi się tu policja?

– I co?

– Będą wszędzie węszyć. Nie boisz się?

– Czego? – zapytał Xavier.

Cisza. Diane wyciągnęła szyję w stronę otworu wentylacyjnego.

– Czego miałbym się bać? Nie mam nic do ukrycia.

Ale w tonie głosu psychiatry, mimo że dochodził przez otwór wentylacyjny, dało się wyczuć coś wręcz przeciwnego. Nagle Diane poczuła się bardzo nieswojo. Mimo woli podsłuchiwała właśnie rozmowę, która przybierała skrajnie niepokojący i zaskakujący obrót. Sięgnęła do kieszeni kitla po telefon komórkowy i czym prędzej go wyłączyła, jakkolwiek niewielkie było ryzyko, by ktoś do niej zadzwonił.

– Na twoim miejscu zadbałabym o to, żeby zobaczyli jak najmniej – stwierdziła pielęgniarka.

– Zamierzasz im pokazać Juliana?

– Wyłącznie jeśli o to poproszą.

– W takim razie może powinnam go odwiedzić.

– Tak.

Diane usłyszała szelest za ścianą. Znowu cisza.

– Przestań – odezwał się po chwili Xavier. – To nie jest dobry moment.

– Jesteś taki spięty, mogłabym ci pomóc.

Głos naczelniej pielęgniarki dobiegający z otworu wentylacyjnego brzmiał uwodzicielsko i pieśczośliwie.

– Cholera, Liso... gdyby ktoś tu wszedł...

– Ty świntuchu, odpalasz na ćwierć obrotu.

– Liso. Liso, proszę... Nie tutaj... O mój Boże, Liso...

Diane poczuła, że jej policzki oblewa gwałtowny rumieniec. Od jak dawna Xavier i Lisa byli kochankami? Psychiatra był w Instytucie dopiero od sześciu miesięcy. Potem przypomniała sobie, że przecież *ona i Spitzner*... Nie potrafiła zobaczyć tego w tym samym świetle. Może to sprawa tego miejsca, w którym popędy, nienawiści, psychozy, napady wściekłości, manie bulgotały jak trująca zupa – w każdym razie w tej wymianie słów było coś głęboko niezdrowego.

– Chcesz, żebym przestała, tak? – zamruczała Lisa Ferney za ścianą. – Powiedz to. No, powiedz, żebym przestała.

– *Nieeeeeee...*

– Jedźmy już. Obserwują nas.

Zapadł zmrok. Teraz to Ziegler odwróciła głowę i zobaczyła stojącego w oknie Lombarda. Był już sam.

Uruchomiła silnik i skręciła w aleję. Kraty otwarły się przed nimi tak jak poprzednio. Servaz spojrział we wsteczne lusterko. Wydawało mu się, że w coraz bardziej malejącym oknie widzi oddalającą się postać Lombarda.

– A odciski palców, inne próbki? – zapytał.

– Na razie nie ma nic przekonującego. Są setki odcisków palców i różnych śladów. To robota na wiele dni. Jak dotąd wygląda na to, że wszystkie należą do personelu. Ten, kto to zrobił, używał rękawiczek, to oczywiste.

– A jednak zostawił na szybie trochę śliny.

– Myśli pan, że to jakiś jego komunikat?

Na chwilę oderwała wzrok od drogi i spojrzała na niego.

– Wyzwanie... Kto wie? – powiedział. – W tej sprawie niczego nie można odrzucać.

– Albo banalny przypadek. To się zdarza częściej, niż się zdaje. Wystarczy, że kichnął w pobliżu szyby.

– Co pani wie o tym Hirtmannie?

Ziegler włączyła wycieraczki. Z ciemnego nieba coraz gęściej leciały płatki śniegu.

– To dobrze zorganizowany zabójca. Nie morduje w szale czy psychozie, jak niektórzy pacjenci Instytutu. To straszny, zбочony psychopata, społeczny drapieżca, niezwykle inteligentny i przerażający. Został skazany za zabójstwo swojej żony i jej kochanka w potwornych okolicznościach, ale oprócz tego jest też podejrzany o zamordowanie prawie czterdziestu innych osób. Wyłącznie kobiet. W Szwajcarii, w Sabaudii, w północnych Włoszech, w Austrii... W sumie w pięciu krajach. Ale nigdy się nie przyznał. I nie zdołano mu niczego udowodnić. Nawet po tej sprawie z żoną nigdy nie udało się go złapać, gdyby nie zbieg okoliczności.

– Wygląda na to, że dobrze pani zna jego akta.

– Interesowałam się nim trochę w wolnych chwilach szesnaście miesięcy temu, kiedy przewozili go do Instytutu Wargniera. Prasa o nim pisała przy tej okazji. Ale nigdy go nie spotkałam.

– W każdym razie to wszystko zmienia. Musimy teraz przyjąć hipotezę, że to Hirtmann jest człowiekiem, którego szukamy. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka to się wydaje niemożliwe. Co o nim wiemy? W jakich warunkach jest zamknięty w Instytucie? Te pytania stają się priorytetowe.

Potwierdziła skinieniem głowy, nie przestając wpatrywać się w drogę.

– Musimy się też zastanowić, co powiemy – dodał Servaz. – Nad pytaniami, które mu postawimy. Musimy przygotować tę wizytę. Nie znam jego akt tak dobrze jak pani, ale jedno jest jasne: Hirtmann to nie byle kto.

– Jest jeszcze kwestia ewentualnych współników wewnątrz Instytutu – zauważyła Ziegler. – I szczelin w systemie zabezpieczeń.

Servaz przytaknął.

– Bezwzględnie konieczne jest spotkanie robocze. Sprawa nagle się ukonkretniła, ale jednocześnie skomplikowała. Zanim tam pojedziemy, musimy nakreślić wszystkie aspekty problemu.

Ziegler się zgodziła. Instytut stawał się priorytetem – nie mieli jednak wszystkich wymaganych uprawnień ani wszystkich kart w rękę.

– Psycholog przyjeżdża z Paryża w poniedziałek. Jutro w Bordeaux mam referat na temat dotychczasowych ustaleń. Mimo wszystko nie będę go odwoływać z powodu konia! Proponuję, żebyśmy poczekali z wizytą w Instytucie do poniedziałku.

– Z drugiej strony – powiedział Servaz – jeśli Hirtmann rzeczywiście za tym stoi i jeśli udało mu się wydostać z Instytutu, musimy się za wszelką cenę upewnić, czy inni pacjenci też nie mają takiej możliwości.

– Poprosiłam o wsparcie okręgowy oddział żandarmerii z Saint-Gaudens. Są w drodze.

– Trzeba pilnować wszystkich wejść na teren Instytutu, sprawdzać wszystkie samochody, które wjeżdżają i wyjeżdżają, nawet te, które należą do personelu. I ukryć ludzi w górach, żeby

obserwowali okolicę.

Ziegler kiwnęła głową.

– Dziś wieczorem wchodzą wzmocnienia. Poprosiłam też o sprzęt noktowizyjny. I jeszcze o drugie tyle ludzi na miejscu, ale zdziwiłabym się, gdyby udało się to uzyskać. Zgłosiły się też dwie ekipy z psami chętne do pomocy. W każdym razie niektórych gór koło Instytutu nie da się pokonać bez sprzętu. Tak naprawdę dostać się tam można jedynie drogą, która biegnie doliną. A więc tym razem nawet gdyby Hirtmann przedostał się jakoś przez system zabezpieczeń, dalej już się nie wymknie.

Już nie chodzi o konia, pomyślał Servaz, ale o coś znacznie poważniejszego.

Była północ, a Servaz jeszcze nie spał. Wyłączył swój komputer – niemal zabytkowego grata z przestarzałym systemem operacyjnym Windows 98 – który przypadł mu po rozwodzie, zgasił lampkę na biurku i wyszedł z pokoju. Przeszedł przez salon i otworzył drzwi na balkon. Znajdująca się trzy piętra niżej ulica była pusta. Tylko czasem jakiś samochód usiłował utorować sobie drogę między dwoma rzędami aut zaparkowanych zderzak w zderzak. Jak w większości miast, panował tu tłok. I jak większość miast – choć jego mieszkańcy spali – Tuluza nigdy nie była całkowicie uśpiona. Z restauracji dobiegał brzęk naczyń. Skądś dochodziło echo rozmowy, może raczej kłótni, między kobietą i mężczyzną. Jakiś facet spacerował z psem, który przystanął i sikał obok samochodu. Servaz wrócił do salonu, pogrzebał w kolekcji płyt kompaktowych i włączył *IX Symfonię* Mahlera pod batutą Bernsteina, nie przesadzając z głośnością. O tej porze jego sąsiedzi z góry, którzy wcześniej się kładli, już dawno byli pogrążeni w głębokim śnie. Nie obudziłoby ich nawet straszne walenie młota w *Szóstej* ani słynny dysonujący akord *X Symfonii*.

Julian Hirtmann...

Znowu to nazwisko. Unosiło się w powietrzu, odkąd Irène Ziegler wymówiła je kilka godzin wcześniej w samochodzie. Od tamtej chwili Servaz próbował się dowiedzieć jak najwięcej na temat tego pacjenta Instytutu Wargniera. Nie bez zdziwienia odkrył, że Julian Hirtmann, podobnie jak on, miał szczególne zamiłowanie do muzyki Mahlera. To była ich wspólna cecha. Przez wiele godzin surfował po Internecie i robił notatki. Podobnie jak w przypadku Érica Lombarda, choć z innych powodów, w sieci były setki stron poświęconych Szwajcarowi.

Najgorsze przecucie, jakie od początku towarzyszyło Servazowi, rozprzestrzeniło się teraz jak chmura toksycznego gazu. Dotychczas nie mieli nic poza dziwną historią – śmiercią konia w niezwykłych okolicznościach – która nigdy nie urosłaby do takiego rozmiaru, gdyby właścicielem zwierzęcia zamiast miliardera był jakiś miejscowy rolnik. I oto okazało się, że ma ona związek – choć Servaz nie mógł zrozumieć jak ani dlaczego – z jednym z najstraszliwszych współczesnych morderców. Nagle poczuł się tak, jakby stał przed korytarzem pełnym zamkniętych drzwi. Za każdymi z nich krył się jakiś nieoczekiwany i niepokojący aspekt śledztwa. Obawiał się wejść i spróbować je otworzyć. Korytarz, który widział w wyobraźni, oświetlało czerwone światło – czerwone jak krew, jak furia, jak bijące serce. Kiedy przemywał twarz zimną wodą, czując w żołądku zaciskający się supeł strachu, nagle nabrał pewności, że wiele innych drzwi wkrótce się otworzy, umożliwiając dostęp do coraz mroczniejszych pomieszczeń. A to był dopiero początek...

Julian Alois Hirtmann już od niemal szesnastu miesięcy był zamknięty w sektorze A Instytutu Wargniera, przeznaczonym dla najniebezpieczniejszych drapieżników społecznych,

w którym przetrzymywano zaledwie siedmiu pacjentów. Ale Hirtmann różnił się od sześciu pozostałych w kilku sprawach:

1. był inteligentny, opanowany i nigdy nie udowodniono mu serii przypisywanych mu morderstw;
2. zajmował – co rzadkie, ale nie całkiem wyjątkowe wśród seryjnych przestępców – wysoką pozycję społeczną: w chwili aresztowania był prokuratorem w sądzie w Genewie;
3. jego aresztowanie, które nastąpiło w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, wywołało polityczno-kryminalne zamieszanie bez precedensu w historii szwajcarskiego sądownictwa.

Zbieg okoliczności, o którym wspominała Ziegler, był nieprawdopodobną historią, która mogłaby się wydać zabawna, gdyby nie fakt, że była przede wszystkim tragiczna i niewiarygodnie obrzydliwa. Wieczorem 21 czerwca 2004 roku, kiedy nad Jezioro Genewskie nadciągała gwałtowna burza, Julian Hirtmann organizował w swojej posiadłości kolację, na którą w geście wielkiej wspaniałości zaprosił kochanka swojej żony. Jako powód zaproszenia podał „chęć wyjaśnienia sobie pewnych spraw i zorganizowania, jak dwóch dżentelmenów, odejścia Alexii”.

Jego olśniewająca małżonka obwieściła mu bowiem, że pragnie go opuścić i zamieszkać ze swoim kochankiem, który był sędzią i tak jak on pracował w genewskim sądzie. Pod koniec posiłku, podczas którego przy wyszukanim akompaniamencie *Kindertotenlieder* Mahlera omawiali okoliczności rozwodu (Servaz zatrzymał się na tej informacji i przez chwilę zastanawiał się, zaskoczony skrupulatnością detektywa, który zanotował ten szczegół: *Treny dziecięce* były jednym z jego ulubionych utworów), Hirtmann wyjął broń i zmusił parę, by zeszła do piwnic budynku, które razem z żoną zamienili wcześniej w „jaskinię sadomasochistycznych rozkoszy”. Organizowali tam orgie, w których brali udział ich przyjaciele należący do genewskiej śmietanki. Hirtmann lubił bowiem patrzeć, jak jego piękną żonę bierze w posiadanie i bije wielu mężczyzn, jak poddają ją wyrafinowanym torturom, zakuwają w kajdanki i łańcuchy, chłostają i traktują rozmaitymi przyrządami sprzedawanymi w specjalistycznych sklepach w Niemczech i Holandii. A jednak na wieść, że żona zamierza porzucić go dla innego, oszalał z zazdrości. Okoliczność obciążająca: uważał jej kochanka za bezgranicznie nudnego głupca.

W jednym z wielu artykułów, które Servaz przejrzał, znajdowało się zdjęcie Hirtmanna pozującego w genewskim sądzie w towarzystwie swojej przyszłej ofiary.

Mężczyzna wydawał się mały przy wysokim, szczupłym prokuratorze. Na tym zdjęciu Servaz dałby mu czterdziestkę. Wielkolud w przyjacielskim geście położył rękę na ramieniu kochanka swojej żony i spoglądał na niego tak, jak tygrys patrzy na swoją zdobycz. Servaz zastanawiał się, czy Hirtmann już wtedy wiedział, że go zabije. Podpis pod zdjęciem głosił: *Prokurator Hirtmann i jego przyszła ofiara, sędzia Adalbert Berger, w prawniczych togach w sądowej poczekalni.*

Tamtej nocy 21 czerwca Hirtmann zmusił żonę i jej kochanka, by się rozebrali i położyli na łóżku w piwnicy, a następnie pili szampana, aż obydwójce byli pijani. Potem kazał kochankowi wylać dwulitrową butelkę szampana na ciało Alexii. On sam oblał kochanka. Po tej libacji podał Bergerowi jeden z walających się po piwnicy gadżetów: przedmiot przypominający ogromną elektryczną wiertarkę, której wiertło zastąpiono wibratorem. Tego rodzaju narzędzia, jakkolwiek większości śmiertelników mogłyby się wydawać dziwne, nie są jednak rzadkością

w specjalistycznych butikach i goście przyjęć organizowanych przez Hirtmannów od czasu do czasu z nich korzystali. Tamtego popołudnia Hirtmann starannie przygotował urządzenie, tak aby w razie badania jego gołe kable wyglądały w oczach podejzliwego specjalisty na czysto przypadkowe uszkodzenie. Wymienił też będący w doskonałym stanie bezpiecznik na tablicy elektrycznej na kompletnie niesprawną podróbkę, jaką bez trudu można dostać na bazarze. Kiedy kochanek jego żony wprowadził migocący przedmiot do pochwy kobiety, Hirtmann dłonią w gumowej rękawiczce podłączył urządzenie do prądu. Na rezultat nie trzeba było długo czekać, najwyraźniej szampan okazał się dobrym przewodnikiem. Hirtmann niewątpliwie doświadczał głębokiej przyjemności, obserwując ciała miotające się pod wpływem niekontrolowanych wstrząsów. Ale właśnie w tej chwili nastąpił „zbieg okoliczności”, o którym mówiła Ziegler.

Ponieważ bezpiecznik był uszkodzony, niemożliwe było odcięcie elektryczności, które uratowałoby kochanków od porażenia prądem, ale zbyt wysokie napięcie wywołało efekt, którego Hirtmann nie przewidział: uruchomiło system alarmowy domu. Hirtmann ledwie zdążył się zorientować, co się dzieje, a już błyskawicznie działająca szwajcarska policja, zaalarmowana przez donośne wycie syreny oraz przez sąsiadów, stała pod drzwiami.

Prokurator bynajmniej nie stracił przytomności umysłu. Zrobił to, co zaplanował na później: przedstawivszy się, kim jest i jaki piastuje urząd, oświadczył załamany i zmieszany, że w piwnicy zdarzył się tragiczny wypadek. Następnie, zawstydzony i wstrząśnięty, poprosił funkcjonariuszy policji, by zeszli tam razem z nim. Wtedy nastąpił kolejny zbieg okoliczności. Aby uciszyć syrenę i stworzyć pozory, jakoby próbował ratować kochanków, Hirtmann był zmuszony – choć z pewnym opóźnieniem – odłączyć prąd. Żandarm Christian Gander z policji kantonowej w Genewie oświadczył, że kiedy on i kolega weszli do piwnicy, jedna z ofiar jeszcze żyła. Była to Alexia, żona Hirtmanna. Ocknęła się nagle w świetle ich latarek i tuż przed śmiercią zdążyła wskazać potwornego kata. Żandarmi przyłożyli więc Hirtmannowi pistolet do skroni i zakuli go w kajdanki, nie zważając na jego protesty i groźby. Następnie wykonali dwa połączenia telefoniczne: pierwsze, by wezwać wsparcie, i drugie do genewskiej brygady kryminalnej. Posiłki przybyły na miejsce po piętnastu minutach. W trakcie systematycznego przeszukiwania domu szybko znaleziono naładowany pistolet automatyczny oraz zdemontowany wcześniej bezpiecznik wepchnięty pod jakiś mebel. Zabrano Hirtmanna i wezwano techników kryminalistycznych. Analiza resztek kolacji wykazała później, że prokurator-morderca podał swoim ofiarom narkotyki.

Wycinki z gazet znalezione nieco później w biurku Hirtmanna wskazały na jego związek ze zniknięciem dwudziestu młodych kobiet w ciągu ostatnich piętnastu lat; i żadna z tych spraw nie została rozwiązana. Nagle wszystko nabrało innych wymiarów: nie chodziło już o dramat namiętności, tylko o kolejną zbrodnię seryjnego mordercy. Otwarcie sejfu bankowego pozwoliło na wydobycie wielu segregatorów wypełnionych wycinkami z gazet dotyczących innych zniknięć kobiet w pięciu regionach: w Alpach Francuskich, w Dolomitach, w Bawarii, Austrii i Szwajcarii. W sumie czterdzieści przypadków w ciągu dwudziestu pięciu lat. Żadne z tych zniknięć nigdy nie zostało wyjaśnione. Ma się rozumieć, Hirtmann utrzymywał, że interesował się tymi sprawami wyłącznie ze względów zawodowych. Wykazał nawet swoiste poczucie humoru, oświadczając, iż podejrzewa, że wszystkie te kobiety są ofiarami tego samego zabójcy. Sprawy te z prawnego punktu widzenia różniły się jednak od pierwszej – zarówno pod względem motywu, jak i samej natury zbrodni.

Gdy przyszło do przesłuchania, Hirtmann odkrył wreszcie swą prawdziwą naturę.

Bynajmniej nie próbował minimalizować swoich skłonności, przeciwnie – rozwodził się nad nimi z wyraźną przyjemnością. W trakcie procesu wybuchła seria skandali, kiedy wyszło na jaw, że w organizowanych przez niego przyjęciach uczestniczyło wielu członków sądu i genewskich elit. Hirtmann z lubością rzucał ich nazwiska na żer publiczności, rujnując całe mnóstwo nieskalanych reputacji. Sprawa ta stała się bezprecedensowym polityczno-kryminalnym trzęsieniem ziemi, ukazując płątaninę powiązań wymiaru sprawiedliwości i mediów z seksem, narkotykami i wielkimi pieniędzmi. Z tego okresu pochodziły legendarne zdjęcia, które ukazywały się w światowej prasie: *Makabryczny dom* (na którym widać było stojący nad jeziorem budynek z fasadą porośniętą bluszczem), *Potwór wychodzi z sądu* (Hirtmann ubrany w kamizelkę kuloodporną w obstawie niższych od niego o głowę policjantów), *Genewa pogrążona w bólu, X. oskarżony o udział w orgiach u Hirtmanna* i tak dalej.

W czasie tych wirtualnych podróży Servaz stwierdził, że niektórzy internauci otaczają zabójcę z Genewy prawdziwym kultem. Znalazł wiele poświęconych Hirtmannowi stron, ukazujących go nie jako szalonego przestępcę, ale jako ikonę sadomasochizmu lub – całkiem serio – jako symbol „woli mocy”, jako „jaśniejącą gwiazdę satanistycznej galaktyki” czy wręcz jako „nietzscheańskiego nadczłowieka” i „skąłę”. Fora internetowe były jeszcze gorsze. Nawet Servaz, choć był policjantem, nigdy nie pomyślałby, że w sieci jest tylu pomyleńców. Ludzie wymyślający sobie nicki tak groteskowe, jak 6-BORG, SYMPATHY FOR THE DEVIL albo BOGINI KALI, rozpowszechniali teorie równie mętne jak ich pseudonimy. Ten równoległy świat, fora, strony internetowe – wszystko to podziałało na Servaza przygnębiająco. Dawniej każdy z tych wariatów uważałby się za jedyne w swoim rodzaju i siedziałby w swojej norze, pomyślał. Dzisiaj dzięki nowoczesnym środkom komunikacji, które służą przede wszystkim rozpowszechnianiu głupoty i szaleństwa – lub też, mówiąc bardziej oględnie, wiedzy – ci pomyleńcy odkrywają, że nie są odosobnieni, i kontaktują się ze sobą, co tylko utwierdza ich w obłądnie. Servaz przypomniał sobie to, co powiedział Marchandowi, i sam siebie poprawił w myślach. Obłąd rzeczywiście jest epidemią, ale ma dwa ulubione kanały rozprzestrzeniania się: media i Internet.

Nagle przypomniał sobie o esemesie od córki, która pytała, czy w sobotę będzie wolny. Popatrzył na zegarek była 1.07. Sobota to już jutro. Zawahał się. Wreszcie wybrał numer, zamierzając nagrać wiadomość na pocztę głosowej.

– Halo?

Wzdrygnął się. Odebrała natychmiast. Jej głos był tak inny od tego, którym mówiła na co dzień, że Servaz zastanawiał się, czy nie pomylił numeru.

– Margot?

– To ty, tato? – zawołała stłumionym głosem. – Wiesz, która jest godzina?!

Raptem odgadł, że czekała na telefon od kogo innego. Pewnie bez wiedzy matki i ojczyma zostawiła telefon włączony na noc i rozmawia z głową pod kołdrą. Kto miał dzwonić? Jej chłopak? Co to musi być za typ, skoro dzwoni o tej porze? Potem przypomniał sobie, że jest piątek wieczór – dzień, kiedy studenci wychodzą, żeby się zabawić.

– Obudziłem cię?

– A jak myślisz?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że dostałem twoją wiadomość. Po południu postaram się być wolny. O siedemnastej, może być?

– Tato, na pewno wszystko w porządku? Masz jakiś dziwny głos.

– W porządku, pchełko. Tylko... mam teraz dużo pracy.

– Zawsze tak mówisz.

– Bo tak jest. Widzisz, nie należy sądzić, że tylko ci, którzy dużo zarabiają, mają dużo pracy. To kłamstwo.

– Wiem, tato.

– Nigdy nie wierz politykom – dodał bez zastanowienia. – Kobietom ani mężczyznom. To kłamcy.

– Tato, patrzyłeś na zegarek? Nie moglibyśmy o tym porozmawiać kiedy indziej?

– Masz rację. Poza tym rodzice nie powinni próbować manipulować dziećmi, nawet jeśli uważają, że to, co mówią, jest słuszne. Powinni raczej uczyć dzieci samodzielnego myślenia. Nawet gdyby dzieci miały myśleć inaczej niż oni...

Jak na tak późną porę jego przemowa była nieco przydługa.

– Nie manipulujesz mną, tato. To się nazywa wymiana poglądów. Potrafię myśleć samodzielnie.

Servaz poczuł nagle, że się wygłupił. Ale uśmiechnął się.

– Mam cudowną córkę – stwierdził.

Zaśmiała się cicho.

– Nareszcie słyszę, że jesteś w formie.

– Jestem w doskonałej formie o pierwszej piętnaście w nocy. Życie jest cudowne. Moja córka też. Dobranoc, córeczko. Do jutra.

– Dobranoc, tato.

Wrócił na balkon. Nad dzwonnica bazyliki Saint-Sernin świecił księżyc. Ulicą przechodziła hałaśliwa gromadka studentów. Krzyki, chichoty, przepychanki – wesoła kompania zniknęła w ciemności, a jej śmiech słychać było jeszcze przez jakiś czas jak dalekie echo młodości. Było koło drugiej, kiedy Servaz wreszcie położył się do łóżka i zasnął.

Następnego dnia, w sobotę 13 grudnia, Servaz zebrał część grupy zajmującej się śmiercią bezdomnego, żeby ustalić, na jakim etapie znajduje się śledztwo. Samira Cheung miała na sobie tego ranka podkolanówki w biało-czerwone poprzeczne prążki, ściśle przylegające skórzane szorty i botki na dwunastocentymetrowych obcasach, z tyłu obficie nabite metalowymi ćwiekami. Servaz pomyślał, że gdyby Samira miała za zadanie infiltrację środowisk miejscowej prostytutki, wcale nie musiałyby się przebierać. Następnie uświadomił sobie, że myśli jak Pujol i Simeoni – dwóch byczków z brygady, którzy zaczepiali jego asystenta. Espérandieu natomiast był ubrany w marynarski sweterek w paski, w którym wyglądał jeszcze młodziej i zdecydowanie nie przypominał gliniarza. Przez chwilę Servaz odczuł czysty metafizyczny lęk: zastanawiał się, czy rzeczywiście kieruje grupą śledczą, czy może teleportował się na wydział literatury. Samira i Vincent wyciągnęli swoje laptopy. Dziewczyna jak zawsze miała na szyi słuchawki swojej empetrójki, a Espérandieu przesunął palcem po ekranie iPhone'a – czarnego gadżetu, który przypominał Servazowi wielki, superpłaski telefon komórkowy – jakby przewracał kartki książki. Na jego prośbę Samira znowu podkreśliła jeden ze słabych punktów oskarżenia: nie było żadnych dowodów, że trzech młodzi ludzie są bezpośrednio wmieszani w śmierć bezdomnego. Sekcja zwłok wykazała, że ofiara utonęła w wodzie o głębokości pięćdziesięciu centymetrów, straciwszy uprzednio przytomność – niewątpliwie wskutek serii ciosów, spośród których jeden,

bardzo silny, wymierzono w głowę. Słowo „niewątpliwie” było jednak ogromnie problematycznie, ponieważ w chwili zajścia bezdomny miał we krwi 1,9 promila alkoholu. Servaz i Espérandieu doskonale zdawali sobie sprawę, że raport z sekcji zwłok zostanie wykorzystany przez obronę w celu zmiany kwalifikacji czynu na „pobicie ze skutkiem śmiertelnym” albo nawet podania w wątpliwość faktu, jakoby zadane ciosy były przyczyną utonięcia, które można przypisać nietrzeźwości ofiary. Na razie jednak starannie omijali ten temat.

– To już należy do kompetencji sędziego – uciął sprawę Servaz. – Niech pani opiera swoje raporty na tym, co pani wie, a nie na podejrzeniach.

W tę samą sobotę Servaz niepewnie wpatrywał się w listę, którą wręczyła mu córka.

– Co to jest?

– Lista prezentów dla mnie. Na gwiazdkę.

– Wszystko?

– Tato, to tylko lista. Nie musisz kupować wszystkiego – zażartowała.

Spojrzał na nią. W dolnej wardze wciąż tkwiło delikatne złote kółko, w lewej brwi, również bez zmian – kolczyk koloru czerwonego, za to w lewym uchu obok czterech znanych mu kolczyków pojawił się piąty. Servazowi przemknęła w pamięci twarz Irène Ziegler. Zauważył też siniaka na kości jarzmowej prawego policzka Margot; musiała się uderzyć. Następnie znowu przebiegł wzrokiem listę: iPod, cyfrowa ramka do zdjęć (córka wytłumaczyła mu, że chodzi o ramkę z ekranem, na którym zmieniają się zdjęcia zgromadzone w pamięci), przenośna konsola do gier Nintendo DS Lite (z programem „More Brain Training from Dr Kawashima”), aparat cyfrowy (jeśli to możliwe z matrycą o rozdzielczości siedmiu megapikseli, potrójnym zoomem, dwuipółcalowym ekranem i stabilizatorem obrazu) i laptop z ekranem o przekątnej siedemnaście cali (i – najchętniej – procesorem Intel Centrino 2 Duo, 2 GB pamięci operacyjnej, dysk twardy 250 GB, nagrywarka CD-DVD). Zastanawiała się jeszcze nad iPhone’em, ale ostatecznie uznała, że to by jednak było „trochę drogo”. Servaz nie miał bladego pojęcia, ile te wszystkich przedmioty mogą kosztować, nie wiedział też, co znaczy, na przykład „2 GB pamięci operacyjnej”. Ale wiedział przynajmniej jedno: nie ma niewinnych technologii. W tym opanowanym przez technikę i oplecionym siecią wzajemnych powiązań świecie oazy wolności i autentycznej myśli są coraz rzadsze. Całe to szaleństwo kupowania, fascynacja najbardziej zbytkownymi gadżetami – do czego to podobne? Dlaczego członek plemienia z Nowej Gwinei wydaje mu się zdrowszy na umyśle i rozsądniejszy niż większość ludzi, których spotyka na co dzień? Czy rzeczywiście tak jest, czy też Servaz kontempluje ten zwariowany świat jak stary filozof siedzący w becce? Wsunął listę do kieszeni i pocałował córkę w czoło.

– Zastanowię się.

Po południu pogoda się zepsuła. Padał deszcz i mocno wiało. Schowali się pod płóciennym daszkiem, którym targały porywy wiatru, przed jedną z jasno oświetlonych witryn w centrum miasta. Ulice były pełne ludzi, samochodów i świątecznych dekoracji.

Jaka pogoda jest na górze? – pomyślał nagle. Czy nad Instytutem pada śnieg? Servaz wyobraził sobie, jak Julian Hirtmann wyciąga swoje olbrzymie ciało, by z okna obserwować sypiący cicho śnieg. Od poprzedniego wieczoru, odkąd kapitan Ziegler przedstawiła mu w samochodzie swoje rewelacje, myśl o szwajcarskim olbrzymie praktycznie go nie opuszczała.

- Tato, słuchasz mnie?
- Tak, oczywiście.
- Nie zapomnisz o mojej liście, hę?

Zapewnił ją, że nie zapomni. Potem zaproponował, żeby po szli się czegoś napić do kawiarni na placu Capitole. Ku jego wielkiemu zdziwieniu Margot zamówiła piwo. Do tej pory zawsze brała colę light. W ten brutalny sposób Servaz uświadomił sobie, że jego córka ma już siedemnaście lat, a on wciąż, pomimo anatomicznej oczywistości, patrzy na nią, jakby była o pięć lat młodsza. Może właśnie z powodu tej krótkowzroczności od jakiegoś czasu nie wiedział, jak z nią rozmawiać. Jego spojrzenie znowu padło na siniak na policzku córki. Wpatrywał się w nią przez chwilę. Miała podkrążone oczy i siedziała ze wzrokiem smutno wbitym w kufel piwa. Nagle do głowy Servaza zaczęły napływać pytania: Dlaczego jest smutna? Na czyj telefon czekała o pierwszej w nocy? Co to za siniak na policzku? Pytania gliny, pomyślał. Nie: pytania ojca...

- Jak sobie nabiłaś tego siniaka?

Podniosła oczy.

- Co?
- Ten siniak na policzku. Skąd go masz?
- Aaa... uderzyłam się. Dlaczego pytasz?
- Gdzie się uderzyłaś?
- A czy to ważne?

Jej ton był ostry. Servaz nie mógł powstrzymać rumieńca. Łatwiej było przesłuchiwać podejrzanego niż własną córkę.

- Nie – powiedział.

– Mama mówi, że twój problem polega na tym, że wszędzie widzisz zło. Zboczenie zawodowe.

- Może ma rację.

Teraz on spuścił wzrok i wpatrywał się w piwo.

- Wstałam po ciemku, żeby zrobić siku, i wpadłam na drzwi. Dobra odpowiedź?

Patrzył na nią i zastanawiał się, czy ma w to wierzyć. Takie wytłumaczenie było do przyjęcia. Jemu też w środku nocy zdarzyło się czołowe zderzenie z drzwiami. A jednak w agresywnym tonie jej odpowiedzi było coś, co go zaniepokoiło. A może coś wymyśla? Dlaczego zwykle jest tak przenikliwy w stosunku do przesłuchiwanych osób, a własna córka jest dla niego tak wielką tajemnicą? I – patrząc szerzej – dlaczego czuje się jak ryba w wodzie, prowadząc śledztwo, a tak kiepsko sobie radzi w relacjach z ludźmi? Wiedział, jaka byłaby odpowiedź psychologa. Mówiłby mu o dzieciństwie...

- A może pójdziemy do kina? – zaproponował.

Wieczorem odgrzał w mikrofalówce jakieś gotowe danie, wypił kawę (za późno zauważył, że się skończyła, i musiał wygrzebać puszkę przeterminowanej rozpuszczalnej) i znowu zanurzył się w biografii Juliana Aloisa Hirtmanna. Nad Tulużą zapadła już noc. Na zewnątrz było deszczowo i wietrznie, ale w jego gabinecie królowała dochodząca z salonu muzyka Gustava Mahlera (*VI Symfonia*), i stan głębokiego skupienia, któremu sprzyjała późna pora i półmrok przełamany

tylko światłem małej lampki na biurku i blaskiem monitora. Servaz sięgnął po notatnik i kontynuował zapiski. Zajmowały już wiele stron. Przy dochodzących z salonu dźwiękach skrzypiec studiował życiorys seryjnego mordercy. W wyniku badania psychiatrycznego, które zlecił szwajcarski sędzia w celu ustalenia zakresu odpowiedzialności karnej Hirtmanna, po długiej serii rozmów specjaliści stwierdzili „całkowitą niepoczytalność”, uzasadniając ją majaczeniami, omamami, intensywnym zażywaniem substancji psychoaktywnych, które upośledziły zdolność do osądu, oraz absolutny brak empatii – ten ostatni punkt był niezaprzeczalny, nawet dla Servaza. Jak donosił raport, pacjent nie dysponował „psychicznymi środkami potrzebnymi do kontrolowania własnych czynów ani wewnętrzną wolnością umożliwiającą dokonywanie wyboru i podejmowanie decyzji”.

Jeśli wierzyć danym, z jakimi Servaz zapoznał się na niektórych stronach dotyczących psychiatrii sądowej, powołani eksperci mieli słabość do metodologii naukowej, która pozostawia niewiele miejsca na osobiste interpretacje: poddali Hirtmanna serii standaryzowanych testów, tłumacząc, że opierali się na DSM-IV, statystycznej klasyfikacji zaburzeń psychicznych. Servaz zastanawiał się, czy aby w chwili badania Hirtmann nie znał tego podręcznika co najmniej tak samo dobrze jak oni.

Jednakowoż, uznając pacjenta za niebezpiecznego, zalecili podjęcie środków bezpieczeństwa i umieszczenie go w specjalistycznym zakładzie „na czas nieokreślony”. Przed przybyciem do Instytutu Wargniera Hirtmann przebywał w dwóch szpitalach psychiatrycznych w Szwajcarii. Nie był jedynym pacjentem sektora A przybyłym z zagranicy. Instytut był bowiem jedynym w Europie zakładem psychiatrycznym otwartym w ramach przyszłego wspólnego obszaru prawnego Unii. Czytając te słowa, Servaz zmarszczył brwi: co może się kryć pod tym pojęciem, skoro wymiary sprawiedliwości w krajach Europy tak bardzo się różnią w kwestii prawodawstwa, długości kar i zasobności, kiedy budżet przypadający na jednego mieszkańca we Francji stanowi połowę tego, którym dysponują Niemcy, Holandia czy nawet Wielka Brytania?

Servaz wstał, żeby wyjąć piwo z lodówki, i zamyślił się: między zintegrowaną społecznie, uznaną na gruncie zawodowym osobowością opisywaną przez prasę a tą mroczną, wydaną na pastwę niekontrolowanych morderczych fantazji i patologicznej zazdrości, jaka wyłaniała się z ekspertyzy specjalistów, istniała ewidentna sprzeczność. Jekyll i Hyde? A może Hirtmann dzięki swym zdolnościom do manipulacji zdołał w ten sposób uniknąć więzienia? Servaz był skłonny przyjąć raczej tę drugą hipotezę. Był przekonany, że kiedy Szwajcar po raz pierwszy stanął przed ekspertami, dokładnie wiedział, jak się zachować i co mówić. A to by oznaczało, że także on i Ziegler zostaną skonfrontowani z niemającym sobie równych aktorem i manipulatorem. Jak przeniknąć jego grę? Czy uda się to psychologowi przysłanemu przez żandarmerię, skoro trzech szwajcarskich ekspertów dało się wyprowadzić w pole?

Potem Servaz zaczął się zastanawiać, jaki tok rozumowania mógł doprowadzić Hirtmanna do Lombarda. Jedynym oczywistym związkiem między nimi było położenie geograficzne. Czyżby Hirtmann zabił tego konia przez przypadek? Może ten pomysł przyszedł mu do głowy, kiedy przejeżdżał obok stadniny? Ośrodek znajdował się w pewnej odległości od głównych ciągów komunikacyjnych w dolinie. Hirtmann nie miał żadnego powodu, żeby się tam znaleźć. A jeśli to on zabił konia, to dlaczego psy nie wyczuły jego obecności? I dlaczego nie skorzystał z okazji do ucieczki? W jaki sposób ominął system zabezpieczeń Instytutu? Każde pytanie pociągało za sobą kolejne.

Nagle Servaz zaczął myśleć o czymś innym: jego córka miała podkrążone oczy i smutne

spojrzenie. Dlaczego? Dlaczego wyglądała na tak smutną i tak zmęczoną? Odebrała telefon o pierwszej w nocy. Na czyj telefon czekała? I ten siniak: tłumaczenia Margot bynajmniej go nie przekonały. Obiecał sobie, że porozmawia o tym z jej matką.

Wrócił do zgłębiania biografii Hirtmanna. Skończył nad ranem. Kiedy wreszcie w niedzielę 14 grudnia kładł się do łóżka, miał wrażenie, że trzyma w ręku elementy puzzli pochodzące z dwóch różnych układanek: nic do niczego nie pasowało.

Jego córka miała podkrążone oczy i smutne spojrzenie. I siniaka na policzku. Co to znaczyło?

Tego samego wieczoru Diane rozmyślała o swoich rodzicach. Jej ojciec był zamkniętym człowiekiem, mieszczaninem, zatwardziałym i zdystansowanym kalwinistą: Szwajcaria wytwarzała ten typ ludzi z równą łatwością, z jaką przychodziła jej produkcja czekolady i kas pancernych. Matka żyła we własnym świecie, w tajemniczym świecie wyobraźni, w którym słuchała anielskiej muzyki i którego sama była ośrodkiem i racją bytu. Jej nastrój nieustannie wahał się między euforią a depresją. Jako matka za bardzo była zajęta sobą, by móc ofiarować dzieciom coś więcej niż okruchy uczucia, i Diane bardzo szybko pojęła, że dziwny świat jej rodziców nie jest jej światem.

Pierwszy raz uciekła z domu w wieku czternastu lat. Nie udało jej się odejść daleko. Genewska policja odprowadziła ją do domu po przyłapaniu jej na kradzieży płyty Led Zeppelin w towarzystwie chłopca w jej wieku, którego spotkała dwie godziny wcześniej. Gdy żyło się w tak „harmonijnym” otoczeniu, bunt był nieunikniony. Diane zaliczyła kolejno grunge, neo punka i gotyk, a wreszcie poszła na psychologię, gdzie nauczyła się poznawać samą siebie. Nauczyła się też poznawać swoich rodziców, skoro nie mogła ich zrozumieć.

Spotkanie ze Spitznerem było dla niej decydujące. Diane miała przed nim niewielu kochanków, choć na zewnątrz wyglądała na pewną siebie i przedsiębiorczą. Ale nie dla Spitznera, który bardzo szybko przejrzał ją na wylot. Od początku podejrzewała, że nie była jego pierwszą zdobyczą wśród studentek, co zresztą sam potwierdził. Ale miała to gdzieś, podobnie jak nic sobie nie robiła z różnicy wieku między nimi oraz z faktu, że Spitzner był żonaty i miał siedmioro dzieci. Gdyby zechciała wypróbować swoje psychologiczne zdolności na własnym przypadku, odkryłaby w tej relacji czystej wody stereotyp: Pierre Spitzner reprezentował dla niej to wszystko, czym nie byli rodzice. I wszystko, czego nienawidzili.

Przypomniała sobie, że któregoś razu odbyli długą, bardzo poważną rozmowę. Na zakończenie Spitzner powiedział:

– Nie jestem twoim ojcem. Ani twoją matką. Nie wymagaj ode mnie tego, czego nigdy nie będę mógł ci dać.

Leżał na sofie w małym kawalerskim pokoiku, który miał do dyspozycji na uniwersytecie, ze szklanką Jacka Daniels’a w ręku, zarośnięty, rozczochrany, z obnażonym torsem, z pewną dozą próżności eksponując ciało nad podziw jędrne jak na mężczyznę w jego wieku.

- Na przykład?
- Na przykład wierności.
- Sypiasz teraz z innymi kobietami?
- Tak, z moją żoną.
- Miałam na myśli *inne* kobiety.

- Nie, w tej chwili nie. Zadowolona?
- Mam to gdzieś.
- Kłamstwo.
- No dobrze, nie mam tego gdzieś.
- A ja mam gdzieś, z kim ty sypiasz – odpowiedział.

Było jednak coś, czego nie zauważył ani on, ani nikt inny: przyzwyczajenie do zamkniętych drzwi, do miejsc, do których jest „zakaz wstępu”, i maminych tajemnic sprawiło, że u Diane rozwinęła się ciekawość daleko wykraczająca ponad przeciętną. Cecha ta była przydatna w jej zawodzie, ale czasami sprawiała, że dziewczyna pakowała się w bardzo niewygodne sytuacje. Diane wynurzyła się z zamyślenia i patrzyła na księżyc sunący za chmurami, które strzępiły się, jakby były z gazy. Po kilku sekundach księżyc wyłonił się w następnej dziurze i znowu zniknął. Pokryta śniegiem gałąź sosny za jej oknem błyszczała przez chwilę odbitym światłem pośród opadających z góry płatków. Po czym znowu zapadła się w ciemność.

Diane odwróciła się od wąskiej i głębokiej okiennej wnęki. Czerwone cyferki radiobudzika błyszczały w półmroku: 0.25. Nie było słycać żadnego ruchu. Wiedziała, że na piętrze jest jeden czy dwóch ochroniarzy, którzy nie śpią. Prawdopodobnie jednak akurat oglądali telewizję, rozciągnięci w swoich fotelach na drugim końcu budynku.

Ta część Instytutu była pogrążona w ciszy i śnie.

Ale nie dla wszystkich...

Podeszła do drzwi pokoju. Ponieważ pod drzwiami była szpara, Diane zgasiła światło. Poczowała na bosych stopach podmuch mroźnego powietrza i zadrżała. Z zimna, ale także wskutek adrenaliny, która płynęła w jej żyłach. Coś obudziło jej ciekawość.

Było pół godziny po północy.

Szmer był tak cichy, że prawie uszedł jej uwagi.

Jak poprzedniej nocy. Jak co noc.

Otworzyły się jakieś drzwi. Bardzo powoli. A potem cisza. Ktoś nie chciał, by go zauważono.

Znowu cisza.

Ktoś się czał. Tak jak ona.

Pstryknięcie wyłącznika, strumień światła pod jej drzwiami. Kroki w korytarzu. Tak ciche, że uderzenia jej serca prawie je zagłuszały. Przez chwilę cień zasłaniał światło wpadające do jej pokoju. Zawahała się. Potem nagle się zdecydowała i otworzyła. Za późno. Cień zniknął.

Znów zapadła cisza. Światło zgasło.

Usiadła na brzegu łóżka w ciemności, trzęsąc się pomimo grubej piżamy i szlafroka z kapturem. Kolejny raz zastanawiała się, kim jest osoba, która nocami krąży po Instytucie. A przede wszystkim – po co to robi? Z całą pewnością chodziło o jakąś tajemnicę, ponieważ ten ktoś bardzo dbał o to, by nikt go nie słyszał.

Pierwszej nocy Diane pomyślała, że pewnie ktoś zgłodniał – jakiś pomocnik medyczny czy pielęgniarka – i nie chce, by go przyłapano na objadaniu się ukradkiem. Ale nie mogła zasnąć i zauważyła, że światło zapala się znowu dopiero po dwóch godzinach. Następnej nocy była tak wykończona, że spała. Ale ostatnio sytuacja się powtórzyła: bezsenność wróciła, drzwi znów leciutko zaskrzypiały, światło w korytarzu się zapaliło i jakiś cień ukradkiem przemknął w stronę schodów. Zmęczenie wzięło jednak górę i Diane przespała jego powrót.

Wśliznęła się pod kódrę i w bladym prostokącie okna patrzyła na swój lodowaty pokoik o powierzchni dwunastu metrów kwadratowych, z łazienką i toaletą. Powinna spać. Jutro niedziela – czas wolny. Zamierzała go wykorzystać na przejrzenie notatek, a potem wyjazd do Saint-Martin. Poniedziałek miał być decydujący. Doktor Xavier już zapowiedział, że w poniedziałek zabierze ją do sektora A.

Powinna spać.

Cztery dni... Spędziła w Instytucie cztery dni i miała wrażenie, że w tym krótkim czasie jej zmysły się wyostrzyły. Czy człowiek może się tak szybko zmienić? Jeśli tak, to co będzie za rok, kiedy będzie opuszczała to miejsce, żeby wrócić do Genewy? Skarciła siebie. Musi przestać o tym myśleć. Przyjechała tu na wiele miesięcy.

Wciąż nie potrafiła zrozumieć, jak można było zamknąć szalonych kryminalistów w takim miejscu. Była to najbardziej mroczna i najdziwniejsza okolica, jaką kiedykolwiek widziała.

Ale przez najbliższy rok to jest twój dom, moja droga.

Na tę myśl całkowicie odechciało jej się spać.

Usiadła w głowach łóżka i zapaliła nocną lampkę. Następnie włączyła laptop do sieci, otworzyła i poczekała, aż się uruchomi, zamierzając sprawdzić pocztę. Na szczęście Instytut miał łącze internetowe i był wyposażony w sieć Wi-Fi.

[Brak nowych wiadomości.]

Miała mieszane uczucia. Czy naprawdę oczekuje, że on do niej napisze? Po tym, co się stało? To ona zdecydowała się na zakończenie tego związku, mimo że przypłaciła to głębokim rozdarciem. On przyjął jej decyzję z właściwym sobie stoickim spokojem, tak że Diane poczuła się zraniona. Była zaskoczona głębią własnej rozpacz.

Zawahała się, zanim zaczęła stukać w klawiaturę.

Wiedziała, że milczenie z jej strony będzie dla niego niezrozumiałe. Obiecała, że napisze do niego szybko i ze szczegółami. Jak wszyscy specjaliści zajmujący się psychiatrią sądową, Pierre Spitzner płonął z ciekawości na temat wszystkiego, co dotyczyło Instytutu Wargniera. Kiedy się dowiedział, że kandydatura Diane została przyjęta, potraktował ten fakt nie tylko jako szansę dla niej, ale także jako okazję, by samemu dowiedzieć się więcej na temat tego miejsca, o którym krążyło tyle plotek.

Wystukała pierwsze słowa:

Drogi Pierre,

Mam się dobrze. To miejsce...

Nagle jej ręka znieruchomiła.

Z pamięci wyłonił się obraz. Jasny błysk, ostry jak krawędź lodu.

Duży dom Spitznera nad brzegiem jeziora, tonący w półmroku pokój, cisza pustego budynku. W obszernym łóżku Pierre i ona. Początkowo mieli tylko zabrać jakąś teczkę, której on zapomniał. Jego żona była na lotnisku i czekała na samolot do Paryża, gdzie miała wygłosić

wykład zatytułowany „Postaci i punkty widzenia” (żona Spitznera była autorką dziesięciu krwawych kryminałów o złożonej intrydze i licznych konotacjach seksualnych; te książki przyniosły jej nawet pewną sławę). Pierre skorzystał z tego faktu, by zaprosić Diane do domu. Kiedy znaleźli się pod drzwiami małżeńskiej sypialni, otworzył i wziął Diane za rękę. Najpierw odmówiła uprawiania seksu w tym miejscu, ale on nalegał, robiąc tę swoją dziecięcą minę, która zawsze ją wzruszała i przełamывała jej opór. Nalegał także, by Diane włożyła bieliznę jego żony. Kupioną w najdroższych genewskich butikach. Diane się zawahała. Ale atmosfera przekraczania granic i smak rzeczy zakazanych działały na nią tak pociągająco, że wkrótce przestała słuchać swoich skrupułów. Zauważyła, że nosi ten sam rozmiar co żona kochanka. Leżała pod nim z zamkniętymi oczami, ich splecione ciała znajdowały się w doskonałej harmonii, purpurowa twarz Pierre’a nad jej twarzą... I nagle od progu pokoju usłyszeli obojętny, suchy, stanowczy głos:

– Zabieraj stąd swoją kurwę.

Wyłączyła komputer. Wszelka chęć pisania odpłynęła. Odwróciła głowę, by zgasić światło. Nagle drgnęła. Cień był pod jej drzwiami. *Nieruchomy*. Wstrzymała oddech, niezdolna do najmniejszego ruchu. Wreszcie ciekawość i irytacja wzięły górę i Diane rzuciła się do drzwi.

Ale cień znowu zniknął.



WITAMY W PIEKLE

W niedzielę 14 grudnia o godzinie 7.45 Damien Ryck, zwany Rico, wybrał się na samotną górską przebieżkę. Dzień był szary i Damien wiedział, że nie ma co liczyć na słońce. Zaraz po przebudzeniu wyszedł na duży taras swojego domu i zobaczył gęstą mgłę spływającą na dachy i ulice Saint-Martin. Wokół górujących nad miastem szczytów chmury malowały ciemne arabeski.

Z powodu tej pogody zdecydował się na krótki odświeżający bieg trasą, którą znał na pamięć. Poprzedniego dnia, a mówiąc dokładniej jeszcze przed kilkoma godzinami, był u przyjaciół na mocno zakrapianej imprezie, podczas której wypalił sporo jointów. Wrócił do domu na miękkich nogach i nie zdejmując ubrania, położył się spać. Kiedy się obudził, po przysnycu, kubku czarnej kawy i kolejnym jointcie wypalonym na tarasie uznał, że najlepiej zrobi mu czyste górskie powietrze. Po powrocie Rico zamierzał dokończyć nanoszenie tuszu na podrys – delikatna praca, wymagająca pewnej ręki.

Rico był rysownikiem komiksów.

Wspaniały zawód, który pozwalał mu pracować w domu i utrzymywać się ze swojej pasji. Jego mroczne, czarno-białe komiksy były doceniane przez koneserów. Był coraz bardziej znany w niezależnym świecie rysowników. Ten miłośnik pozatrasowego narciarstwa, alpinizmu, kolarstwa górskiego i paralotniarstwa, a także wielki podróżnik uznał Saint-Martin za doskonałe miejsce na rzucenie kotwicy. Wykonywany zawód i nowoczesne narzędzia komunikacji pozwalały mu na życie z dala od Paryża, gdzie znajdowała się siedziba wydawnictwa Infernum, do której jeździł sześć razy w roku. Początkowo mieszkańcy Saint-Martin mieli pewien kłopot z przyzwyczajeniem się do jego karykaturalnie alterglobalistycznej powierzchowności: czarno-żółtych dredów, bandany, pomarańczowego poncho, wielu kolczyków i różowej bródki. Kiedy nadeszło lato, mogli dodatkowo podziwiać kilkanaście tatuaży pokrywających jego niemal anorektyczne ciało: ramiona, ręce, plecy, szyję, łydki, uda... Spod jego szortów i podkoszulków wyłaniały się prawdziwe trójkolorowe dzieła sztuki. A jednak dobrze było znać Rica. Nie tylko dlatego, że był utalentowanym rysownikiem. Był także czarującym facetem, cechującym się ironicznym poczuciem humoru i niebywałą uprzejmością w stosunku do sąsiadów, dzieci i osób w podeszłym wieku.

Tego ranka Rico włożył górskie buty, na słuchawki empetrójki włożył andyjską czapkę i lekkim kłusem wbiegł na szlak, który zaczynał się zaraz za hipermarketem, dwieście metrów od jego domu.

Mgła się nie podnosiła. Na opustoszałym parkingu Rico musiał okrążyć rzędy sklepowych wózków. Gdy znalazł się na ścieżce, wydłużył krok. Za jego plecami dzwony na wieży kościelnej właśnie wybijały ósmą. Miał wrażenie, jakby ich dźwięk dochodził do jego uszu przez

kilka warstw waty.

Musiał uważać, by nie skrócić kostki na nierównym podłożu, z którego sterczały korzenie i duże kamienie. Na odcinku dwóch kilometrów ścieżka delikatnie wznosiła się w górę przy akompaniamencie strumienia, który przecinała raz po raz, prowadząc po solidnych kładkach z sosnowych bali. Potem zrobiło się bardziej stromo i Rico poczuł to w kolanach. Mgła trochę się przprzedziła. Zauważył metalowy mostek przerzucony przez potok nieco wyżej, nad huczącym wodospadem. Najbardziej stromy odcinek trasy. Gdy udało się już wspiąć na górę, robiło się niemal płasko. Rico biegł, dawkując wysiłek. Kiedy uniósł głowę, zauważył, że coś wisi na moście. Z metalowej platformy zwisała jakaś torba albo duży przedmiot.

Pochylił głowę, żeby pokonać ostatnie zakosy. Na wysokości mostu wyprostował się. Serce waliło mu z częstotliwością stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Ale kiedy podniósł oczy, prawie eksplodowało. To nie torba zwisała z mostu – to był człowiek! Rico zamarł. Szok i zadyszka sprawiły, że na moment przestał oddychać. Z szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ciało i próbował złapać oddech. Ostatnie metry pokonał wolnym krokiem, z rękami na biodrach.

CHOLERA, co to ma być?

W pierwszej chwili trudno mu było zrozumieć, co ma przed sobą. Zastanawiał się, czy nie padł przypadkiem ofiarą halucynacji, wywołanej być może przez nocne ekscesy. Szybko się jednak przekonał, że to nie przywidzenie. Widok był zbyt rzeczywisty, zbyt przerażający. W niczym niepasujący do horrorów, które Rico uwielbiał. To, co miał przed oczami, to był człowiek... nieżywy, nagi, zwisający z mostu!

KURWA MAĆ!!!

Poczuł, jak w jego żyłach rozlewa się lodowate zimno.

Rozejrzał się dookoła i wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu mroźny dreszcz. Mężczyzna nie powiesił się sam, nie popełnił samobójstwa. Oprócz taśmy zaciśniętej na szyi było kilka innych, którymi ciało było przymocowane do metalowej konstrukcji mostu, a na głowę ofiary ktoś założył... *kaptur*. Nieprzemakalny kaptur zakrywający twarz był częścią peleryny, która zwisała wzdłuż pleców.

KURWA! KURWA! KURWA!

Ogarnęła go panika. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Ten widok sprawiał, że do jego krwi wsączała się trucizna strachu. Był sam w górach, cztery kilometry od jakichkolwiek zabudowań, w miejscu, do którego prowadziła tylko jedna droga – ta, którą się tu dostał.

Tę samą drogę pokonał morderca...

Zastanawiał się, czy zbrodnię popełniono niedawno. Inaczej mówiąc, czy morderca nie znajduje się w pobliżu. Rico z lękiem przeczesał wzrokiem pobliskie skały i zamgloną okolicę. Następnie wziął dwa głębokie oddechy i ruszył w drogę powrotną. Po chwili zbiegał już ścieżką w kierunku Saint-Martin.

Servaz nigdy nie był zbyt wysportowany. Prawdę mówiąc, nie znosił sportu. W żadnej postaci. Na stadionach ani w telewizji. Nie znosił oglądania wydarzeń sportowych w równym stopniu, jak samego uprawiania sportu. Jednym z powodów, dla których nie miał telewizora, był fakt, że w jego opinii w telewizji było za dużo sportu, i to w dodatku bez względu na porę.

Dawniej, to znaczy przez piętnaście lat swojego małżeństwa, zmuszał się jednak do

minimum aktywności fizycznej, a mianowicie do trzydziestu pięciu minut biegania – i ani chwili dłużej – w każdą niedzielę. Mimo to, a może właśnie dzięki temu, do trzydziestego ósmego roku życia nie przytył nawet o kilogram i wciąż kupował spodnie w tym samym rozmiarze. Wiedział, czemu zawdzięcza ten cud: miał geny po ojcu, który przez całe życie był szczupły i ruchliwy jak chart – poza samą końcówką, kiedy alkoholizm i depresja zrobiły z niego niemal szkielet.

Ale od czasu rozwodu Servaz zaprzestał wszelkiej aktywności, która choćby w minimalnym stopniu przypominała sport.

W ten niedzielny poranek postanowił wrócić do biegania. Stało się to za sprawą słów, które poprzedniego wieczoru usłyszał od Margot: „Tato, postanowiłam, że letnie wakacje spędzimy razem. We dwoje. Tylko ty i ja. Bardzo daleko od Tuluzy”. Opowiedziała mu o Chorwacji, o jej zatoczkach, górzystych wysepkach, zabytkach i słońcu. Chciała spędzić wakacje jednocześnie rozrywkowo i sportowo: to znaczy rano jogging i pływanie, po południu *farniente* i zwiedzanie zabytków, a wieczorami tańce albo spacery brzegiem morza. Program był ustalony. Inaczej mówiąc, Servaz miał żywotny interes w tym, by wrócić do formy.

Włożył więc stare, rozciągnięte szorty i T-shirt, na nogi włożył trampki i udał się na błonia nad Garonną. Na zewnątrz było szaro i trochę mgliście. On, który, gdy nie był na służbie, zazwyczaj nie wychylał nosa na zewnątrz przed południem, nagle zdał sobie sprawę, że nad różowym miastem unosi się zadziwiająco spokojna aura, tak jakby w niedzielny poranek nawet łajdacy i idioci robili sobie wolne.

Biegając umiarkowanym tempem, przypomniał sobie słowa córki. „Bardzo daleko od Tuluzy”... Dlaczego bardzo daleko od Tuluzy? Znowu miał przed oczami jej smutną i zmęczoną twarz i obudził się w nim niepokój. Czyżby w Tuluzie było coś, przed czym chce uciec? Coś? A może ktoś? Przypomniał sobie o siniaku na jej policzku i nagle ogarnęły go złe przeczucia.

Chwilę później poczuł zadyszkę.

Narzucił sobie zbyt duże tempo...

Zatrzymał się, sapiąc, z rękami na kolanach. Jego płuca płonęły. Koszulka była mokra od potu. Servaz zerknął na zegarek. Dziesięć minut! Wytrzymał tylko dziesięć minut! A miał wrażenie, że biegnie już pół godziny! Psiakrew, był wykończony! Niecałe czterdzieści lat, a wlokę się jak staruszek! – użalał się nad sobą, kiedy w kieszeni jego szortów zabrzączał telefon.

– Servaz – wydyszał.

– Co się dzieje? – zapytała Cathy d’Humières. – Żle się pan czuje?

– Ćwiczyłem – wycharczał.

– Faktycznie, mam wrażenie, że w pana wypadku to wskazane. Przepraszam, że zakłócam panu niedzielę. Jest coś nowego. Obawiam się, że tym razem nie chodzi o konia.

– Jak to?

– Trup. W Saint-Martin.

Podniósł się.

– Trup? – Ciągłe próbował złapać oddech. – Jaki trup? Wiadomo... kto to jest?

– Jeszcze nie.

– Nie miał papierów?

– Nie. Był nagi. Miał na sobie tylko buty i czarną pelerynę.

Servaz czuł się, jakby dostał obuchem w głowę. D’Humières zrelacjonowała mu to, co

wiedziała: młody człowiek, który wyszedł pobiegać dookoła jeziora, metalowy most na potoku, ciało zwisające z mostu...

– Skoro wisiał na moście, to może być samobójstwo – rzucił bez przekonania, bo kto chciałby wybierać się na tamten świat w takim stroju.

– Według wstępnych ustaleń to raczej morderstwo. Nie znam więcej szczegółów. Chciałabym się z panem spotkać na miejscu.

Servaz poczuł dotyk zimnej dłoni na karku. Stało się to, czego się obawiał. Najpierw DNA Hirtmanna, a teraz to. Co to znaczy? Czyżby początek jakiejś serii? Tym razem Hirtmann nie mógł się wymknąć z Instytutu. Kto w takim razie zabił mężczyznę powieszono pod mostem?

– W porządku – odpowiedział. – Zawiadomię Espérandieu.

Powiedziała mu, dokąd ma jechać, i rozłączyła się. Servaz usiadł na pobliskiej ławce. Znajdował się u stóp Pont-Neuf, w parku dzielnicy Prairie des Filtres, którego trawniki łagodnie opadały ku rzece. Wzdłuż Garonny biegło wielu amatorów joggingu.

– Espérandieu – powiedział Vincent.

– Mamy trupa w Saint-Martin.

Cisza. Potem Servaz usłyszał, jak Espérandieu z kimś rozmawia. Głos był zduszony, asystent Servaza zakrył dłonią mikrofon telefonu. Policjant zastanawiał się, czy Espérandieu jest jeszcze w łóżku z Charlene.

– W porządku. Zbieram się.

– Wpadnę po ciebie za dwadzieścia minut.

Potem, gdy było już za późno, zorientował się, że to niemożliwe: dotarcie tutaj biegiem zajęło mu dziesięć minut, ale w aktualnym stanie nie da rady pokonać drogi powrotnej w takim tempie. Zadzwoił jeszcze raz.

– Tak?

– Nie śpiesz się. Będę najprędzej za pół godziny.

– Nie jesteś u siebie? – zapytał Espérandieu zaskoczony.

– Ćwiczyłem.

– Ćwiczyłeś? Co to za ćwiczenia?

W tonie głosu asystenta słychać było niedowierzanie.

– Bieganie.

– To ty biegasz?

– To był pierwszy raz – tłumaczył się Servaz rozdrażniony.

Domyślał się, że Espérandieu po drugiej stronie słuchawki się uśmiecha. Być może leżąca obok męża Charlene także się śmieje. Czy kiedy są sami, zdarza im się z niego wyśmiewać, kpić z jego dziwactw rozwodnika? Z drugiej strony jednego był pewien: Vincent go podziwiał. Kiedy Servaz zgodził się zostać ojcem chrzestnym jego drugiego dziecka, asystent wpadł w jakąś absurdalną dumę.

Wrócił do samochodu, który zostawił na parkingu przy Cours Villon. Kolka kłuła go w boku jak gwóźdź. Po przyjeździe do domu wziął prysznic, ogolił się i zmienił ubranie, a potem wyjechał, kierując się ku przedmieściom.

Nowy budynek, a przed nim nieogrodzony trawnik. Do wejścia i garażu prowadziła półkolistą asfaltową alejką w amerykańskim stylu. Servaz wysiadł z samochodu. Mężczyzna stojący na szczycie drabiny instalował Świętego Mikołaja na krawędzi dachu swojego domu.

Kawałek dalej na ulicy dzieci grały w piłkę. Chodnikiem przebiegło małżeństwo około pięćdziesiątki – obydwójce wysocy, szczupli, w przylegających odblaskowych strojach. Servaz ruszył alejką do drzwi. Zadzwoił.

Odwrócił głowę i przyglądał się niebezpiecznym ewolucjom sąsiada, który na szczycie drabiny walczył ze Świętym Mikołajem i bożonarodzeniowymi girlandami.

Kiedy znowu obrócił się ku drzwiom, o mało nie podskoczył: Charlène Espérandieu otworzyła bezgłośnie i teraz stała naprzeciw niego, uśmiechając się. Miała na sobie liliowy T-shirt, rozpięty sweterek z jasnej włóczki z kapturem i ciężowe džinsy. Była boso. Nie dało się nie zauważyć zaokrąglonego brzucha. Ani jej olśniewającej urody. Wszystko w Charlène Espérandieu było jedną wielką lekkością, bystrością i subtelnością. Tak jakby nawet ciąża nie była w stanie uczynić jej cięższą, pozbawić jej skrzydeł artystki i humoru. Charlène prowadziła galerię sztuki w centrum Tuluzy. Servaz kilkakrotnie był tam zapraszany na wernisaże. Na białych ścianach galerii miał okazję oglądać dzieła dziwne, prowokujące, czasem fascynujące. Przez chwilę stał bez ruchu, ale zaraz doszedł do siebie i uśmiechnął się z szacunkiem.

– Wejdz. Vincent kończy się zbierać. Napijesz się kawy?

Zdał sobie sprawę, że jeszcze nic nie jadł.

– Vincent mówił, że zabrałeś się do uprawiania sportu – powiedziała, podsuwając mu filiżankę.

Nie umknął mu żartobliwy ton. Był jej wdzięczny za rozładowanie atmosfery.

– To była tylko próba. Muszę przyznać, że dość żałosna.

– Wytrwaj, nie poddawaj się.

– *Labor omnia vincit improbus*, systematyczna praca wszystko zwycięża – przetłumaczył, kiwając głową.

Uśmiechnęła się.

– Vincent mówił, że często używasz łacińskich sentencji.

– To taki mały trik, który pomaga przyciągnąć uwagę w ważnych chwilach.

Przez moment miał ochotę opowiedzieć jej o swoim ojcu. Z nikim o nim nie rozmawiał, ale jeśli istniała osoba, której mógłby się zwierzyć, była nią właśnie Charlène. Czuł to od pierwszego wieczoru, kiedy poddała go prawdziwemu przesłuchaniu – było to jednak przesłuchanie przyjacielskie, a momentami wręcz czułe. Skinęła głową, a potem oświadczyła:

– Vincent bardzo cię podziwia. Widzę, że czasami próbuje cię naśladować, zachowywać się czy odpowiadać, tak jak sobie wyobraża, że ty byś się zachował albo odezwał. Na początku nie rozumiałam, skąd u niego te zmiany. Ale poobserwowałam cię i zrozumiałam.

– Mam nadzieję, że będzie naśladował tylko dobre rzeczy.

– Ja także.

Nie kontynuował tematu. Espérandieu wpadł do kuchni, wciągając srebrną kurtkę, która wydała się Servazowi nie na miejscu w tych okolicznościach.

– Jestem gotowy! – Położył dłoń na okrągłym brzuchu żony. – Uważajcie na siebie.

– Który to miesiąc? – zapytał Servaz już w samochodzie.

– Siódmy. Może streścisz mi, co się stało?

Półtorej godziny później zatrzymali jeepa obok hipermarketu. Na parkingu roiło się od

samochodów żandarmerii, motocykli i gapiów. Wiadomość musiała się w jakiś sposób roznieść. Mgła nieco się podniosła, tworząc przed ich oczami przezroczystą zasłonę, jakby oglądali rzeczywistość przez zaparowaną szybę. Servaz zauważył wiele samochodów należących do prasy i jeden wóz regionalnej telewizji. Dziennikarze i ciekawscy kłębili się poniżej betonowego podjazdu. Żółta taśma żandarmerii rozciągnięta w połowie jego wysokości zabraniała wejścia dalej. Servaz wyjął legitymację i podniósł taśmę. Jeden z pilnujących pokazał im ścieżkę. Zostawiwszy harmider za sobą, szli ścieżką, milczący i coraz bardziej napięci. Aż do pierwszych zakrętów nikogo nie spotkali. W miarę jak posuwali się naprzód, mgła gęstniała. Była zimna i wilgotna jak przemoczona rękawiczka.

W połowie wzniesienia Servaz znowu poczuł kłucie w boku. Zwolnił, żeby przed atakiem na ostatni zakręt złapać oddech, i uniósł głowę. Wyżej zobaczył wiele postaci przemierzających się tam i z powrotem we mgle. I wielki krąg białego światła – jakby na górze parkowała ciężarówka, której kierowca zapalił wszystkie światła.

Ostatni stromy stumetrowy odcinek pokonał z narastającym poczuciem, że morderca specjalnie wybrał tę scenę. Jak poprzednio.

Niczego nie zostawia przypadkowi.

Zna okolicę.

To się nie trzyma kupy, pomyślał. Czyżby Hirtmann był tutaj, zanim przewieziono go do Instytutu? Czy to możliwe, żeby znał te okolice? Na wszystkie te pytania trzeba będzie znaleźć odpowiedź. Przypomniał sobie, jaka myśl przyszła mu do głowy w pierwszej chwili po telefonie d’Humières: tym razem Hirtmann nie mógł się wymknąć z Instytutu. Kto w takim razie zabił człowieka powieszzonego pod mostem?

Servaz rozpoznał we mgle Ziegler i Maillarda. Pani kapitan prowadziła ożywioną rozmowę z niewysokim, opalonym człowiekiem z białą lwią grzywą. Servaz miał wrażenie, że już go gdzieś widział. Po chwili sobie przypomniał – to Chaperon, mer miasta, którego spotkał w elektrowni. Ziegler powiedziała jeszcze kilka słów do mera, po czym ruszyła w ich kierunku. Servaz przedstawił ją Espérandieu. Pokazała im stalowy most, pod którym widać było niewyraźną ludzką sylwetkę w białym kręgu światła.

– Okropność! – zawołała, przekrzykując huk spienionej wody.

– Co mówią?! – odkrzyknął Servaz.

Kobieta wskazała siedzącego na kamieniu młodego człowieka ubranego w pomarańczowe poncho, a potem streściła sytuację: chłopak na porannej przebieżce, ciało wiszące pod mostem, kapitan Maillard, który odgrodził teren i skonfiskował telefon jedyne go świadka, a mimo to informacja przedostała się do prasy.

– Co tutaj robi mer? – chciał się dowiedzieć Servaz.

– Wezwaliśmy go, żeby zidentyfikował ciało, na wypadek gdyby to był któryś z jego podwładnych. Może to on poinformował prasę. Politycy zawsze potrzebują dziennikarzy, nawet tacy drobnicy. – Odwróciła się i ruszyła w stronę miejsca zbrodni. – Ofiara została zidentyfikowana z całą pewnością. Zdaniem mera i Maillarda ten człowiek to niejaki Grimm, aptekarz z Saint-Martin. Według Maillarda jego żona dzwoniła do żandarmerii, żeby zgłosić jego zniknięcie.

– Zniknięcie?

– Powiedziała, że mąż wyszedł wczoraj wieczorem na sobotnią partyjkę pokera i powinien

był wrócić około północy. Zadzwoiła, żeby powiedzieć, że nie wrócił i nie ma od niego żadnych wiadomości.

– O której?

– O ósmej. Rano, kiedy się obudziła, zdziwiła się, że nie ma go w domu, a jego łóżko jest zimne.

– Jego łóżko?

– Mieli osobne sypialnie – potwierdziła.

Byli już blisko. Servaz przygotowywał się psychicznie. Most oświetlały ze wszystkich stron potężne reflektory. Snująca się mgła przypominała armatni dym na polu bitwy. W oślepiającym blasku wszystko parowało i dymiło. Opary unosiły się nawet z potoku, a także ze skał o ostrych i błyszczących jak biała broń krawędziach. Servaz podszedł bliżej. Ryk wody wypełniał mu uszy, mieszając się z szumem jego krwi.

Ciało było nagie.

Tłuste.

Białe.

Z powodu wilgoci skóra błyszczała w oślepiającym świetle reflektorów, jakby była posmarowana oliwą. Servaz pomyślał najpierw, że aptekarz jest gruby, a nawet za gruby. Jego uwagę przykuło gniazdo czarnego owłosienia i małe przyrodzenie skurczone między masywnymi, otłuszczonymi udami. Następnie wędrował wzrokiem wzdłuż wypukłego, białego i pozbawionego zarostu torsu, na którym, tak jak na udach, pełno było fałd tłuszczu – aż do szyi ściśniętej taśmą tak głęboko wrzynającą się w ciało, że prawie niewidoczną. Całość wieńczył naciągnięty na twarz kaptur i czarna nieprzemakalna peleryna zwisająca wzdłuż pleców.

– Po co wkładać pelerynę na głowę ofiary, a potem rozbierać ją do naga? – zapytał Espérandieu zmienionym głosem, jednocześnie chrypiącym i wysokim.

– Ponieważ peleryna ma jakieś znaczenie – wyjaśnił Servaz. – Nagość też.

– Cholerny spektakl – podsumował asystent.

Servaz odwrócił się do niego. Wskazał na młodego człowieka ubranego w pomarańczowe poncho, który siedział kawałek niżej.

– Pożycz jakiś samochód, zabierz go do żandarmerii i spisz jego zeznania.

– Okay – rzucił Espérandieu i szybko się oddalił.

Dwóch techników w białych kombinezonach i maskach chirurgicznych przechyliło się przez metalową barierkę. Jeden z nich wyjął latarkę i przesunął wiązkę światła po zwisającym niżej ciele ofiary.

Ziegler wyciągnęła palec w jego stronę.

– Lekarz sądowy uważa, że przyczyną zgonu było uduszenie. Widzi pan te taśmy?

Oprócz naciągniętej pionowo poliamidowej taśmy wrzynającej się w szyję zmarłego Servaz dostrzegł jeszcze dwie opaski mocno zacisnięte wokół nadgarstków. Końce taśmy przymocowane były do mostu powyżej, tak że ramiona ofiary były uniesione nad głową i rozciągnięte szeroko, na kształt litery V.

– Wygląda na to, że morderca stopniowo opuszczał ciało, regulując długość tych bocznych taśm. Im bardziej je luzował, tym mocniej główna taśma zaciskała się na szyi ofiary i ją dusiła. Ten człowiek musiał umierać bardzo długo.

– Potworna śmierć – odezwał się ktoś za nimi.

Odwrócili się. Cathy d’Humières wpatrywała się w zmarłego. Jej twarz nagle wydała się Servazowi postarzała i zniszczona.

– Mój mąż chce sprzedać swoje udziały w firmie PR-owskiej i otworzyć klub nurkowy na Korsyce. Chciałby, żebym zrezygnowała z pracy w sądzie. W takie poranki jak dzisiaj mam ochotę go posłuchać.

Servaz wiedział, że tego nie zrobi. Bez trudu mógł ją sobie wyobrazić w roli „żony szybkiego reagowania”, dzielnego żołnierzyka światowego życia, który po wyczerpującym dniu pracy jest w stanie przyjmować przyjaciół, śmiać się z nimi i bez mrugnięcia okiem znosić życiowe tragedie, jakby chodziło tylko o kieliszek rozlanego wina.

– Wiadomo, kim jest ofiara?

Ziegler powtórzyła to, co mówiła Servazowi.

– Jak się nazywa ten lekarz? – zapytał komendant.

Ziegler podeszła do lekarza i wróciła, by przekazać informację. Servaz z zadowoleniem kiwnął głową. Na początku swojej kariery miał zatarg z pewną lekarką medycyny sądowej, która podczas prowadzonego przez niego śledztwa odmówiła udania się na miejsce zbrodni. Servaz się wściekł i wybrał się do szpitala uniwersyteckiego w Tuluzie. Ale pani doktor się postawiła. Później dowiedział się, że ta sama osoba znalazła się na pierwszych stronach lokalnych gazet w związku ze słynną sprawą seryjnego zabójcy, którego morderstwa dokonywane na młodych kobietach z okolicy wskutek niewiarygodnych zaniedbań uznano za samobójstwa.

– Będą wciągać trupa – oznajmiła Ziegler.

Panowało tu takie samo zimno i wilgoć jak na dole i Servaz mocniej zawiązał szalik wokół szyi. Nagle pomyślał o taśmie zaciśniętej na szyi nieboszczyka i czym prędzej poluzował węzeł.

Wtem rzuciły mu się w oczy dwa szczegóły, na które początkowo z powodu szoku nie zwrócił uwagi.

Pierwszym były wysokie skórzane buty, jedyny oprócz peleryny element odzieży, jaki miała na sobie ofiara. Robiły wrażenie o wiele za małych na tak potężnego człowieka.

Drugim szczegółem była prawa ręka ofiary.

Brakowało jednego palca.

Serdecznego.

Został odcięty.

– Chodźmy – powiedziała d’Humières, kiedy technicy wciągnęli ciało i ułożyli je na moście.

Metalowy mostek wpadał w drgania i odbijał echem ich kroki. Servaz przeżył chwilę czystej trwogi, spoglądając w otchłań, w którą z impetem spadał potok. Przykucnięci wokół ciała technicy ostrożnie zdejmowali kaptur. Drgnęli, jakby widok, który ujrzeli, odrzucił ich do tyłu. Rozdęta twarz z ustami zalepionymi mocną taśmą samoprzylepną srebrnego koloru. Servaz bez żadnego trudu wyobraził sobie wycie cierpiącej męczarnie ofiary, zduszone przez taśmę: oczy aptekarza były wytrzeszczone. Gdy Servaz przyjrzał się im dokładniej, zauważył, że wytrzeszcz nie jest naturalny. Morderca odwrócił powieki. Złapał je od góry, najprawdopodobniej za pomocą pincety, a następnie przypiął agrafkami – pod brwiami i do policzków. Zmusił Grimma do patrzenia... W dodatku tak bardzo zmasakrował mu twarz jakimś ciężkim narzędziem, może młotkiem lub czekanem, że prawie wyrwał nos, który wisiał tylko na cienkim kawałku skóry i chrząstki. Na samym końcu Servaz zauważył we włosach aptekarza ślady błota.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Potem Ziegler odwróciła się w stronę strumienia. Dała znak Maillardowi, który chwycił mera pod ramię. Servaz patrzył, jak podchodzą. Chaperon miał przerażoną minę.

– Tak, to on – wyjąkał. – To Grimm. Boże! Co z nim zrobili!

Ziegler delikatnie popchnęła Maillarda, żeby odciągnął mera od nieboszczyka.

– Wczoraj wieczorem grał w pokera z Grimmem i jeszcze jednym przyjacielem – wyjaśniła.
– Są ostatnimi osobami, które go widziały.

– Myślę, że tym razem mamy problem – powiedziała d’Humières, wstając.

Servaz i Ziegler spojrzeli na nią.

– Będziemy mieli zaszczyt gościć na pierwszych stronach gazet. I to nie tylko lokalnych.

Servaz zrozumiał, do czego zmierza. Dzienniki, tygodniki, wiadomości telewizyjne o zasięgu ogólnokrajowym. Będą w oku cyklonu. W sercu medialnej burzy. Nie są to najlepsze warunki do prowadzenia śledztwa, ale nie mają wyboru. W tej chwili dostrzegł pewien szczegół, który na początku całkowicie umknął jego uwagi: Cathy d’Humières była bardzo elegancko ubrana. Nie rzucało się to w oczy, było niemal niedostrzegalne, ponieważ pani prokurator zawsze nosiła się z wielkim smakiem, można było jednak zauważyć, że tym razem szczególnie się postarała. Bluzka, kostium, płaszcz, naszyjnik, kolczyki – wszystko było perfekcyjnie dobrane. Aż po makijaż, który podkreślał jej zarazem surowe i przyjemne rysy. Makijaż był skromny, ale musiała spędzić przed lustrem wiele czasu, by uzyskać ten rodzaj skromności.

Przewidziała obecność prasy i przygotowała się na tę okazję.

W przeciwieństwie do Servaza, który nawet się nie uczesał. Szczęście, że przynajmniej się ogolił!

Jednego jednak nie przewidziała: spustoszeń, jakie poczyni na jej twarzy oglądanie nieboszczyka. Część jej porannych zabiegów została zniweczona i d’Humières wyglądała na podstarzałą, zmęczoną, goniącą resztkami sił kobietę. Servaz podszedł do technika, który błyskając aparatem, uwijał się wokół ciała.

– Liczę, że dopilnuje pan, by żadne z tych zdjęć nie zginęło. Niech pan ich nigdzie nie zostawia.

Technik skinął głową. Czy zrozumiał polecenie? Jeśli któraś z odbitek przedstanie się do prasy, Servaz pociągnie go do osobistej odpowiedzialności.

– Czy lekarz zbadał prawą dłoń? – zwrócił się do Ziegler.

– Tak. Jego zdaniem palec został odcięty ostrym narzędziem: obcęgami lub sekatorem. Dokładniejsze badanie to potwierdzi.

– Palec serdeczny prawej ręki – zauważył Servaz.

– A obrączka i inne palce są nietknięte – dodała Ziegler.

– Myślmy o tym samym?

– Jakiś sygnet albo pierścionek.

– Tak jakby morderca chciał go ukraść w charakterze trofeum albo usunąć, żeby nikt go nie zobaczył...

Ziegler patrzyła na niego zdumiona.

– Ale po co miałyby go ukrywać? Zresztą wystarczyło zdjąć.

– Może nie dał rady. Grimm ma grube palce.

Schodząc, Servaz dostrzegł klębiącą się na dole ciżbę dziennikarzy i gapiów i natychmiast miał ochotę zawrócić. Ale betonowy podjazd na tyłach hipermarketu był jedyną drogą. Innym wyjściem było tylko przedzieranie się przez góry. Komendant przybrał stosowny do okoliczności wyraz twarzy i już miał rzucić się w tłum, kiedy zatrzymała go czyjaś ręka.

– Ja się tym zajmę.

Catherine d’Humières odzyskała rezon. Servaz stanął z boku i podziwiał jej występ. Była mistrzynią w laniu wody, którą słuchacze spijali z jej ust jak najbardziej upragnione rewelacje. Odpowiadała każdemu z dziennikarzy, spoglądając mu prosto w oczy, z powagą, podkreślając odpowiedź delikatnym, porozumiewawczym, ale powściągliwym uśmiechem osoby, która nie traci z oczu całej potworności sytuacji.

Wspaniała gra.

Przecisnął się między dziennikarzami do samochodu, nie czekając na zakończenie przemowy. Jego jeep Cherokee stał na drugim końcu parkingu, za rzędami wózków. Ledwie go widział przez mgłę. Czując na sobie uderzenia wiatru, uniósł kołnierz kurtki i rozmyślał o artyście, który skomponował ten przerażający obraz na górze. Jeśli to ten sam, który zabił konia, to musi być miłośnikiem wysokości.

Gdy znalazł się bliżej jeepa, nagle dotarło do niego, że samochód wygląda jakoś dziwnie. Przyglądał mu się przez chwilę i wreszcie zrozumiał. Spłaszczony opony leżały na asfalcie jak piłki, z których ktoś spuścił powietrze. Przebite. Wszystkie cztery. Karoseria była porysowana kluczem lub innym ostrym przedmiotem.

Witamy w Saint-Martin, pomyślał.

W niedzielny poranek w Instytucie panował dziwny spokój. Diane miała wrażenie, jakby wszyscy mieszkańcy wyjechali. Zupełna cisza. Wygrzebała się spod kołdry i poszła do małej lodowatej łazienki. Z powodu zimna umyła i wysuszyła włosy i wyszczotkowała zęby najszybciej, jak się dało.

Wychodząc z łazienki, rzuciła okiem za okno. Mgła jak jakiś duch zagnieździła się tu pod osłoną nocy. Unosiła się nad grubą warstwą śniegu, zalewając białe jodły. Instytut był otoczony przez mgłę. Dziesięć metrów dalej wzrok natrafiał na ścianę parującej bieli. Diane ciałniej owinęła się szlafrokiem.

Zamierzała zjechać i zrobić rundkę po Saint-Martin. Szybko się ubrała i wyszła z pokoju. Kawiarenka na parterze była pusta, jeśli nie liczyć personelu. Diane zamówiła cappuccino i croissanta i poszła do stolika przy oknie. Po mniej niż dziesięciu minutach do sali wszedł mężczyzna około trzydziestki w białym kitlu i wziął tacę. Diane przyglądała się ukradkiem, jak zamawia dużą kawę z mlekiem, sok pomarańczowy i dwa croissanty, a następnie z tacą w rękach zmierza w jej kierunku.

– Dzień dobry, mogę się przysiąść?

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Diane Berg – powiedziała, wyciągając rękę. – Jestem...

– Wiem. Alex. Pracuję jako pielęgniarz psychiatryczny. I jak, przyzwyczajają się pani?

– Dopiero przyjechałam.

– Nie jest lekko, co? Kiedy pierwszy raz tu przyjechałem i zobaczyłem to miejsce, o mało nie wsiadłem z powrotem do samochodu i nie uciekłem. A poza tym ja tu nie nocuję.

– Mieszka pan w Saint-Martin?

– Nie, nie mieszkam w dolinie.

Jego ton brzmiał tak, jakby była to ostatnia rzecz, którą miał ochotę powiedzieć.

– Nie orientuje się pan, czy zimą w pokojach zawsze jest tak lodowato? – zapytała.

Patrzył na nią z uśmiechem. Miał raczej miłą, otwartą twarz, ciepłe, brązowe oczy i kręcone włosy. Na środku czoła widniało duże znamię, które wyglądało jak trzecie oko. Przez chwilę jej wzrok nieprzyjemnie uciekał w tę stronę i Diane zaczerwieniła się, gdy się zorientowała, że Alex to zauważył.

– Obawiam się, że tak – powiedział. – Na ostatnim piętrze są przeciągi, a instalacja grzewcza jest dość stara.

Za dużym oknem śnieżny pejzaż z jodłami tonącymi we mgle wyglądał cudownie i był na wyciągnięcie ręki. Fakt, że siedzą tutaj i piją ciepłą kawę oddzieleni od całej tej bieli zwykłą szybą, był dla Diane czymś tak niesamowitym, że miała wrażenie, jakby znalazła się w kinie.

– Czym konkretnie się pan zajmuje? – zapytała, zdecydowana nie stracić nadarzającej się wreszcie okazji, by dowiedzieć się więcej.

– Chodzi pani o to, czym zajmują się tutaj pielęgniarze?

– Tak.

– No więc... Jako pielęgniarze psychiatryczni przygotowujemy i rozdzielamy leki, sprawdzamy, czy pacjenci je zażywają, czy po zażyciu nie ma skutków jatrogennych. Oczywiście także pilnujemy pacjentów. Choć nie skupiamy się na tym. Raczej organizujemy im zajęcia, rozmawiamy z nimi, obserwujemy ich, jesteśmy do ich dyspozycji, słuchamy... Ale bez przesady. Robota pielęgniarska ma to do siebie, że nie może być ani za bardzo obecny, ani za bardzo nieobecny. Ani obojętny, ani zawsze do usług. Musimy wiedzieć, gdzie jest nasze miejsce. Szczególnie tutaj. Z tymi...

– A leczenie? – zapytała, usiłując nie wpatrywać się już w znamię na jego czole. – Stosujecie ciężkie leki?

Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

– Tak... Dawki tutaj znacznie przekraczają zalecane normy. To taka lekowa Hiroszima. Nie bawimy się w koronkową robotę. Ale to nie znaczy, że ich szprycujemy. Nie chodzą jak zombie. Po prostu większość tych... *typów*... jest odporna na leki. A więc robimy koktajle uspokajaczy z neuroleptykami, końskie dawki, cztery razy dziennie zamiast trzech. Do tego elektrowstrząsy, kaftan, a jeśli już nic nie działa, sięgamy po cudowny specyfik: klozapinę.

Diane o nim słyszała. Klozapina to atypowy środek antypsychotyczny, używany w leczeniu schizofrenii odpornej na inne leki. Jak większość substancji stosowanych w psychiatrii może wywoływać groźne skutki uboczne: nietrzymanie stolca, nadmierne wydzielanie śliny, zaburzenia wzroku, przyrost masy ciała, drgawki, zakrzepica.

– Musi pani zrozumieć – dodał z półuśmiechem, który zastygł na jego twarzy – że w tym miejscu przemoc zawsze jest blisko. I niebezpieczeństwo...

Miała wrażenie, jakby słuchała Xaviera: „Inteligencja rozwija się tylko w warunkach zmiany – *tam, gdzie istnieje zagrożenie*”.

– A jednocześnie – sprostował, chichocząc – to miejsce jest pewniejsze niż niektóre dzielnice dużych miast. – Pokiwał głową. – Mówiąc między nami, jeszcze całkiem niedawno psychiatria była w epoce kamienia łupanego. Pacjenci byli poddawani niewiarygodnie barbarzyńskim doświadczeniom. Inkwizycja lub nazistowscy lekarze mogliby nam pozazdrościć. To się zmieniło, ale jest jeszcze wiele do zrobienia. Tutaj nie ma mowy o wyleczeniu. Tylko o stabilizacji, rozluźnieniu...

– Macie jeszcze jakieś obowiązki?

– Tak. Cała robota administracyjna. Papierologia, formalności... – Rzucił okiem na zewnątrz.

– I jeszcze wywiady pielęgniarskie zlecane przez doktora Xaviera i naczelną pielęgniarkę.

– Na czym to polega?

– To bardzo schematyczne. Używamy sprawdzonych technik. Ustrukturyzowane wywiady, mniej lub bardziej standardowe kwestionariusze. Czasem zdarza nam się improwizować. Trzeba się zachowywać jak najbardziej neutralnie, żeby zmniejszyć niepokój, szanować chwile milczenia, robić pauzy... W przeciwnym razie bardzo szybko może się pojawić problem...

– Xavier i Ferney też przeprowadzają wywiady?

– Tak, oczywiście.

– Jaka jest różnica między wywiadami przeprowadzanymi przez was i przez nich?

– Właściwie żadna. Tyle że niektórzy pacjenci zwierają nam się z tego, czego by im nie powiedzieli. Bo my jesteśmy bliżej nich na co dzień, staramy się budować między pacjentami i opiekunami relacje oparte na zaufaniu, choć nie zapominamy o terapeutycznym dystansie. Ale to Xavier i Élisabeth ustalają terapię i protokół leczenia.

Ostatnie zdanie wypowiedział dziwnym głosem. Diane nieznacznie zmarszczyła brwi.

– Wygląda na to, że nie zawsze się pan zgadza z ich decyzjami?

Jego milczenie ją zaskoczyło. Potrzebował tyle czasu na odpowiedź, że Diane uniosła brew.

– Diane, jest pani nowa. Zobacz pani...

– Co zobaczę?

Spojrzał na nią spode łba. Najwyraźniej nie miał ochoty zapuszczać się na ten teren. Ale Diane czekała, patrząc na niego pytająco.

– Jak by to powiedzieć? Rozumie pani, że jest pani w miejscu, które nie jest podobne do żadnego innego. Zajmujemy się pacjentami, którymi żaden inny zakład nie był w stanie się zaopiekować. To, co się tutaj dzieje, nijak się ma do tego, co się dzieje gdzie indziej.

– Na przykład elektrowstrząsy bez znieczulenia dla pacjentów z sektora A, tak?

Natychmiast pożałowała, że to powiedziała. Jego spojrzenie stało się o kilkanaście stopni zimniejsze.

– Kto pani o tym mówił?

– Xavier.

– Niech pani da spokój.

Spuścił wzrok i wpatrywał się w swoją kawę, marszcząc brwi. Wyglądał na niezadowolonego, że dał się wciągnąć w tę dyskusję.

– Nie jestem nawet pewna, czy to jest legalne – brnęła dalej Diane. – Czy francuskie prawo pozwala na takie rzeczy?

– Francuskie prawo? Czy pani wie, ile w tym kraju każdego roku jest przymusowych hospitalizacji psychiatrycznych? *Pięćdziesiąt tysięcy...* We współczesnych demokracjach hospitalizacja z urzędu bez zgody pacjenta jest absolutnym wyjątkiem. Ale nie u nas. Chorzy psychicznie, a nawet osoby, u których jedynie podejrzewa się chorobę, mają mniej praw niż normalni obywatele. Chce pani zatrzymać bandytę? Musi pani czekać do szóstej rano. Za to jeśli człowiek zostanie oskarżony przez sąsiada, że zwariował, i sąsiad podpisze wniosek o hospitalizację na prośbę osoby trzeciej, policja może go zgarnąć o każdej porze dnia i nocy. Wymiar sprawiedliwości wkroczy dopiero wtedy, gdy ta osoba zostanie już pozbawiona wolności. I to tylko pod warunkiem, że zna swoje prawa i potrafi się domagać, żeby je respektowano. Tak wygląda psychiatria w tym kraju. To, plus brak środków, nadużywanie neuroleptyków, złe traktowanie... Nasze szpitale psychiatryczne są gniazdami bezprawia. A ten jest nim jeszcze bardziej niż inne. – Całą tę długą tyradę wypowiedział gorzkim tonem. Na jego twarzy nie było już cienia uśmiechu. Wstał, odpychając krzesło. – Niech pani rzuci okiem na wszystko i wyrobi sobie własne zdanie – poradził.

– Własne zdanie na jaki temat?

– Na temat tego, co się tutaj dzieje.

– A coś się dzieje?

– A jakie to ma znaczenie? Przecież to pani chciała się więcej dowiedzieć, nie?

Patrzyła, jak odnosi tacę i wychodzi z sali.

Pierwszą rzeczą, jaką Servaz zrobił, było opuszczenie rolet i zapalenie światełek. Wolał nie znaleźć się w kadrze teleobiektywu jakiegoś przyuczajonego dziennikarza. Młody autor komiksów wrócił do siebie. W sali zebrań Espérandieu i Ziegler stukali w klawiaturę laptopów. Cathy d’Humières stała w kącie i rozmawiała przez telefon. Gdy skończyła, usiadła przy stole. Servaz obserwował ich przez chwilę, a potem odwrócił się na pięcie.

W kącie przy oknie stała biała tablica. Servaz przesunął ją do światła, wziął do ręki marker i napisał w dwóch kolumnach:

KOŃ	GRIMM
obdarty ze skóry	nagi
ścięty	uduszony
	odcięty palec, buty, peleryna
zabity w nocy?	zabity w nocy?
DNA Hirtmanna	DNA Hirtmanna?

– Czy to wystarczy, by stwierdzić, że oba przestępstwa zostały popełnione przez te same osoby? – zapytał.

– Są podobieństwa i są różnice – odpowiedziała Ziegler.

– A jednak do obu zbrodni doszło w tym samym mieście w przedziale czasowym czterech dni – zauważył Espérandieu.

– W porządku. Hipoteza istnienia drugiego mordercy jest wysoce nieprawdopodobna. To z całą pewnością ta sama osoba.

– Albo te same osoby – uściślił komendant. – Niech pani nie zapomina, o czym rozmawialiśmy w helikopterze.

– Nie zapominam. W każdym razie jest jeden element, który pozwoliłby nam ostatecznie stwierdzić związek między tymi morderstwami.

– DNA Hirtmanna.

– DNA Hirtmanna – potwierdziła.

Servaz uniósł krawędź rolety. Rzucił okiem na zewnątrz i opuścił ją z suchym trzaskiem.

– Naprawdę sądzi pani, że mógł uciec z Instytutu i zmylić czujność waszych ludzi? – zapytał, odwróciwszy się w jej stronę.

– Nie, to niemożliwe. Osobiście sprawdziłam ich rozmieszczenie. Nie mógł przeniknąć przez takie sito.

– W takim razie to nie Hirtmann.

– W każdym razie nie tym razem.

– Jeśli tym razem to nie Hirtmann, to chyba można wziąć pod uwagę taką ewentualność, że także poprzednim razem to nie był on – zasugerował Espérandieu.

Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę.

– Hirtmann nigdy nie wjeżdżał kolejką na górę. Ktoś inny to zrobił. Ktoś, kto ma z nim kontakt w Instytucie i kto, celowo lub nie, przeniósł jeden z jego włosów.

Ziegler rzuciła Servazowi pytające spojrzenie. Zorientowała się, że nie powiedział asystentowi wszystkiego.

– Tylko że w wagoniku znaleziono nie włos, ale ślinę – uściśliła.

Espérandieu popatrzył na nią. Następnie przeniósł wzrok na komendanta, który przepaszająco spuścił głowę.

– Nie widzę w tym wszystkim za grosz logiki – powiedział Servaz. – Po co zabijać najpierw konia, a potem człowieka? Po co wieszać zwierzę na słupie kolejki? A człowieka pod mostem? Do czego to podobne?

– Na swój sposób oba ciała zostały powieszono – stwierdziła Ziegler.

Servaz wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Bardzo słusznie.

Podszedł do tablicy, stał część notatek i poprawił kolumny:

KOŃ

powieszony na słupie
kolejki

ustronne miejsce

obdarty ze skóry

ścięty

zabity w nocy?

DNA Hirtmanna

GRIMM

powieszony na metalowym moście

ustronne miejsce

nagi

uduszony, odcięty palec, buty,
peleryna

zabity w nocy?

DNA Hirtmanna?

– W porządku. Po co zabijać zwierzę?

– Żeby dotknąć Érica Lombarda – powtórzyła Ziegler kolejny raz. – Elektrownia i koń wskazują na niego. To jest wymierzone w Lombarda.

– Niech będzie. Przyjmijmy, że Lombard jest celem. Tylko co w tym wszystkim robi aptekarz? Z drugiej strony, koń został ścięty i częściowo obdarty ze skóry, a aptekarz był nagi i częściowo w pelerynie. Co łączy te morderstwa?

– Obedrzeć zwierzę ze skóry to trochę tak, jakby rozebrać je do naga – zaryzykował Espérandieu.

– Koń miał dwa płaty skóry zwisające po bokach – powiedziała Ziegler. – Początkowo sądziliśmy, że mają naśladować skrzydła. Ale równie dobrze mogłoby chodzić o pelerynę...

– Możliwe – powiedział Servaz bez przekonania. – Ale po co obcięto mu głowę? A ta peleryna i buty? Co miałyby znaczyć? – Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. Policjant kontynuował: – I ciągle potykamy się o to samo pytanie: Co w tym wszystkim robi Hirtmann?

– Rzuca wam wyzwanie! – zawołał ktoś od drzwi.

Odwrócili się. Na progu stał jakiś mężczyzna. W pierwszej chwili Servaz pomyślał, że to dziennikarz, i zamierzał go wyrzucić. Mężczyzna miał około czterdziestki, długie, jasnokasztanowe włosy, kręconą brodę i małe, okrągłe okulary; zdjął je, żeby wytrzeć szklę, które zaszyły parą, gdy wszedł z zimnej ulicy do ciepłego pomieszczenia; włożywszy okulary z powrotem na nos, spojrzął na nich jasnymi oczami. Był ubrany w ciepły sweter i spodnie z grubego sztruksu. Wyglądał jak nauczyciel przedmiotów humanistycznych, związkowiec albo miłośnik muzyki lat sześćdziesiątych.

– Kim pan jest? – zapytał sucho Servaz.

– To pan nadzoruje śledztwo?

Przybysz podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

– Simon Propp, jestem psychologiem śledczym. Miałem przyjechać jutro, ale dzwoniли do mnie z żandarmerii i powiedzieli, co się stało. A więc jestem.

Okrążył stół, witając się z każdym z osobna. Potem stanął i rozejrzał się za wolnym krzesłem. Zajął miejsce na lewo od Servaza. Komendant wiedział, że ten wybór był nieprzypadkowy, i poczuł niejasną irytację – jakby chciano nim manipulować.

Simon Propp spojrzął na tablicę.

– Ciekawe – orzekł.

– Doprawdy? – Choć Servaz nie miał takiej intencji, jego głos zabrzmiał sarkastycznie. – Coś się panu nasuwa?

– Wolałbym, żebyście kontynuowali, tak jakby mnie tu nie było – odpowiedział psycholog. – Przepraszam, że przerwałem. Oczywiście nie jestem tu po to, by oceniać wasz sposób pracy. – Potrząsnął przecząco ręką. – Zresztą nie byłbym w stanie. Powód mojej obecności tutaj jest inny. Mam wam pomóc sporządzić profil osobowy Hirtmanna albo opracować opis kliniczny sprawcy na podstawie wskazówek pozostawionych na miejscu zbrodni, jeśli będzie to potrzebne.

– Wchodząc, powiedział pan, że Hirtmann rzuca nam wyzwanie – naciskał Servaz.

Zobaczył, jak Propp mruży małe oczka za szklami okularów. Spod błyszczącej brody wyłaniały się okrągłe, zaróżowione od zimna policzki, które nadawały przybyszowi wygląd sprytnego chochlika. Servaz doznał nieprzyjemnego uczucia, jakby był psychologicznie rozbiegany na czynniki pierwsze. Nie wytrzymał świdującego spojrzenia.

– Dobrze – powiedział psycholog. – Wczoraj w moim wakacyjnym domku przygotowywałem się do pracy. Zacząłem studiować akta Hirtmanna, kiedy się dowiedziałem, że w wagoniku kolejki znaleziono jego DNA. Jak wiadomo, Hirtmann to manipulator, socjopata i inteligentny facet. Ale nie tylko to: jest także zupełnie wyjątkowy na tle innych zorganizowanych morderców. Rzadko się zdarza, by zaburzenia osobowości, na które cierpią, nie upośledzały w mniejszym lub większym stopniu ich zdolności intelektualnych i funkcjonowania społecznego. I żeby ta potworna strona ich osobowości pozostała całkowicie niezauważona przez otoczenie. Dlatego często potrzebują współnika, który pomaga im w stworzeniu minimum fasady: najczęściej tę rolę pełni również potworna małżonka. Hirtmannowi, kiedy był jeszcze na wolności, doskonale udawało się oddzielić życie codzienne od tej części jego natury, którą rządziły przemoc i obłąd. Opanował sztukę mylenia pościgu do perfekcji. Istnieli przed nim socjopaci, którzy byli w tym również dobrzy, ale żaden z nich nie piastował tak eksponowanego stanowiska. – Propp wstał i robiąc powolną rundkę dookoła stołu, przeszedł za plecami każdego z nich. Servaz się domyślił, że to kolejna psychologiczna sztuczka, i jeszcze bardziej się zirytował. – Hirtmann jest podejrzany o zamordowanie ponad czterdziestu

kobiet w wieku około dwudziestu pięciu lat. Czterdzieści morderstw i ani jednej poszlaki, ani jednego tropu, który wskazywałby na ich sprawcę! Gdyby nie artykuły z gazet i teczki, które trzymał u siebie w domu i w sejfie w banku, nigdy nie skojarzono by go z tymi sprawami. – Przystanął za Servazem, który powstrzymał się od odwrócenia głowy i zadowolił się patrzeniem na siedzącą po drugiej stronie stołu Irène Ziegler. – A tu nagle zostawia ślad. Ewidentny, ordynarny, banalny.

– Zapomina pan o jednym szczególe.

Propp znowu usiadł.

– W czasie, kiedy popełnił większość tych morderstw, nie istniały badania DNA, a przynajmniej były znacznie mniej zaawansowane niż dzisiaj.

– To prawda, ale...

– Chce pan powiedzieć, że to, co się teraz dzieje, w niczym nie przypomina Hirtmanna takiego, jakim go znamy, tak? – powiedziała Ziegler i utkwiała wzrok w oczach psychologa.

Propp mrugnął i skinął twierdząco głową.

– A zatem pana zdaniem pomimo obecności jego DNA to nie on zabił konia?

– Tego nie powiedziałem.

– Nie rozumiem.

– Proszę nie zapominać, że przebywa w zamknięciu już siedem lat. Dla niego okoliczności uległy zmianie. Hirtmann siedzi pod kluczem od wielu lat i umiera z nudów. Spala się na wolnym ogniu, on, który dawniej był taki aktywny. Ma ochotę się pobawić. Pomyślcie: zanim zamknięto go za to głupie zabójstwo z namiętności, jego życie społeczne było intensywne, stymulujące, wymagające. Był uznany w środowisku zawodowym. Miał piękną żonę i organizował orgie, w których brała udział śmietanka Genewy. W tym samym czasie w największej tajemnicy porywał, torturował, gwałcił i zabijał młode kobiety. Krótko mówiąc, wymarzone życie dla takiego potwora. Na pewno nie miał ochoty, żeby to się skończyło. Dlatego z tak wielką starannością usuwał trupy. – Propp złączył opuszki palców obu dłoni pod brodą. – Dziś nie ma już żadnego powodu, żeby się ukrywać. Przeciwnie: chce, żebyśmy wiedzieli, że to on. Chce zwracać na siebie uwagę, chce, żeby o nim mówiono.

– Mógłby przecież uciec i wrócić do swoich praktyk, będąc na wolności – zaproponował Servaz. – Po co miałyby wracać do celi? To nie ma sensu.

Propp podrapał się po brodzie.

– Przyznaję, to pytanie dręczy mnie od wczoraj. Po co wracać do Instytutu? Gdy istnieje ryzyko, że środki bezpieczeństwa zostaną wzmocnione i nie będzie już możliwości się stamtąd wymknąć. Po co się narażać na coś takiego? Ma pan rację: to nie ma sensu.

– Chyba że przyjmujemy, że zabawa podnieca go bardziej niż wolność – zasugerowała Ziegler. – Albo że jest pewien, że następnym razem znowu uda mu się wymknąć.

– Jak mógłby być tego pewien? – zdziwił się Espérandieu.

– Sądziłem, że Hirtmann nie mógł popełnić drugiego morderstwa – podkreślił Servaz. – Z powodu policyjnych zabezpieczeń. Zdaje się, że dopiero co to ustaliliśmy, prawda?

Psycholog z zamyśloną miną popatrzył po twarzach zgromadzonych. Jego żółtawe oczka wyglądały za szklami okularów jak dwa przejrziałe winogrona.

– Myślę, że zdecydowanie nie docenia pan tego człowieka – powiedział. – Myślę, że absolutnie nie zdaje pan sobie sprawy, z kim ma pan do czynienia.

– A strażnicy? – rzuciła Cathy d’Humières. – Gdzie jesteśmy w ich sprawie?

– Nigdzie – odpowiedział Servaz. – Nie sądzę, żeby byli winni. Mimo ucieczki. To zbyt subtelne jak na nich. Do tej pory ich specjalnością była przemoc i żałośnie banalne kradzieże. Malarz pokojowy nie zmienia się z dnia na dzień w Michała Anioła. Próbki pobrane w wagoniku kolejki i na górnej stacji powiedzą nam, czy byli na miejscu zbrodni. Ale nie sądzę. A jednak ewidentnie coś ukrywają.

– Zgadzam się – powiedział Propp. – Przystudiowałem protokół z przesłuchania. Ani trochę nie pasują do profilu mordercy. Sprawdzę jednak, czy w przeszłości nie mieli epizodów psychiatrycznych. Zdarzały się już przypadki, kiedy drobni przestępcy bez polotu zmieniali się z dnia na dzień w nieprawdopodobnie okrutne potwory. Ludzki umysł kryje w sobie wiele tajemnic. Niczego z góry nie wykluczamy.

Servaz kiwnął głową, marszcząc brwi.

– Jest jeszcze ten wczorajszy poker. Sprawdźmy, czy nie doszło tam do jakiejś sprzeczki. Może Grimm miał długi...

– Jest inna sprawa, którą trzeba szybko załatwić – oświadczyła d’Humières. – Do tej pory mieliśmy tylko zabitego konia, mogliśmy działać bez pośpiechu. Tym razem mamy zabitego człowieka. Prasa niedługo zainteresuje się Instytutem. Gdyby nieszczęśliwie informacja, że na miejscu pierwszej zbrodni znaleźliśmy DNA Hirtmanna, przeniknęła do mediów, wejdą nam na głowę. Widzieliście, ilu dziennikarzy jest na zewnątrz? A zatem w pierwszej kolejności musimy sobie odpowiedzieć na następujące dwa pytania: Czy system bezpieczeństwa w Instytucie Wargniera zawiodł? Czy zapory, które tam ustawiliśmy, są wystarczające? Im szybciej odpowiemy na te pytania, tym lepiej. Sugeruję, byśmy wybrali się do Instytutu jeszcze dziś.

– Jeśli to zrobimy, dziennikarze, którzy czyhają na zewnątrz, będą nam siedzieć na ogonie – zaoponowała Ziegler. – Może nie warto ich tam ciągnąć.

Prokurator zastanawiała się przez chwilę.

– Niech będzie, ale musimy jak najszybciej znaleźć odpowiedź na te pytania. Zgadzam się, żebyśmy przełożyli tę wizytę na jutro. Zwołam w tym czasie konferencję prasową, żeby odwrócić uwagę dziennikarzy. Martin, jak pan widzi ciąg dalszy?

– Kapitan Ziegler, doktor Propp i ja pojedziemy jutro do Instytutu w czasie konferencji, a porucznik Espérandieu weźmie udział w sekcji zwłok. A przedtem przesłuchamy wdowę po aptekarzu.

– W porządku, zróbmy tak. Ale pamiętajmy o priorytetach: a. Ustalić, czy Hirtmann mógł się wymknąć z Instytutu czy nie; b. Znaleźć związek między tymi dwiema zbrodniami.

– Jest jeszcze jeden kąt natarcia, którego nie wzięliśmy pod uwagę – oświadczył Simon Propp, gdy wychodzili ze spotkania.

– Jaki? – zapytał Servaz.

Znajdowali się na małym parkingu na tyłach budynku, z dala od spojrzeń dziennikarzy. Servaz nacisnął na pilota zamka centralnego swojego jeepa, którego pracownicy warsztatu samochodowego odstawili na parking po wymianie wszystkich opon. W zimnym powietrzu tańczyły rzadkie płatki śniegu. Na horyzoncie widać było białe górskie szczyty, ale niebo nad nimi było intensywnie szare: znowu zbierało się na śnieżycę.

– Pycha – odpowiedział psycholog. – Ktoś w tej dolinie bawi się w Pana Boga. Sądzi, że jest

ponad ludźmi i ponad prawem. Bawi się, manipulując biednymi śmiertelnikami, czyli nami. Do czegoś takiego trzeba niezmiernej pychy. Taka pycha musi być w jakiś sposób widoczna, chyba że ten, kto jest nią dotknięty, ukrywa ją pod pozorem fałszywej skromności.

Servaz znieruchomiał i spojrzął na psychologa.

– Ten profil dość dobrze pasowałby do Hirtmanna. Z wyjątkiem fałszywej skromności.

– I do wielu innych ludzi – skorygował go Propp. – Niech mi pan wierzy, komendancie, pycha nie jest specjalnie rzadkim zjawiskiem.

Dom aptekarza stał na końcu ulicy, która była nie tyle ulicą, ile zaledwie przejezdną drogą. Budynek przypominał Servazowi skandynawski domek w jakimś zakątku Szwecji czy Finlandii: był kryty gontem pomalowanym na kolor rozwodnionego błękitu i miał duży, zadaszony drewniany taras, który zajmował część pierwszego piętra. Dookoła domu rosły brzozy i buki.

Servaz i Ziegler wysiedli z samochodu. Po drugiej stronie drogi dzieci opatulone w zimowe kombinezony lepiły bałwana. Servaz postawił kołnierz kurtki i patrzył, jak dłońmi w rękawiczkach zgarniają leżący na trawniku śnieg. Uzbroiły swojego stwora w plastikowy pistolet. Znak czasu, pomyślał Servaz. Po chwili, mimo że miał przed sobą śnieżny posąg wojownika, ucieszył się, że dzieci potrafią się jeszcze oddawać tak prostym zabawom, zamiast siedzieć w swoich pokojach, zamknięte i przykute do komputerów i konsoli gier.

Nagle zamarł. Jeden z chłopców podszedł do dużych kontenerów na śmieci, ustawionych wzdłuż ulicy. Servaz zobaczył, jak wspina się na palce, by podnieść klapę jednego z nich, na oczach oniemiałego policjanta zanurza rękę w pojemniku i wyjmuje zdechłego kota. Dziecko chwyciło trupka za skórę na karku, przeszło przez zaśnieżony trawnik i złożyło swoje trofeum w odległości dwóch metrów od bałwana.

Scena była porażająco autentyczna: naprawdę miało się wrażenie, jakby bałwan uśmiercił kota strzałem z pistoletu!

– Jezu Chryste – jęknął Servaz przerażony.

– Według psychiatrów dziecięcych nie jest to bynajmniej efekt działania telewizji i mediów elektronicznych – powiedziała stojąca obok Ziegler. – Potrafią dokonywać niezbędnych rozróżnień.

– Oczywiście – powiedział Servaz – jako dzieciak bawiłem się w Tarzana, ale ani przez chwilę nie wierzyłem, że mógłbym rzeczywiście skakać z liany na lianę albo walczyć z goryłami.

– A jednak te dzieci są bombardowane brutalnymi gramami, obrazami i ideami od najmłodszych lat.

– Pozostaje tylko się modlić, żeby psychiatrzy mieli rację – zakpił smutno.

– Dlaczego mam wrażenie, że są w błędzie?

– Bo jest pani glina.

Na progu czekała na nich kobieta. Między kciukiem i palcem wskazującym trzymała papierosa. Mrużąc oczy, patrzyła przez wstęgę dymu, jak się zbliżają. Choć trzy godziny wcześniej żandarmeria powiadomiła ją o śmierci męża, kobieta nie wyglądała na szczególnie poruszoną.

– Dzień dobry, Nadine – powiedział Chaperon, którego kapitan Ziegler poprosiła, by im towarzyszył. – Składam ci moje najszczerze kondolencje. Wiesz, jak lubiłem Gilles'a... To, co

się stało... Straszne...

Mer z trudem wypowiadał słowa. Jeszcze nie potrafił mówić o tym, co zobaczył. Kobieta musnęła go koniuszkami warg, ale kiedy chciał ją przytulić, zdecydowanie go odsunęła i skierowała swoją uwagę na nowo przybyłych. Była wysoka i chuda, około pięćdziesiątki; pociągła, końska twarz, siwe włosy. Servaz złożył jej wyrazy współczucia. W zamian otrzymał uścisk dłoni, którego siła go zdumiała. Od razu wyczuł wrogość unoszącą się w powietrzu. Co mówił Chaperon? Ta kobieta pracuje w organizacji humanitarnej.

– Policja chciała ci zadać kilka pytań – kontynuował mer. – Obiecali mi, że na razie ograniczą się do najpilniejszych, a inne zostawią na później. Możemy wejść?

Kobieta bez słowa odwróciła się i weszła przed nimi do środka. Servaz stwierdził, że dom jest naprawdę ładny, cały w drewnie. Małeńki przedsiemek: po prawej blat, a na nim lampa z abażurem i wypchany lis z krukiem w pysku. Wystrój przypominał Servazowi chatkę myśliwską. Był także wieszak, ale Nadine nie zaproponowała im, żeby zostawili okrycia. Wdowa zniknęła na schodkach z surowego drewna, które zaczynały się zaraz za blatem i wychodziły na taras na pierwszym piętrze. Nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku, wskazała im rattanową sofę pełną wysiedzianych poduszek, ustawioną frontem do pól i lasu. Sama opadła na bujany fotel przy balustradzie i przykryła kolana kołdrą.

– Dziękuję – powiedział Servaz. – Pierwsze pytanie – dodał po chwili wahania. – Czy ma pani jakiś pomysł, kto mógłby to zrobić?

Nadine Grimm wypuściła papierosowy dym i popatrzyła komendantowi w oczy. Jej nozdrza poruszyły się, jakby poczuła jakiś nieprzyjemny zapach.

– Nie. Mój mąż był aptekarzem, nie gangsterem.

– Czy otrzymywał pogrożki, jakieś dziwne telefony?

– Nie.

– Wizyty narkomanów w aptece? Włamania?

– Nie.

– Czy sprzedawał metadon?

Wpatrywała się w nich z mieszaniną zniecierpliwienia i wściekłości w oczach.

– Ma pan więcej pytań tego typu? Mój mąż nie zajmował się narkomanami, nie miał wrogów, nie mieszał się w podejrzone sprawy. Był tylko głupkiem i pijakiem.

Chaperon zbladł. Ziegler i Servaz wymienili spojrzenia.

– Co pani ma na myśli?

Patrzyła na nich z coraz bardziej wyraźnym niesmakiem.

– Nic poza tym, co powiedziałam. To, co się stało, jest obrzydliwe. Nie wiem, kto mógł coś takiego zrobić. A tym bardziej dlaczego. Widzę tylko jedno wytłumaczenie: któryś z tych wariatów zamkniętych w Instytucie zdołał uciec. Lepiej zrobicie, jeśli się tym zajmiecie, zamiast tracić czas tutaj – dodała gorzko. – Ale jeśli się spodziewaliście, że spotkacie tu zrozpaczoną wdowę, to nic z tego. Mąż za bardzo mnie nie kochał i ja też go nie kochałam. A nawet czułam do niego głęboką pogardę. Nasze małżeństwo od dawna było już tylko takim... *modus vivendi*. Ale nie zabiłam go z tego powodu.

Usłyszawszy te słowa, Servaz przez chwilę poczuł się zdezorientowany i pomyślał, że kobieta właśnie przyznaje się do morderstwa. Po czym zrozumiał, że stało się coś dokładnie odwrotnego: nie zabiła go, choć miałyby powody, żeby to zrobić. Rzadko zdarzało mu się

spotykać tyle chłodu i wrogości nagromadzonych w jednej osobie. Jej arogancja i dystans zbijały go z tropu. Przez krótki moment zastanawiał się, jak się zachować. Z całą pewnością były powody, by głębiej drążyć w życiu Grimmów – Servaz zadawał sobie jednak pytanie, czy to odpowiedni moment.

– Dlaczego pani nim gardzi? – zapytał w końcu.

– Już wam powiedziałam.

– Powiedziała pani, że pani mąż był głupkiem. Dlaczego pani tak uważa?

– Chyba ja byłam osobą, która najlepiej mogła to stwierdzić, prawda?

– Proszę, żeby wypowiadała się pani bardziej precyzyjnie.

Już zamierzała powiedzieć coś niemilego, ale spotkała wzrok Servaza i się rozmyśliła. Wypuściła dym ze spojrzeniem wciąż utkwionym w jego oczach, jakby rzucała mu milczące wyzwanie, a potem odpowiedziała:

– Mój mąż skończył farmację, ponieważ był za mało inteligentny i zbyt leniwy, żeby zostać lekarzem. Kupił aptekę za pieniądze swoich rodziców, którzy dobrze prosperowali. Bardzo dobra lokalizacja, w samym centrum Saint-Martin. Mimo to z powodu lenistwa i totalnego braku zdolności nigdy nie udało mu się sprawić, by ten interes się opłacał. W Saint-Martin jest sześć aptek. Jego miała najmniej klientów, ludzie kupowali tam w ostateczności albo przez przypadek, tak jak turyści, którzy przechodzili obok i akurat potrzebowali aspiryny. Nawet ja mu nie ufałam w kwestii lekarstw.

– Dlaczego w takim razie się pani nie rozwiodła?

Zarechotała.

– Wyobraża pan sobie zaczynanie nowego życia w moim wieku? Ten dom jest wystarczająco duży dla dwóch osób. Każde z nas miało swoje terytorium i w miarę możliwości staraliśmy się nie naruszać granic. Poza tym ze względu na moją pracę spędzam sporo czasu daleko stąd. Dzięki temu jest... było łatwiej.

Servaz przypomniał sobie łacińską maksymę prawniczą: *Consensus non concubitus facit nuptias* – Małżeństwo tworzy porozumienie, a nie faktyczne pożycie. Zwrócił się do Chaperona:

– W każdą sobotę wieczorem grywał w pokera. Kto jeszcze brał w tym udział?

– Ja i paru przyjaciół – odpowiedział mer. – Mówiłem już o tym pani kapitan.

– Kto był tam wczoraj?

– Serge Perrault, Gilles i ja.

– Zazwyczaj spotykacie się w tym towarzystwie?

– Tak.

– Gracie na pieniądze?

– Tak, o drobne sumy. Albo o to, kto płaci rachunek w restauracji. Nigdy nie podpisywał weksli, bo pewnie o to panu chodzi. Zresztą Gilles dość często wygrywał: był świetnym graczem – dodał, kierując spojrzenie na wdowę.

– Nic szczególnego się nie wydarzyło podczas wczorajszej partyjki?

– Na przykład co?

– Nie wiem. Jakaś kłótnia...

– Nie.

– U kogo się spotkaliście?

– U Perraulta.

– A potem?

– Gilles i ja jak zwykle wyszliśmy razem. Później Gilles skręcił w swoją stronę, a ja poszedłem się położyć.

– Niczego pan nie zauważył po drodze? Nikogo nie spotkaliście?

– Nie, nie przypominam sobie.

– Mąż nie zachowywał się w ostatnim czasie inaczej niż zwykle? – Ziegler zwróciła się do Nadine Grimm.

– Nie.

– Nie wyglądał na zatroskanego, zaniepokojonego?

– Nie.

– Czy pani mąż bywał u Érica Lombarda?

Spojrzała na nich zdezorientowana. Potem w jej oczach pojawił się krótki błysk. Zgasła niedopałek o poręcz i się uśmiechnęła.

– Sądziecie, że między śmiercią mojego męża a tą aferą z koniem może być jakiś związek? Ależ to groteskowe!

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Zachichotała krótko.

– Po co człowiek pokroju Lombarda miałby tracić czas na spotkanie się z takim nieudacznikiem jak mój mąż? Nie. Nic mi o tym nie wiadomo.

– Ma pani jakieś zdjęcie męża?

– A po co?

Servaz o mało nie stracił panowania nad sobą, zapominając, że kobieta przed kilkoma godzinami została wdową. Powstrzymał się jednak.

– Jest mi potrzebne do celów śledztwa – odpowiedział. – Im więcej, tym lepiej. Jak najnowszych.

Przez chwilę patrzył w oczy Irène Ziegler. Zrozumiała. Chodzi o odcięty palec. Servaz miał nadzieję, że na którymś ze zdjęć zobaczy sygnet.

– Nie mam żadnej aktualnej fotografii męża. I nie wiem, gdzie on trzymał resztę zdjęć. Poszukam w jego rzeczach. Coś jeszcze?

– Na razie to wszystko. – Servaz podniósł się z sofy.

Czuł, że przemarzył na kość. Marzył tylko o jednym: uciekać stąd. Zastanawiał się, czy właśnie nie po to wdowa po Grimmie usadziła ich na tym tarasie. Żeby jak najszybciej się ich pozbyć. Niepokój i zimno ścisnęły mu żołądek. Zauważył bowiem pewien szczegół, który uderzył go jak nagłe ukłucie igłą, szczegół, którego nikt poza nim nie dostrzegł: kiedy Nadine Grimm wyciągnęła rękę, by zgasić papierosa na poręczy, zsunął się rękaw jej swetra. Servaza zamurowało. Na kościstym nadgarstku mógł dokładnie zobaczyć liczne blizny: niewielkie pręgi zrosniętych krawędzi ran: kobieta usiłowała targnąć się na życie.

Kiedy tylko znaleźli się w samochodzie, zwrócił się do mera. Gdy słuchał wdowy, w jego głowie pojawiła się pewna myśl.

– Czy Grimm miał kochankę?

– Nie – odpowiedział Chaperon bez wahania.

– Jest pan tego pewien?

Mer rzucił mu dziwne spojrzenie.

– Nigdy nie można być pewnym na sto procent. Ale jeśli chodzi o Grimma, dałbym sobie obciąć rękę. On nie miał nic do ukrycia.

Servaz zadumał się przez chwilę nad słowami mera.

– W naszym zawodzie uczymy się, że ludzie rzadko są tacy, jacy się wydają – powiedział. – I że każdy ma coś do ukrycia.

W chwili, gdy wypowiadał te słowa, zerknął we wsteczne lusterko i po raz drugi w ciągu kilku minut był świadkiem nieoczekiwanej sceny: Chaperon zbladł i przez chwilę w jego oczach malowało się czyste przerażenie.

Diane wyszła z Instytutu. Uderzył ją podmuch lodowatego wiatru. Całe szczęście, że włożyła puchową kurtkę, golf i ocieplane botki. Idąc przez plac w stronę swojej lancii, wyjęła kluczyki. Czuła ulgę na myśl, że na moment opuści to miejsce. Kiedy usiadła za kierownicą, przekręciła kluczyk i usłyszała kliknięcie rozrusznika. Kontrolki się zapaliły, ale niemal od razu zgasły. Nic innego się nie wydarzyło. Cholera! Spróbowała jeszcze raz. To samo. O nie! Próbowała jeszcze i jeszcze, raz po raz przekręcając kluczyk. Nic.

Akumulator, pomyślała. Padł.

No tak, jest zimno.

Gdy zastanawiała się, czy ktoś nie mógłby jej pomóc, nieoczekiwanie zalała ją fala przygnębienia. Siedziała za kierownicą, patrząc przez przednią szybę na zabudowania Instytutu. Serce bez przyczyny tłukło jej się w piersi. Nagle poczuła, że jest bardzo daleko od domu.

Wieczorem Servaz odebrał telefon od swojej byłej żony Alexandry. Dzwoniła w sprawie Margot. Servaz od razu poczuł niepokój. Alexandra wyjaśniła mu, że ich córka postanowiła skończyć z lekcjami fortepianu i karate. Jedno i drugie ćwiczyła od dzieciństwa. Nie podała żadnego sensownego uzasadnienia: jedynie poinformowała matkę, że nie zamierza już do tego wracać.

Alexandra była zdezorientowana. Od pewnego czasu Margot była jakaś inna. Matka miała wrażenie, że dziewczyna coś przed nią ukrywa. Nie potrafiła się już porozumieć z córką tak jak dawniej. Servaz pozwolił byłej żonie, żeby się wygadała, zastanawiając się, czy tak samo wygaduje się przed ojczymem Margot, czy raczej trzyma go z dala od tych spraw. Choć był świadomy własnej małoduszności, zaskoczyło go, gdy sobie uświadomił, że ma nadzieję, iż ta druga odpowiedź jest właściwa. Potem zapytał:

– Ma chłopaka?

– Myślę, że tak. Ale nie chce o nim mówić. To do niej niepodobne.

Następnie spytał Alexandrę, czy przeszukała rzeczy córki. Znał ją zbyt dobrze, by się nie domyślać, że to zrobiła. Zgodnie z jego oczekiwaniem odpowiedziała twierdząco. Ale niczego nie znalazła.

– Teraz przy tej całej poczcie elektronicznej i esemesach nie można już śledzić ich korespondencji – zauważyła. – Martwię się, Martin. Spróbuj się więcej dowiedzieć. Może tobie się zwierzy.

– Nie martw się. Spróbuję z nią pogadać. Na pewno nic takiego się nie dzieje.

Przypomniał sobie jednak smutne spojrzenie córki. Jej podkrążone oczy. A przede wszystkim siniaka na policzku. Znowu poczuł, że ściskają mu się wnętrzności.

– Dzięki, Martin. A u ciebie wszystko w porządku?

Zręcznie wymigał się od odpowiedzi, opowiadając jej o trwającym śledztwie. Oczywiście bez wchodzenia w szczegóły. Jeszcze gdy byli małżeństwem, Alexandra wносиła czasem świeże spojrzenie na wiele spraw i miewała zaskakująco dobrego nosa.

– Koń i nagi człowiek? Naprawdę dziwne. Myślisz, że będą kolejne trupy?

– Tego się właśnie obawiam – przyznał. – Tylko nikomu o tym nie mów. Nawet twojemu oblatywaczowi. – Servaz miał w zwyczaju nie wymawiać imienia pilota liniowego, który ukradł mu żonę.

– Wygląda na to, że ci ludzie zrobili coś paskudnego – zawyrokowała, gdy opowiedział jej o biznesmenie i aptekarzu. – I że zrobili to razem. Każdy ma coś do ukrycia.

Servaz przytaknął w duchu. Wiesz, o czym mówisz, co? Byli małżeństwem przez piętnaście lat. Jak długo zdradzała go ze swoim pilotem? Jak często korzystali ze wspólnych lotów, żeby

doświadczając wspólnych odlotów (jakże to słowo wspaniale oddaje charakter stosunków łączących stewardesę i pierwszego pilota...)? Po każdej takiej podróży wracała do rodzinnego życia, jakby nic się nie stało, pamiętając, by każdemu przywieźć drobny upominek. Aż wreszcie zdecydowała się na *coming out*. Usprawiedliwiła swój krok, mówiąc, że Phil nie ma koszmarów, nie cierpi na bezsenność i... „nie żyje wśród trupów”.

– Ale dlaczego koń? – zapytał. – Widzisz jakiś związek?

– Nie wiem – odpowiedziała obojętnie i Servaz zrozumiał, że czasy, w których wymieniali się spostrzeżeniami na temat jego śledztw, to już przeszłość. – To ty jesteś gliną – dodała. – No, muszę już kończyć. Spróbuj porozmawiać z Margot.

Wyłączyła się. W którym momencie zaczęło się między nimi źle dziać? Kiedy ich drogi zaczęły się rozchodzić? Wtedy, gdy zaczął spędzać coraz więcej czasu w swoim gabinecie, a coraz mniej w domu? Czy wcześniej? Poznali się na uniwersytecie i po niespełna pół roku się pobrali, wbrew jej rodzicom. Obydwoje jeszcze studiowali; Servaz chciał iść w ślady ojca, zostać nauczycielem literatury i łaciny oraz autorem „wielkiej współczesnej powieści”; Alexandra, nieco skromniej, studiowała turystykę. Potem on wstąpił do policji. Oficjalnie zrobił to pod wpływem impulsu, a faktycznie – ze względu na swoją przeszłość.

„Wygląda na to, że ci ludzie zrobili coś paskudnego. I że zrobili to razem”.

Dzięki swojemu bystremu i niepolityjnemu umysłowi Alexandra trafiła w sedno. Ale czy Lombard i Grimm mogli razem dokonać jakiegoś czynu, który sprowokował zemstę? Taka wersja wydała się Servazowi cholernie nieprawdopodobna. A gdyby tak było, to jaką rolę w tym scenariuszu odgrywa Hirtmann?

Nagle inna myśl rozlała się po jego umyśle jak plama atramentu. Margot: czy coś jej grozi? Skurcz żołądka wciąż nie odpuszczał. Chwycił kurtkę i wyszedł z pokoju. W recepcji zapytał o możliwość skorzystania z komputera z kamerką internetową. Recepcjonistka odpowiedziała twierdząco. Wyszła zza lady i zaprowadziła go do niewielkiego pomieszczenia. Servaz podziękował i odsunął kłapkę telefonu.

– Tata? – odezwał się głos w słuchawce.

– Podłącz się do kamerki – powiedział.

– Teraz?

– Tak, teraz.

Usiadł i włączył program wideokonferencji. Po pięciu minutach córka nadal była niepodłączona i Servaz zaczynał już tracić cierpliwość, kiedy komunikat: „Margot jest podłączona” pojawił się w lewym dolnym rogu ekranu. Servaz włączył kamerkę, na której zamrugała niebieska kontrolka.

Margot była w swoim pokoju z kubkiem parującego płynu w ręku. Rzuciła mu zaintrygowane, ostrożne spojrzenie. Na ścianie za jej plecami wisiał wielki plakat reklamujący film *Mumia*: postać uzbrojona w karabin na tle pustyni, piramid i zachodu słońca.

– Co się dzieje? – zapytała.

– To ja pytam, co się dzieje.

– Słucham?

– Przestałaś chodzić na fortepian i karate. Dlaczego?

Trochę za późno zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak brutal, a jego głos brzmi zbyt surowo. Wiedział, że to skutek oczekiwania. Nienawidził czekać. Ale powinien był zabrać się do

tego inaczej, zacząć od bardziej niewinnych tematów i pożartować z nią, jak to mają w zwyczaju. Zastosować podstawowe zasady manipulacji – mimo że to jego córka...

– Aha! Mama do ciebie dzwoniła.

– Tak.

– Powiedziała ci coś jeszcze?

– Nie, tylko tyle. A więc?

– Dobra, to bardzo proste: mogę być najwyżej mizerną pianistką, więc po co się przy tym upierać? To nie moja bajka, to wszystko.

– A karate?

– Ogłupia mnie.

– Ogłupia?

– Tak.

– Hmm... Tak nagle?

– Nie, nie nagle. Przemyślałam to.

– I co zamierzasz zrobić zamiast tego?

– Nie wiem. A muszę coś robić? Wydaje mi się, że w moim wieku mogę już sama podejmować decyzje, nie?

– Argument nie do podważenia – przyznał, zmuszając się do uśmiechu.

Ale jego córka się nie uśmiechała. Za pośrednictwem kamery wpatrywała się w niego podbitym okiem. W świetle lampki padającym z boku na jej twarz siniak był jeszcze wyraźniejszy. Kolczyk w brwi błyszczał jak prawdziwy rubin.

– Po co te wszystkie pytania? Czego ode mnie chcecie? – zapytała Margot. Mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. – Dlaczego czuję się jak na jakimś pieprzonym przesłuchaniu?

– Margot, to było tylko pytanie. Nie masz obowiązku...

– Ach tak? Wiesz co, tato? Jeśli zawsze w ten sposób będziesz się zabierał do przesłuchiwania podejrzanych, na pewno niewiele osiągniesz. – Uderzyła pięścią w krawędź biurka. Echo uderzenia rozległo się w jego głośniku i Servaz aż podskoczył. – Cholera, wkurwia mnie to!

Zmroziło go. Alexandra miała rację: to nie jest normalne zachowanie ich córki. Nie pozostawało mu nic innego, jak dowiedzieć się, czy ta zmiana jest wywołana nieznanymi mu okolicznościami, czy też wpływem jakiegoś człowieka.

– Przepraszam, pchełko. Wybaczysz mi?

– Mhm.

– Spotkamy się za dwa tygodnie, zgoda?

– Zadzwonisz do mnie wcześniej?

Uśmiechnął się w duchu. To powiedziała Margot, którą znał.

– Oczywiście. Dobranoc, pchełko.

– Dobranoc, tato.

Wrócił do pokoju, rzucił kurtkę na łóżko i poszedł do barku po małą szkockiej. Potem wyszedł na balkon. Było już prawie całkiem ciemno, niebo nad górskim masywem było bezchmurne, na zachodzie nieco jaśniejsze niż na wschodzie. Zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy – błyszczały, jakby je ktoś wypolerował. Servaz pomyślał, że będzie bardzo mroźno.

Bożonarodzeniowe iluminacje falowały na ulicach jak potoki migocącej lawy, ale wobec ponadczasowego majestatu Pirenejów cały ten zgiełk wydał mu się śmieszny. Nawet najokrutniejsze morderstwo stawało się czymś małym i śmiesznym w porównaniu z odwieczną potęgą gór. Było jak rozgniecenie robaczka na szybie.

Servaz oparł się o poręcz. Ponownie otworzył telefon.

- Espérandieu – odezwał się Vincent.
- Chciałbym cię prosić o przysługę.
- Co się dzieje? Następny trup?
- Nie. To nie ma związku ze śledztwem.
- Ach tak.

Servaz próbował znaleźć odpowiednie słowa.

– Chciałbym, żebyś raz czy dwa w tygodniu śledził Margot po wyjściu ze szkoły. Przez, powiedzmy, dwa albo trzy tygodnie. Sam nie mogę tego zrobić, zauważyłaby mnie.

- Co?
- Dobrze usłyszałeś.

Cisza po drugiej stronie słuchawki przedłużała się w nieskończoność. Servaz słyszał odgłosy w tle. Zorientował się, że jego asystent siedzi w jakimś barze.

Espérandieu westchnął.

– Martin, nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego?

– To wbrew wszelkim...

– To przysługa, o którą proszę cię jako przyjaciel – przerwał mu Servaz. – Tylko jeden, dwa razy na tydzień przez trzy tygodnie. Pieszo lub z samochodu. Nic więcej. Tylko ciebie mogę o to poprosić.

Znowu westchnienie.

– Dlaczego? – zapytał Espérandieu.

– Podejrzewam, że wpadła w złe towarzystwo.

– To wszystko?

– Myślę, że jej chłopak ją bije.

– Cholera!

– Tak. Teraz wyobraź sobie, że chodzi o Mégan i to ty mnie prosisz. Zresztą, kiedyś może się tak zdarzyć.

– W porządku, w porządku, zrobię to. Ale raz lub dwa w tygodniu, nie częściej, zgoda? I po trzech tygodniach kończę, nawet jeśli do niczego nie dojdę.

– Masz moje słowo – powiedział Servaz z ulgą w głosie.

– Co zrobisz, jeśli twoje podejrzenia się potwierdzą?

– To jeszcze nie ten moment. Na razie chcę tylko wiedzieć, co się dzieje.

– Dobrze, ale założmy, że twoje podejrzenia się potwierdzą i okaże się, że ona faktycznie zabijała się w jakimś wykolejonym, brutalnym łajdaku. Co wtedy zrobisz?

- Czy ja mam w zwyczaju działać impulsywnie?
- Czasami.
- Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje.

Podziękował asystentowi i rozłączył się. Ciągłe myślał o córce. O jej ubraniach, tatuażach, kolczykach. Potem powędrował myślą w stronę Instytutu. Wyobraził sobie budynki powoli pogrążające się we śnie pod śnieżną pierzyną. O czym te potwory śnią w nocy w swoich celach? Jakie paskudne stwory, jakie fantazje karmią ich sny? Zastanawiał się, czy ci, którzy nie mogą zasnąć, wpatrują się szeroko otwartymi oczami w swój makabryczny świat i przywołują w pamięci swoje ofiary.

Nad górami wolno przeleciał samolot. Pojawił się od strony Hiszpanii. Światła pozycyjne pulsowały na nocnym niebie. Małeńki opilek srebra, znikająca gwiazda, metaliczna kometa: Servaz po raz kolejny poczuł, jak bardzo ta dolina jest odcięta od reszty świata.

Wrócił do pokoju i zapalił światło.

Następnie wyjął z walizki książkę i usadowił się w głowach łóżka. Horacy, *Ody*.

Po przebudzeniu Servaz wyszedł na balkon i stwierdził, że w nocy sypał śnieg. Dachy i ulice były białe. Zimne powietrze uderzyło go w klatkę piersiową. Szybko wrócił do pokoju, wziął prysznic i się ubrał. Potem zszedł na śniadanie.

Espérandieu już zjadł. Siedział przy oknie na dużej werandzie w stylu art déco i czytał. Servaz przyjrzał mu się z daleka: jego asystent był całkowicie zaabsorbowany lekturą. Servaz usiadł i z zaciekawieniem oglądał okładkę książki. Jakiś Japończyk, Haruki Murakami. *Przygoda z owcą*. Servaz nigdy nie słyszał o tym autorze. Nieraz miał wrażenie, że nie mówią z Espérandieu tym samym językiem, jakby pochodzili z dwóch oddalonych od siebie światów, z których każdy ma własną kulturę, własne zwyczaje i zasady postępowania. Zainteresowania jego asystenta były w równym stopniu liczne, jak odmienne od jego zainteresowań: komiks, kultura japońska, nauki ścisłe, muzyka współczesna, fotografia...

Espérandieu uniósł głowę z miną dziecka przy stoliku śniadaniowym i spojrzał na zegarek.

– Sekcja jest o ósmej – oznajmił, zamykając książkę. – Spadam.

Servaz skinął głową bez słowa. Jego asystent zna się na swojej robocie. Upił łyk kawy i poczuł, że ma podrażnione gardło.

Dziesięć minut później szedł zaśnieżonymi ulicami. Przed wizytą w Instytucie miał się spotkać z Ziegler i Poppem w gabinecie Cathy d’Humières. Prokurator miała im przedstawić sędziego, któremu zamierzała powierzyć śledztwo. Dlaczego Lombard i Grimm stali się ofiarami? Co ich łączy? Zdaniem Chaperona i wdowy mężczyźni się nie znali. Być może Lombard raz czy dwa zaszedł do apteki, ale to nic pewnego. W Saint-Martin jest pięć innych aptek, a Lombard z pewnością wysyła kogoś na tego rodzaju zakupy.

Szedł pogrążony w myślach, gdy nagle zeszywniał. Coś, jakieś dziwne odczucie uruchomiło jego wewnętrzny system alarmowy. Nieprzyjemne wrażenie, że jest śledzony... Błyskawicznie odwrócił głowę i przecesał wzrokiem ulicę. Nic. Tylko jedna para, która śmiejąc się, udeptywała śnieg, i starsza kobieta skręcająca za róg z koszykiem na zakupy w rękę.

Cholera, oszaleję w tej dolinie.

Pięć minut później przechodził przez okratowaną bramę sądu. Na schodach rozmawiali adwokaci, paląc papierosa za papierosem, rodziny podsądnych, obgryzając paznokcie, czekały na wznowienie rozpraw. Servaz przeszedł przez halle i skierował się w lewo ku głównym schodom. Gdy zbliżał się do półpiętra, zza jednej z kolumn wyłonił się małeńki człowieczek, który zbiegał z góry.

– Komendancie!

Servaz się zatrzymał. Przyglądał się mężczyźnie, który przystanął na jego wysokości.

– Więc to pan jest tym gliną z Tuluzy.

– My się znamy?

– Zauważyłem pana wczoraj rano na miejscu zbrodni w towarzystwie Catherine – odpowiedział mężczyzna, wyciągając do niego rękę. – To ona mi powiedziała, jak się pan nazywa. Chyba uważa, że jest pan właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Catherine... Servaz ucisnął wyciągniętą rękę.

– A pan jest?

– Gabriel Saint-Cyr, honorowy sędzia śledczy w stanie spoczynku. Prowadziłem w tym sądzie postępowania przez prawie trzydzieści pięć lat. – Człowieczek szerokim gestem wskazał hall. – Znam tu każdy zakamarek. Znam też wszystkich, albo prawie wszystkich, mieszkańców tego miasta.

Servaz mierzył go wzrokiem. Wzrost niewielki, ale sylwetka wojownika, dobrotliwy uśmiech i akcent, który wskazuje, że mężczyzna pochodzi z okolicy. Servaz dostrzegł jednak jego świdrujące spojrzenie i zrozumiał, że za pozorami dobrotliwości kryje się przenikliwy umysł – w przeciwieństwie do tylu innych, którzy pod maską ironii i cynizmu ukrywają umysłową impotencję.

– Czy to propozycja pomocy?

Sędzia wybuchnął śmiechem. Czystym, dźwięcznym, zaraźliwym.

– Ależ tak! Sędzią jest się przez całe życie. Nie będę przed panem ukrywał, że widząc, co się dzisiaj dzieje, żałuję, że przeszedłem na emeryturę. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tu takiej sprawy. Czasem jakieś zabójstwo w afekcie, czasem sąsiedzka sprzeczka zakończona strzałem z broni myśliwskiej: odwieczne przejawy ludzkiej głupoty. Gdyby któregoś dnia miał pan ochotę porozmawiać o tych sprawach przy szklaneczce, jestem do usług.

– Już pan zapomniał, że istnieje coś takiego jak tajemnica śledztwa? – odpowiedział przyjaźnie Servaz.

Saint-Cyr puścił do niego oko.

– Och, nie będzie pan musiał wszystkiego mi opowiadać. Ale nie znajdzie pan nikogo, kto znałby lepiej ode mnie tajemnice tych dolin, komendancie. Niech pan o tym pomyśli.

Servaz już pomyślał. Propozycja była interesująca. Kontakt wśród miejscowej ludności. Człowiek, który prawie całe życie spędził w Saint-Martin i który dzięki piastowanemu stanowisku poznał niejedną tajemnicę.

– Wygląda na to, że brakuje panu tej pracy.

– Skłamałbym, gdybym zaprzeczył – przyznał Saint-Cyr. – Dwa lata temu przeszedłem na emeryturę ze względów zdrowotnych. Od tej pory czuję się jak żywy trup. Myśli pan, że to sprawka Hirtmanna?

Servaza zamurowało.

– O czym pan mówi?

– Ależ proszę pana, przecież pan dobrze wie, o czym mówię. Mówię o DNA znalezionym w kolejce.

– Kto panu o tym powiedział?

Małeńki sędzia zaśmiał się dźwięcznie.

– Mówiłem panu: wiem o wszystkim, co się dzieje w tej dolinie. Do zobaczenia, komendancie! I udanych łowów! – zawołał, puszczając się pędem po schodach.

Servaz patrzył, jak znika w śnieżnej zamieci kłębiącej się za wielkimi podwójnymi drzwiami.

– Martin, przedstawiam panu sędziego Martiala Confianta. To jemu powierzyłam zaczęte wczoraj dochodzenie.

Servaz uściśnął dłoń młodego sędziego. Niewiele po trzydziestce, wysoki i szczupły, bardzo smągła cera, eleganckie prostokątne okulary w delikatnej oprawie. Uścisk dłoni był szczery, a uśmiech serdeczny.

– Wbrew pozorom Martial pochodzi z tych stron. Urodził się i wychował dwadzieścia kilometrów stąd – powiedziała Cathy d’Humières.

– Zanim pan przyszedł, pani d’Humières opowiadała mi o pa nu same dobre rzeczy, komendancie.

Jego aksamitny głos przywodził na myśl wspomnienie słonecznych wysp, ale dało się też w nim wyczuć delikatny ślad miejscowego akcentu. Servaz się uśmiechnął.

– Jedziemy dziś do Instytutu – powiedział. – Chciałby pan do nas dołączyć?

Zauważył, że ma trudności z mówieniem. Bolało go gardło.

– Uprzedził pan doktora Xaviera?

– Nie. Zdecydowaliśmy z kapitan Ziegler, że wpadniemy bez zapowiedzi.

– W porządku, pojedę – powiedział. – Ale tylko tym razem: nie chcę się narzucać. Z zasady nie wtrącam się w działania policji. Każdy ma swoją robotę – dodał.

Servaz przytaknął bez słowa. Gdyby ta zasada przekładała się na czyny, byłaby to dobra wiadomość.

– Gdzie jest kapitan Ziegler? – zapytała d’Humières.

Spojrzał na zegarek.

– Zaraz będzie. Może przez ten śnieg ma kłopot z dojazdem.

Cathy d’Humières obróciła się do okna. Wyglądała, jakby jej się śpieszyło.

– Mam konferencję prasową. Cóż, i tak nie pojechałabym z wami. Takie mroczne miejsce przy tej pogodzie... brr, to stanowczo nie dla mnie!

– Niedotlenienie mózgu – stwierdził Delmas, myjąc dłonie i przedramiona mydłem antybakteryjnym, a następnie spłukując je pod bezdotykowym kranem.

Szpital w Saint-Martin był dużym budynkiem z cegły, której czerwień odcinała się na tle leżącego na trawnikach śniegu. Jak często bywa, wejście do kostnicy i sali sekcyjnej znajdowało się z dala od głównych drzwi, pod betonowym podjazdem. Członkowie personelu nazywali to miejsce „piekiełkiem”. Kiedy Espérandieu przyjechał tu na trzydzieści minut przed umówioną godziną, słuchając przez słuchawki The Gutter Twins śpiewających *Idle Hands*, dostrzegł w głębi pomieszczenia trumnę ustawioną na drewnianym koźle pod ścianą. W szatni spotkał doktora Delmasa, lekarza sądowego z Tuluzy, i doktora Cavaliera, miejscowego chirurga. Lekarze przebierali się w bluzy z krótkimi rękawami i gumowane fartuchy ochronne. Delmas opowiadał Cavalierowi, w jaki sposób znaleźli ofiarę. Espérandieu zaczął się przebierać, po czym wsunął do ust miętowego cukierka i wyjął pudełko z kremem sporządzonym na bazie kamfory.

– Nie powinien pan tego używać – zareagował od razu Delmas. – To bardzo żrące.

– Przykro mi, doktorze, mam wrażliwy nos – odpowiedział Vincent, po czym nałożył na twarz maseczkę ochronną.

Od początku swojej pracy w brygadzie kryminalnej Espérandieu wiele razy wysyłany był na sekcje zwłok i wiedział, że w pewnym momencie – gdy lekarz otwiera żołądek i pobiera próbki wnętrzości: wątroby, śledziony, trzustki, jelit – w pomieszczeniu rozchodzi się fetor nie do zniesienia dla człowieka o przeciętnie rozwiniętym zmysle węchu.

Zwłoki Grimma czekały na nich na stole sekcyjnym. Stół, lekko spadzisty, wyposażony był w odpływ i rurę odprowadzającą i wyglądał dość skromnie w porównaniu z wielkimi, podnoszonymi stołami, które Espérandieu miał okazję oglądać w szpitalu uniwersyteckim w Tuluzie. Żeby ciało nie pływało we własnych płynach ustrojowych, ułożono je na konstrukcji z metalowych poprzeczek.

– Najpierw oznaki typowe dla wszystkich mechanicznych uduszeń... – zaczął od razu Delmas, manipulując ruchomym ramieniem lampy znajdującej się nad ciałem. Wskazał na sine wargi aptekarza i małżowiny uszne, które także zrobiły się niebieskie. – Niebieskawe zabarwienie śluzówek i powłok. – Następnie zwrócił ich uwagę na wnętrze przypiętych agrafkami powiek: – Wybroczyny w spojówkach. – I obrzmiałą, fioletową twarz aptekarza: – Przekrwienie skóry twarzy i szyi. Niestety te ślady są słabo widoczne ze względu na stan twarzoczaszki – powiedział do Cavaliera, z trudem wpatrującego się w krwawą miazgę, z której wystawały gałki oczne. – Zobaczymy też punktowe wybroczyny na powierzchni płuc i serca. To by były objawy niespecyficzne, które mówią tylko, że śmierć nastąpiła wskutek mechanicznego

uduszenia poprzedzonego krótszą lub dłuższą agonią. Ale nie dostarczają więcej informacji na temat etiologii zgonu.

Delmas zdjął okulary, przetaił je i włożył z powrotem na nos. Nie miał na sobie maseczki chirurgicznej. Pachniał wodą kolońską i mydłem antybakteryjnym. Był niewysokim, tęgim jegomościem o gładkich, różowych policzkach i dużych, wypukłych oczach.

– Ten, kto to zrobił, musiał mieć pewne pojęcie o medycynie, a przynajmniej o anatomii – oświadczył. – Wybrał sposób działania gwarantujący najdłuższą i najbardziej bolesną agonię. – Wskazał grubym palcem wgłębienie po taśmie na szyi aptekarza. – Z punktu widzenia fizjopatologii istnieją trzy mechanizmy, które mogą być przyczyną śmierci wskutek powieszenia. Pierwszy z nich polega na odcięciu dopływu krwi do mózgu poprzez jednoczesne zamknięcie światła obu tętnic szyjnych. Dzieje się tak, kiedy węzeł samozaciskowy znajduje się z tyłu, na karku. W takim wypadku niedotlenienie mózgu jest bezpośrednie, a utrata przytomności niemal natychmiastowa; zgon następuje bardzo szybko. Tym, którzy decydują się na samobójstwo przez powieszenie, należy ze wszelkich miar polecać umieszczenie węzła na karku – dodał.

Espérandieu przestał robić notatki. Źle znosił poczucie humoru lekarzy sądowych. Za to Cavalier wręcz spijał każde słowo płynące z ust kolegi.

– Następnie mechanizm neurologiczny. Gdyby facet, zamiast operować długością taśmy zaciśniętej wokół nadgarstków, balansował ofiarą w powietrzu, to uszkodzenia opuszkowe i rdzeniowe spowodowane szarpnięciem, czyli uszkodzenie rdzenia przedłużonego i rdzenia kręgowego – dodał na użytek Espérandieu, delikatnie unosząc czaszkę nieboszczyka – spowodowałyby prawie natychmiastową śmierć. Ale tego nie zrobił. – Duże, bladoniebieskie oczy za szklami okularów szukały spojrzenia Espérandieu. – O nie, młody człowieku! *Nie zrobił tego*. Ten gość to cwana bestia: postarał się, by węzeł samozaciskowy znalazł się z boku. W ten sposób dopływ krwi do mózgu zapewnia przynajmniej jedna z tętnic szyjnych, ta, która znajduje się po przeciwnej stronie węzła. Taśmy na nadgarstkach uniemożliwiły jakikolwiek wstrząs rdzeniowy. Niech mi pan wierzy, on bardzo dobrze wiedział, co robi. Agonia tego biedaka musiała trwać bardzo, bardzo długo. – Następnie gruby, nieskazitelnie czysty palec lekarza powędrował wzdłuż bruzdy, która głęboko wcinała się w szyję. – Jakkolwiek by było, mamy do czynienia z powieszeniem. Popatrzcie. Bruzda jest umiejscowiona wysoko, przechodzi tuż pod kątami żuchwy i wznosi się do punktu zawieszenia. Jest też niepełna. Nie byłoby tak, gdyby wcześniej nastąpiło uduszenie liną, po którym zazwyczaj zostaje nisko położona, regularna bruzda na całym obwodzie szyi. – Puścił oko do Espérandieu. – Wie pan, tak jak wtedy, kiedy mąż dusi żonę sznurem i chce, żebyśmy uwierzyli, że się powiesiła.

– Czyta pan za dużo kryminałów, doktorze – zripostował Espérandieu.

Delmas zachichotał, po czym nagle zrobił się poważny jak papież podczas błogosławieństwa. Opuścił lampę na wysokość częściowo oderwanego nosa, wydętej twarzy i przypiętych agrafkami powiek.

– To naprawdę najobrzydliwsza rzecz, jaką widziałem w życiu – powiedział. – Widać w tym wściekłość i furję nie do zniesienia. Psycholog dołączył do nich. Siedział z tyłu obok sędziego. Ziegler prowadziła jeepa płynnie i pewnie jak kierowca rajdowy. Servaz podziwiał jej jazdę, podobnie jak jej umiejętność panowania nad helikopterem. Sędzia poprosił Proppa, żeby opowiedział mu o Hirtmannie. Po tym, co usłyszał z ust psychologa, wpadł w stan głębokiego otępienia i tak jak pozostali pasażerowie przestał się odzywać. Niezdrowa atmosfera doliny potęgowała niepokój.

Droga wiła się pod ciemnym niebem wśród wielkich, bujnych jodeł odzianych w biel. Wcześniej przejechał tamtędy pług śnieżny: po obu stronach drogi wznosiły się wysokie zaspy. Minęli ostatnie skute mrozem gospodarstwo. Ogrodzenia pól były prawie niewidoczne pod zwałami śniegu, z komina wydobywała się wstążka dymu. Potem cisza i zima niepodzielnie zapanowały nad krajobrazem.

Przestało sypać, ale warstwa śniegu była bardzo gruba. Kawałek dalej wyprzedzili pług. Kogut na jego dachu rzucał żywe pomarańczowe światło na białe jodły. Jazda stała się trudniejsza.

Jechali teraz przez zmarzniętą krainę nieprzystępnych wysokich jodeł i skutych lodem torfowisk w meandrach rzeki. Nad nimi wznosiły się cudowne, porośnięte lasem szare górskie zbocza. Kawałek dalej dolina jeszcze się zwężyła. Las górował nad drogą, a droga biegła nad potokiem, oni zaś na każdym zakręcie widzieli przed sobą wielkie korzenie buków, odsłonięte przez wodę podmywającą skarpe. Za łukiem któregoś zakrętu zobaczyli skupisko budynków z betonu i drewna. Z rzędami okien na piętrze i dużymi, przeszklonymi drzwiami na parterze. Od zabudowań biegła ścieżka. Przechodziła przez zardzewiały mostek przerzucony nad potokiem, następnie przecinała białą łąkę i kończyła się przy drodze, którą jechali. Servaz dostrzegł zardzewiałą tablicę: OŚRODEK KOLONIJNY LES ISARDS. Budynki wyglądały na zrujnowane. Były opuszczone.

Servaz zastanawiał się, kto mógł wybudować ośrodek kolonijny w tak ponurym miejscu. Na myśl o leżącym w sąsiedztwie Instytucie poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Ale biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdował się ośrodek, możliwe było, że został on zamknięty na długo przed tym, jak Instytut Wargniera zainicjował swoją działalność.

Powalająca uroda doliny przerażała Servaza.

Atmosfera rodem z czarodziejskiej baśni.

Tak, to jest to: mroczna bajka z dzieciństwa w nowoczesnej wersji dla dorosłych. Przecież w głębi tej doliny i białego lasu czekają na nas ogry, pomyślał z drżeniem.

– Dzień dobry, mogę się przysiąść?

Podniosła głowę i zobaczyła, że obok jej stolika stoi pielęgniarz, który wczoraj ją ofuknął. Jak on ma na imię? Aha, Alex. Tym razem kawiarenka pękała w szwach. Był poniedziałek rano i cały personel był na miejscu. W powietrzu unosiło się brzęczenie rozmów.

– Oczywiście – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby.

Siedziała przy stoliku sama. Najwyraźniej nikt nie uznał za stosowne, żeby ją zaprosić. Od czasu do czasu wylapywała kierowane w jej stronę spojrzenia. Znowu zastanawiała się, co też Xavier powiedział na jej temat.

– Eee... chciałem przeprosić za wczoraj – zaczął, siadając. – Byłem trochę... niegrzeczny. Nie wiem dlaczego. Ostatecznie pani pytania były uzasadnione. Proszę mi wybaczyć.

Przyglądała mu się z uwagą. Wyglądał na szczerze skruszony. Kiwnęła głową. Poczuli się niezręcznie. Nie chciała już wracać do tamtej rozmowy. Ani wysłuchiwać jego przeprosin.

– Nie ma problemu. Już o tym zapomniałam.

– Tym lepiej. Musiałem się pani wydać dziwny.

– W żadnym wypadku. Moje pytania faktycznie były dość... *bezcelne*.

– A to prawda – zażartował. – Jest pani bardzo bezpośrednia.

Wgryzł się wesoło w swojego croissanta.

– Co się wczoraj stało na dole? – zapytała, żeby zmienić temat. – Zauważyłam, że wszyscy są czymś pochłonięci. Najwyraźniej to coś poważnego.

– Zginął człowiek, aptekarz z Saint-Martin.

– Jak?

– Znaleźli go powieszzonego pod mostem.

– Ach tak, rozumiem...

– Mmm – odezwał się z pełnymi ustami.

– Straszny sposób na skończenie ze sobą!

Podniósł głowę i przełknął kęs, który właśnie przeżuwał.

– To nie było samobójstwo.

– Nie?

Popatrzył jej głęboko w oczy.

– Morderstwo.

Zastanawiała się, czy Alex nie żartuje. Wpatrywała się w niego z uśmiechem. Ale najwyraźniej nie żartował. Przestała się uśmiechać. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Straszne! Czy to pewne?

– Tak. – Pochylił się w jej stronę, żeby słyszała go mimo panującego dokoła gwaru. – *Ale to jeszcze nie wszystko...*

Przybliżył się jeszcze bardziej. Diane poczuła, że jego twarz znajduje się zbyt blisko. Nie chciała od samego początku stwarzać powodów do plotek. Cofnęła się delikatnie.

– Mówią, że był rozebrany do naga, miał na sobie tylko pelerynę i buty... Że przed śmiercią przeszedł mękę, tortury... Znalazł go Rico. Rysownik komiksów, który codziennie rano biega.

Diane trawiła wiadomość w milczeniu. Morderstwo w dolinie. Zbrodnia popełniona przez szaleńca w odległości kilku kilometrów od Instytutu.

– Wiem, co pani myśli.

– Ach, doprawdy?

– Myśli pani: to jest zbrodnia popełniona przez szaleńca, a tutaj jest pełno szalonych morderców.

– Tak.

– Stąd się nie da wyjść.

– Naprawdę?

– Tak.

– Nigdy nie było żadnej ucieczki?

– Nie. – Przełknął kolejny kęs. – W każdym razie na apelu nikogo nie brakuje.

Wypiła łyk cappuccino i papierową serwetką starła z warg resztki czekolady.

– To mnie pan uspokoił – zażartowała.

Teraz Alex szczerze się roześmiał.

– No tak, przyznaję, dla nowych pobyt tutaj jest dość stresujący, nawet gdy nic się nie dzieje. A tu na dodatek taka paskudna sprawa. Mało rozluźniająca, co? Przykro mi, że jestem zwiastunem złych wiadomości!

– Jeżeli to nie pan jest mordercą...

Roześmiał się z głębi serca, tak głośno, że kilka głów odwróciło się w ich kierunku.

– To szwajcarski humor? Podoba mi się!

Uśmiechnęła się. Zestawiając jego wczorajsze wyjście z dzisiejszym świetnym humorem, Diane nie wiedziała, co o nim myśleć. Ale był raczej sympatyczny. Ruchem głowy wskazała na ludzi siedzących dookoła.

– Miałam nadzieję, że doktor Xavier przedstawi mnie reszcie personelu. Na razie nie zrobił nic w tym kierunku. Niełatwo się zintegrować, kiedy nikt nie podaje ręki.

– Rozumiem. Niech pani posłucha, mam propozycję. Dziś nie mogę, bo mam spotkanie robocze z moim zespołem terapeutycznym. Ale później panią oprowadzę i przedstawię reszcie załogi.

– To bardzo miłe z pana strony.

– Nie, to normalne. Sam nie rozumiem, dlaczego Xavier albo Lisa jeszcze tego nie zrobili.

Pomyślała, że to rzeczywiście dobre pytanie.

Lekarz sądowy i doktor Cavalier rozcinali właśnie jeden z butów za pomocą kostotomu i rozwieracza.

– Widać, że buty nie należały do ofiary – oświadczył Delmas. – Co najmniej o trzy rozmiary za małe. Zostały wciśnięte na siłę. Nie wiem, jak długo ten biedak w nich chodził, ale to musiało być bardzo bolesne. Oczywiście nie tak bolesne jak to, co go czekało później.

Espérandieu patrzył na niego z notesem w ręku.

– Po co ubrał go w za małe buty? – zapytał.

– To jest pytanie do pana. Może po prostu chciał mu włożyć jakieś buty, a innych nie było pod ręką...

– Ale dlaczego go rozebrał, zdjął buty, a potem znowu je włożył?

Lekarz wzruszył ramionami i odwróciwszy się do niego plecami, położył rozcięty but na stole laboratoryjnym. Wyposażony w lupę i pincetę uważnie zdejmował żdźbła trawy i drobinki żwiru, które wbiły się w błoto na gumowej podeszwie. Wkładał próbki do niewielkich plastikowych pudełek w kształcie walca. Po czym Delmas wziął buty do ręki i ostentacyjnie wahał się, czy wrzucić je do czarnego worka na śmieci, czy torby z mocnego szarego papieru. Wreszcie wybrał drugą możliwość. Espérandieu rzucił mu pytające spojrzenie.

– Dlaczego wybrałem torbę z papieru, a nie tę drugą? Dlatego, że błoto na butach, choć wygląda na suche, może jeszcze być trochę wilgotne. A wilgotnego materiału dowodowego nigdy nie należy przechowywać w plastikowych torbach. Wilgoć mogłaby wywołać tworzenie się pleśni, która bezpowrotnie zniszczyłaby dowody biologiczne. – Obszedł stół sekcyjny dookoła. Z wielką lupą w ręku zbliżył się do miejsca po odciętym palcu. – Odcięto go jakimś zardzewiałym narzędziem tnącym: nożycami albo sekatorem. Proszę mi podać pincetę, o tam, i torebkę – zwrócił się do Espérandieu.

Policjant wykonał polecenie.

Delmas nalepił etykietę na torebkę, a następnie wrzucił resztę odpadów do jednego z pojemników na śmieci stojących wzdłuż ściany i zdjął gumowe rękawice, które wydały przy tym głośne młasknięcie.

– To by było na tyle. Nie ma wątpliwości, że śmierć Grimma spowodowało uduszenie

mechaniczne, a dokładniej powieszenie. Wyślę te próbki do laboratorium żandarmerii w Rosny-sous-Bois, jak prosiła kapitan Ziegler.

– Jakie są według pana szanse, żeby ten spektakl wyreżyserowało dwóch brutalnych grubasów?

– Nie lubię domysłów – stwierdził lekarz. – Moja działka to fakty. To pan jest od stawiania hipotez. O jakich grubasach pan mówi?

– O strażnikach. Ci goście byli już skazani za napaści i pobicia oraz za drobne kradzieże. Dwóch kretynów bez wyobraźni, o prawie płaskim encefalogramie i nadmiarze męskich hormonów.

– Jeśli są tacy, jak ich pan opisuje, to szanse są takie same jak szanse na to, że wszyscy skretyniali macho w tym kraju rozumieją któregoś dnia, że samochody są bardziej niebezpieczne niż broń palna. Ale powtarzam, to do pana należy wyciąganie wniosków.

Nasypało dużo śniegu i mieli wrażenie, jakby wchodzili do samego serca olbrzymiej cukierni. Dno doliny porastała przebogata roślinność. Zima zmieniła ją, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w system ciasno splecionych, utkanych ze szronu pajęczych sieci. Servazowi ten krajobraz przypominał lodowe koralowce w głębinach zamrożonego oceanu.

Droga wyżłobiona w żywej skale, ograniczona betonowym murkiem, przylegała do zbocza góry. Była tak wąska, że Servaz zastanawiał się, co zrobią, jeśli przyjdzie im się mijać z ciężarówką.

Po wyjeździe z któregoś z kolei tunelu Ziegler zwolniła i zjechała na drugą stronę drogi, by zaparkować przy murku w miejscu, w którym tworzył on jakby balkon nad oszronioną roślinnością.

– Co się dzieje? – zapytał Confiant.

Nie odpowiedziała mu, tylko otworzyła drzwi, wysiadła z samochodu i podeszła do krawędzi. Pozostała trójka dołączyła do niej.

– Patrzcie – powiedziała.

Podążyli wzrokiem we wskazanym kierunku i zobaczyli budynki wznoszące się w oddali.

– Kurczę, jakie ponure! – zawołał Propp. – Jak średniowieczne więzienie.

Podczas gdy dolina, którą jechali, była spowita niebieskim cieniem gór, budynki zalewało żółte poranne światło, które spływało ze szczytów jak lodowiec. Było to miejsce niewiarygodnie odludne i dzikie, ale jednocześnie tak piękne, że Servaz zaniemówił. Ta sama architektura olbrzymów, jaką widział już w elektrowni. Zastanawiał się, jakim celom służyły te zabudowania, zanim zostały zamienione na Instytut Wargniera. Z całą pewnością pochodziły z tych samych chwalebnych czasów co rozdzielnia i podziemna nastawnia: z czasów, kiedy wznoszono konstrukcje i mury, które miały przetrwać wieki. A może bardziej stawiano na dobrze wykonaną pracę niż na natychmiastową rentowność. Albo też w mniejszym stopniu oceniano przedsiębiorstwo na podstawie wyników finansowych, a bardziej na podstawie rozmiarów realizowanych przedsięwzięć.

– Coraz trudniej mi uwierzyć, żeby ktoś, kto zdołał się wydostać z tego miejsca, miał ochotę tam wracać – dodał psycholog.

Servaz obrócił się w jego stronę. Właśnie myślał o tym samym. Następnie rozejrzał się za Confiantem i zobaczył, że ten kawałek dalej rozmawia przez telefon. Servaz zastanawiał się, do

kogo sędzia miał potrzebę zadzwonić w takiej chwili.

Confiant zamknął klapkę telefonu i podszedł do nich.

– Jedźmy już – powiedział.

Kilometr dalej, za kolejnym tunelem, zjechali z drogi prowadzącej doliną w jeszcze węższą, która przecięła potok i zaczęła wznosić się wśród jodeł. Nowa droga pokryta grubą warstwą śniegu słabo się odcinała od usypanych po bokach zasp, ale widać było na niej wiele śladów samochodów. Servaz przestał je liczyć po tym, jak doszedł do dziesięciu. Zastanawiał się, czy ta droga prowadzi jeszcze dokądś poza Instytutem. Po dwóch kilometrach, gdy dojechali do zabudowań, miał odpowiedź: droga się skończyła.

Zatrzasnęli drzwi i zapadła cisza. Jakby opanował ich jakiś nabożny lęk, zamilkli i rozglądali się dokoła. Było bardzo zimno. Servaz osłonił szyję kołnierzem kurtki.

Zbudowany w miejscu najmniejszego nachylenia zbocza Instytut górował nad wyższą częścią doliny. Jego niewielkie okna wychodziły bezpośrednio na niezmierzone górskie zbocza porośnięte lasem, ukoronowane przyprawiającymi o zawrót głowy nawisami ze skał i śniegu.

Po chwili dostrzegł w górach, w odległości kilkuset metrów, żandarmów w zimowych kurtkach: rozmawiali przez krótkofalówki, obserwując ich przez lornetkę.

Niewysoki mężczyzna w białym fartuchu wyłonił się zza drzwi Instytutu i szedł im na spotkanie. Policjant popatrzył zdumiony po swoich towarzyszach. Confiant zrobił przepaszającą minę.

– Wziąłem na siebie poinformowanie doktora Xaviera – powiedział sędzia śledczy. – To mój przyjaciel.

Doktor Xavier wyglądał na zachwyconego ich wizytą. Przeszedł przez niewielkie zaśnieżone podwórko z szeroko rozpostartymi ramionami.

– Pechowo trafiliście. Właśnie mieliśmy spotkanie robocze. Co poniedziałek zbieram kolejno wszystkie zespoły terapeutyczne odpowiedzialne za poszczególne odcinki pracy: lekarzy, pielęgniarzy, pomocników medycznych, pracowników socjalnych.

Ale jego szeroki uśmiech wskazywał, że nie jest specjalnie poirytowany koniecznością zakończenia jednej z tych nudnych nasiadówek. Ze szczególną serdecznością uściśnął dłoń sędziego.

– Trzeba było takiej tragedii, żebyś wreszcie wpadł zobaczyć, jak pracuję.

Doktor Xavier był niewysokim mężczyzną, jeszcze młodym i bardzo eleganckim. Pod kołnierzem jego kitla Servaz zauważył modny krawat. Lekarz nie przestawał się uśmiechać. Patrzył na dwoje detektywów życzliwie i wesoło. Servaz natychmiast postanowił mieć się na baczności: instynktownie nie ufał eleganckim ludziom, którzy zbyt łatwo się uśmiechają.

Podniósł głowę, spoglądając na wysokie mury. Na gmach Instytutu składały się dwa duże, czteropiętrowe budynki, zbiegające się w kształcie litery T, której pozioma belka była trzykrotnie dłuższa od pionowej. Przebiegł wzrokiem po rzędach wykutych w grubym murze okien. Budowla, wzniesiona z szarego kamienia, z całą pewnością wytrzymałaby atak z wyrzutni rakietowej. Jedno było pewne: żaden z pacjentów nie mógł się stąd wydostać, robiąc wyłom w ścianie.

– Przyjechaliśmy, żeby ocenić, czy to możliwe, by któryś z pacjentów mógł stąd uciec – powiedział Confiant do psychiatry.

– To absolutnie niemożliwe – odpowiedział Xavier bez cienia wahania. – Poza tym na apelu nikogo nie brakuje.

– To już wiemy – rzucił Servaz.

– Nie rozumiem. – Psychiatra był zaskoczony. – W takim razie co państwo tutaj robią?

– Przypuszczamy, że jeden z waszych pacjentów mógł się wymknąć, zabić konia Érica Lombarda i wrócić do celi – wyjaśniła Ziegler.

Psychiatra zmrużył oczy.

– Nie mówi pani poważnie.

– Tak właśnie myślałem – wtrącił się nagle Confiant, patrząc surowo na detektywów. – Ta hipoteza jest kompletnie absurdalna. A jednak ci państwo chcą się upewnić.

Servaz poczuł się jak porażony prądem. Młody sędzia nie tylko uprzedził Xaviera o ich wizycie bez ich wiedzy, ale także podważa sensowność ich pracy wobec obcej osoby.

– Macie na myśli kogoś konkretnego? – zapytał Xavier.

– Juliana Hirtmanna – odpowiedział Servaz, starając się ukryć irytację.

Psychiatra spojrział na niego, ale tym razem nic nie powiedział. Wzruszył tylko ramionami i odwrócił się na pięcie.

– Proszę za mną.

Wejście znajdowało się w pobliżu miejsca, w którym schodziły się belki litery T. Do potrójnych szklanych drzwi prowadziło pięć stopni.

– Tymi drzwiami wchodzi do Instytutu wszyscy goście i cały personel – wyjaśnił, wspinając się na schody. – Są jeszcze cztery wyjścia awaryjne na parterze i jedno w podziemiach: dwa na końcach głównego korytarza, jedno w pobliżu kuchni i jedno w przybudówce – powiedział, wskazując krótszą belkę litery T. – Za salą gimnastyczną. Ale otwarcie ich z zewnątrz jest bezwzględnie niemożliwe, a od wewnątrz otwiera się je specjalnym kluczem. W razie dużego pożaru i wyłącznie wtedy otwierają się samoczynnie.

– Kto ma te klucze? – zapytał Servaz.

– Jakies dwadzieścia osób – odpowiedział Xavier, przechodząc przez oszklone drzwi. – Wszyscy przełożeni zespołów roboczych, trzech strażników z parteru, przełożona pielęgniarek, szef kuchni, ja... Ale i tak otwarcie każdych z tych drzwi uruchomiłoby natychmiast sygnał alarmowy na stanowisku kontrolnym.

– Będziemy potrzebowali listy tych osób – oznajmiła Ziegler.

– Czy na stanowisku kontrolnym ktoś dyżuruje? – zapytał Servaz.

– Tak, zaraz państwo zobaczą, to niedaleko.

Znaleźli się w dużym hallu. Na prawo widać było pomieszczenie należące do poczekalni, w którym stał rząd plastikowych krzeseł przymocowanych do poprzecznej listwy i zielone rośliny w doniczkach. Na wprost zobaczyli półokrągłą przeszkloną budkę, przypominającą okienko bankowe albo recepcję. Była pusta. Po lewej znajdowała się duża przestrzeń z pomalowanymi na biało ścianami, na których wisiały obrazy i rysunki. Umęczone twarze obnażające zęby ostre jak sztylety; powykręcane ciała; krzyczące kolory. Servaz zrozumiał, że to prace pacjentów.

Następnie jego wzrok powędrował od rysunków ku metalowym drzwiom ze szklanym świetlikiem. Stanowisko kontrolne. Xavier skierował się w jego stronę. Otworzył zamek kluczem, który nosił na łańcuszku przy pasku, i pchnął pancerne drzwi. Wewnątrz siedziało dwóch ochroniarzy obserwujących dziesiątki ekranów. Spod rozpiętych pomarańczowych kombinezonów widać było białe T-shirty. Przy każdym ich ruchu dzwoniły pęki kluczy i kajdanki, które mieli przy paskach. Na ścianie Servaz zauważył pojemniki z gazem łzawiącym. Żadnej broni palnej.

Ekranu pokazywały długie, puste korytarze, schody, wspólne sale i kawiarenkę. Mężczyźni spojrzeli na nich obojętnym wzrokiem. Ich oczy odbijały taką samą myślową pustkę, jaką Servaz widział już u strażników elektrowni.

– Instytut jest wyposażony w czterdzieści osiem kamer – wyjaśnił Xavier. – Czterdzieści dwie w środku i sześć na zewnątrz, oczywiście wszystkie są zamontowane w punktach strategicznych. – Wskazał na dwóch mężczyzn. – Nocą zawsze jest tu przynajmniej jedna osoba. I dwie w ciągu dnia.

– Jedna osoba do pilnowania ponad czterdziestu ekranów – zauważył Servaz.

– Mamy tu nie tylko kamery – odpowiedział Xavier. – Zakład jest podzielony na kilka

sektorów, z których każdy, w zależności od poziomu zagrożenia, jakie stwarzają mieszkający w nim pacjenci, ma bardziej lub mniej zaawansowany poziom zabezpieczeń. Każde nieuprawnione przekroczenie granicy między sektorami natychmiast uruchamia system alarmowy. – Wskazał na rząd czerwonych lampek umieszczonych nad ekranami. – Każdy z poziomów ma odpowiednie zabezpieczenia biometryczne. By dostać się do sektora A, w którym znajdują się najniebezpieczniejsi pacjenci, należy przejść przez podwójną śluzę bezpieczeństwa, bez przerwy pilnowaną przez strażnika.

– Czy do sektora A mają dostęp wszyscy członkowie personelu?

– Oczywiście, że nie. Mogą tam wchodzić tylko terapeuci zajmujący się pacjentami z sektora A, szefowa pielęgniarek, dwóch pracowników ochrony z czwartego piętra, nasz lekarz, kapelan i ja. I od niedawna pani psycholog, która przyjechała ze Szwajcarii.

– Tej listy także będziemy potrzebować – powiedziała Ziegler. – Z uprawnieniami i funkcjami tych osób.

– Wszystko to jest skomputeryzowane?

– Tak.

– Kto zakładał system?

– Prywatna firma ochroniarska.

– A kto się zajmuje jego utrzymaniem?

– Ta sama firma.

– Czy gdzieś są plany?

Psychiatra wyglądał na zbitego z tropu.

– Jakie plany?

– Schematy instalacji, okablowania, urządzeń biometrycznych, budynku...

– Przypuszczam, że ma je firma – zawahał się Xavier.

– Będzie nam potrzebny jej adres, nazwa prawna i numer telefonu. Przysyłają tu kogoś na kontrolę?

– Nadzorują wszystko na odległość. Gdyby coś się zepsuło albo nastąpiła jakaś awaria, ich komputery natychmiast by to wychwyciły.

– Nie uważa pan, że to niebezpieczne? Zewnętrzny nadzór nad śluzami ze strony osób, których pan nie zna...

Xavier spochmurniał.

– Nie mają możliwości odblokowania bramek. Ani wyłączenia systemów bezpieczeństwa. Mogą jedynie obserwować, co się dzieje. I czy wszystko działa.

– A ochroniarze są z tej samej firmy?

– Tak – odpowiedział Xavier, wychodząc z pomieszczenia. – Ale to nie oni interweniują w razie kryzysu u któregoś z pacjentów. Tym zajmują się pomocnicy medyczni. Jak pan wie, outsourcing jest powszechną tendencją. – Zatrzymał się na środku hallu, by spojrzeć na grupę. – Jesteśmy w tej samej sytuacji co wszyscy, korzystamy z dostępnych środków, a jest ich coraz mniej. W ciągu ostatnich dwudziestu lat rządy tego kraju zlikwidowały po cichu ponad pięćdziesiąt tysięcy łóżek psychiatrycznych i tysiące stanowisk pracy. Tymczasem zewnętrzny świat w imię liberalizmu i imperatywów ekonomicznych wywiera na jednostkę presję, jakiej nigdy dotąd nie było. Stąd mamy coraz więcej szaleńców, psychotyków, paranoików i schizofreników.

Xavier ruszył w głąb hallu w stronę niekończącego się korytarza, najwyraźniej przechodzącego przez całą długość budynku. Regularnie jednak zatrzymywały ich kraty – Servaz pomyślał, że na noc każda z nich musi być zamykana. Zauważył też drzwi z miedzianymi tabliczkami imiennymi lekarzy, w tym także samego Xaviera, a następnie tabliczkę z napisem: „Élisabeth Ferney, naczelną pielęgniarką”.

– Sądzę jednak, że i tak powinniśmy się czuć uprzywilejowani – dodał Xavier, przepuszczając ich przez drugą kratę. – Żeby uzupełnić braki w personelu, mamy tu systemy zabezpieczeń i nadzoru na najwyższym poziomie. Gdzie indziej tak nie jest. We Francji, aby ukryć redukcje personelu i budżetu, tworzy się zasłonę dymną z niejasnych koncepcji: stosuje się, jak to ktoś bardzo słusznie określił, sztuczki semantyczne typu: „procedury jakościowe”, „roczne plany działania”, „diagnoza pielęgniarska”. Wiecie, co to jest diagnoza pielęgniarska? Chodzi w niej o to, by pielęgniarz uwierzył, że może postawić diagnozę zamiast lekarza, co oczywiście pozwala na redukcję personelu lekarskiego w szpitalach. Oto efekt: jeden z moich kolegów był świadkiem, jak pielęgniarki skierowali pacjenta na psychiatrię, przykleiwszy mu etykietę „groźnego paranoika”, ponieważ był bardzo zdenerwowany i podczas kłótni zagroził pracodawcy, że pozwie go do sądu. Szczęśliwie biedak trafił na mojego kolegę, który natychmiast anulował diagnozę i odesłał go do domu. – Doktor Xavier zatrzymał się na środku korytarza i spojrzał na nich z dziwną powagą. – Żyjemy w czasach zinstytucjonalizowanej przemocy wobec najsłabszych i politycznych kłamstw, które nie mają precedensu – powiedział ponuro. – Panujące rządy i ich służby prześladują wszystkich w dwóch celach: utowarowienia ludzi i kontroli społecznej.

Servaz spojrział na lekarza. Myślał podobnie. Zastanawiał się jednak, czy aby w latach swojej wszechmocy psychiatrzy sami nie podcięli gałęzi, na której siedzieli, podejmując na szeroka skalę eksperymenty opierające się bardziej na założeniach ideologicznych niż naukowych, eksperymenty o konsekwencjach często zgubnych, w których królikami doświadczalnymi byli ludzie.

Po drodze Servaz znowu zauważył szklaną budkę, a w niej dwóch ochroniarzy w pomarańczowych kombinezonach.

Następnie po prawej pojawiła się kawiarenka, którą widzieli już na ekranach.

– Kawiarenka dla personelu – wyjaśnił Xavier.

W pomalowanym na ciepłe kolory pomieszczeniu z wysokimi nieotwieranymi oknami z widokiem na zaśnieżony krajobraz kilka osób rozmawiało przy kawie. Potem ich oczom ukazał się wysoki pokój z łososiowymi ścianami, na których wisały duże fotografie z różnymi pejzażami. W kilku miejscach stały tanie, ale na pierwszy rzut oka wygodne fotele. Ustawiono je w ten sposób, że tworzyły ciche, przytulne kąciaki.

– Rozmównica – wyjaśnił psychiatra. – Tutaj nasi pensjonariusze mogą się spotkać z rodziną. Oczywiście dotyczy to tylko najmniej niebezpiecznych pacjentów, czyli praktycznie niewielu. Spotkania odbywają się pod stałym nadzorem kamery, poza tym pomocnicy medyczni zawsze są w pobliżu.

– A inni pacjenci? – Propp po raz pierwszy otworzył usta.

Xavier zmierzył psychologa podejrzliwym wzrokiem.

– Większości z nich nikt nie odwiedza – odpowiedział. – To nie jest szpital psychiatryczny ani nowoczesne więzienie. To jedyne w Europie przedsięwzięcie pilotażowe tego rodzaju. Pacjenci przyjeżdżają do nas właściwie zewsząd. To bardzo brutalni ludzie: sprawcy gwałtów,

maltretowania, tortur, zabójstw... Na członkach własnych rodzin lub nieznajomych. Wszyscy są multirecydywistami, wszyscy balansują na ostrzu noża. Przyjmujemy tu samą śmietankę – dodał z dziwnym uśmiechem. – Mało kto chce pamiętać o istnieniu naszych pacjentów. Może właśnie dlatego zakład stoi na takim odludziu. Jesteśmy ich ostatnią rodziną.

To zdanie wydało się Servazowi nieco zbyt patetyczne. Jak zresztą prawie wszystko u doktora Xaviera.

– Ile jest poziomów zabezpieczeń?

– Trzy, w zależności od ryzyka zagrożenia ze strony pacjentów: niski, średni i wysoki. Dotyczy to nie tylko ilości i skuteczności zabezpieczeń i liczby ochroniarzy, ale także charakteru terapii i stosunków, jakie panują między członkami zespołów terapeutycznych a pacjentami.

– Kto ocenia, na ile dany pacjent jest niebezpieczny?

– Nasze zespoły. Łączymy wywiad kliniczny, testy i oczywiście lekturę dokumentacji medycznej sporządzonej przez kolegów, którzy ich do nas wysyłają, z nową, rewolucyjną metodą oceny stworzoną w moim kraju. O, właśnie jesteśmy w trakcie przyjmowania pacjenta, który przechodzi badania według tej metody. Proszę za mną.

Poprowadził ich w stronę ażurowych betonowych schodów, których stopnie pod ich stopami wpadały w drgania. Po wejściu na pierwsze piętro stanęli przed drzwiami z pancernego szkła, wzmocnianego delikatną siecią metalowych żyłek.

Tym razem Xavier musiał przyłożyć palec do czytnika identyfikacji biometrycznej, a następnie wystukać kod na małej klawiaturze.

Tablica nad drzwiami informowała:

SEKTOR C: NISKIE ZAGROŻENIE – WSTĘP DOZWOLONY PRACOWNIKOM KATEGORII C, B i A

– To jedyne wejście do tego sektora? – zapytała Ziegler.

– Nie, jest jeszcze jedno na końcu korytarza. Pozwala ono na przejście do następnej strefy – średniego zagrożenia. Przez służbę mogą się zatem przedostać tylko osoby, które mają uprawnienia na sektory B i A.

Poszedł przed nimi korytarzem. Po chwili zatrzymał się przed drzwiami z napisem „Ewaluacja”. Otworzył je, odsunął się i przepuścił ich przed sobą.

Pomieszczenie bez okien. Tak wąskie, że musieli stanąć stłoczeni. Przed monitorem komputera siedziały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Na monitorze widać było jednocześnie obraz z kamery i wiele innych otwartych okien, na których przesuwaly się diagramy i wykresy. Kamera filmowała dość młodego człowieka siedzącego na taborecie w drugim ślepych pomieszczeniu, niewiele większym niż schowek na miotły. Servaz dostrzegł, że mężczyzna ma na głowie wirtualny hełm. Następnie jego wzrok powędrował nieco w dół i Servaz doznał lekkiego wstrząsu: mężczyzna miał spodnie opuszczone na wysokość ud, a jego członek tkwił w dziwnej tubie, z której wystawały kable elektryczne.

– Nowa metoda oceny dewiacji seksualnych oparta jest na rzeczywistości wirtualnej, na kontroli okulomotorycznej i badaniu pletyzmografem prąciowym – wyjaśnił psychiatra. – To jest to urządzenie przymocowane do członka: pozwala zmierzyć poziom fizjologicznego podniecenia, inaczej mówiąc, erekcji, w odpowiedzi na różne bodźce. Równocześnie bada się reakcje okulomotoryczne za pomocą urządzenia działającego na podczerwień. Pozwala ono zmierzyć czas obserwacji obrazów pojawiających się na ekranach wirtualnego hełmu, a także

ustalić konkretne sceny, na których badany skupia uwagę.

Psychiatra pochylił się i stuknął palcem w jedno z okien otwartych na monitorze. Servaz zobaczył prostokątny diagram, na którym wznosiły się i opadały kolorowe słupki. Pod każdym ze słupków zaznaczono rodzaj bodźca: „dorosły mężczyzna”, „dorosła kobieta”, „dziecko płci męskiej” itd.

– Bodźce wysyłane do hełmu przedstawiają dorosłego mężczyznę, dorosłą kobietę, dziewięcioletnią dziewczynkę, dziewięcioletniego chłopca, a także kontrolny, neutralny obraz osoby pozbawionej cech płciowych. Każda ze scen trwa trzy minuty. Za każdym razem dokonujemy pomiaru reakcji fizjologicznej i odpowiedzi ze strony gałek ocznych. – Wyprostował się. – Trzeba powiedzieć, że większość naszej „klienteli” to przestępcy seksualni. Mamy w sumie osiemdziesiąt osiem łóżek: pięćdziesiąt trzy w sektorze C, dwadzieścia osiem w sektorze B oraz siedmiu pacjentów w sektorze A.

Servaz oparł się o ścianę. Pocił się i czuł dreszcze. Paliło go gardło. Ale głównym źródłem jego złego samopoczucia było to, co zobaczył, obraz człowieka postawionego w sytuacji jednocześnie surrealistycznej i upokarzającej, u którego sztucznie wzbudzano fantazje seksualne, by móc je zmierzyć.

– Ilu jest wśród nich morderców?– zapytał niepewnym głosem.

Xavier wpatrywał się w niego intensywnie.

– Trzydziestu pięciu. Wszyscy pacjenci z sektorów B i A.

Diane patrzyła, jak idą przez główny hall w kierunku schodów dla personelu. Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Xavier rozmawiał z nimi, ale wyglądał na napiętego, jakby się bronił. Mężczyźni i kobieta idący obok niego bombardowali go pytaniami. Zaczekała, aż odejdą dalej, i podeszła do przeszkłonych drzwi. Na śniegu, w odległości jakichś dziesięciu metrów od wejścia, stał jeep.

Przeczytała napis na drzwiach samochodu: „Żandarmeria”.

Diane przypomniała sobie rozmowę z Alekssem na temat zamordowanego mężczyzny: najwyraźniej policja także skojarzyła tę sprawę z Instytutem.

Potem uderzyła ją inna myśl: otwór wentylacyjny w jej gabinecie, rozmowa między Lisą a Xavierem. I ta dziwna historia z ko niem... Już przy tamtej okazji Lisa wspomniała, że może się tu pojawić policja. Czy to możliwe, żeby istniał jakiś związek między tymi dwiema sprawami? Prawdopodobnie policja też się nad tym zastanawia. Wróciła myślą do otworu wentylacyjnego...

Diane odwróciła się od drzwi i bojowym krokiem przeszła przez hall.

– Czy ma pan coś na przeziębienie?

Psychiatra znowu zmierzył Servaza wzrokiem, po czym otworzył szufladę biurka.

– Oczywiście. – Wyciągnął do niego rękę z żółtą fiolką. – Proszę, niech pan to zażyje. Paracetamol z efedryną. To zazwyczaj dość skuteczne. Jest pan naprawdę bardzo błady. Może wezwę lekarza?

– Dziękuję, jakoś dam radę.

Xavier podszedł do lodówki stojącej w kącie pomieszczenia i wrócił ze szklanką i butelką wody. Gabinet psychiatry był umeblowany bezpretensjonalnie: metalowe regały, barek

z lodówką, stół, na którym znajdował się tylko telefon, komputer i lampka, mała biblioteczka z półkami pełnymi fachowej literatury i kilka kwiatków w doniczkach na parapecie.

– Proszę brać tylko jedną naraz. Maksymalnie cztery w ciągu dnia. Może pan sobie zostawić całe opakowanie.

– Dziękuję.

Przez chwilę Servaz był pochłonięty obserwowaniem rozpuszczającej się tabletki. Czuł za oczami, jak migrena rozsadza mu czaszkę. Zimna woda dobrze mu zrobiła na gardło. Był mokry. Koszula pod marynarką kleiła mu się do pleców. Musiał mieć gorączkę. Było mu też zimno – ale ziąb pochodził raczej z wnętrza ciała: wskaźnik klimatyzacji przy drzwiach wyświetlał temperaturę 23 stopnie. Ponownie zobaczył w myśli obraz z monitora: gwałcieł gwałcony przez maszyny, sondy, urządzenia elektroniczne – i znowu żółć podeszła mu do gardła.

– Będziemy musieli się wybrać do sektora A – powiedział, odstawiając szklankę.

Jego głos miał brzmieć zdecydowanie, ale ogień w gardle sprawił, że Servaz ledwie chrząkał. Wesołe spojrzenie po drugiej stronie biurka nagle straciło blask. Policjant miał wrażenie, jakby chmura przesłoniła słońce, zmieniając wiosenny krajobraz w coś znacznie bardziej ponurego.

– *Czy to naprawdę konieczne?*

Psychiatra dyskretnie szukał wzrokiem wsparcia sędziego, który siedział po lewej stronie detektywów.

– Właśnie – zareagował błyskawicznie Confiant, zwracając się do nich. – Czy naprawdę musimy...

– Sądzę, że tak – przerwał mu Servaz. – Zdradzę panu coś, co musi zostać między nami – powiedział, nachylając się ku Xavierowi. – Ale może... *już pan o tym wie.*

Spojrzał na młodego sędziego. Przez krótką chwilę mężczyźni w ciszy mierzyli się wzrokiem. Następnie komendant przesunął wzrok z Confianta na Ziegler i dokładnie odczytał milczący komunikat, jaki mu wysyłała: Tylko spokojnie...

– O czym pan mówi? – zapytał psychiatra.

Servaz odchrząknął. Lekarstwo jeszcze nie zaczęło działać. Czuł się, jakby imadło ścisnęło mu skronie.

– Znaleźliśmy DNA jednego z pańskich pacjentów... tam, gdzie został zabity koń pana Lombarda: na górnym słupie kolejki linowej. DNA Juliana Hirtmanna.

Xavier szeroko otworzył oczy.

– Wielki Boże! To niemożliwe!

Spojrzał na Confianta błędnym wzrokiem i spuścił głowę. Jego zaskoczenie nie było udawane. Nie wiedział.

– A to może znaczyć dwie rzeczy – ciągnął Servaz. – Albo tamtej nocy był tam sam Hirtmann, albo ktoś, kto może podejść do niego na tyle blisko, żeby pobrać od niego ślinę. Oznacza to, doktorze Xavier, że ktoś w pana zakładzie, Hirtmann czy nie Hirtmann, jest w tę sprawę zamieszany.

– Mój boże, to koszmar – powiedział Xavier. Psychiatra wpatrywał się w nich zrozpaczony. – Mój poprzednik, doktor Wargnier, walczył o otwarcie tego zakładu. Jak się państwo domyślają, nie obyło się bez głosów sprzeciwu, które nadal są gotowe się odezwać. Wiele osób uważa, że tych kryminalistów powinno się trzymać w więzieniu. Ci ludzie nigdy się nie pogodzili z ich obecnością w tej dolinie. Jeśli sprawa się rozniesie, istnienie Instytutu będzie zagrożone. – Xavier zdjął swoje ekstrawaganckie czerwone okulary. Sięgnął do kieszeni po ściereczkę i z pasją zabrał się do czyszczenia szkieł. – Ci, którzy tu lądują, nie mają dokąd iść. Jesteśmy ich ostatnim schronieniem. Po nas nie ma już nic, ani zwykłe szpitale psychiatryczne, ani więzienia nie mogą ich przyjąć. We Francji jest tylko pięć oddziałów dla trudnych pacjentów, ale Instytut jest jedyną placówką tego rodzaju. Każdego roku otrzymujemy dziesiątki podań o przyjęcie. Chodzi albo o niepoczytalnych sprawców okrutnych zbrodni, albo o przestępców cierpiących na zaburzenia osobowości, które uniemożliwiają im pobyt w więzieniu, albo o psychotyków, którzy stwarzają zbyt wielkie zagrożenie, by można ich trzymać w klasycznym szpitalu psychiatrycznym. Przysyłają ich do nas nawet oddziały przeznaczone dla trudnych pacjentów. Dokąd pójdą ci ludzie, jeśli zamkniemy drzwi? – Okrężne ruchy palców na okularowych szklach stawały się coraz szybsze. – Jak już powiedziałem, od trzydziestu lat w imię ideologii, rentowności i priorytetów budżetowych psychiatria w tym kraju jest spychana na margines. Ten zakład jest bardzo kosztowny dla społeczeństwa. Oczywiście w odróżnieniu od pozostałych oddziałów dla trudnych pacjentów jest to przedsięwzięcie na poziomie europejskim, częściowo finansowane przez Unię. Ale tylko częściowo. I nawet w samej Brukseli jest sporo osób, które patrzą na nas nieżyczliwym okiem.

– Nie zamierzamy upubliczniać tej informacji – oświadczył Servaz.

Psychiatra spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Prędzej czy później się rozejdzie. Jak możecie prowadzić śledztwo bez jej upublicznienia?

Servaz wiedział, że lekarz ma rację.

– Jest tylko jedno rozwiązanie – włączył się Confiant. – Jeśli nie chcemy, żeby wiadomość doszła do dziennikarzy, którzy zaraz zaczną rozpowiadać różne niestworzone historie, musimy jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę. Jeśli dojdziemy, który z twoich pracowników brał w niej udział, zanim prasa dowie się o historii z DNA, będziemy mieć dowód, że nie wy dostał się stąd żaden z pacjentów.

Psychiatra potwierdził skinieniem głowy.

– Sam przeprowadzę małe śledztwo. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc – obiecał psychiatra.

– A tymczasem, czy moglibyśmy zobaczyć sektor A? – zapytał Servaz.

Xavier wstał.

– Zaprowadzę państwa.

Diane siedziała nieruchomo przy biurku. Wstrzymywała oddech...

Dźwięki i słowa były tak łatwe do odróżnienia, jakby rozmowa toczyła się w jej pokoju. Na przykład głos tego gliny. Brzmiał, jakby jego właściciel był jednocześnie wyczerpany i działał w ogromnym stresie. Pod zbyt wielką presją. Na razie daje radę, ale jak długo jeszcze wytrzyma? Każde z jego słów zapisywało się w głowie Diane płonącymi zgłoskami. Nic nie pojmowała z tej historii z martwym koniem, ale dobrze rozumiała, że na miejscu zbrodni znaleziono DNA Hirtmanna. I że policja podejrzewała, iż ktoś z Instytutu jest w to zamieszany.

Zabity koń, zamordowany aptekarz, podejrzenia ciężące na Instytucie...

Diane odczuwała niepokój, ale pojawiała w niej się coś jeszcze. Nieodparta ciekawość. Wspomnienie cienia przesuwanego się w nocy pod jej drzwiami na nowo wyłoniło się z pamięci.

W czasie studiów Diane usłyszała przez ścianę głos mężczyzny, który groził dziewczynie z pokoju obok i upokarzał ją. Facet przychodził przez kilka nocy z rzędu w chwili, gdy Diane kładła się spać. Za każdym razem wypowiadał te same pogróżki, ścisłym, ale warkliwym głosem, że zabije, okaleczy, zmieni jej życie w piekło. Potem następowało trzaśnięcie drzwiami i w korytarzu rozbrzmiewało echo oddalających się kroków. Wreszcie w ciszy słychać było już tylko zduszony szloch sąsiadki, który brzmiał jak echo tysięcy samotności i smutków otulonych miejską ciszą.

Nie wiedziała, kim jest mężczyzna (jego głos nie wydawał jej się znajomy), praktycznie nie znała też dziewczyny z pokoju obok, z którą wymieniały tylko „dzień dobry”, „do widzenia” i nic nieznaczące zdania, gdy spotykały się na korytarzu. Wiedziała tylko, że koleżanka ma na imię Otilie, że pisze pracę magisterską z ekonomii, że chodziła kiedyś z brodatym studentem w okularach, ale większość czasu spędza samotnie. Bez paczki kolegów, bez telefonów do mamy czy taty.

Diane nie powinna była się do tego mieszać, to nie były jej sprawy, ale któregoś wieczoru nie potrafiła się powstrzymać i poszła za mężczyzną, gdy ten opuścił pokój. Odkryła, że mieszka w ładnym małym domku, za oknem zauważyła kobietę. Tego wieczoru tylko tyle udało jej się dowiedzieć, ale później w wolnym czasie kontynuowała swoje śledztwo. Idąc po nitce do kłębka, zebrała informacje na jego temat: był dyrektorem hipermarketu, miał dwójkę dzieci w wieku pięciu i siedmiu lat, grał na wyścigach, dyskretnie robił własne zakupy w konkurencyjnej sieci sklepów „Globus”. W końcu doszła i do tego, że mężczyzna poznał jej sąsiadkę w kierowanym przez siebie hipermarkecie, w którym zarabiała na studia. Dziewczyna zaszła z nim w ciążę. Stąd upokorzenia i groźby. Mężczyzna chciał, żeby dokonała aborcji. Miał jeszcze jedną kochankę: trzydziestoletnią kasjerkę o zbyt krzykliwym makijażu, która z furią żuła gumę, obrzucając klientów pogardliwym spojrzeniem. Jak śpiewał Bruce Springsteen: *I'm in love with the queen of the supermarket*. Pewnego wieczoru Diane wystukała na komputerze anonimowy list, który wsunęła pod drzwi sąsiadki: *On nigdy nie zostawi swojej żony*. Miesiąc później dowiedziała się, że dziewczyna przeszła aborcję w dwunastym tygodniu ciąży, kilka dni po ostatecznym terminie dopuszczanym przez szwajcarskie prawo.

Kiedyś się zastanawiała, czy ta potrzeba interesowania się życiem innych nie wynika z faktu, że wychowała się w rodzinie, w której niedopowiedzenia, przemilczenia i tajemnice były

bardziej na porządku dziennym niż chwile otwartej rozmowy. Zastanawiała się też, czy jej ojciec, surowy kalwinista, zdradził już matkę. Wiedziała na pewno, że odwrotna sytuacja się zdarzyła, że niektórzy spośród dyskretnych gości matki wykorzystali jej zbyt bujną wyobraźnię, spełniając jej wiecznie zawiedzione nadzieje.

Diane poruszyła się na krześle. Co tu się dzieje? Próbując powiązać ze sobą informacje, którymi dysponowała, czuła narastający niepokój.

Najgorsza była ta historia z Saint-Martin. Straszliwa zbrodnia. Możliwość istnienia jakiegoś związku między tym zdarzeniem a Instytutem pogłębiała lęk, który odczuwała od chwili przyjazdu. Żałowała, że nie ma przy niej osoby, której mogłaby się zwierzyć, opowiedzieć o swoich wątpliwościach. Najlepszej przyjaciółki... albo Pierre'a...

– Przedstawiam państwu Élisabeth Ferney, naszą naczelną pielęgniarkę.

Servaz zauważył wysoką kobietę, która szła w ich stronę, stukając obcasami. Jej włosy, choć nie tak długie jak u Charlene Espérandieu, spadały swobodnie na ramiona. Na powitanie kiwnęła głową. Bez słowa i bez uśmiechu. Jej wzrok zatrzymał się na Irène Ziegler nieco dłużej, niż było to konieczne.

Servaz zauważył, że młoda funkcjonariuszka żandarmerii spuściła oczy.

Élisabeth Ferney wyglądała na osobę ostrą i pewną siebie. Servaz oceniał ją na czterdziestkę, ale dopuszczał też możliwość, że ma trzydzieści pięć albo pięćdziesiąt lat: obszerny kitel i surowy wygląd nie pozwalały powiedzieć w tym względzie nic pewnego. Domyślał się jej ogromnej energii i żelaznej woli. A może drugi sprawca jest kobietą? – pomyślał nagle. Natychmiast jednak uznał, że stawianie sobie takich pytań świadczy o zamęcie w jego głowie: jeśli podejrzewa się wszystkich, to nie podejrzewa się nikogo. Nie mieli żadnych mocnych poszlak.

– Lisa jest duszą tego zakładu – powiedział Xavier. – Zna go najlepiej z nas wszystkich i panuje nad wszystkimi aspektami praktycznymi i terapeutycznymi. Zna też każdego spośród osiemdziesięciu ośmiu pacjentów. Nawet psychiatrzy jej podlegają.

Na twarzy naczelnej pielęgniarki nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Skinęła na Xaviera, który przerwał swój wywód i zamienił się w słuch. Szepnęła mu coś do ucha. Servaz zastanawiał się, czy aby właśnie nie mają przed sobą osoby, która dzierży realną władzę w tym miejscu. Xavier odpowiedział jej w taki sam sposób, podczas gdy oni w milczeniu czekali na zakończenie potajemnej narady. Wreszcie kobieta przytaknęła, kiwnęła im głową na pożegnanie i odeszła.

– Idźmy dalej – rzucił psychiatra.

Gdy grupa ruszyła, Servaz spojrzał do tyłu, by popatrzeć na oddalającą się Lisę Ferney. Opięty kitel na szerokich ramionach, stukot wysokich obcasów na podłogowych płytkach. Na końcu korytarza, zanim zniknęła za rogiem, odwróciła się i ich spojrzenia się spotkały. Servaz miał wrażenie, że kobieta się uśmiecha.

– Ważne, by unikać wszelkich zachowań, które mogłyby wywołać konflikty – powiedział Xavier.

Znajdowali się przed ostatnią śluzą, która otwierała dostęp do sektora A. Na ścianach z surowego kamienia nie było farby. Servaz miał wrażenie, jakby znalazł się w średniowiecznej

fortecy z drzwiami okutymi żelazem, bladymi świetlówkami i betonową podłogą.

Xavier podniósł głowę do kamery umieszczonej na futrynie. Światło dwudiodowej lampki zmieniło się z czerwonego na zielone i w grubej metalowej obudowie drzwi szczęknęły zamki. Pociągnął ciężkie skrzydło i wpuścił ich do ciasnej śluzy. Zaczekali, aż pierwsze drzwi samoczynnie się zatrzasną, a wtedy z nie mniejszym hałasem otworzyły się drugie. Ciemna przestrzeń była rozjaśniona tylko światłem wpadającym przez okienka w drzwiach, jak w maszynowni statku. W powietrzu unosił się zapach metalu. Xavier spojrzał kolejno na każde z nich i Servaz usłyszał magiczną formułkę, którą, jak przypuszczał, lekarz serwował każdemu przechodzącemu przez tę śluzę:

– WITAMY W PIEKLE – oświadczył z uśmiechem.

Przeszklona budka. W środku jeden ochroniarz. Jakiś hall po lewej. Servaz ruszył do przodu. Zobaczył biały korytarz wyściełany grubą niebieską wykładziną. Po lewej rząd drzwi, po prawej ściennie lampy.

Ochroniarz odłożył gazetę i wyszedł z budki, Xavier ceremonialnie uściśnął mu rękę. Olbrzym mógł mieć metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

– Oto Monsieur Monde – przedstawił go Xavier. – To przezwisko wymyślone przez naszych pacjentów z sektora A.

Mężczyzna się zaśmiał. Przywitał się z każdym z nich. Uścisk jego dłoni był lekki jak piórko, jakby olbrzym się bał, żeby nie zmiażdżyć im kości.

– Jak się dziś mają?

– Spokojni. To będzie dobry dzień.

– A może i nie – powiedział Xavier, zerkając na gości.

– Najważniejsze, żeby ich nie prowokować – wytłumaczył im Monsieur Monde, jakby powtarzał po psychiatrze. – Zachować dystans. Istnieje granica, której nie wolno przekraczać. Mogliby się poczuć zaatakowani i zareagować gwałtownie.

– Obawiam się, że ci państwo przyszli tu właśnie po to, by ją przekroczyć. Są z policji – wyjaśnił Xavier.

Spojrzenie Monsieur Monde'a stwardniało. Wzruszył ramionami i wrócił do swojej budki.

– Chodźmy – powiedział Xavier.

Szli korytarzem. Gruba niebieska wykładzina tłumiła odgłos ich kroków. Psychiatra wskazał pierwsze drzwi.

– Andreas przyjechał do nas z Niemiec. Zabił ojca i matkę we śnie dwoma strzałami ze strzelby. Potem, ponieważ bał się samotności, obciął im głowy i włożył do lodówki. Wyjmował je co wieczór, by w ich towarzystwie oglądać telewizję; mocował je w tym celu na dwóch bezgłowych manekinach, które siedziały obok niego na sofie w salonie.

Servaz słuchał uważnie. Wyobrazził sobie tę scenę i zadrzał: przypomniał sobie głowę konia znaną na tyłach stadniny.

– Kiedy lekarz rodzinny, zdziwiony, że rodzice nie pojawiają się w jego gabinecie, przyjechał do nich z wizytą, Andreas zaatakował go młotkiem. Następnie jemu także odciął głowę. Był bardzo zadowolony, że rodzice będą mieli towarzystwo, ponieważ doktor był bardzo miłym i kontaktowym człowiekiem. Oczywiście policja wszczęła dochodzenie w sprawie zniknięcia lekarza. Gdy pojawiła się na miejscu, by przesłuchać Andreasa i jego rodziców, którzy

znajdowali się w spisie pacjentów, Andreas wpuścił policjantów do domu, mówiąc: „Są tutaj”. Rzeczywiście byli: trzy głowy w lodówce czekały na wieczór, kiedy miały zostać wyjęte.

– Urocze – powiedział Confiant.

– Problem w tym – ciągnął Xavier – że kiedy Andreas trafił do szpitala psychiatrycznego, próbował w nocy obciąć głowę pielęgniarce. Biedaczka przeżyła, ale już do końca życia nie będzie mogła mówić bez specjalnego aparatu i musi nosić apaszki i golfy, żeby ukryć straszną bliznę, którą na jej szyi zostawił użyty przez Andreasa nóż do papieru.

Servaz wymienił spojrzenie z Ziegler. Dostrzegł, że myślą o tym samym. Najwyraźniej ten człowiek został powołany do obcinania głów. A jego cela znajduje się niedaleko celi Hirtmanna. Servaz zajrzał przez świetlik. Andreas był kolosem. Musiał ważyć jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów, mieć sto cztery w pasie i nosić buty w rozmiarze czterdzieści sześć albo czterdzieści osiem. Jego ogromna głowa była wciśnięta w ramiona, jakby nie miał szyi. Ponury wyraz twarzy. Xavier pokazał im kolejne drzwi, kawałek dalej.

– Doktor Jaime Esteban przyjechał z Hiszpanii. W ciągu dwóch okresów wakacyjnych z rządu zabił trzy małżeństwa po tamtej stronie granicy w rejonie parków narodowych Ordesa i Monte Perdido oraz Aigüestortes. Wcześniej był powszechnie poważanym obywatelem, samotnym, ale odnoszącym się z wielkim szacunkiem do kobiet, które przyjmował w swoim gabinecie. Był radnym w radzie miasta, dla każdego miał dobre słowo.

Podszedł do drzwi, zajrzał przez okienko, a następnie odsunął się i zaprosił pozostałych, by się zbliżyli.

– Wciąż nie wiadomo, dlaczego to zrobił. Mordował ludzi odbywających wycieczki w mało uczęszczane miejsca. Zawsze pary, zawsze młodych ludzi. Najpierw kamieniem albo pałką rozbijał głowę mężczyzny, następnie gwałcił i dusił kobietę, po czym wrzucał ciała do wąwozu. Ach, i jeszcze pił ich krew. Dziś uważa się za wampira. Ugryzł w szyję dwóch pielęgniarzy w szpitalu w Hiszpanii, do którego trafił.

Servaz podszedł do okienka w drzwiach. Zobaczył siedzącego na łóżku szczupłego mężczyznę z włosami lśniącymi od brylantyny i starannie przyciętą czarną brodą, ubranego w biały kombinezon z krótkim rękawem. Nad łóżkiem znajdował się włączony telewizor.

– A teraz najszlachetniejszy z naszych pensjonariuszy – oświadczył Xavier tonem kolekcjonera przedstawiającego najcenniejszy okaz ze swojego zbioru. Wystukał kombinację cyfr na skrzyneczce wiszącej obok drzwi. – Dzień dobry, Julianie – powiedział od progu.

Żadnej odpowiedzi. Servaz również wszedł do środka.

Był zaskoczony rozmiarem pomieszczenia. Wydawało się znacznie większe niż poprzednie cele. Ściany i podłoga były białe, jak gdzie indziej. W głębi łóżko, przy ścianie mały stolik z dwoma krzesłami, dwoje drzwi po lewej, za którymi znajdowały się zapewne łazienka i jakaś szafa, oraz okno, z którego widać było otulony śniegiem czubek jodły i góry.

Servaza zaskoczył też ascetyczny wystrój celi. Zastanawiał się, czy to wybór Hirtmanna, czy też sytuacja została Szwajcarowi narzucona. Jak wynikało z informacji, które zgromadził, na wolności Hirtmann był człowiekiem ciekawym wszystkiego, inteligentnym, towarzyskim i niewątpliwie miłośnikiem książek oraz wszelkich form kultury. Tutaj nie było niczego. Poza marnej jakości odtwarzaczem CD leżącym na stole. Jednak, inaczej niż w poprzednich celach, meble nie były przytwierdzone do podłogi ani oklejone plastikiem. Tak jakby uznano, że

Hirtmann nie stanowi zagrożenia ani dla samego siebie, ani dla innych...

Servaz poczuł dreszcz, gdy rozpoznał muzykę dochodzącą z odtwarzacza: Gustav Mahler, *IV Symfonia*.

Hirtmann nie podnosił oczu. Czytał gazetę. Servaz pochylił się lekko. Zauważył, że Szwajcar jest szczuplejszy niż na zdjęciach, które widział. Jego skóra stała się bardziej mleczna, niemal przezroczysta. Odcinała się od krótko obciętych, gęstych, ciemnych włosów, poprzeplatanych tu i ówdzie srebrnymi nitkami. Na nieogolonej twarzy widać było ostry, czarny zarost. Wciąż jednak miał wygląd wykształconego, dobrze wychowanego człowieka, który zachowałby, nawet gdyby przyszło mu wieść żywot kłoszarda pod paryskim mostem. I tę nieco surową twarz ze zmarszczonymi brwiami, która musiała robić wielkie wrażenie na salach sądowych. Był ubrany w zszarzały od prania biały kombinezon z rozpiętym kołnierzykiem i T-shirt.

W porównaniu ze zdjęciami widać było, że trochę się postarzał.

– Przedstawiam panu komendanta Servaza – powiedział Xavier – sędziego Confianta, kapitan Ziegler i profesora Proppa.

Hirtmann podniósł oczy. Parząc pod światło wpadające przez okno, Servaz po raz pierwszy zobaczył blask jego oczu. Nie odbijały zewnętrznego świata – płonęły wewnętrznym ogniem. Efekt trwał zaledwie sekundę, po czym Szwajcar z powrotem stał się dawnym prokuratorem z Genewy, obytym, grzecznym i uśmiechniętym.

Odsunął krzesło i podniósł swoje olbrzymie ciało. Był jeszcze wyższy niż na zdjęciach. Około metra dziewięćdziesiąt pięć – ocenił Servaz.

– Dzień dobry – powiedział.

Zatopił spojrzenie w oczach Servaza. Przez chwilę mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Po czym Hirtmann zrobił coś dziwnego: wyciągnął nagle rękę w kierunku komendanta, tak że ten o mało się nie cofnął. Chwycił dłoń policjanta i mocno ją ścisnął. Servaz nie mógł powstrzymać drżenia. Dłoń Szwajcara była trochę wilgotna i zimna, jak ciało ryby – może wskutek zażywania leków.

– Mahler – powiedział gliniarz, żeby dodać sobie animuszu.

Hirtmann popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Lubi pan?

– Tak, *Czwarta Symfonia*, pierwsza część.

– *Bedächtig... Nicht eilen... Recht gemächlich...*

– Miarowo. Bez pośpiechu. Bardzo spokojnie – przetłumaczył Servaz.

Hirtmann wyglądał na zaskoczonego, ale i ucieszonego.

– Adorno powiedział, że ta część jest jak „dawno, dawno temu” w bajkach.

Servaz w milczeniu słuchał muzyki.

– Mahler napisał to w bardzo trudnych okolicznościach – ciągnął Szwajcar. – Wiedział pan?

O, wiem aż za dobrze, pomyślał Servaz

– Tak – odpowiedział.

– Był na wakacjach, koszmarnych wakacjach. Fatalna pogoda...

– Bez przerwy przeszkadzały mu popisy miejskiej orkiestry dętej.

Hirtmann się uśmiechnął.

– Jakież to symboliczne, prawda? Muzyczny geniusz zagłuszany przez miejskie fanfary.

Miał głęboki, dobrze postawiony głos. Przyjemny. Głos aktora, mówcy. W jego twarzy było coś kobiecego. Przede wszystkim usta: duże i wąskie. I oczy. Nos mięsisty, czoło wysokie.

– Jak sam pan widzi – powiedział Xavier, podchodząc do okna – nie da się tędy uciec, chyba że byłoby się Supermanem. Do ziemi jest czternaście metrów. Okno jest pancerne i zaplombowane.

– Kto zna szyfr do drzwi? – zapytała Ziegler.

– No, ja, Élisabeth Ferney i dwaj ochroniarze z części A.

– Przyjmuje dużo gości?

– Julianie? – Psychiatra odwrócił się do Hirtmanna.

– Tak?

– Przyjmuje pan dużo gości?

– Pan, doktorze, panna Ferney, Monsieur Monde, fryzjer, kapelan, zespół terapeutyczny, doktor Lepage... – wyliczył Szwajcar, znów się uśmiechając.

– To nasz naczelny lekarz – wyjaśnił Xavier.

– Zdarza mu się stąd wychodzić?

– Opuścił ten pokój raz w ciągu szesnastu miesięcy. Żeby zaplombować ząb. Ściągamy dentystę z Saint-Martin, ale cały potrzebny sprzęt mamy na miejscu.

– A te drzwi?

Xavier otworzył dwoje drzwi: szafa z kilkoma stosikami bielizny i białymi kombinezonami na zmianę na wieszakach oraz mała łazienka bez okna.

Servaz ukradkiem obserwował Hirtmanna. Z całą pewnością mężczyzna miał w sobie coś charyzmatycznego, zarazem jednak policjant nigdy nie widział człowieka, który mniej przypominałby seryjnego mordercę. Hirtmann wyglądał jak człowiek, którym był w czasach wolności: niezłomny prokurator, osoba dobrze wychowana, ale także swawolnik – miał to wypisane na twarzy. Tylko oczy nie pasowały. Czarne, nieruchome. Błysk przebiegłości w źrenicach, powieki opuszczone, ale niemrugające. Wzrok paraliżujący jak strzał z tasera. Znał już przestępców o takim spojrzeniu. Nigdy jednak nie spotkał osoby równie promieniejącej i niejednoznacznej. Pomyślał, że dawniej takiego człowieka spalono by na stosie za czary. Dziś bada się jego osobowość, próbuje się go zrozumieć. Servaz miał jednak wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć, że zła nie da się policzyć, zredukować do postaci naukowej regułki, biologicznych rozważań ani teorii psychologicznej. Tak zwani myśliciele ośmielają się twierdzić, że zło nie istnieje, uważają je za przesąd, nieracjonalną bajkę dla maluczkich. Ale dzieje się tak tylko dlatego, że nigdy nie byli poddani śmiertelnym torturom w ciemnej piwnicy, nigdy nie widzieli dzieci uwiedzionych za pośrednictwem Internetu, nigdy nie byli porwani, tresowani, tumanieni narkotykami, gwałceni całymi tygodniami przez dziesiątki mężczyzn, a potem wyrzuceni na ulicę któregoś z wielkich europejskich miast, nigdy nie byli psychicznie zmuszani, by się wysadzić w powietrze w tłumie ludzi. I nigdy jako dziesięciolatek nie słyszeli przez drzwi jęków własnej matki...

Servaz otrząsnął się z zamyślenia. Gdy zauważył, że Hirtmann go obserwuje, włosy stanęły mu dęba.

– Podoba się panu tutaj? – zapytał Propp.

– Myślę, że tak. Dobrze mnie traktują.

– Ale oczywiście wolałby pan być na zewnątrz?

Uśmiech Szwajcara był ponad wszelką wątpliwość sarkastyczny.

– Głupie pytanie.

– Tak, rzeczywiście – przytaknął Propp, intensywnie się w niego wpatrując. – Co pan na to, żebyśmy chwilę porozmawiali?

– Nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział powoli Szwajcar, patrząc przez okno.

– Jak pan spędza dzień?

– A pan? – Hirtmann odwrócił się i puścił do niego oko.

– Nie odpowiada pan na moje pytanie.

– Czytam gazety, słucham muzyki, rozmawiam z personelem, patrzę na krajobraz, śpię, marzę...

– O czym pan marzy?

– O czym pan marzy? – powtórzył Szwajcar jak echo, jakby chodziło o pytanie natury filozoficznej.

Przez dobry kwadrans Propp zasypywał Hirtmanna pytaniami. Ten odpowiadał spontanicznie, powoli i z uśmiechem. Na zakończenie psycholog mu podziękował, a Hirtmann skinął głową, co można było zrozumieć jako „Nie ma sprawy”. Potem przyszła kolej na Confianta. Widać było, że wcześniej przygotował swoje pytania. Pan sędzia odrobił zadanie, pomyślał Servaz, który był zwolennikiem bardziej spontanicznych metod. Słuchał ich dialogu jednym uchem.

– Słyszał pan o tym, co się stało na zewnątrz?

– Czytam gazety.

– I co pan o tym myśli?

– Jak to?

– Ma pan jakiś pomysł, kto mógłby to zrobić?

– Chodzi panu o to... że to mógłby być ktoś taki jak ja?

– Tak pan myśli?

– Nie, to *pan* tak myśli.

– A pan, co pan o tym myśli?

– Nie wiem. Nic nie myślę. Może to ktoś stąd...

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Tu jest mnóstwo ludzi, którzy byliby do tego zdolni, prawda?

– Takich jak pan?

– Takich jak ja.

– Sądzi pan, że ktoś mógłby stąd wyjść, żeby dokonać tego morderstwa?

– Nie wiem. Jak pan myśli?

– Zna pan Érica Lombarda?

– To właściciel zabitego konia.

– A tego aptekarza, Grimma?

– Już rozumiem.

– Co pan rozumie?

– Znaleźliście tam coś, co ma związek ze mną.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– O co chodzi? Znaleźliście wiadomość „To ja go zabiłem”, podpisaną Julian Alois Hirtmann?

– Dlaczego pana zdaniem ktoś miałby chcieć zwalić sprawę na pana?

– To chyba oczywiste, nie?

– Może pan to rozwinąć?

– Każdy z pacjentów tego zakładu idealnie pasuje na winnego.

– Tak pan sądzi?

– Dlaczego nie wypowie pan tego słowa?

– Jakiego słowa?

– Tego, które ma pan na myśli.

– Co to za słowo?

– Wariat.

Confiant nie odpowiedział.

– Czubek.

Confiant milczał.

– Postrzelony.

– Stuknięty.

– Pomyłony.

– Trzepnięty.

– Obląkany.

– Świr.

– Dobrze, myślę, że to wystarczy – przerwał Xavier. – Jeśli nie mają państwo więcej pytań, chciałbym, żebyście zostawili mojego pacjenta w spokoju.

– Chwileczkę, jeśli można.

Odwrócili się. Hirtmann nie podniósł głosu, ale jego ton się zmienił.

– Ja także mam coś do powiedzenia.

Popatrzyli po sobie, a potem pytająco spojrzeli na Hirtmanna. Mężczyzna już się nie uśmiechał. Miał srogą minę.

– Przyszlście tu i poddajecie mnie przesłuchaniu. Zastanawiacie się, czy mam coś wspólnego z tym, co się dzieje na zewnątrz, co jest oczywistym absurdem. Czujecie się czyści, uczciwi, obmyci z wszelkich grzechów, ponieważ znajdujecie się w obliczu potwora. To także jest absurdem.

Servaz wymienił z Ziegler zdziwione spojrzenie. Widział, że Xavier jest zbity z tropu. Confiant i Propp nieruchomo czekali na dalszy ciąg.

– Czy sądzicie, że moje zbrodnie sprawiają, że wasze złe uczynki są mniej godne potępienia? Wasza małoduszność i nałogi stają się mniej obrzydliwe? Uważacie, że po jednej stronie są mordercy, gwałciciele i przestępcy, a po drugiej wy? Musicie coś zrozumieć: nie istnieje żadna nieprzepuszczalna błona, która uniemożliwiłaby obieg zła. Nie ma dwóch rodzajów ludzkości. Kiedy okłamujecie żonę i dzieci, kiedy porzucacie starą matkę w domu starców, żeby mieć

swobodę działania, kiedy bogacie się kosztem innych, kiedy odmawiacie oddania części waszych dochodów tym, którzy nie mają niczego, kiedy waszym egoizmem czy obojętnością zadajecie innym cierpienie, blisko wam do mnie. W gruncie rzeczy jesteście znacznie bardziej podobni do mnie i pozostałych pacjentów, niż się wam wydaje. To tylko kwestia ilości, nie natury. Naturę mamy wspólną: taką jak cała ludzkość. – Schylił się i wyjął spod poduszki grubą książkę. Biblię. – Kapelan mi to dał. Wyobraża sobie, że dzięki temu zostanę zbawiony. – Zaśmiał się krótko i skrzekliwie. – Nonsens! Moje zło nie jest czymś indywidualnym. Jediną rzeczą, która może nas zbawić, jest zagłada atomowa...

Mówił silnym, przekonującym głosem i Servaz bez trudu wyobraził sobie, jaki efekt wywoływał w sędach. Jego surowa mina wzywała do skruchy i posłuszeństwa. Teraz to oni są grzesznikami, a on apostołem! Byli kompletnie zdezorientowani. Nawet Xavier wyglądał na zaskoczonego.

– Chciałbym porozmawiać na osobności z komendantem – powiedział nagle Hirtmann spokojniejszym głosem.

Xavier odwrócił się do Servaza. Ten wzruszył ramionami. Psychiatra z zakłopotaną miną zmarszczył brwi.

– Komendancie? – powiedział.

Servaz zgodził się skinieniem głowy.

– W porządku. – Xavier skierował się ku drzwiom.

Teraz Propp wzruszył ramionami, wyraźnie niezadowolony, że Hirtmann nie wybrał jego. Spojrzenie Confianta wyrażało nieskrywaną dezaprobatę. Poszli jednak w ślady psychiatry. Ziegler wyszła jako ostatnia, wcześniej obrzuciwszy Szwajcara lodowatym spojrzeniem.

– Ładna dziewczyna – powiedział Hirtmann, gdy zamknęła drzwi.

Servaz milczał. Nerwowo rozejrzał się wokół siebie.

– Nie mogę panu zaproponować nic do picia, herbaty ani kawy. Nie mam tu takich rzeczy. Ale serce jest na swoim miejscu.

Servaz zamierzał mu powiedzieć, żeby skończył tę szopkę i przeszedł do rzeczy, ale się powstrzymał.

– Którą symfonię lubi pan najbardziej?

– Nie mam ulubionej – odpowiedział policjant oschle.

– Każdy jakąś ma.

– Powiedzmy: *Czwartą, Piątą i Szóstą*.

– Jakie wersje?

– Oczywiście Bernsteina. Poza tym Inbal jest bardzo dobry. I Haitink w *Czwartej*, Wien w *Szóstej*. Niech pan posłucha...

– Mmm. Dobre wybory. Choć tutaj to bez większego znaczenia – dodał Hirtmann, wskazując na swój marny sprzęt.

Servaz nie mógł zaprzeczyć, że dźwięk wydobywający się z odtwarzacza jest mizernej jakości. Uświadomił sobie, że od samego początku to Hirtmann kontrolował rozmowę, nawet wtedy, gdy inni bombardowali go pytaniami.

– Przykro mi to mówić, ale moralistyczna pogadanka, którą pan przed chwilą wygłosił, mnie nie przekonała, Hirtmann. Nie mam z panem nic wspólnego, chciałbym, żeby to było jasne.

– Pańskie prawo tak myśleć. Ale myli się pan. Mamy coś wspólnego: Mahlera.

– O czym chciał pan ze mną mówić?

– Rozmawiał pan z Chaperonem? – Hirtmann znowu zmienił ton głosu i wpatrywał się w Servaza, gotów dostrzec najdrobniejszą reakcję z jego strony.

Servaz zadrżał. Poczł łaskotanie wzdłuż kręgosłupa. Hirtmann zna nazwisko mera Saint-Martin...

– Tak – odpowiedział ostrożnie.

– Chaperon był przyjacielem tego... Grimma, wiedział pan o tym?

Servaz wlepił w Hirtmanna zdumione spojrzenie. Skąd on może o tym wiedzieć? Skąd ma takie informacje?

– Tak. Tak. Powiedział mi o tym. A pan, skąd pan...?

– Niech pan więc poprosi szanownego mera, żeby panu opowiedział o samobójstwach.

– O czym???

– O *samobójstwach*, komendancie. Niech pan z nim porozmawia o samobójstwach!

– Samobójstwa? O co chodzi?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale wygląda na to, że Chaperon wie.

Ziegler rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Hirtmann panu powiedział?

– Tak.

– I pan mu wierzy?

– Trzeba to sprawdzić.

– Ten gość to wariat.

– Możliwe.

– Nic więcej panu nie powiedział?

– Nie.

– Dlaczego wybrał pana?

Servaz się uśmiechnął.

– Podejrzewam, że przez Mahlera.

– Co?

– Z powodu muzyki... Łączy nas muzyka Gustava Mahlera.

Ziegler na chwilę przestała wpatrywać się w drogę, by rzucić mu spojrzenie mówiące, że chyba nie wszyscy wariaci zostali zamknięci w Instytucie. Ale Servaz był już myślami gdzie indziej. Mocniej niż kiedykolwiek czuł, że właśnie ma przed sobą jakąś nową, przerażającą historię.

– To, co próbuje zrobić, jest bardzo sprytne – powiedział Propp chwilę później, gdy zjeżdżali już w kierunku Saint-Martin.

Po obu stronach samochodu przesuwały się rzędy jodeł. Servaz wyglądał przez szybę, pogrążony we własnych myślach.

– Nie wiem, jak to zrobił, ale od razu wyczuł, że w grupie jest jakieś pęknięcie, i próbuje pogłębić podział, usiłując zyskać sympatię jednego z jej członków.

Servaz gwałtownie się odwrócił i spojrzał psychologowi w oczy.

– „Zyskać sympatię jednego z jej członków” – powtórzył. – Pięknie powiedziane. Do czego pan zmierza, Propp? Sądzi pan, że zapomniałem, kim on jest?

– Nie to miałem na myśli, komendancie – zareagował psycholog zmieszany.

– Ma pan słuszność, doktorze – dołączył się Confiant. – Musimy nadal działać jednomyślnie i opracować wreszcie spójną i wiarygodną strategię śledztwa.

Słowa sędziego podziały na Ziegler i Servaza jak płachta na byka. Policjant poczuł, że znowu ogarnia go gniew.

– „Jednomyślnie”, mówi pan? Dwukrotnie podważył pan wartość naszych działań wobec osoby trzeciej. To jest pana zdaniem *jednomyślność*? Sądziłem, że z zasady nie wtrąca się pan w działania policji.

Confiant wytrzymał wzrok Servaza bez mrugnięcia okiem.

– Jeśli widzę, że moi detektywi podejmują tak ewidentnie fałszywy trop, muszę się wtrącić – odparował surowym głosem.

– W takim razie proszę o tym powiedzieć Cathy d’Humières. „Spójna i wiarygodna strategia”. Jaka to strategia pańskim zdaniem, panie sędzio?

– W każdym razie nie taka, która prowadzi do Instytutu.

– Nie mogliśmy tego wiedzieć, zanim tam pojechaliśmy – zaproponowała Irène Ziegler ze spokojem, który zadziwił Servaza.

– W jakiś sposób DNA Hirtmanna wydostało się z Instytutu i znalazło się w tamtym miejscu. To nie jest hipoteza, ale fakt. Gdy się dowiemy, jak to się stało, będziemy już o krok od złapania winowajcy – upierał się policjant.

– Z tym się zgadzam – stwierdził Confiant. – Ktoś w tym zakładzie jest zamieszany w śmierć konia. Ale sam pan powiedział, że niemożliwe, by to był Hirtmann. Z drugiej strony mogliśmy działać bardziej dyskretnie. Jeśli ta sprawa się wyda, samo istnienie Instytutu może stanąć pod znakiem zapytania.

– Być może – powiedział zimno Servaz. – Ale to nie jest mój problem. Dopóki nie zbadamy planów całego systemu, nie odrzucimy żadnej hipotezy. Niech pan zapyta dyrektora więzienia: niezawodny system nie istnieje. Ci ludzie świetnie sobie radzą z wyszukiwaniem luk. Jest też hipoteza, że wśród personelu może być jakiś wspólnik.

Confiant był zdumiony.

– Sądzi pan zatem, że Hirtmann się stamtąd dostał?

– Nie – przyznał Servaz niechętnie – to wydaje mi się coraz bardziej nieprawdopodobne. Ale jest jeszcze zbyt wcześnie, by całkowicie wykluczyć taką możliwość. Musimy sobie jednak odpowiedzieć na nie mniej zasadnicze pytanie: kto mógł zdobyć ślinę Hirtmanna i umieścić ją w kolejce? A przede wszystkim, w *jakim celu*? Bo co do tego, że oba przestępstwa są ze sobą związane, nie ma wątpliwości.

– Istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, żeby to strażnicy zabili aptekarza – oświadczył Espérandieu w sali zebrań, patrząc w otwarty laptop. – Według Delmasa ten, kto to zrobił, jest bardzo inteligentny, sprytny, ma skłonności sadystyczne i trochę się zna na anatomii.

Czytając notatki wyświetlone na monitorze, powtórzył im, jakie wnioski wyciągnął lekarz na podstawie położenia wężła samozaciskowego.

– To by potwierdzało nasze pierwsze wrażenia – powiedziała Ziegler, patrząc na nich. – Grimm umierał długo. I cierpiał.

– Według Delmasa palec został odcięty przed śmiercią.

W sali zapanowało ciężkie milczenie.

– Z całą pewnością powieszenie, nagość, peleryna i ucięty palec są ze sobą powiązane –

oświadczył Propp. – Ta reżyseria ma jakiś sens. Musimy go odkryć. Wszystko wskazuje na to, że plan dojrzewał długo. Trzeba było zgromadzić sprzęt, wybrać czas i miejsce. Nic w tej sprawie nie jest dziełem przypadku. Tak samo jak w zabójstwie konia.

– Kto się zajmuje odtworzeniem drogi taśm? – zapytał Servaz.

– Ja. – Ziegler uniosła pióro. – Laboratorium zidentyfikowało markę i model. Muszę zadzwonić do producenta.

– W porządku. A co z peleryną?

– Nasi ludzie to badają. Trzeba by jeszcze dokładniej rzucić okiem na mieszkanie ofiary – powiedziała Ziegler.

Servaz przypomniał sobie wdowę po Grimmie, sposób, w jaki na niego patrzyła, i blizny na jej nadgarstku.

– Biorę to na siebie. Kto się zajmuje strażnikami?

– Nasi ludzie – odpowiedziała znowu Ziegler.

– Okay. – Zwrócił się do Espérandieu: – Chciałbym, żebyś wrócił do Tuluzy i zebrał maksimum informacji na temat Lombarda. To dość pilne. Musimy się za wszelką cenę dowiedzieć, co go łączyło z aptekarzem. W razie potrzeby poproś o pomoc Samirę. I uruchomcie na policji oficjalne poszukiwania strażników.

Była to aluzja do faktu, że policja i żandarmeria wciąż korzystają z odrębnych baz danych, co oczywiście wszystkim komplikuje pracę. Ale francuska administracja raczej nie słynie z zamiłowania do prostoty. Espérandieu wstał i spojrzął na zegarek. Zamknął laptop.

– Wszystko jest pilne, jak zwykle. Jeśli nie jestem już potrzebny, to spadam.

Servaz rzucił okiem na zegar wiszący na ścianie.

– W porządku. Każdy ma coś do roboty. Ja muszę złożyć komuś wizytę. Być może nadszedł czas, by zadać kilka pytań Chaperonowi.

Diane opuściła Instytut opatulona w puchową kurtkę, golf, spodnie narciarskie i ocieplane buty. Włożyła drugą parę skarpet i posmarowała usta ochronnym sztyftem. Zasypana śniegiem ścieżka zaczynała się na wschód od zabudowań i biegła wśród drzew, mniej więcej równoległe do doliny.

Jej nogi szybko zapadły się w świeżym śniegu, złapała jednak dobry rytm i spokojnie posuwała się naprzód. Wydechana z ust para tworzyła mgiełkę. Musiała zaczerpnąć powietrza. Od czasu rozmowy usłyszanej przez otwór wentylacyjny atmosfera w Instytucie zrobiła się gęsta. Psiakrew! Jak zdoła wytrzymać w tym miejscu przez rok?

Marsz jak zawsze sprzyjał porządkowaniu myśli. Mroźne powietrze pobudzało jej neurony. Im dłużej nad tym myślała, tym mocniej zdawała sobie sprawę, że nic w Instytucie nie dzieje się tak, jak się spodziewała.

I jeszcze cały ten ciąg zdarzeń na zewnątrz, najwyraźniej mających jakiś związek z Instytutem...

Diane czuła się zdezorientowana. Czy gdyby na jej miejscu znalazł się ktoś inny, zauważyłby nocne manewry? Prawdopodobnie nie mają one nic wspólnego z tymi zajściami, ale jeśli jest inaczej? Zastanawiała się, czy nie powiedzieć o nich Xavierowi. Nagle nad jej głową zakrakał kruk. Ptak zerwał się z gałęzi i wzleciał w górę, bijąc skrzydłami. Serce zamarło jej w piersi. Zapadła cisza. Diane znowu pożałowała, że nie ma nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Ale jest

tutaj sama. Na niej i tylko na niej spoczywa ciężar podejmowania właściwych decyzji.

Ścieżka nie prowadziła daleko, ale samotność tej okolicy działała na Diane przytłaczająco. Światło i cisza opadające znad wierzchołków drzew miały w sobie coś złowieszczonego. Wysokie skalne ściany okalające dolinę nigdy nie znikają całkowicie z zasięgu wzroku, tak jak mury więzienia nigdy nie znikają z oczu więźnia. Krajobraz tak bardzo inny od pełnych życia, przestrzennych pejzaży wokół Jeziora Genewskiego. Ścieżka zaczęła biec bardziej stromo w dół i Diane musiała uważać, gdzie stawia nogę. Las stał się gęstszy. Wreszcie Diane wynurzyła się pomiędzy drzew i znalazła się na skraju dużej polany, na której dostrzegła kompleks zabudowań. Od razu je rozpoznała: to ośrodek kolonijny, położony nieco niżej w dolinie, który mijają, jadąc do Instytutu. Trzy budynki wydały jej się tak samo zrujnowane i ponure jak wtedy, gdy widziała je po raz pierwszy. Jeden z nich, położony blisko drzew, był niemal wchłonięty przez las. Dwa pozostałe były całe popękane, pozbawione drzwi, z powybijanymi szybami, betonowymi ścianami zielonymi od mchu i szerniałymi od deszczu. Wiatr wpadał przez otwory w murach, wyśpiewując w jęklowych tonach, to wyższych, to niższych, żałobny lament. Martwe liście, zgniłe i rozmokłe, leżały grubą warstwą pod betonowymi ścianami, częściowo przykryte śniegiem, wydzielając woń roślinnego rozkładu.

Diane powoli weszła do środka przez jeden z otworów. Korytarze i halle na parterze pokrywała ta sama zaraza, która kwitnie na murach ubogich dzielnic: graffiti nawołujące do „pieprzenia policji”, „jebania glin” i domagające się władzy nad tym terytorium, której przecież nikt nie zamierzał kontestować. Prymitywne, wulgarne rysunki. Były wszędzie. Diane wywnioskowała stąd, że w Saint-Martin żyje wielu przyszłych artystów...

Jej kroki odbijały się echem w pustych, akustycznych korytarzach. Prądy mroźnego powietrza owiewały ją i przyprawiały o dreszcze. Oczyma swej bujnej wyobraźni Diane bez trudu widziała biegające wszędzie hordy rozwrzeszczanych dzieciaków i opiekunów krążących wokół nich jak psy pasterskie. Jednak, nie wiedząc dlaczego, nie mogła się pozbyć wrażenia, że nad tymi budynkami unosi się raczej aura przeżytych cierpień i smutków niż wakacyjnych radości. Przypomniała sobie badanie wiarygodności jedenastoletniego chłopca zgwałconego przez kolonijnego wychowawcę, które prowadziła w swoim prywatnym gabinecie w Genewie. Kto jak kto, ale ona doskonale wiedziała, że świat nie wygląda tak jak w powieściach Johanny Spyri. Może dlatego, że znajdowała się w obcym miejscu, a może z powodu ostatnich zdarzeń, Diane nie potrafiła odegnąć od siebie myśli o niezliczonych gwałtach, morderstwach, aktach znęcania się oraz przemocy fizycznej i psychicznej, popełnianych wszędzie, w każdym miejscu i czasie, w każdy boży dzień. Wizja nie do zniesienia, jak patrzenie prosto w słońce. Przypomniała sobie wiersz Baudelaire’a:

*Ale pośród szakalów, wśród panter i smoków,
Pośród małp i skorpionów, zmij i nietoperzy,
Śród tworów, których stado wyje, pełza, bieży,
W ohydnej menażerii naszych grzesznych skoków.**

Nagle zamarła. Z zewnątrz dobiegał odgłos silnika. Jakiś samochód zwolnił i zatrzymał się przed ośrodkiem. Zgrzyt opon na podłożu. Diane stała nieruchomo w hallu, nasłuchując. Wyraźnie usłyszała trzaśnięcie drzwi. Ktoś się zbliżał... Zastanawiała się, czy to nie młodociani

artyści przybyli, by dokończyć dekorowanie swojej Kaplicy Sykstyńskiej. Jeśli tak, nie wydawało jej się, by spotkanie z nimi sam na sam w takim miejscu było dobrym pomysłem. Obróciła się i bezgłośnie ruszyła korytarzem prowadzącym na tyły budynku, gdy nagle zauważyła, że pomyliła rozgałęzienia i odnoga, którą idzie, jest ślepa. Cholera! Jej puls lekko przyspieszył. Kiedy zawróciła, usłyszała kroki przybysza na betonowej posadzce przy wejściu. Podskoczyła. On już tu jest! Nie miała żadnego powodu, by się ukrywać, ale ten fakt nie był w stanie jej przekonać do ujawnienia się. Tym bardziej że druga osoba szła do przodu ostrożnie, a następnie także się zatrzymała i zachowywała bezgłośnie. Diane oparła się o zimną betonową ścianę i czuła, że zaczyna się pocić ze strachu. Komu chciało się zapuszczać w takie miejsce? Ostrożność przybysza skłaniała ją do myślenia, że woli on, by nikt nie odkrył jego obecności w ośrodku. Co by się stało, gdyby Diane nagle się pokazała i powiedziała „cześć”?

Człowiek zawrócił i nagle ruszył w jej kierunku. Diane opanowała panika. Ale nie na długo. Przybysz znowu się zatrzymał, odwrócił i ruszył w przeciwną stronę. Skorzystała z okazji, by wyjrzeć zza rogu, za którym się ukrywała. Widok, który ujrzała, nie dodał jej odwagi: długa czarna peleryna z kapturem powiewała na plecach przybysza jak skrzydła nietoperza. Wykonana ze sztywnego, nieprzemakalnego materiału, który szeleścił przy każdym kroku.

Okrycie było na tyle obszerne, że Diane nie mogła stwierdzić, czy osoba, którą widzi od tyłu, to mężczyzna czy kobieta. W jej zachowaniu było jednak jakieś udawanie, jakiś podstęp i Diane zdrząła, jakby ktoś przeciągnął jej po karku zimnym palcem.

Wykorzystując fakt, że osoba odeszła, Diane wyszła ze swojej kryjówki. Czubkiem buta uderzyła jednak o jakiś metalowy przedmiot, który, poruszony, donośnie zadzwieczał na betonie. Diane z walącym sercem cofnęła się w cień. Usłyszała, że człowiek znowu się zatrzymał.

– Jest tu ktoś?

Mężczyzna... Głos był cienki i wysoki, ale należał do mężczyzny.

Diane miała wrażenie, że jej szyja raz po raz nabrzmięwa, w miarę jak krew pompowana przez oszalałe serce pulsuje w jej tętnicach. Upłynęła minuta.

– JEST TU KTOŚ?

Głos był specyficzny. Miał w sobie jakąś nutę groźby, ale dało się w nim słyszeć także jakby skargę, jakąś delikatność, nadwrażliwość. Diane mimowolnie pomyślała o kocie, który jednocześnie się boi i jeży sierść na karku.

Niezależnie od wszystkiego, nie знаła tego głosu.

Zapanowała cisza, która wydawała się jej trwać wiecznie. Mężczyzna się nie poruszał. Ona też. Tuż obok niej była kałuża, do której z sufitu skapywała woda. W bańce ciszy, otoczonej przytłumionym szelestem opadłych liści na zewnątrz, każdy dźwięk rozbrzmiewał niepokojącym echem. Drogą przejechał jakiś samochód, ale Diane ledwie zwróciła na to uwagę. I nagle drgnęła: z gardła mężczyzny wydobyła się długa, wykrzyczana wysokim, ochrypłym głosem skarga, która jak piłka do squasha odbijała się od ścian.

– Bydlaki, bydlaki, bydlaki! – usłyszała szloch. – Śmieci! Łajdacy! Zdychajcie! Będziecie się smażyć w piekle! Aaaaaaaa!

Diane ledwie ośmielała się oddychać. Miała gęsią skórkę. Mężczyzna wybuchnął płaczem. Usłyszała szelest peleryny, gdy opadł na kolana na posadzkę. Szlochał i jęczał dłuższą chwilę. Diane znowu zaryzykowała i wyjrzała zza rogu, ale jego twarz była niewidoczna pod kapturem. Potem nagle się podniósł i uciekł biegiem. Chwilę później usłyszała trzask drzwi samochodu, odgłos zapalnego silnika i samochód odjechał drogą. Wyszła z kryjówki i usiłowała normalnie

oddychać. Nie wiedziała, co myśleć o scenie, której była świadkiem. Czy ten mężczyzna często tu przyjeżdża? Czy w tym miejscu zdarzyło się coś, co tłumaczy jego zachowanie? Zachowanie, którego bardziej spodziewałaby się po pacjentach Instytutu.

W każdym razie napędził jej piekielnego stracha. Postanowiła wrócić i przygotować sobie coś ciepłego w kuchence, która była do dyspozycji personelu. Może to uspokoi jej nerwy. Gdy wyszła na zewnątrz, okazało się, że wiatr zrobił się jeszcze chłodniejszy. Dygotała na całym ciele. Wiedziała, że nie tylko z zimna.

Servaz poszedł prosto do merostwa. Duży prostokątny plac nad rzeką. Skwer ze sklepem muzycznym, kawiarniane tarasy, a w samym środku spływające z jednego z balkonów flagi Francji i Unii Europejskiej. Servaz zaparkował na niewielkim parkingu między skwerem a rzeką: szeroką, czystą i spienioną, obudowaną betonowym murkiem.

Okrażył klomb i wszedł między samochody zaparkowane przed tarasami kawiarni, po czym wszedł do merostwa. Na pierwszym piętrze dowiedział się, że mera nie ma i z pewnością znajdzie go w zakładzie butelkowania wody mineralnej, którego jest dyrektorem. Sekretarka początkowo nie chciała dać Servazowi numeru jego komórkowego telefonu, a kiedy wreszcie zdołał się dodzwonić, odezwała się poczta głosowa. Uświadomił sobie, że jest głodny. Jeszcze raz spojrzął na zegarek: 15.29. Spędzili w Instytucie ponad pięć godzin.

Po wyjściu z merostwa usiadł na pierwszym z brzegu tarasie, naprzeciwko skweru. Po drugiej stronie ulicy zauważył nastolatków wracających ze szkoły z plecakami. Inni przemykali na skuterach.

Podszedł kelner. Servaz podniósł głowę. Wysoki, ciemnowłosy facet koło trzydziestki z małą bródką i brązowymi oczami, który musiał się podobać kobietom. Servaz zamówił piwo i omlet.

– Od dawna pan się tu kręci? – zapytał.

Kelner spojrzął na niego podejrzliwie. Podejrzliwie, a zarazem z rozbawieniem. Servaz nagle zrozumiał, że facet się zastanawia, czy to nie jest podryw. Najwyraźniej mężczyzna nie pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji.

– Urodziłem się dwadzieścia kilometrów stąd – odpowiedział.

– Samobójcy: czy to panu coś mówi?

Tym razem podejrzliwość wzięła górę nad rozbawieniem.

– Kim pan jest? Dziennikarzem?

Servaz pokazał odznakę.

– Policja kryminalna. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa aptekarza Grimma. Musiał pan coś o tym słyszeć.

Kelner ostrożnie skinął głową.

– A więc? Samobójcy: mówi to panu coś?

– Tyle co wszystkim tutaj...

Na te słowa Servaz poczuł jakby nagłe ukłucie szpilką, które sprawiło, że wyprostował się na krześle.

– To znaczy?

– To dawna historia. Niewiele wiem.

– Niech pan powie to, co pan wie.

Na twarzy kelnera malowało się coraz większe zakłopotanie. Rozglądał się po tarasie, przestępując z nogi na nogę.

– To się stało dawno temu...

– Kiedy?

– Jakies piętnaście lat...

– „To się stało”? Co się stało?

Kelner rzucił mu zdziwione spojrzenie.

– No... Fala samobójstw.

Servaz patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

– Jaka fala samobójstw? – zapytał zdenerwowany. – Niech mi pan wyjaśni, na Boga!

– Kilka samobójstw... Nastolatków... Chłopców i dziewczyn, myślę, że między czternastym a osiemnastym rokiem życia.

– Tutaj, w Saint-Martin?

– Tak. I w wioskach w dolinie.

– Kilka samobójstw? To znaczy ile?

– A skąd ja mam wiedzieć? Miałem wtedy jedenaście lat! Może pięć. Albo sześć. Albo siedem. W każdym razie mniej niż dziesięć.

– I wszystkie wydarzyły się w tym samym czasie? – zapytał Servaz zdezorientowany.

– Nie. W krótkich odstępach. Ale parę miesięcy to jednak trwało.

– Co to znaczy parę miesięcy? Dwa? Trzy? Dwanaście?

– Raczej dwanaście. Tak. Może rok. No nie wiem...

Bystry to on nie jest, niedzielny playboy, pomyślał Servaz. Chyba że robi to celowo.

– Wiadomo, jaki był powód?

– Nie sędzę. Nie.

– Nie zostawili żadnych wiadomości?

Kelner wzruszył ramionami.

– Niech pan posłucha, byłem wtedy smarkaczem. Na pewno spotka pan starszych ludzi, którzy powiedzą panu więcej na ten temat. Ja wiem tylko tyle. Przykro mi.

Servaz patrzył, jak odchodzi między stolikami i znika w kawiarni. Nie próbował go zatrzymać. Zauważył przez szybę, jak rozmawia z korpulentnym mężczyzną, zapewne szefem. Człowiek ten rzucił ponure spojrzenie w jego kierunku, po czym wzruszył ramionami i wrócił do kasy.

Servaz mógł wstać i go przepyttać, ale miał pewność, że to nie tutaj uzyska wiarygodne informacje. Fala samobójstw wśród młodych ludzi przed piętnastu laty... Zaczął intensywnie rozmyślać. Niewiarygodna historia! Co mogło pchnąć kilkoro nastolatków z tej doliny do odebrania sobie życia? A teraz, po piętnastu latach, morderstwo i zabity koń... Czy między tymi dwiema seriami zdarzeń istnieje jakiś związek? Zmrużywszy oczy, Servaz zapatrzył się na szczyty w głębi doliny.

Kiedy Espérandieu pojawił się w korytarzu budynku przy bulwarze Embouchure 26, z jednego z pokoi rozległ się donośny głos:

– Oho, idzie ukochana naszego szefa!

Espérandieu postanowił zignorować zaczepkę. Pujol był mocnym w gębie palantem – te cechy często idą ze sobą w parze. Wysoki, postawny typ o siwiejącej czuprynie i średniowiecznej wizji społeczeństwa. W repertuarze miał dowcipy, które śmieszyły wyłącznie jego alter ego: Ange’a Simeoniego. Dwaj nierozdzielni „tenorzy głupoty”, jak śpiewał Aznavour*. Od czasu, gdy Martin ich ustawił, nigdy nie pozwoliliby sobie na taki wyskok w jego obecności. Ale Martina nie było.

Espérandieu minął ciąg pokoi i wszedł do swojego, który znajdował się na końcu korytarza, tuż obok gabinetu szefa. Zamknął za sobą drzwi. Samira zostawiła na jego biurku wiadomość: „Wprowadziłam strażników do bazy, jak prosiłeś”. Chodziło o bazę osób poszukiwanych. Zmiał kartkę i wrzucił do kosza, włączył na iPhone piosenkę *Family Tree* w wykonaniu TV on the Radio i otworzył pocztę. Martin prosił go o zebranie jak największej ilości informacji na temat Érica Lombarda. Espérandieu wiedział, do kogo się zwrócić. Miał nad resztą kolegów – włączając Martina, ale wyłączając Samirę – tę przewagę, że był nowoczesny. Należał do pokolenia multimediiów, cyberkultury, portali społecznościowych i forów internetowych. A tam, gdy tylko człowiek wie, jak to zrobić, można zawrzeć ciekawe znajomości. Ale nie zależało mu szczególnie, by Martin czy ktokolwiek inny dowiedział się, w jaki sposób zdobywa informacje.

– Przykro mi, nie było go tu dzisiaj.

Zastępca dyrektora zakładu butelkowania wody mineralnej patrzył na Servaza zniecierpliwiony.

– Nie wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

Grubas wzruszył ramionami.

– Nie. Próbowałem się do niego dodzwonić, ale ma wyłączony telefon. Normalnie powinien przyjść do pracy. Próbował pan dzwonić do domu? Może jest chory?

Servaz podziękował i wyszedł z fabryczki, którą otaczał wysoki płot zwieńczony zwojem drutu kolczastego. Otworzył drzwi jeepa i zaczął główkować. Telefonował już na domowy numer Chaperona. Nikt nie odpowiadał. Servaz poczuł, że w jego żołądku rośnie bańka strachu.

Usiadł za kierownicą.

Oczyrna pamięci jeszcze raz zobaczył przerażone spojrzenie Chaperona. Co dokładnie mówił Hirtmann? „Niech pan poprosi szanownego mera, żeby panu opowiedział o samobójstwach”. O czym wie Hirtmann, czego oni nie wiedzą? I skąd, do diabła, o tym wie?

Potem zaświtała mu inna myśl. Servaz chwycił telefon i wystukał numer zapisany w notesie. W słuchawce usłyszał głos kobiety.

– Servaz, policja kryminalna – powiedział. – Czy pani mąż miał jakieś własne pomieszczenie, jakiś gabinet, miejsce, gdzie przechowywał dokumenty?

Po chwili ciszy usłyszał, jak jego rozmówczyni wypuszcza papierosowy dym tuż obok słuchawki.

– Tak.

– Pozwoli pani, że przyjadę i rzucę na to okiem?

– A mam wybór?

Pytanie padło, ale tym razem nie było w nim zjadliwości.

– Może pani odmówić. Wtedy będę musiał wystąpić o rekwizycję sądową i otrzymam ją, a pani brak dobrej woli w sposób nieunikniony zwróci na siebie uwagę sądu, który zajmuje się tą

sprawą.

- Kiedy? – zapytała oschle.
- Natychmiast, jeśli to pani nie przeszkadza.

Bałwan nadal stał przy ulicy, ale dzieci zniknęły. Nie było też kociego trupa. Zaczął zapadać wieczór. Niebo było zaciągnięte ciemnymi, złowieszczymi chmurami, jedynie tuż nad górskimi szczytami widać było różowopomarańczowy pasek światła.

Tak jak poprzednio, wdowa po Grimme czekała na niego na progu drewnianego, pomalowanego na niebiesko domku z papierosem w ręku. Z maską absolutnej obojętności przyklejoną do twarzy. Usunęła się, by go przepuścić.

– Na końcu korytarza, po prawej. Niczego nie dotykałam.

Servaz szedł korytarzem pełnym mebli, obrazów, krzesel, bibelotów i wypchanych zwierząt, które śledziły go wzrokiem. Popchnął ostatnie drzwi po prawej, za biblioteką. Okienne były zamknięte, w pomieszczeniu panował półmrok. Czuć było zaduch. Servaz otworzył okno. Znajdował się w niewielkim gabinecie o powierzchni dziewięciu metrów kwadratowych, którego okna wychodziły na las za domem. Panował tu bałagan nie do opisania. Servaz miał kłopot z utorowaniem sobie drogi na środek pokoju. Zrozumiał, że kiedy Grimm był w domu, musiał tu spędzać większość czasu. Na jednym z mebli stał nawet minitelewizor, a naprzeciw niego stara, zapadnięta sofa zavalona segregatorami, papierowymi teczkami, czasopismami wędkarskimi i myśliwskimi. Był tu także przenośny odtwarzacz stereo i kuchenka mikrofalowa.

Przez kilka sekund stał na środku pomieszczenia i osłupiały przyglądał się rozrzuconym beładnie kartonowym pudełkom, meblom, segregatorom i zakurzonym przedmiotom.

Nora, kryjówka...

Psia buda.

Servaza przeszedł dreszcz. Grimm żył jak pies pod bokiem lodowatej małżonki.

Na ścianach widokówki, kalendarz, plakaty przedstawiające górskie jeziora i rzeki. Na szafach znowu wypchane zwierzęta: wiewiórka, parę sów, dzika kaczka, a nawet żbik. W kącie Servaz zauważył parę turystycznych butów. Na jednym z mebli kilka kołowrotek wędkarskich. Miłośnik przyrody? Taksydermista-amator? Servaz przez chwilę próbował znaleźć się w skórze otęłego mężczyzny zamykającego się w tym pomieszczeniu, za całe towarzystwo mającego te zwierzaki o szklanych, nieruchomych oczach, których blask przebija się przez panujący półmrok. Wyobrażał go sobie, jak przed swoim telewizorkiem napycha się odgrzewanym jedzeniem, a potem zasypia na sofie. Mężczyzna wygnany na koniec korytarza przez kobietę-piłę, którą poślubił przed trzydziestu laty. Postanowił przejrzeć szuflady. Metodycznie. W pierwszej znalazł pióra, faktury, listy leków, wyciągi bankowe, druki potwierdzenia odbioru, wyciągi z kart kredytowych. W następnej – lornetkę, karty do gry w oryginalnym opakowaniu, kilka map turystycznych.

Następnie, w głębi szuflady, jego palce trafiły na klucze. Wyjął je, żeby przyjrzeć się im w świetle: pęk składał się z jednego dużego klucza do zamka patentowego i dwóch mniejszych do kłódek lub zasuwek. Servaz schował klucze do kieszeni.

W trzeciej szufladzie zestaw muszek wędkarskich, haczyki, żyłka – i zdjęcie.

Grimm, Chaperon i dwie inne osoby.

Fotografia była stara: Grimm był niemal szczupły, a Chaperon młodszy o co najmniej

piętnaście lat. Czterej mężczyźni siedzieli na dużych kamieniach wokół ogniska i uśmiechali się do obiektywu. Za nimi, po lewej, polanka otoczona lasem złożonym z wysokich drzew iglastych i niższych, liściastych w kolorach jesieni. Po prawej łąka schodząca łagodnie do górskiego jeziora. Zdjęcie zostało zrobione pod koniec dnia: długie cienie drzew kładły się na łące w kierunku jeziora. Spirala dymu wznoszącego się z ogniska widoczna w wieczornym świetle. Po lewej stronie Servaz zauważył dwa namioty.

Sielankowa atmosfera.

Wrażenie prostego szczęścia i braterstwa. Mężczyźni, którzy cieszą się spotkaniem i wspólnym biwakiem w górach, ostatnim przed zimą.

Servaz zrozumiał, w jaki sposób Grimm mógł znieść to życie rekluzu u boku małżonki, która gardziła nim i upokarzała go: dzięki tym chwilom ucieczki na łono przyrody w gronie przyjaciół. Zrozumiał swoją pomyłkę: to pomieszczenie nie było więzieniem ani budą. Przeciwnie, było tunelem prowadzącym do zewnętrznego świata. Wypchane zwierzęta, plakaty, sprzęt wędkarski, czasopisma: wszystko kierowało jego myśl ku tym chwilom absolutnej wolności, które musiały być osią jego życia.

Czterej mężczyźni na zdjęciu mieli na sobie kraciaste koszule, swetry i spodnie, których krój wskazywał na modę lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Jeden z nich trzymał w ręku manierkę, która niekoniecznie zawierała wodę; inny spoglądał w obiektyw z nieobecny półuśmiechem, z miną, jakby był gdzie indziej, jak gdyby ta mała uroczystość go nie dotyczyła.

Servaz przyjrzał się dwóm pozostałym turystom. Jeden był olbrzymim, wesołym brodaczem, drugi dość szczupłym mężczyzną o bujnej czuprynie, w grubych okularach.

Porównał jezioro na zdjęciu z tym, które przedstawiał wiszący na ścianie plakat, ale nie mógł ustalić, czy to jest to samo jezioro.

Odwrócił fotografię.

Jezioro Oule, październik 1993.

Wyraźne, dokładne, ścieśnione pismo.

Nie pomylił się. Zdjęcie ma piętnaście lat. Mężczyźni byli wtedy mniej więcej w jego wieku. Zbliżali się do czterdziestki. Czy mieli jeszcze marzenia, czy już robili bilans swojego życia? Czy był to bilans pozytywny czy negatywny? Na zdjęciu są uśmiechnięci, ich oczy lśnią w pastelowym świetle jesiennego wieczoru, rysy twarzy rzeźbią głębokie cienie.

Ale kogo naprawdę przedstawia fotografia? Na zdjęciu każdy z nich, albo prawie każdy, się uśmiecha. Wszyscy grają, ulegając wpływowi wszechobecnej medialnej miernoty, pomyślał Servaz. Wielu wręcz odgrywa całe swoje życie, jakby znajdowali się na scenie. Pozory i kicz stały się regułą.

Zafascynowany, intensywnie wpatrywał się w fotografię. Czy jest istotna? Niejasne przecucie, które jednak dobrze znał, mówiło mu, że tak.

Po chwili wahania wsunął zdjęcie do kieszeni.

W tym samym momencie, w którym to zrobił, poczuł, że o czymś zapomniał. Było to nagłe, silne uczucie. Wrażenie, jakby jego mózg nieświadomie zarejestrował jakiś szczegół, który uruchomił wewnętrzny system alarmowy.

Wyjął fotografię. Przyjrzał jej się dokładnie. Czterech uśmiechniętych mężczyzn. Pastelowy blask wieczoru. Jezioro. Jesień. Refleksy światła tańczące na wodzie. Cień góry kładący się na jeziorze. Nie, to nie to. Ale przecucie nie ustępowało. Wyraźne. Niezaprzeczalne. Nieświadomie coś zauważył.

I nagle zrozumiał.

Dłonie.

U trzech spośród czterech osób było widać prawą dłoń: na palcu serdecznym każdej z nich duży złoty sygnet.

Zdjęcie zostało zrobione ze zbyt dużej odległości, by mieć pewność, ale Servaz przysięgłby, że każdy z mężczyzn ma na palcu taki sam pierścień.

Taki, jaki musiał się znajdować na odciętym palcu Grimma.

Wyszedł z pokoju. Dom wypełniała muzyka. Jazz. Servaz cofnął się zapchanym korytarzem w stronę źródła dźwięków i znalazł się w równie przeładowanym salonie. Wdowa siedziała w fotelu. Czytała. Obrzuciła go w spojrzeniem przesyconym wrogością. Servaz zadzwonił kluczem.

– Wie pani, do czego one są?

Zawahała się przez moment, jakby się zastanawiała, co ryzykuje, jeśli nie odpowie.

– Mamy domek w dolinie Sospel – odpowiedziała wreszcie. – Dziesięć kilometrów stąd, na południe od Saint-Martin. Niedaleko hiszpańskiej granicy. Ale jeździliśmy tam... a raczej mój mąż jeździł tylko na weekendy, od wiosny.

– Pani mąż. A pani?

– To jest ponure miejsce. Nigdy tam nie bywałam. Mąż jeździł tam, żeby pobyć sam, odpoczywać, medytować, łowić ryby.

Odpoczywać, pomyślał Servaz. Od kiedy to właściciel apteki musi odpoczywać? Przecież całą robotę odwalają za niego pracownicy. Ale potem pomyślał, że jest niesprawiedliwy: co on w gruncie rzeczy wie o zawodzie aptekarza? Jednego był pewien: musi pojechać do tego domku.

Espérandieu otrzymał odpowiedź na swoje pytanie po trzydziestu ośmiu minutach. Delikatny deszcz spływał strużkami po szybach. Nad Tuluzą zapadła już ciemność. Rozmyte światła za mokrym oknem wyglądały jak motywy z wygaszacza ekranu.

Vincent wysłał następującą wiadomość:

vincent.esperandieu@hotmail.com do kleim162@lelatin. fr, 16.33.54:

[Czy wiesz coś na temat Érica Lombarda?]

kleim162@lelatin.fr do vincent.esperandieu@hotmail.com, 17.12.44

[A co chcesz wiedzieć?]

Espérandieu się uśmiechnął i wystukał następującą wiadomość:

[Czy są jakieś trupy w szafie, zatuszowane skandale, procesy toczące się we Francji lub za granicą przeciwko grupie Lombarda. Czy na jego temat krążyły jakieś plotki. Jakiegokolwiek,

nieżyczliwe.]

kleim162@lematin.fr do vincent.esperandieu@hotmail.com, 17.25.06:
[Same takie rzeczy! Możesz włączyć msn?]

Cień góry zasłonił dolinę i Servaz włączył długie światła. Droga była pusta. Nikt nie zapuszczał się na spacer do ślepej doliny o tej porze roku. Dwadzieścia willi i domków stojących wzdłuż brzegu na długości dwunastu kilometrów to letnie rezydencje, których okiennice otwierają się od maja do września i z rzadka na Boże Narodzenie.

Nagle za szerokim zakrętem w blasku świateł samochodu Servaz zobaczył wylot drogi, o której mówiła wdowa. Zwolnił i wjechał jeepem w leśną dróżkę. Przywarł do kierownicy i z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę prowadził samochód, podskakując na wybojach. Zapadł już zmrok i sylwetki drzew ledwie się odcinały od niewiele jaśniejszego od nich nieba. Przejechał jeszcze kilkaset metrów i wreszcie wyłoniła się przed nim willa lub raczej chatka.

Servaz wyłączył silnik i nie zgasiwszy świateł, wysiadł z samochodu. Ciemność wypełnił natychmiast huk płynącej tuż obok rzeki. Rozejrzył się dookoła, ale w promieniu kilku kilometrów nie zauważył najmniejszego światła.

Podszedł do chatki w blasku samochodowych reflektorów, który obejmował drzewa. Cień, który rzucał, sprawiał wrażenie, jakby szedł przed nim czarny olbrzym. Wspiął się po schodach na werandę i wyjął z kieszeni pęk kluczy. W drzwiach były akurat trzy zamki – główny, do którego pasował największy klucz, i dwa mniejsze, jeden powyżej, drugi poniżej. Trwało chwilę, zanim dopasował małe klucze: oba miały tę samą wielkość, a do tego górny zamek przykręcony był do góry nogami. Wreszcie pchnął drzwi, które ustąpiły z oporem, skrzypiąc. Servaz po omacku odszukał włącznik, który znajdował się na lewo od futryny. Nacisnął i pod sufitem rozbłysło światło.

Przez chwilę stał nieruchomo na progu, sparaliżowany tym, co zobaczył.

Wyposażenie chatki ograniczało się do blatu po prawej stronie, za którym być może stała kuchenka, wersalki w głębi pomieszczenia oraz drewnianego stołu z dwoma krzesłami tuż przed nim. Na ścianie po lewej stronie wisiała peleryna z czarnego, nieprzemakalnego materiału. Servaz znalazł się bliżej serca zagadki...

Espérandieu otworzył komunikator internetowy. Po trzech minutach w prawym dolnym rogu ekranu zauważył wiadomość z ikonką przedstawiającą węszącego pieska z komiksu:

kleim162 właśnie się podłączył

Trzy sekundy później pojawiło się okno dialogowe z tą samą ikonką.

kleim162 pisze:

dlaczego interesuje cię Éric lombard?

vince.esp pisze:

sorry, na razie nie mogę powiedzieć

kleim162 pisze:

zanim się włączyłem, trochę poszperałem. Zabili jego konia. Wiadomość przedrukowało wiele gazet. To ma jakiś związek?

vince.esp pisze:

no comment

kleim162 pisze:

vince, jesteś w brygadzie kryminalnej. Nie mów mi, że zlecili wam śledztwo w sprawie śmierci konia!!!

vince.esp pisze:

pomożesz mi czy nie?

kleim162 pisze:

a co ja z tego będę miał?

vince.esp pisze:

przywiązanie przyjaciela

kleim162 pisze:

o pieśzotkach pogadamy innym razem. A poza tym?

vince.esp pisze:

zostaniesz jako pierwszy poinformowany o wynikach śledztwa

kleim162 pisze:

a więc jest śledztwo. To wszystko?

vince.esp pisze:

jako pierwszy się dowiesz, czy w tej aferze chodzi o coś poważniejszego

kleim162 pisze:

OK szukam

Espérandieu uśmiechnął się i zamknął komunikator.

„Kleim162” to był nick dziennikarza śledczego pracującego jako wolny strzelec dla kilku dużych tygodników. Prawdziwy szperacz. Uwielbiający pchać się tam, gdzie go nie zaproszono. Espérandieu poznał go w dość szczególnych okolicznościach i nigdy nikomu – nawet Servazowi – nie mówił o tym „kontakcie”. Oficjalnie był taki jak pozostali członkowie brygady: miał nieufny stosunek do prasy. Ale w tajemnicy uważał, że podobnie jak politycy, policja może wiele zyskać, mając jednego lub więcej dziennikarzy na swoich usługach.

Siedząc za kierownicą jeepa, Servaz wystukał numer komórki Ziegler. Trafił na pocztę głosową

i się rozłączył. Zadzwoił do Espérandieu.

– Znalazłem zdjęcie Grimma – powiedział. – Chciałbym, żebyś nad nim popracował.

Brygada miała program do analizy zdjęć, którym potrafili się posługiwać tylko Espérandieu i Samira.

– Jakie zdjęcie? Cyfrowe? Analogowe?

– Papierowe. Stara odbitka. Jest na nim grupa mężczyzn. W tym Grimm i Chaperon, mer Saint-Martin. Wygląda na to, że wszyscy mają na rękach takie same sygnety. Słabo widać, ale coś jest na nich wygrawerowane. Chciałbym, żebyś zobaczył, co to jest.

– Myślisz, że może chodzić o jakiś klub typu rotarianie lub masoni?

– Nie wiem, ale...

– ...odcięty palec serdeczny – przypomniał sobie nagle Espérandieu.

– Otóż to.

– Dobrze, możesz mi zeskanować to zdjęcie i przesłać z żandarmerii? Przyjrzę mu się. Ale program służy przede wszystkim do obróbki fotografii cyfrowej. Jest mniej skuteczny w przypadku skanów starych zdjęć.

Servaz mu podziękował. Miał już ruszać, gdy odezwał się dzwonek telefonu. To była Ziegler.

– Dzwonił pan do mnie?

– Znalazłem coś – powiedział bez wstępów. – W chatce Grimma.

– W chatce?!

– Wdowa mi o niej powiedziała. Znalazłem klucze w biurku Grimma. Ta kobieta najwyraźniej nigdy tu nie bywała. Musi pani to zobaczyć.

– O czym pan mówi?

– Peleryna... Podobna do tej, którą znaleziono na ciele Grimma. I buty. Jest późno, zamknę drzwi i dam klucze Maillardowi. Chcę, żeby technicy przeczesali to miejsce jutro rano, jak najwcześniej. – Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Wokół jeepa wył wiatr. – A jak tam pani działka?

– Te taśmy to współczesny model – odpowiedziała. – Produkowany masowo i sprzedawany na całym południu i wschodzie Francji. Na każdej opasce jest numer serii. Nasi ludzie postarają się dotrzeć do fabryki i znaleźć sklep, w którym zostały sprzedane.

Servaz przez chwilę się zamyślił. W świetle reflektorów zobaczył puchacza, który usiadł na gałęzi. Ptak wpatrywał się w niego. Servaz przypomniał sobie spojrzenie Hirtmanna.

– Gdybyśmy mieli sklep, może dałoby się skonfiskować filmy z monitoringu – powiedział.

Ziegler odpowiedziała sceptycznym tonem:

– Jeżeli jeszcze je mają, bo prawo nakazuje je niszczyć po miesiącu. Taśmy musiałyby być kupione niedawno.

Servaz był niemal pewien, że ten, kto zabił Grimma, przygotowywał swoją zbrodnię od miesięcy. Kupił taśmy w ostatniej chwili, czy miał je już od dłuższego czasu?

– W porządku – powiedział. – Do jutra.

Ruszył leśną dróżką w kierunku głównej drogi. Ciemne chmury przesunęły się na tle księżyca. Dolina skąpana była w mroku. Niebo i góry tworzyły jedną czarną plamę. Servaz zatrzymał

samochód, rozejrzał się w prawo i w lewo i wjechał na drogę.

Odruchowo spojrzął we wsteczne lusterko.

Na sekundę jego serce przestało bić: zobaczył, jak za nim zapalają się światła samochodu. Auto stało w ciemności przy drodze, kawałek za miejscem, w którym Servaz wyjechał z lasu. Samochód powoli opuścił szerokie pobocze i pojechał za nim. Sądząc po wielkości i rozmieszczeniu świateł, musiała to być terenówka. Servaz poczuł, jak włos jeży mu się na karku. Najwyraźniej auto znalazło się tam ze względu na niego. Jaki mógł być inny powód, żeby stało w takim miejscu, w głębi opustoszałej doliny? Zastanawiał się, kto może siedzieć za kierownicą. Ludzie naśłani przez Lombarda? Ale jeżeli to oni go śledzą, po co mieliby się ujawniać w taki sposób?

Poczuł, że ogarnia go zdenerwowanie.

Uświadomił sobie, że trochę za mocno ściska kierownicę, i wziął głęboki oddech. Tylko spokojnie. Bez paniki. Masz kogoś na ogonie – i co z tego? Pomyślał jednak, że to może być morderca, i nagle zaczęło go opanowywać uczucie podobne do strachu. Otwierając drzwi chatki, niebezpiecznie zbliżył się do prawdy... Ktoś uznał, że stał się niewygodny. Znowu spojrzął w lusterko. Właśnie wyjechał z głębokiego łuku. Światła prześladowcy zniknęły za wysokimi drzewami rosnącymi wzdłuż zakrętu.

Potem znów się wyłoniły. Serce podskoczyło Servazowi w piersi, gdy kabinę jeepa zalał oślepiający blask. Długie światła! Servaz zdał sobie sprawę, że jest mokry od potu. Zmrużył oczy jak zwierzę, które w nocy znalazło się nagle w zasięgu samochodowych reflektorów, jak puchacz, którego widział przed chwilą. Jego serce waliło jak oszalałe.

Terenówka go doganiała. Była tuż-tuż, niemal przyklejona do tyłu jeepa. Blask mocnych reflektorów zalewał wnętrze samochodu Servaza. Migocząca wiązka białego światła wydobywała z ciemności każdy szczegół tablicy rozdzielczej.

Servaz nacisnął pedał gazu. Lęk przed prędkością ustąpił wobec strachu przed prześladowcą wiszącym mu na ogonie. Samochód został w tyle. Policjant próbował głęboko oddychać, ale serce tłukło mu się w piersi jak przerażony ptak, a pot strumieniami lał się po twarzy. Za każdym razem, gdy patrzył w lusterko, w jego twarz uderzała eksplozja światła wycelowanego w tylną szybę i czarne punkciki tańczyły mu przed oczami.

Nagle terenówka przyspieszyła. Cholera, to wariat! Zaraz wjedzie mi w tyłek!

Zanim zdążył cokolwiek zrobić, czarny samochód wyprzedził go. W chwili czystej paniki Servaz sądził, że tamten zamierza zepchnąć go z drogi, ale na prostej terenówka jeszcze przyspieszyła i oddaliła się. Jej tylne reflektory szybko rozplynęły się w ciemności. Servaz zobaczył zapalające się światła stopu, gdy auto przyhamowało przed następnym zakrętem. Wreszcie zniknęło. Servaz zwolnił i zatrzymał się na wyboistym poboczu. Schylił się do schowka po broń i na chwiejnych nogach wyszedł z samochodu. Zimne nocne powietrze dobrze mu zrobiło. Chciał sprawdzić magazynek pistoletu, ale ręka drżała mu tak mocno, że zajęło mu to kilkanaście sekund.

Ostrzeżenie było tak jasne, jak ciemna była noc: Ktoś w dolinie nie chce, by posuwał się dalej w tym śledztwie. Ktoś nie chce, by odkrył prawdę.

Ale co to za prawda?

* Charles Baudelaire, *Do czytelnika*, w: *Kwiaty zła*, przeł. Antoni Lange, opr. St. Jastrun, PIW, Warszawa 1970, s. 28.

* *Ténors de la bêtise*, fragment piosenki Charles'a Aznavoura *Comme il dissent* (przyp. tłum.).

Następnego dnia Ziegler i Servaz wybrali się na pogrzeb Grimma. Uroczystość odbywała się na małym cmentarzu położonym na wzniesieniu w otoczeniu drzew.

Czarne jodły za plecami zgromadzonych wyglądały, jakby także były pogrążone w żałobie. Gałęzie poruszane wiatrem mruczały swoją modlitwę. Korony drzew i dół wykopany w ziemi odcinały się na tle śniegu. Poniżej, w dolinie, rozciągało się miasto. Servaz pomyślał, że w takim miejscu człowiek rzeczywiście czuje się bliżej nieba.

Nie wyspał się. Kilka razy budził się nagle, z czołem mokrym od potu. Nie potrafił przestać myśleć o wydarzeniach minionego wieczoru. Nie zdążył jeszcze opowiedzieć o nich Irène. Miał dziwną obawę, że gdy się przyzna, odstawią go na bok i przełożą śledztwo komu innemu. Czy są w niebezpieczeństwie? W każdym razie ta dolina nie lubi obcych, którzy przyjeżdżają tu węszyć.

Rozejrzał się dookoła po wzgórzu, żeby się trochę uspokoić. Przyjemnie musi być latem przyjść na ten zielony pagórek, który przepływa nad doliną jak dziób statku albo sterowiec. Wzgórek zaokrąglony i łagodny jak ciało kobiety. Nawet góry wyglądały stąd mniej złowieszczo, a czas zdawał się błogo stać w miejscu. Gdy szli w stronę wyjścia z cmentarza, Ziegler szturchnęła go łokciem. Spojrzał we wskazanym kierunku: Chaperon znów się pojawił. Rozmawiał z Cathy d'Humières i innymi oficjelami. Nagle w kieszeni Servaza zabrzączał telefon. Odebrał. Ktoś z głównej dyrekcji. Servaz natychmiast rozpoznał arystokratyczny akcent i ton bywalca, brzmiący jakby gość co rano płucał gardło melasą.

– Na jakim etapie jest śledztwo w sprawie konia?

– A kto pyta?

– Biuro dyrektora generalnego dokładnie przygląda się tej sprawie, komendancie.

– Czy wiedzą, że zamordowano człowieka?

– Tak, aptekarza Grimma, jesteśmy na bieżąco – odpowiedział biurokrata, jakby miał całe akta w małym palcu, co jednak było mało prawdopodobne.

– Rozumie pan więc, że sprawa konia pana Lombarda nie jest dla mnie w tej chwili priorytetowa.

– Komendancie, Catherine d'Humières zapewniała mnie, że jest pan dobrym członkiem drużyny.

Servaz poczuł, że rośnie mu ciśnienie. Na pewno lepszym niż ty, pomyślał. Przynajmniej nie spędzam czasu na ściskaniu dłoni w korytarzach, obgadywaniu koleżków i udawaniu, że znam akta, których jeszcze nie skompletowano.

– Ma pan jakiś trop?

– Żadnego.

– A ci dwaj strażnicy?

No proszę, nawet się wysilił i przeczytał sprawozdania. Na pewno na kolanie, tuż przed tym telefonem, jak uczeń gimnazjum, który odwała zadanie domowe tuż przed lekcjami.

– To nie oni.

– Skąd ta pewność?

Bo spędzam czas wśród ofiar i morderców, kiedy ty pierdzisz w stołek.

– To nie ten profil. Jeśli chce się pan o tym przekonać osobiście, zapraszam, by przyjechał pan tutaj i przyłączył się do nas.

– Chwileczkę, komendancie, spokojnie. Nikt nie kwestionuje pańskich kompetencji – przyhamował go rozmówca. – Niech pan prowadzi śledztwo według własnego rozeznania, proszę tylko nie zapominać, że chcemy wiedzieć, kto zabił konia.

Przekaz był jasny: zawsze można zamordować aptekarza i powiesić go rozebranego do naga na moście – nie wolno jednak obcinać głów koniom najpotężniejszych ludzi we Francji.

– W porządku – rzucił Servaz.

– Na razie, komendancie – powiedział mężczyzna i odłożył słuchawkę.

Servaz wyobraził go sobie, jak siedzi za biurkiem, podśmiewając się ze swoich drobnych przedstawicieli z prowincji, w ładnym garniturze i ślicznym krawacie, spryskany drogą wodą kolońską, i redaguje jakąś nieistotną notatkę pełną nadętych słów, a potem wstaje, by opróżnić pęcherz, podziwia swoją twarz w łazienkowym lustrze i schodzi do stołówki, by dołączyć do podobnych sobie urzędasów.

– Piękna ceremonia i piękne miejsce – odezwał się ktoś obok niego.

Odwrocił głowę. Gabriel Saint-Cyr uśmiechał się do niego. Servaz ucisnął wyciągniętą rękę. Sędzia odwzajemnił uścisk szczerze i bezceremonialnie, bez upokarzającego paternalizmu.

– Właśnie mówiłem sobie, że to świetne miejsce na spędzenie wieczności – powiedział komendant z uśmiechem.

Emerytowany sędzia skinął głową.

– To właśnie zamierzam zrobić. Prawdopodobnie pana wyprzedzę, ale jeśli tylko pan zechce, sądzę, że jako nieboszczyk będzie pan dobrym towarzyszem. Moje miejsce jest tam.

Saint-Cyr wskazał palcem róg cmentarza. Servaz wybuchnął śmiechem i zapalił papierosa.

– Skąd pan wie?

– O czym?

– Że jako nieboszczyk będę dobrym towarzyszem.

– W moim wieku i z moim doświadczeniem człowiek szybko wyrabia sobie właściwe zdanie o innych.

– I nigdy się nie myli?

– Rzadko. A poza tym ufam osądowi Catherine.

– Pytała pana o znak?

Teraz Saint-Cyr się roześmiał.

– Zodiaku? To pierwsza rzecz, którą zrobiła, kiedy nas sobie przedstawiła! Moja rodzina ma tu grobowiec – dodał. – Trzy lata temu wykupiłem miejsce na drugim końcu cmentarza, najdalej jak się dało.

– Dlaczego?

– Myśl, że przez całą wieczność musiałbym znosić sąsiedztwo niektórych osób, przerażała mnie.

– Znał pan Grimma?

– Czyżby zdecydował się pan skorzystać z mojej propozycji?

– Może.

– Bardzo skryty gość. Powinien pan zapytać Chaperona. – Saint-Cyr wskazał oddalającego się mera. – Dobrze się znali.

Servaz przypomniał sobie słowa Hirtmanna.

– Tak mi się właśnie zdawało – powiedział. – Grimm, Chaperon i Perrault, prawda? Partyjka pokera w sobotni wieczór.

– Tak. I Mourrenx. Niezmienny kwartet od czterdziestu lat. Nierozłączni od czasów liceum...

Servaz pomyślał o zdjęciu, które miał w kieszeni marynarki. Pokazał je sędziemu.

– To oni?

Gabriel Saint-Cyr wyjął okulary i włożył je na nos, po czym spojrzał na zdjęcie. Gdy dotykał grupy mężczyzn na fotografii, Servaz zauważył, że palec sędziego jest zdeformowany przez reumatyzm i trzęsie się. Parkinson.

– Tak. To Grimm... A to Chaperon... – Sędzia przesunął palec. – Ten gość to Perrault. – Wskazał na wysokiego, szczupłego człowieka z gęstą czupryną i w grubych okularach. – Ma sklep ze sprzętem sportowym w Saint-Martin. Jest też przewodnikiem wysokogórskim. – Palec sędziego zatrzymał się następnie na brodatym olbrzymie, który w jesiennym świetle wznosił toast menażką, uśmiechając się do obiektywu. – Gilbert Mourrenx. Pracował w fabryce celulozy w Saint-Gaudens. Zmarł dwa lata temu na raka żołądka.

– Mówi pan, że ta czwórka była nierozłączna?

– Owszem – odparł Saint-Cyr, chowając okulary. – Nierozłączna, tak... Można tak powiedzieć.

Servaz wpatrywał się w sędziego. Ten specyficzny ton... Starszy pan nie spuszczał z niego wzroku. Z miną jak gdyby nigdy nic, przekazywał mu jakąś wiadomość.

– Było coś... Jakież historie z nimi związane?

Spojrzenie sędziego było tak samo intensywne jak spojrzenie Servaza. Policjant wstrzymał oddech.

– Raczej plotki. I raz, jakieś trzydzieści lat temu, jedna skarga. Złożona przez rodzinę z Saint-Martin. Skromni ludzie: ojciec pracował jako robotnik w elektrowni, matka była bezrobotna.

Elektrownia: wszystkie zmysły Servaza natychmiast znalazły się w stanie gotowości.

– Skarga na nich?

– Tak. Chodziło o szantaż. Czy coś w tym stylu... – Stary sędzia zmarszczył brwi, próbując zebrać wspomnienia. – Jeśli mnie pamięć nie myli, chodziło o zdjęcia z polaroidu. Zdjęcia córki tych biednych ludzi, siedemnastoletniej dziewczyny. Była na nich rozebrana, widać było, że jest pijana. A na jednej z fotografii była... z kilkoma mężczyznami, tak sędzę. Zdaje się, że ci młodzi ludzie grozili, że puszczą te zdjęcia w obieg, jeśli dziewczyna nie zrobi dla nich różnych rzeczy... I dla ich kolegów. Ale w końcu nie wytrzymała i powiedziała o wszystkim rodzicom.

– I co było dalej?

– Nic. Rodzice wycofali skargę, zanim jeszcze żandarmeria zdążyła przesłuchać tych

czterech młodzieńców. Na pewno dogadali się po cichu. Wycofanie skargi w zamian za odstąpienie od szantażu. Rodzicom z całą pewnością nie uśmiechało się, żeby te zdjęcia zaczęły krążyć.

– Dziwne. Maillard mi o tym nie wspominał.

– Możliwe, że nigdy nie słyszał o tej sprawie. Jeszcze wtedy nie pracował.

– Ale pan tak.

– Tak.

– Uwierzył im pan?

Saint-Cyr skrzywił się sceptycznie.

– Jest pan gliną. Wie pan tak samo dobrze jak ja, że każdy ma jakieś tajemnice. Zazwyczaj niezbyt chwalebne. Dlaczego ci ludzie mieliby kłamać?

– Żeby wyciągnąć pieniądze od rodzin tych czterech chłopaków.

– I żeby dobre imię ich córki było na zawsze zszargane? Nie. Znałem ojca. Najmował się u mnie do drobnych prac, gdy był na bezrobociu. Prawy człowiek, stara szkoła. To nie była rodzina, która posunęłaby się do czegoś takiego.

Servaz znowu pomyślał o chatce i o tym, co w niej znalazł.

– Powiedział pan, że każdy ma jakieś tajemnice.

Saint-Cyr spojrzał na niego uważnie.

– Tak. Jaka jest pana tajemnica, komendancie?

Servaz posłał mu enigmatyczny uśmiech.

– Samobójstwa – podjął. – Mówi to panu coś?

Tym razem wyczytał w oczach sędziego autentyczne zdumienie.

– Kto panu o tym mówił?

– Nie uwierzy mi pan, jeśli panu powiem.

– Niech pan powie mimo wszystko.

– Julian Hirtmann.

Gabriel Saint-Cyr wpatrywał się w niego dłuższą chwilę. Wyglądał na zdezorientowanego.

– Mówi pan poważnie?

– Absolutnie.

Przez moment sędzia milczał.

– Co pan robi dziś wieczorem koło dwudziestej? – zapytał.

– Nie mam planów.

– Skoro tak, niech pan przyjdzie na kolację. Jeśli wierzyć moim gościom, jestem prawdziwym mistrzem kuchni. Mieszkam w zaułku du Torrent pod szóstką. Na pewno się pan nie zgubi: to młyn, na samym końcu ulicy, tuż pod lasem. Do zobaczenia wieczorem.

– Mam nadzieję, że u pana wszystko w porządku – powiedział Servaz.

Chaperon odwrócił się zakłopotany. Trzymał już rękę na klamce samochodu. Wyglądał na napiętego i zmartwionego. Gdy zobaczył Servaza, poczerwieniał.

– Dlaczego pan mnie o to pyta?

– Wczoraj przez cały dzień próbowałem pana złapać – odpowiedział Servaz, uśmiechając się

przyjaźnie. – Nie udało mi się.

Przez ułamek sekundy na twarzy mera Saint-Martin widać było złość. Najwyraźniej starał się nie stracić panowania nad sobą, ale bezskutecznie.

– Śmierć Gilles’a mną wstrząsnęła. Potworna śmierć... Taka zawziętość... To straszne. Musiałem odpocząć, pobyć sam. Wybrałem się na wycieczkę w góry.

– Poszedł pan sam w góry? I nie bał się pan?

Pytanie sprawiło, że mer drgnął.

– Dlaczego miałbym się bać?

Przyglądając się temu niewysokiemu, opalonemu mężczyźnie, Servaz nabrał pewności, że mer nie tylko się boi, ale wręcz jest przerażony. Zastanawiał się, czy od razu nie zapytać go o samobójstwa, ale uznał, że lepiej nie wyklądać wszystkich kart za jednym zamachem. Po kolacji u Saint-Cyra będzie wiedział więcej. Sięgnął jednak do kieszeni po zdjęcie.

– Czy to zdjęcie coś panu mówi?

– Gdzie pan to znalazł?

– U Grimma.

– To stare zdjęcie – skomentował Chaperon, unikając jego wzroku.

– Tak, październik 1993 – uściślił Servaz.

Chaperon pomachał prawą ręką, jakby chciał zaznaczyć, że tamte czasy to odległa przeszłość. Przez krótką chwilę opalona dłoń, poznaczona na wierzchu małymi brązowymi plamkami, przesuwiała się Servazowi przed oczami. Policjant zamarł ze zdumienia. Mer nie miał na ręce sygnetu, ale musiał go zdjąć całkiem niedawno: wokół palca serdecznego widać było jaśniejszy pasek.

W jednej chwili do głowy zaczęły mu napływać tysiące pytań.

Grimmowi odcięto palec. Chaperon zdjął swój sygnet, ten sam, który widać na dłoniach czworga mężczyzn na zdjęciu. Co to znaczy? Najwyraźniej morderca wie. Czy dwie pozostałe osoby na fotografii także mają coś wspólnego ze śmiercią Grimma? Jeśli tak, to jak to się dzieje, że Hirtmann jest na bieżąco?

– Dobrze ich pan znał? – zapytał Servaz.

– Tak, dosyć dobrze. Choć z Perraultem częściej widywałem się w tamtych czasach niż teraz.

– To byli też pana partnerzy od pokera.

– Tak. I od wycieczek górskich. Ale nie rozumiem, co...

– Dziękuję – uciał Servaz. – Na razie nie mam innych pytań.

– Kto to? – zapytała Ziegler w samochodzie, wskazując na mężczyznę zmierzającego drobnymi kroczkami w stronę peugeotu 405, niemal tak wiekowego jak on sam.

– Gabriel Saint-Cyr, honorowy sędzia śledczy w stanie spoczynku. Spotkałem go wczoraj rano w sądzie.

– O czym rozmawialiście?

– O Grimmie, Chaperonie, Perraultcie i niejakim Mourrenx.

– Trzej pokerzyści... A ten Mourrenx to kto?

– Czwarty członek bandy. Umarł dwa lata temu. Na raka. Jak mówi Saint-Cyr, przed trzydziestu laty wniesiono na nich skargę za szantaż. Upili jakąś dziewczynę i robili jej

rozbierane zdjęcia. A potem grozili jej, że puszczą je w obieg, jeżeli...

– Jeżeli nie zrobi pewnych rzeczy...

– Właśnie.

Servaz zauważył błysk w oczach Ziegler.

– To mógłby być jakiś trop – powiedziała.

– Jaki to ma związek ze śmiercią konia Lombarda? I z Hirtmannem?

– Nie wiem.

– To było trzydzieści lat temu. Czwórka pijanych młodych mężczyzn i pijana dziewczyna.

No i co z tego? Byli młodzi, zrobili głupstwo. Czy to nas dokądś prowadzi?

– Może to tylko wierzchołek góry lodowej.

Spojrzał na nią.

– Jak to?

– No, może były jeszcze inne podobne „głupstwa”. Może na tym nie poprzestali. A może któreś z tych głupstw źle się skończyło.

– Dużo tych „może” – zauważył Servaz. – Jest coś jeszcze: Chaperon zdjął sygnet.

– Co?

Opowiedział jej o tym, co przed chwilą zobaczył. Ziegler zmarszczyła brwi.

– Co to znaczy pana zdaniem?

– Nie mam pojęcia. Tymczasem chciałbym pani coś pokazać.

– Chatkę?

– Tak.

O piątej na nocnym stoliku zadzwonił budzik i Diane, dygocąc z zimna, powlokła się do łazienki. Jak co rano kąpiel zaczęła się gwałtownym strumieniem wrzącej wody, który pod koniec był już tylko mizerną zimną strużką. Diane czym prędzej wytarła się i ubrała. Następnie spędziła godzinę na przeglądaniu notatek, po czym zeszła do kawiarenki na parterze.

Kawiarenka była opustoszała, nie było nawet obsługi. Diane zauważyła jednak ekspres do kawy na kapsułki i weszła za ladę, by przygotować sobie espresso. Wróciła do lektury notatek i czytała do chwili, gdy usłyszała kroki dobiegające z korytarza. Do pomieszczenia wszedł doktor Xavier. Skinął jej głową i także zabrał się do przygotowywania kawy. Po czym z filiżanką w ręku podszedł do Diane.

– Dzień dobry, Diane. Ranny z pani ptaszek.

– Dzień dobry, doktorze. Stare przyzwyczajenie...

Zauważyła, że psychiatra jest w dobrym humorze. Zamoczył wargi w kawie i patrzył na nią, nie przestając się uśmiechać.

– Jest pani gotowa, Diane? Mam dobrą wiadomość. Dziś rano odwiedzimy pacjentów z sektora A.

Usiłowała ukryć podniecenie i zachować profesjonalny ton.

– W porządku, proszę pana.

– Proszę mówić mi Francis.

– W porządku, Francis.

– Mam nadzieję, że ostatnio pani za bardzo nie przestraszyłem. Chciałem tylko, żeby pani

była czujna. Zobaczy pani, wszystko pójdzie gładko.

– Czuję się gotowa.

Posłał jej spojrzenie, w którym wyraźnie dostrzegła powątpiewanie.

– Do kogo pójdziemy?

– Do Juliana Hirtmanna.

White Stripes w słuchawkach Espérandieu śpiewali *Seven Nation Army*, gdy otworzyły się drzwi gabinetu. Policjant oderwał oczy od ekranu.

– Cześć – powiedziała Samira. – I jak tam sekcja?

– Ble – podsumował zde gustowany i zdjął słuchawki.

Okrążyła biurko Vincenta, by dostać się do własnego stanowiska pracy. Espérandieu wciągnął w nozdrza przyjemny, świeży zapach perfum z nutą żelu pod prysznic w tle. Czuł do niej spontaniczną sympatię od pierwszej chwili, kiedy Samira Cheung przekroczyła te progi. Podobnie jak on, była obiektem ledwie zawołowanych kpín ze strony niektórych członków brygady. Ale mała nie dała sobie w kaszę dmuchać i kilka razy usadziła starych dupków, tak że tym bardziej jej nie znosili.

Samira Cheung chwyciła butelkę wody mineralnej i opróżniła ją duszkiem. Miała na sobie skórzaną kurtkę, a pod nią dżinsową marynarkę i bluzę z kapturem, drelichowe spodnie, botki na ośmiocentymetrowych obcasach i czapkę z daszkiem.

Pochyliła nad ekranem komputera swoją zjawiskowo brzydką twarz. Makijaż w niczym nie pomagał. Nawet Espérandieu o mało nie parsknął śmiechem, gdy pierwszy raz ją zobaczył. Ale w końcu się przyzwyczaił. Teraz paradoksalnie odnajdywał w niej nawet jakiś specyficzny wdzięk.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– U sędziego.

Zrozumiał, że ma na myśli sędziego, który prowadzi sprawę trzech chłopaków. Z uśmiechem zastanawiał się, jakie wrażenie musiała zrobić w korytarzach sądu.

– I jak, do przodu?

– Wygląda na to, że argumenty przeciwnej strony znajdują pewien oddźwięk w umyśle pana sędziego.

– Jak to?

– No, hipoteza o utopieniu pomału się przyjmuje.

– O cholera!

– Nie zauważyłeś niczego, wchodząc? – zapytała.

– Co masz na myśli?

– Pujol i Simeoni.

Espérandieu się skrzywił. Nie lubił poruszać tego tematu.

– Tak, wyglądają, jakby byli w wyjątkowej formie – stwierdził ponuro.

– Od wczoraj się tak zachowują – wyjaśniła. – Mam wrażenie, jakby nieobecność Martina dodawała im skrzydeł. Powinieneś uważać.

– Dlaczego ja?

– Wiesz przecież.

– Nie, wyjaśnij mi.

– Nie znoszą cię. Uważają cię za geja. Dla nich być gejem to prawie to samo, co być pedofilem albo pieprzyć się z kozą.

– Ciebie też nie znoszą – zauważył Espérandieu, nie okazując szczególnego zgorznięcia językiem Samiry.

– Nie tak jak ciebie. Nie lubią mnie, bo jestem chińsko-arabskim mieszańcem. Szkoda, że nie mam jeszcze trochę czarnej krwi. Ty to co innego. Mają tysiąc powodów, żeby cię nienawidzić: twój sposób bycia, twoje ciuchy, wsparcie Martina, żona...

– Żona?

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Oczywiście. Nie mogą zrozumieć, jak taka kobieta mogła wyjść za faceta twojego pokroju.

Teraz Espérandieu się uśmiechnął. Doceniał prosty sposób mówienia Samiry, uważał jednak, że odrobina umiejętności dyplomatycznych czasem dobrze by jej zrobiła.

– To neandertalczyk – powiedział.

– Prymitywy – potwierdziła Samira. – Ale na twoim miejscu miałabym się na baczości. Nie jestem pewna, czy nie szykują jakiegoś świństwa.

Wysiadając z samochodu przed domkiem Grimma, Servaz zastanawiał się, czy poprzedniego wieczoru nie miał halucynacji. Dolina nie wyglądała już ani trochę mrocznie ani niepokojąco. Gdy zamykał drzwi wozu, znowu poczuł, że ma podrażnione gardło. Zapomniał rano zażyć tabletkę.

– Ma pani może trochę wody?

– W schowku jest butelka mineralnej – rzuciła Ziegler.

Ruszyli w kierunku chatki stojącej na brzegu rzeki, która wiała się między pniami drzew siecią srebrzących się strumyków. Szare zbocza gór porastały jodły, świerki i trochę buków. Kawalek dalej nad brzegiem strumienia zauważyli dzikie wysypisko śmieci. Leżały tam zardzewiałe puszki, czarne worki na odpady, brudny materac, lodówka, a nawet stary komputer, za którym ciągnęły się kable jak macki za martwą ośmiornicą. Nawet w tej dzikiej dolinie człowiek nie może powstrzymać swojego dzieła zniszczenia.

Wszedł po schodach na werandę. Szeroka wstęga z napisem ŻANDARMERIA NARODOWA – WSTĘP WZBRONIONY wisiła w poprzek wejścia. Servaz podniósł ją, otworzył zamki, szybkim ruchem pchnął drzwi i usunął się, by przepuścić Ziegler.

– Ściana po lewej – powiedział.

Irène zrobiła krok do środka i zatrzymała się.

– O cholera!

Servaz wszedł. Błat i szafki otwartej kuchni po prawej, wersalka zawalona poduszkami w głębi i szuflady pod nią, półki z książkami, sprzęt wędkarski: wędki, kosz, buty, podbieraki, ułożony w kącie – wszystko to było dokładnie pokryte różnymi proszkami: aluminium, biel ołowiana, sadza angielska, czarny proszek magnetyczny, czerwony proszek fluorescencyjny... Wszystkie do wydobywania ukrytych śladów. Duże niebieskie powierzchnie wskazywały, że technicy użyli substancji Bluestar: szukali śladów krwi, bezskutecznie. Tu i tam przypinano tekturowe tabliczki z numerami. Także z dywanu wycięto próbki do badania.

Servaz dyskretnie przyglądał się Ziegler.

Była poruszona. Wpatrywała się w ścianę po lewej: duża czarna peleryna wyglądała jak śpiący nietoperz; jej czarne, połyskujące morą fałdy kontrastowały z jasnym drewnem ściany. Była powieszona na drewnianym kołku za kaptur. Pod peleryną, na podłodze z surowej sosny spoczywała para butów. Na nich także widać było ślady proszku.

– Nie wiem dlaczego, ale gdy na to patrzę, dostaję gęziej skórki – stwierdziła Ziegler. – Ostatecznie jednak nie chodzi tylko o ubranie przeciwdeszczowe i parę obuwia.

Servaz rzucił okiem przez otwarte drzwi. Na zewnątrz panowała cisza. Ale widok reflektorów odbijających się w lusterku jakby przykleił mu się do siatkówki. Próbował wychwycić ewentualne odgłosy silnika, ale słyszał tylko szum rzeki. Znowu poczuł instynktowny strach – taki sam jak minionej nocy, kiedy zobaczył za sobą światła. Pierwotny strach, bez żadnych niuansów.

– Co się dzieje? – zapytała Ziegler, dostrzegłszy jego spojrzenie.

– Wczoraj na drodze byłem śledzony. Jakiś samochód czekał na mnie u wylotu tej ścieżki.

Przyjrzała mu się uważnie. Przez jej twarz przemknął cień niepokoju.

– Jest pan tego pewien?

– Tak.

Przez chwilę panowała przytłaczająca cisza.

– Trzeba o tym powiedzieć d’Humières.

– Nie. Wolałbym, żeby to zostało między nami. Przynajmniej na razie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Confiant mógłby to wykorzystać, żeby mnie odsunąć. Oczywiście pod pretekstem, że mnie chroni – dodał, uśmiechając się słabo.

– Kto to był według pana?

– Ludzie nasłani przez Lombarda?

– A może mordercy...

Wpatrywała się w niego okrągłymi oczami. Zrozumiał, że zastanawia się, jak by się zachowała, gdyby rzecz przydarzyła się jej. Strach to zaraźliwa choroba, pomyślał. W tym śledztwie jest doskonale czarny punkt, jakaś mroczna masa krytyczna tworząca rdzeń tej historii, a oni zaczynają się niebezpiecznie do niej zbliżać. Po raz drugi zadał sobie pytanie, czy nie narażają życia na niebezpieczeństwo.

– Czas na rozmowę z panem merem – powiedział nagle.

– Niech się pani nie przejmuję, wszystko pójdzie dobrze.

Diane patrzyła na wysoką postać Monsieur Monde’a, domyślając się potężnej masy mięśniowej pod jego kombinezonem. Musi spędzać godziny na atlasie i podnoszeniu sztang. Przyjaźnie mrugnął do niej. Diane skinęła głową.

Wbrew temu, co wydawali się myśleć ci mężczyźni, nie odczuwała specjalnego strachu. Raczej intensywną zawodową ciekawość.

Dalej znajdował się oświetlony jarzeniówkami korytarz. Białe ściany i wykładzina tłumiąca ich kroki. Ciszę wypełniała dyskretna tapeta dźwiękowa – jak w hipermarkecie. Utwór w stylu new age, dźwięki harfy i fortepianu nieuchwytnie jak oddech.

Drzwi...

Mijała je, nie podchodząc do okienek. Xavier szedł tuż przed nią energicznym krokiem. Posłusznie podała za nim.

Nie było słycać żadnych szmerów. Jakby wszyscy spali. Diane czuła się jak w nowoczesnym, minimalistycznie urządzonym pięciogwiazdkowym hotelu.

Przypomniała sobie przeciągłe, posępne zawrozenie, które słyszała ze śluzy, gdy po raz pierwszy znalazła się w pobliżu tego miejsca. Czyżby na dzisiejszą okazję naszprycowali ich lekami? Nie, przecież Alex mówił: ci pacjenci są lekooporni.

Xavier zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami. Wystukał szyfr na klawiaturze, a następnie przekręcił klamkę.

– Dzień dobry, Julianie.

– Dzień dobry, doktorze.

Głęboki, dobrze postawiony głos światowca. Diana usłyszała go, a dopiero potem zobaczyła.

– Przeprowadziłem panu gościa. To nowa pani psycholog, Diane Berg. Jest Szwajcarką, tak jak pan.

Podeszła do niego. Julian Hirtmann stał przy oknie, z którego widać było ośnieżony wierzchołek jodły. Odwrócił wzrok od pejzażu za szybą i spojrzał na nią. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt i Xavier wyglądał przy nim jak dziecko. Około czterdziestki, ciemne, krótko obcięte włosy, zdecydowane, regularne rysy. Pewny siebie. Całkiem przystojny mężczyzna, pomyślała, jeżeli ktoś lubi takich zimnych drani. Wysokie czoło, zaciśnięte usta, kwadratowa żuchwa.

Od razu jednak uderzyły ją jego oczy. Przenikliwe. Czarne. Intensywne. Płonące przebiegłością, ale nieruchome. Powieki, które nie mrugają. Zmrużył oczy i Diane poczuła, że Hirtmann przeświała ją wzrokiem.

– Dzień dobry, Julianie – powiedziała.

– Dzień dobry. Pani psycholog, tak?

Zobaczyła, że doktor Xavier się uśmiecha.

– W której dzielnicy Genewy pani mieszka?

– Cologny.

Pokiwał głową i podszedł do okna.

– Miałem piękny dom nad jeziorem. Dziś mieszkają tam jacyś nowobogacy. Z tych, co mają komputery i telefony komórkowe, ale ani jednej książki w całym domu. Mój Boże! Mieszkał tam Percy Bysshe Shelley, gdy był w Szwajcarii, wyobraża pani to sobie?

Wpatrywał się w nią czarnymi, lśniącymi oczami. Czekał na odpowiedź.

– Lubi pan czytać? – zapytała niezdarnie.

Wzruszył ramionami, najwyraźniej rozczarowany.

– Doktor Berg chciałaby się z panem regularnie spotykać – wtrącił Xavier.

Hirtmann znowu odwrócił się w jej stronę.

– Naprawdę? A co ja z tego będę miał? Poza przyjemnością obcowania z panią?

– Nic – odpowiedziała szczerze. – Absolutnie nic. Nie mam ambicji w żaden sposób ulżyć pana cierpieniom. Tym bardziej że pan nie cierpi. Nie mam panu nic do zaoferowania, poza, jak pan powiedział, moim towarzystwem. Będę jednak wdzięczna, jeśli zgodzi się pan na rozmowy ze mną.

Żadnych pochlebstw ani kłamstw – Diane uznała w duchu, że całkiem nieźle sobie poradziła. Wpatrywał się w nią intensywnie.

– Hmm, szczerść... – Hirtmann przeniósł wzrok na Xaviera. – To w tym miejscu rzadko spotykany towar. Załóżmy, że się zgodzę. Na czym będą polegać te... *rozmowy*? Mam nadzieję, że nie zamierza pani poddawać mnie tej głupawej psychoanalizie. Od razu pani mówię: to nie zadziała. Nie ze mną.

– Nie, chodzi mi o prawdziwe rozmowy. Będziemy poruszać różne tematy, na które pan się zgodzi rozmawiać.

– A, to jeszcze musielibyśmy mieć wspólne zainteresowania – zakpił.

Diane zignorowała zaczepkę.

– Niech mi pani opowie o sobie – poprosił. – Jakie pani ma doświadczenie?

Powiedziała mu. Wymieniła Wydział Psychologii i Nauk o Wychowaniu w Genewie, uniwersytecki Instytut Psychologii Sądowej, prywatny gabinet, w którym pracowała, i więzienie w Champ-Dollon, gdzie odbywała staż.

Kiwnął głową ze śmiertelnie poważną miną, dotykając palcem dolnej wargi, jakby ją egzaminował. Diane o mało się nie uśmiechnęła na widok tej pozy. Przypomniała sobie jednak, co ten człowiek robił z kobietami w jej wieku, i rozbawienie minęło.

– Spodziewam się, że znalazłszy się tutaj, w tak szczególnym i nowym dla pani otoczeniu, czuje pani pewną obawę?

Testował ją. Chciał wiedzieć, czy będą rozmawiali jak równy z równym. Nie miał ochoty na monolog, w którym tylko on by mówił, a ona zadowoliliby się słuchaniem.

– Tak, obawę przed nowym stanowiskiem, nowym miejscem, nowymi obowiązkami – odpowiedziała. – Stres zawodowy. Uważam, że to pozytywne zjawisko, coś, co popycha do przodu.

Pokiwał głową.

– Skoro pani tak uważa. Jak pani wie, każda grupa w sytuacji zamknięcia ma tendencje do regresji. Tutaj regresji ulegają nie tylko pacjenci, ale również personel, także psychologowie. Zobacz pani. Są tu trzy pierścienie ochronne jeden w drugim: po pierwsze, zabezpieczenia tego przytułku dla świrów, po drugie, bariera doliny, po trzecie granice miasta na dole, z populacją zdegenerowaną przez ciągłe krzyżowanie się w obrębie tej samej krwi, kazirodztwo i przemoc w rodzinach. Zobacz pani. Za parę dni albo tygodni poczuje pani, że pani dziecinnieje, staje się z powrotem małą dziewczynką, będzie pani miała ochotę znowu ssać kciuk...

Wyczytała w jego oczach, że ma ochotę powiedzieć coś obscenicznego, ale się powstrzymuje. Otrzymał surowe wychowanie. Nagle zdała sobie sprawę, że Hirtmann przypomina jej ojca: sroga mina, przystojny wygląd lekko starzejącego się, dobrze ułożonego mężczyzny i siwe nitki mieniące się tu i ówdzie w ciemnych włosach.

Taka sama, zdecydowana linia ust i zuchwy, ten sam długi nos, to samo intensywne spojrzenie, oceniające i osądające. Poczwała, że jeśli nie przegna tej myśli, zaraz straci rezon. Zaczęła się zastanawiać, jak ktoś taki mógł być zdolny do organizowania jawnie brutalnych orgii. Hirtmann nie ma jednej osobowości; ma ich kilka.

– O czym pani myśli? – zapytał.

– O tym, że trochę mi pan przypomina mojego ojca.

Pierwszy raz wyglądał na wytrąconego z równowagi. Zobaczyła, że się uśmiecha i że ten

uśmiech całkowicie zmienia jego wygląd.

– Naprawdę? – zapytał, szczerze zaskoczony.

– Można u pana wyczuć to samo typowo szwajcarskie, mieszczańskie wychowanie, taką samą rezerwę i surowość. Czuć od pana protestantyzmem, mimo że po drodze się pan go pozbył. Wszyscy ci szwajcarscy wielcy mieszczenie przypominający sejfy z podwójnym zamkiem... Zastanawiałam się, czy mój ojciec ma jakąś tajemnicę, do której nie może się przyznać, jak pan.

Xavier spojrzał na nią zmieszany i odrobinę zirytowany. Hirtmann uśmiechnął się szerzej.

– Tak, sądzę, że będziemy się dobrze dogadywać – oznajmił. – Kiedy zaczynamy? Mam ochotę jak najprędzej wrócić do tej rozmowy.

– Nie do zlokalizowania – powiedziała Ziegler, zatrzasnąwszy kłapkę telefonu. – Nie ma go ani w merostwie, ani w domu, ani w fabryce. Tak jakby się znowu ulotnił.

Servaz spojrzał na nią, po czym zaczął się wpatrywać w rzekę przez przednią szybę.

– Trzeba będzie się poważnie zająć panem merem, kiedy się znowu pojawi. Tymczasem spróbujmy znaleźć Perraulta.

Ekspedientka, młoda, mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna, żuła gumę tak zawzięcie, jakby miała z nią jakieś osobiste porachunki.

Nie wyglądała na sportsmenkę. Raczej na osobę, która nadużywa słodyczy i zbyt dużo czasu spędza przed telewizorem albo przy komputerze. Servaz pomyślał, że na miejscu Perraulta wahałby się powierzyć jej kasę. Popatrzył dookoła na rzędy nart i snowboardów, regały pełne obuwia trekkingowego, odblaskowe kombinezony i polary oraz modne akcesoria rozłożone na półkach z jasnego drewna i rozwieszzone na ciasno ściśniętych wieszakach. Zastanawiał się, na podstawie jakich kryteriów Perrault wybrał akurat tę kobietę. Być może jako jedyna zgodziła się na proponowaną przez niego pensję.

– Wyglądał na zaniepokojonego?

– Ta.

Servaz odwrócił się do Ziegler. Przed chwilą zadzwonili do drzwi kawalerki, którą Perrault, wedle słów Saint-Cyra trzeci członek kwartetu, wynajmował nad sklepem. Żadnej odpowiedzi. Pracownica prowadząca sklep oświadczyła, że nie widziała go od poprzedniego dnia. W poniedziałek rano pojawił się i oznajmił, że musi wyjechać na kilka dni w jakiejś pilnej sprawie rodzinnej. Powiedziała mu, żeby się nie martwił, że ona się wszystkim zajmie.

– Jak wyglądał?

Ekspedientka przeżuła gumę dwa czy trzy razy, zanim odpowiedziała.

– Naprawdę kiepsko, jak ktoś, kto nie spał w nocy. – Kolejny ruch żuchwą. – Nie mógł ustać w miejscu.

– Wyglądał, jakby się czegoś bał?

– Ta. Już mówiłam.

Dziewczyna chciała strzelić z balonówki, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Ma pani jakiś numer, pod którym można go zastać?

Otworzyła szufladę i pogrzebała w papierach. Podała Ziegler wizytówkę. Irène rzuciła okiem na logo: góra, na jej tle narciarz zjeżdżający zygzakiem po śniegu, a pod spodem fantazyjne

literary *Sport & Natura*.

- Jakim Perrault jest szefem? – zapytała.
- Ekspedientka rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie.
- To sknera – powiedziała w końcu.

Sufjan Stevens śpiewał w jego słuchawkach piosenkę *Come on Feel the Illinoise*, gdy wzrok Espérandieu przyciągnął obraz na monitorze komputera. Program do obróbki zdjęć skończył właśnie zadanie, które Vincent wcześniej zaprogramował.

- Chodź zobaczyć – powiedział do Samiry.

Policjantka wstała. Zamek błyskawiczny jej bluzy był trochę za bardzo odsunięty i kiedy się nachyliła, pod nosem Espérandieu znalazła się obiecująca zapowiedź jej biustu.

- Co to? – zapytała.

Sygnet na zdjęciu był widoczny z bliska. Obraz nie był całkiem wyraźny, ale przy pierścieniu powiększonym dwa tysiące razy łatwo dało się odczytać złote litery na czerwonym tle.

– Taki sygnet miał prawdopodobnie Grimm, ten aptekarz zamordowany w Saint-Martin – odpowiedział z wyschniętym gardłem.

- Hmm, a skąd wiecie? Dlatego, że palec był odcięty?
- Za dużo tłumaczenia. Co widzisz?
- Jakby dwa znaki, dwie litery – powiedziała Samira, wpatrując się w ekran.

Espérandieu usiłował nie odrywać oczu od monitora.

- Dwa C? – powiedział.
- Albo C i E.
- Albo C i D.
- Albo O i C.
- Zaczekaj.

Otworzył kilka okien z prawej strony ekranu, poprawił parę parametrów, przesunął suwaki. I znowu uruchomił program. W milczeniu czekali na rezultat. Samira wciąż pochylała się nad nim i Espérandieu rozmarzył się na temat jej pełnego, jędrnego i miłego w dotyku biustu. Zauważył pieprzyk na lewej piersi.

- Jak myślisz, co oni tam robią? – usłyszeli drwiący głos z zewnątrz.

Komunikat na monitorze zasygnalizował zakończenie zadania. Wkrótce pojawił się obraz. Czysty. Dwie litery wyraźnie odcinały się od czerwonego tła sygnetu:

„C S”.

Kierując się otrzymanymi wskazówkami, Servaz znalazł młyn w głębi zaułka, który kończył się przy strumieniu pod lasem. Najpierw zobaczył światła, a potem czarną sylwetkę budynku. Blask padający z trzech oświetlonych okien odbijał się w wodzie na końcu uliczki, spory kawałek za ostatnimi domami. Powyżej czarne góry, czarne jodły i rozgwieżdzone niebo. Servaz wysiadł z samochodu. Noc była zimna, ale cieplejsza niż poprzednie.

Czuł się sfrustrowany. Po zakończonych fiaskiem próbach znalezienia Chaperona i Perraulta nie udało im się także dodzwonić do byłej żony mera, która opuściła region i zamieszkała

w okolicach Bordeaux. Chaperon był rozwiedziony, miał córkę gdzieś w regionie paryskim. Serge Perrault wedle uzyskanych informacji nigdy nie był żonaty. Jeśli dodać do tego dziwny zbrojny pokój panujący między Grimmem a jego żoną-heterą, narzucała się jedna konkluzja: życie rodzinne nie było mocną stroną tej trójki.

Servaz wszedł na mały łukowaty mostek łączący drogę z młynem. Tuż obok obracało się koło młyńskie. Słyszał w ciemności szum wody spadającej na łopatki.

Zastukał do niskich drzwi wyposażonych w kołatkę. Były stare i ciężkie. Otworzyły się niemal natychmiast. Pojawił się Gabriel Saint-Cyr, ubrany w białą koszulę z nieskazitelną muchą i rozpinany sweter. Z wnętrza dobiegała znajoma muzyka. *Śmierć i dziewczyna* Schuberta w wykonaniu kwartetu smyczkowego.

– Wejdz.

Servaz zauważył, że Saint-Cyr zwraca się do niego na „ty”, ale nie skomentował tego. Przyjemny zapach z kuchni mile połaskotał mu nozdrza, co spowodowało natychmiastową odpowiedź żołądka. Policjant uświadomił sobie, że umiera z głodu. Od rana nie jadł nic poza omletem. Po prawej stronie znajdowały się stopnie prowadzące do salonu. Schodząc nimi, Servaz uniósł brew ze zdziwienia: sędzia położył małe talerze na dużych, nakrył stół obrusem tak białym, że zdawał się lśnić, i zapalił dwie świece w srebrnych świecznikach.

– Jestem wdowcem – usprawiedliwił się, widząc spojrzenie komendanta. – Praca była dla mnie wszystkim, nie przygotowałem się na dzień, kiedy przestanę ją wykonywać. Czy będę żył jeszcze dziesięć lat czy trzydzieści, to niczego nie zmieni. Starość to tylko długie, niepotrzebne oczekiwanie. Tymczasem więc znajduję sobie zajęcia. Zastanawiam się, czy z tego wszystkiego nie otworzę restauracji.

Servaz się uśmiechnął. Sędzia zdecydowanie nie był typem człowieka, który umiałby zrezygnować z aktywności.

– Ale nie martw się. Pozwolisz, że jako starszy pan będę ci mówił po imieniu? Nie myślę o śmierci. Wykorzystuję ten bezwartościowy czas na uprawianie ogródka, gotowanie, majsterkowanie, czytanie, podróże...

– I spacerować do sądu, by być na bieżąco z toczącymi się sprawami.

– Właśnie!

Zaprosił go do stołu, a sam wszedł za ladę otwartej na salon kuchni. Martin zobaczył, jak wiąże w pasie kuchenny fartuszek. W kominku trzaskał ogień, rzucając jasny blask na belki pod sufitem. Salon był pełen starych mebli, z pewnością wygrzebanych u handlarzy starzyzną, a także mniejszych i większych obrazów. Prawdziwy skład staroci.

– „Gotowanie wymaga lekkiej głowy, otwartego umysłu i wielkiego serca”. Paul Gauguin. Nie uznasz tego za niestosowność, jeśli pominiemy etap aperitifów?

– W żadnym razie – odpowiedział Servaz. – Umieram z głodu.

Saint-Cyr wrócił z dwoma talerzami i butelką wina, poruszając się ze zwinnością zawodowego kelnera.

– Grasicca wołowa z truflami w cieście francuskim – oświadczył, stawiając przed Martinem parujący talerz.

Zapach był wspaniały. Servaz wbił widelec w danie i włożył kęs do ust. Choć sparzył się w język, rzadko zdarzało mu się jeść coś równie smacznego.

– I jak?

– Jeśli był pan równie wyśmienitym sędzią, jak jest kucharzem, sąd w Saint-Martin poniósł dotkliwą stratę.

Saint-Cyr przyjął wyrazy uznania. Na tyle dobrze znał swoje kulinarne umiejętności, by wiedzieć, że za tym nieco przesadzonym komplementem kryje się autentyczny podziw. Mężczyzna przechylił butelkę z białym winem nad kieliszkiem gościa.

– Spróbuj tego.

Zanim skosztował, Servaz uniósł kieliszek przed oczy. W świetle stojących na środku stołu świec wino miało barwę bladego złota ze szmaragdowymi refleksami. Servaz nie był wielkim koneserem, ale od pierwszego łyku nie miał wątpliwości, że wino, które mu podano, jest wyjątkowe.

– Znakomite. Naprawdę. Mimo że nie jestem specjalistą.

Saint-Cyr kiwnął głową.

– To Bâtard-montrachet, rocznik 2001.

Puścił oko do Servaza i mlasnął językiem o podniebienie.

Upiwszy drugi łyk, komendant poczuł, że kręci mu się w głowie. Nie powinien był przychodzić z pustym żołądkiem.

– Ma pan nadzieję, że rozwiąże mi się język? – zapytał z uśmiechem.

Saint-Cyr się roześmiał.

– Patrzenie, jak wcinasz, to prawdziwa przyjemność. Jakbyś nie jadł przez dziesięć dni. Co sądzisz na temat Confianta? – sędzia nagle zmienił temat.

Pytanie zaskoczyło Servaza. Zawahał się.

– Nie wiem. Jeszcze za wcześnie, by coś mówić...

W oku sędziego znów pojawił się chytry błysk.

– Ależ oczywiście, że nie za wcześnie. Już sobie wyrobiłeś opinię. Jest negatywna. Dlatego nie chcesz o nim mówić.

To spostrzeżenie zbiło Martina z tropu. Starszy pan był bardzo bezpośredni.

– Confiant to mylące nazwisko* – ciągnął Saint-Cyr, nie czekając na odpowiedź. – Do nikogo nie ma zaufania i jemu także nie należy ufać. Być może już zdążyłeś to zauważyć.

Trafiony. Servaz znowu pomyślał, że ten jegomość może być użyteczny. Gdy tylko skończył, Saint-Cyr zabrał talerze.

– Królik w musztardzie – oznajmił, wróciwszy z następnym daniem. – Może być?

Przyniósł też kolejną butelkę wina. Tym razem czerwonego. Pół godziny później, po deserze złożonym z jabłek i kieliszka sauternes, usiedli w fotelach przy kominku. Servaz czuł się najedzony i trochę pijany. Wypełniało go uczucie błogostanu i sytości, jakiego od dawna nie doświadczał. Saint-Cyr podał mu koniak w pękatej lampce, a sobie nalał armaniaku.

Potem rzucił Servazowi twarde spojrzenie. Policjant zrozumiał, że już czas przejść do rzeczy.

– Zajmujesz się też sprawą zabitego konia – oświadczył sędzia, upiwszy pierwszy łyk. – Myślisz, że to ma związek z aptekarzem?

– Może.

– Dwie potworne zbrodnie w ciągu kilku dni i w odległości paru kilometrów.

– Tak.

– Jak ci się podoba Éric Lombard?

– Arogancki.

– Nie rób sobie z niego wroga. Ma długie ręce i może ci się przydać. Ale nie pozwalaj, żeby prowadził śledztwo za ciebie.

Servaz znowu się uśmiechnął. Sędzia może i jest na emeryturze, ale nie przestał być zawodowcem.

– Miał mi pan opowiedzieć o samobójcach.

Sędzia podniósł kieliszek do ust.

– Jak to jest dzisiaj być gliną? – zapytał, nie kwapiąc się z odpowiedzią. – W czasach, gdy korupcja stała się powszechna, gdy wszyscy myślą tylko o napychaniu sobie kieszeni? Jak zachować zdrowy dystans? Czy to wszystko nie stało się okropnie skomplikowane?

– Nie, wręcz przeciwnie, to bardzo proste. Są dwa rodzaje ludzi: świnie i reszta. Każdy musi wybrać, po której stronie ma ochotę być. Jeśli pan nie wybiera, znaczy, że jest pan już po stronie tych pierwszych.

– Tak sądzisz? Więc dla ciebie wszystko jest proste. Są dobrzy i źli? Szczęściarz z ciebie! A gdyby w wyborach było trzech kandydatów: pierwszy w połowie sparaliżowany wskutek polio, cierpiący na nadciśnienie, anemię i wiele innych ciężkich chorób, od czasu do czasu uciekający się do oszustwa, radzący się astrologa, zdradzający żonę, palący papierosa za papierosem i pijący za dużo martini; drugi to grubas, który już trzykrotnie przegrał wybory, przeszedł depresję i dwa zawały, pali cygara, a wieczorami upija się szampanem, porto, koniakiem i whisky, a potem zażywa proszki nasenne; i trzeci, odznaczony bohater wojenny, szanujący kobiety, miłośnik zwierząt, niepalący i tylko okazjnie pijący piwo, na którego byś zagłosował?

– Pewnie się pan spodziewa, że wybiorę trzeciego?

– No brawo, właśnie odrzuciłeś Roosevelta i Churchilla, a wybrałeś Adolfa Hitlera. Sam widzisz, zawsze jest inaczej, niż się wydaje.

Servaz wybuchnął śmiechem. Sędzia zdecydowanie mu się podobał. Człowiek, którego trudno zaskoczyć, o myślach przejrzystych jak woda w strumieniu przed jego młynem.

– Problemem są też dzisiejsze media – mówił dalej emeryt. – Wyciągają i nagłaśniają szczegóły bez znaczenia. Efekt: gdyby dzisiejsze media istniały w tamtych czasach, Roosevelt i Churchill prawdopodobnie nie zostaliby wybrani. Zdam się na swoją intuicję, Martin. Nie wierz pozorom.

– Samobójcy – powtórzył komendant.

– Już.

Sędzia nalał sobie kolejną porcję armaniaku, a potem podniósł głowę i wpatrywał się w gościa twardym spojrzeniem.

– Prowadziłem tę sprawę. Najtrudniejszą w całej mojej karierze. To się wydarzyło w ciągu jednego roku. Mówiąc dokładniej, od maja 1993 do lipca 1994. Siedem samobójstw. Nastolatków między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. Pamiętam, jak by to było wczoraj.

Servaz wstrzymał oddech. Głos sędziego się zmienił. Był teraz twardy i przepełniony głębokim smutkiem.

– Pierwsza odeszła dziewczyna z sąsiedniej wioski, Alice Ferrand; miała szesnaście i pół roku. Wspaniałe dziecko, ze świetnymi wynikami w szkole. Z wykształconej rodziny. Ojciec był wykładowcą literatury, matka nauczycielką. Alice nie stwarzała problemów. Miała koleżanki

w swoim wieku. Lubiła rysunki i muzykę. Powszechnie lubiana. 2 maja 1993 rano znaleziono ją powieszoną w stodole niedaleko od domu.

Powieszona... Servaz poczuł ucisk w gardle, ale zaczął słuchać jeszcze uważniej.

– Wiem, o czym myślisz – powiedział Saint-Cyr, podchwyciwszy jego spojrzenie. – Ale mogę cię zapewnić, że powiesiła się sama, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Lekarz sądowy działał bez zarzutu. Delmas, znasz go, to kompetentny gość. W szufladzie biurka małej znaleźliśmy jedyną poszlakę: narysowany przez nią szkic stodoły z dokładną długością sznura między belką a węzłem. Chciała być pewna, że jej stopy nie dotkną podłogi. – Sędzia wypowiedział ostatnie zdanie łamiącym się głosem. Widać było, że powstrzymuje łzy. – To była potwornie bolesna sprawa. Takie dobre dziecko. Kiedy pięć tygodni później, 7 czerwca, zabił się siedemnastoletni chłopak, widzieliśmy w tym tylko straszny zbieg okoliczności. Dopiero przy trzeciej osobie, pod koniec czerwca, zaczęliśmy się zastanawiać. – Skończył armaniak i postawił kieliszek na okrągłym stoliku. – To też pamiętam, jakby się zdarzyło wczoraj. Tamtego lata czerwiec i lipiec były upalne, cudowna pogoda, długie, ciepłe wieczory. Ludzie do późna siedzieli w ogródkach, nad rzeką i na tarasach kawiarni, żeby się trochę ochłodzić. W mieszkaniach było za gorąco. Klimatyzacja i telefony komórkowe nie były jeszcze tak powszechne. Tamtego wieczoru siedziałem w kawiarni z poprzednikiem Cathy d’Humières. Przyszedł po mnie właściciel. Pokazał na słuchawkę leżącą na ladzie. Telefon do mnie. Z żandarmerii. „Następny”, powiedzieli. Nie pytaj dlaczego, od razu rozumiałem, o co chodzi.

Servaz czuł się coraz bardziej zmrożony.

– Tamten też się powiesił, tak jak dwójka poprzednich. W rozwalonej stodole, w głębi pola. Pamiętam każdy szczegół: letni wieczór, dojrzałe zboża, niekończący się dzień, kamienie nagrzane jeszcze o dziesiątej wieczorem, muchy. I ciało w zacienionym wnętrzu stodoły. Źle się poczułem i trafiłem do szpitala. Potem wróciłem do śledztwa. Mówiłem ci, nigdy nie spotkałem się z tak bolesną sprawą; prawdziwa droga krzyżowa: cierpienie rodzin, niezrozumienie, strach, że znowu się zacznie...

– Nie wiadomo, dlaczego to zrobili? Zostawili jakieś wyjaśnienia?

Sędzia spojrzał na niego. W jego oczach, mimo upływu czasu, wciąż widać było bezradność.

– Żadnych. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co im przyszło do głowy. Żadne z nich nie zostawiło wyjaśnień. Oczywiście, wszyscy byli wstrząśnięci. Każdego ranka budziliśmy się z lękiem, że dowiemy się, iż kolejny nastolatek odebrał sobie życie. Nikt nigdy nie rozumiał, dlaczego to się stało tutaj, u nas. Rodzice, którzy mieli dzieci w podobnym wieku, bali się tylko jednego: że ich dziecko będzie następne. Byli zastraszeni. Próbowali, jak mogli, pilnować dzieci bez ich wiedzy, albo zabraniali im wychodzić z domu. Trwało to ponad rok. W sumie siedmioro. *Siedmioro!* Aż wreszcie pewnego pięknego dnia skończyło się.

– Niewiarygodna historia! – zawołał Servaz.

– Nie taka znowu niewiarygodna. Od tej pory słyszałem o podobnych zdarzeniach w Walii, Quebecu, Japonii. Pakty samobójcze między nastolatkami. Dziś jest jeszcze gorzej: kontaktują się przez Internet, wysyłają do siebie wiadomości na forach: „Moje życie nie ma sensu, szukam partnera do wspólnej śmierci”. Nie przesadzam. W wypadku samobójstw w Walii wśród postów z kondolencjami i wierszami znajdowano i takie wiadomości: „Niedługo do ciebie dołączę”. Kto by uwierzył, że coś takiego jest możliwe?

– Myślę, że żyjemy w świecie, w którym możliwe jest już wszystko – odpowiedział Servaz.

– Szczególnie to, co najgorsze.

Oczywiście wyobraźni zobaczył chłopca, który ciężkim krokiem idzie przez pole, mając za plecami zachodzące słońce, a w ręku sznur. Dookoła śpiewają ptaki, długi letni wieczór tętni życiem, ale w jego głowie panuje mrok. Stary sędzia spojrzął na niego smutno.

– Tak, jestem tego samego zdania. Jeśli chodzi o tych młodych ludzi, to choć nie zostawili żadnych wyjaśnień, mamy dowód, że zachęcali się nawzajem do podjęcia tego aktu.

– Jak to?

– U kilkorga samobójców żandarmeria znalazła listy. Wysyłane z całą pewnością przez innych kandydatów do samobójstwa. Opowiadali w nich o swoich planach, o tym, w jaki sposób to zrobią, a nawet, że nie mogą się już doczekać, aż to się stanie. Problem w tym, że listy nie były wysyłane pocztą i wszyscy ich autorzy używali pseudonimów. Po znalezieniu korespondencji postanowiono pobrać odciski palców od wszystkich młodych ludzi między trzynastym a osiemnastym rokiem życia, mieszkających w okolicy i porównać je z odciskami na listach. Zaangażowano grafologa. Mrówcza praca. Grupa detektywów trudziła się nad tym dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niektóre z tych listów były napisane przez osoby, które już popełniły samobójstwo. Ale dzięki tej pracy udało się także zidentyfikować troje nowych kandydatów. Wiem, to niewiarygodne. Przydzielono im nieustanny nadzór i zapewniono opiekę grupy psychologów. Ale jednemu i tak się udało; poraził się prądem z suszarki do włosów podczas kąpieli w wannie. Siódma ofiara... Dwoje pozostałych nigdy nie przeszło do czynu.

– A te listy?

– Tak, zatrzymałem je. Naprawdę uważasz, że ta historia ma związek z zabójstwem aptekarza i konia Lombarda?

– Grimma znaleziono powieszzonego – powiedział ostrożnie.

– Konia w pewnym sensie też...

Servaz poczuł znajome mrowienie: uczucie, że właśnie postawił jakiś decydujący krok. Ale ku czemu? Sędzia wstał. Wrócił po dwóch minutach z pudłem wypełnionym po brzegi starymi dokumentami i segregatorami.

– Tu jest wszystko. Listy, kopie akt postępowania, ekspertyzy. Ale proszę, nie otwieraj tego tutaj.

Servaz przytaknął, spoglądając na karton.

– Czy były między nimi jeszcze jakieś wspólne punkty? Oprócz samobójstw i listów? Należeli do jakiejś bandy, grupy?

– Jak się pewnie domyślasz, szukaliśmy, szperaliśmy we wszystkich kierunkach, poruszyliśmy niebo i ziemię. Na próżno. Najmłodsza miała piętnaście i pół roku, najstarszy osiemnaście. Nie chodzili do tych samych klas, nie mieli tych samych zainteresowań ani wspólnych zajęć. Niektórzy dobrze się znali, inni o tyle, o ile. Jedynym punktem wspólnym była ich pozycja społeczna i jeszcze to, że wszyscy pochodzili z ubogich albo średnio zamożnych rodzin.

Servaz wyczuł frustrację w jego głosie. Domyślał się setek godzin spędzonych na analizowaniu najmniejszego śladu, najdrobniejszej poszlaki, na próbach zrozumienia tego, czego nie da się zrozumieć. Ta sprawa bardzo zaważyła na życiu Gabriela Saint-Cyra. Może to nawet ona była przyczyną jego kłopotów ze zdrowiem i wcześniejszego przejścia na emeryturę? Wiedział, że sędzia zabierze swoje pytania do grobu. Nigdy nie przestał sobie ich zadawać.

– Czy jest jakaś hipoteza, którą brałeś pod uwagę, a nie ma jej w aktach? – zapytał nagle

Servaz, przechodząc na „ty”, jakby emocje zrodzone z tej opowieści sprawiły, że stali się sobie bliżsi. – Hipoteza, którą porzuciłeś z braku dowodów?

Sędzia jakby się zawahał.

– Oczywiście braliśmy pod uwagę wiele hipotez – rzekł ostrożnie. – Ale żadna nawet nie zaczęła się potwierdzać. Żadna tak naprawdę się nie wyłoniła. To największa tajemnica w całej mojej karierze. Przypuszczam, że każdy sędzia śledczy i każdy detektyw ma coś takiego. Nierozwiązana sprawa. Która będzie wracać i dręczyć ich do końca życia. Sprawa, która na zawsze pozostawi w ich ustach posmak frustracji, który przyćmi smak wszystkich sukcesów.

– To prawda – przytaknął Servaz. – Każdy ma jakąś nierozwiązaną tajemnicę. I we wszystkich tych przypadkach mamy jakiś trop ważniejszy od innych. Jakiś ślad, niejasną myśl, która do niczego nie doprowadziła, ale my ciągle czujemy, że mogła, gdybyśmy tylko mieli odrobinę szczęścia albo gdyby śledztwo inaczej się potoczyło. Naprawdę niczego takiego nie ma? Niczego, co nie weszło do akt?

Sędzia głęboko wciągnął powietrze, wpatrując się w Martina. Znowu wyglądał, jakby się wahał. Zmarszczył krzaczaste brwi i powiedział:

– Tak, jest jedna hipoteza, którą uważałem za najbardziej prawdopodobną. Ale nie znalazłem żadnego elementu, żadnego dowodu, żeby ją rozwinąć. Więc została tutaj – dodał, stukając się palcem wskazującym w głowę.

– Ośrodek kolonijny Les Isards – powiedział Saint-Cyr. – Może o nim słyszałeś?

Nazwa obijała się po zakamarkach pamięci Servaza, aż zadzwoniła jak moneta wrzucona do skarbonki: zrujnowane budynki i zardzewiała tablica przy drodze do Instytutu. Przypomniał sobie, co czuł na widok tego ponurego miejsca.

– Mijaliśmy go, jadąc do Instytutu i w drodze powrotnej. Jest zamknięty, prawda?

– Właśnie. Ale działał przez kilkadziesiąt lat. Został otwarty po wojnie i przestał przyjmować dzieci dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych. – Zrobił krótką przerwę. – Ośrodek kolonijny Les Isards został stworzony dla dzieci z Saint-Martin i okolic, które nie mogły sobie pozwolić na wakacje z prawdziwego zdarzenia. Był częściowo zarządzany przez miasto, na jego czele stał dyrektor. Przyjeżdżały tam dzieci między ósmym a piętnastym rokiem życia. Organizowano dla nich coś w rodzaju letnich obozów z tradycyjnymi zajęciami: wycieczkami w góry, grą w piłkę, kąpielami w okolicznych jeziorach... – Sędzia lekko się skrzywił, jakby odkrył, że ma dziurę w zębie. – Zainteresowało mnie to, że pięcioro z grupy samobójców spędzało wakacje w tym ośrodku w ciągu dwóch lat poprzedzających ich śmierć. I to był właściwie jedyny punkt wspólny. Badając czas ich pobytu, stwierdziłem, że były to dwa kolejne okresy letnich wakacji. I że dyrektor obozu zmienił się w roku poprzedzającym pierwszy z nich...

Servaz słuchał z napiętą uwagą. Domyślał się, do czego sędzia zmierza.

– Zaczęłem więc szperać w życiu tego dyrektora, młodego człowieka około trzydziestki, ale nic nie znalazłem: żonaty, ojciec córeczki i synka, facet bez większych problemów...

– Wiesz, gdzie można go dziś znaleźć?

– Na cmentarzu. Jechał na motorze i zderzył się z ciężarówką jakieś dziesięć lat temu. Problem w tym, że nigdzie nie znalazłem śladu informacji o tym, żeby ci nastoletnikowie padli ofiarą przemocy seksualnej. No i dwoje z nich nie przeszło przez ośrodek. Poza tym, zważywszy na liczbę dzieciaków z okolicy, które tam bywały, nic dziwnego, że pobyt w ośrodku to wspólny

element w życiu kilku osób. Ostatecznie porzuciłem ten trop.

– Ale nadal uważasz, że może należało szukać w tym kierunku?

Saint-Cyr podniósł głowę. Jego oczy lśniły.

– Tak.

– Mówiłeś mi o tej skardze złożonej na Grimma i trójkę pozostałych, którą zaraz wycofano. Przypuszczam, że przesłuchałeś ich w ramach śledztwa w sprawie samobójstw?

– Dlaczego miałbym to zrobić? Nie było żadnego związku.

– Jesteś pewien, że w którymś momencie o nich nie pomyślałeś? – zapytał Servaz.

Saint-Cyr po raz kolejny zrobił gest, jakby się wahał.

– Tak, oczywiście...

– Wyjaśnij to.

– Ta sprawa z szantażem seksualnym nie była pierwszą plotką, którą słyszałem na temat tej czwórki. Były też inne, przedtem i potem. Ale oprócz tego jednego razu nie pojawiła się żadna oficjalna skarga.

– Co to były za plotki?

– Pogłoski, z których wynikało, że inne dziewczyny traktowali podobnie i dla niektórych to się źle skończyło, że lubili wypić, a kiedy byli pijani, stawali się... *brutalni*. Tego typu rzeczy. Ale dziewczyny, o których mowa, były dorosłe albo prawie dorosłe. A w wypadku samobójstw chodziło o dzieci. Porzuciłem więc ten trop. Zresztą w tamtych czasach nie brakowało podobnych plotek.

– To była prawda? Że Grimm i jego koledzy...?

– Być może. Ale nie łudź się. Tu jest tak jak wszędzie. Aż się roi od plotkar i samozwańczych donosicielek, które dla zabicia czasu gotowe są rozpowiadać najgorsze historie na temat swoich sąsiadów, a jeśli trzeba, to i coś wymyślą. Więc to nie jest żaden dowód. Jestem przekonany, że było w tym jakieś ziarno prawdy, ale pewnie przechodząc z ust do ust, coraz bardziej się rozrastało.

Servaz kiwnął głową.

– Ale masz rację, stawiając pytanie, czy zabójstwo aptekarza nie jest w jakiś sposób związane z dawnymi sprawami – ciągnął sędzia. – Wszystko, co się dzieje w tej dolinie, ma swoje korzenie w przeszłości. Jeśli chcesz odkryć prawdę, trzeba będzie podnieść każdy kamień i zobaczyć, co jest pod spodem.

– A jaka jest w tym rola Hirtmanna?

Sędzia spojrzał na niego zamyślony.

– W czasach, gdy byłem sędzią śledczym, powiedziałbym, że to „szczegół, który nie trzyma się kupy”. W każdej sprawie jest coś takiego, jakiś element, który uparcie nie pasuje do układanki. Wyklucza się go i wszystko gra. Ale szczegół zostaje. Nie chce zniknąć. Przypomina, że w którymś miejscu coś przeoczyliśmy. Czasami ważną rzecz. Czasami nie. Niektórzy sędziowie i gliny świadomie postanawiają go ignorować. Często właśnie w ten sposób powstają błędy sądowe. Ja nigdy nie ignorowałem takiego szczegółu. Ale też nie pozwalałem, żeby przysłonił mi całą resztę.

Servaz spojrział na zegarek i wstał.

– Szkoda, że nie zajmujemy się razem tą sprawą. Wolałbym pracować z tobą niż z Confiantem.

– Dziękuję – powiedział Saint-Cyr, podnosząc się z fotela. – Myślę, że tworzylibyśmy dobry zespół. – Wskazał na stół, kuchnię i opróżnione kieliszki stojące na okrągłym stoliku obok kominka. – Mam dla ciebie propozycję. Ilekroć będziesz zmuszony nocować i stołować się w Saint-Martin, ten stół będzie na ciebie czekał. Nie będziesz musiał napychać się podejrzanym hotelowym jedzeniem ani kłaść się z pustym żołądkiem.

Servaz się uśmiechnął.

– Jeśli za każdym razem będzie tego tak dużo, niedługo nie będę w stanie prowadzić śledztwa.

Gabriel Saint-Cyr szczerze się zaśmiał, przepędzając napięcie, które zostawiła w nim opowiedziana dopiero co historia.

– Powiedzmy, że to był posiłek inauguracyjny. Chciałem ci zaimponować moim talentem kulinarnym. Następne będą skromniejsze. Obiecuję. Trzeba dbać o formę komendanta.

– Jeśli tak, to zgoda.

– Przy okazji będziemy mogli porozmawiać o postępach w twoim śledztwie – dorzucił sędzia, puszczając do niego oko. Oczywiście nie wykraczając poza to, co będziesz mógł mi zdradzić. Powiedzmy, bardziej w ujęciu teoretycznym niż praktycznym. Zawsze dobrze robi, jeśli trzeba uzasadniać własne hipotezy i konkluzje przed kimś innym.

Servaz wiedział, że sędzia ma rację, choć bynajmniej nie zamierzał o wszystkim mu opowiadać. Zdawał sobie jednak sprawę, że Saint-Cyr ze swoim przenikliwym umysłem i profesjonalną logiką może mu się przydać. A gdyby się okazało, że sprawa ma związek z samobójstwami, będzie mógł się wiele dowiedzieć od byłego sędziego.

Serdecznie uścisnęli sobie dłonie i Servaz wyszedł, zanurzając się w ciemności. Na mostku zorientował się, że znowu zaczęło sypać. Głęboko oddychał nocnym powietrzem, żeby się trochę orzeźwić. Płatki śniegu topiły mu się na policzkach. Zbliżał się do samochodu, kiedy w jego kieszeni zabrzączał telefon.

– Mamy coś nowego – powiedziała Ziegler.

Servaz zeszywniał. Spojrzał na drugą stronę strumienia w kierunku młyna. Za oknem mignęła sylwetka sędziego z talerzami i nakryciami w ręku. Z ciemnego nieba nad dachem młyna obficie sypał śnieg.

– Na miejscu zbrodni znaleziono krew należącą do innej osoby niż Grimm. Właśnie zidentyfikowali DNA.

Servaz doznał uczucia, jakby pod jego stopami otwierała się przepaść. Przełknął ślinę. Wiedział, co Ziegler powie.

– Należy do Hirtmanna.

Było trochę po północy, gdy rozległo się ciche skrzypnięcie drzwi. Diane nie spała. Leżała na łóżku w ubraniu przy zgaszonym świetle i czekała. Odwróciła głowę i zobaczyła wiązki światła pod drzwiami. Potem usłyszała stłumione kroki.

Wstała.

Po co to robi? Przecież nie ma takiego obowiązku. Uchyliła drzwi.

Korytarz znowu był ciemny, ale na klatce schodowej w głębi paliło się światło. Spojrzała jeszcze w drugą stronę i wyszła. Miała na sobie dzinsy, sweter i pantofle. Jak usprawiedliwi swoją obecność na korytarzu o tej godzinie, gdyby na kogoś wpadła? Doszła do schodów.

Nadstawiła ucha. Z dołu usłyszała echo pośpiesznych kroków. Nie zatrzymały się na trzecim ani na drugim piętrze. Dopiero na pierwszym. Diane znieruchomiała, nie odważywszy się wychylić przez poręcz.

Kliknięcie.

Osoba, którą śledziła, wystukała właśnie kod dostępu na klawiaturze biometrycznej pierwszego piętra. Każde piętro miało własną skrynkę z kodem poza ostatnim, na którym znajdowały się sypialnie personelu. Usłyszała brzęczenie drzwi, które się otworzyły, a następnie zamknęły. Czy ona naprawdę to robi? Śledzi kogoś w nocy w nowym miejscu pracy?

Teraz zeszła po schodach aż do zabezpieczonych drzwi, zawahała się, policzyła do dziesięciu. Już miała wystukać kod, gdy ją zatrzymała pewna myśl.

Kamery...

Wszystkie części budynku, po których przemieszczali się i w których spali pacjenci, były strzeżone przez kamery. Znajdowały się we wszystkich strategicznych miejscach, od parteru aż po trzecie piętro. Nie było ich na służbowych schodach, do których pacjenci nie mieli dostępu, ani na czwartym piętrze, gdzie nocował personel. Wszędzie gdzie indziej kamery czuwały. Nie mogła kontynuować nocnego śledztwa, nie pojawiając się w tej czy innej chwili w ich polu widzenia...

Osoba przed nią nie bała się więc kamer. Ale jeśli Diane pojawi się w ich zasięgu, to jej zachowanie zostanie uznane za podejrzanе.

Stała tak i oddawała się rozmyśleniom, gdy z drugiej strony drzwi rozległy się kroki. Ledwie zdążyła rzucić się ku schodom i ukryć, gdy znowu usłyszała brzęczenie zamka biometrycznego.

Na krótką chwilę jej serce ścisnęło się ze strachu. Ale zamiast wrócić na piętro sypialni, osoba, którą śledziła, znowu zaczęła schodzić.

Zwariowałaś!

Gdy doszła do drzwi na parterze, zatrzymała się. Na horyzoncie nikogo nie było. Gdzie się podziała zguba? Gdyby weszła do wspólnych pomieszczeń, Diane musiałaby usłyszeć kolejne brzęczenie zabezpieczeń. Mało brakowało, a nie zauważyłaby drzwi do piwnicy po lewej stronie, pod ostatnim ciągiem schodów: drzwi, które właśnie się zamykały... Po tej stronie znajdowała się tylko nieruchoma gałka – drzwi można było otworzyć jedynie kluczem. Zanim ciężkie skrzydło zdążyło się zatrzasnąć, Diane szybko wsunęła dłoń w szparę. Musiała użyć dużej siły, by przyciągnąć drzwi do siebie.

Znowu schody, tym razem z surowego betonu, prowadzące w mroczne głębiny podziemia. Piętnaście stopni do półpiętra i następne piętnaście. Strone schody, chropowate ściany.

Zawahała się.

Śledzenie kogoś w korytarzach Instytutu to jedna sprawa – gdyby ją ktoś zauważył, zawsze będzie mogła wytłumaczyć, że zasiedziała się w biurze albo że się zgubiła... Ale śledzenie tej samej osoby w podziemiach – to zupełnie co innego.

A tajemnicza osoba nadal schodziła...

Podjęła decyzję i pozwoliła, by ciężkie drzwi zamknęły się za nią. Od strony piwnicy można je było otworzyć dzięki poziomej zasuwie. Zatrzasnęły się z lekkim szcęknięciem. Diane natychmiast otuliła zimna wilgoć kamienia. Poczowała zapach piwnicy. Ruszyła na dół. Minęła pierwsze półpiętro, gdy nagle zapaliło się światło. Nie trafiła na kolejny stopień. Straciła równowagę, cicho jęknęła i twardo uderzyła barkiem w ścianę poniżej. Krzywiąc się z bólu,

Diane dotknęła dłonią stłuczonego miejsca. Wstrzymała oddech. Kroki się zatrzymały! Strach, którego niejasna obecność do tej pory majaczyła gdzieś na peryferiach jej mózgu, opanował ją w jednej chwili. Serce tłukło jej się w piersi. Słyszała już tylko pulsowanie krwi w skroniach. Już miała zawrócić, gdy znów usłyszała kroki. Oddalały się... Diane spojrzała w dół. Nie było zupełnie ciemno. Przyćmione, widmowe światło kładło się na ścianach jak cienka warstwa żółtej farby. Zaczęła znów schodzić, stawiając ostrożnie stopy, aż doszła do długiego, słabo oświetlonego korytarza. Pod sufitem rdzewiejące rury i pęki kabli elektrycznych, na ścianach plamy wilgoci.

Podziemia...

Miejsce z pewnością nieznanego większości personelu.

Zatęchłe powietrze, przenikliwe zimno i wilgoć przywodziły Diane na myśl porównanie z grobem.

Odgłosy – oddalające się kroki, kapanie wody z sufitu, daleki pomruk systemu wentylacyjnego – wszystko to w takim miejscu brzmiało złowieszczo.

Zadrzała.

Zimny dreszcz łaskotał jej kręgosłup jak pieszczota lodowatej dłoni. Iść dalej czy nie? Podziemia, z przecinającymi się korytarzami, wyglądały jak labirynt. Opanowując strach, Diane próbowała iść w kierunku, w którym podążyły kroki. Oddalały się; także światło było coraz słabsze. Musi się spieszyć. Blask i odgłosy dochodziły z tej samej strony. Doszła do kolejnego rogu i wy chyliła się. Jakaś postać w głębi... Ledwie zdążyła ją dostrzec, gdy osoba zniknęła, skręciwszy w prawo.

Diane uświadomiła sobie, że drżący i migotliwy snop światła oświetlający drogę osobie, którą śledziła, pochodzi z ręcznej latarki.

Ze ściśniętym gardłem rzuciła się naprzód, by nie zostać sama w ciemności. Cała się trzęsła – z zimna i ze strachu. To szaleństwo! Co ja tutaj robię? Nie miała pod ręką zupełnie nic, czym mogłaby się bronić. Musiała też uważać, gdzie stawia stopy. Korytarze, choć szerokie, były miejscami niemal całkowicie zawałone rupieciami: stelażami pod materace, materacami, ustawionymi przy ścianach żelaznymi łóżkami, wyszczerbionymi umywalkami, połamanymi fotelami i krzesłami, kartonami, komputerami i popsutymi telewizorami... Postać wciąż posuwała się przez ten kram i skręcając to w prawo, to w lewo, coraz bardziej się zanurzała we wnętrzościach Instytutu. Jedyne dzięki drżącej wiązce światła, która za nią zostawała, Diane mogła się zorientować, w którą stronę skręciła. Miała ochotę zrezygnować i wrócić drogą, którą przyszła, ale zrozumiała, że na to jest już za późno. Nigdy nie znajdzie wyjścia z tych ciemności! Zastanawiała się, co by było, gdyby nacisnęła włącznik i w całych podziemiach zapaliło się światło. Osoba z przodu uświadomiłaby sobie, że jest śledzona. Jak by zareagowała? Diane nie miała innego wyjścia, jak tylko podążać za ruchomym światłem. W niemal całkowitych ciemnościach panujących wokół niej usłyszała chrobot małych pazurków na podłodze. Szczury! Uciekały jej z drogi. Diane czuła, że mrok ciąży jej na barkach. Światło było raz mocniejsze, raz słabsze, w zależności od odległości, jaka dzieliła ją od postaci z latarką...

Coraz mocniej zdawała sobie sprawę, że dała się porwać nieprzemyślanemu impulsowi. Dlaczego nie została w pokoju?

Wtem usłyszała skrzywienie metalowych drzwi. Następnie drzwi się zamknęły i Diane znalazła się w całkowitych ciemnościach! Jakby nagle pozbawiono ją wzroku. Była kompletnie zdezorientowana. Nie widziała już własnego tułowia, dłoni, stóp... Nic, tylko czerń.

Nieprzezroczyta czerń, przez którą nie przebiłyby się żaden wzrok. W uszach słyszała pulsowanie krwi. Próbowwała przełknąć ślinę, ale zaschło jej w gardle. Odwróciła się za siebie – na próżno. Nadal słychać było szum systemu wentylacyjnego i kapanie wody, ale odgłosy te wydały jej się równie bezużyteczne jak dźwięk rogu przeciwmgielnego dla statku, który walczy nocą z szalejącym sztormem. Potem przypomniała sobie o telefonie komórkowym w tylnej kieszeni dżinsów. Wyciągnęła go drżącą ręką. Światło wyświetlacza było słabsze, niż się spodziewała. Oświetlało zaledwie czubki jej palców. Szła przed siebie, aż w mizernej poświacie szczelnie otoczonej przez ciemności ukazało się coś innego niż jej własna dłoń: ściana. A przynajmniej parę centymetrów kwadratowych betonu. Przez kilka minut przesuwiała się wolno wzdłuż muru, aż trafiła na włącznik. Światłówki zamrugwały i podziemia zalała elektryczna jasność. Diane rzuciła się w kierunku, z którego słyszała trzaśnięcie drzwi. Były identyczne jak te, przez które przechodziła poprzednio. Odsunęła rygiel i uświadomiła sobie, że jeśli się teraz zatrzasną, będzie miała zamkniętą drogę powrotu. Pokręciła się po piwnicy, aż w stercie rupieci znalazła jakąś deskę. Po przejściu na drugą stronę włożyła ją między drzwi a futrynę.

Schody i okno... Rozpoznała je od razu. Już tu była. Weszła na pierwsze stopnie i stanęła. Nie było sensu iść dalej. Wiedziała, że na górze jest kamera. I grube pancerne drzwi z okienkiem, a za nimi śluza.

Ktoś nocą odwiedza sektor A...

Ktoś, kto korzysta ze służbowych schodów i drogi przez podziemia, żeby uniknąć kamer. Z wyjątkiem jednej kamery nad pancernymi drzwiami. Diane miała wilgotne dłonie i ściśnięte wnętrzości. Zrozumiała, co to znaczy: ta osoba ma współnika wśród ochroniarzy pilnujących tej części zakładu.

Powiedziała sobie, że to pewnie nic takiego. Jacyś członkowie personelu, którzy zamiast spać, bez wiedzy innych grają w pokera. Albo nawet potajemny romans między Monsieur Monde'em a którąś z pracownic. Ale w głębi duszy wiedziała, że chodzi o coś zupełnie innego. Zbyt dużo o tym słyszała. Wybrała się w podróż do miejsca, w którym panują obłąd i śmierć. Tyle że wbrew temu, czego się spodziewała, ani obłąd, ani śmierć nie są pod kontrolą. W niewytłumaczalny sposób wymknęły się ze swojej klatki. Dzieje się tu coś mrocznego, a ona, przyjeżdżając w to miejsce, chcąc nie chcąc, weszła do gry.

* *Confiant* – fr. ufny, łatwowierny (przyp. tłum.).

Śnieg padał coraz gęściej i zaczynał przymarzać, gdy Servaz zaparkował przed posterunkiem żandarmerii. Dyżurny przy wejściu przysypiał. Krata była już opuszczona i mu się ją podnieść, by wpuścić komendanta. Przyciskając do piersi ciężkie pudło, policjant skierował się ku sali zebrania. Korytarze były opustoszałe i ciche. Było tuż przed północą.

– Tutaj – usłyszał, mijając otwarte drzwi.

Zatrzymał się i zajrzał do środka. Irène Ziegler siedziała w małym, pogrążonym w półmroku gabinecie. Świeciła się tylko jedna lampka. Przez szparę w żaluzjach Servaz zauważył płatki śniegu tańczące w blasku latarni. Ziegler ziewnęła i przeciągnęła się. Zrozumiał, że czekając na niego, musiała się trochę zdrzemnąć. Spojrzała na karton i uśmiechnęła się do Servaza. A on o tak późnej porze uznał ten uśmiech za czarujący.

– A to co?

– Karton.

– Widzę. A w środku?

– Wszystkie papiery dotyczące samobójstw.

W jej zielonych oczach pojawił się błysk zaskoczenia i zaciekawienia.

– Saint-Cyr panu to dał?

– Kawy? – zapytał, stawiając ciężkie pudło na najbliższym biurku.

– Mocnej, z cukrem. Dzięki.

Wyszedł do automatu w głębi korytarza. Wrócił, niosąc dwa plastikowe kubki.

– Trzymaj – powiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Chyba już pora przejść na ty, prawda? – wytłumaczył się, przypominając sobie, z jaką spontanicznością sędzia zaczął mówić mu po imieniu. Dlaczego, do diaska, jego nie stać takie zachowania? Co go skłoniło, by teraz tak nagle zrobić ten krok? Późna pora? A może ten uśmiech?

Zobaczył, że Irène znowu się uśmiecha.

– Zgoda. Jak tam kolacja? Wygląda na to, że pouczająca?

– Ty pierwsza.

– Nie, ty pierwszy.

Przysiadł jednym pośladkiem na biurku i zauważył na monitorze otwartą partię pasjansa. Zaczął opowiadanie. Ziegler słuchała go z zainteresowaniem i ani razu nie przerwała.

– Niewiarygodna historia! – zawołała, gdy skończył.

– Dziwi mnie, że nigdy o tym nie słyszałaś.

Zmarszczyła brwi i zamrużyła powiekami.

– Coś niejasno kojarzę. Może z jakichś artykułów w prasie. Albo z rozmów rodziców przy stole. Przypominam, że nie byłam jeszcze w żandarmerii. Właściwie byłam wtedy mniej więcej w wieku tych nastolatków.

Nagle zdał sobie sprawę, że nic o niej nie wie. Nie wiedział nawet, gdzie mieszka. Ona też nie wiedziała nic na jego temat. Od tygodnia wszystkie ich rozmowy krążyły wokół śledztwa.

– Ale przecież mieszkałaś niedaleko stąd – nalegał.

– Moi rodzice mieszkali piętnaście kilometrów od Saint-Martin, w innej dolinie. Nie chodziłam tutaj do szkoły. Dla nastolatka być z innej doliny, to jakby należeć do innego świata. Piętnaście kilometrów dla dziecka to tyle co tysiąc dla dorosłego. Każdy nastolatek ma swoje terytorium. W tamtych czasach jeździłam szkolnym autobusem dwadzieścia kilometrów dalej na wschód, do liceum w Lannemezan. Czterdzieści kilometrów stąd. Potem studiowałam prawo w Pau. Teraz, gdy ci o tym opowiadam, przypomina mi się, że w czasie przerw rozmawiało się o tych samobójstwach. Najwyraźniej to wyparłam.

– Warto by zapytać, co Propp o tym sądzi – powiedział.

– O czym?

– O tym, dlaczego twoja pamięć wyparła te zdarzenia.

Rzuciła mu słodko-kwaśne spojrzenie.

– A jaki związek z Grimmem ma sprawa młodocianych samobójców?

– Być może żaden.

– Po co się więc tym zajmować?

– Zabójstwo Grimma wygląda na zemstę. A ci nastolatki zostali przez kogoś lub przez coś popchnięci do odebrania sobie życia. No i jest jeszcze ta skarga złożona kilkanaście lat temu przeciwko Grimmowi, Perraultowi i Chaperonowi w związku z szantażem seksualnym... Jeśli zebrać te kawałki do kupy, co nam to daje?

Servaz nagle poczuł dreszcz, jakby wyładowanie elektryczne: *coś mają*. To coś jest tuż-tuż, w zasięgu ręki. Mroczny rdzeń całej historii, masa krytyczna, z której promieniuje cała reszta. Ukryta w jakimś martwym polu... Poczuł przypływ adrenaliny.

– Proponuję, żebyśmy zaczęli od przejrzenia zawartości tego kartonu – powiedział lekko trzęsącym się głosem.

– A zatem do dzieła? – zadała pytanie, które właściwie nie było pytaniem.

Wyczytał w jej twarzy to samo podekscytowanie i tę samą nadzieję.

– Zgoda. A krew – dodał, nagle zmieniając temat. – Gdzie dokładnie ją znaleziono?

– Na moście, w pobliżu miejsca, w którym wisiał aptekarz.

Milczeli przez chwilę.

– Krew – powtórzył. – To niemożliwe!

– Ci z laboratorium są tego pewni.

– Krew... Tak jakby...

– Tak jakby Hirtmann się skaleczył, wieszając ciało Grimma.

Irène wzięła sprawę w swoje ręce. Grzebała w kartonie pełnym teczek, segregatorów, kołonoradników i korespondencji służbowej, aż wydobyła teczkę podpisaną: „Synteza”. Najwyraźniej Saint-Cyr zredagował ją osobiście. Sędzia miał dokładne, szybkie, drobne pismo –

całkowite przeciwieństwo bazgraniny lekarzy. Servaz zauważył, że poszczególne etapy śledztwa są opisane z godną najwyższego uznania przejrzystą zwięzłością. Ziegler posłużyła się następnie tą syntezą, by zorientować się w gmatwaninie papierzysek znajdujących się w kartonie. Zaczęła od wyciągnięcia dokumentów śledztwa i ułożenia ich na oddzielnych kupkach: protokoły sekcji zwłok, protokoły z rozpraw i przesłuchań rodziców, listy dowodów rzeczowych, korespondencja znaleziona w domach nastolatków... Saint-Cyr zrobił na własny użytek kserokopie wszystkich dokumentów. Poza odbitkami w kartonie były:

wycinki z prasy

karteczki samoprzylepne

luźne kartki papieru

mapki, na których miejsce popełnienia każdego samobójstwa było zaznaczone czarnym krzyżykiem, a także tajemnicze trasy, narysowane za pomocą czerwonych strzałek i kółek

świadczenia szkolne

zdjęcia klasowe

notatki na skrawkach papieru

bilety z punktów opłat na autostradzie.

Servaz wpatrywał się w to wszystko oniemiały. Stary sędzia naprawdę zrobił z tej historii osobistą sprawę. Jak wielu detektywów przed nim, pozwolił, by całkowicie nim owładnęła. Czy naprawdę miał nadzieję, że rozwiąże ją w domu, gdy nie będzie miał już innych zajęć? Następnie znaleźli dokument o jeszcze boleśniejszej wymowie: listę siedmiu ofiar ze zdjęciami i datami ich samobójstw.

2 maja 1993: Alice Ferrand, 16 lat

7 czerwca 1993: Michaël Lehmann, 17 lat

19 czerwca 1993: Ludovic Asselin: 16 lat

5 września 1993: Marion Dutilleul, 15 lat

24 grudnia 1993: Séverine Guérin, 18 lat

16 kwietnia 1994: Damien Llaume, 16 lat

9 lipca 1994: Florian Vanloot, 17 lat

– Boże drogi!

Dłoń mu drżała, gdy w świetle lampy rozkładał je na biurku. Ziegler podała mu siedem zdjęć, przypiętych do małych tekturek. Siedem uśmiechniętych twarzy. Jedne patrzące prosto w obiektyw, inne odwracające wzrok. Spojrzał na koleżankę. Stała obok niego i wyglądała na wstrząśniętą. Następnie jego wzrok znowu spoczął na twarzach. Z emocji miał ściśnięte gardło.

Ziegler podała mu połowę sprawozdań z sekcji zwłok, a sama zajęła się drugą połową. Przez chwilę czytali w milczeniu. Nie byli zaskoczeni, we wszystkich była mowa o śmierci przez powieszenie, poza jednym przypadkiem, kiedy ofiara rzuciła się ze skały, i drugim, kiedy chłopak, którego pilnowano, poradził sobie, rażąc się prądem w wannie. Lekarze sądowi nie znaleźli żadnej anomalii, żadnej strefy mroku. Sceny „zbrodni” nie pozostawiały wątpliwości; wszystko potwierdzało, że nastolatki przyszli na miejsce śmierci sami i że działali w pojedynkę. Cztery sekcje zostały przeprowadzone przez Delmasa i drugiego równie kompetentnego lekarza, którego Servaz znał. Po sekcjach przeszli do dokumentów ze śledztwa w sąsiedztwie, którego celem było naszkicowanie sylwetek nastolatków niezależnie od tego, co mówili ich rodzice. Jak zawsze było w tej masie kilka niesmacznych lub niezyczliwych plotek,

ale w sumie wylaniały się z nich portrety klasycznych nastolatków. Wyjątkiem był jeden trudny chłopak, Ludovic Asselin, który bywał brutalny w stosunku do rówieśników i buntował się przeciw autorytetom. Najbardziej poruszające były zeznania na temat Alice Ferrand, pierwszej ofiary, którą wszyscy wysoko cenili i jednogłośnie przedstawiali jako niezwykle ujmujące dziecko. Servaz spojrział na zdjęcie: kręcone włosy w kolorze dojrzałego zboża, porcelanowa cera; piękne, poważne oczy wpatrzone w obiektyw. Bardzo ładna twarz, jakby precyzyjnie wyrzeźbiona przez miniaturzystę, buzia pięknej szesnastoletniej dziewczyny – ale spojrzenie jakby znacznie starszej osoby. Była w nim inteligencja, ale także coś jeszcze... A może to tylko jego wyobraźnia?

Około trzeciej nad ranem obydwójce byli wykończeni. Servaz postanowił chwilę odpocząć. Poszedł do łazienki i włożył twarz pod kran z zimną wodą, a potem przyjrzał się sobie w lustrze. Jedna świetlówka migiała i cicho brzęczała, rzucając ponury blask na rząd drzwi za jego plecami. Widać było, że za dużo wypił u Saint-Cyra i że jest wyczerpany. Skorzystał z toalety, a potem umył ręce i wysuszył je pod suszarką. Wracając, zatrzymał się przy automacie z ciepłymi napojami.

– Kawy? – rzucił przez pusty korytarz.

Jego głos niósł się w ciszy. Usłyszał odpowiedź zza otwartych drzwi na drugim końcu korytarza.

– Mocnej! Z cukrem! Dzięki!

Zastanawiał się, czy w budynku poza nimi i dyżurnym na dole jest ktoś jeszcze. Wiedział, że żandarmi mieszkają w innym skrzydle. Z kubkiem w ręku przeszedł przez ciemną kawiarenkę, przeciskając się między okrągłymi stolikami pomalowanymi na żółto, czerwono i niebiesko. Za oknem zabezpieczonym grubą metalową kratą cicho padał śnieg, zasypując mały ogródek. Przycięty żywopłot, piaskownica i plastikowa zjeżdżalnia dla dzieci mieszkających tu funkcjonariuszy żandarmerii. Dalej widać było białą równinę, a w tle góry odcinające się od czarnego nieba. Servaz znowu pomyślał o Instytucie i jego pacjentach. O Hirtmannie. O jego krwi na moście. Co to znaczy? „W każdej sprawie jest coś takiego, jakiś element, który uparcie nie pasuje do układanki”, jak powiedział Saint-Cyr. Czasami ważny, czasami nie...

O piątej trzydzieści Servaz odwrócił się w fotelu i zarządził przerwę. Ziegler wyglądała na wyczerpaną. W jej twarzy można było wyczytać frustrację. Nic. W dokumentach nie było absolutnie niczego, co uprawniałoby do postawienia hipotezy o nadużyciach seksualnych. Najdrobniejszego załączka poszlaki. W ostatnim raporcie Saint-Cyr doszedł do tego samego wniosku. Na marginesie zapisał ołówkiem: „Nadużycia seksualne? Brak dowodów”. Pytanie było jednak podkreślone podwójną linią. W pewnym momencie Servaz chciał opowiedzieć Ziegler o ośrodku kolonijnym, ale zrezygnował. Był za bardzo zmęczony i nie czuł się na siłach.

Irène spojrzała na zegarek.

– Myślę, że teraz już do niczego nie dojdziemy. Powinniśmy iść się trochę przespać.

– Pasuje mi. Wracam do hotelu. Spotkanie w sali zebrań o dziesiątej. A ty gdzie nocujesz?

– Tutaj. Udostępnili mi mieszkanie żandarma, który jest na urlopie. Dzięki temu administracja trochę zaoszczędzi.

Servaz kiwnął głową.

– No tak, w tych czasach liczy się każdy grosz, co?

– Jeszcze nigdy nie prowadziłam takiego śledztwa – powiedziała Ziegler, wstając. – Najpierw martwy koń, potem aptekarz powieszony na moście. I jeden punkt wspólny: DNA seryjnego mordercy... A teraz jeszcze fala samobójstw nastolatków. To jest jak jakiś zły sen. Zero logiki, zero myśli przewodniej. Może kiedy się obudzę, okaże się, że tego wszystkiego nigdy nie było.

– Będzie pobudka – rzucił Servaz zdecydowanym głosem. – Ale nie dla nas. Dla winnego albo winnych. I to już wkrótce.

Wyszedł i oddalił się szybkim krokiem.

Śnił mu się ojciec. W tym śnie Servaz był dziesięcioletnim chłopcem. Wszystko spowijała przyjemna atmosfera ciepłej, letniej nocy. Ojciec był tylko zarysem postaci, tak jak dwie inne osoby, z którymi rozmawiał przed domem. Gdy młody Martin podszedł bliżej, zauważył, że te osoby to starcy ubrani w obszerne białe togi. Obydwaj byli brodaci. Wśliznął się między nich i podniósł głowę, ale cała trójka nie zwracała na niego uwagi. Nadstawiając ucha, chłopiec uświadomił sobie, że mówią po łacinie. Rozmowa była bardzo ożywiona, ale uprzejma. W pewnym momencie jego ojciec się roześmiał, a potem spoważniał. Z domu dochodziła też muzyka – wydawała się Servazowi znajoma, ale w pierwszej chwili nie mógł jej rozpoznać.

Następnie w ciemności, daleko, od strony drogi, usłyszał hałas silnika. Trzej mężczyźni natychmiast zamilkli.

– Jada – powiedział wreszcie jeden ze starców.

Jego głos brzmiał złowieszczo i Servaz zaczął dygotać przez sen.

Przyjechał na posterunek żandarmerii z dziesięciminutowym opóźnieniem. Potrzebował dużego kubka czarnej kawy, dwóch papierosów i gorącego prysznica, żeby odegnać oblepiające go zmęczenie. I nadal piekło go w gardle. Ziegler była na miejscu. Znowu miała na sobie kombinezon ze skóry i tytanu, który wyglądał jak nowoczesna odzież bojowa, i Servaz przypomniał sobie, że przed budynkiem żandarmerii widział jej motocykl. Ustalili, że odwiedzą rodziców samobójców, i podzielili się adresami. Trzy dla Servaza, cztery dla Ziegler. Postanowił zacząć od pierwszej osoby z listy: Alice Ferrand. Adres z sąsiedniej wioski. Spodziewał się zobaczyć złamanych smutkiem rodziców w podeszłym wieku. Jakież było jego zdumienie, gdy stanął twarzą w twarz z wysokim, uśmiechniętym mężczyzną w sile wieku, który otworzył mu boso i z obnażonym torsem, ubrany tylko w lniane spodnie w kolorze écru, zawiązane w pasie sznurkiem!

Szok sprawił, że Servazowi zajęło chwilę, zanim wybełkotał, kim jest i jaki jest powód jego wizyty.

Ojciec Alice natychmiast zrobił się podejrzliwy.

– Ma pan legitymację?

– Proszę.

Mężczyzna uważnie przestudiował dokument, po czym oddał mu go wyraźnie rozluźniony.

– Chciałem się upewnić, czy nie jest pan jednym z tych pismaków, którzy od czasu do czasu, gdy spada im nakład, odgrzebują tę sprawę – wytłumaczył. – Proszę, niech pan wejdzie.

Gaspard Ferrand usunął się i wpuścił Servaza do środka. Policjant nie mógł nie zwrócić

uwagi na opalony tors bez grama tłuszczu, za to z odrobiną siwego zarostu na wysokości mostka, skórę na klatce piersiowej ogorzałą i napiętą jak płótno namiotowe i brązowe sutki jak u starca. Ferrand zauważył jego spojrzenie.

– Proszę wybaczyć mój strój. Właśnie ćwiczyłem jogę. Joga bardzo mi pomogła po śmierci Alice. Także buddyzm.

Servaz w pierwszej chwili był zaskoczony, ale przypomniał sobie, że ojciec Alice nie jest prostym urzędnikiem czy robotnikiem, jak pozostali rodzice, ale wykładowcą literatury. Bez trudu wyobraził sobie człowieka dysponującego dużą ilością wolnego czasu, lubiącego się w egzotycznych podróżach: Bali, Tajlandia, Karaiby, Rio de Janeiro, Malediwy...

– Jestem zdziwiony, że policja znowu interesuje się tą historią.

– Właściwie to prowadzę śledztwo w sprawie śmierci aptekarza, Grimma.

Ferrand się odwrócił. Servaz wyczytał zaskoczenie w jego oczach.

– I sądzi pan, że jest jakiś związek między śmiercią Grimma i samobójstwem mojej córki albo reszty tych młodych nieszczęśników?

– Próbuję to ustalić.

Gaspard Ferrand zmierzył go od stóp do głów czujnym wzrokiem.

– Nie widać żadnego oczywistego związku. Dlaczego bierze go pan pod uwagę?

Niegłupie. Servaz wahał się z odpowiedzią. Gaspard Ferrand zauważył jego zakłopotanie, a także fakt, że wciąż stoją w wąskim korytarzu, on bez koszulki, a gość opatulony w zimową kurtkę. Wskazał otwarte drzwi do salonu.

– Kawy, herbaty?

– Kawy, jeśli to nie problem.

– Ależ skąd, żaden problem. Ja się napiję herbaty. Proszę spocząć, zaraz przygotuję – rzucił i zniknął w kuchni po przeciwnej stronie korytarza. – Niech się pan rozgości!

Servaz nie spodziewał się tak ciepłego przyjęcia. Najwyraźniej ojciec Alice lubił przyjmować gości – nawet jeśli gościem jest gliniarz, który przyszedł go przepytować w sprawie córki, która piętnaście lat temu popełniła samobójstwo. Servaz rozejrzał się dookoła. W salonie panował wielki bałagan. Tak jak u Servaza, wszędzie wałały się książki i czasopisma: na ławie, na fotelach, na szafkach. I kurz... Samotny mężczyzna? Czy Gaspard Ferrand jest wdowcem czy rozwodnikiem? To by tłumaczyło jego gorliwość w podejmowaniu gościa. Na jednej z szafek zauważył kopertę Akcji na rzecz Walki z Głodem. Servaz rozpoznał niebieskie logo na szarym ekologicznym papierze. On także był członkiem wspierającym tę organizację. W cyfrowej ramce ojciec Alice raz po raz pojawiał się w towarzystwie osób, które przypominały to południowoamerykańskich, to azjatyckich chłopów; w tle widać było dżungle i pola ryżowe. Servaz domyślił się, że podróże Ferranda nie polegają tylko na opalaniu się na plażach Antyli, nurkowaniu i wypijaniu litrów daiquiri.

Opadł na sofę. Obok kolejny stos książek na pięknym taborecie w kształcie słonia, zrobionym z ciemnego drewna. Servaz próbował przywołać afrykańską nazwę mebla: *esono dwa...*

Z korytarza doleciał do jego nozdrzy zapach kawy. Ferrand pojawił się z tacą, na której stały dwa dymiące kubki, cukiernica i szczypcy do cukru. Przyniósł też album ze zdjęciami, który podał Servazowi, postawiwszy tacę na ławie.

– Proszę.

Servaz otworzył album. Tak jak się spodziewał, zdjęcia Alice: Alice w wieku czterech lat w samochodziku na pedały; Alice podlewająca kwiaty konewką prawie tak dużą jak ona; Alice z matką – szczupłą, zamyśloną kobietą o nosie wydatnym jak u Virginii Woolf; dziesięcioletnia Alice w krótkich spodenkach, grająca w nogę z chłopcami w jej wieku, pędząca z piłką do bramki przeciwnika, z zaciętą, zdecydowaną miną. Prawdziwa mała chłopczyca. A zarazem zachwycająca, inteligentna dziewczynka. Gaspard Ferrand opadł na sofę obok niego. Na opalony tors włożył koszulę ze stójką w tym samym kolorze co spodnie.

– Alice była wspaniałym dzieckiem. Łatwa we współzyciu, zawsze wesoła, uczynna. Była naszym promykiem słońca. – Ferrand uśmiechał się, jakby wspomnianie Alice nie było dla niego bolesne, ale przyjemne. – Była też bardzo inteligentna. Miała wiele uzdolnień: rysunek, muzyka, języki, sport, pisanie... Pożerała książki. W wieku dwunastu lat wiedziała już, co chce robić w przyszłości: chciała zostać miliarderką, żeby rozdawać pieniądze tym, którzy są w największej potrzebie. – Gaspard Ferrand wybuchnął dziwnym, skrzekliwym śmiechem. – Nigdy nie pojęliśmy, dlaczego to robiła. – Tym razem jego głos zaczął się łamać. Ale mężczyzna się pozbiierał. – Dlaczego tak musi być, że wyrywa się z nas to, co w nas najlepszego, a potem zostajemy i musimy dalej żyć? Przez piętnaście lat zadawałem sobie to pytanie. Dziś znam już odpowiedź. – Rzucił Servazowi tak dziwne spojrzenie, że ten zastanawiał się przez chwilę, czy ojciec Alice nie postradał rozumu. – Ale to odpowiedź, którą każdy musi znaleźć we własnym wnętrzu. Chcę przez to powiedzieć, że nikt nie może jej pana nauczyć ani odpowiedzieć za pana. – Gaspard Ferrand badał komendanta przenikliwym spojrzeniem, by sprawdzić, czy dobrze zrozumiał jego słowa. Servaz poczuł się bardzo niekomfortowo. – Ale widzę, że wprawiam pana w zakłopotanie – zauważył gospodarz. – Proszę mi wybaczyć. Tak to jest, jak człowiek żyje sam. Moja żona zmarła na raka dwa lata po odejściu Alice. Zatem interesuje się pan falą samobójstw sprzed piętnastu lat w ramach śledztwa w sprawie śmierci aptekarza. Dlaczego?

– Żadne z dzieci nie zostawiło listu z wyjaśnieniami? – zapytał Servaz, zamiast odpowiedzieć.

– Żadne. Ale to nie znaczy, że go nie było. Mam na myśli wyjaśnienie. Istnieje jedna przyczyna wszystkich tych samobójstw, te dzieciaki skończyły ze sobą z jednego, ściśle określonego powodu. Nie tylko dlatego, że stwierdziły, że życie nie jest warte, by je przeżyć.

Ferrand spojrzął na Servaza. Policjant zastanawiał się, czy ojciec Alice wie o plotkach, jakie krążyły na temat Grimma, Perraulta, Chaperona i Mourrenx.

– Czy córka zmieniła się jakiś czas przed samobójstwem?

Ferrand pokiwał głową.

– Tak. Nie od razu to zauważyliśmy. Dostrzegaliśmy zmiany stopniowo: Alice nie śmiała się już tak dużo jak dawniej, częściej się złościła, więcej czasu spędzała sama w pokoju. Takie szczegóły. Któregoś dnia chciała skończyć z grą na pianinie. Nie opowiadała nam już o swoich planach, tak jak to wcześniej robiła.

Servaz poczuł, że w jego żyłach zaczyna płynąć lód. Przypomniał sobie, jak Alexandra zatelefonowała do niego do hotelu. Przed oczyma stanął mu też siniak na policzku Margot.

– I nie wie pan, kiedy to się dokładnie zaczęło?

Mężczyzna się zawahał. Servaz miał dziwne wrażenie, jakby ojciec Alice doskonale pamiętał moment, kiedy jego córka zaczęła się zmieniać, ale nie chciał o tym mówić.

– Powiedziałbym, że kilka miesięcy przed samobójstwem. Żona zrzucała to na karb okresu dojrzewania.

– A pan? Czy pan także uważa, że to były naturalne zmiany?

Ferrand rzucił mu dziwne spojrzenie.

– Nie – powiedział po chwili zdecydowanym głosem.

– Co jej się stało według pana?

Ojciec Alice tak długo milczał, że Servaz o mało nie chwycił go za ramię, by nim potrząsnąć.

– Nie wiem – odrzekł, nie spuszczać oczu z Servaza – ale jestem pewien, że coś się wydarzyło. Ktoś w tej dolinie wie, dlaczego nasze dzieci popełniły samobójstwo.

W odpowiedzi, podobnie jak w brzmieniu jego głosu, było coś zagadkowego, co zwróciło uwagę komendanta. Chciał go poprosić o sprecyzowanie tej myśli, gdy w jego kieszeni zabręczała komórka.

– Przepraszam pana – powiedział, wstając.

To był Maillard. W głosie oficera żandarmerii było słycać napięcie.

– Właśnie odebraliśmy dziwny telefon. Od jakiegoś człowieka, który maskował głos. Chciał z panem rozmawiać. Powiedział, że to pilne, że ma informacje na temat śmierci Grimma. Ale chciał mówić tylko z panem. To oczywiście nie pierwszy telefon tego typu, jaki odbieramy, ale... nie wiem... ten brzmiał... *poważnie*. Ten człowiek jakby się czegoś bał.

– Bał? Jak to: bał? Jest pan pewien?

– Tak. Dałbym sobie uciąć rękę.

– Daliście mu mój numer?

– Tak. Nie powinniśmy?

– Bardzo dobrze zrobiliście. A macie jego numer?

– Dzwonił z komórki. Rozłączył się, kiedy tylko podaliśmy mu pana telefon. Próbowaliśmy oddzwonić, ale ciągle odzywa się poczta głosowa.

– Udało wam się go zidentyfikować?

– Nie, jeszcze nie. Będziemy musieli się zwrócić do operatora.

– Niech pan zadzwoni do Confianta i kapitan Ziegler! Nie mam czasu się tym zajmować! Niech pan im wyjaśni, jaka jest sytuacja. Musimy ustalić tożsamość tego gościa. Niech pan to zrobi natychmiast!

– Dobrze. Na pewno do pana zadzwoni – zauważył żandarm.

– Kiedy dzwonił?

– Niespełna pięć minut temu.

– W porządku. Na pewno niedługo do mnie zadzwoni. Tymczasem niech pan powiadomi Confianta. I Ziegler! Może facet się nie przedstawi, a może to fałszywy alarm. Ale musimy mieć jego tożsamość!

Rozłączył się. Był napięty jak cięciwa łuku. Co się dzieje? Kto próbował się z nim połączyć? Chaperon? Ktoś inny? Ktoś, kto się bał...

Bał się też, by żandarmi z Saint-Martin go nie rozpoznali. Dlatego maskował głos.

– Jakież kłopoty? – zapytał Ferrand.

– Raczej pytania – odpowiedział Servaz z nieobecną miną. – A może i odpowiedzi.

– Wykonuje pan trudny zawód.

Servaz nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Jest pan pierwszym profesorem, który mi to mówi.

– Nie powiedziałem, że zaszczytny.

Servaz poczuł się dotknięty tym niedopowiedzeniem.

– A dlaczego nie?

– Jest pan na usługach władzy.

Servaz poczuł, że znów ogarnia go gniew.

– Są tysiące mężczyzn i kobiet, którzy zajmują się tylko służeniem władzy, jak to pan nazywa, i poświęcają swoje życie rodzinne, swoje weekendy i swój sen po to, by być ostatnią zaporą, ostatnią barierą dla...

– Barbarzyństwa? – podsunął Ferrand.

– Tak. Może pan ich nienawidzić, krytykować i gardzić nimi, ale nie może się pan bez nich obejść.

– Tak samo jak nie można się obejść bez tych nauczycieli, których się krytykuje, nienawidzi i którymi się pogardza – powiedział Ferrand z uśmiechem. – Zrozumiałem przekaz.

– Chciałbym obejrzeć jej pokój.

Ferrand rozprostował swoje długie ciało odziane w len.

– Proszę za mną.

Servaz zauważył kłęby kurzu na schodach i dawno niewycieraną poręcz. Samotny mężczyzna. Tak jak on. Jak Gabriel Saint-Cyr. Jak Chaperon. Jak Perrault. Pokój Alice znajdował się nie na pierwszym piętrze, ale na samej górze, na poddaszu.

– To tutaj. – Gospodarz wskazał mu białe drzwi z miedzianą klamką.

– Czy... czy wyrzucił pan jej rzeczy, remontował pokój od tamtego czasu?

Tym razem uśmiech Ferranda zniknął, a w jego miejsce pojawił się niemal rozpaczliwy grymas.

– Niczego nie dotykaliśmy.

Odwrócił się na pięcie i zszedł na parter. Servaz przez dłuższą chwilę stał nieruchomo. Z kuchni na dole usłyszał brzęk zmywanych naczyń. Nad jego głową znajdowała się mała lukarna oświetlająca niewielką przestrzeń poddasza. Servaz zauważył, że na szybie leży delikatna, półprzezroczysta warstwa śniegu. Wziął głęboki oddech. Wszedł do środka.

Pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła, była cisza.

Na pewno potęgował ją sypiący na zewnątrz śnieg, który tłumił dźwięki. Ale ta cisza była szczególnie. Drugą rzeczą był ziąb. Ogrzewanie było zakręcone. Ciche i zimne jak grób pomieszczenie sprawiło, że zadrżał. Było oczywiste, że ktoś tu kiedyś mieszkał. Młoda dziewczyna, taka jak wszystkie nastolatki. Zdjęcia na ścianach. Biurko, półki, szafa. Komoda, a nad nią lustro. Łóżko z dwiema szafkami nocnymi. Meble wyglądały jak wygrzebane na starociach, a następnie pomalowane w żywe kolory, z przewagą pomarańczowego i żółtego, kontrastujące z fioletem ścian i bielą wykładziny.

Abażury małych lampek na szafkach nocnych były pomarańczowe, komoda i rama lustro – żółte. Na jednej ze ścian duży plakat przedstawiający jasnowłosego piosenkarza, z wielkim napisem KURT. Po białej wykładzinie walały się botki, apaszka, czasopisma, książki i płyty kompaktowe. Przez dłuższą chwilę Servaz tylko stał i chłonał ten chaos. Skąd brało się wrażenie rozrzedzonego powietrza? Z pewnością stąd, że wszystko w tym pokoju pozostało nietknięte, jakby trwało w zawieszeniu. Wszystko oprócz kurzu. Nikt nie zadał sobie trudu, by choć w minimalnym stopniu uporządkować te rzeczy, tak jakby rodzice chcieli zatrzymać czas

i zrobić z tego pomieszczenia jakieś muzeum czy mauzoleum. Nawet teraz, po tylu latach, pokój sprawiał wrażenie, jakby Alice miała się w którymś momencie pojawić i zapytać Servaza, co tu robi. Ile razy przez wszystkie te lata jej ojciec wchodził tu i doświadczał tego samego uczucia? Servaz pomyślał, że na jego miejscu najpewniej by zwariował, mając nad głową ten nietknięty pokój i codziennie przeżywając pragnienie, by wejść po schodach i otworzyć te drzwi po raz kolejny – już ostatni... Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Droga z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej biała. Następnie wziął jeszcze jeden oddech, odwrócił się i zaczął przeszukiwanie.

Na biurku pobojuwisko: podręczniki szkolne, gumki do włosów, nożyczki, kilka kubków na ołówki, chusteczki higieniczne, opakowania po cukierkach, różowa karteczka samoprzylepna, na której Servaz przeczytał notatkę: *Biblioteka, 12.30*; atrament z czasem wyblakł. Kalendarzyk z notatnikiem adresowym spięty gumką, kalkulator, lampka. Otworzył kalendarzyk. 25 kwietnia, na tydzień przed śmiercią, Alice napisała: *Oddać książkę Emmie*. Przy dacie 29 kwietnia: *Charlotte*. Przy 30 kwietnia, trzy dni przed tym, jak się powiesiła: *Klasówka z matmy*. Okrągłe, wyraźne pismo. Jej ręka nie drżała. Servaz odwrócił strony. 11 sierpnia wzmianka: *Urodziny Emmy*. Alice nie żyła już wtedy od ponad trzech miesięcy. Data zaznaczona z dużym wyprzedzeniem. Gdzie Emma jest dzisiaj? Kim została? Wyliczył, że powinna mieć około trzydziestki. Nawet po tak długim czasie na pewno od czasu do czasu wspomina to koszmarnie lato 1993 roku. I wszystkie te śmierci. Nad biurkiem przypięty pinezkami rozkład zajęć i kalendarz. Letnie wakacje zaznaczone żółtym markerem. Wzrok Servaza zatrzymał się na pamiętnym dniu 2 maja. Niczym się nie różnił od pozostałych. Jeszcze wyżej drewniana półka z książkami, puchary z zawodów judo, świadczące o jej osiągnięciach w tej dziedzinie, i magnetofon kasetowy.

Odwrócił się ku nocnej szafce. Na blacie oprócz dwóch lampek z pomarańczowymi abażurami stał budzik, kolejne pudełko chusteczek, konsola do gier Game Boy, pinceta, lakier do paznokci, powieść w wydaniu kieszonkowym z zakładką w środku. Otworzył szuflady.

Fantazyjna papeteria, kuferek wypełniony bezwartościową biżuterią, paczka gumy do żucia, flakonik perfum, dezodorant w shtyfcie, baterie.

Obmacał szuflady od spodu.

Nic.

W biurku segregatory, zeszyty i podręczniki szkolne, tony długopisów, mazaków, spinaczy. W środkowej szufladzie kołnotatnik pełen szkiców. Servaz go otworzył: uznał, że Alice miała prawdziwy talent. Jej rysunki wykonane ołówkiem albo mazakiem zdradzały pewną rękę i bystre oko – nawet jeśli większość z nich trąciła jeszcze pewnym akademizmem. W dolnej znowu gumki do włosów i szczotka, na której zostało kilka blond włosów, obcinacz do paznokci, parę szminek, ale także fiolka aspiryny, papierosy mentolowe, zapalniczka z przezroczystego plastiku... Otworzył segregatory i zeszyty z pierwszej szuflady: prace domowe, wypracowania, brudnopisy... Odłożył je na bok i podszedł do małej wieży stereo z funkcją radia i odtwarzacza CD, stojącej na podłodze w kącie pokoju. Wieża również była pokryta warstwą kurzu. Servaz dmuchnął na nią, wzniecając szarą chmurę. Otwierał jedna po drugiej szufladki na płyty. Nic. Następnie podszedł do dużego lustra i ściany obwieszanej zdjęciami. Niektóre były zrobione z tak bliska, że pozujące osoby wyglądały, jakby przykleiły nos do obiektywu. Na innych w tle za fotografowanymi postaciami widać było pejzaże: góry, plaże, a nawet kolumny Partenonu. Zdjęcia przedstawiały najczęściej dziewczęta w wieku Alice. Twarze się powtarzały.

Gdziekolwiek jeden czy dwóch chłopców wmieszanych w tę grupę. Ale żaden nie wyglądał na jakiegoś szczególnego wybranka osoby fotografującej. Wycieczki szkolne? Servaz przez dłuższą chwilę przyglądał się zdjęciom. Z biegiem czasu ich papier pożółkł i zeszywniał.

Czego właściwie szuka? Nagle zatrzymał wzrok na jednym ze zdjęć. Dziesiątka młodych ludzi, w tym Alice, obok zardzewiałej tablicy. Ośrodek kolonijny Les Isards! Alice była jedną z tych osób, które bywały w ośrodku. Servaz zauważył też, że dziewczyna zawsze znajdowała się w centrum zdjęć, do których pozowała. Najładniejsza, najbardziej ujmująca – przykuwająca uwagę.

Lustro.

Było pęknięte.

Ktoś rzucił w nie jakimś przedmiotem – na tafli widać było gwiaździsty ślad po uderzeniu i długą pionową rysę. Alice? A może jej ojciec w chwili rozpaczy?

Widokówki wsunięte za ramę lustra. Także pożółkłe. Wysłane z takich miejsc, jak Île de Ré, Wenecja, Grecja czy Barcelona. Z czasem niektóre z nich pospadały na komodę lub podłogę. Jego uwagę zwróciła jedna z pocztówek. *Paskudna pogoda, brakuje mi Ciebie*. Podpisano: *Emma*. Na komodzie arafatka, bibeloty, płatki do demakijażu i niebieskie pudełko po butach. Servaz je otworzył. Listy... Poczł zimny dreszcz, wspominając korespondencję samobójców, która znajdowała się w kartonie Saint-Cyra. Przejrzał wszystkie po kolei. Naiwne albo zabawne, pisane czerwonym lub fioletowym atramentem. Powtarzające się podpisy. Nie znalazł najdrobniejszej aluzji do tego, co miało się wydarzyć. Pomyślał, że trzeba by porównać charakter pisma z listami z kartonu, ale zaraz sobie uzmysłowił, że na pewno już to zrobiono. Szufłady w komodzie. Zajrzał pod kupki T-shirtów, bielizny, prześcieradeł i poszewek. Potem uklęknął na wykładzinie i wsunął głowę pod łóżko. Koty kurzu tak wielkie, że można by nimi wypchać pierzynę. I pokrowiec na gitarę.

Wyjął go na wierzch i otworzył. Na pudle instrumentu popękany lakier, zerwana struna H. Servaz rzucił okiem do środka: nic. Na łóżku kołdra w kolorowe romby. Przez dłuższy czas przeglądał leżące na niej płyty. Guns N'Roses, Nirvana, U2... Same angielskie tytuły. Pokój wyglądał jak muzeum lat dziewięćdziesiątych. Bez Internetu, komputera, telefonu komórkowego. Świat zmienia się za szybko jak na jedno ludzkie życie, pomyślał Servaz. Odwrócił poduszki, prześcieradło i kołdrę, przeciągnął dłonią pod materacem. Łóżko nie wydzielało żadnego szczególnego zapachu – poza wonią kurzu, który je pokrywał i wzbijał się aż do sufitu.

Obok łóżka niewysoki fotel typu voltaire. Również pomalowany przez kogoś (Alice?) na pomarańczowo. Stara wojskowa bluza przerzucona przez oparcie. Uderzył dłonią w siedzenie, ale wznicił tylko kolejny tuman kurzu. Potem usiadł, rozejrzał dookoła. Próbował pozwolić myślom swobodnie płynąć.

Co widzi?

Pokój młodej dziewczyny, typowej, ale dojrzalszej niż większość dziewcząt w jej wieku.

Wśród książek Servaz zauważył *Człowieka jednowymiarowego* Marcusego, *Biesy* oraz *Zbrodnię i karę*. Kto jej podsunął takie lektury? Z pewnością nie te przyjaciółeczki o dziecięcych buziach. Potem przypomniał sobie, że jej ojciec wykłada literaturę. Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju.

Elementem dominującym w tym pomieszczeniu są teksty, słowa, pomyślał. Książki, widokówki, listy... Wszystkie napisane przez innych. A gdzie są słowa Alice? Czy to możliwe,

żeby dziewczyna, która pożera książki i wyraża siebie poprzez rysunek i grę na gitarze, nigdy nie odczuwała potrzeby pisania? Życie Alice zatrzymało się 2 maja, a po jej ostatnich dniach nigdzie nie było śladu. Niemożliwe, powiedział do siebie. Żadnego dziennika, nic. Coś tu nie gra. Czy dziewczyna w tym wieku, inteligentna, ciekawa, bez wątplenia pełna egzystencjalnych pytań, a przede wszystkim zrozpaczona tak bardzo, że odebrała sobie życie, mogła nie prowadzić jakiegoś dziennika? Nie zapisywać swojego stanu ducha choćby w notesie lub na luźnych kartkach? Dzisiaj młodzi ludzie mają blogi, komunikatory, własne konta na portalach społecznościowych – ale w tamtych czasach tylko papier i atrament mogły przyjąć ich pytania, wątpliwości i tajemnice.

Wstał i przejrzał po kolei wszystkie zeszyty i szuflady. Nic, tylko szkolne zapiski. Rzucił okiem na wypracowania. Punktacja 18/20, 17/20, 15/20, 19/20... Komentarze nauczyciela również pochlebne jak oceny... Ale osobistych notatek wciąż brak.

Czyżby ojciec Alice jednak zrobił tu porządek?

Ugościł Servaza spontanicznie, powiedział mu, że jest przekonany, iż dzieci odebrały sobie życie z jakiegoś konkretnego powodu. Dlaczego miałyby ukrywać elementy, które mogłyby pomóc w dojściu do prawdy? W oficjalnych sprawozdaniach Servaz nie znalazł najmniejszej wzmianki o istnieniu dziennika. Nic nie wskazywało na to, by Alice go prowadziła. A jednak czuł silniej niż kiedykolwiek, że w tym pokoju czegoś brakuje.

Skrytka... Przecież każda młoda dziewczyna ma coś takiego, prawda?

Gdzie jest skrytka Alice?

Servaz wstał i otworzył szafę. Na wieszakach płaszcze, sukienki, bluzki, dżinsy i kimono z brązowym pasem. Rozsunął je, przejrzał kieszenie. Na dnie rząd butów i botków. Zajrzał do środka każdego z nich, przyświecając sobie kieszonkową latarką. Nad wieszakami półka, na niej kilka walizek i plecak. Położył je na podłodze, wzbudzając prawdziwe tornado kurzu, i przejrzał metodycznie.

Nie. Zaczął się zastanawiać.

Ten pokój na pewno został przetrząśnięty przez wytrawnych detektywów, a może i przez samych rodziców Alice. Czy to możliwe, że nie znaleźli skrytki – jeśli jakaś była? Tylko czy jej szukali? Alice uchodziła w powszechnej opinii za niezwykle uzdolnioną dziewczynę. Czyżby znalazła jakiś wyjątkowo sprytny schowek? A może jego tok rozumowania jest błędny?

Cóż on wie na temat myśli i marzeń szesnastoletniej dziewczyny? Jego własna córka kilka miesięcy temu skończyła siedemnaście lat, a on nie jest w stanie powiedzieć, jak wygląda jej pokój. Z tego prostego powodu, że nigdy tam nie był. Na tę myśl zrobiło mu się nieswojo. Servaz poczuł gdzieś na obrzeżach mózgu jakieś łaskotanie, jakby swędzenie. Przeoczył coś podczas przeszukania pokoju. A może nie ma tu czegoś, co z całą pewnością powinno być? *Myśl!* Czuł, że jest blisko. Instynkt podpowiadał mu, że czegoś brakuje. Ale czego? CZEGO? Jeszcze raz rozejrzał się wokół siebie. Ponownie sprawdził wszystko, nawet listwy podłogowe i klepki parkietu pod białą wykładziną. Niczego nie znalazł. A jednak jego podświadomość coś znalazła, był tego pewien, nawet jeśli jeszcze w tej chwili nie potrafił tego wskazać palcem.

Unoszący się w powietrzu kurz sprawił, że Servaz kichnął. Wyjął z kieszeni chusteczkę.

I nagle przypomniał mu się telefon.

Żadnego połączenia! Minęła godzina i nadal nikt nie zadzwonił! Poczuł, że skręca mu się żołądek. Psiakrew, co się dzieje z tym człowiekiem? Dlaczego się nie odzywa?

Servaz wyjął telefon z kieszeni i przyjrzał mu się. Opanował odruch paniki: telefon był wyłączony! Spróbował go włączyć. Rozładowany! Cholera!

Wypadł z pokoju i zbiegł po schodach, przeskakując po kilka stopni. Gdy pędził przez korytarz, Gaspard Ferrand wychylił głowę przez kuchenne drzwi.

– Zaraz wracam! – rzucił Servaz, otwierając z impetem drzwi wyjściowe.

Na zewnątrz szalała zamieć. Wiatr się wzmógł. Szosa była biała, w powietrzu wirowały płatki śniegu. Czym prędzej otworzył drzwi zaparkowanego po drugiej stronie ulicy jeepa i sięgnął do schowka po ładowarkę. Biegiem wrócił do domu.

– Nic, nic! – uspokoił osłupiałego Ferranda.

Wzrokiem poszukał kontaktu. Znalazł jeden w korytarzu i podłączył ładowarkę. Odczekał pięć sekund i włączył komórkę. Cztery wiadomości! Właśnie miał przeczytać pierwszą, gdy rozległ się dzwonek.

– Servaz! – zawołał.

– CO PAN, DO CHOLERY, WYPRAWIA?!

W głosie było słycać totalną panikę. Servaz też ledwie nad sobą panował. W uszach słyszał szum pulsującej w skroniach krwi. Tym razem mężczyzna nie maskował głosu, ale Servaz go nie rozpoznawał.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Serge Perrault, jestem przyjacielem...

Perrault!

– Wiem, kim pan jest! – przerwał mu.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Muszę z panem porozmawiać, natychmiast! – rzucił Perrault.

– Gdzie?! – wrzasnął Servaz. – Gdzie?!

– Przy gondolach, na górze. Za kwadrans.

– Na górze przy czym?

– Przy kolejce linowej, cholera. Na Saint-Martin 2000, obok wyciągu. Będę tam. Szybko, do kurwy nędzy! A więc pan nie rozumie: Teraz moja kolej! Niech pan przyjedzie sam!

Niebo było ciemne, a ulice białe. Servaz zapalił silnik. Na zewnątrz nadal kłębił się śnieg. Włączył wycieraczki i zadzwonił do Ziegler.

– Gdzie jesteś? – zapytał, kiedy odebrała.

– U rodziców – odpowiedziała ściszym głosem. Zrozumiał, że nie jest sama.

– To znaczy gdzie?

– Przy wyjeździe z miasta, a o co chodzi?

W kilku słowach streścił telefon Perraulta i jego wołanie o pomoc.

– Jesteś bliżej ode mnie – zauważył. – Jedź tam! Nie mamy ani minuty do stracenia! Czeka na nas na górze.

– Może by powiadomić żandarmerię?

– Nie ma czasu! Jedź!

Servaz się rozłączył. Opuścił osłonę przeciwsłoneczną z napisem POLICJA, przyczepił na dach magnetycznego koguta i włączył syrenę. Jak długo będzie tam jechał? Gaspard Ferrand nie mieszkał w Saint-Martin, ale w wiosce położonej pięć kilometrów od miasta. Ulice były zasypane śniegiem. Servaz wyliczył, że dotarcie do parkingu przy kolejce, znajdującego się w centrum miasta, zajmie mu dobry kwadrans. Jak długo kolejka jedzie na górę? Piętnaście minut? Dwadzieścia?

Ruszył z piskiem opon, z wyjącą syreną, odprowadzany wzrokiem przez stojącego na progu zdezorientowanego Ferranda. Na końcu ulicy były światła. Paliło się czerwone. Servaz już miał przejechać, gdy zobaczył, że z prawej strony nadjeżdża ogromna ciężarówka. Z całej siły wcisnął pedał hamulca. Poczuł, że traci kontrolę. Jeep stanął w poprzek na środku skrzyżowania; stalowy mastodont musnął go, wyjąc klaksonem. Bębni Servaza o mało nie pękły od rozzwierającego ryku. Jednocześnie uderzenie strachu, jak cios pięścią w splot słoneczny. Stracił oddech. Jego palce były białe od ściskania kierownicy. Wrzucił jedynekę i ruszył. Nie miał czasu się zastanawiać, i tak chyba było lepiej. Przed chwilą otarły się o niego nie tylko trzydzieści dwie tony stali, ale sama śmierć w metalowej puszcze!

Na następnym skrzyżowaniu skręcił w prawo i wyjechał z wioski. Przed nim rozciągała się biała równina. Niebo wciąż wyglądało groźnie, ale śnieg przestał sypać. Przyśpieszył.

Wjechał do Saint-Martin od wschodu. Na pierwszym rondzie pomylił zjazd. Zawrócił, przeklinając i waląc w kierownicę, ściągając na siebie zdumione spojrzenia innych kierowców. Na szczęście ruch był niewielki. Jeszcze dwa rondo. Minął kościół i znalazł się na avenue d'Étigny, w handlowym i kulturalnym centrum miasta z hotelami, modnymi butikami, platanami, kinem i kawiarniami. Po obu stronach jezdni stały zaparkowane samochody. Na środku ulicy, w koleinach zostawionych przez dziesiątki samochodów, śnieg zmienił się w szare błoto. Przed samym kinem Servaz skręcił w prawo. Tablica ze strzałką informowała: KOLEJ

LINOWA.

Duży parking na końcu ulicy. Rozległy plac, a nad nim góry. Servaz ujrzał naprzeciw niebotyczne zbocze i długą białą przecinkę wśród jodeł: trasę kolejki linowej. Na pełnym gazie przejechał między rzędami samochodów i gwałtownie wyhamował przed dolną stacją kolejki, znowu wpadając w poślizg. Chwilę później był już na zewnątrz. Dobiegł do wzniesionego na dwóch wielkich betonowych słupach budynku, wspiął się po schodach i dopadł okienek. Jakaś para kupowała bilety. Servaz pomachał odznaką.

– Policja! Ile trwa wjazd na górę?

Mężczyzna za szybą rzucił mu spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Dziewięć minut.

– Nie dałoby się trochę przyśpieszyć?

Mężczyzna spojrzał na niego, jakby to pytanie było bez sensu.

– Ale po co? – spytał.

Servaz zmusił się do zachowania spokoju.

– Nie mam czasu na dyskusje z takim cwaniakiem jak ty. A więc?

– Maksymalna prędkość instalacji to pięć metrów na sekundę – powiedział mężczyzna, miarkując się. – Osiemnaście kilometrów na godzinę.

– No to już, prędkość maksimum! – rzucił Servaz, wskakując do kabiny: kompozytowej skorupy z wielkimi oknami z pleksi i czterema małymi siedzeniami.

Obrotowe ramię zamknęło za nim drzwi. Servaz przełknął ślinę. Zjeżdżając z prowadnicy, wagonik lekko się zakołysał, po czym znalazł się w powietrzu. Policjant wolał usiąść, niż stać w chybotliwej bańce, która szybko wznosiła się ku pierwszej podporze, zostawiając w dole za sobą białe dachy Saint-Martin. Servaz krótko spojrzał za siebie i podobnie jak wtedy, gdy leciał helikopterem, od razu tego pożałował. Nachylenie liny wydało mu się świadectwem typowej dla ludzi zuchwałości i dowodem ich braku odpowiedzialności. Jej średnica była zbyt mała, by mógł się czuć bezpiecznie. Dachy i ulice zmniejszały się w szybkim tempie. Jadące przed nim wagoniki znajdowały się w odległości jakichś trzydziestu metrów jeden od drugiego i kołysały się na wietrze.

Zauważył, że para na dole zrezygnowała z jazdy kolejką i wraca do samochodu. Był sam. Nikt nie wjeżdżał i nikt nie zjeżdżał. Wagoniki były puste. Wszystko spowijała cisza, tylko wiatr wył coraz mocniej.

Znowu zaczęło sypać. Nagle w połowie wzniesienia pojawiła się mgła i Servaz, zanim zrozumiał, co się dzieje, pogrążył się w nierzeczywistym świecie o rozmytych konturach, za jedynych towarzyszy mając jodły, wyłaniające się z mgły jak armia duchów, i zamieć, która wprawiała w wir płatki śniegu wokół wagonika.

Zapomniał broni! W pośpiechu zostawił pistolet w schowku samochodu. Co będzie, jeśli na górze stanie twarzą w twarz z mordercą? Nie mówiąc już o tym, że jeżeli zabójca czeka przy górnej stacji i jest uzbrojony, Servaz stanowi znakomity cel. Nie ma się gdzie ukryć. Plastikowa bańka na pewno nie ochroni go przed kulami.

Ze zdziwieniem stwierdził, że właśnie się modli, żeby się okazało, iż Ziegler zdążyła przed nim. Normalnie powinna już być na górze. Nie wygląda na osobę, która miałaby zapomnieć broni. Jak Perrault zareaguje na jej widok? Prosił, by Servaz przybył sam.

Powinien był zapytać tego cwaniaczka w okienku, czy ją widział. Za późno. Zmierzał

w nieznanym w zawrotnym tempie pięciu metrów na sekundę. Wyjął telefon i wystukał numer Perraulta. Odezwała się poczta głosowa.

Cholera! Dlaczego wyłączył komórkę?

W wagoniku znajdującym się około dwustu metrów wyżej, jadącym w dół, zauważył dwie ciemne postaci. Pierwszy znak ludzkiej obecności, odkąd opuścił dolną stację. Wybrał numer Irène.

– Ziegler.

– Jesteś na górze?

– Nie, w drodze. – Zrobiła chwilę przerwy. – Przepraszam, Martin, motor wpadł w poślizg na śniegu i wyładowałam na chodniku. Mam tylko parę zadrapań, ale musiałam wziąć inny samochód. Gdzie jesteś?

Cholera!

– Mniej więcej w połowie drogi na górę.

W miarę zbliżania się wagonik z dwoma pasażerami wydawał się przyspieszać. Servaz uświadomił sobie, że jeśli dwa wagoniki zbliżają się do siebie w tempie osiemnastu kilometrów na godzinę każdy, razem daje to prędkość trzydziestu sześciu kilometrów na godzinę.

– Wiesz, że na górnej stacji jest burza?

– Nie. Nie wiedziałem o tym. Perrault nie odbiera.

– Masz broń?

Nawet z tej odległości widział, że jeden z pasażerów drugiego wagonika intensywnie go obserwuje. Tak jak on wpatruje się w nich.

– Nie, zostawiłem w samochodzie.

Chwila przynębiającego milczenia.

– Uważaj na siebie...

Zerwane połączenie! Spojrzał na komórkę. Nic! Ponownie wybrał numer. „Brak zasięgu”. Tylko tego brakowało! Spróbował jeszcze dwa razy. Na próżno. Servaz nie wierzył własnym oczom. Gdy podniósł głowę, zauważył, że wagonik jeszcze się przybliżył. Jeden z pasażerów miał na sobie czarną kominiarkę. Servaz widział tylko jego oczy i usta. Drugi był z gołą głową, w okularach. Obydwaj wpatrywali się w niego przez szybę i zasłonę mgły. Jeden wyglądał groźnie. A drugi...

Drugi się bał.

W ułamku sekundy Servaz zrozumiał, co się dzieje. Oceniał całą grozę sytuacji.

Perrault! Wysoki facet ze zdjęcia, z czupryną gęstych włosów, w okularach krótkowidza.

Servaz czuł, jak wali mu serce. Wagonik zbliżał się jak we śnie, jego prędkość była teraz przerażająca. Zostało mniej niż dwadzieścia metrów. Za dwie sekundy się miną. Zwrócił uwagę na pewien szczegół: po stronie przeciwnej do kabiny Servaza drugi wagonik nie miał szyby.

Perrault wpatrywał się w Servaza oczami wytrzeszczonymi z przerażenia. Miał otwarte usta. Krzyczał. Servaz słyszał jego wycie pomimo szyb, wiatru, hałasu bloczków i lin. Jeszcze nigdy na żadnej twarzy nie widział takiej paniki. Wyglądał, jakby zaraz miał pęknąć i rozpaść się na kawałki.

Servaz odruchowo przełknął ślinę. Kiedy kabina minęła jego wagonik i zaczęła się oddalać w przeciwnym kierunku, zobaczył wszystkie szczegóły: Perrault miał linę owiniętą wokół szyi. Lina wychodziła na zewnątrz w miejscu, w którym wyjęto szybę z pleksi, i prowadziła do czegoś

w rodzaju haka znajdującego się poniżej. Może to hak do ściągania rannych na linie zjazdowej przy unieruchomionej kabinie, pomyślał Servaz w nagłym przebłysku. Drugi koniec liny trzymał w ręku człowiek w kominiarce. Servaz wyteżył wzrok. Ale gdy wagoniki się mijaly, mężczyzna rzucił się za ofiarę. Przez głowę policjanta przemknęła szybka myśl:

Znam go! Boi się, że go rozpoznam, nawet w tej kominiarce!

Rozpaczliwie wystukał numer na klawiaturze telefonu. „Brak zasięgu”... W popłochu szukał wzrokiem jakiegoś przycisku alarmowego, słuchawki, czegokolwiek... Nic! Kurwa mać! Można zdechnąć w tej kabinie jadącej pięć metrów na sekundę! Servaz odwrócił się w stronę zjeżdżającego wagonika. Ostatni raz jego wzrok skrzyżował się z przerażonym spojrzeniem Perraulta. Gdyby miał gnata, mógłby przynajmniej... Co by mógł? Co by zrobił? I tak kiepsko strzela. Na testach, które przechodzi co roku, za każdym razem załamuje instruktora swoimi beznadziejnymi wynikami. Patrzył, jak wagonik z dwoma mężczyznami znika we mgle.

Wstrząsnął nim nerwowy śmiech. Miał ochotę wyć.

Z wściekłości uderzył pięścią w szybę. Chwila, która nastąpiła potem, była jedną z najdłuższych w jego życiu. Trwało to pięć minut – pięć niekończących się minut, znaczonych upiorną defiladą jodeł, które sunęły we mgle jak żołnierze piechoty – aż pojawiła się górna stacja kolejki. Niewielki, przysadzisty budynek, postawiony, tak jak ten na dole, na masywnych betonowych słupach. Powyżej Servaz zauważył opustoszałe trasy narciarskie, nieruchome wyciągi i tonące we mgle zabudowania. Na peronie jakiś facet obserwował zbliżający się wagonik. Gdy drzwiczki się otworzyły, Servaz wyskoczył z kabiny i z odznaką w dłoni rzucił się ku człowiekowi w mundurze.

– Proszę wszystko zatrzymać! Natychmiast! I zablokować kabiny!

Pracownik rzucił mu zdumione spojrzenie spod daszka służbowej czapki.

– Co?

– Może pan zablokować kabiny? Tak czy nie?!

Wiatr wył. Servaz musiał krzyczeć jeszcze głośniejsze. Najwyraźniej jego wściekłość i niecierpliwość zrobiły na mężczyźnie wrażenie.

– Tak, ale...

– Więc niech pan wszystko zatrzyma! I zadzwoni na dół! Macie tu łączność telefoniczną?

– Tak, oczywiście!

– NIECH PAN WSZYSTKO ZATRZYMA! NATYCHMIAST! I PODA MI TELEFON! SZYBKO!

Pracownik rzucił się do środka. Gorączkowo mówił coś do mikrofonu, po czym z niepokojem popatrzył na Servaza i opuścił dźwignię. Wagoniki wyhamowały, wydając ostatni zgrzyt. Do policjanta dotarło teraz, jaki hałas panował tu wcześniej. Chwytał za telefon i wystukał numer żandarmerii. Odebrał oficer dyżurny.

– Niech mi pan da Maillarda! Mówi komendant Servaz! SZYBKO!

Po minucie Maillard był na linii.

– Właśnie minąłem mordercę! Zjeżdża kolejką z następną ofiarą! Kazałem zatrzymać gondole. Niech pan weźmie ludzi i przyjeżdżajcie pod dolną stację. Jak będziecie na stanowisku, uruchomimy kolejkę.

Przez chwilę po drugiej stronie słuchawki panowała absolutna cisza.

– Jest pan tego pewien? – wybełkotał Maillard.

– Oczywiście! Ofiara to Perrault. Wezwał mnie na pomoc dwadzieścia minut temu. Mieliśmy się spotkać na górze. Widziałem go, jak zjeżdżał kolejką w dół z liną na szyi, z facetem ubranym w kominiarkę.

– O Jezu! Już ogłaszam alarm! Zadzwońmy do pana, jak będziemy gotowi!

– Niech pan spróbuje złapać kapitan Ziegler. Moja komórka nie ma zasięgu!

Maillard oddzwonił po dwunastu minutach. Servaz spędził ten czas, drepcząc wzdłuż i wszerz po peronie, zerkając na zegarek i paląc papierosa za papierosem.

– Jesteśmy gotowi – oświadczył Maillard przez telefon.

– W porządku! Powiem, żeby puścili gondole. Perrault i morderca są w jednej z kabin! Jadę do was!

Dał znak maszynie, potem wskoczył do kabiny. Gdy zaczął zjeżdżać, przyszło mu do głowy, że coś jest nie tak. Morderca planował wypchnąć Perraulta z wagonika i patrzeć, jak wisi w pustce na drugim końcu liny. Ale na pewno nie zamierzał zjeżdżać na sam dół w tak spektakularnym towarzystwie. Servaz zastanawiał się, czy jest jakieś miejsce, w którym morderca może wyskoczyć z kabiny w biegu, i ledwie zadał sobie to pytanie, uzmysłowił sobie, że odpowiedź jest twierdząca.

Czy Maillard i jego ludzie przewidzieli taką możliwość? Czy obstawili wszystkie drogi na górę?

Znowu spróbował połączyć się z Ziegler, ale odpowiedź sieci była taka jak poprzednio. Podobnie jak w tamtą stronę jechał we mgle, rozróżniając jedynie jodły i mijające go puste wagoniki. Nagle usłyszał odgłos łopat helikoptera, ale nie mógł zobaczyć maszyny. Miał jednak wrażenie, że odgłosy nie dochodzą z góry, ale z *dołu*, spod kolejki.

Co się tam dzieje? Z nosem przyklejonym do szyby próbował przebić się wzrokiem przez mgłę, ale widoczność nie przekraczała dwudziestu metrów. Nagle kolejka gwałtownie stanęła, tak że Servaz stracił równowagę. Cholera! Uderzył nosem w szybę. Z bólu łzy napłynęły mu do oczu. Co oni tam, do cholery, wyprawiają? Rozejrzał się dookoła. Wagoniki lekko kołysały się na linie jak lampiony podczas plenerowej zabawy. Wiatr nieco ucichł i śnieg padał niemal pionowo. U stóp jodeł leżał bardzo gruby biały dywan. Servaz jeszcze raz spróbował zadzwonić. Znowu bez rezultatu.

Przez trzy następne kwadransy uwięziony w plastikowej skorupie wpatrywał się w krąg jodeł i mgłę. Po półgodzinie wagonikiem nagle szarpnęło, ale po przejechaniu trzech metrów znowu stanął. Servaz zaklął. Co jest grane? Wstawał, siadał, znów się podnosił... Nie miał nawet dość miejsca, by rozprostować nogi! Gdy wreszcie kolejka ruszyła, od dłuższego już czasu siedział zrezygnowany i tylko czekał.

Kiedy zbliżał się do dolnej stacji, mgła nagle się przerzedziła i pojawiły się dachy miasta. Zobaczył migotanie kogutów i dużo samochodów żandarmerii na parkingu. Umundurowani żandarmi chodzili tam i z powrotem. Dostrzegł też sylwetki ubranych na biało techników kryminalistycznych i ciało nakryte srebrną płachtą, ułożone na noszach na kółkach w pobliżu ambulansu z otwartą klapą.

Servaz zeszywniał.

Perrault nie żyje.

Zatrzymali gondole, by móc dokonać wstępnych ustaleń. Potem odwiązali trupa i ponownie uruchomili kolejkę. Servaz natychmiast nabrał pewności, że zabójca zdołał uciec. Gdy tylko

obrotowe ramię otworzyło kabinę, wyskoczył na zewnątrz i stanął na betonie. Na dole schodów zobaczył Ziegler, Maillarda, Confianta i d’Humières. Ziegler była ubrana w skórzany kombinezon. Skóra była w kilku miejscach rozdarta, odsłaniając stłuczony łokieć i kolano, pokryte siniakami i strupami zakrzepłej krwi. Najwyraźniej nie zdążyła opatrzeć ran. Wciąż trzymała w ręku kask z pękniętą szybką.

– Co się dzieje? – zapytał.

– To raczej pytanie do pana – wypalił Confiant.

Servaz rzucił mu piorunujące spojrzenie. Przez moment wyobraził sobie, że młody sędzia jest delikatną porcelaną, a on młotem.

Odwrócił się do d’Humières.

– To Perrault? – zapytał, wskazując na ciało pod płachtą.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Zadzwoił do mnie na komórkę. Chciał pilnie ze mną rozmawiać. Ewidentnie się bał, czuł się zagrożony. Umówił się ze mną na górze. Poinformowałem kapitan Ziegler i przyjechałem – wytłumaczył.

– I nie uznał pan za stosowne wezwać posiłków? – powiedział Confiant.

– Nie było czasu. Prosił, żebym przyjechał sam. Chciał rozmawiać tylko ze mną.

Sędzia wpatrywał się w niego oczami płonącymi z wściekłości. Cathy d’Humières miała zamyśloną minę. Servaz znowu rzucił okiem na leżące pod płachtą ciało. Technicy właśnie składali kółka noszy i ładowali nieboszczyka do samochodu. Lekarza nie było. Najwyraźniej już odjechał. Za taśmą bezpieczeństwa, po drugiej stronie parkingu, zobaczył gapiów. Nagle błysnął flesz. Potem drugi. Helikopter musiał już wylądować, nie było go słychać.

– A morderca? – zapytał.

– Zwiął.

– Jak?

– Kiedy wagonik się pojawił, brakowało jednej szyby, a Perrault wisiał pod nim – powiedział Maillard. – Wtedy wszystko zablokowaliśmy. Jest jedno miejsce, w którym trasa kolejki krzyżuje się ze ścieżką na górę. Jest dość szeroka i zimną narciarze, którzy chcą zjechać do Saint-Martin, używają jej jako narostostrady. Kolejka przechodzi jakieś cztery metry nad ścieżką. Ale ten pana typ prawdopodobnie zjechał na drugim końcu liny, na której wisiał Perrault. A potem, jeśli jest dobrym narciarzem, w trzy minuty był na dole.

– Gdzie się kończy ta ścieżka?

– Za basenami termalnymi. – Maillard wskazał na góry – Termy znajdują się na wschód od tej góry. Ścieżka biegnie dookoła i kończy się tuż za budynkiem, w mało widocznym miejscu.

Servaz spojrzął na potężną budowlę. Przechodził obok niej dwukrotnie. Duży prostokątny plac zamknięty z jednej strony przez termy, przyklejone plecami do zalesionego zbocza. Budynek pochodził z dziewiętnastego wieku, ale odnowiono go i dobudowano część, która była w całości przeszklona. Wzdłuż trzech pozostałych pierzei placu stały hotele i kawiarnie. Pośrodku parking. A na nim dziesiątki samochodów...

– Tutaj ślad się urywa – stwierdził Maillard.

– Włączyliście ścieżkę do miejsca zbrodni?

– Tak, zamknęliśmy całą strefę. Grupa techników przeszukuje każdy metr ścieżki od kolejki do parkingu przy termach.

– Dobrze to sobie wykalkulował – zauważyła Ziegler.

– A przecież miał niewiele czasu.

– Skąd wiedział, że Perrault wezwał pomoc?

Przez chwilę wszyscy się zastanawiali nad tym pytaniem, ale nikt nie znalazł satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Użył liny dynamicznej – powiedział Maillard. – Dobry alpinistyczny sprzęt. Mógł przez cały czas wozić ją w samochodzie, podobnie jak narty. A potem po prostu spakować do plecaka.

– Sportowiec – skomentowała Ziegler. – A do tego odważny.

Servaz przytaknął.

– Musiał być uzbrojony. Bez tego Perrault nigdy nie zgodziłby się wsiąść do kolejki. Ale nie widziałem ani broni, ani nart, ani plecaka. To się stało tak szybko. Nie zwróciłem uwagi na to, co było w kabinie.

Wykrzywiona strachem twarz Perraulta... Nie potrafił się uwolnić od tego obrazu.

– W jakiej pozycji był w stosunku do Perraulta? – zapytała Ziegler.

– Perrault był bliżej, zabójca stał za nim.

– Może Perrault miał lufę pistoletu przyłożoną do nerek. Albo nóż.

– Możliwe... Znowu wyreżyserowane. Mimo braku czasu. Szybki jest. I arogancki... Może zbyt arogancki. Kiedy wagoniki były blisko siebie, schował się za Perraulta – dodał Servaz, marszcząc brwi.

– Po co, skoro miał kominiarkę?

– Żebym nie zobaczył jego oczu.

Ziegler wpatrywała się w niego intensywnie.

– Chcesz powiedzieć, że się bał, że go rozpoznasz?

– Tak. Czyli to jest ktoś, kogo już widziałem. *I to z bliska.*

– Trzeba przesłuchać biletera. zapytać go, czy kogoś widział. – Zrobione. Rozpoznał Perraulta. Nie miał wątpliwości: nikt później nie wjeżdżał. Dopiero ty.

– Jak to możliwe?

– Do Saint-Martin 2000 można też dojechać drogą. To jakieś dziesięć minut od południowego wyjazdu z miasta. Miał dość czasu, żeby się tam dostać.

Servaz zastanawiał się nad topografią. Południowa droga wyjazdowa z miasta zaczyna się na place de Thermes i kończy w ślepych zaułku dwanaście kilometrów dalej, kilka rzutów kamieniem od granicy z Hiszpanią. To ta sama dolina, którą jechał, by dostać się do chatki Grimma. Od tej drogi odchodzi inna, prowadząca do stacji.

– W takim razie musiały być dwa samochody – powiedział. – Jeden na górze i jeden na dole.

– Tak. I może na dole ktoś na niego czekał – podjęła Ziegler. – Przed termami. Chyba że miał drugi samochód, który od dawna stał na parkingu.

– Może drugi samochód jeszcze jest na górze. Ustawiliście blokadę na drodze do stacji? – zapytał Maillarda.

– Tak, kontrolujemy wszystkie zjeżdżające samochody. I sprawdzimy wszystkie, które stoją na górze.

– Działają we dwójkę – powiedziała Ziegler.

Servaz zmierzył ją wzrokiem.

– Tak. Działali we dwójkę już w elektrowni. I teraz znowu.

Wtem przez głowę przemknęła mu inna myśl.

– Trzeba zadzwonić do Instytutu, natychmiast.

– To też już zrobiliśmy: Hirtmann jest w swojej celi. Nie wychodził od rana. Dwie osoby z Instytutu z nim rozmawiały i sam Xavier też poszedł sprawdzić.

Confiant wpatrywał się w Servaza, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

– Teraz prasa się na nas rzuci – powiedziała d’Humières. – Będą o nas pisały największe tytuły, i to nie tylko lokalne. Nie możemy dopuścić do tego, żeby każdy składał oświadczenia na własną rękę.

Servaz i Ziegler nic nie mówili.

– Proponuję, by odpowiedzialność za kontakty z prasą powierzyć mnie i sędziemu Confiantowi. Pozostali: cisza radiowa. Śledztwo idzie swoim torem, mamy kilka tropów. Nic ponadto. Jeśli będą chcieli więcej szczegółów, odsyłajcie ich do mnie lub do Martiała.

– Pod warunkiem że oświadczenia pana sędziego nie będą polegały na kwestionowaniu pracy detektywów – powiedział Servaz.

Spojrzenie Cathy d’Humières stało się o kilkanaście stopni chłodniejsze.

– A to co za historia?

– Komendant Servaz wściekł się na mnie i doktora Proppa, gdy przedwczoraj wracaliśmy z Instytutu – bronił się Confiant. – Stracił panowanie nad sobą, na wszystkich krzyczał.

Pani prokurator odwróciła się do Servaza.

– Martin?

– „Stracił panowanie nad sobą” to trochę przesadne określenie – powiedział drwiąco Servaz.
– Za to jedno jest pewne, mianowicie to, że pan sędzia uprzedził doktora Xaviera o naszej wizycie, nie informując o tym ani pani, ani nas, a przecież uzgodniliśmy, że jedziemy bez zapowiedzi.

– To prawda? – zapytała d’Humières lodowatym głosem.

Młody sędzia miał niewyraźną minę.

– Xavier to mój przyjaciel, nie wypadało mi bez uprzedzenia zwać się tam z policją.

– Dlaczego w takim razie nas pan o tym nie poinformował? – Głos d’Humières drżał ze złości.

Confiant spuścił oczy i zrobił zawstydzoną minę.

– Nie wiem. Nie myślałem, że to... istotne.

– Słuchajcie! Będziemy w świetle jupiterów. – Wściekłym ruchem podbródka wskazała na dziennikarzy stojących za ogrodzeniem z taśmy. – Nie chcę, żebyśmy odgrywali przed nimi jakieś sceny niezgody. Skoro tak, będziemy mówić tylko jednym głosem: Moim! Ośmielam się mieć nadzieję, że to śledztwo niedługo się skończy – rzuciła na odchodnym. – Spotykamy się za pół godziny, żeby ustalić fakty!

Gdy się rozchodzili, Confiant spojrział na Servaza jak talib na gwiazdę porno.

– Ty to masz talent do zjednywania sobie przyjaciół – rzuciła Ziegler, patrząc za nimi. – Mówiłeś, że w kabinie stali jeden za drugim?

- Perrault i zabójca? Tak.
- W porównaniu z Perraultem ten człowiek był wyższy czy niższy?
- Niższy.
- Mężczyzna czy kobieta?

Servaz przez moment się zastanawiał. Ilu świadków przesłuchał w swojej karierze? Przypomniał sobie ich trudności z odpowiedzią na tego rodzaju pytania. Teraz jego kolej. Uzmysłowił sobie, jak bardzo zawodna jest pamięć.

- Mężczyzna – powiedział po chwili wahania.
- Dlaczego?

Zauważyła jego niepewność.

- Nie wiem. – Zamilkł na chwilę. – Ze względu na sposób poruszania się, postawę...
- Czy aby nie dlatego, że trudno ci sobie wyobrazić, żeby kobieta zrobiła coś takiego?

Patrzył na nią, lekko się uśmiechając.

- Może i tak. Dlaczego Perrault wjechał na górę?
- To oczywiste, uciekał przed kimś.
- W każdym razie mamy następne powieszenie.
- Ale tym razem bez odciętego palca.
- Może po prostu nie było na to czasu.

– Piosenkarz z włosami blond, brodaty, duże, rozgorączkowane oczy, który w 1993 roku występował jako KURT, mówi ci to coś?

– Kurt Cobain – odpowiedziała Irène bez wahania. – Widziałeś jego zdjęcie w pokoju któregoś z nastolatków?

– U Alice.

– Oficjalnie mówi się, że Kurt Cobain popełnił samobójstwo. – Irène kuśtykała obok Servaza w stronę jego samochodu.

– Kiedy? – Policjant stanął jak wryty.

– Myślę, że w 1994. Zastrzelił się.

– Myślisz czy jesteś pewna?

– Pewna. Przynajmniej co do daty. Jeśli chodzi o resztę, byłam w tamtym czasie jego fanką i krążyły pogłoski o morderstwie.

– 1994. W takim razie naśladownictwo nie wchodzi w grę – podsumował, idąc dalej. – Byłaś u lekarza?

– Później.

Telefon Servaza odezwał się w chwili, gdy policjant sam zamierzał zadzwonić.

- Servaz.
- Tu Vincent. Co ty, do cholery, wyprawiasz z telefonem?
- Co się dzieje? – odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Sygnet, odczytaliśmy, co tam jest wygrawerowane.
- No i?

– Dwie litery: C i S.

– „C S”?

– Tak.

– I jak sądzisz, co to znaczy?

– Nie mam pojęcia.

Servaz zastanawiał się przez chwilę. I zaraz inna myśl przyszła mu do głowy.

– Nie zapomniałeś o przysłudze, o którą cię prosiłem?

– O jakiej przysłudze?

– W związku z Margot...

– O kurde, cholera, dupa. No tak, zapomniałem.

– A co z bezdomnym?

– A tak, mamy wyniki analizy odcisków palców. Dzieciaki zostawiły ślady. Ale to niewiele zmienia. Samira twierdzi, że sędzia wierzy w wersję z utonięciem.

Servaz się nachmurzył.

– Musi być pod presją. Sekcja zwłok wszystko wykaże. Wygląda na to, że ojciec Clémenta ma plecy.

– Ale pozostali nie mają. Sędzia chce jeszcze raz przesłuchać najstarszego, tego, który ma ojca na bezrobociu. Sądzi, że to on jest prowodyrem.

– No cóż, zobaczymy. A Lombard, znalazłeś coś?

– Szukam.

Duże pomieszczenie bez okna, oświetlone jarzeniówkami, przedzielone wysokimi regałami na kilka alejek. Półki regałów pełne zakurzonych teczek. W pobliżu drzwi dwa biurka, na jednym co najmniej pięcioletni komputer, na drugim antyczny czytnik mikrofilmów – ciężka, zajmująca dużo miejsca maszyna. Na półkach oprócz teczek stały także pudełka z mikrofilmami.

Cała pamięć Instytutu Wargniera.

Diane zapytała, czy wszystkie te dokumenty są dziś dostępne w formie elektronicznej, i pracownik o mało nie roześmiał jej się w twarz.

Wiedziała, że akta mieszkańców sektora A są zdigitalizowane. Ale poprzedniego dnia doszła jej ósemka innych pacjentów, których Xavier jej powierzył, by na nich nabierała szlifów. Najwyraźniej nie byli na tyle ważni, by ktoś pofatygował się wprowadzić ich dane do systemu komputerowego. Stała w jednej z alejek i zabrała się do przeglądania grzbietów teczek, usiłując zrozumieć, w jakim porządku zostały ułożone. Z doświadczenia wiedziała, że metodologia segregowania nie zawsze jest oczywista. Rozumowanie niektórych archiwistów, bibliotekarzy i innych twórców aplikacji informatycznych bywa bardzo zawile.

Ucieszyła się, zauważywszy, że tutejszy archiwista pomyślał na tyle logicznie, by poukładać wszystko w porządku alfabetycznym. Zaopatrzyła się w odpowiednie segregatory i poszła do małego stolika, by je przejrzeć. Usiadłszy w tej wielkiej, cichej sali, z dala od tumultu panującego w niektórych częściach Instytutu, nagle zaczęła myśleć o tym, co się wydarzyło poprzedniej nocy w podziemiach, i załała ją fala zimna. Odkąd się obudziła, wciąż wspominała mroczne korytarze, zapach piwnicy i lodowatą wilgoć, raz po raz przeżywając chwilę, kiedy nagle znalazła się w całkowitej ciemności.

Kto chodzi do sektora A? Kim jest mężczyzna, który płakał w ośrodku kolonijnym? Kto jest zamieszany w zbrodnie popełniane w Saint-Martin? Zbyt dużo pytań... Jedno po drugim uderzały o niespokojne brzegi jej mózgu, jak przypływ, który pojawia się o stałej porze. Diane aż płonęła, by znaleźć na nie odpowiedzi.

Otworzyła pierwszą teczkę. Każdy z pacjentów był obiektem dokładnej obserwacji, od pierwszych objawów patologii i wstępnego rozpoznania, aż po leczenie w rozmaitych szpitalach, które zaliczył, zanim trafił do Instytutu. Dokumentacja zawierała spis stosowanych leków i odnotowywała efekty jatrogenne, jeżeli takowe wystąpiły. Kładziono w niej nacisk na zagrożenie ze strony pacjentów i środki ostrożności, jakie należy podejmować w obcowaniu z nimi, co przypomniało Diane – w razie gdyby o tym nie pamiętała – że w Instytucie nie pracuje z ministrantami.

Zrobiła kilka notatek i wróciła do lektury. Dalej znajdował się opis właściwego leczenia. Bez zdziwienia Diane zauważyła, że neuroleptyki i środki uspokajające stosowano w potężnych dawkach, znacznie przekraczających obowiązujące normy. Potwierdzało to słowa Aleksa. „To taka lekowa Hiroszima”. Nie chciałyby, żeby jej mózg znalazł się pod ostrzałem takich substancji. Wiedziała, jak straszne są efekty uboczne tych leków. Na samą myśl o nich truchlała. Każdateczka zawierała dodatkową kartkę z informacjami na temat stosowanych preparatów: dawki, godziny podawania, zmiany w terapii, dostawy na dany oddział. Za każdym razem, gdy oddział, w którym znajdował się pacjent, otrzymywał nową dostawę leków z apteki Instytutu, pokwitowanie dostawy było podpisywane przez pielęgniarkę odpowiedzialną za oddział oraz przez osobę rozdzielającą leki.

Neuroleptyki, środki usypiające, przeciwlękowe... ale żadnej psychoterapii – przynajmniej do jej przyjazdu. Łup-łup-łup-łup. Przez głowę przemknęła jej wizja wielkiego młota rytmicznie uderzającego w ich czaszki, które z każdym ciosem stawały się coraz bardziej płaskie.

Gdy zabierała się do czwartej teczki, poczuła nagłą potrzebę kofeiny, postanowiła jednak czytać dalej. Na zakończenie przebiegła wzrokiem dołączoną karteczkę. Podobnie jak przy poprzednich teczkach przepisane dawki sprawiły, że na grzbiecie poczuła lodowaty dreszcz:

Klozapina: 1200 mg/dz. (3 tabl.×100 mg 4/dz.)

Klopixol: 400 mg i.m./dz.

Tiapryd: 200 mg co godz.

Diazepam: 1 amp. i.m. 20 mg/dz.

Meproamat: 1 tabl. 400 mg

Psiakrew! Ma pracować z takimi warzywami? Ale znowu przypomniała sobie to, co powiedział jej Alex: po tylu latach ciężkiej farmakoterapii większość pacjentów Instytutu stała się lekooporna. Ci faceci spacerowali po korytarzach z taką ilością chemii w żyłach, która powaliłaby dinozaura, ale wykazywali zaledwie lekkie objawy otępienia. Już miała zamknąć teczkę, gdy jej wzrok padł na krótką odręczną notatkę na marginesie:

Skąd takie leczenie? Pytałem Xaviera. Brak odpowiedzi.

Pismo było pochyle i pośpieszne. Diane wystarczyło przeczytać, by się domyślić frustracji i poirytowania autora notatki. Zmarszczyła brwi i jeszcze raz przejrzała listę leków i dawek. Szybko zrozumiała zdziwienie osoby, która pisała te słowa. Przypomniała sobie, że klopaxinę stosuje się wówczas, gdy inne neuroleptyki okazały się nieskuteczne. A jeśli tak było, to po co przepisywać jeszcze klopixol, skoro w stanach lękowych nie łączy się dwóch anksjolityków lub dwóch leków nasennych. A tutaj tak właśnie było. Być może jakieś nieprawidłowości umknęły jej uwagi – nie jest internistą ani psychiatrą – nie umknęły jednak autorowi notatki. Najwyraźniej Xavier się nie pokwapił, by odpowiedzieć. Diane zastanawiała się niepewnie, czy ta sprawa jej dotyczy. Teczka należy przecież do człowieka, który właśnie stał się jej pacjentem. Zanim podejmie jakąkolwiek psychoterapię, powinna wiedzieć, dlaczego przepisano mu ten obłądny koktajl. Dokumentacja mówiła o psychozie schizofrenicznej, ostrych zespołach mózgowych, splątaniu – ale opis był wyjątkowo nieprecyzyjny.

Zapytać Xaviera? Ta osoba już to zrobiła. Bez sukcesu. Sięgnęła jeszcze raz po teczki pozostałych pacjentów i jeden po drugim sprawdziła podpisy szefów oddziałów i odpowiedzialnego za aptekę. W końcu znalazła to, czego szukała. W jednym miejscu poniżej podpisu ktoś zrobił adnotację: *Dostawa opóźniona z powodu strajku firm transportowych*. Porównała charakter pisma obu notatek. Kształt liter był identyczny: uwagę na marginesie zapisał pielęgniarz zajmujący się dystrybucją leków.

To jego należy najpierw zapytać.

Z teczką pod pachą wyszła na klatkę schodową, by do stać się na drugie piętro budynku. Aptekę Instytutu prowadził pielęgniarz około trzydziestki ubrany w sprane dżinsy, białą bluzę i zużyte trampki. Mężczyzna wyglądał, jakby ze trzy dni się nie golił, miał podkrążone oczy, a na głowie czuprynę niesfornych kosmyków. Diane wywnioskowała, że poza murami Instytutu chłopak prowadzi intensywne i bardzo rozrywkowe nocne życie.

Apteka składała się z dwóch pomieszczeń. Jedno pełniło rolę recepcji – była w nim lada, dzwonek oraz mnóstwo papierów i pustych kartonów, w drugim znajdował się magazyn leków przechowywanych w zabezpieczonych przeszklonych szafkach. Pielęgniarz, który – jeśli wierzyć plakietce przypiętej na piersi – miał na imię Dimitri, przyglądał się wchodzącej Diane, szczerząc zęby w nieco zbyt szerokim uśmiechu.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. Potrzebuję paru informacji w związku z dystrybucją leków.

– Oczywiście. To pani jest tą nową psycholożką, tak?

– Owszem.

– Co chciałaby pani wiedzieć?

– No, jak to działa.

– Jasne, jasne – powiedział, bawiąc się długopisem wetkniętym do górnej kieszeni bluzy. – Proszę tutaj.

Weszła za ladę. Pielęgniarz wziął do ręki gruby zeszyt w tekturowej oprawie, który wyglądał jak książka rachunkowa.

– To jest książka zestawień dziennych. Zapisujemy tu wszystkie dostawy i rozchód leków. Działanie apteki polega na zbieraniu zapotrzebowania ze strony Instytutu i składaniu zamówień oraz przyjmowaniu i składowaniu leków, a następnie rozdzielaniu ich na poszczególne oddziały.

Apteka ma własny budżet. Najczęściej zamówienia są w każdym miesiącu takie same, ale zdarzają się też zakupy jednorazowe.

– Kto oprócz pana jest na bieżąco w sprawie przychodzących i wychodzących leków?

– Każdy może mieć wgląd w tę książkę. Ale wszystkie dowody dostawy i wszystkie zamówienia muszą być zatwierdzone albo przez samego doktora Xaviera, albo, i tak jest najczęściej, przez Lisę, albo przez doktora Lepage'a, ordynatora. Poza tym każdy lek ma osobną kartę w katalogu. – Otworzył gruby segregator. – Są tu wszystkie leki stosowane w Instytucie i dzięki temu systemowi wiemy dokładnie, jaki aktualnie mamy zapas danej substancji. Następnie rozdzielamy leki na oddziały. Każde wydanie jest podpisywane przez pielęgniarkę odpowiedzialną za dany oddział i przeze mnie.

Otworzyła teczkę, którą miała w ręku, i pokazała mu odręczną notatkę na marginesie dołączonej kartki.

– To pana pismo, prawda?

Zobaczyła, że pielęgniarka marszczy brwi.

– Tak, dokładnie – przyznał po chwili wahania.

– Tak jakby się pan nie zgadzał z terapią przepisaną temu pacjentowi.

– No tak, eee... nie widziałem potrzeby, żeby przepisywać mu dwa anksjolityki albo klopiksol i klozapinę jednocześnie. Ja... hmm... to trochę kwestia... techniczna.

– I zapytał pan o to doktora Xaviera.

– Tak.

– I co odpowiedział?

– Że jestem pielęgniarką odpowiedzialną za magazyn leków, a nie psychiatrą.

– Rozumiem. Wszyscy pacjenci mają takie ciężkie leczenie?

– Większość tak. No wie pani, po latach farmakoterapii prawie wszyscy są...

– Lekooporni. Tak, wiem. Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli rzucę na to okiem? – Wskazała na książkę zestawień dziennych i segregator z kartami leków.

– Nie, oczywiście. Proszę. Niech pani sobie tutaj usiądzie.

Zniknął w drugim pomieszczeniu. Usłyszała, że rozmawia ścisłym głosem przez telefon. Na pewno ze swoją dziewczyną. Nie nosi obrączki. Otworzyła książkę i zaczęła przewracać strony. Styczeń, luty, marzec, kwiecień...

Zestawienia z grudnia zajmowały dwie strony. Na drugiej jej oko przyciągnęła notatka na samym środku: *Dostawa na zamówienie Xaviera*, z datą 7 grudnia. W linijce znajdowały się trzy nazwy leków. Nie znała ich, ale była pewna, że nie są to psychotropy. Z ciekawości zapisała ich nazwy w notatniku i zawołała Dimitriego. Usłyszała, że szepcze „kocham cię”, zanim stanął w drzwiach.

– Co to jest?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. To nie ja pisałem. Miałem wtedy wolne.

Pogrzebał w katalogu z kartami leków i zmarszczył brwi.

– No proszę, to dziwne. Nie ma kart magazynowych dla tych leków. Tylko faktury. Może osoba, która wpisywała je do książki, nie wiedziała, że trzeba założyć karty...

Diane wzruszyła ramionami.

– Niech się pan tym nie przejmuję. To bez znaczenia.

Usiedli w tej samej sali co ostatnio. Na spotkanie przyszli Ziegler, Servaz, kapitan Maillard, Simon Propp, Martial Confiant i Cathy d’Humières. Na prośbę Servaza Irène krótko podsumowała fakty. Zauważył, że przedstawiła je w takim świetle, by zdjąć z niego wszelkie podejrzenia o błędne decyzje, za to wyrzuca sobie, że rano nie zwróciła uwagi na pogodę i zamiast jechać samochodem, wybrała motocykl. Następnie podkreśliła szczegół, który łączył to morderstwo z poprzednim: powieszenie. Nie wspomniała jednak o samobójstwach. Zwróciła natomiast uwagę, że na Grimma, Perraulta, a także Chaperona i jeszcze jednego mężczyznę, który zmarł przed dwoma laty, złożono skargę o szantaż seksualny.

– Chaperon? – zapytała Cathy d’Humières z niedowierzaniem. – Nigdy o tym nie słyszałam.

– Według Saint-Cyra to sprawa sprzed ponad dwudziestu lat – uściślił Servaz. – Jeszcze sprzed czasów, gdy pan mer startował w wyborach. Poza tym skargę niemal natychmiast wycofano.

Powtórzył to, co opowiedział mu Saint-Cyr. Prokurator rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

– Naprawdę sądzi pan, że to może mieć jakiś związek? Pijana dziewczyna, pijani młodzi mężczyźni, parę kompromitujących zdjęć... Nie chcę być posądzana o to, że bronię takich rzeczy, ale nie ma o co kruszyć kopii.

– Saint-Cyr twierdzi, że na temat tej czwórki krążyły też inne plotki.

– Jakie plotki?

– Mniej więcej w podobnym stylu, sprawy wykorzystania seksualnego, pogłoski o tym, że gdy się upiją, robią się nieprzyjemni w stosunku do kobiet. To znaczy, nie było żadnej oficjalnej skargi oprócz tej jednej, którą, powtarzam, bardzo szybko wycofano. I jest jeszcze to, co znaleźliśmy w chatce Grimma. Ta peleryna i buty. Takie same lub prawie takie same, jakie znaleziono na nieboszczyku... – Servaz wiedział z doświadczenia, że o takich rzeczach lepiej za dużo nie opowiadać prokuratorom ani sędziom śledczym, jeśli się nie ma solidnych przesłanek, ponieważ mają oni tendencję do podważania wszystkiego à priori. Nie oparł się jednak pokusie, by pójść dalej. – Jak mówi Saint-Cyr, Grimm, Perrault, Chaperon i ich przyjaciel Mourrenx od czasu liceum tworzyli nierozłączną paczkę. Odkryliśmy też, że każdy z nich nosił taki sam sygnet. *Taki, jaki powinien był się znajdować na odciętym palcu Grimma.*

Confiant spojrział na nich zdezorientowany, marszcząc brwi.

– Nie rozumiem, co ma do tego sprawa jakichś pierścionków.

– No, można przypuszczać, że to jakiś znak rozpoznawczy – podsunęła Ziegler.

– Znak rozpoznawczy? Do rozpoznania czego?

– W tym stadium śledztwa trudno to orzec – przyznała Irène, patrząc na sędziego ze złością.

– Perrault nie miał odciętego palca – zaoponowała d’Humières, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Tak jest. Ale zdjęcie, które znalazł komendant Servaz, dowodzi, że kiedyś nosił taki sygnet. Jeśli morderca zrezygnował z ucięcia palca, to być może dlatego, że Perrault w tamtej chwili nie miał na nim sygnetu.

Servaz spojrział na nich. W głębi duszy wiedział, że są na dobrej drodze. Coś zaczynało się wyłaniać, jak wystające spod ziemi korzenie. Coś mrocznego i mrozącego krew w żyłach.

Na tej makabrycznej mapie peleryny, sygnety i palce, odcięte czy nie, były jak małe kamienie, które morderca zostawił na swojej drodze.

– Nie ulega wątpliwości, że za słabo skoncentrowaliśmy się na badaniu życiorysów tych ludzi – wtrącił się nagle Confiant. – Gdybyśmy to zrobili, zamiast się skupiać na Instytucie, być może znaleźlibyśmy coś, co zaalarmowałoby nas na czas, przynajmniej dla Perraulta.

Wszyscy zrozumieli, że to „my” było czysto retoryczne. Confiant miał na myśli „wy”, skierowane pod adresem Ziegler i Servaza. Komendant zastanawiał się, czy tym razem sędzia nie ma racji.

– W każdym razie na obie ofiary złożono skargę i obie nosiły ten sygnet – podkreślił. – Nie możemy nie brać pod uwagę tej zbieżności. A trzecią, żyjącą jeszcze osobą, której dotyczyła skarga, jest nie kto inny, jak właśnie Roland Chaperon.

Zobaczył, jak d’Humières blednie.

– W takim razie to jest sprawa priorytetowa – powiedziała szybko.

– Tak. Musimy użyć wszystkich środków, żeby znaleźć mera i przydzielić mu nadzór policyjny. Nie ma ani chwili do stracenia. – Spojrział na zegarek. – Proponuję, żebyśmy zakończyli posiedzenie.

Pierwszy zastępca mera Saint-Martin patrzył na nich oczyma pełnymi niepokoju. Siedział w swoim gabinecie na pierwszym piętrze blady jak ściana i nerwowo machał długopisem.

– Od wczoraj rana jest nieuchwytny – oświadczył od razu. – Bardzo się martwimy. Szczególnie po tym, co się stało.

Ziegler skinęła głową.

– Nie ma pan żadnego pomysłu, gdzie mógłby być?

Urzędnik wyglądał na zrozpaczonego.

– Żadnego.

– Jest ktoś, do kogo mógł pojechać?

– Ma siostrę w Bordeaux. Dzwoniłem do niej. Nie ma od niego wiadomości. Jego była żona również.

Spojrzenie zastępcy wędrowało od jednego detektywa do drugiego, niezdecydowane i przestraszone, tak jakby to on był następny na liście. Ziegler podała mu swoją wizytówkę.

– Gdyby pan miał jakąkolwiek informację, proszę od razu dzwonić. Nawet jeśli nie będzie się panu wydawała istotna.

Szesnaście minut później parkowali przed zakładem butelkowania, który Servaz odwiedził dwa dni wcześniej, a którego Roland Chaperon był zarazem szefem i właścicielem. Niski nowoczesny budynek otoczony wysokim płotem zwieńczonym zwojami drutu kolczastego. Na parkingu ciężarówki czekające na załadunek. W środku piekielny hałas. Jak za pierwszym razem Servaz zauważył taśmę, na której butelki podjeżdżały do urządzenia, w którym były płukane

wodą pod wysokim ciśnieniem, następnie do kranów, gdzie były napełniane, a wreszcie do automatów kapslujących i etykietujących. Wszystko to odbywało się bez najmniejszego udziału człowieka. Robotnicy jedynie kontrolowali te operacje. Weszli po metalowych schodach prowadzących do wyciszonej, przeszklonej budki dyrektora. Siedział w niej ten sam potężny, rozczochrany i brodaty mężczyzna, z którym Servaz rozmawiał poprzednim razem. Patrzył na nich nieufnie, łuskając orzeszki pistacjowe.

– Coś się dzieje – powiedział i wypluł łupinę do kosza na śmieci. – Roland nie przyszedł do fabryki ani wczoraj, ani dziś. To nie w jego stylu, nie pojawiać się bez uprzedzenia. Po tym, co się stało, nie rozumiem, dlaczego już nie ma blokad na drogach. Na co wy czekacie? Gdybym to ja był gliną albo żandarmem...

Ziegler zatkała sobie nos, by nie wdychać zapachu potu, który wypełniał pomieszczenie. Przyglądała się wielkim, ciemnym plamom pod pachami na koszuli mężczyzny.

– Ale pan nie jest – odparła ostro. – A poza tym nie ma pan jakiegoś pomysłu, gdzie może być Chaperon?

Olbrzym rzucił jej piorunujące spojrzenie. Servaz nie mógł powstrzymać uśmiechu. Mężczyzna najwyraźniej należał do tej grupy okolicznych mieszkańców, która uważa, że ludzie z miasta nie są zdolni do sensownych działań.

– Nie. Roland nie miał zwyczaju opowiadać o swoim prywatnym życiu. Kilka miesięcy temu dowiedzieliśmy się o jego rozwodzie z dnia na dzień. Nigdy nie mówił o trudnościach, jakie przeżywało jego małżeństwo.

– „Trudności, jakie przeżywało jego małżeństwo” – powtórzyła Ziegler. – Ładnie powiedziane.

– Jedziemy do niego – powiedział Servaz, wsiadając do samochodu. – Trzeba dokładnie przetrząsnąć dom. Zadzwoni do Confianta i poproś o nakaz.

Ziegler chwyciła samochodowy telefon i wybrała numer.

– Nie odbiera.

Servaz na chwilę przestał patrzeć na drogę. Chmury nabrzmiały deszczem albo śniegiem wędrowały po ciemnym niebie jak zły omen. Dzień miał się ku końcowi.

– Trudno. Obejdziemy się.

Espérandieu słuchał *The Stations* w wykonaniu The Gutter Twins, kiedy Margot Servaz wyszła z liceum. Schowany w cieniu nierzucającego się w oczy samochodu przebiegał wzrokiem tłum nastolatków wylewający się z bramy. Nie upłynęło dziesięć sekund i zauważył ją. Córka Martina była ubrana w skórzaną kurtkę i prążkowane szorty. W czarnych włosach miała fioletowe kosmyki. Na długich nogach siateczkowe legginsy, a wokół kostek futrzane getry: wyglądała, jakby chodziła do szkoły w butach na po nartach. Rzuciła się w oczy tak samo jak egzotyczny łowca głów w miejskiej restauracji. Espérandieu pomyślał o Samirze. Sprawdził, czy na fotelu pasażera leży aparat fotograficzny, i uruchomił dyktafon w swoim iPhone, który na okrągło odtwarzał album *Saturnalia*.

„Siedemnasta. Wyszła ze szkoły. Rozmawia z koleżankami z klasy”.

Dziesięć metrów od niego Margot gawędziła i śmiała się. Potem wyjęła z kurtki etui na tytoń. Oj, nieładnie, pomyślał Espérandieu. Słuchając, co mówią koleżanki, zaczęła sobie zwijać skręta. No, no, nieźle ci idzie, zauważył w duchu. Widać jesteś przyzwyczajona. Nagle poczuł

się jak jakiś cholerny podglądacz, który obserwuje wychodzące ze szkoły nimfetki. Cholera, Martin, wkurwiasz mnie! Dwadzieścia sekund później przy grupce zatrzymał się skuter.

Espérandieu natychmiast wzmógł czujność.

Zobaczył, że kierowca zdejmuje kask i rozmawia z córką szefa. Dziewczyna wyrzuciła papierosa i rozgniotła go obcasem. Następnie wsiadła na skuter.

Proszę, proszę... „Odjeżdża na skuterze z chłopakiem w wieku siedemnastu, osiemnastu lat. Czarne włosy. Nie z tego liceum”.

Espérandieu wahał się, czy robić zdjęcie. Za blisko. Mogą go zauważyć. Chłopak miał ładną, drobną twarz i włosy postawione na ekstramocny żel. Włożył kask i podał drugi Margot. Czy to jest ten drań, który ją bije i łamie serce? Skuter ruszył. Espérandieu minął rząd samochodów i pojechał jego śladem. Chłopak prowadził szybko i niebezpiecznie. Jadąc slalomem między autami, odwracał głowę i krzyczał, by pasażerka mogła go usłyszeć. Skuter kreślił na drodze ryzykowne zygzaki. Pewnego dnia rzeczywistość okrutnie się o ciebie upomni, amigo...

Dwukrotnie Espérandieu sądził, że mu umknęli, ale kawałek dalej udało mu się ich dogonić. Nie chciał używać koguta: po pierwsze po to, żeby go nie zauważyli, a po drugie jego misja była absolutnie nieoficjalna i nikt nie powinien myśleć, że jest na służbie.

Wreszcie skuter zatrzymał się przed willą z ogródkiem, otoczoną gęstym żywopłotem. Espérandieu natychmiast rozpoznał to miejsce. Był tu już kiedyś w towarzystwie Servaza. To dom, w którym mieszkała Alexandra, była żona Martina razem z tym swoim durnym pilotem.

Czyli także dom Margot.

Dziewczyna zsiadła ze skutera i zdjęła kask. Przez chwilę spokojnie rozmawiali: ona stała na brzegu chodnika, on siedział na skuterze. Vincent był pewny, że jeszcze chwila i go zauważą. Stał na pustej ulicy niecałe pięć metrów od nich. Na szczęście byli za bardzo zaabsorbowani rozmową, by zwracać na niego uwagę. Espérandieu stwierdził, że wszystko odbywa się spokojnie. Żadnych krzyków ani pogroźek. Przeciwnie, wybuchy śmiechu i zgodne kiwanie głowami. A jeśli Martin się pomylił? W końcu jako glina może już mieć paranoję. Następnie córka Martina się pochyliła i pocałowała kierowcę w oba policzki. Ten odpalił silnik z takim rykiem, że Espérandieu miał ochotę wysiąść i go skłąć. A potem zniknął.

Cholera! Niedobrze! Vincent uznał, że właśnie stracił godzinę swojego cennego czasu. Rzucił szefowi milczące złożenie, zawrócił i ruszył w kierunku, z którego przyjechał.

Servaz patrzył na fasadę domu stojącego wśród drzew. Wszystkie światła były pogaszone. Biały, imponujący, strzelisty budynek, na każdym piętrze balkony z rzeźbionego drewna i okiennice w stylu górskiego domku. Spadzisty, szpiczasty dach i trójkątny drewniany fronton pod okapem. Typowa góraska architektura. Dom, położony w dzielnicy willowej, stał w górnej części pochylego ogrodu, w cieniu wysokich drzew, tak że nie docierało do niego światło z ulicy. Miał w sobie coś subtelnie złowieszczonego. A może to tylko wyobraźnia? Przypomniał mu się fragment *Zagłady domu Usherów*: „Gdy po raz pierwszy zamajaczył mi przed oczyma, targnęła mą duszą – sam nie wiem dlaczego – nieuskromiona żałość”^{*}.

Odwrócił się do Ziegler.

– Confiant nadal nie odbiera?

Ziegler schowała telefon do kieszeni i pokręciła głową. Servaz pchnął zardzewiałą bramę, która zazgrzytała w zawiasach. Weszli w alejkę. Na śniegu, którego nikomu nie chciało się

odgarnąć, ślady butów. Servaz wszedł na schody. Gdy znalazł się pod przeszklonym daszkiem, przekręcił gałkę. Zamknięte. Ze środka nie dochodziło żadne światło. Odwrócił się. Poniżej rozciągał się widok na miasto: świąteczne dekoracje pulsowały jak żywe serce doliny. Z oddali dochodziły odgłosy silników samochodowych i trąbienie klaksonów, ale tutaj wszystko otulała cisza. W starej, położonej na wzniesieniu willowej dzielnicy panował niezmierny smutek i miazdzący spokój mieszczańskich egzystencji zamkniętych w czterech ścianach. Ziegler stanęła obok kolegi.

– Co robimy?

Servaz rozejrzył się dookoła. Po obu stronach schodów widać było podmurówkę z piaskowca. Znajdowały się w niej dwa zakratowane okienka. Tamtędy nie wejdą. Zauważył jednak otwarte okiennice dwóch dużych okien na parterze. W rogu ogrodu, za krzakiem, była mała altana w kształcie szałas. Podszedł do niej. Nie było kłódek. Otworzył drzwi. Zapach przekopywanej ziemi. W cieniu stały grabie, łopaty, donice na kwiaty, konewka, taczki, drabina... Servaz wrócił z aluminiową drabiną na ramieniu. Przystawił ją do ściany i wspiął się na wysokość okna.

– Co robisz?

Zamiast odpowiedzieć, naciągnął rękaw na dłoń i uderzył pięścią w jedną z kwadratowych szybek. Musiał powtórzyć tę czynność dwukrotnie. Pięścią wciąż owiniętą rękawem odgarnął kawałki szkła, przekręcił klamkę i pchnął okno. Spodziewał się, że usłyszy przenikliwe wycie alarmu, ale nic się nie wydarzyło.

– Wiesz, że adwokat może unieważnić całe postępowanie z powodu tego, co właśnie zrobiłeś? – rzuciła Ziegler stojąca u stóp drabiny.

– Na razie priorytetem jest znalezienie Chaperona żywego, nie skazywanie go. Powiedzmy, że znaleźliśmy wybite okno i skorzystaliśmy z okazji...

– NIE RUSZAĆ SIĘ!

Odwrócili się jak jeden mąż. Poniżej, w alejce, pomiędzy dwiema jodłami, stała jakaś postać i celowała w nich ze strzelby.

– Ręce do góry! Nie ruszać się!

Zamiast posłuchać, Servaz sięgnął do kieszeni i zanim zszedł z drabiny, pomachał odznaką.

– Nie fatyguj się, stary. Policja.

– Od kiedy to policja włamuje się do domów? – zapytał mężczyzna, opuszczając strzelbę.

– Od czasu, kiedy się śpieszy.

– Szukacie Chaperona? Nie ma go. Od dwóch dni go nie widzieliśmy.

Servaz rozpoznał typ człowieka: „samozwańczy stróż”, tak bezcenny według Saint-Cyra. Na niemal każdej ulicy jest ktoś taki. Gość, który wtrąca się do życia innych wyłącznie dlatego, że zamieszkali w jego sąsiedztwie. Z tego też powodu uważa za stosowne strzec ich i szpiegować z za żywopłotu, zwłaszcza gdy wydają mu się *podejrzani*. W oczach samozwańczego stróża podejrzany są pary homoseksualistów, samotne matki, starcy, nieśmiali i zamknięci w sobie chłopcy i – bardziej ogólnie – wszyscy, którzy krzywo na niego patrzą i nie dzielają jego obsesji. To ktoś bardzo przydatny dla śledztwa. Fakt, że Servaz czuł dla tego typu ludzi wyłącznie najgłębszą pogardę, niczego w tym względzie nie zmieniał.

– Nie wiesz, dokąd wyjechał?

– Nie.

– Jakim on jest facetem?

– Chaperon? Dobry mer. Porządny. Grzeczny, uśmiechnięty, dla każdego dobre słowo. Zawsze ma czas, żeby się zatrzymać i porozmawiać. Nie tak jak ten typek z tamtego domu.

Wskazał na jeden z budynków położony niżej w uliczce. Komendant się domyślił, że „typek z tamtego domu” to ulubiony obiekt obserwacji samozwańczego stróża. Jeden nie mógłby bez drugiego istnieć. Servaz miał niemal ochotę powiedzieć, że na „typka z tamtego domu” z całą pewnością nie składano skargi za szantaż seksualny. Na tym właśnie polega problem z samozwańczymi stróżami: kierując się własnymi upodobaniami, często wybierają niewłaściwy cel. Najczęściej występują w parach, w siejącym postrach duecie mąż plus żona.

– Co jest grane? – zapytał mężczyzna z nieskrywaną ciekawością. – Po tym, co się stało, wszyscy się barykadują. Ja nie. Niech no tu przyjdzie ten świr, czekam na niego z otwartą przyłbicą.

– Dziękuję – powiedział Servaz. – Wracaj do siebie.

Mężczyzna odwrócił się, mamrocząc coś pod nosem.

– Gdybyście potrzebowali innych informacji, mieszkam pod piątką! – rzucił przez ramię. – Moje nazwisko Laçonneur.

– Nie chciałabym mieszkać koło takiego typu – powiedziała Ziegler, patrząc za oddalającym się mężczyzną.

– Powinnaś się bardziej zainteresować swoimi sąsiadami. Na pewno jest wśród nich ktoś taki. Ten gatunek człowieka występuje na każdym terenie. Chodźmy.

Wspiął się po drabinie i wszedł do domu.

Rozbite szkło chrupnęło mu pod butami. Skórzana sofa, na parkiecie dywany, na ścianach boazeria, stojące w półmroku biurko. Servaz znalazł włącznik i zapalił żyrandol pod sufitem. Po chwili Irène pojawiła się na szczycie drabiny, na wysokości okna. Wskoczyła do środka. Za nią między drzewami widać było światła doliny. Rozejrzała się dookoła. Najwyraźniej byli w gabinecie Chaperona albo jego ekszony. Regały z książkami, na ścianach stare fotografie. Na zdjęciach górskie pejzaże, pirenejskie miasteczka z początku ubiegłego wieku, na ich ulicach przechodnie w kapeluszach i dorożki. Servaz przypomniał sobie, że były takie czasy, gdy do kurortów w Pirenejach ścigał kwiat paryskich kuracjuszy, kiedy należały one do najpiękniejszych górskich ośrodków wypoczynkowych, na równi z Chamonix, Sankt Moritz i Davos.

– Najpierw szukamy Chaperona – powiedział. – Miejmy na dzieję, że gdzieś tu nie wisi. Potem przekopujemy wszystko.

– Czego konkretnie szukamy?

– Będziemy wiedzieć, gdy to znajdziemy.

Wyszedł z gabinetu.

Korytarz.

Schody w głębi.

Po kolei otwierał drzwi. Salon. Kuchnia. Toaleta. Jadalnia.

Jego kroki na schodach tłumił stary chodnik, przytrzymywany metalowymi prętami. Podobnie jak gabinet, klatka schodowa była obita jasnym drewnem. Na jej ścianach wisiały stare czekany, raki, skórzane buty, prymitywne narty: zabytkowy sprzęt alpinistyczny i turystyczny, pamiętający czasy pionierów. Servaz przystanął, by przyjrzeć się jednemu ze zdjęć. Alpinista

stojący na szczycie skalnej ostrogi, wąskiej i pionowej jak kolumna słupnika. Od razu poczuł skurcz żołądka. Jak ten człowiek to robi, że nie ma zawrotów głowy? Stoi tam, na skraju otchłani i jakby nigdy nic uśmiecha się do znajdującego się na innej wysokości fotografa. Potem się zorientował, że ten nieustraszony alpinista to nie kto inny jak Chaperon we własnej osobie. Na następnym zdjęciu wisi pod skalnym nawisem, spokojnie siedząc w uprzęży jak ptak na gałęzi, ponad kilkusetmetrową przepaścią, a przed fatalnym upadkiem chroni go kawałek śmiesznej linki. Poniżej majacząca dolina z rzeką i wioskami.

Servaz miał ochotę zapytać mera, jak to jest znaleźć się w takiej sytuacji. A przy okazji, jak to jest być na celowniku mordercy. Czy wywołuje to ten sam rodzaj zawrotów głowy? Całe wnętrze domu było świątynią poświęconą górą i przekraczaniu siebie. Mer najwyraźniej nie należał do tego samego gatunku co aptekarz. To ktoś z zupełnie innej gliny. Zdjęcie potwierdzało pierwsze wrażenie, jakie Servaz odniósł, gdy spotkał go w elektrowni: facet niewysoki, ale twardy jak skała, miłośnik przyrody i aktywności fizycznej; biała, lwia grzywa, wieczna opalenizna.

Następnie przypomniał mu się widok Chaperona na moście i w samochodzie: facet umierający ze strachu, goniący resztkami sił. A między tymi dwiema migawkami śmierć aptekarza. Servaz się zamyślił. Śmierć konia, pomimo jej niezaprzeczalnego okrucieństwa, nie doprowadziła go do takiego stanu. Dlaczego? Czy dlatego, że chodziło o konia? Czy raczej dlatego, że w tamtej chwili nie czuł się zagrożony? Wrócił do przeszukania z ciężącym poczuciem uciekającego czasu, które towarzyszyło mu od wydarzeń w kolejce. Na piętrze łazienka, toaleta, dwa pokoje. Jeden z nich wyglądał na główny. Servaz obszedł go i ogarnęło go dziwne uczucie. Przebiegł pokój wzrokiem, marszcząc brwi. Dręczyła go pewna myśl.

Szafa. Komoda. Łóżko z dwoma miejscami. Ale wygląd materaca wskazywał, jakby przez dłuższy czas spała na nim tylko jedna osoba. Było także tylko jedno krzesło i jedna szafka nocna.

Pokój rozwiedzionego, żyjącego samotnie mężczyzny. Otworzył szafę.

Sukienki, bluzki, spódnice, swetry i damskie płaszcze. A pod nimi kilka par butów na obcasie.

Następnie przesunął palcem po blacie szafki nocnej: leżała na nim gruba warstwa kurzu. Jak w pokoju Alice...

Chaperon nie sypia w tym pokoju.

Pomieszczenie zajmowała eksmadame Chaperon przed rozwodem.

Podobnie jak Grimmowie, Chaperonowie mieszkali w osobnych pokojach.

Był poruszony tą myślą. Instynktownie poczuł, że się do czegoś zbliża. Napięcie rosło i nie opuszczało go. Wciąż miał poczucie zagrożenia, nadchodzącej katastrofy. Przypomniał sobie Perraulta w kabinie kolejki, wyjącego jak potępieniec, i zakręciło mu się w głowie. Musiał się przytrzymać rogu łóżka. Nagle usłyszał krzyk:

– MARTIN!

Wybiegł na klatkę schodową. To głos Irène. Dochodził z dołu. Servaz przemierzył schody prawie biegiem. Drzwi do piwnicy pod schodami były otwarte. Wszedł do środka. Znalazł się w przestronnym podziemiu o ścianach z surowych kamiennych płyt, pełniącym funkcję kotłowni i suszarni. Było pogrążone w ciemności. Kawałek dalej zobaczył światło. Poszedł w jego kierunku. Duże pomieszczenie oświetlone nagą żarówką. Rzuciła mętny blask, w kątach czaił się cień. Warsztat ze sprzętem alpinistycznym wiszącym na dużych korkowych tablicach. Ziegler stała przed otwartą metalową szafą. Na drzwiach wisiała kłódka.

– Co to...?

Nie dokończył. Podeszedł bliżej. W szafie wisiała czarna peleryna z kapturem, a na jej dnie stały wysokie buty.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała Ziegler.

Podawała mu pudełko po butach. Servaz otworzył je i podniósł do mizernego światła żarówki. Od razu go rozpoznał. Sygnet z literami „C S”. I jedno stare, pożółkłe i zeszywniałe ze starości zdjęcie. Na nim czterech stojących ramię przy ramieniu mężczyzn, ubranych w peleryny identyczne jak ta, która wisiała na haku w metalowej szafie, jak peleryna z kapturem znaleziona na ciele Grimma, jak ta, którą znaleźli w chatce na brzegu rzeki. Twarze mężczyzn były częściowo ukryte w cieniu kapturów, Servaz przysięgłby jednak, że rozpoznaje obwisły podbródek Grimma i kwadratową żuchwę Chaperona. Cztery mroczne postacie oświetlało słońce, co sprawiało, że czarne peleryny wydawały się jeszcze bardziej ponure i nie na miejscu. Wokół rozciągał się sielankowy letni krajobraz – niemal dało się słyszeć śpiew ptaków. Ale zło jest tu, pomyślał Servaz. Niemal namacalne: na tle zalanego słońcem lasu jego obecność zmaterializowana w tych czterech postaciach była tym bardziej oczywista. Zło istnieje, pomyślał Servaz, a ci czterej mężczyźni to jedno z jego niezliczonych wcieleń.

Zaczynał się domyślać schematu, możliwej struktury kwartetu.

Według niego mężczyźni mieli wspólną pasję: góry, przyroda, wędrówki, biwaki. Ale łączyła ich także inna namiętność, tajemnicza i mroczna. Żyjąc w tych dolinach, które zapewniały im schronienie przed resztą świata, ciesząc się absolutną bezkarnością, za pan brat z zapierającymi dech górskimi szczytami, w końcu zaczęli się czuć nietykalni. Servaz zrozumiał, że zbliża się do źródła, z którego wypływa cała reszta. Z biegiem lat stali się czymś w rodzaju minisekty, zamkniętej w zakątku Pirenejów, do którego zewnętrzny świat dociera tylko przez telewizję i gazety. Żyli nie tylko w geograficznej, ale też psychicznej izolacji od reszty społeczeństwa, w tym także swoich partnerek – stąd zastarzała niechęć i rozwody.

Do czasu, gdy dopadła ich rzeczywistość.

Do pierwszej krwi.

Wtedy to rozpierzchli się przerażeni, jak wzlatujące w powietrze stado szpaków. I ukazało się prawdziwe oblicze tych mężczyzn: przestraszeni, żałośni tchórze. Brutalnie zrzucony z piedestału.

Od tej pory góry nie były już majestatycznymi świadkami ich bezkarnych zbrodni, ale teatrem, w którym rozgrywał się spektakl ich kary. Kim jest mściciel? Jak wygląda? Gdzie się ukrywa?

Gilles Grimm.

Serge Perrault.

Gilbert Mourrenx.

I Roland Chaperon.

Oto „drużyna” z Saint-Martin.

Servaza dręczyło jedno pytanie: Na czym dokładnie polegały ich zbrodnie? Nie ulegało wątpliwości, że Ziegler ma rację: szantaż na tamtej dziewczynie to zaledwie wierzchołek góry lodowej, i policjant wierzył, że teraz odkryje całą jej mroczną naturę. Czuł jednocześnie, że gdzieś jest przeszkoda, jakiś szczegół, który nie pasuje do schematu. To by było zbyt proste, zbyt oczywiste, pomyślał. Musi być jakaś zasłona, której jeszcze nie widzą. To za nią kryje się

prawda.

Servaz podszedł do okienka piwnicznego wychodzącego na ciemny ogród. Na zewnątrz panował już mrok.

Mściciel albo mściciele są tuż obok. W ciemności. W każdej chwili gotowi uderzyć. Na pewno tak samo jak oni szukają Chaperona. Gdzie ukrywa się mer? Daleko stąd czy całkiem blisko?

Inne pytanie przyszło mu zniemacka do głowy: Czy ten cholerny klub to tylko ci czterej mężczyźni ze zdjęcia czy ma jeszcze innych członków?

Gdy Espérandieu wrócił do domu, zastał opiekunkę w salonie. Wstała z żalem, wyraźnie pochłonięta oglądaniem *Doktora House'a*. Może się spodziewała, że dostanie więcej pieniędzy. Studentka pierwszego roku prawa o egzotycznym imieniu. Barbara, Marina, a może Olga? – próbował sobie przypomnieć. Ludmilla? Stella? Vanessa? Zrezygnował ze zwracania się do niej po imieniu i zapłacił za dwie godziny. Znalazł też wiadomość od Charlène, przypiętą magnesem do lodówki: *Wernisaż. Wróć późno. Całusy*. Wyjął z zamrażarki cheeseburgera, włożył go do mikrofalówki, po czym włączył laptop. Zauważył, że w skrzynce odbiorczej jest dużo wiadomości. Jedną z nich była od Kleima162. Mail nosił tytuł: Re: Różne pytania na temat L.". Espérandieu zamknął drzwi kuchni, włączył muzykę (*The Last Shadow Puppets* w piosence *The Age of Understatement*), wysunął krzesło i zabrał się do lektury:

„Cześć Vince.

Oto pierwsze wyniki mojego śledztwa. Nie jakieś rewelacje, ale drobne rzeczy, które ukazują obraz Érica Lombarda odrobinę inny od wyobrażeń szerokiej publiczności. Nie tak dawno temu na forum miliarderów w Davos nasz bohater powtórzył jako swoją definicję globalizacji stworzoną przez Szweda Percy'ego Barnevika, byłego prezesa ABB: «Globalizację definiuję jako proces dający mojej grupie możliwość inwestowania, gdzie chce, kiedy chce, oraz produkowania tego, co chce, zaopatrywania się i sprzedawania, gdzie chce, przy jak najniższym poziomie ograniczeń wynikających z prawa pracy i umów społecznych». To credo większości szefów międzynarodowych koncernów.

Żeby zrozumieć coraz silniejsze naciski wywierane przez koncerny na państwa, trzeba wiedzieć, że na początku lat osiemdziesiątych XX wieku było ich około 7000, w 1990 – 37 000, a piętnaście lat później ponad 70 000, miały 80 000 filii i kontrolowały 62 procent handlu. Ten proces ciągle się rozszerza. W rezultacie powstały fortuny, jakie nigdy dotąd nie istniały i nigdy dotąd nie były rozłożone tak nierównomiernie jak dzisiaj. Dyrektor generalny korporacji Disneya zarabia 300 000 razy tyle co robotnik na Haiti produkujący T-shirty dla jego spółki. Trzynastu członków zarządu AIR, do którego należy też Éric Lombard, pobrało w ubiegłym roku wynagrodzenia w wysokości dziesięciu milionów euro, czyli dwukrotną pensję sześciu milionów robotników azjatyckiej fabryki należącej do grupy”.

Espérandieu zmarszczył brwi. Czy Kleim162 zamierza mu wyłożyć całą historię liberalizmu? Wiedział, że jego informator żywi organiczną nieufność wobec policji, polityków i międzynarodowych koncernów, że jest nie tylko dziennikarzem, ale także członkiem Greenpeace i Human Rights Watch oraz że był w Genui i Seattle podczas antyszczytów organizowanych przez alterglobalistów na marginesie spotkań grupy G8. W 2001 roku w Genui był świadkiem, jak włoscy karabinierzy wtargnęli do szkoły Diaz, w której znajdowała się

noclegownia manifestantów, i z nieopisaną brutalnością spalowali kobiety i mężczyzn, aż ściany i podłoga pokryły się krwią. A potem wezwali karetki. Bilans: jedna ofiara śmiertelna, sześciuset rannych i dwieście osiemdziesiąt jeden osób zatrzymanych.

„Éric Lombard zdobywał szlify w fabryce sprzętu sportowego, należącej do rodzinnej grupy. Wszystkie dzieciaki znają tę markę, nosi ją dużo sportowców. W ciągu pięciu lat udało mu się podwoić zyski tej branży. Jak? Przez rozwijanie prawdziwej «sztuki» podzleceń. Obuwie, T-shirty, szorty i inne akcesoria sportowe już wcześniej były wytwarzane w Indiach, Indonezji i Bangladeszu przez kobiety i dzieci. Éric Lombard pojechał tam i zmienił wygasające umowy. Od tamtej pory, aby uzyskać licencję na produkcję, podwykonawca musi spełnić drakońskie warunki: zakaz strajków, doskonała jakość i koszty produkcji tak niskie, że może wypłacać swoim robotnikom jedynie głodowe pensje. Żeby utrzymać tę presję, licencja jest odnawiana co miesiąc. Konkurencja także stosuje tę grę. Od momentu wprowadzenia tej polityki branża kwitnie jak nigdy dotąd”.

Espérandieu spuścił oczy. Spojrzał na swoją koszulkę z napisem: STOJĘ OBOK IDIOTY, pod którym znajdowała się strzałka w lewo.

„Inny przykład? W 1966 branża farmaceutyczna grupy wykupiła amerykańską firmę, która opracowała eflornitynę, jedyny znany lek przeciwko trypanosomozie afrykańskiej, bardziej znanej pod nazwą *śpiączka afrykańska*. Chorobą tą dotkniętych jest dzisiaj 450 000 osób w Afryce. Bez leczenia prowadzi do zapalenia mózgu, śpiączki i śmierci. Grupa Lombarda szybko zaprzestała produkcji tego leku. Powód? *Była za mało dochodowa*. Oczywiście, choroba dotyka setki tysięcy ludzi, ale nie mają oni prawdziwej siły nabywczej. A kiedy ze względu na potrzeby pomocy humanitarnej kraje takie jak Brazylia, Republika Południowej Afryki czy Tajlandia zdecydowały się na uruchomienie produkcji leków przeciwko AIDS i zapaleniu opon mózgowych bez korzystania z patentów wielkich koncernów farmaceutycznych, Lombard przyłączył się do tych koncernów, by złożyć na rządy tamtych krajów skargę w Światowej Organizacji Handlu. W tym czasie stary Lombard był już umierający. Stery grupy dzierżył dwudziestoczteroletni Éric. Czy zaczynasz już widzieć naszego pięknego miłośnika przygód i ulubieńca mediów w innym świetle?”

Wniosek, pomyślał Vincent. Lombardowi na pewno nie brakuje wrogów. W sumie to żadna nowina. Przeleciał następne strony, wszystkie mniej więcej w podobnym stylu, i postanowił, że wróci do nich później. Zatrzymał go jednak pewien fragment, znajdujący się kawałek dalej.

„Być może najciekawszy dla Ciebie będzie bardzo ostry konflikt, który wybuchł między grupą Lombarda a robotnikami z fabryki Polytex, niedaleko granicy z Belgią, w lipcu 2000 roku. Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku Polytex produkował jedną z pierwszych francuskich nici syntetycznych i zatrudniał tysiąc robotników. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych było ich już tylko stu sześćdziesięciu. W 1991 fabryka została wykupiona przez międzynarodową firmę, która od razu się jej pozbyła: zakład przestał przynosić zyski, ponieważ pojawiły się inne, mniej kosztowne nici. Ale to nie całkiem była prawda: ze względu na wysoką jakość produktu można go było wykorzystać w chirurgii. Tam był zbyt. Fabrykę przejmowało kolejno kilku kupców, aż wreszcie zainteresowała się z nią jedna z filii grupy Lombarda.

Dla robotników międzynarodowa firma pokroju Lombarda, już zadomowiona na rynku farmaceutycznym, medycznym i chirurgicznym, była szczęściem, jakiego już nie oczekiwali. Chcieli w nie wierzyć. Wszyscy poprzedni kupcy uprawiali szantaż, jaki się zazwyczaj stosuje

przy groźbie zamknięcia: zamrożenie pensji, wzrost liczby godzin pracy, praca w weekendy i święta... Lombard nie wyłamał się z tej reguły: na początku zażądał jeszcze większych wysiłków. Tak naprawdę grupa przejęła fabrykę w jednym jedynym celu: żeby przejąć patenty na produkcję. 5 lipca 2000 sąd gospodarczy w Charleville-Mézières orzekł upadłość przedsiębiorstwa. Dla robotników było to straszne rozczarowanie. Wyrok oznaczał zwolnienia na bruk, natychmiastowe zaprzestanie działalności i wyprzedaż sprzętu. Rozwścieczeni robotnicy Polyteksu zajęli fabrykę i ogłosili, że wysadzą ją w powietrze ze wszystkim, co jest w środku, oraz wyleją 50 000 litrów kwasu siarkowego do Mozy, jeśli nikt nie weźmie pod uwagę ich żądań. Byli doskonale świadomi, jaką broń mają w ręku: zakład był ujęty w klasyfikacji Seveso. Było w nim tyle toksycznych substancji, że pożar czy wybuch groziły większą katastrofą niż eksplozja AZF w Tuluzie.

Władze zarządziły natychmiastową ewakuację sąsiedniego miasta, setki policjantów zajęły pozycje wokół zagrożonego terenu, a grupie Lombarda polecono niezwłoczne podjęcie negocjacji przy wsparciu związkowców. Trwało to pięć dni. Ponieważ nie było postępu w rozmowach, 17 lipca robotnicy spuścili do strumienia wpadającego do Mozy pięć tysięcy litrów kwasu siarkowego symbolicznie zabarwionego na czerwono. Zagrozili, że będą to robić co dwie godziny.

Politycy, związkowcy i kierownictwo trąbili wtedy o «niewybaczalnym ekoterroryzmie». Pewien duży wieczorny dziennik całkiem na poważnie zatytułował artykuł «Nadejście socjalterroryzmu», pisząc w nim o «talibach-samobójcach». A przecież, o ironio, Polytex był od dziesiątków lat jednym z największych trucicieli Mozy w regionie. Ostatecznie fabrykę trzy dni później odbił oddział antyterrorystyczny żandarmerii do spółki z policyjnymi siłami prewencji. Robotnicy wrócili do domu z podwiniętym ogonem, niczego nie uzyskawszy. Możliwe, że część z nich do tej pory tego nie przetrwała.

To tyle na razie. Szukam dalej. Dobranoc, Vince”.

Espérandieu zmarszczył brwi. Skoro tak, to dlaczego dopiero teraz, po ośmiu latach? Czyżby niektórzy z robotników trafili do więzienia? Albo z rozpaczary targnęli się na własne życie, pozostawiając pałające nienawiścią rodziny? Zapisał w swoim kołnotatniku, że na te pytania trzeba odpowiedzieć.

Espérandieu spojrział na zegarek w rogu ekranu. Była 19.03. Wyłączył laptop i przeciągnął się na krześle. Wstał i wyjął z lodówki butelkę mleka. W domu było cicho. Mégan bawiła się w swoim pokoju, Charlène miała wrócić dopiero za kilka godzin, opiekunka wyszła. Opierając się o zlew, połknął tabletkę przeciwlękową, popijając prosto z butelki. Tknięty nagłym przeczuciem poszukał na pudełku nazwy producenta. Okazało się, że chcąc złagodzić lęk wywołany działaniami grupy Lombarda, właśnie połknął wyprodukowane przez nią lekarstwo!

Zastanawiając się, jak dotrzeć do innych informacji na temat Lombarda, pomyślał o pewnej osobie w Paryżu – zdolnej młodej kobiecie, którą poznał w szkole policyjnej. Nie miał cienia wątpliwości, że ona dostarczy mu najpikantniejszych kasków.

– Martin, chodź zobaczyć!

Wrócili na górę, by przeszukać piętra. Servaz zabrał się do niewielkiego pokoju, którego, jak można było sądzić po warstwie kurzu, nie używano od wieków. Otwierał szuflady, zaglądał pod poduszki i materace, próbował nawet zdjąć blachę osłaniającą palenisko kominka, gdy przez

otwarte drzwi znowu usłyszał głos Irène.

Wyszedł na korytarz ostatniego piętra. Naprzeciwko zobaczył drabinkę z poręczą, jak na statku. Powyżej znajdowała się otwarta kłapa. Snop światła wpadał przez dziurę i przebijał się przez ciemność korytarza.

Servaz wszedł na stopnie. Włożył głowę w otwór.

Stojąca w środku Ziegler przywołała go gestem ręki.

Konstrukcja dachu tworzyła jedno przestronne pomieszczenie. Piękny pokój na poddaszu, który pełnił jednocześnie funkcję sypialni i gabinetu. Servaz wspiął się przez otwór i stanął na podłodze. Umeblowanie i wystrój przypominały wysokogórskie schronisko: surowe drewno, szafa, pod oknem łóżko z szufladami, stolik służący jako biurko. Na jednej ze ścian olbrzymia mapa Pirenejów – doliny, wioski, drogi, szczyty... Servaz od początku się zastanawiał, gdzie Chaperon nocuje, skoro wszystkie pokoje wyglądają na nieużywane. Odpowiedź znajdowała się przed jego oczami.

Ziegler przebiegła wzrokiem pomieszczenie. Servaz zrobił to samo. Szafa była otwarta...

Wewnątrz puste wieszaki, na podłodze kupka ubrań. Na biurku stos poprzewracanych papierów, spod łóżka wysunięta szuflada, a w niej skotłowana męska bielizna.

– To wszystko tak było – mruknęła Ziegler. – Co tu się dzieje?

Servaz dostrzegł pewien szczegół, który w pierwszej chwili umknął jego uwagi: na biurku, wśród papierów, *otwarte pudełko na naboje*.

W pośpiechu Chaperon upuścił jedną kulę na podłogę.

Spojrzeli na siebie...

Mer uciekał, jakby się paliło.

Bał się o swoje życie.

* W: Edgar Allan Poe, *Opowieści nieprawdopodobne*, przeł. St. Wyrzykowski, Towarzystwo Upowszechniania Czytelnictwa, Warszawa 1969, s. 30.

Dziewiętnasta. Diane poczuła nagle straszny głód. Ze szła do niewielkiej stołówki, w której co wieczór przygotowywano jednodaniowy posiłek dla garstki personelu nocującej w Instytucie. Przechodząc, ukloniła się dwóm ochroniarzom, którzy jedli przy stoliku obok drzwi, i wzięła tacę.

Gdy spojrzała przez szybę bufetu z ciepłymi daniami, skrzywiła się: kurczak z frytkami. Będzie musiała się jakoś zorganizować, jeśli zamierza się zdrowo odżywiać i pod koniec pobytu tutaj nie ważyć dziesięć kilogramów więcej. Na deser wybrała sałatkę owocową. Zjadła przy oknie, kontemplując nocny krajobraz. Małe lampki rozmieszczone wokół budynku oświetlały śnieg przy samej ziemi pod jodłami. Widok był bajeczny.

Gdy ochroniarze wyszli, została sama w cichej, opustoszałej sali. Nawet bufetowa zniknęła z za lady. Diane załapała falę smutku i zwątpienia. A przecież tyle razy zostawała sama w swoim studenckim pokoju, by powtarzać materiał i pracować, podczas gdy inni opuszczali budynek uniwersytetu i rozpierzchali się po pubach i dansingach Genewy. Ale nigdy nie czuła się tak daleko od domu. Tak bardzo odizolowana. Tak bardzo zagubiona. Każdego wieczoru, gdy robiło się ciemno, te uczucia wracały.

Wzdrygnęła się, wściekła na samą siebie. Gdzie się podziała jej przenikliwość, znajomość człowieka, psychologii, fizjologii? Czy zamiast poddawać się emocjom, nie może zrobić kroku dalej w samoobserwacji? Czy po prostu jest *nieprzystosowana*? Znała podstawowy wzór: niedostosowanie=rozdarcie=lęk. W wyobraźni starła ten dowód mankietem. Wiedziała, jakie jest źródło jej złego samopoczucia. To nie ma nic wspólnego z nią, ale wynika z tego, co się tutaj dzieje. Nie zazna spokoju, dopóki nie dowie się więcej na ten temat. Wstała i odłożyła tacę na małą, ruchomą taśmę.

Korytarze były tak samo opustoszałe jak stołówka.

Skręcała właśnie w ten, który prowadził do jej gabinetu, gdy nagle znieruchomiała. Czuła się tak, jakby ktoś wlewał jej do żołądka lodowaty płyn. Na korytarzu był Xavier. Powoli zamykał drzwi gabinetu. Jej gabinetu. Szybko rozejrzał się w prawo i w lewo. Diane błyskawicznie schowała się za rogiem. Ku swej wielkiej uldze usłyszała, jak lekarz odchodzi w przeciwnym kierunku.

Kasety magnetofonowe...

Ten szczegół przyciągnął uwagę Servaza. Wśród papierów porzucanych na biurku mera leżały kasety magnetofonowe, których już nikt nie używa, ale jak widać, Chaperon je zachował. Policjant czytał etykiety: ŚPIEW PTAKÓW 1, ŚPIEW PTAKÓW 2, ŚPIEW PTAKÓW 3... Odłożył je. W kącie pokoju zauważył miniwieżę stereo z kieszonką na kasetę.

Alpinizm, ptaki. Ten człowiek naprawdę kocha przyrodę.

I stare rzeczy: zdjęcia, kasety... Stare rzeczy w starym domu... Cóż bardziej normalnego?

Servaz czuł jednak, że gdzieś na obrzeżach jego mózgu zapaliła się ostrzegawcza lampka. Sygnał miał jakiś związek z tym, co znajdowało się w tym pokoju. A dokładniej ze śpiewem ptaków. Co to znaczy? Servaz z reguły miał zaufanie do swojego instynktu, który rzadko ostrzegał go na próżno.

Zastanawiał się intensywnie, ale nic nie przyszło mu do głowy. Ziegler dzwoniła w tym czasie do żandarmerii, żeby zabezpieczono dom i sprowadzono techników kryminalnych.

– Zbliżyliśmy się do prawdy – powiedział, kiedy skończyła.

– Tak – potwierdziła poważnym tonem. – Ale wygląda na to, że nie jesteśmy sami.

Niepokój znów ścisnął mu żołądek. Servaz już nie wątpił, że jądro śledztwa stanowi kwartet Grimm-Perrault-Chaperon-Mourrenx i jego dawne „wyczyny”. Ale morderca – czy też mordercy – jest co najmniej o dwie długości przed nimi. I w przeciwieństwie do nich wie o wszystkim, o czym wiedzieć należy, i to od dawna. Ale co w tym wszystkim robią koń Lombarda i Hirtmann? Komendant po raz kolejny uświadomił sobie, że nie wszystko jest dla niego jasne.

Wyszli z domu na oświetlone schody. Noc była zimna i wilgotna. Rozkołysane drzewa malowały w ogrodzie roztańczone cienie, gdzieś w ciemności skrzypiała okiennica. Stojąc na schodach, Servaz zastanawiał się, dlaczego do tego stopnia przejął się kasetami ze śpiewem ptaków. Wyjął je z kieszeni i podał Ziegler.

– Daj to komuś do przesłuchania. Ale nie kilka sekund. Całość.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Chcę wiedzieć, czy to faktycznie śpiew ptaków. Czy może coś innego.

W jego kieszeni zabrzączał telefon. Wyjął go i spojrzał na nazwisko dzwoniącego na wyświetlaczu: Antoine Canter, jego szef.

– Przepraszam – rzucił, schodząc ze schodów. – Servaz – powiedział do telefonu, drepcząc po śniegu w ogrodzie.

– Martin? Mówi Antoine. Vilmer chce cię zobaczyć.

Nadkomisarz Vilmer, szef policji kryminalnej w Tuluzie. Servaz nie lubił tego człowieka ze wzajemnością. W oczach Vilmera był typem gliny, który powinien odejść do lamusa: odporny na nowinki, indywidualista, działający instynktownie, odmawiający ślepego stosowania się do nowych zaleceń ministerstwa. Vilmer marzył o funkcjonariuszach gładkich, sformatowanych, posłusznych i wzajemnie zastępowalnych.

– Jutro wpadnę – powiedział, spoglądając na Irène, która czekała na niego przed wejściem.

– Nie. Vilmer chce, żebyś stawił się w jego gabinecie dziś wieczorem. Czeka na ciebie. Nie rób numerów, Martin. Masz dwie godziny.

Servaz wyjechał z Saint-Martin tuż po dwudziestej. Pół godziny później wjeżdżał z drogi D 825 na autostradę A 64. Na skrzyżowaniu opadło go zmęczenie. Oślepiiony światłami samochodów jadących z naprzeciwka, skręcił na parking. Wszedł do sklepu i wypił kawę z automatu. Potem z wielkiej lodówki wziął jeszcze puszkę Red Bulla, zapłacił w kasie, otworzył i wypił duszkiem, oglądając okładki kolorowych czasopism i pierwsze strony dzienników wyłożonych na stojaku. Wrócił do samochodu.

Gdy dotarł do Tuluzy, padał lekki deszcz. Przywitał się z dyżurnym, zaparkował samochód i poszedł do windy. Była 21.30, gdy wcisnął guzik, by wjechać na ostatnie piętro. Na co dzień starał się tam nie bywać. Tamtejsze korytarze trochę za bardzo przypominały mu czas, który, na początku swojej kariery, spędził w generalnej dyrekcji policji narodowej. Była to instytucja pełna ludzi, którym praca w policji kojarzyła się wyłącznie z obsługą edytora tekstów i którzy każdą prośbę zwykłych policjantów traktowali jak nową mutację wirusa Ebola. Do tej pory większość urzędników już wyszła i korytarze były puste. Porównał panujący tu spokój z chaosem i ciągłym napięciem w jego brygadzie. Oczywiście w dyrekcji generalnej Servaz spotkał także wiele kompetentnych i skutecznie działających osób. Jednak ci ludzie rzadko pchali się przed szereg, a jeszcze rzadziej nosili najmodniejsze krawaty. Uśmiechnął się na wspomnienie teorii wyznawanej przez Espérandieu. Jego asystent uważał, że począwszy od pewnej liczby facetów w garniturach i pod krawatem na metr kwadratowy, człowiek wkracza na teren nazywany przez niego: „strefą malejących kompetencji”, „strefą absurdalnych decyzji”, „strefą zabierania kołdry” czy też „strefą psychologii”.

Zerknął na zegarek i postanowił, że Vilmer jeszcze pięć minut poczeka. Nie co dzień miewa się okazję, by zmuszać do cierpliwości gościa, który spędza cały czas na kontemplowaniu własnego pępka. Servaz skorzystał z niej, kierując się do pomieszczenia, w którym znajdowały się automaty z napojami. Wrzucił monetę do dystrybutora z kawą. Przy stoliku trzy osoby – dwóch mężczyzn i jedna kobieta – uciwały sobie pogawędkę. Gdy wszedł, natężenie rozmowy spadło o parę decybeli. Ktoś ściszone głosem opowiedział dowcip. Poczucie humoru, pomyślał Servaz. Jego była żona mówiła, że mu go brakuje. Może i miała rację. Ale czy to jest równoznaczne z brakiem inteligencji? Raczej nie, jeśli sądzić po liczbie znanych mu idiotów tryskających humorem. Z całą pewnością jest to oznaka jakiejś psychicznej słabości. Zapyta o to Proppa. Servaz zaczynał lubić psychologa, mimo jego namaszczonego sposobu bycia. Wypił którąś z kolei kawę i wyszedł z pomieszczenia, w którym na nowo rozległy się rozmowy. Kobieta za jego plecami wybuchnęła sztucznym, pozbawionym wdzięku śmiechem, który go zirytował.

Gabinet Vilmera znajdował się parę metrów dalej. Jego sekretarka powitała Servaza życzliwym uśmiechem.

– Proszę wejść. Czeka na pana.

Servaz pomyślał, że to nie wróży nic dobrego; zastanawiał się jednocześnie, czy sekretarka Vilmera odbiera wynagrodzenie za przepracowane nadgodziny.

Vilmer był szczupłym mężczyzną o ładnie przyciętej bródce, nienagannie uczesanych włosach, z urzędowym uśmiechem na stałe przyklejonym do warg niczym przewlekła opryszczka. W zakresie koszul, krawatów, garniturów i obuwia był zawsze *nec plus ultra*. Miał skłonność do barw czekolady, mroźnego kasztanu i fioletu. Servaz uważał go za żywy dowód tego, jak wysoko może wspiąć się idiota, jeśli tylko ma nad sobą innych idiotów.

– Niech pan siada.

Servaz opadł na fotel z czarnej skóry. Vilmer wyglądał na niezadowolonego. Złączył palce obu dłoni pod brodą i przez chwilę patrzył na niego w milczeniu z miną, która miała wyrażać jednocześnie przenikliwość i naganę. Nie był to szczyt aktorskiego kunsztu i Servaz odwzajemnił jego spojrzenie delikatnym uśmiechem, który podziałał na Vilmera jak płachta na byka.

– Uważa pan, że ta sytuacja jest zabawna?

Jak wszyscy w policji kryminalnej Servaz wiedział, że cała dotychczasowa kariera Vilmera polegała na siedzeniu za biurkiem. Nadkomisarz nie miał pojęcia o pracy w terenie, poza krótkim epizodem w obyczajówce na początku pracy, kiedy to, jak głosiła plotka, był pośmiewiskiem i kozłem ofiarnym brygady.

– Nie, proszę pana.

– Trzy zabójstwa w ciągu ośmiu dni!

– Dwa – poprawił go Servaz. – Dwa zabójstwa i jeden nieżywy koń.

– W jakim punkcie jest śledztwo?

– Dochodzenie trwa osiem dni. Dziś rano o mało nie złapaliśmy zabójcy, ale udało mu się uciec.

– To pan pozwolił mu uciec – uściślił dyrektor. – Sędzia Confiant skarżył się na pana – dorzucił.

Servaz podskoczył.

– Co takiego?

– Dzwonił do mnie i do kancelarii. Która natychmiast przekazała skargę dyrektorowi gabinetu ministra spraw wewnętrznych. A on zadzwonił *do mnie*. – Milczał przez chwilę. – Stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji, komendancie.

Servaz osłupiał. Confiant działał za plecami d’Humières! Pan sędzia nie traci czasu!

– Odbiera mi pan tę sprawę?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Vilmer, jakby taka myśl ani przez chwilę nie przemknęła mu przez głowę. – Poza tym Catherine d’Humières broniła pana w sposób, muszę przyznać, dość przekonujący. Uważa, że pan i kapitan Ziegler robicie dobrą robotę. – Głośno wciągnął powietrze, jakby powtarzanie takich bzdur dużo go kosztowało. – Ale ostrzegam pana: tą sprawą interesują się wysoko postawieni ludzie. Jesteśmy w oku cyklonu. Na razie jest spokojnie. Ale jeśli się panu nie uda, niech się pan spodziewa konsekwencji.

Servaz nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Choć wystrojony w szykowny garniturek inspektor tego nie okazywał, trząsał portkami, gdyż doskonale wiedział, że „konsekwencje” spadną nie tylko na detektywów.

– To delikatna sprawa, niech pan o tym nie zapomina.

Tak, z powodu konia, pomyślał Servaz. To koń ich interesuje. Przełknął gniew.

– Czy to wszystko?

– Nie. Ten facet, ofiara, Perrault wzywał pana na pomoc?

– Tak.

– Dlaczego pana?

– Nie wiem.

– Nie próbował pan wyperswadować mu wjeżdżania na górę?

– Nie miałem na to czasu.

– A co to za historia z samobójcami? Co ona ma z tym wspólnego?

– Na razie nie wiemy. Ale Hirtmann wspomniał o niej, gdy u niego byliśmy.

– Co takiego?

– No... *Poradził mi*, żebym się zainteresował samobójcami.

Dyrektor wpatrywał się w niego. Tym razem nie ukrywał zdumienia.

– *Chce pan powiedzieć, że Hirtmann mówi panu, jak ma pan prowadzić śledztwo?*

Servaz zmarszczył czoło.

– To nieco... upraszczające podejście do sprawy.

– *Upraszczające?* – Vilmer podniósł głos. – Mam wrażenie, że to śledztwo rozłązi się na wszystkie strony, komendancie! Ma pan DNA Hirtmanna, prawda? Czego panu jeszcze potrzeba? Skoro nie mógł opuścić Instytutu, to znaczy, że ma tam współnika! Niechże go pan znajdzie!

Jakie wszystko staje się proste, gdy się patrzy z daleka, pomija się szczegóły i nic się o nich nie wie, pomyślał Servaz. Ale w gruncie rzeczy Vilmer ma rację.

– Jaki pan ma trop?

– Kilkanaście lat temu wniesiono skargę na Grimma i Perraulta o szantaż... Seksualny.

– No i?

– Z całą pewnością to nie był jednorazowy wybryk. Prawdopodobnie w stosunku do innych kobiet lub nastolatków posunęli się dalej. To mógłby być motyw, którego szukamy.

– Zemsta?

– Coś w tym stylu.

Jego uwagę przyciągnął plakat za plecami Vilmera. Pisuar. Servaz rozpoznał dzieło Duchampa pokazane na wystawie dadaistów w Centre Georges-Pompidou w 2006 roku. No oczywiście. Niech dla wszystkich, którzy tu wchodzi, będzie jasne, że gość, który tu pracuje, jest wykształcony, kocha sztukę i jednocześnie ma poczucie humoru.

Dyrektor przez chwilę się zastanawiał.

– Jaki to ma związek z koniem Lombarda?

Servaz się zawahał.

– No, gdyby przyjąć hipotezę zemsty, należałoby się domyślać, że ci ludzie zrobili coś paskudnego – powiedział, niemal dokładnie powtarzając słowa Alexandry. – A przede wszystkim, że zrobili to razem. W takim wypadku mordercy mogliby zabić konia, ponieważ nie byli w stanie bezpośrednio dosięgnąć Lombarda.

Vilmer w jednej chwili zbladł.

– Niech mi pan nie mówi... Niech mi pan nie mówi... że podejrzewa pan Érica Lombarda, że on też... że on też mógł popełniać...

– Przepięstwa seksualne – pomógł mu Servaz. Miał świadomość, że posuwa sprawę trochę zbyt daleko, ale strach, który przez chwilę widział w oczach szefa, podziałał na niego jak afrodyzjak. – Nie, na razie nic z tych rzeczy. Ale z pewnością między nim a pozostałymi istnieje jakiś związek, z powodu którego znalazł się wśród ofiar.

Przynajmniej jedno mu się udało: zamknął dziób Vilmerowi.

Po wyjściu z gmachu policji kryminalnej Servaz ruszył w kierunku starego centrum miasta. Nie miał ochoty wracać do siebie. Przynajmniej nie od razu. Musiał odreagować napięcie i złość, jakie budziły się w nim w zetknięciu z ludźmi pokroju Vilmera. Nie miał parasola, ale padający właśnie lekki deszcz przyjął jako błogosławieństwo. Miał wrażenie, że woda obmywa go z brudu, w którym nurza się od kilku dni.

Bez udziału świadomości nogi zaniósły go prosto przed przeszklone, jasno oświetlone

wejście do „Charlène’s”, galerii sztuki, którą kierowała żona jego asystenta. Ciągająca się w głąb wąska galeria zajmowała dwa poziomy. Jej nowoczesne, białe wnętrza widoczne przez szklane ściany kontrastowało z sąsiednimi, starymi fasadami z czerwonej cegły. W środku było dużo ludzi. Wernisaż. Już miał się stamtąd ulotnić, gdy nagle podniósł głowę i zobaczył, jak Charlène macha do niego z pierwszego piętra. Chcąc nie chcąc, wszedł do długiej sali. Strużki wody spływały z jego włosów i ubrania, przemoczone buty skrzypiały i zostawiały ślady na jasnej, drewnianej podłodze. Ściągał na siebie jednak mniej spojrzeń, niż się spodziewał. Z twarzy zgromadzonych emanowała oryginalność, nowoczesność i otwartość umysłu. Przynajmniej w opinii ich właścicieli. Na zewnątrz są otwarci i nowocześni, ale czy są tacy w głębi duszy? Jeden konformizm goni drugi, pomyślał. Skierował się ku krętym, metalowym schodom położonym w głębi. W oczy raził go zbyt żywy blask halogenów umieszczonych na szynach i biel ścian. Już zamierzał postawić nogę na pierwszym stopniu, gdy jego uwagę przykuł ogromny obraz na przeciwnej ścianie w głębi pomieszczenia.

Właściwie nie był to obraz, ale olbrzymie zdjęcie, wysokie na cztery metry.

Scena ukrzyżowania przedstawiona w bladoniebieskich odcieniach. Za krzyżem widać było burzowe niebo, na którym kłębiły się chmury przecinane sinymi piorunami. Miejsce Chrystusa na krzyżu zajmowała ciężarna kobieta. Miała głowę przechyloną na ramię, z jej oczu płynęły krwawe łzy. Krople bardzo czerwonej krwi spływały też spod cierniowej korony na niebieskawe czoło. Nie tylko ją ukrzyżowano, ale jeszcze wyrwano jej piersi, w ich miejscu były krwawe rany, w tym samym kolorze żywej czerwieni. Matowe, mlecznobiałe tęczęwki wyglądały, jakby przesłaniała je błona katarakty.

W pierwszej chwili Servaza odrzuciło. Realizm i brutalność tego obrazu były nie do zniesienia. Co za świr wpadł na taki pomysł?

Skąd się bierze ta fascynacja przemocą? – zapytał siebie. Zalew wstrząsających obrazów w telewizji, kinie, w książkach. Czy to jest sposób na zaklinanie strachu? Większość z tych artystów zna przemoc tylko pośrednio, jako pojęcie abstrakcyjne. Inaczej mówiąc – nie zna jej wcale. Gdyby gliniarze oglądający sceny zbrodni nie do wytrzymania, strażacy w każdym tygodniu wydobywający z samochodów ofiary wypadków, sędziowie co dzień poznający wszelkiej maści okrutne fakty zaczęli malować, rzeźbić czy pisać – co by z tego wyniknęło? To samo, czy coś radykalnie innego?

Gdy wchodził na pierwsze piętro, stalowe schody drżały pod jego stopami. Charlène gawędziła z eleganckim mężczyzną o białych, jedwabistych włosach, ubranym w bardzo drogi garnitur. Przerwała i skinęła na Servaza, żeby podszedł bliżej, po czym dokonała prezentacji. Policjant domyślił się, że ten człowiek, bankier, to jeden z najlepszych klientów galerii.

– Dobrze, zejść na dół i pooglądać tę piękną wystawę – powiedział. – Jeszcze raz brawo dla pani niewątpliwego gustu, moja droga. Nie wiem, jak pani to robi, że za każdym razem wynajduje pani tak utalentowanych artystów.

Mężczyzna odszedł. Servaz się zastanawiał, czy bankier choć raz na niego spojrział. Wydawało się, że nawet nie zauważył, w jakim jest stanie. Dla ludzi tego pokroju Servaz nie istniał. Charlène pocałowała go w policzek i Servaz wyczuł w jej oddechu zapach malin i wódki. Wyglądała ołsniewająco, ubrana w czerwoną ciężową sukienkę i krótką marynarkę z białego skaju. Jej oczy, podobnie jak naszyjnik, lśniły nieco zbyt żywym blaskiem.

– Wygląda na to, że pada – powiedziała, uśmiechając się do niego czule. Wskazała ręką galerię. – Rzadko tu bywasz. Bardzo mi miło, że dziś przyszedłeś. Podoba ci się?

– Trochę... wytrącające z równowagi.

Roześmiała się.

– Artysta występuje pod pseudonimem Mentopagus. Wystawa nosi tytuł *Okrucieństwo*.

– A, w takim razie udana – zażartował.

– Kiepsko wyglądasz, Martin.

– Przykro mi, nie powinienem wchodzić w tym stanie.

Skwitowała gestem jego przeprosiny.

– Najlepszy sposób, żeby cię tutaj nie zauważyli, to mieć trzecie oko na środku czoła. Wszyscy ci ludzie sądzą, że stoją na czele awangardy, nowoczesności, nonkonformizmu, że są wewnętrznie piękni i lepsi od innych...

Servaz był zaskoczony zjadliwością, jaka przebijiała z jej głosu, i spojrział na kieliszek pełen kostek lodu. Może to wpływ alkoholu.

– Stereotyp artysty-egocentryka – powiedział.

– Sądy stają się stereotypami właśnie dlatego, że jest w nich prawda – odparowała. – Myślę, że tak naprawdę znam tylko dwie osoby obdarzone prawdziwym wewnętrznym pięknem – ciągnęła, jakby mówiła do siebie. – Vincenta i ciebie. Dwóch gliniarzy. Ale w twoim wypadku to piękno jest głęboko ukryte...

Zaskoczyło go to wyznanie. Nie spodziewał się czegoś takiego.

– Nienawidzę artystów – rzuciła nagle drżącym głosem.

To, co zrobiła potem, zaskoczyło go jeszcze bardziej. Pochyliła się i złożyła na jego policzku kolejnego całusa, ale tym razem zrobiła to kącikiem ust. Następnie opuszkami palców przelotnie musnęła jego wargi – ten podwójny gest był wyrazem zaskakującej powściągliwości i oszałamiającej zażyłości. A potem odeszła. Servaz usłyszał stukanie jej obcasów na metalowych schodach.

Tym samym rytmem biło jego serce. Kręciło mu się w głowie. Na kawałku podłogi leżał gruz, gips i płytki chodnikowe. Servaz zastanawiał się, czy to dzieło sztuki czy warsztat pracy. Naprzeciw niego na białej ścianie wisiał kwadratowy obraz, na którym kłębiło się mnóstwo małych ludzików tworzących zwarty, kolorowy tłum. Były ich setki, a może i tysiące. Najwyraźniej wystawa *Okrucieństwo* oszczędziła drugie piętro galerii.

– Mistrzostwo, prawda? – odezwała się kobieta obok niego. – Te elementy popartu, komiksu. Można powiedzieć, że to Lichtenstein w miniaturze!

Servaz o mało nie podskoczył. Był pogrążony w swoich myślach i nie usłyszał, kiedy podeszła. Mówiła, jakby ćwiczyła wokalizy, jej głos na przemian wznosił się i opadał.

– *Quos vult perdere Jupiter, prius dementat* – powiedział. Kobieta patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem. – To z łaciny: „Kogo Jowisz chce zgubić, temu wpierw rozum odbiera”.

I umknął w kierunku schodów.

Po powrocie do domu włączył *Pieśń o ziemi* w nowoczesnym wykonaniu Eiji Oué z Michelle De Young i Jonem Villarsem. Przeszedł od razu do poruszającego *Pożegnania*. Nie chciało mu się spać. Sięgnął do biblioteczki po książkę: Heliodor z Emesy *Opowieść etiopska*.

„Dziecko jest tutaj, razem ze mną. To moja córka. Nosi moje nazwisko. Jest całym moim

życiem. Doskonała pod każdym względem, daje mi więcej szczęścia, niż mógłbym się spodziewać. Jak szybko doszła do pełni rozkwitu, podobna do wybujałego, strzelistego pędu! Przewyższa pięknnością wszystkie inne, tak że nikt, czy to Grek, czy cudzoziemiec, nie może się powstrzymać od spojrzenia na nią”*

Servaz siedział w fotelu przed biblioteczką. Przerwał lekturę. Przyszedł mu na myśl Gaspard Ferrand, zraniony ojciec. Jego myśli zaczęły krążyć wokół młodocianych samobójców i Alice jak stado kruków nad polem. Jak młoda Charikleia z romansu Heliodora, Alice ściągała na siebie spojrzenia wszystkich. Przypomnił sobie zeznania sąsiadów: Alice Ferrand była idealnym dzieckiem, pięknym, mądrym ponad swój wiek, osiagającym wyniki w szkole i w sporcie, zawsze gotowym do pomocy. Ale w ostatnim czasie się zmieniła, jak twierdzi jej ojciec. Co się stało? Następnie pomyślał o kwartecie Grimm-Perrault-Chaperon-Mourrenx. Czy w jakimś momencie drogi Alice i innych samobójców oraz tej czwórki się przecięły? Przy jakiej okazji? W ośrodku? Ale przecież dwojga spośród siódemki nastolatków nigdy tam nie było.

Znowu czuł dreszcze. Miał wrażenie, jakby temperatura w mieszkaniu spadła o kilka stopni. Chciał pójść do kuchni po butelkę wody mineralnej, ale nagle salon zawirował mu przed oczami. Rzędy książek na półkach zaczęły falować, a światło lampy wydało mu się nieznośnie jasne. Servaz ponownie opadł na fotel.

Zamknął oczy. Gdy je otworzył, nie czuł już zawrotów głowy. Psiakrew, co się dzieje?

Wstał i poszedł do łazienki. Wziął tabletkę od Xaviera. Paliło go w gardle. Zimna woda przyniosła mu chwilową ulgę, ale pieczenie natychmiast wróciło. Pomasował gałki oczne i wrócił do salonu. Wyszedł na balkon, by głębiej odetchnąć. Rzucił okiem na miejskie światła w dole. Przez głowę przemknęła mu myśl o oddziaływaniu nowoczesnych miast, które swoim sztucznym oświetleniem i nieustannym hałasem w nocy przyprawiają swoich mieszkańców o bezsenność, a w dzień robią z nich półsenne duchy.

Następnie znowu wrócił myślami do Alice. Oczyma duszy zobaczył pokój na poddaszu, pomarańczowo-żółte meble, fioletowe ściany i białą wykładzinę. Zdjęcia i widokówki, płyty CD i przybory szkolne, ubrania i książki. Dziennik... Brakowało dziennika. Servaz był coraz bardziej przekonany, że nastolatka taka jak Alice nie mogła nie pisać dziennika.

Musi gdzieś być.

Ponownie przypomniał sobie Gasparda Ferranda, wykładowcę literatury, globtrotera, jogina... Odruchowo porównał go z własnym ojcem. On również uczył literatury – łacińskiej i greckiej. Był człowiekiem uzdolnionym, tajemniczym, ekscentrykiem, a czasami także cholerykiem. *Genus irritabile vatum*: „Drażliwy ród poetów”.

Servaz bardzo dobrze wiedział, że ta myśl pociągnie za sobą kolejną, ale było już za późno na powstrzymanie fali. Poddał się zalewowi wspomnień, które owładnęły nim z koszmarną wyrazistością.

Fakty. Jedynie fakty.

A fakty były następujące: W ciepły lipcowy wieczór mały Martin Servaz, lat dziesięć, bawił się na podwórzu rodzinnego domu, kiedy na długim, prostym odcinku drogi pojawiły się światła samochodu. Dom Servazów był starą samotną farmą, położoną w odległości trzech kilometrów od najbliższej wioski. Dziesiąta wieczór. Panował lekki półmrok, cykanie świerszczy na sąsiednich polach miał wkrótce zastąpić rechot żab, głuchy odgłos burzy przewalał się nad górami na horyzoncie, na bladym jeszcze niebie coraz wyraźniej było widać gwiazdy. Daleki syk zmienił się w warkot silnika i samochód zwolnił. Jego światła obróciły się w kierunku domu.

Wjechał na drogę, podskakując na wybojach. Gdy przejechał przez bramę i zahamował na podwórzu, opony zgrzytnęły na żwirze. Kiedy dwóch mężczyzn wysiadło z samochodu, nagły podmuch wiatru jęknął w koronach topoli. Martin nie widział dokładnie ich twarzy z powodu ciemności, która zaczęła już ogarniać podwórko, ale bardzo dobrze usłyszał głos jednego z nich:

– Cześć, mały, rodzice są w domu?

W tej samej chwili drzwi domu się otworzyły i na progu, w prostokącie światła dochodzącego z wnętrza, pojawiła się matka. Mężczyzna, który mówił wcześniej, podszedł do niej, przepaszając za najście, mówił szybko, podczas gdy drugi w przyjaznym geście położył dłoń na ramieniu chłopca. Było w dotyku tej dłoni coś, co od razu się małemu Martinowi nie spodobało. Jakby ledwie wyczuwalne zakłócenie wieczornego spokoju. Jak niema groźba, którą jedynie on był w stanie dosłyszeć, jakkolwiek mowa drugiego mężczyzny była przyjazna, i widział, że matka się uśmiecha. Podniósłszy głowę, zobaczył twarz ojca, wyglądającego ze zmarszczonymi brwiami przez okno gabinetu na pierwszym piętrze, w którym poprawiał prace swoich uczniów. Chciał zawołać do matki, by uważała i nie wpuszczała ich do domu, ale przecież nauczono go, że ma być grzeczny i milczeć, kiedy dorośli rozmawiają.

Usłyszał, jak matka mówi: „Proszę wejść”.

Następnie stojący za nim mężczyzna lekko pchnął go do przodu. Poczuł przez delikatną tkaninę koszulki piekący ucisk jego palców na ramieniu i tym razem gest mężczyzny nie wydał mu się już przyjazny, ale władczy. Jeszcze dziś przypomina sobie, że odgłos każdego ich kroku na żwirze dźwięczał w jego głowie jak ostrzeżenie. Pamięta ostry zapach wody toaletowej i potu dochodzący zza jego pleców. Pamięta, że wydawało mu się, że cykanie świerszczy stało się intensywniejsze i również brzmiało dla niego jak alarm. Nawet jego serce waliło jak złowieszczy tam-tam. Było to w chwili, gdy weszli na schody i mężczyzna przytknął mu coś do ust i nosa. Kawałek wilgotnej tkaniny. Przez chwilę czuł ogień palący w gardle i płucach i widział białe punkciki tańczące przed oczami, a potem zapadł się w czarną dziurę.

Kiedy odzyskał świadomość, leżał w komórce pod schodami, był otumaniony i chciało mu się wymiotować. Przez drzwi usłyszał błagalny ton matki i ogarnął go strach. Słyszając warkliwe głosy mężczyzn, którzy na zmianę to jej grozili, to ją uspokajali, to z niej kpili, stracił panowanie nad lękiem i zaczął się trząść. Zastanawiał się, dokąd poszedł ojciec. Instynktownie wiedział, kim są ci mężczyźni: istoty nie całkiem ludzkie, czarne charaktery z kina, złe stworzenia, ohydne postaci z komiksu, jak Tinkerer i Zielony Goblin... Domyślił się, że ojciec leży gdzieś związany i bezsilny, jak to często bywa z bohaterami komiksów: gdyby tak nie było, już by się rzucił, by ich ratować. Wiele lat później Servaz pomyślał, że ani Seneka, ani Marek Aureliusz nie byli dla ojca wielkim wsparciem w dyskusji z dwójką przybyszy. Ale czy w ogóle można dyskutować z wygłodzonymi wilkami? Jednak nie mięsa były głodne te bestie. Gdyby mały Martin miał zegarek, wiedziałby, że kiedy się ocknął, było dwadzieścia minut po północy i musiało upłynąć jeszcze prawie pięć godzin, zanim koszmar się skończył, pięć długich godzin, kiedy jego matka prawie bez ustanku wyła, szlochała, łkała, przeklinała i błagała. I gdy wycie matki stopniowo przechodziło w urywany szloch, a potem w łkanie i niezrozumiałe pomruki, gdy katar leciał mu z nosa klejącą strużką, a po udach spływał ciepły mocz, gdy przez drzwi komórki zaczęły dochodzić pierwsze odgłosy poranka – przedwczesne pianie koguta, odległe ujadanie psa, warkot samochodu przejeżdżającego drogą biegnącą sto metrów dalej, gdy nieśmiało światło zaczęło się wsączać przez szparę pod drzwiami, dom stopniowo zaczęła ogarniać cisza – całkowita, ostateczna i dziwnie uspokajająca.

Servaz od trzech lat pracował w policji, kiedy wreszcie, po piętnastu latach od tamtych wydarzeń, udało mu się zdobyć protokół z sekcji zwłok. Później dotarło do niego, że był to jeden z jego najfatalniejszych błędów. Sądził, że po tylu latach będzie miał dość siły. Mylił się. Z niewypowiedzianym przerażeniem w najdrobniejszych szczegółach odkrył, co jego matka wycierpiała tamtej nocy. Po zakończonej lekturze młody policjant zamknął protokół, rzucił się do toalety i wymiotował cały obiad.

Fakty. Jedynie fakty.

A fakty były następujące: Jego ojciec przeżył, spędził jednak dwa miesiące w szpitalu. Małego Martina umieszczono na ten czas u ciotki. Po wyjściu ze szpitala ojciec powrócił do dawnego zawodu. Ale bardzo szybko się okazało, że nie jest już w stanie go wykonywać: często stawał przed swoimi uczniami pijany, nieogolony i rozczochrany, a do tego ciągle im ubliżał. W końcu wysłano go na bezterminowy urlop, co sprawiło, że ojciec jeszcze bardziej zaczął się pograżać. Mały Martin znowu wyładował u ciotki. Fakty, jedynie fakty. Dwa tygodnie po spotkaniu kobiety, która pół roku później miała zostać jego żoną, gdy zbliżało się lato, Servaz pojechał na farmę, by zobaczyć się z ojcem. Wysiadłszy z samochodu, rzucił okiem na dom. Stara stodoła z boku popadła w ruinę. Sam budynek wydawał się niezamieszkały, prawie połowa okiennic była zamknięta. Servaz zastukał w szybę drzwi wejściowych. Nie było reakcji. Drzwi były otwarte. „Tato?” Jedyłą odpowiedzią była cisza. Pewnie stary znowu leży gdzieś zalany w trupa. Rzucił marynarkę i torbę na jakiś mebel, w kuchni nalał sobie szklankę wody i – ugasiwszy pragnienie – wszedł po schodach, sądząc, że jego ojciec jest w swoim gabinecie i drzemie. Młody Martin miał rację: ojciec był w gabinecie. Przez zamknięte drzwi dochodziła wygłuszona muzyka, którą od razu rozpoznał: Gustav Mahler, ulubiony kompozytor ojca.

A zarazem się mylił. Ojciec nie drzemał. Nie był też pograżony w lekturze jednego ze swoich ukochanych łacińskich autorów. Leżał wyciągnięty w fotelu, z szeroko otwartymi, szklistymi oczami i białą pianą na wargach. Trucizna. Jak Seneka, jak Sokrates. Dwa miesiące później Servaz przystąpił do konkursu na oficera policji.

O dwudziestej drugiej Diane zgasła światło w swoim gabinecie. Zabrała ze sobą pracę, którą chciała dokończyć, zanim położy się spać, i weszła na czwarte piętro do swojego pokoju. Wciąż było tam tak samo zimno. Włożyła szlafrok na ubranie, usiadła w głowach łóżka i zabrała się do lektury. Patrząc w notatki, przypomniała sobie pierwszego pacjenta, z którym spotkała się tego dnia: niewysokiego, niegroźnie wyglądającego sześćdziesięcioletka o wysokim i skrzekliwym głosie, który brzmiał, jakby oszlifowano mu struny głosowe. Dawny nauczyciel filozofii. Gdy weszła, powitał ją z najwyższą uprzejmością. Spotkała się z nim w salonie, w którym stoły i fotele były przytwierdzone do podłogi. Stał tam też telewizor z dużym ekranem, zamknięty w skorupie z pleksi. Wszystkie kanty i krawędzie mebli były obite plastikiem. W salonie nie było nikogo poza nimi, ale pomocnik medyczny trzymał straż w progu pomieszczenia.

– Victorze, jak się pan dzisiaj czuje? – zapytała.

– Jak kurewski worek gówna.

– Co pan przez to rozumie?

– Jak wielka kupa, jak odchody, jak bobek, jak wielki kłoc, jak stolec, jak...

– Victorze, dlaczego jest pan taki wulgarny?

– Czuję się, jak to, co wychodzi spomiędzy pani pośladków, pani doktor, kiedy idzie pani do...

– Nie chce mi pan odpowiedzieć?

– Czuję się jak...

Postanowiła, że już nigdy więcej nie zapyta go, jak się czuje. Victor zabił siekierą swoją żonę, szwagra i szwagierkę. Według informacji zawartej w jego teczce, żona i jej rodzina traktowali go jak śmiecia i nieustannie z niego kpili. W „normalnym” życiu Victor był człowiekiem dobrze wykształconym, o wielkiej kulturze osobistej. Podczas pobytu w poprzednim szpitalu rzucił się na pielęgniarkę, która miała pecha zaśmiać się w jego obecności. Na szczęście ważył tylko pięćdziesiąt kilogramów.

Na próżno próbowała się skoncentrować na jego przypadku. Kompletnie jej to nie wychodziło. Coś innego błędziło po obrzeżach jej świadomości. Śpieszyła się, by skończyć tę pracę i zająć się tym, co się dzieje w Instytucie. Nie miała pojęcia, do czego dojdzie, ale była zdecydowana kontynuować swoje śledztwo. Tym razem wiedziała, od czego zacząć. Wpadła na to, gdy zobaczyła, jak Xavier wychodzi z jej gabinetu.

Otwierając kolejną teczkę, od razu przypomniała sobie pacjenta, którego ona dotyczyła. Czterdziestoletni mężczyzna o rozgorączkowanym spojrzeniu, zapadniętych policzkach znikających pod obfitym zarostem i brudnych włosach. Były naukowiec węgierskiego pochodzenia specjalizujący się w badaniach nad fauną morską. Mówiący doskonałą francuszczyzną z wyraźnym słowiańskim akcentem. Miał na imię György.

– Jesteśmy powiązani z wielkimi głębinami – powiedział od razu. – Pani tego jeszcze nie wie, pani doktor, ale my tak naprawdę nie istniejemy, istniejemy wyłącznie na poziomie myśli, jesteśmy emanacjami umysłu podwodnych stworzeń, które żyją na dnie oceanów na głębokości ponad dwóch tysięcy metrów. To królestwo odwiecznych ciemności, do którego nigdy nie dociera światło dzienne. Przez cały czas jest tam *czarno*. – Usłyszawszy to słowo, Diane poczuła, że ogarnia ją lęk. – I zimno, bardzo, bardzo zimno. I ciśnienie: jest ogromne. Co dziesięć metrów rośnie o jedną atmosferę. Jedynie te stworzenia są w stanie to znieść. Mają wielkie oczy, szczęki pełne ostrych zębów i świecące narządy na całej długości ciała. To padlinożercy, nekrofagi żywiące się truchłem, które spada z górnych warstw oceanu, albo potworni zabójcy, pożerający swoje ofiary jednym kłapnięciem. Tam na dole wszystko jest ciemnością i okrucieństwem. Tak jak tutaj. Jest ryba-wąż, *Chauliodus sloani*, której głowa przypomina trupa czaszkę wyposażoną w zęby długie jak noże i przezroczyste jak szkło i na której węzowatym ciele znajdują się świecące punkty. Są *Linophyrne lucifer* i *Photostomias guernei*, ryby bardziej odrażające i przerażające od piranii. Są kikutnice, podobne do pajaków, i oporniki krępe, które wyglądają jak martwe, ale są żywe. Te stworzenia nigdy nie widzą dziennego światła, nigdy nie podpływają ku powierzchni. Tak jak my, pani doktor. Nie widzi pani analogii? To dlatego, że my tutaj tak naprawdę nie istniejemy, w przeciwieństwie do was. Jesteśmy wydzielinami umysłu tamtych stworzeń. Za każdym razem, gdy jedno z nich umiera, tutaj umiera jeden z nas.

Gdy mówił, jego oczy stawały się mętne, jakby odpływał w głębinę oceanicznych ciemności. Ta absurdalna przemowa zmroziła Diane swoim koszmarnym pięknem. Było jej trudno pozbyć się obrazów, które przed nią odmalował.

Wszystko w Instytucie działa na zasadzie przeciwieństw, pomyślała. Piękno/okrucieństwo. Cisza/wycie. Samotność/stłoczenie. Strach/ciekawość. Odkąd tu jest, ciągle odczuwa sprzeczne

emocje.

Zamknęła teczkę pacjenta o imieniu György i skupiła się na czym innym. Przez cały wieczór rozmyślała nad leczeniem, jakie Xavier ordynuje niektórym z jej pacjentów. Chemiczny kaftan. I o jego potajemnych odwiedzinach w jej gabinecie. Czyżby Dimitri, szef apteki, zdradził mu, że Diane trochę za bardzo się interesuje jego sposobami leczenia? Mało prawdopodobne. W wypowiedziach Dimitriego wyczuła milczącą wrogość do psychiatry. Trzeba pamiętać, że Xavier przybył dopiero przed kilkoma miesiącami, by zastąpić człowieka, który założył tę placówkę. Czy ma problemy w relacjach z personelem?

Kartkowała notatnik, aż znalazła nazwy trzech tajemniczych leków zamówionych przez Xaviera. Były jej równie obce jak wtedy, gdy widziała je po raz pierwszy.

Otworzyła laptop i włączyła Google.

Wprowadziła do wyszukiwarki dwie pierwsze nazwy...

Zamurowało ją, gdy odkryła, że Hypnosal to jedna z postaci handlowych soli sodowej tiopentalu, środka znieczulającego, który jest jedną z trzech substancji podawanych skazanym na śmierć przez wstrzyknięcie trucizny, używaną także w Holandii do przeprowadzania eutanazji! Inna dobrze znana nazwa handlowa tej substancji to Pentotal. Używa się go do narkoanalizy, polegającej na wstrzyknięciu środka znieczulającego, aby ułatwić pacjentowi ujawnienie wypartych wspomnień. Jest to metoda od dawna zarzucona i krytykowana, ponieważ istnienie nieświadomie wypartych urazów nigdy nie zostało naukowo udowodnione.

W co Xavier się bawi?

Po wpisaniu drugiej nazwy była jeszcze bardziej zdezorientowana. Ksylazyna to także środek znieczulający, ale używany w *weterynarii*. Diane zastanawiała się, czy czegoś nie przeoczyła, i kontynuowała poszukiwania za pomocą różnych narzędzi oferowanych przez wyszukiwarkę, ale nie znalazła innych znanych zastosowań tego leku. Czuła się coraz bardziej zbита z tropu. Co w aptece Instytutu robi środek stosowany w *weterynarii*?

Szybko przeszła do trzeciej substancji. Wysoko uniosła brwi. Podobnie jak dwie poprzednie substancje, halotan ma działanie znieczulające. Ze względu na szkodliwość dla serca i wątroby nie stosuje się go już na blokach operacyjnych. Wyjątek stanowią kraje rozwijające się, jednak sprzedaż tego leku w postaci przeznaczonej do stosowania u ludzi została wstrzymana na całym świecie w 2005 roku. Podobnie jak ksylazyna, halotan dopuszczony jest do użytku tylko w *weterynarii*.

Diane odchyliła się do tyłu i wsparta o poduszki zaczęła się zastanawiać. Na ile się orientowała, w Instytucie nie było zwierząt, nawet psa ani kota (sądziła, że to dlatego, iż niektórzy pacjenci mogliby odczuwać fobiczny lęk przed zwierzętami domowymi). Sięgnęła po laptop i wróciła do zdobytych już wiadomości. Nagle jej wzrok przykuł pewien szczegół. O mało nie pominęła najważniejszej rzeczy: te trzy substancje użyte łącznie mają tylko jedno zastosowanie: *znieczulenie konia*. Informację tę znalazła na specjalistycznej stronie przeznaczonej dla weterynarzy. Redaktor, weterynarz specjalizujący się w leczeniu koni, w ramach premedykacji zalecał ksylazynę w ilości 0,8 mg/kg, następnie dożylny zastrzyk tiopentalu i wreszcie halotan w stężeniu 2,5% dla konia o masie ciała około 490 kilogramów.

Koń...

W jej żołądku zaczynało się budzić coś, co przypominało stworzenia opisane przez Györgyego. *Xavier...* Myślami wróciła do rozmowy usłyszanej przez otwór wentylacyjny. Kiedy ten glina oświadczył, że ktoś z Instytutu jest zamieszany w zabójstwo konia, psychiatra wydawał

się taki załamany, taki zagubiony. W dodatku policjant mówił o dwóch osobach. Diane zaczynała się jednak domyślać czegoś jeszcze. Jeśli to faktycznie Xavier dostarczył leki, którymi przed zabiciem znieczulono konia, to z całą pewnością także on zdobył DNA Hirtmanna.

Na tę myśl stwór w jej żołądku poruszył się. W jakim celu? Jaka w tym wszystkim jest rola Xaviera?

Czy psychiatra wiedział już wówczas, że po zabójstwie konia przyjdzie kolej na człowieka? Jaki miał powód, by stać się współnikiem zbrodni popełnianych w tych dolinach, skoro jest tu dopiero od kilku miesięcy?

Nie była już w stanie zmrużyć oka. Wierciła się w łóżku, obracając się to na plecy, to na brzuch i obserwując słabe, szare światło wpadające przez okno, za którym gwizdał wiatr. Zbyt dużo niepokojących pytań sprawiło, że jej mózg był wciąż w stanie pobudzenia. Około trzeciej nad ranem wzięła pół tabletki nasennej.

Siedząc w fotelu, Servaz słuchał motywu fletu w pierwszym recytatywie *Pożegnania*. Ktoś kiedyś porównał ten motyw do „słowika ze snu”. Dalej następowały, jak uderzenia skrzydeł, partie harfy i klarnetu. Śpiew ptaków, przypomniał sobie nagle. Dlaczego znowu wraca do niego wspomnienie tych ptasich treli? Chaperon lubi przyrodę, alpinizm. I co z tego? Dlaczego te nagrania miałyby być takie istotne?

Na próżno się zastanawiał. Nic nie przychodziło mu do głowy. A jednak był pewien: jest coś, co czai się w ciemności i czeka na nowe światło. I to coś ma związek z nagraniami znalezionymi u mera. Było mu śpieszno, by się dowiedzieć, czy na kasetach faktycznie zarejestrowano śpiew ptaków. Ale nie tylko ta sprawa go dręczyła. Było coś jeszcze...

Wstał i wyszedł na balkon. Przestało padać. Lekka mgła osiadała na mokrych chodnikach i tworzyła blade pierścienie wokół latarni. Z powierzchni ulicy unosiła się zimna wilgoć. Pomyślał o Charlene Espérandieu. O zaskakującej poufałości pocałunku, jaki złożyła na jego policzku, i znowu poczuł skurcz żołądka.

Gdy wchodził do pokoju przez drzwi balkonowe, zrozumiał swój błąd: to nie śpiew ptaków, ale kasety zwróciły jego uwagę. Supeł w jego żołądku stwardniał, jakby wlano mu przez przełyk szybkowiązący cement. Tętno Servaza przyśpieszyło. Przekartkował notes, znalazł numer i zadzwonił.

- Halo? – odezwał się męski głos.
- Czy mogę wpaść do pana za jakieś półtorej godziny?
- Cisza.
- Ale to już będzie po północy!
- Chciałbym jeszcze rzucić okiem na pokój Alice.
- O tej porze? Nie można z tym poczekać do rana?

Głos po drugiej stronie słuchawki był szczerze przygnębiony. Servaz potrafił się postawić na miejscu Gasparda Ferranda: jego córka od piętnastu lat nie żyje. Cóż pilnego miałyby się nagle objawić?

- Mimo wszystko wolałbym przyjechać jeszcze dziś – nalegał.
- W porządku. I tak nie kładę się przed dwunastą. Czekam na pana do wpół do pierwszej. Potem idę spać.

Było mniej więcej dwadzieścia pięć minut po północy, gdy Servaz dotarł do Saint-Martin, nie wjeżdżał jednak do miasta, ale skręcił w obwodnicę, kierując się w stronę uśpionej wioski położonej pięć kilometrów dalej.

Gaspard Ferrand otworzył po pierwszym dzwonku. Wyglądał na w najwyższym stopniu zaintrygowanego i ciekawego.

– Coś nowego?

– Chciałbym się jeszcze raz rozejrzeć po pokoju Alice, jeśli to panu nie przeszkadza.

Ferrand rzucił mu pytające spojrzenie. Był ubrany w podomkę narzuconą na sweter i stare dżinsy oraz pantofle wsunięte na bose stopy. Wskazał mu schody. Servaz podziękował i szybko wspinał się na górę. Gdy wszedł do pokoju, ruszył wprost ku niewielkiej drewnianej półce nad pomarańczowym biurkiem.

Magnetofon kasetowy.

Urządzenie nie miało ani radia, ani odtwarzacza CD, w przeciwieństwie do wieży stereo stojącej na podłodze. Był to stary magnetofon, który dziewczyna musiała skądś wygrzebać.

Jednak podczas pierwszej wizyty w tym miejscu Servaz nie znalazł kaset. Zważył urządzenie w rękę. Ciężar magnetofonu wydawał się normalny, ale to nic nie znaczyło. Jeszcze raz zajrzał do wszystkich szuflad biurka i nocnych szafek. Nigdzie nie było kaset. Może Alice się ich pozbyła, gdy przerzuciła się na płyty?

Po co w takim razie zatrzymała ten niepotrzebny rupieć? Pokój wyglądał jak muzeum lat dziewięćdziesiątych: plakaty, płyty CD, Game Boy, kolory...

Jedynym anachronizmem był magnetofon.

Servaz obejrzał urządzenie ze wszystkich stron, a potem wcisnął guzik otwierania kieszonki. Pusto. Zszedł na parter. Z salonu dochodził dźwięk telewizora: program kulturalno-literacki, nadawany o późnej porze.

– Potrzebowałbym małego śrubokrętu krzyżowego – powiedział, stając na progu. – Miałby pan coś takiego?

Ferrand siedział na sofie. Tym razem nauczyciel literatury zmierzył go spojrzeniem inkwizytora.

– Co pan tam odkrył?

Jego głos był władczy i niecierpliwy. Chciał wiedzieć.

– Nic, absolutnie nic – odpowiedział Servaz. – Ale jeśli coś znajdę, powiem panu.

Ferrand wyszedł z pokoju i po minucie wrócił ze śrubokrętem. Servaz wszedł z powrotem na poddasze. Nie miał najmniejszej trudności z odkręceniem śrub. Jakby były przykręcone dłonią dziecka.

Wstrzymując oddech, zdjął przednią pokrywę.

Znalazłem...

Ta mała była genialna. Część urządzenia była starannie wypatroszona z elektronicznych elementów. Wewnątrz znajdowały się trzy nieduże zeszyty w niebieskich okładkach, przyklejone do obudowy grubą, brązową taśmą samoprzylepną.

Servaz patrzył na nie przez dłuższą chwilę bez żadnej reakcji. Czy to sen? Dziennik Alice... Był tam przez tyle lat i nikt o nim nie wiedział. Jakie to szczęście, że Gaspard Ferrand zostawił ten

pokój nietknięty. Z nieskończoną ostrożnością oderwał zeschniętą, zeszywniałą taśmę i wydobyl zeszyty z wnętrza urzędnika.

– Co to jest? – odezwał się głos za jego plecami.

Servaz się odwrócił. Ferrand wpatrywał się w zeszyty. Jego oczy, błyszczące jak u drapieżnego zwierzęcia, płonęły niemal chorobliwą ciekawością. Policjant otworzył pierwszy zeszyt i rzucił okiem na notatki. Przeczytał pierwsze słowa. Serce podskoczyło mu w piersi: *Sobota, 12 sierpnia*. O to chodziło...

– Wygląda na dziennik.

– To było w środku? – powiedział Ferrand zaskoczony. – Było w środku, przez te wszystkie lata?!

Komendant skinął głową. Zobaczył, jak oczy nauczyciela wypełniają się łzami, a twarz wykrzywia grymas bólu i rozpacz. Nagle Servaz poczuł się bardzo nieswojo.

– Muszę je przejrzeć – powiedział. – Kto wie, może na tych stronach jest wytłumaczenie tego, co zrobiła? Potem je panu oddam.

– Udało się panu – wyszeptał Ferrand bezbarwnym głosem. – Udało się panu tam, gdzie my ponieśliśmy klęskę. Jak... jak pan na to wpadł?

– Jeszcze nie – przystopował go Servaz. – Jeszcze za wcześnie.

* Cytat w przekładzie tłumaczki (przyp. red.).

Była prawie ósma rano i niebo nad górami robiło się blade, kiedy skończył lekturę. Wyszedł na balkon i oddychał zimnym, rześkim powietrzem poranka. Czuł się wykończony. Fizycznie chory. Na skraju wyczerpania. Najpierw ten chłopiec o imieniu Clément, a teraz to...

Śnieg już nie padał. Temperatura nawet trochę się podniosła, ale nad miastem przesuwały się warstwy chmur, a zarys jodeł wysoko na zboczach, który dopiero wyłonił się z ciemności, rozpływał się we mgle. Dachy i ulice zaśniły srebrzystym blaskiem i Servaz poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu. W śniegu leżącym w rogu balkonu robiły się małe dziurki. Wrócił do pokoju. Nie był głodny, ale musiał się chociaż napić ciepłej kawy. Zszedł na duży taras w stylu art déco, górujący nad ulicą, której kontury rozmywał deszcz. Kelnerka przyniosła mu kilka kromek świeżego chleba, kawę, szklankę soku pomarańczowego, masło i dżem w małych dzbanuszkach. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu połknął wszystko. Jedzenie działało na niego jak egzorcyzm: oznaczało, że żyje, że piekło znajdujące się na stronach tych zeszytów jego nie dotyczy. A przynajmniej, że jeszcze przez chwilę może się od niego trzymać z daleka.

Nazywam się Alice, mam piętnaście lat. Nie wiem, co napiszę na tych stronach, ani czy ktoś to kiedyś przeczyta. Może je podrę albo spalę zaraz po zapisaniu. A może nie. Ale jeśli teraz nie będę pisać, to kurwa zwariuję. Zostałam zgwałcona. Nie przez jednego drania, nie – przez kilku obrzydliwych bydlaków. Pewnej letniej nocy. Zgwałcona...

Dziennik Alice był jedną z najstraszliwszych rzeczy, jakie kiedykolwiek czytał. Makabryczna lektura... Osobisty dziennik nastolatki, złożony z rysunków, wierszy, tajemniczych zdań. W nocy, gdy świt zbliżał się powoli jak płochliwe zwierzę, Servaz miał już pokusę, by wyrzucić zeszyty do kosza. Niewiele było w nich konkretnych informacji, raczej aluzje i niedopowiedzenia. Niektóre fakty jednak pojawiały się jasno. Latem 1992 roku Alice była na obozie w dziś już nieczynnym ośrodku kolonijnym Les Isards. Tym samym, który Servaz mijał, jadąc do Instytutu Wargniera, tym samym, o którym wspominał Saint-Cyr i którego zdjęcie znajdowało się w jej pokoju. W czasach, gdy ośrodek działał, każdego lata przyjmował dzieci z Saint-Martin pochodzące z rodzin, których nie było stać na wysłanie ich na wakacje. To był lokalny zwyczaj. Alice, której kilka najlepszych przyjaciółek wyjeżdżało tamtego lata do Les Isards, poprosiła rodziców, by pozwolili jej do nich dołączyć. Początkowo się wahali, ale ostatecznie wyrazili zgodę. Dziewczyna odnotowała, że podjęli tę decyzję nie tylko po to, by sprawić jej przyjemność, ale także dlatego, że była zgodna z ich ideałem równości i sprawiedliwości społecznej. Dodała, że była to „najbardziej tragiczna decyzja w ich życiu”. Alice nie miała pretensji do rodziców. Ani do samej siebie. Miała za złe „ŚWINIOM”,

„GNIDOM”, „NAZISTOM” (te słowa zapisała pogrubionymi, wielkimi literami, czerwonym atramentem), którzy zniszczyli jej życie. Chciała ich „wykastrować, wytrzebić, zardzewiałym nożem poobcinać kutasy i kazać im je zjeść – a następnie ich zabić”.

Nagle pomyślał, że Clément i Alice mają kilka cech wspólnych: obydwójce byli inteligentni, nad wiek dojrzały i zdolni do niesłychanej przemocy werbalnej. Do fizycznej także, pomyślał Servaz. Tyle że chłopak skierował ją przeciw bezdomnemu, a Alice przeciwko sobie.

Na szczęście dla Servaza Alice nie opisywała ze szczegółami tego, co przecierpiała. Nie był to dziennik w dokładnym znaczeniu tego słowa. Nie relacjonował wydarzeń dzień po dniu. To był raczej akt oskarżenia. Krzyk bólu. Alice była jednak inteligentną dziewczyną o przenikliwym umyśle i jej słowa mimo wszystko były straszne. A rysunki jeszcze gorsze. Niektóre byłyby nawet ciekawe, gdyby ich temat nie był tak przerażający. Uwagę Servaza przyciągnął szkic przedstawiający czterech mężczyzn w pelerynach i wysokich butach. Alice miała talent. Rysunek ukazywał nawet najdrobniejsze fałdy na pelerynach. Twarze członków kwartetu zakrywał cień kapturów. Na innych szkicach czterech mężczyźni byli nadzy, mieli oczy i usta szeroko otwarte, byli martwi. Marzenia, pomyślał Servaz.

Przyglądając się rysunkom, stwierdził rozczarowany, że o ile peleryny były oddane bardzo precyzyjnie, a nagie ciała narysowane z wielkim realizmem, o tyle twarze nie przypominały żadnego spośród znanych mu mężczyzn: ani Grimma, ani Perraulta, ani Chaperona. Były to nadęte, potworne karykatury występku i okrucieństwa, przypominające demony z wykrzywionymi ustami rzeźbione na frontonach katedr. Czy Alice specjalnie ich zniekształciła? A może ani ona, ani jej przyjaciele nigdy nie widzieli twarzy swoich oprawców? Może mężczyźni nigdy nie zdejmowali kapturów? Jednak z tych tekstów i rysunków dało się wyczytać kilka informacji. Po pierwsze, na rysunkach mężczyźni zawsze występowali we czwórkę: było więc jasne, że gwałcicielami byli tylko członkowie kwartetu. Dziennik odpowiadał też na inne pytanie, które pojawiło się po śmierci Grimma: buty. Ich obecność na stopach aptekarza do tej pory była zagadką. Wytłumaczenie znajdowało się kawałek dalej:

Przychodzą zawsze w burzowe noce, gdy pada deszcz, obleśne typy. Z pewnością po to, by nikt nie zaszedł do ośrodka wtedy, gdy oni tu są. Bo kto wpadłby na pomysł, żeby przyjeżdżać do tej doliny po północy, gdy leje jak z cebra?

Brną po błocie w tych swoich obrzydliwych buciorach, a potem zostawiają błotniste ślady w korytarzach i brudzą wszystko, czego się dotkną, te wielkie świnię.

Mają gardłowy śmiech, mocne głosy: przynajmniej jeden z nich znam.

Czytając ostatnie zdanie, Servaz zadrżał. Przekartkował zeszyty tam i z powrotem, gorączkowo przewracając strony. Nigdzie jednak nie znalazł innej wzmianki na temat tożsamości katów. W pewnej chwili trafił na słowa: *Zrobili to wszyscy, jeden po drugim*. Te słowa sprawiły, że poczuł się jak sparaliżowany, nie był w stanie zrobić ani kroku dalej. Przespał kilka godzin i wrócił do lektury. Czytając niektóre strony ponownie, wywnioskował z nich, że Alice została zgwałcona raz – a raczej w ciągu jednej nocy – że tej nocy zgwałcono nie tylko ją i że mężczyźni tamtego lata pojawili się w ośrodku sześć razy. Dlaczego nic nie powiedziała? Dlaczego żaden z tych nastolatków nie wszczął alarmu? Na podstawie niektórych wzmianek Servaz wysnuł wniosek, że tego lata jedno z dzieci zginęło, wrzucone do wąwozu. Przykład,

ostrzeżenie dla pozostałych? Czy dlatego milczeli? Ponieważ grożono im śmiercią? Czy może dlatego, że się wstydzieli i sądzili, że nikt im nie uwierzy? W tamtych czasach przypadki ujawnienia gwałcicieli należały do rzadkości. Na te pytania dziennik nie przynosił odpowiedzi.

W zeszytach były też wiersze świadczące, podobnie jak rysunki, o wcześnie dojrzałym talencie, choć Alice dbała nie tyle o literackie walory tekstu, ile raczej o to, by wyrazić w nim to, czego doświadczyła:

Czy to drobne CIAŁO wypełnione ŁZAMI, to byłam JA?
Ta Nieczystość, ta plama na podłodze, ten siniec – to byłam ja?
a ja
Patrzyłam na podłogę tuż przy mojej twarzy,
na rozciągnięty cień kata
Nieważne, co zrobili, co powiedzieli.
Nie mogą dosięgnąć we mnie twardego ziarna czystego migdału.
„Tatusiu, co to znaczy DZIWKĄ?”
Te słowa, gdy miałam sześć lat. Oto ich odpowiedź:
ŚWINIE ŚWINIE ŚWINIE ŚWINIE.

Uwagę Servaza przyciągnął pewien szczegół, równie mroczny jak inne. Opisując tamte wydarzenia, Alice wiele razy wspominała odgłos peleryn, szelest, jaki wydawała czarna, nieprzemakalna tkanina, gdy się poruszali czy przemieszczali. „Nigdy nie zapomnę tego odgłosu. Już na zawsze oznacza on tylko jedno: zło istnieje i jest hałaśliwe”.

Po przeczytaniu tego ostatniego zdania Servaz pogrążył się w myślach. Kontynuując lekturę, zrozumiał, dlaczego nie znalazł w pokoju Alice żadnego dziennika, żadnego tekstu, który wyszedłby spod jej ręki:

Prowadziłam dziennik. Opowiadałam w nim o moim zwykłym życiu, dzień po dniu. Podarłam go i wyrzuciłam. Jaki sens miałoby prowadzenie dziennika po CZYMS TAKIM? Te gnidy nie tylko spieprzyły moją przyszłość, ale także na zawsze zniszczyły moją przeszłość.

Zrozumiał, że Alice nie mogła się zdecydować na wyrzucenie zeszytów: były być może jedynym miejscem, w którym znajdowała się prawda o tym, co się wydarzyło. Ale jednocześnie chciała mieć pewność, że nie wpadną one w ręce rodziców. Stąd ta kryjówka. Prawdopodobnie dziewczyna wiedziała, że po jej śmierci rodzice nie tkną pokoju. A przynajmniej musiała mieć taką nadzieję. Podobnie jak w duchu żywiła nadzieję, że ktoś kiedyś znajdzie jej notatki... Z pewnością nie wyobrażała sobie, że będzie na to potrzeba aż tylu lat i że człowiek, który je odkryje, będzie kimś zupełnie nieznanym. W każdym razie nie zdecydowała się na „wykastrowanie tych gnid”, nie wybrała zemsty. Ktoś inny zrobił to za nią. KTO? Ojciec, który oplakiwał też śmierć jej matki? Jakiś inny rodzic? A może zgwałcone dziecko, które nie popełniło samobójstwa, dorosło w złości, trawione niepohamowaną żądzą zemsty?

Gdy Servaz skończył czytanie, odepchnął zeszyty daleko od siebie i wyszedł na balkon. Dusił się. W tym pokoju, w tym mieście, w tych górach. Pragnął się znaleźć daleko stąd.

Przełknął śniadanie i wrócił do pokoju. W łazience napełnił wodą kubek do mycia zębów i wziął dwie tabletki od Xaviera. Czuł się rozpalony i miał nudności. Na jego czole lśniły krople potu. Miał wrażenie, że kawa, którą przed chwilą wypił, leży mu na żołądku. Wziął długi, gorący prysznic, ubrał się, zabrał telefon i wyszedł na zewnątrz.

Jego jeep był zaparkowany nieco niżej, przed sklepem z likierami i pamiątkami. Padał ciężki, zimny deszcz, którego krople dziurawiły warstwę śniegu. Ulice wypełniał odgłos wody ściekającej do studzienek. Servaz usiadł za kierownicą i zadzwonił do Ziegler.

Tego ranka, zaraz po przyjsciu do pracy, Espérandieu chwycił za telefon. Dodzwonił się do dziesięciopiętrowego, półokrągłego gmachu mieszczącego się w Paryżu, w trzynastej dzielnicy, pod słynnym adresem rue du Château-des-Rentiers 122. Po drugiej stronie słuchawki odezwał się głos z lekkim akcentem.

– Jak leci, Marisso? – zapytał.

Komendant Marissa Pearl należała do brygady ścigania przestępstw gospodarczych działającej w ramach wydziału do spraw gospodarczych i finansowych. Jej specjalność: przestępczość białych kołnierzyków. Marissa wiedziała wszystko na temat rajów finansowych i podatkowych, prania brudnych pieniędzy, aktywnej i biernej korupcji, ustawiania przetargów, defraudacji pieniędzy, handlu wpływami, koncernów międzynarodowych i siatek mafijnych. Była także znakomitym pedagogiem i Espérandieu był fanem jej wykładów w szkole policyjnej. Zadawał jej wtedy wiele pytań. Po zakończeniu kursu spotkali się przy lampce wina i odkryli inne wspólne zainteresowania: Japonia, komiks niezależny, indie rock... Espérandieu dopisał Marissę do swojej listy kontaktów. Ona zrobiła to samo. W tym zawodzie dobra sieć znajomych często pomaga ruszyć z miejsca, gdy śledztwo utknie w martwym punkcie. Od czasu do czasu przypominali sobie o dobrych wspomnieniach związanych z tamtym spotkaniem i wymieniali się krótkimi mailami bądź telefonowali do siebie, świadomi, że może nadejść taki dzień, kiedy jedno z nich będzie potrzebowało pomocy drugiego.

– Na razie zjadam zęby na CAC 40* – odpowiedziała. – To moja pierwsza sprawa takiego kalibru. Powiem tylko, że kładą mi kłody pod nogi. Ale ciii...!

– Będziesz postrachem CAC 40, Marisso – zapewnił ją.

– A dlaczego dzwonisz, Vincent?

– Masz coś na temat Érica Lombarda?

Cisza.

– No coś takiego! Kto ci wygadał?

– Ale co?

– Nie mów mi, że to jest przypadek: gość, nad którym pracuję, to Lombard. Jak się dowiedziałeś?

Poczuł, że Marissa zaczyna być podejrzliwa. Trzystu osiemdziesięciu policjantów pracujących w finansówce żyje w świecie lekkiej paranoi. Za bardzo przywykli do korupcji wśród polityków i wysokich urzędników, ale także glin i prawników, w cieniu wielkich ponadnarodowych firm.

– Dziesięć dni temu ktoś zabił ukochanego konia Lombarda. Tutaj, w Pirenejach. W czasie, gdy Lombard był w Stanach. Potem w tej samej okolicy dokonano jeszcze dwóch morderstw. Myślimy, że te sprawy są ze sobą powiązane. Że chodzi o jakąś zemstę. Dlatego chcemy się jak

najwięcej dowiedzieć na temat Érica Lombarda. A przede wszystkim, czy ma wrogów.

Gdy się odezwała, poczuł, że się trochę rozluźniła:

– No to można by rzec, że szczęściarz z ciebie! – Domyślił się, że Marissa się uśmiecha. – Właśnie w tym grzebiemy. Po jednym donosie. Nie wyobrażasz sobie, co wychodzi na wierzch.

– Domyślałam się, że to ściśle tajne?

– Oczywiście. Ale jeśli znajdę coś, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z twoją sprawą, dam ci znać. Dwa morderstwa i koń? Dziwna historia! Tak czy siak, nie mam wiele czasu. Muszę się do tego zabrać.

– Mogę na ciebie liczyć?

– Możesz. Jak będę coś miała, przekażę ci. Oczywiście pod warunkiem że się zrewanżujesz. Ale umówmy się: nic ci nie mówiłam i nie wiesz, nad czym pracuję. Tak na marginesie, wiesz, co jest najlepsze? Lombard zapłacił w 2008 roku mniejszy podatek niż właściciel piekarni, nad którą mieszkam.

– Jak to?

– Bardzo prosto. Ma najlepszych doradców podatkowych. Znają na pamięć każdą z czterystu osiemdziesięciu sześciu ulg, jakie istnieją w tym cudownym kraju, zwłaszcza w formie kredytów podatkowych. Najważniejsza dotyczy terytoriów zamorskich. Z grubsza rzecz biorąc, czynione tam inwestycje pozwalają na redukcję podatku do sześćdziesięciu procent w sektorze przemysłu i nawet do siedemdziesięciu przy renowacji hoteli i statków wycieczkowych. Dla tych inwestycji nie istnieją ograniczenia, nie ma też więc górnej granicy dla zniżek. Stawia się w nich oczywiście na szybki zysk, w żadnym wypadku na żywotność ekonomiczną tych projektów. A Lombard oczywiście nie po to inwestuje, żeby tracić. Zawsze, w ten czy inny sposób, swoje zarobi. Jeśli dodać do tego ulgi podatkowe z tytułu międzynarodowych umów o unikaniu podwójnego opodatkowania z tytułu zakupu dzieł sztuki i wszystkie sztuczki księgowo, takie jak pożyczka na zakup akcji własnego przedsiębiorstwa, to już nie ma potrzeby przenosić się do Szwajcarii albo na Kajmany. W rezultacie Lombard płaci mniej podatków niż ktoś, kto zarabia jedną tysięczną tego co on. Jak na jednego z dziesięciu największych bogaczy we Francji to nieźle, prawda?

Espérandieu przypomniał sobie, co któregoś dnia powiedział mu Kleim162: naczelna zasada międzynarodowych instytucji finansowych, takich jak MFW, oraz rządów to „stworzyć środowisko przyjazne dla inwestycji”, inaczej mówiąc, przenieść ciężar podatków z najbogatszych na klasy średnie. Jak cynicznie oświadczyła pewna amerykańska miliardierka oskarżona o oszustwa podatkowe: „Tylko małuczcy płacą podatki”. Może powinien dać Marissie namiary na kolegę. Na pewno świetnie by się dogadali.

– Marisso, dzięki, że mnie moralnie podbudowałaś na resztę dnia.

Przez chwilę wpatrywał się w wygaszacz ekranu. Szykuje się afera... Z udziałem Lombarda i jego grupy. Czy to może mieć jakiś związek z ich śledztwem?

Ziegler, Propp, Marchand, Confiant i d’Humières słuchali Servaza w milczeniu. Mieli przed sobą croissanty i bułki, które jeden z żandarmów kupił w najbliższej piekarni. A także herbatę, kawę, puszki z napojami gazowanymi i szklanki z wodą. I jeszcze jedno mieli wspólne: zmęczenie malujące się na twarzy.

– Dziennik Alice Ferrand otwiera przed nami nową drogę – podsumował komendant. –

A raczej potwierdza jedną z naszych hipotez. Tę, która mówi o zemście. Gabriel Saint-Cyr twierdzi, że jednym z tropów, które brał pod uwagę po samobójstwach, było wykorzystanie seksualne. Porzucił go z powodu braku przekonujących dowodów. Jeśli wierzyć dziennikowi, gwałty i akty przemocy seksualnej w stosunku do nastolatków powtórzyły się w ośrodku Les Isards kilkakrotnie. Ta przemoc doprowadziła niektórych do samobójstwa.

– Dziennik, który jak do tej pory czytał tylko pan – zauważył Confiant.

Servaz odwrócił się do Maillarda. Ten okrążył stół z plikami kserokopii, które położył przed każdym między plastikowymi kubkami, szklankami i croissantami. Niektórzy zjedli już swoje porcje, rozrzucając okruchy dookoła, inni nawet nie tknęli.

– Rzeczywiście. Z tego prostego powodu, że ten dziennik nie był przeznaczony do czytania. Był bardzo dobrze ukryty. A ja znalazłem go, tak jak mówiłem, dopiero dziś w nocy. Dzięki pewnemu zbiegowi okoliczności.

– A jeśli ta dziewczyna konfabulowała?

Servaz rozłożył ręce.

– Nie wiem. Sami osądźcie. To jest zbyt realistyczne, zbyt... dokładne. Poza tym, gdyby tak było, to po co by go tak dobrze chowała?

– Dokąd nas to wszystko prowadzi? – zapytał sędzia. – Zemsta jakiegoś dziecka, które dorosło? Albo rodzica? Co w takim razie robi DNA Hirtmanna na miejscach zbrodni? A koń Lombarda? Nigdy nie widziałem tak zagmatwanego śledztwa!

– To nie śledztwo jest zagmatwane – powiedziała Ziegler. – To fakty.

Cathy d’Humières długo wpatrywała się w Servaza z pustym kubkiem w dłoni.

– Gaspard Ferrand ma bardzo dobry motyw do popełnienia tych morderstw – zauważyła.

– Podobnie jak wszyscy rodzice samobójców – odpowiedział. – A także jak z całą pewnością młodzi ludzie zgwałceni przez tę bandę, którzy się nie zabili i dorośli.

– To bardzo ważne odkrycie – powiedziała w końcu prokurator. – Co pan proponuje?

– Najpilniejsza sprawa się nie zmienia: znaleźć Chaperona. To jest priorytet. Zanim zrobi to zabójca albo zabójcy... Ale teraz już wiemy, że członkowie kwartetu popełniali nadużycia seksualne na terenie ośrodka Les Isards. Na nim powinniśmy się skoncentrować w naszych poszukiwaniach. I na samobójcach. Bo już ustaliliśmy, że między nimi i dwiema ofiarami istnieje związek i że wspólnym mianownikiem jest ośrodek kolonijny.

– Mimo że dwójka spośród samobójców nigdy w nim nie była? – zaoponował Confiant.

– Wydaje mi się, że te zeszyty nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do istoty tego, co się stało. Pozostała dwójka mogła zostać zgwałcona gdzie indziej. A poza tym, czy członków bandy powinno się traktować jak pedofilów? Nie wiem... Nie ma żadnych sygnałów, żeby na ofiary wybierali dzieci, raczej nastolatków czy młodych dorosłych. Czy jest różnica? Nie mnie to oceniać.

– Oceniając na podstawie listy samobójców, ofiarami były zarówno dziewczyny, jak i chłopcy – skomentował Propp. – Ale ma pan rację: Ci mężczyźni nie bardzo mają profil pedofilów. Raczej seksualnych drapieżców ze skrajną skłonnością do najbardziej perwersyjnych zabaw i sadyzmu. Jednak bez cienia wątpliwości pociągał ich młody wiek ofiar.

– Kurewscy zwyrodnialcy – rzuciła Cathy d’Humières lodowatym głosem. – W jaki sposób zamierza pan znaleźć Chaperona?

– Nie wiem – przyznał Servaz.

– Nigdy nie mieliśmy do czynienia z podobną sytuacją. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy poprosić o posiłki – powiedziała.

Odpowiedź Servaza zaskoczyła wszystkich.

– Jestem za. Musimy odszukać i przesłuchać wszystkie dzieci, które przewinęły się przez ośrodek kolonijny, a dziś są dorosłe. I wszystkich żyjących rodziców. Jak już zdołamy zrobić listę. To naprawdę mrówcza praca. Potrzeba na to czasu i środków. Ale czasu nie mamy. Trzeba działać szybko. A zatem pozostają środki. To robota, którą może się zająć personel pomocniczy.

– W porządku – powiedziała d’Humières. – O ile się orientuję, kryminalni w Tuluzie są przeciążeni śledztwami. Zwrócę się do żandarmerii. – Spojrzała na Ziegler i Maillarda. – Co jeszcze?

– Taśmy, których użyto do powieszenia Grimma na moście – powiedziała Ziegler. – Skontaktowała się ze mną fabryka, która je produkuje. Zostały sprzedane w sklepie w Tarbes wiele miesięcy temu.

– Inaczej mówiąc, nie ma nadziei na nagrania z kamer – powiedziała d’Humières. – Dużo tego sprzedają?

– To duży sklep samoobsługowy ze sprzętem sportowym. Kasjerzy widzą dziennie dziesiątki klientów, zwłaszcza w weekendy. Z tej strony nie można niczego oczekiwać.

– Dobrze. Co jeszcze?

– Firma, która się zajmuje ochroną Instytutu dostarczyła nam listę swoich ludzi, którzy tam pracują. Zabrałam się do niej. Na razie nie ma niczego, co zwracałoby uwagę.

– Sekcja zwłok Perraulta odbędzie się dziś po południu – powiedziała d’Humières. – Kto się tym zajmie?

Servaz podniósł rękę.

– Potem pojedę do Instytutu spotkać się z Xavierem. Potrzebujemy dokładnej listy osób, które mają kontakt z Hirtmannem. I trzeba zadzwonić do merostwa Saint-Martin, sprawdzić, czy mogą nam dostarczyć listę wszystkich dzieci, które przewinęły się przez ośrodek. Wygląda na to, że ośrodek był pod ich finansową i administracyjną opieką. Przede wszystkim trzeba podrażnić te dwie sprawy: Instytut i ośrodek. I zobaczyć, czy jest między nimi jakiś związek.

– Jaki związek? – zapytał Confiant.

– Niech pan sobie wyobrazi, że odkrylibyśmy, iż jeden z nastolatków, którzy byli w ośrodku, jedna z ofiar, jest teraz członkiem personelu Instytutu.

Cathy d’Humières wpatrywała się w niego intensywnie.

– Ciekawa hipoteza.

– Biorę na siebie kontakt z merostwem – rzuciła Ziegler.

Servaz spojrział na nią zaskoczony. Irène podniosła głos. To nie było w jej stylu. Kiwnął głową.

– W porządku. Ale priorytetem jest ustalenie, gdzie się ukrywa Chaperon. Trzeba zapytać jego byłą. Może ona coś wie. Przejrzeć jego papiery. Być może są wśród nich jakieś faktury, rachunki za czynsz, coś, co nas naprowadzi na jego kryjówkę. Miałaś się dziś rano spotkać z byłą panią Chaperon, idź na to spotkanie. A potem do merostwa.

– Dobrze. Co jeszcze? – spytała prokurator.

– Profil psychologiczny – odezwał się Propp. – Zacząłem szkicować dość precyzyjny portret, który uwzględnia dane zebrane na miejscach zbrodni: fakt powieszenia, buty, nagość Grimma

i tak dalej. Ale to, co jest powiedziane w tym dzienniku, radykalnie modyfikuje moje hipotezy. Muszę poprawić to opracowanie.

– Ile czasu pan potrzebuje?

– Mamy teraz dość danych, żebym mógł zrobić to szybko. Przedstawię moje wnioski już w poniedziałek.

– Już w poniedziałek? Jak rozumiem, liczymy na to, że mordercy nie pracują w weekendy – odpowiedziała d’Humières oschle.

Jej sarkazm sprawił, że psycholog się zaczerwienił.

– Ostatnia rzecz: Martin, świetna robota. Nigdy nie wątpiłam, że decydując się na ciebie, dokonałam słusznego wyboru.

Co powiedziałwszy, spojrzała na Confianta, który wolał się zająć oglądaniem własnych paznokci.

Espérandieu słuchał *Many Shades of Black* w wykonaniu The Raconteurs, gdy zadzwonił jego telefon. Kiedy usłyszał w słuchawce głos Marissy z brygady finansowej, natychmiast wystrzyił uwagę.

– Mówiłeś, że chcesz wiedzieć, czy ostatnio wokół Érica Lombarda działy się jakieś dziwne rzeczy?

– Z grubsza rzecz ujmując, tak – potwierdził, choć pamiętał, że wyraził się inaczej.

– Być może coś znalazłam. Nie wiem, czy to ci w czymś pomoże: nie można stwierdzić z góry, żeby to miało jakikolwiek związek z twoją sprawą. Ale rzecz zdarzyła się ostatnio i wywołała pewne zamieszanie.

– No to opowiadaj.

Opowiedziała. Wyjaśnienia zajęły jej trochę czasu. Espérandieu miał pewien kłopot ze zrozumieniem jej wyводу. Ogólnie rzecz biorąc, chodziło o sumę 135 tysięcy dolarów, która w księgach rachunkowych Lombard Média została zakwalifikowana jako wydatek na reportaż telewizyjny zamówiony w pewnej firmie zajmującej się produkcją filmową. Kontrola dokonana w tejże firmie wykazała, że nie zamówiono w niej żadnego reportażu. Najwyraźniej chodziło o defraudację pieniędzy. Espérandieu był rozczarowany: nie był pewien, czy wszystko zrozumiał, i nie wiedział, do czego ta informacja mogłaby mu się przydać.

– To jak, pomaga ci to w czymś czy nie?

– Nie bardzo – odpowiedział. – Ale tak czy owak, dziękuję.

Atmosfera panująca w Instytucie miała w sobie coś elektryzującego. Diane przez cały ranek szpiegowała Xaviera, analizując każde jego słowo i gest. Wyglądał na niespokojnego, napiętego i w ogóle na granicy wyczerpania. Ich spojrzenia wiele razy się spotkały. *Wie...* A mówiąc dokładniej, *wie, że ona wie*. Ale może Diane się myli? Projekcja, przeniesienie – dobrze znała sens tych słów.

Czy powinna powiadomić policję? To pytanie zaprzętało ją przez cały poranek.

Nie była przekonana, czy policja, tak jak ona, dostrzegłaby bezpośredni związek między zamówieniem leków i śmiercią konia. Zapytała Aleksa, czy ktoś w Instytucie ma jakieś zwierzę, a on, zaskoczony jej pytaniem, odpowiedział przecząco. Przypomniała sobie też, że cały ranek

w dniu przyjazdu do Instytutu – ten rano, kiedy znaleziono głowę konia – spędziła w towarzystwie Xaviera, który z całą pewnością nie wyglądał wtedy na kogoś, kto poświęcił bezsenłą noc na ścinanie głowy zwierzęciu, przewożenie go i wieszanie na wysokości dwóch tysięcy metrów przy dziesięciostopniowym mrozie. Tamtego dnia wydawał jej się świeży i wypoczęty, a przede wszystkim nieznośnie arogancki i zarozumiały.

W każdym razie ani zmęczony, ani zestresowany.

Nagle z lękiem pomyślała, czy aby nie za szybko wyciąga wnioski, jakby izolacja i dziwny klimat tego miejsca wywoływały u niej paranoję. Inaczej mówiąc, czy to wszystko nie jest tylko grą jej wyobraźni. I czy kontaktując się z policją, nie zrobi z siebie kompletnej idiotki, kiedy zostanie odkryte prawdziwe przeznaczenie tych leków, a także czy nie straci bezpowrotnie zaufania Xaviera i reszty personelu. Nie mówiąc już o jej reputacji po powrocie do Szwajcarii.

Taka perspektywa zdecydowanie ją ostudziła.

– Nie interesuje pani to, co opowiadam?

Diane wróciła do czasu teraźniejszego. Naprzeciw niej siedział pacjent i patrzył na nią surowo. Mimo upływu lat nadal miał wielkie, spracowane dłonie. Dawny robotnik, który rzucił się na swojego szefa ze śrubokrętem, gdy ten bezprawnie go zwolnił. Czytając jego dokumentację, Diane była przekonana, że temu nieszczęśnikowi wystarczyłby kilkutygodniowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Wpadł jednak w ręce jakiegoś nadgorliwego psychiatry. Dostał dziesięć lat, a w dodatku zaordynowano mu długie serie psychotropów w potężnych dawkach. Prawdopodobnie na początku ten człowiek przechodził zwykłą depresję. Skończył jako kompletny wariat.

– Oczywiście, że tak, Aaronie. Interesuje.

– Przecież widzę, że nie.

– Zapewniam pana...

– Powiem doktorowi Xavierowi, że pani nie interesuje to, co mówię.

– Dlaczego chce pan coś takiego zrobić, Aaronie? Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, możemy wrócić do...

– Bła-bła-bła-bła, próbuje pani zyskać na czasie.

– Zyskać na czasie?

– Nie musi pani powtarzać tego, co mówię.

– Co się z panem dzieje, Aaronie?

– „Co się z panem dzieje, Aaronie?” Od godziny gadam do ściany.

– Ależ skąd! Wcale nie, ja...

– „Ależ skąd, wcale nie, ja...” Puk, puk, ma pani coś z głową, pani doktor?

– Słucham?

– Co z panią jest nie tak?

– Dlaczego pan to mówi, Aaronie?

– „Dlaczego pan to mówi, Aaronie?” Pytania, ciągle pytania!

– Myślę, że przełożymy naszą rozmowę na później.

– Nie, nie sądzę. Powiem doktorowi Xavierowi, że tracę z panią czas. Nie chcę już z panią rozmawiać.

Zaczerwieniła się mimo woli.

– Chwileczkę, Aaronie! To dopiero nasza trzecia rozmowa. Ja...
– Pani jest gdzie indziej, pani doktor. To pani nie obchodzi. Myśli pani o czym innym.
– Aaronie, ja...
– Wie pani co, pani doktor? Pani tu nie jest na swoim miejscu. Niech pani wraca tam, skąd pani przyjechała. Niech pani wraca do swojej rodzinnej Szwajcarii.
Diane podskoczyła.
– Kto panu powiedział, że jestem Szwajcarką? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.
Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem. Potem utkwiał w jej oczach ponure, kamienne spojrzenie.
– A co pani myśli? Tutaj wszystko się wie. Każdy wie, że pani jest Szwajcarką *tak jak Julian*.

– Nie ma wątpliwości – powiedział Delmas. – Został zrzucony w pustkę, z taśmą owiniętą dookoła szyi. W przeciwieństwie do aptekarza widać znaczne uszkodzenia opuszki i rdzenia, a także kręgow szyjnych w wyniku szarpnięcia.

Servaz unikał patrzenia na ciało Perraulta ułożone na brzuchu z rozkrojonym karkiem i tyłem czaszki. Fałdy kory mózgowej i rdzeń kręgowy lśniły jak galareta w blasku lamp prosektorium.

– Nie ma śladu stłuczeń ani ukłuc – ciągnął lekarz – ale skoro widział go pan przytomnego w wagoniku tuż przed... Reasumując, poszedł za swoim zabójcą z własnej woli.

– Bardziej prawdopodobne, że grożono mu bronią – powiedział Servaz.

– A to już nie moja działka. Zrobimy jednak badanie krwi. Analiza krwi Grimma wykazała śladową obecność flunitrazepamu. To psychotrop dziesięć razy mocniejszy niż valium, stosowany tylko w poważnych zaburzeniach snu, występujący pod nazwą handlową Rohypnol. Jest także używany jako substancja znieczulająca. Grimm był aptekarzem, być może sięgał po ten lek, bo cierpiał na bezsenność. To możliwe... Ale ten lek używany jest także jako „pigulka gwałtu”, ponieważ wywołuje amnezję i w dużym stopniu zmniejsza zahamowania, zwłaszcza w połączeniu z alkoholem, a także dlatego, że jest bezbarwny, bezwonny, bez smaku i szybko przenika do moczu, a tylko w niewielkim stopniu do krwi, co sprawia, że jest prawie niewykrywalny: wszelkie ślady chemiczne znikają po dwudziestu czterech godzinach.

Servaz odetchnął z cichym świstem.

– Fakt, że znaleziono tylko słabe ślady, wynika poza tym z odstępu czasu pomiędzy przyjęciem leku i momentem, w którym pobrano próbkę do badania. Rohypnol może być podawany drogą ustną lub dożylną, połknięty, rozgryziony, rozpuszczony w napoju... Możliwe, że napastnik użył tej substancji, by łatwiej manipulować ofiarą i ją kontrolować. Facet, którego pan szuka, Martin, to fanatyk kontroli. To ktoś bardzo, bardzo zły.

Delmas odwrócił ciało i ułożył je na plecach. Twarz Perraulta nie wyrażała już takiego przerażenia, jakie Servaz widział u niego, gdy jechał wagonikiem. Lekarz sięgnął po piłę elektryczną, by odciąć wystający z ust denata język.

– Dobrze, sądzę, że już dość zobaczyłem – powiedział gлина. – W każdym razie wiemy, co się stało. Reszty dowiem się z protokołu.

– Martin! – zawołał Delmas, gdy Servaz wychodził z prosektorium.

Odwrócił się.

– Kiepsko pan wygląda – rzucił lekarz, który z piłą w rękę wyglądał jak niedzielny majsterkowicz. – Niech pan nie traktuje tej sprawy zbyt osobiście.

Servaz kiwnął głową i wyszedł. W korytarzu spojrzął na wyściełaną trumnę, w której miało zostać złożone ciało Perraulta. Opuścił podziemie szpitala i znalazł się na zewnątrz, na betonowym podjeździe. Wielkimi haustami wciągał w płuca świeże powietrze. Ale jeszcze długo czuł w nozdrzach zapach formaliny, środka odkażającego i nieboszczyka. Kiedy otwierał drzwi jeeпа, zadzwonił telefon. To był Xavier.

– Mam listę – oświadczył psychiatra. – Listę osób, które miały kontakt z Hirtmannem. Chce ją pan?

Servaz spojrzął na góry.

– Wpadnę po nią. Do zobaczenia niebawem.

Kiedy skręcił w stronę gór i Instytutu, niebo było ciemne, ale deszcz już nie padał. Podmuchi jadącego samochodu wzbijał na każdym zakręcie przysypane śniegiem żółte i rude liście, ostatnie ślady jesieni. Silny wiatr poruszał nagimi gałęziami, które drapały karoserię jak wychudzone palce. Servaz pomyślał o Margot. Czy Vincent zajął się śledzeniem jej? Następnie pomyślał o Charlène, o Clémencie, o Alice Ferrand... Wszystko wirowało, mieszało się w jego głowie, gdy brał kolejne zakręty.

Telefon znowu zabrzączał. Odebrał. Dzwonił Propp.

– Zapomniałem panu powiedzieć o jednej rzeczy: ważna jest biel, Martin. Biel szczytów w przypadku konia, biel nagiego ciała Grimma, w przypadku Perraulta znowu śnieg. Biały ma znaczenie dla mordercy. Symbolizuje dla niego czystość, oczyszczenie. Niech pan szuka bieli. Myślę, że zabójca otacza się bielą.

– Biały jak Instytut?

– Nie wiem. Porzuciliśmy ten trop, prawda? Przykro mi, nie mogę panu nic więcej powiedzieć. *Niech pan szuka bieli.*

Servaz podziękował i się rozłączył. Czuł gulę w gardle. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu, czuł je.

To jeszcze nie koniec.

* CAC 40 (Cotation Assistée en Continu) – francuski indeks akcji giełdy Euronext skupiający 40 najsilniejszych spółek spośród 100 o najwyższej kapitalizacji na Giełdzie Paryskiej (przyp. tłum.).



BIEL

– Jedenaście – powiedział Xavier. Podał Servazowi kartkę, przechylając się przez biurko. – Jedenaście osób miało kontakt z Hirtmannem w ciągu dwóch ostatnich miesięcy. Oto lista. – Psychiatra wyglądał na zmartwionego. Na jego twarzy malowało się napięcie. – Przeprowadziłem długą rozmowę z każdą z tych osób.

– I?

Doktor Xavier bezradnie rozłożył ręce.

– Nic.

– Jak to nic?

– Nic to nie dało. Wydaje mi się, że nikt z tego grona nie ma nic do ukrycia. A w takim razie każdy może mieć... Nie wiem. – Dostrzegł pytające spojrzenie policjanta i wykonał przeproszający gest. – To dlatego, że żyjemy tutaj w izolacji, z dala od wszystkiego. W takich warunkach zawsze zawiązują się jakieś intrygi, które, jeśli się patrzy z zewnątrz, wydają się niezrozumiałe. Są różne sekreciki, knucie spisków za czyimiś plecami, tworzą się rozmaite klany, słowem cała masa interpersonalnych gier, które osoba z zewnątrz może postrzegać jako surrealistyczne. Pewnie się pan zastanawia, o czym właściwie mówię.

Servaz się uśmiechnął.

– Bynajmniej – powiedział, myśląc o swojej brygadzie. – Bardzo dobrze rozumiem, o czym pan mówi, doktorze.

Xavier trochę się rozluźnił.

– Napije się pan kawy?

– Chętnie.

Xavier wstał. W kącie pokoju stał nieduży ekspres, a obok koszyczek z kapsułkami. Kawa była smaczna, Servaz się nią delektował. Gdyby powiedział, że to miejsce wywołuje w nim poczucie dyskomfortu, byłby to wielki eufemizm. Zastanawiał się, jak można tu pracować i nie zwariować do reszty. Była to także sprawa otoczenia: murów, gór na zewnątrz.

– Krótko mówiąc, trudno o obiektywny osąd – ciągnął Xavier. – Każdy tutaj ma swoje małe tajemnice. W takich okolicznościach nikt nie gra całkiem fair.

Doktor Xavier uśmiechnął się przeproszająco, patrząc na policjanta zza czerwonych okularów. Ty też, przyjacielu, pomyślał Servaz. Ty też nie grasz fair.

– Rozumiem.

– Oczywiście zrobiłem panu listę wszystkich, którzy mieli kontakt z Hirtmannem, ale to nie znaczy, że wszystkich uważam za podejrzanych.

– Ach nie?

– Na przykład naszej szefowej pielęgniarek. Jest jednym z najstarszych członków naszego

personelu. Była tu już za czasów doktora Wargniera. Sprawne funkcjonowanie tego zakładu to w dużym stopniu efekt jej dobrej znajomości pacjentów i kompetencji. Mam do niej absolutne zaufanie. Nie ma potrzeby, by tracił pan czas na zajmowanie się nią.

Servaz spojrzął na listę.

– Hmm, Élisabeth Ferney, tak?

Xavier skinął głową.

– To zaufana osoba – podkreślił.

Servaz podniósł głowę i zmierzył psychiatrę wzrokiem. Lekarz się zaczerwienił.

– Dziękuję. – Komendant złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni. Zawahał się chwilę. – Mam do pana pytanie, bez związku ze śledztwem. Chciałbym pana o to spytać jako psychiatrę i człowieka, nie jako świadka.

Xavier uniósł brew, zaintrygowany.

– *Czy wierzy pan w istnienie zła, doktorze?*

Milczenie psychiatry trwało dłużej, niż można się było spodziewać. W tym czasie Xavier wpatrywał się w Servaza z powodu swych dziwnych, czerwonych okularów, jakby usiłował zgadnąć, do czego policjant zmierza. Wreszcie się odezwał:

– Jako psychiatra powiem, że szukanie odpowiedzi na to pytanie nie leży w gestii psychiatrii, tylko filozofii, a dokładniej etyki. Z tej perspektywy widzimy, że o złu nie można mówić bez dobra, jedno bez drugiego nie istnieje. Słyszał pan o „drabinie etycznej” Kohlberga? – zapytał.

Servaz pokręcił głową.

– Lawrence Kohlberg to amerykański psycholog. Korzystając z koncepcji Piageta na temat etapów rozwoju poznawczego, stworzył teorię istnienia sześciu stadiów rozwoju moralnego człowieka. – Xavier przerwał, odsunął się od biurka razem z fotelem i skrzyżowawszy ręce na brzuchu, zbierał myśli. – Według Kohlberga jednostka osiąga dojrzałość moralną, przechodząc kolejne etapy rozwoju osobowości. Żadnego z tych etapów nie można przeskoczyć. Po osiągnięciu danego stadium nie może się cofnąć. To jej zysk na całe życie. Ale bynajmniej nie wszyscy ludzie dochodzą do ostatniego etapu. Wielu zatrzymuje się na niższym stadium rozwoju moralnego. Te etapy są wspólne dla całej ludzkości, takie same we wszystkich kulturach, inaczej mówiąc *transkulturowe*.

Servaz poczuł, że psychiatra się rozkręca.

– W pierwszym stadium – ciągnął Xavier z entuzjazmem – dobre jest to, co podlega nagrodzie, a złe to, co podlega karze. Tak jak wtedy, gdy uderzamy dziecko linijką po palcach, żeby zrozumiało, że to, co zrobiło, jest złe. Posłuszeństwo postrzegane jest jako wartość sama w sobie, dziecko jest posłuszne dlatego, że dorosły ma moc je ukarać. W drugim stadium dziecko nie jest już posłuszne tylko po to, by podporządkować się dorosłemu, ale po to, by otrzymywać nagrody. Zaczyna się wymiana... – Uśmiechnął się nieznacznie. – Trzecie stadium to pierwszy stopień moralności konwencjonalnej. Jednostka stara się spełnić oczekiwania innych, środowiska. Ważny jest osąd rodziny, grupy. Dziecko uczy się szacunku, lojalności, zaufania, wdzięczności. W czwartym stadium pojęcie grupy rozszerza się na całe społeczeństwo. Chodzi tu o afirmację prawa i porządku. Wciąż jest to moralność konwencjonalna, poziom konformizmu: dobro polega na wypełnianiu obowiązków, złe jest to, co jest potępiane przez społeczeństwo. – Pochylił się do przodu. – Począwszy od piątego stadium, jednostka uwalnia się od moralności konwencjonalnej i przekracza ją. To poziom postkonwencjonalny. Z egoisty

człowiek zmienia się w altruistę. Wie też, że wartości są względne, że prawa należy przestrzegać, ale nie zawsze jest ono dobre. Myśli przede wszystkim o dobru wspólnym. I wreszcie, w stadium szóstym, jednostka samodzielnie i w sposób wolny przyjmuje zasady etyczne, które mogą stać w opozycji do prawa obowiązującego w jej kraju, jeżeli uzna to ostatecznie za niemoralne. Bazuje na osądzie własnego sumienia i rozumu. Jednostka, która osiągnęła ten etap rozwoju, ma jasną, spójną i zintegrowaną wizję własnego systemu wartości. To osoba zaangażowana społecznie, charytatywnie, zdeklarowany wróg hochsztaplerstwa, egoizmu i chciwości.

– Bardzo ciekawe – powiedział Servaz.

– Prawda? Chyba nie muszę panu mówić, że większość ludzi zatrzymuje się na etapach trzecim i czwartym. U Kohlberga istnieje jeszcze stadium siódme. Osiągają je bardzo nieliczni. Jednostka w stadium siódmym kieruje się powszechną miłością, współczuciem i wycuciem sacrum w stopniu znacznie wyższym niż ogół śmiertelników. Kohlberg wymienia tu zaledwie kilka przykładów: Jezus, Budda, Gandhi... Można powiedzieć, że psychopaci zatrzymali się w pewnym sensie na poziomie zerowym. Jakkolwiek w ustach psychiatry brzmi to niezbyt naukowo.

– Sądzi pan, że można by w analogiczny sposób stworzyć drabinę zła?

Gdy Servaz zadał to pytanie, w oczach psychiatry za szklami czerwonych okularów pojawił się błysk. Żarłocznie oblizwał wargi.

– Bardzo ciekawe pytanie – powiedział. – Przyznam, że już się nad nim zastanawiałem. Na takiej drabinie ktoś taki jak Hirtmann znajdowałby się po przeciwnej stronie skali, byłby jakby odwróconym lustrzanym odbiciem jednostek z siódmego stadium...

Psychiatra patrzył zza szkieł prosto w oczy rozmówcy. Miał minę, jakby się zastanawiał, na którym poziomie zatrzymał się policjant. Servaz czuł, że znowu zaczyna się pocić, a jego tętno przyspiesza. Coś rosło w jego piersi. Paniczny lęk... Przypomniawszy sobie światła samochodu w lusterku, wyjącego Perraulta w wagoniku kolejki, trupa Grimma wiszącego pod mostem, konia z odciętą głową, świdrujące spojrzenie szwajcarskiego olbrzyma, wzrok Lisy Ferney na korytarzu Instytutu... Ten lęk czaił się od samego początku na dnie jego serca jak ziarno, które tylko czeka, by zakiełkować i rosnąć. Miał ochotę wziąć nogi za pas, uciekać z tego miejsca, z tej doliny, z tych gór...

– Dziękuję, doktorze. – Zerwał się w pośpiechu.

Xavier wstał i uśmiechając się, wyciągnął do niego rękę nad biurkiem.

– Proszę. – Przez chwilę przytrzymał dłoń Servaza. – Wygląda pan na bardzo zmęczonego, naprawdę kiepsko, komendancie. Powinien pan odpocząć.

– Już drugi raz ktoś mi to dzisiaj mówi – odpowiedział komendant i uśmiechnął się.

Ale nogi trzęsły się pod nim, gdy szedł do drzwi.

Była 15.30. Zimowe popołudnie miało się ku końcowi. Czarne jodły odcinały się na tle leżącego na ziemi śniegu, cień pod drzewami gęstniał, a ostrza górskich szczytów przecinały szare, groźne niebo, które wyglądało jak pokrywa zamykająca się nad doliną. Wsiadł do swojego jeepa i spojrzął na listę. Jedenaście nazwisk. Przynajmniej dwa z nich zna: Lisa Ferney i doktor Xavier. Zapalił silnik i wykręcił, żeby wyjechać. Śnieg na drodze prawie całkowicie stopniał, ukazując czarne, tłuste, miękkie, błyszczące podłoże. Nie minął nikogo na wąskiej, zalanej

cieniem drodze, ale kilka kilometrów dalej, tam gdzie odbijała ona w stronę ośrodka kolonijnego, zauważył zaparkowane u wylotu ścieżki stare czerwone volvo 940. Zwolnił, by odczytać w blasku świateł numery rejestracyjne. Samochód był jednak tak brudny, że połowa cyfr była niewidoczna pod błotem i liśćmi przyklejonymi do tablicy. Przypadek czy charakterystyka? Servaz czuł, że zaczyna się robić nerwowy.

Przejeżdżając, rzucił okiem do środka. Nikogo nie zobaczył. Zaparkował samochód pięć metrów dalej i wysiadł. W pobliżu także nikogo nie było. Złowieszczy szum wiatru w gałęziach przypominał szelest starych papierów w ślepych zaułku. Dochodziła do tego melodia strumienia. Ściemniało się coraz bardziej. Servaz sięgnął do schowka po latarkę i poszedł w kierunku volvo, wydeptując brudny śnieg na poboczu. We wnętrzu nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi poza tym, że było ono tak samo brudne jak karoseria. Spróbował otworzyć drzwi: były zamknięte.

Servaz pamiętał, co się wydarzyło w kolejce linowej, i tym razem wrócił po broń. Gdy przeszedł przez zardzewiały mostek, ogarnął go chłód bijący od potoku. Kiedy zaczął brnąć po błotnistej ścieżce, pożałował, że nie włożył wysokich butów. Przypomnił mu się fragment dziennika Alice. Po kilku krokach jego miejskie obuwie było w równie opłakanym stanie jak volvo. Na las znowu spadały krople deszczu. Servaz początkowo szedł pod osłoną drzew, ale gdy ścieżka zaczęła biec łąką, wśród wystających spod śniegu wysokich traw i pokrzyw, poczuł, że deszcz bębni mu o czaszkę jak dziesiątki drobnych palców wystukujących jakiś piekielny rytm. Komendant postawił kołnierz wokół ociekającego wodą karku. W strumieniach deszczu ośrodek wyglądał na całkowicie opustoszały.

Kiedy był już blisko zabudowań, w miejscu, w którym ścieżka lekko się wznosiła, poślizgnął się na błocie i o mało nie upadł jak długi. Upuścił pistolet, który wpadł do kałuży. Zaklął, gdy go podnosił. Pomyślał, że jeśli ktoś czai się gdzieś tutaj i go obserwuje, to musi mieć niezły ubaw, widząc jego niezdarność.

Budynki wyglądały, jakby na niego czekały. Spodnie i dłonie miał uwalane błotem, reszta ubrań była przemoczona od deszczu.

Servaz zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. Tętno mu podskoczyło. Lampki ostrzegawcze w głowie jedna po drugiej zapalały się na czerwono. Kto może się wałęsać po tym opuszczonym ośrodku – i w jakim celu? A przede wszystkim dlaczego się nie odzywa? Musiał przecież usłyszeć wołanie Servaza, niesione echem.

Trzy budynki były wzniesione w górskim stylu, ale z betonu z zaledwie kilkoma drewnianymi ozdobnikami. Miały łupkowe dachy, rzędy okien na piętrach i przeszklone ściany na parterze. Łączyły się ze sobą otwartymi krużgankami. Wewnątrz nie paliło się żadne światło. Połowa szyb była wybita. Część z nich zastąpiono płytami ze sklejki. Dziurawe rynny pluły strumieniami wody rozpryskującymi się o podłoże. Servaz skierował snop światła latarki na fasadę głównego budynku i odkrył dewizę wymalowaną nad wejściem wyblakłymi literami: „W szkole życia nie ma wakacji”. W szkole zbrodni też nie, pomyślał. Nagle zauważył jakiś ruch na granicy pola widzenia po lewej. Obrócił się gwałtownie. W następnej chwili nie był już tak bardzo pewien tego, co widział. Może to gałęzie poruszane przez wiatr. Był jednak przekonany, że zauważył z tamtej strony jakiś cień. Cień wśród innych cieni...

Sprawdził, czy pistolet jest odbezpieczony. Czujnie ruszył przed siebie. Gdy minął róg budynku znajdujący się najdalej po lewej stronie, musiał uważać, gdzie stawia stopy. Podłoże stało się nagle spadziste, a do tego było niestabilne i śliskie od lepkiego błota. Po jednej i drugiej

stronie wznosiły się strzeliste pnie buków z wyrastającymi wysoko czarnymi konarami, między którymi Servaz, podniósłszy głowę, dostrzegł skrawki szarego nieba i krople deszczu, który spadały prosto na niego. Błotniste, zadrzewione zbocze opadało ku strumykowi, który płynął kilka metrów niżej.

Nagle coś zauważył.

Jakieś światełko.

Drobne i chybotliwe jak błędny ogień. Servaz zamrugał powiekami, żeby strącić deszcz z rzęs: światełko nie zniknęło.

Cholera, co to jest?

Płomyk... Tańczył, delikatny i maleńki, metr nad ziemią przed jednym z pionowych pni.

Jego wewnętrzna syrena alarmowa nie milkła. Ten płomień został przez kogoś zapalony i ten ktoś nie mógł odejść daleko. Servaz rozejrzał się dookoła. Schodząc zboczem w stronę drzewa, o mało znowu się nie poślizgnął na błocie. Świeczka... Maleńka świeczka, jak te, których używa się w podgrzewaczach albo ustawia w pokoju, aby stworzyć miły nastrój. Stała na małej drewnianej półeczce przytwierdzonej do pnia. Snop światła latarki przesunął się po chropowatej korze i nagle Servaz stanął jak wryty. Kilka centymetrów nad płomieniem zauważył duże serce, wycięte w korze ostrzem szczyryka. W środku pięć imion:

Ludo + Marion + Florian + Alice + Michaël

Samobójcy... Servaz wpatrywał się w serce, sparaliżowany, oszołomiony.

Deszcz zgasił płomyk.

Wtedy nastąpił atak. Dziki. Brutalny. Przerazający. Nagły. Servaz poczuł, że nie jest sam. Ułamek sekundy później coś miękkiego i mokrego spadło mu na głowę. Spanikowany rzucał się i walczył jak szatan, ale przeciwnik mocno go trzymał. Policjant poczuł, że coś zimnego przykleja mu się do nosa i ust. Przerazony mózg jęknął cicho: Foliowa torba! Następnie tamten człowiek wymierzył mu straszny cios pod kolana i Servaz mimo woli zgiął z bólu nogi. Znalazł się na ziemi, z twarzą w błocie, a przeciwnik napierał na niego całym ciężarem. Torba go dusiła. Przez folię czuł dotyk miękkiego, lepkiego błota. Napastnik przyciskał jego głowę do podłoża, zaciskając torbę dookoła szyi i kolanami blokując jego ramiona. Dusząc się, Servaz przypomniał sobie błoto we włosach Grimma i zalała go fala lodowatego, niepohamowanego strachu. Gwałtownie wierzgał nogami i poruszał tułowiem, próbując pozbawić równowagi tego, który siedział mu na plecach. Na próżno. Napastnik nie rozluźniał uchwytu. Przy każdym wydechu folia torby odklejała się od jego twarzy, by przy wdechu znowu przylgnąć mu do nozdrzy, ust i zębów, wydając przy tym potworny, powtarzający się szelest. I niemal całkowicie uniemożliwiając oddychanie. Wsączał w niego panikę i straszliwe uczucie, że się dusi. Z głową zamkniętą w foliowym więzieniu, cierpiąc okrutnie z powodu braku powietrza, Servaz miał wrażenie, że jego serce za chwilę przestanie bić. Potem poczuł nagłe szarpnięcie do tyłu i na jego gardle zacisnął się sznur, który jednocześnie przytrzymał foliową torbę. Potworny ból przeszył mu szyję. Ciągnięto go po ziemi.

Wierzgał nogami na wszystkie strony, grzebiąc podszwami w błocie, usiłując osłabić straszny ucisk na szyi. Jego pośladki podnosiły się, opadały i ślizgały po miękkim podłożu, a ręce na próżno próbowały chwycić sznur i rozluźnić śmiertelny zacisk. Nie wiedział, gdzie upadła broń. Wleczono go tak wiele metrów, obolałego, krztuszącego się, podduszonego, jak zwierzę prowadzone do rzeźni.

Za mniej niż dwie minuty będzie martwy.

Brakowało mu już powietrza.

Konwulsyjnie otwierał usta, ale folia zaklejała je przy każdym wdechu.

Wewnątrz torby było już coraz mniej tlenu, który zastępował wydychany przez niego dwutlenek węgla.

Spotka go taki sam los, jaki spotkał Grimma!

Los Perraulta!

Los Alice!

Zawiśnie!

Był już na granicy utraty świadomości, gdy nagle powietrze znowu napłynęło do jego płuc, jakby otwarto jakiś zawór. Czyste, zdrowe powietrze. Poczul też krople deszczu na twarzy. Wciągał w siebie powietrze i deszcz wielkimi, charczącymi i zbawiennymi haustami – jego płuca świstały jak nadmuchiwanie miechem.

– NIECH PAN ODDYCHA! NIECH PAN ODDYCHA!

Głos Xaviera. Odwrócił głowę i po chwili, odzyskawszy ostrość wzroku, zobaczył, że psychiatra pochyła się nad nim i go podtrzymuje. Doktor był tak samo przerażony jak on.

– Gdzie... gdzie on jest?

– Uciekł. Nawet nie zdążyłem go zobaczyć. Niech pan nic nie mówi, tylko oddycha!

– Nagle rozległ się odgłos silnika i Servaz zrozumiał.

Volvo!

– Cholera – zdołał wykrztusić.

Servaz siedział pod drzewem. Pozwalał, by deszcz spływał mu po włosach i twarzy. Kucający obok niego psychiatra także wydawał się nie zważać na deszcz, który moczył jego garnitur, ani na błoto na wypastowanych butach.

– Zjeżdżałem do Saint-Martin i zobaczyłem pański samochód. Byłem ciekaw, co pan tu robi. Postanowiłem podejść, żeby rzucić okiem.

Xavier spojrział na niego przenikliwie i uśmiechnął się półgębkiem.

– Jestem taki jak wszyscy: to śledztwo, te morderstwa... To wszystko jest przerażające, ale też intrygujące. Krótko mówiąc, szukałem pana i nagle zobaczyłem pana tutaj, na ziemi, z torbą na głowie i tym... sznurem! Facet musiał usłyszeć mój samochód i szybko zwiął. Na pewno się nie spodziewał, że ktoś mu przeszkodzi.

– Pu... pułapka – wyjąkał Servaz, rozcierając szyję. – Zasta... zastawił na mnie pułapkę.

Zaciągnął się papierosem, który zaskwierczał. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Psychiatra delikatnie odsunął kołnierz jego kurtki.

– Niechże to zobaczę. Dość paskudne... Zawiozę pana do szpitala. Trzeba to zaraz opatrzyć. I zrobić prześwietlenie kręgów szyjnych i krtani.

– Dziękuję, że się pan po... pojawił.

– Dzień dobry – powiedział Monsieur Monde.

– Dzień dobry – odpowiedziała Diane. – Przyszłam się spotkać z Julianem.

Monsieur Monde zmierzył ją wzrokiem, wykrzywając wargi. Jego wielkie łapska

spoczywały na pasku kombinezonu. Diane wytrzymała spojrzenie olbrzyma bez mrugnięcia okiem. Starła się zachować zimną krew.

– Nie przyszedł z panią doktor Xavier?

– Nie.

Przez twarz strażnika przemknął cień. Znowu patrzyli sobie w oczy. Monsieur Monde wzruszył ramionami i odwrócił się do niej tyłem.

Poszła za nim z walącym sercem.

– Odwiedziny – rzucił ochroniarz, gdy otworzył drzwi celi.

Diane weszła do środka. Napotkała wzrokiem zdziwione spojrzenie Hirtmanna.

– Dzień dobry, Julianie.

Szwajcar nie odpowiedział. Wyglądał, jakby miał zły dzień. Humor, którym tryskał ostatnim razem, gdzieś się ulotnił. Diane musiała użyć całej siły woli, żeby nie odwrócić się na pięcie i nie wyjść, zanim będzie za późno.

– Nie wiedziałem, że dzisiaj są odwiedziny – powiedział wreszcie.

– Ja też nie wiedziałam. Przynajmniej jeszcze pięć minut temu.

Tym razem wyglądał, jakby był naprawdę zbity z tropu, i Diane odczuła niemal satysfakcję. Usiadła przy stoliku i rozłożyła przed sobą papiery. Czekwała, aż Hirtmann zajmie krzesło po drugiej stronie, ale nie zrobił tego, tylko chodził tam i z powrotem przy oknie, jak dzikie zwierzę krążące po klatce.

– Ponieważ mamy się spotykać regularnie – zaczęła – chciałabym ustalić pewne zasady, nakreślić ramy naszych rozmów i zorientować się, jak to się odbywa w tym zakładzie...

Zatrzymał się, by rzucić jej przeciągłe, podejrzliwe spojrzenie, a potem bez słowa wrócił do swojego spaceru.

– Nie ma pan nic przeciwko temu?

Nie odpowiedział.

– No więc... na początek... ma pan tu dużo odwiedzin, Julianie?

Znowu się zatrzymał i zmierzył ją wzrokiem, po czym podjął przerwana przechadzkę w tę i z powrotem, z rękami założonymi na plecach.

– Jakież wizyty osób spoza Instytutu?

Nie odpowiedział.

– A tutaj, kto pana odwiedza? Doktor Xavier? Élisabeth Ferney? Kto jeszcze?

Nie odpowiedział.

– Zdarza się panu rozmawiać z nimi o tym, co się dzieje na zewnątrz?

– Czy doktor Xavier zezwolił pani na tę wizytę? – zapytał nagle, zatrzymując się i stając tuż przed nią.

Diane z trudem podniosła na niego wzrok. Hirtmann stał. Ona siedziała. Przytłaczał ją swoim olbrzymim wzrostem.

– No, ja...

– Domyślam się, że nie. Po co pani tu przyszła, doktor Berg?

– No... powiedziałam panu, chciałam...

– Taaa, jasne. Niewiarygodne, jak wam psychologom czasami brakuje wyczucia! Jestem dobrze wychowanym człowiekiem, doktor Berg, ale nie znoszę, gdy robi się ze mnie idiotę –

dodał ostro.

– Jest pan na bieżąco z tym, co się dzieje na zewnątrz? – zapytała, porzucając profesjonalny ton psychologa.

Spuścił oczy i popatrzył na nią z miną, jakby się zastanawiał. Potem postanowił usiąść. Oparł łokcie na stole, splótł dłonie i pochylił się do przodu.

– Chce pani porozmawiać o tych morderstwach? Tak, czytam gazety.

– Zatem wie pan tylko to, co piszą w gazetach, tak?

– Do czego pani zmierza? Co takiego się dzieje na zewnątrz, że jest pani w takim stanie?

– W jakim stanie?

– Wygląda pani na... *przestraszoną*. Ale nie tylko. Wygląda pani jak ktoś, kto czegoś szuka, a nawet... jak małe zwierzątko, jak małe, ryjące zwierzątko. Tak pani właśnie wygląda: pyszczek obrzydliwego szczurka. Gdyby pani mogła teraz zobaczyć swoje oczy! Psiakrew, doktor Berg, co się z panią dzieje? Nie może pani wytrzymać w tym miejscu, o to chodzi? Nie boi się pani zakłócać sprawnego funkcjonowania tego zakładu tą swoją dociekliwością?

– Jakbym słyszała doktora Xaviera – zakpiła.

Uśmiechnął się.

– No nie, proszę pani! Niech pani posłucha, kiedy weszła tu pani pierwszy raz, natychmiast poczułem, że pani nie jest na swoim miejscu. Tutaj... Czego się pani spodziewała, przyjeżdżając tu? Że spotka pani geniuszy zła? Tu są tylko nieszczęśliwi psychotycy, schizofrenicy, paranoicy, biedni i chorzy ludzie, doktor Berg. Pozwolę sobie zaliczyć się do tego grona. Jedyne, co ich różni od tych, którzy żyją gdzie indziej, to przemoc... I niech mi pani wierzy, nie tylko wśród pacjentów... – Rozłożył ręce. – Tak, wiem, że doktor Xavier podchodzi do sprawy, nazwijmy to, w sposób... *romantyczny*. Że widzi w nas złe stworzenia, emanacje Nemezis i inne podobne idiotyzmy. Sądzi, że otrzymał misję. Dla niego to miejsce jest trochę jak Święty Graal psychiatrów. Co za bzdury! – Gdy mówił, jego spojrzenie stało się twardsze i bardziej mroczne. Diane nie potrafiła się powstrzymać i wbiła się głębiej w krzesło. – Tutaj jest tak samo jak wszędzie: szumowiny, miernota, złe traktowanie i wysokie dawki leków. Psychiatria to największe oszustwo dwudziestego wieku. Niech pani popatrzy na lekarstwa, których używają: sami nie wiedzą, jak to działa! Większość z nich została odkryta przez przypadek w innych gałęziach medycyny!

Wpatrywała się w niego intensywnie.

– Niech mi pan opowie, jakie ma pan informacje. Wszystkie pochodzą z gazet?

– NIE SŁUCHA PANI, CO DO PANI MÓWIĘ.

Wypowiedział to zdanie donośnym, surowym, władcym głosem. Diane aż podskoczyła. Poczula, że go traci. Popełniła błąd, przeoczyła. Teraz facet się zamknie.

– Ależ tak, słucham pana, ja...

– *Nie słucha pani, co do pani mówię.*

– Dlaczego pan tak mówi? Ja... – Nagle zrozumiała. – Co pan miał na myśli, gdy pan powiedział „nie tylko wśród pacjentów”? O czym pan mówi? O wariatach? O tych biedakach? O kryminalistach? O mordercach? *Także wśród personelu*, tak?

Na jego twarzy pojawił się dziki uśmiech.

– W sumie lubię z panią dyskutować.

– O kim pan mówi, Julianie? O kogo chodzi?

– A co pani wie, Diane? Co pani odkryła?

– Jaką mam gwarancję, że pan nikomu nie wygada, jeśli panu powiem?

Wybuchnął strasznym, odrażającym śmiechem.

– No nie, Diane! To brzmi jak jakiś nędzny filmowy dialog! Co pani myśli? Że mnie to naprawdę interesuje? Niech pani na mnie popatrzy: nigdy stąd nie wyjdę. Nawet gdyby na zewnątrz było trzęsienie ziemi, ani by mnie to ziębiło, ani grzało. Chyba że przy okazji pękłyby te mury...

– Pańskie DNA zostało znalezione tam, gdzie zabito konia. Wiedział pan o tym?

Przyglądał jej się dłuższą chwilę.

– A pani skąd o tym wie?

– Nieważne. To jak, wiedział pan czy nie?

Jego twarz wykrzywił grymas. Może był to uśmiech.

– Wiem, czego pani szuka. Ale tutaj pani tego nie znajdzie. Odpowiedź na pani pytanie brzmi: JA WIEM WSZYSTKO, DIANE. Wszystko, co się dzieje na zewnątrz i wewnątrz. Niech się pani nie boi, nikomu nie powiem o pani odwiedzinach. Nie mam za to pewności, czy Monsieur Monde tego nie zrobi. W przeciwieństwie do mnie on nie ma swobody działania. Na tym polega paradoks. Ale teraz niech pani już idzie. Szefowa pielęgniarek powinna tu być za kwadrans. Niech pani idzie! Niech pani ucieka z tego miejsca. Niech pani ucieka daleko stąd, Diane. Tutaj grozi pani niebezpieczeństwo.

Espérandieu siedział przy biurku i myślał. Po rozmowie z Marissą zaświtał mu pewien pomysł. Ciągle zastanawiał się nad kwotą, o której jego koleżanka wspomniała rano przez telefon: 135 tysięcy dolarów. Do czego by to mogło pasować? Na pierwszy rzut oka suma 135 tysięcy dolarów nie miała nic wspólnego z ich śledztwem. Na pierwszy rzut oka. Ale potem wpadła mu do głowy ta myśl.

Myśl na tyle szalona, że początkowo ją odrzucał.

Ale nie ustępowała. Była uparta. Co mu szkodzi sprawdzić? O jedenastej się zdecydował i poszukał w komputerze potrzebnych informacji. Następnie chwycił za słuchawkę. Pierwsza osoba, z którą rozmawiał, początkowo bardzo się wzbraniała przed udzieleniem mu klarownej odpowiedzi. O takich sprawach nie rozmawia się przez telefon, nawet z gliniarzem. Kiedy jednak wspomniał o sumie 135 tysięcy dolarów, uzyskał potwierdzenie, że ta kwota mniej więcej odpowiada stawce, jaką firma pobiera za wspomnianą trasę.

Espérandieu czuł, że jego podniecenie rośnie.

W ciągu następnych trzydziestu minut obdzwonił jeszcze sześć miejsc. Pierwsze telefony nic nie dały: nie, pod podaną przez niego datą nic nie było. Myśl znowu wydała mu się śmieszna. Suma 135 tysięcy dolarów mogła odpowiadać całej masie rzeczy. A potem wykrecił ostatni numer i prosił: Bingo! Wysłuchał odpowiedzi rozmówcy z mieszaniną niedowierzania i rosnącej ekscytacji. A jeśli trafił w dziesiątkę? Czy to możliwe? Cichy głosik starał się ostudzić jego entuzjazm: przecież to może być oczywiście zbieg okoliczności. Ale nie wierzył w to. Nie w przypadku tej daty. Kiedy odłożył słuchawkę, ciągle nie mógł w to uwierzyć. Niewiarygodne! Wystarczyło kilka telefonów i posunął śledztwo o olbrzymi krok naprzód.

Spojrzął na zegarek. 16.50. Zamierzał opowiedzieć o tym Martinowi, ale zmienił zdanie. Potrzebuje ostatecznego potwierdzenia. Złapał za telefon i gorączkowo wystukał kolejny numer.

Tym razem to właściwy trop.

– Jak się czujesz?

– Nie najgorzej.

Ziegler wpatrywała się w niego. Wyglądała na prawie tak samo zszokowaną jak on. Pielęgniarki to wchodziły, to wychodziły z pokoju. Servaza poddano badaniu lekarskiemu i serii prześwietleń, po czym przewieziono go do pokoju, choć bez problemu mógł chodzić o własnych siłach.

Xavier siedział na krześle na korytarzu, czekając, aż Ziegler zbierze od niego zeznania. Przed drzwiami pokoju stał żandarm. Nagle drzwi otworzyły się na całą szerokość.

– O Boże, co się stało? – rzuciła Cathy d’Humières, wchodząc do pokoju energicznym krokiem i zbliżając się do łóżka.

Servaz zdał jej relację najkrócej, jak potrafił.

– I nie widział pan jego twarzy?

– Nie.

– Jest pan tego pewien?

– Wszystko, co mogę powiedzieć, to że jest silny. I że wie, jak unieruchomić człowieka.

Cathy d’Humières rzuciła mu przeciągłe, ponure spojrzenie. – To już nie może dłużej trwać – powiedziała. Odwróciła się do Ziegler. – Proszę zawiesić wszystkie zadania, które nie są pilne, i przerzucić cały personel do pracy nad tą sprawą. Co z Chaperonem?

– Jego była żona nie ma żadnego pomysłu, gdzie mógłby być – odpowiedziała Ziegler.

Servaz przypomniał sobie, że Irène miała pojechać do Bordeaux, żeby się spotkać z byłą żoną mera.

– Jaka ona jest? – zapytał.

– Kobieta z klasy średniej. Snobka, opalona w solarium i za bardzo wymalowana.

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Pytałaś ją o byłego?

– Tak. To ciekawe: kiedy tylko poruszyłam ten temat, natychmiast zaczęła trzymać dystans. Opowiadała same banały: alpinizm, polityka i przyjaciele, którzy zabierali mężowi cały czas, rozwód za porozumieniem stron, ich życie, które stopniowo rozeszło się w dwóch różnych kierunkach, i tak dalej. Ale czułam, że przemilczała to, co najważniejsze.

Nagle Servazowi przypomniał się dom Chaperona. Mieszkali w osobnych pokojach, tak jak Grimm i jego żona. Dlaczego? Czyżby żony odkryły ich potworną tajemnicę? Servaz w jednej chwili nabrał przekonania, że w ten czy inny sposób to właśnie się stało. Być może, a nawet z całą pewnością, domyślały się zaledwie części prawdy. Ale pogarda wdowy po Grimmie wobec męża i jej próba samobójcza, a także niechęć byłej pani Chaperon do mówienia o życiu osobistym miały wspólne źródło: te kobiety znały najgorsze perwersje i podłość swoich mężów, choć na pewno nie domyślały się rozmiarów ich zbrodni.

– Mówiłaś jej, co znaleźliśmy w domu?

– Nie.

– Zrób to. Nie ma ani chwili do stracenia. Zadzwoń do niej i powiedz, że jeśli coś ukrywa, a jej mąż zostanie znaleziony martwy, będzie pierwsza na liście podejrzanych.

– W porządku. Znalazłam jeszcze coś ciekawego – dodała.

Servaz czekał.

– Szefowa pielęgniarek w Instytucie, Lisa Ferney, miała kiedyś do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Łamanie prawa, wykroczenia, przestępstwa. Kradzieże skuterów, znieważanie funkcjonariusza na służbie, narkotyki, pobicia i zranienia, wyłudzenie pieniędzy. W każdym razie miała w tamtym czasie kilka spraw karnych.

– I mimo to pracuje w Instytucie?

– To było dawno. Wróciła do szeregu, zdobyła wykształcenie. Pracowała w kilku szpitalach psychiatrycznych, dopóki Wargnier, poprzednik Xaviera, nie wziął jej pod swoje skrzydła. Każdy ma prawo do drugiej szansy.

– To ciekawe.

– Poza tym Lisa Ferney jest aktywną członkinią klubu kulturystycznego w Saint-Lary, dwadzieścia kilometrów stąd. Należy też do klubu strzeleckiego.

Nagle Servaz i d’Humières wzmogli czujność. Martina uderzyła pewna myśl: być może intuicja, tam, w Instytucie, go nie zawiodła. Lisa Ferney to ten profil. Ci, którzy powiesili konia na górze, byli bardzo silni. A szefowa pielęgniarek ma więcej siły niż niejeden mężczyzna.

– Drąż dalej ten temat – powiedział. – Może coś w tym jest.

– A, jeszcze coś, byłabym zapomniała. Kasety.

– Tak?

– To były tylko śpiewy ptaków.

– Aha.

– No dobrze, to lecę do merostwa zobaczyć, czy jest jakaś lista dzieci, które przewinęły się przez ośrodek.

– Proszę państwa, wolałbym, żeby państwo pozwolili komendantowi odpocząć – rozległ się donośny głos od drzwi.

Odwrócili się. Wszedł lekarz w niebieskim kitlu. Miał około trzydziestki, smagłą cerę i gęste, czarne brwi niemal zrosnięte u nasady mięsistego nosa. Servaz odczytał nazwisko na plakietce: „Dr Saadeh”. Podszedł do nich z uśmiechem. Ale jego oczy były poważne. Marszczył grube brwi, świadomie robiąc nieprzejednaną minę, która miała dać im do zrozumienia, że w miejscu takim jak to sędziowie i żandarmi powinni chylić czoło przed wyższym autorytetem: autorytetem służby medycznej. Servaz zaczął wstawać z łóżka.

– Nie ma mowy, żebym tutaj został – oświadczył.

– Nie ma mowy, żebym pozwolił panu teraz odejść – sprzeciwił się doktor Saadeh, przyjaźnie, ale zdecydowanie kładąc mu dłoń na ramieniu. – Jeszcze nie skończyliśmy pana badać.

– No to niech się pan pośpieszy. – Servaz opadł zrezygnowany na poduszki.

Ale kiedy tylko wszyscy wyszli, zamknął oczy i zasnął.

W tej samej chwili w Lyonie, w budynku-fortecy przy quai Charles-de-Gaulle pod numerem 200, w którym mieści się sekretariat generalny Interpolu, oficer dyżurny odebrał telefon. Mężczyzna znajdował się w samym środku obszernej otwartej przestrzeni biurowej, pełnej komputerów, telefonów, drukarek i ekspresów do kawy, z panoramicznym oknem wychodzącym

na Rodan. W biurze znajdowała się też duża przystrojona choinka, której czubek ozdobiony gwiazdą górował nad systemem ścianek działowych.

Zmarszczył brwi, rozpoznawszy głos rozmówcy.

– To ty, Vincent? Kopę lat, stary! Co u ciebie słychać?

Interpol, druga pod względem liczebności organizacja po ONZ, skupia 187 państw. Jej centralne biuro nie jest jednak instytucją policyjną w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale raczej punktem informacyjnym, do którego policje poszczególnych krajów członkowskich zwracają się w celu uzyskania ekspertyz i skorzystania z baz danych, w tym z katalogu zawierającego 178 tysięcy przestępców i 45 tysięcy uciekinierów. To instytucja, która każdego roku rozsyła tysiące międzynarodowych nakazów aresztowania; słynne „czerwone listy gończe”. Mężczyzna, który odebrał telefon, nazywał się Luc Damblin. Podobnie jak Marissę, Espérandieu poznał go w szkole policyjnej. Wymienili grzeczności, po czym Vincent przeszedł do sedna sprawy.

– Potrzebuję pomocy.

Damblin odruchowo spojrzął na portrety wiszące na jednej ze ścianek, nad kserokopiarkami: rosyjscy mafiosi, albańscy stręczyciele, grube ryby rynku narkotykowego z Meksyku czy Kolumbii, serbscy i chorwaccy fałszerze biżuterii i wreszcie międzynarodowi pedofile działający w biednych krajach. Ktoś dorysował im czerwone czapki i brody Świętych Mikołajów, ale nie zaczęli od tego wyglądać sympatyczniej. Cierpliwie wysłuchał wyjaśnień kolegi.

– Można powiedzieć, że masz szczęście – odparł. – Jeden gość z FBI w Waszyngtonie jest mi winien przysługę. W zamian za duże wsparcie, jakiego mu udzieliłem w jednym ze śledztw. Zadzwoń do niego i zobaczę, co się da zrobić. Ale po co ci ta informacja?

– Na potrzeby śledztwa.

– To ma związek ze Stanami?

– Wyjaśnię ci. Wysłałam ci zdjęcie – powiedział Espérandieu.

Człowiek z Interpolu spojrzął na zegarek.

– To może trochę potrwać. Moja linia jest dość obciążona. Na kiedy potrzebujesz informacji?

– To dość pilne, przykro mi.

– Zawsze jest pilne – odparował Damblin. – Nie martw się, kładę twoją prośbę na wierzchu. Ze względu na miłe wspomnienia. Poza tym niedługo Gwiazdka: to będzie prezent ode mnie.

Servaz obudził się po dwóch godzinach. Trwało chwilę, zanim rozpoznał szpitalne łóżko, biały pokój, duże okno z niebieskimi roletami. Kiedy zrozumiał, gdzie jest, rozejrzył się za swoimi rzeczami. Znalazł je wrzucone jak leci do przezroczystej foliowej torby leżącej na krześle. Wskoczył z łóżka i zaczął się ubierać najszybciej jak potrafił. Trzy minuty później był już na powietrzu. Wyjął telefon.

– Halo?

– Tu Martin. Gospoda jest dziś wieczór otwarta?

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki zaśmiał się.

– Dobrze, że zadzwoniłeś. Właśnie miałem sobie robić kolację.

– Będę miał do ciebie parę pytań.

– A już myślałem, że dzwonisz wyłącznie ze względu na zalety mojej kuchni. Co za rozczarowanie! Znalazłeś coś?

- Opowiem ci.
- W porządku, do zobaczenia niebawem.

Zapadł już zmierzch, ale ulica przed liceum była dobrze oświetlona. Espérandieu siedział w nierzucającym się w oczy samochodzie. Zobaczył, jak Margot Servaz wychodzi ze szkoły. Mało brakowało i by jej nie rozpoznał: czarne włosy zniknęły, a na ich miejsce pojawił się skandynawski blond. Upięte po obu stronach kucyki sprawiały, że wyglądała jak karykatura Mädchen. Na głowie miała dziwną czapkę.

Kiedy odwróciła się tyłem, mimo odległości zauważył na jej karku, między kucykami, nowy tatuaż. Ogromny, kolorowy rysunek. Vincent pomyślał o swojej córce. Jak by zareagował, gdyby Mégan kiedyś zaczęła praktykować takie modyfikacje ciała? Upewniwszy się, że aparat fotograficzny leży na swoim miejscu, na fotelu pasażera, zapalił silnik. Tak jak poprzedniego dnia Margot paplała przez chwilę na chodniku z koleżankami i zrobiła sobie skręta. A potem objawił się rycerz na skuterze.

Espérandieu westchnął. Przynajmniej jeśli tym razem straci ich z oczu, będzie wiedział, gdzie ich znaleźć. Nie musiał manewrować tak ryzykownie jak poprzednio. Wyminął szereg aut i rzucił się w pościg. Kierowca skutera wykonywał takie same akrobacje jak zwykle. W jego iPhone The Gutter Twins śpiewali: „Ojczy, nie mogę uwierzyć, że odchodzisz”. Na następnych światłach Espérandieu zwolnił i zahamował. Samochód przed nim stał, skuter znajdował się cztery auta dalej. Espérandieu wiedział już, że pojedą prosto przez skrzyżowanie. Rozluźnił się.

Chrypiący głos w jego słuchawkach oświadczał: *My mother, she don't know me /And my father, he can't own me*, kiedy nagle, gdy zapaliło się zielone światło, skuter z rykiem skręcił w prawo. Espérandieu drgnął. Cholera, co oni robią? To nie była droga do domu. Korek, który zrobił się przed nim na światłach, przesuwał się w irytująco wolnym tempie. Espérandieu zaczął się denerwować. Światło zmieniło się na pomarańczowe, potem na czerwone. Przejechał. W ostatniej chwili zdążył zauważyć, że na następnym skrzyżowaniu, dwieście metrów dalej, skuter skręca w lewo. Dokąd oni jadą? Przejechał na pomarańczowym i na poważnie zajął się zmniejszaniem dzielącej ich odległości.

Jadą w stronę centrum.

Był już praktycznie tuż za nimi. Panował tu znacznie większy ruch, padał deszcz i światła samochodów odbijały się od mokrego asfaltu. W tych warunkach jazda w ślad za zygzakującym kształtem nie była już tak prosta. Migiem chwycił iPhone'a i włączył aplikację „info traffic”, a następnie obejrzał w przybliżeniu następny korek, odsuwając palec wskazujący od kciuka na dotykowym ekranie. Szesnaście minut później skuter wysadził pasażerkę na rue d'Alsace-Lorraine i natychmiast odjechał. Espérandieu zaparkował w niedozwolonym miejscu, zaciągnął zasłonę przeciwsłoneczną z napisem POLICJA i wysiadł. Instynkt podpowiadał mu, że tym razem coś się dzieje. Przypomniał sobie, że zostawił aparat na miejscu pasażera, zaklął, wrócił po niego i puścił się biegiem, by dogonić swój cel.

No panic. Margot Servaz spokojnie szła przed nim w tłumie ludzi. Biegając truchtem, włączył aparat i sprawdził, czy działa.

Okrążyła plac Esquirol. Oświetlone witryny i girlandy ożywiały ciemne drzewa i stare fasady. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem kłębiły się tu tłumy. Bardzo mu to odpowiadało: nie groziło mu, że zostanie zauważony. Nagle zobaczył, że dziewczyna staje w miejscu, rozgląda

się dookoła, a następnie wchodzi do restauracji Père Léon. Espérandieu poczuł, że w jego głowie zapalają się wszystkie lampki alarmowe. To nie jest zachowanie osoby, która nie ma nic do ukrycia. Przyśpieszył kroku i znalazł się na wysokości knajpy, w której zniknęła. Miał dylemat: spotkał Margot jakieś sześć razy. Jak by zareagowała, gdyby zauważyła, że wchodzi za nią?

Zajrzał przez okno dokładnie w chwili, kiedy siadała na krześle, złożony wcześniej pocałunek na ustach kogoś, kto siedział po drugiej stronie stolika. Wyglądała na szczęśliwą. Espérandieu widział, jak śmieje się radośnie z tego, co mówi ten ktoś naprzeciwko.

Po czym przeniósł wzrok na jej rozmówcę. O cholera!

W zimny grudniowy wieczór Servaz patrzył w niebo usiane gwiazdami ponad szczytami gór i na światła młyna odbijające się w wodzie – zapowiedź przyjemnego ciepła, które panowało wewnątrz. Ostry wiatr smagał mu policzki, deszcz znowu przechodził w śnieg. Gospodarz otworzył drzwi. Policjant zobaczył, jak jego twarz tężeje.

– Mój Boże! Co ci się stało?

Ponieważ Servaz widział się w szpitalnym lustrze, wiedział, że wygląda przerażająco. Powiększone źrenice, przekrwione oczy, których nie powstydziliby się Christopher Lee w *Draculi*, szyja sina aż po uszy, brzegi nozdrzy i warg podrażnione przez pocieranie foliowej torby i straszna fioletowa pręga w miejscu, w którym sznur wpił się w gardło. Z oczu leciały mu łzy z powodu zimna lub napięcia nerwowego.

– Spóźniłem się – powiedział ochryplym głosem. – Wejść, jeśli pozwolisz. Zimny wieczór dzisiaj.

Ciągle jeszcze drżał na całym ciele. Gdy znalazł się w środku, Saint-Cyr przyjrzał mu się z niepokojem.

– Chryste! Chodź tutaj, rozgrzejesz się. – Stary sędzia zszedł po stopniach do dużego salonu.

Tak jak poprzednio, stół był nakryty. W kominku strzelały jasne płomienie. Saint-Cyr odsunął krzesło, by Martin mógł usiąść, i nalał mu wina.

– Pij. I nie śpiesz się. Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

Servaz twierdząco skinął głową. Wino miało głęboko czerwoną, niemal czarną suknię. Mocne, ale wyśmienite. Przynajmniej dla Servaza, który nie był wielkim znawcą.

– Somontano – wyjaśnił Saint-Cyr. – Jeżdżę po nie na drugą stronę Pirenejów, do Górnej Aragonii. No więc co się stało?

Servaz opowiedział. Wciąż wracał myślami do ośrodka i za każdym razem przeżywał długotrwały wyrzut adrenaliny, przenikający stopniowo całe ciało. Kto próbował go udusić? Odtwarzał w głowie film z tego dnia. Gaspard Ferrand? Élisabeth Ferney? Xavier? Ale Xavier przyszedł mu z pomocą. Chyba że psychiatra w ostatniej chwili zrezygnował z zamordowania gliniarza... W jednej chwili Servaz był okrutnie torturowany, a w następnej Xavier stał u jego boku. Jeśli to ta sama osoba? Ale nie, przecież słyszeli, jak volvo odjeżdża! Następnie podsumował wydarzenia tego i poprzedniego dnia: pośpieszną ucieczkę Chaperona, jego pusty dom, odkrycie peleryny i sygnetu, pudełko po nabojach na biurku...

– Zbliżasz się do prawdy – spuentował Saint-Cyr z zatroskaną miną. – Jesteś tuż-tuż. Ale to – wskazał na szyję Servaza – to, co ci zrobił... świadczy o niesłychanej brutalności. On nie cofnie się już przed niczym. Jeśli trzeba, gotów jest zabijać policjantów.

– On albo oni.

Saint-Cyr rzucił mu przenikliwe spojrzenie.

– Niepokojąca jest sprawa Chaperona.

– Nie masz pomysłu, gdzie mógł się schować?

Sędzia zastanawiał się dłużej.

– Nie. Ale Chaperon ma bzika na punkcie gór i alpinizmu. Zna wszystkie ścieżki, wszystkie szlaki, zarówno po stronie francuskiej, jak i hiszpańskiej. Powinieneś się zwrócić do żandarmerii górskiej.

Oczywiście. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał?

– Przygotowałem coś lekkiego – powiedział Saint-Cyr. – Tak jak chciałeś. Pstrąg w sosie migdałowym. Hiszpański przepis. Na pewno mnie pochwalisz.

Poszedł do kuchni i wrócił z parującymi talerzami. Servaz wypił jeszcze łyk wina i rzucił się na pstrąga. Z jego talerza unosił się smakowity zapach. Sos był lekki, ale cudownie aromatyczny, smakował migdałami, czosnkiem, cytryną i pietruszką.

– A zatem sądzisz, że ktoś mści się za nastolatków?

Servaz przytaknął, krzywiąc się. Za każdym kęsem bolało go gardło. Po chwili nie czuł już głodu. Odsunął talerz.

– Przepraszam, nie mogę.

– Oczywiście, zrobię ci kawę.

Nagle Servazowi przypomniało się serce wycięte w korze. Z pięcioma imionami w środku. Należącymi do pięciorga spośród siódemki samobójców.

– Czyli pogłoski były uzasadnione – powiedział Saint-Cyr, wróciwszy z filiżanką. – Niewiarygodne, że nie trafiliśmy na ten dziennik. I że nie zdołaliśmy znaleźć najmniejszej poszlaki, która by potwierdzała tę hipotezę.

Servaz zrozumiał. Z jednej strony sędzia odczuwał ulgę, widząc, że prawda nareszcie wychodzi na jaw. Z drugiej czuł to, co czuje każdy człowiek, który latami ugania się za jakimś celem i kiedy już pogodził się z tym, że nigdy go nie osiągnie, widzi, że ktoś inny robi to zamiast niego. Uczucie, że ominęło się najważniejszą rzecz, na próżno roztrwoniło czas.

– Ostatecznie miałeś dobrą intuicję – docenił go Servaz. – I najwyraźniej członkowie kwartetu podczas akcji nie rozstawali się z pelerynami i nigdy nie pokazywali twarzy ofiarom.

– Ale mimo wszystko: że też żadna z ofiar nigdy się nie poskarżyła!

– Często się tak dzieje w tego typu sprawach, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Prawda wychodzi na jaw wiele lat później, kiedy ofiary są już dorosłe, czują się pewniej i nie boją się już swoich katów.

– Jak sądzę, przejrzałeś już listę dzieci, które przewinęły się przez ośrodek? – zapytał Saint-Cyr.

– Jaką listę?

Sędzia spojrzał na niego zaskoczony.

– Tę, którą zrobiłem, listę wszystkich dzieci, które przewinęły się przez ośrodek. Jest w kartonie, który ci dałem.

– W kartonie nie było listy.

– Ależ oczywiście, że była! Myślisz, że wariuję na starość? Są tam wszystkie dokumenty, jestem tego pewien. Tamten także. Tak jak ci mówiłem, próbowałem w tamtym czasie ustalić związek między samobójcami a dziećmi, które przeszły przez ośrodek. Zastanawiałem się, czy

wśród dzieci z ośrodka już wcześniej nie zdarzały się samobójstwa, których nie zauważono, bo były pojedyncze. To by potwierdzało moją intuicję, że samobójstwa miały związek z Les Isards. Poszedłem więc do merostwa i dostałem listę wszystkich dzieci, które przeszły przez ośrodek od jego otwarcia aż do tamtych wydarzeń. Ta lista jest w kartonie.

Saint-Cyr nie lubi, gdy ktoś podaje w wątpliwość jego słowa. Ani zdolności intelektualne, zauważył Servaz. Jegomość wygląda na pewnego siebie.

– Przykro mi, ale nie znaleźliśmy w kartonie nic, co przypominałoby tę listę.

Sędzia spojrzął na niego i potrząsnął głową.

– W kartonie były odbitki. Byłem w tamtych czasach skrupulatny. Nie to co teraz. Robiłem odbitki wszystkich dokumentów. Jestem pewien, że ta lista tam była. – Wstał. – Chodź za mną.

Szli korytarzem wyłożonym pięknymi płytkami z szarego postarzanego kamienia. Sędzia pchnął niskie drzwi, przekręcił włącznik światła. Oczom Servaza ukazał się prawdziwy chaos – niewielki zakurzony gabinet, w którym panował nieopisany bałagan. Biblioteczki, krzesła, niskie stoliki – wszędzie piętrzyły się ułożone byle jak książki, pliki dokumentów i teczki, z których wysypywały się niedokładnie spięte kartki. Saint-Cyr grzebał w stosie wysokim na trzydzieści centymetrów, zrzedząc pod nosem. Bez skutku. Potem w następnym. Wreszcie po jakichś pięciu minutach podniósł się, trzymając w dłoni plik spiętych kartek, który podał Servazowi z triumfującą miną.

– Proszę.

Servaz przejrzał listę. Trzy strony, a na nich dziesiątki nazwisk, spisane w dwóch kolumnach. Jego wzrok ślizgał się wzdłuż kolumn. Początkowo żadne z nazwisk nie zwróciło jego uwagi. Potem pojawiła się znajoma osoba: Alice Ferrand... Kontynuował lekturę. Ludovic Asselin. Kolejny samobójca. Kawałek dalej znalazł trzeciego: Florian Vanloot... Szukał nazwisk dwojga pozostałych nastolatków, które były w ośrodku, zanim odebrały sobie życie, kiedy jego oczy trafiły na nazwisko, którego absolutnie się w tym miejscu nie spodziewał...

Nazwisko, które nigdy nie powinno było się tu znaleźć.

Nazwisko, od którego zakręciło mu się w głowie. Servaz zadrzał, jakby poraził go prąd. Przez chwilę sądził, że padł ofiarą halucynacji. Zamknął oczy i ponownie je otworzył. Ale nazwisko ciągle tam było, wśród nazwisk innych dzieci. Irène Ziegler.

Cholera, niemożliwe!

Przez długą chwilę siedział za kierownicą swojego jeepa, patrząc niewidzącym wzrokiem przez przednią szybę. Nie dostrzegał coraz gęściej syjących płatków śniegu ani coraz grubszej białej warstwy pokrywającej drogę. Krąg światła rozpościerał się na śniegu pod latarnią. W oknach młyna po kolei gasły wszystkie lampy. Została tylko jedna, na pewno w pokoju Saint-Cyra. Servaz pomyślał, że sędzia pewnie czyta w łóżku. Nie zamykał okiennic. To niepotrzebne – włamywacz musiałby przepłynąć przez nurt strumienia, a następnie po murze wspiąć się do okien. Te naturalne zabezpieczenia były co najmniej tak samo skuteczne jak pies czy system alarmowy.

Irène Ziegler... Na liście było jej nazwisko. Zastanawiał się, co to znaczy. W pamięci zobaczył siebie, jak po pierwszej wizycie u Saint-Cyra wraca do budynku żandarmerii z kartonem pod pachą. Zobaczył, jak Irène zdecydowanie sięga po karton i jeden po drugim wyciąga z niego wszystkie dokumenty śledztwa. Saint-Cyr to formalista: lista dzieci, które przebywały w ośrodku, była wówczas w pudle. A jeśli stary ma sklerozę? Być może traci już pamięć i nie chce się do tego przyznać. Mógł włożyć listę gdzie indziej. Ale jest też inna, bardziej niepokojąca hipoteza. Według niej Servaz nigdy nie widział listy, *ponieważ Irène Ziegler ją usunęła*. Przypomniał sobie, że nie bardzo się paliła do przypomnienia sobie sprawy samobójstw, gdy tamtej nocy w budynku żandarmerii wspomniał o niej po raz pierwszy. Nagle przed oczami pojawił mu się inny obraz: siedzi uwięziony w wagoniku kolejki i próbuje się do niej dodzwonić. Powinna była przyjechać sporo przed nim, miała bliżej, ale kiedy wsiadał do kolejki, nie było jej na miejscu. Przez telefon wyjaśniła mu, że miała wypadek na motorze i jest w drodze. Zobaczył ją dopiero *po wszystkim*. Perrault był już wtedy martwy.

Zdał sobie sprawę, że od ściskania kierownicy stawy jego palców zrobiły się białe. Potarł powieki. Był wyczerpany, znajdował się na skraju wytrzymałości nerwowej, jego ciało było kłębkim bólu, a zwątpienie rozlewało się po jego umyśle jak śmiertelna trucizna. Pojawiły się inne myśli: Irène zna się na koniach, prowadzi samochód i helikopter jak mężczyzna, zna okolicę jak własną kieszeń. Przypomniał sobie, jak rano podniosła głos, by wziąć na siebie wizytę w merostwie. Wiedziała już, co tam znajdzie. To jedyny trop, który mógłby ich do niej doprowadzić. Czy to ona rozgrzebała papiery Chaperona w nadziei, że wpadnie na jego ślad? Czy to ona *próbowała go zabić w ośrodku? Zaciskała mu sznur na szyi?* Nie był w stanie w to uwierzyć.

Zmęczenie spowolniło bieg jego myśli. Nie potrafił już prawidłowo rozumować. Co ma robić? Nie miał żadnych dowodów winy młodej funkcjonariuszki żandarmerii.

Spojrzał na zegarek na desce rozdzielczej i zatelefonował do Espérandieu.

– Martin? Co się dzieje?

Servaz opowiedział mu o emerytowanym sędzi i dokumentach, a potem o odkryciu, jakiego

właśnie dokonał. Po drugiej stronie słuchawki zapanowało długie milczenie.

– Sądzisz, że to ona? – odezwał się w końcu Espérandieu. W jego głosie dało się wyczuć sceptycyzm.

– Nie było jej ze mną, kiedy widziałem w wagoniku Perraulta i jego zabójcę. Napastnik miał na sobie kominiarkę. Gdy się mijaliśmy, schował się za Perraulta, żebym nie widział jego oczu. Powinna przyjechać tam pierwsza, ale jej nie było. Pojawiła się dużo później. – Nagle inna myśl przyszła mu do głowy. – Była w ośrodku i nic o tym nie powiedziała. Zna się na koniach, zna się na górach, jest wysportowana i na pewno potrafi się posługiwać liną alpinistyczną.

– Psiakrew! – zawołał Espérandieu, tym razem wstrząśnięty.

Mówił ściszym głosem i Servaz domyślił się, że jego asystent jest w łóżku z żoną, która już śpi.

– Co robimy? – zapytał komendant.

Cisza. Mimo dzielącej ich odległości wyobraził sobie zaskoczenie młodszego kolegi. Vincent nie nawykł do tego, żeby szef przekazywał mu stery.

– Masz dziwny głos.

– Jestem wykończony. I chyba mam gorączkę.

Nie wspomniał o napadzie w ośrodku. Nie miał ochoty w tej chwili o tym mówić.

– Gdzie jesteś teraz?

– Przed domem Saint-Cyra.

Odruchowo rzucił okiem we wsteczne lustro. Także z tamtej strony uliczka była opustoszała. Okiennice najbliższych domów, znajdujących się jakieś sto metrów dalej, były zamknięte. Tylko gęste płatki śniegu cicho sypały się z nieba.

– Wracaj do hotelu – powiedział Espérandieu. – Na razie nic nie rób. Jadę do ciebie.

– Kiedy? Dziś?

– Tak, ubieram się i wyjeżdżam. A Ziegler, wiesz, gdzie ona jest?

– Podejrzewam, że u siebie.

– Albo szuka Chaperona. Mógłbyś do niej zadzwonić i sprawdzić.

– I co jej powiem?

– Nie wiem. Że się źle czujesz, że jesteś chory. Jesteś wykończony, sam to powiedziałaś. Zresztą to słyhać w twoim głosie. Powiedz jej, że nie dajesz rady i jutro zostajesz w łóżku. Zobaczymy, jak zareaguje.

Servaz się uśmiechnął. Po tym, co się wydarzyło, uwierzy mu bez najmniejszego problemu.

– Martin? Co się dzieje?

Nadstawił ucha. W tle słyhać było ściszony głośnik telewizora. Ziegler jest u siebie. Albo u kogoś innego. W mieszkaniu? W domu? Nie potrafił sobie wyobrazić miejsca, w którym mieszka. W każdym razie nie jest na zewnątrz i nie krąży jak wygłodzony wilk, szukając śladów mera. *Albo jego śladów...* Oczyma wyobraźni zobaczył ją na motocyklu, ubraną w skórzany kombinezon i wysokie buty; a potem za sterami helikoptera. Nagle nabrał pewności, że to ona.

– Nic. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że robię sobie przerwę. Muszę się wyspać.

– Nie jest lepiej?

– Nie wiem. Straciłem jasność umysłu. Nie daję rady myśleć. Jestem wykończony

i potwornie boli mnie szyja. – Żadne kłamstwo nie jest tak dobre jak to, które zawiera cząstkę prawdy. – Sądziś, że poradziś sobie jutro sama? Trzeba za wszelką cenę znaleźć Chaperona.

– W porządku – powiedziała po chwili wahania. – Tak czy siak, ty nie jesteś w stanie kontynuować. Odpocznij sobie. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mieć coś nowego. Tymczasem ja też idę się położyć. Sam powiedziałeś: trzeba zachować jasność umysłu.

– Dobranoc, Irène.

Rozłączył się i wybrał numer Vincenta.

– Espérandieu.

– Jest u siebie. W każdym razie w tle było słycać telewizor.

– Ale nie spała.

– Jak mnóstwo ludzi, którzy się późno kładą. Gdzie jesteś?

– Na autostradzie. Zatrzymam się, żeby zatankować, i jadę dalej. Nigdy nie widziałem, żeby na wsi było tak ciemno. Będę za jakieś pięćdziesiąt minut. Co byś powiedział, gdybyśmy podjechali pod jej dom?

Zawahał się. Czy będzie miał dość siły?

– Nawet nie wiem, gdzie mieszka.

– Żartujesz?

– Nie.

– No to co robimy?

– Zadzwoń do d’Humières – postanowił Servaz.

– O tej porze?

Martin położył komórkę na łóżku, poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Chętnie napiłby się kawy, ale na to nie mógł liczyć. Wrócił do pokoju i zadzwonił do Cathy d’Humières.

– Martin? Psiakrew! Wie pan, która godzina? W tym stanie powinien pan już spać!

– Przykro mi. Pilna sprawa.

Domyślił się, że pani prokurator siada na łóżku.

– Następna ofiara?

– Nie, ale poważne tarapaty. Jest nowy podejrzany. Ale na razie nie mogę o tym nikomu powiedzieć. Oprócz pani.

– KTO? – rzuciła nagle obudzona d’Humières.

– Kapitan Ziegler.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowało długie milczenie.

– Niech mi pan wszystko opowie.

Zrobił to. Powiedział o liście Saint-Cyra, o nieobecności Irène w momencie śmierci Perraulta, o jej niechęci do wspomnień z dzieciństwa i pobytu w ośrodku, o lawirowaniu w sprawach związanych z jej osobistą historią.

– To nie dowodzi, że jest winna.

Oto prawnicze podejście, pomyślał. Z jego perspektywy Irène stała się podejrzaną numer jeden. Instynkt gliniarza podpowiadał mu jednak, by tego nie mówić.

– Ale ma pan rację, to niepokojące. Ta historia z listą ani trochę mi się nie podoba. Czego pan ode mnie oczekuje? Przypuszczam, że nie dzwoni pan o tej porze, żeby mi powiedzieć o czymś, co mogłoby zaczekać do jutra?

– Potrzebny nam jej adres. Nie mam go.

– Nam?

– Poprosiłem Espérandieu, żeby do mnie dołączył.

– Macie zamiar ją śledzić? Dziś w nocy?

– Być może.

– Psiakrew! Martin! Powinien pan spać! Przeglądał się pan w lustrze?

– Wolę nie.

– Nie podoba mi się to. Niech pan będzie ostrożny. Jeśli to ona, może być niebezpiecznie. Zabiła już dwóch ludzi. I posługuje się bronią co najmniej tak dobrze jak pan.

Delikatny eufemizm, pomyślał. Jest beznadziejny w strzelaniu. A asystent też nie bardzo wygląda mu na Brudnego Harry'ego.

– Niech pan zadzwoni za pięć minut, muszę zatelefonować w jedno czy dwa miejsca – powiedziała. – Do usłyszenia za chwilę.

Espérandieu zapukał do drzwi czterdzieści minut później. Servaz otworzył. Jego asystent miał płatki śniegu na skafandrze i we włosach.

– Masz szklankę wody i kawę? – zapytał z aspiryną w ręku. Następnie podniósł oczy i spojrzał na szefa. – O kurwa mać!

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Servaz wychodził od Saint-Cyra, Diane, siedząc jeszcze w swoim gabinecie, zastanawiała się, co ma teraz zrobić. Zamierzała przejść do działania. Ale czy naprawdę miała na to ochotę? Czuła pokusę, by zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, i zapomnieć o tym, co odkryła. Opowiedzieć Spitznerowi? Początkowo wydawało jej się, że to właśnie powinna zrobić, ale po namyśle nie była już tego taka pewna. Tak naprawdę nie wiedziała, do kogo się zwrócić.

Była sama, zdana tylko na siebie. Spojrzała na zegarek wyświetlający się w rogu ekranu.

23.15.

Instytut był pogrążony w absolutnej ciszy, tylko podmuchy wiatru uderzały w okno. Skończyła wpisywać do Excela dane, które zebrała podczas rozmów przeprowadzonych tego dnia. Xavier już dawno opuścił swój gabinet. Teraz albo nigdy... Poczuła ucisk w żołądku. Lepiej o tym nie myśleć.

– Widzę ją.

Espérandieu podał mu lornetkę. Servaz ruszył w stronę niedużego trzypiętrowego bloku stojącego na zboczu. Irène Ziegler stała na środku salonu z telefonem komórkowym przy uchu i dużo mówiła. Była ubrana jak ktoś, kto zamierza wyjść z domu, nie jak ktoś, kto spędza wieczór przed telewizorem i zaraz położy się do łóżka.

– Nie wygląda, jakby zamierzała iść spać – skomentował Espérandieu, spojrzawszy znów przez lornetkę.

Stali na niewielkim podwyższeniu, na murku otaczającym parking, na którym znajdowała się tablica wskazująca odległość od Saint-Martin: dwadzieścia kilometrów. Wokół parkingu rósł żywopłot. Wślizgnęli się w przestrzeń między dwoma krzewami. Lodowaty wiatr kołysał żywopłotem. Servaz postawił kołnierz kurtki, a Espérandieu naciągnął kaptur skafandra, który

zaczął się robić biały. Servazem wstrząsały dreszcze. Szczękał zębami. Były czterdzieści dwie minuty po północy.

– Wychodzi! – oświadczył Espérandieu, widząc, jak Irène chwyta kurtkę motocyklową wiszącą obok drzwi.

Chwilę później zatrzasnęła drzwi mieszkania. Opuścił lornetkę i skierował ją na drzwi wejściowe budynku. Dwadzieścia sekund później pojawiła się Ziegler. Zeszła po schodach i mimo śniegu skierowała się w stronę motocykla.

– Cholera! Niewiarygodne!

Pobiegli do samochodu. Tylne koła trochę buksowały, gdy weszli w zakręt u stóp zbocza przed blokiem. Zdażyli zauważyć, że motocykl skręca w prawo na górze ulicy, która prowadziła do centrum miasteczka. Kiedy dojechali do skrzyżowania, zmieniły się światła. Przejechali na czerwonym. O tej porze i przy takiej pogodzie nie mogli się na nikogo natknąć. Znaleźli się na zasypanej śniegiem długiej alei. W oddali widzieli Ziegler. Jechała bardzo powoli. Ułatwiało im to zadanie, ale też zwiększało ryzyko, że zostaną zauważeni, jako że oprócz nich w długiej, białej alei było pusto.

– Namierzy nas, jeśli tak dalej pójdzie – powiedział Espérandieu, zwalniając.

Opuściwszy miasteczko, przez jakieś dziesięć minut jechali na zwolnionych obrotach, mijając dwie opuszczone wioski i ośnieżone łąki. Po obu stronach drogi wznosiły się góry. Espérandieu pozwolił, by Irène się oddaliła, tak że widzieli już jedynie tylne światło jej maszyny, świecące wśród płatków śniegu równie słabo jak żarzący się koniec papierosa.

– Dokąd ona jedzie?

W głosie Vincenta słychać było zaskoczenie. Servaz czuł to samo. Nie odpowiedział.

– Sądzisz, że znalazła Chaperona?

Na tę myśl Servaz zeszytywniał. Poczuł, że rośnie mu ciśnienie. Był pełen obaw, wyobrażając sobie, co może się zdarzyć. Wszystko potwierdzało jego przypuszczenia. Okłamała go. Nie położyła się, ale w środku nocy wyszła z domu, nikogo o tym nie informując. Raz po raz wracał do wszystkich etapów śledztwa, do każdego szczegółu, który wskazywał na nią.

– Skręciła w prawo.

Servaz wyteżył wzrok, patrząc przed siebie. Irène zjechała z drogi na oświetlony parking przed niskim, prostokątnym budynkiem przypominającym niezliczone magazyny handlowe, które stoją przy głównych drogach. Poprzez płatki śniegu zobaczyli migający w ciemności neon. Świetlny obraz przedstawiał profil kobiety ubranej w melonik, z papierosem w ustach. Dym z papierosa układał się w słowa PINK BANANA. Espérandieu jeszcze bardziej zwolnił. Zobaczyli, jak Ziegler zatrzymuje motocykl i zsiada.

– A to co? – zapytał Servaz. – Nocna dyskoteka?

– Klub hokeistek.

– Co?

– Dyskoteka dla lesbijek.

Wlekli się na jedyne, kiedy Irène przywitała się z bramkarzem ubranym w grubą kurtkę z futrzanym kołnierzem narzuconą na smoking. Przeszła między dwiema sztucznymi palmami i zniknęła w środku. Espérandieu podjechał cicho pod wejście do dyskoteki. Kawałek dalej widać było inne budynki w kształcie równoległociąńców. Wyglądały jak wielkie pudełka po butach. Przestrzeń handlowa. Wykręcił, włączył wsteczny bieg i zaparkował samochód w plamie

cienia, z dala od latarni i neonów, tyłem do drzwi lokalu.

– Chciałeś wiedzieć więcej o jej życiu prywatnym, no to masz – powiedział.

– Co ona tam robi?

– A jak sądzisz?

– Chodzi mi o to, że przecież ściga Chaperona i wie, że musi się śpieszyć, a traci czas na przyjeżdżanie tutaj? O pierwszej w nocy?

– Chyba że ma spotkanie z kimś, kto może jej udzielić informacji.

– W dyskotecę dla lesbijek?

Espérandieu wzruszył ramionami. Servaz spojrział na zegar na desce rozdzielczej.

– Zawieź mnie tam.

– Dokąd?

– Do niej.

Poszperał w kieszeni i wyjął pęczek wytrychów. Espérandieu zmarszczył brwi.

– Hola, hola! To nie jest dobry pomysł. Ona może w każdej chwili wyjść.

– Zostawisz mnie tam, wrócisz tutaj i sprawdzisz, czy jeszcze jest w środku. Nie wejść, dopóki nie będę miał od ciebie zielonego światła. Masz naładowaną komórkę?

Servaz wyjął swój telefon. Tym razem działał. Espérandieu zrobił to samo, potrząsając głową.

– Czekaj, czekaj. Widziałeś swoją gębę? Ledwie się trzymasz na nogach. Jeśli Ziegler jest naprawdę zabójcą, to jest bardzo niebezpieczna.

– Jeżeli będziesz ją śledził, będę miał dość czasu, spokojnie zdążę się zmyć. Nie mamy już ani chwili do stracenia.

– A jeśli jakiś sąsiad cię zobaczy i narobi rabanu? Confiant zniszczy ci karierę. Ten gość cię nienawidzi.

– Nikt się o niczym nie dowie. Jedźmy. Już dość czasu straciliśmy.

Diane rozejrzała się dookoła. Nikogo. Korytarz był pusty. Pacjenci nie mieli wstępu do tej części Instytutu, więc nie było tu kamer. Przekreśliła gałkę: otwarte. Spojrzała na zegarek. Dwanaście minut po północy. Weszła. Pomieszczenie było zalane światłem księżyca wpadającym przez okno: gabinet Xaviera...

Zamknęła za sobą drzwi. Wszystkie jej zmysły były w pogotowiu, niesłychanie czułe, jakby napięcie zmieniło ją w zwierzę o wyostrozonym wzroku i słuchu. Omiotła spojrzeniem biurko, na którym stały tylko lampka, komputer i telefon, niewielką biblioteczkę po prawej, metalowe komody, lodówkę w kącie i rośliny w doniczkach na parapecie okna. Na zewnątrz szalała zamieć. Chwilami, z pewnością wtedy, gdy przesuwające się chmury zasłaniały księżyc, w pokoju robiło się tak ciemno, że Diane widziała tylko szaroniebieski prostokąt okna. Następnie w pomieszczenie znowu robiło się na tyle widno, że mogła odróżnić każdy szczegół.

Na podłodze w jednym z kątów para małych hantli. Małe, ale ciężkie – oceniła, gdy podeszła bliżej. Na każdej cztery czarne dwukilogramowe talerze. Nie udało jej się otworzyć pierwszej szuflady – była zamknięta na klucz. Szlag. Za to druga była otwarta. Zawahała się, po czym zaświeciła lampkę na biurku. Szperała wśród teczek i papierów, ale nic nie zwróciło jej uwagi. Trzecia z szuflad była prawie pusta – leżało w niej tylko kilka markerów i długopisów.

Podeszła do metalowych komód. Były pełne wiszących teczek. Wyjęła kilka z nich i otworzyła. Teczki personalne. Diane zauważyła, że nie ma tam dokumentów Élisabeth Ferney, za to jestteczka niejakiego Alexandre'a Barskiego. Jako że w Instytucie nie było innego Alexandre'a, wywnioskowała, że chodzi o pielęgniarza. Przynęła dokumenty bliżej lampki, żeby lepiej widzieć.

Z CV Aleksa wynikało, że mężczyzna urodził się w 1980 roku na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Młodszy, niż myślała. Kawaler. Zamieszkały w miejscowości Saint-Gauden. O ile dobrze pamiętała, widziała już tę nazwę na mapie regionu. Zatrudniony w Instytucie od czterech lat. Wcześniej pracował w państwowym szpitalu psychiatrycznym w Armentières. W trakcie studiów odbył wiele staży, w tym jeden w placówce psychiatrii dziecięcej, i Diane pomyślała, że w przyszłości będą mogli o tym porozmawiać. Miała ochotę zbliżyć się do Aleksa i może w nim zyskać tu przyjaciela. Dobrze oceniany. W ciągu minionych lat Wargnier, a następnie Xavier zanotowali wiele wyrazów uznania: „słuchający”, „kompetentny”, „przejawia inicjatywę”, „pozytywny duch zespołu”, „dobre stosunki z pacjentami”...

No już, nie masz na to całej nocy.

Zamknęła teczkę i odłożyła na miejsce. Z lekkim kluciem w sercu poszukała swojej. „Diane Berg”. Otworzyła. Wewnątrz znajdowało się jej CV i wydruki korespondencji elektronicznej, jaką prowadziła z doktorem Wargnierem. Poczowała ucisk w żołądku, gdy u dołu strony znalazła adnotację zrobioną ręką Xaviera: *Z problemami?* Z pozostałych wiszących w rzędzie teczek nie dowiedziała się niczego więcej. Zajrzała do innych szuflad. Teczki pacjentów. Papierologia administracyjna... Brak jakiegokolwiek teczki opatrzonej nazwiskiem Lisy Ferney poświadczal podejrzania Diane: prawdopodobnie to ona tak naprawdę dzierży władzę w tym miejscu. Ani Wargnier, ani Xavier nie odważyli się założyć teczki personalnej szefowej pielęgniarek.

Następnie wzrok Diane padł na biblioteczkę stojącą po przeciwnej stronie pomieszczenia. A potem znowu na biurko i komputer. Zawahała się. Wreszcie usiadła w fotelu Xaviera. Skóra oparcia była przesiąknięta wonią mydła i ostrej wody kolońskiej z nieco zbyt silną nutą drzewną. Diane wyteżyła słuch, po czym wcisnęła na komputerze guzik „On”. We wnętrzościach urządzenia coś parsknęło i zakwiliło jak budzący się noworodek.

Pojawiło się tło – banalny jesienny krajobraz – i jedna po drugiej zaczęły wyskakiwać ikonki.

Diane przeleciała je wzrokiem, ale nic nie zwróciło jej uwagi. Otworzyła skrzynkę mailową. Brak nowych wiadomości. Ostatnia przyszła rano, była skierowana do całego personelu i nosiła tytuł: „Kalendarz spotkań roboczych zespołów terapeutycznych”. W skrzynce odbiorczej było pięćset pięćdziesiąt maili, w tym dwanaście nieprzeczytanych. Diane nie miała czasu, by czytać wszystkie, rzuciła jednak okiem na czterdzieści ostatnich, ale nie znalazła w nich niczego niepokojącego.

Następnie przejrzała wiadomości wysłane. Nic.

Zamknęła skrzynkę i otworzyła pasek zakładek. Zwróciła uwagę na kilka stron. Pierwszą z nich był portal społecznościowy dla singli, druga nosiła tytuł „uwiedzenie przez psychoseksuologa”, trzecia zawierała „najnowsze” zdjęcia pornograficzne, a czwarta była poświęcona „bólom klatki piersiowej i dolegliwościom sercowo-naczyniowym”. Zastanawiała się, czy Xavier ma problemy z sercem, czy jest po prostu hipochondrykiem, a następnie zajęła się czym innym. Po siedemnastu minutach rozczarowana wyłączyła komputer.

Jej wzrok padł na pierwszą szufladę, zamknęła na klucz.

Zastanawiała się, czy Xavier nie trzyma w niej zewnętrznego dysku lub pamięci USB. Poza stronami porno jego komputer był trochę zbyt nieskazitelny jak na należący do osoby, która ma coś do ukrycia.

Rozejrzała się dookoła, wzięła spinacz, rozgięła go i wsunęła do maleńkiego zamka, próbując postępować tak, jak to widziała w filmach.

Jej usiłowania w oczywisty sposób były skazane na porażkę. Kiedy spinacz się złamał i jego kawałek utknął w zamku, Diane zakłęła pod nosem. Wzięła nożyk do papieru i z trudem, po kilku minutach wysiłku zdołała wydobyć metalową końcówkę spinacza. Następnie zrobiła w głowie przegląd wszystkich możliwości i nagle zaświtała jej pewna myśl. Podjechała fotelem do okna i wstała. Podniosła po kolei wszystkie doniczki. Nic. A potem na wszelki wypadek zanurzyła palce w ziemi.

W trzeciej doniczce jej palce na coś się natknęły. Tkanina, a w środku coś twardego... Pociągnęła i pojawiła się niewielka torebka. Wewnątrz był klucz. Puls Diane przyspieszył. Kiedy otworzyła szufladę, była jednak rozczarowana. Nie znalazła dysku ani pamięci USB. W szufladzie był plik papierów związanych z Instytutem. Sprawozdania, korespondencja z wyższymi uczelniami – nic poufnego. Po co w takim razie Xavier zamknął szufladę? Dlaczego tak jak pozostałe nie była otwarta? Przeglądając papiery, znalazła tekturową teczkę, która była cieńsza od innych. W środku było zaledwie kilka karteluszków, w tym lista ze spisаныmi w kolumnach nazwiskami. Diane zauważyła, że jest na niej pieczętka merostwa Saint-Martin i że jest to odbitka. Ponieważ lista znajdowała się na dwóch kartkach, wzięła do ręki pierwszą.

Na środku żółta samoprzylepna karteczka. Xavier zapisał na niej kilka pytań:

Gaspard Ferrand?

Lisa?

Irène Ziegler?

Ośrodek kolonijny?

Zemsta?

Dlaczego koń???

Po chwili zastanowienia już wiedziała, co ma przed oczami. Te pytania były odbiciem jej pytań. Dwa spośród nazwisk były jej nieznanymi, a hasło „ośrodek kolonijny” nieuchronnie obudziło w niej nieprzyjemne wspomnienie tego, co przed dwoma dniami przeżyła wśród zabudowań Les Isards. Miała przed sobą listę podejrzanych. Nagle przypomniała sobie rozmowę, którą usłyszała przez otwór wentylacyjny: Xavier zobowiązał się wobec tamtego policjanta, że przeprowadzi własne śledztwo wśród członków personelu. Pytania zanotowane na skrawku papieru dowodziły, że zaczął to robić. A zatem jest oczywiste, że skoro Xavier prowadzi potajemne śledztwo, to nie on jest współnikiem, którego szuka policja. W takim razie co oznacza złożone przez niego zamówienie na leki?

Diane zdezorientowana włożyła listę z powrotem do teczki, a teczkę do szuflady. Po czym zamknęła szufladę na klucz. Nigdy nie słyszała o dwóch pozostałych osobach, ale na liście było przynajmniej jedno nazwisko, na którym będzie mogła teraz skoncentrować swoje poszukiwania. Czy umieszczając słowo „ośrodek kolonijny” tuż pod nazwiskami, Xavier sygnalizował, że

wszystkie te osoby w jakiś sposób były związane z tym miejscem? Przypomniała sobie wyjącego i łkającego mężczyznę. Co się tam wydarzyło? I jaki to ma związek ze zbrodniami popełnionymi w Saint-Martin? Słowo, które psychiatra zanotował pod spodem, było odpowiedzią na to pytanie. *Zemsta...* Diane uświadomiła sobie, że brakuje jej zbyt wielu elementów, by mogła mieć nadzieję na dojście do prawdy. Najwyraźniej Xavier ją wyprzedza, choć ciągle jeszcze stawia sobie wiele pytań.

Nagle zamarła z ręką na kluczu, który tkwił jeszcze w zamku szuflady. Odgłos kroków w korytarzu. Nieświadomie opadła na fotel. Jej dłoń powoli i po cichu przesunęła się do stojącej na biurku lampki i zgasiła ją. Znowu zalał ją szaroniebieski półmrok, który rozpraszał blask księżycy. Jej serce zaczęło niebezpiecznie kołatać. Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Czy to któryś z ochroniarzy na obchodzie? Czyżby zauważył światło w szparze pod drzwiami? Sekundy wlokły się w nieskończoność. Po chwili jednak ochroniarz wrócił do przerwane go obchodu i kroki się oddaliły.

Krew szumiała jej w uszach. Diane pomału odzyskała normalny oddech. Marzyła już tylko o jednym: wrócić do swojego pokoju i wślizgnąć się pod kołdrę. Kusiło ją też, by zapytać Xaviera o jego śledztwo. Wiedziała jednak, że w chwili, gdy się przyzna, że grzebała w jego biurku, straci pracę i wszelkie widoki na karierę. Musi znaleźć inny sposób, by doprowadzić do tego, żeby się wygadał...

– Jest jej motor. Ciągłe jest w środku.

Servaz zatrzasnął telefon i zapalił światło na półpiętrze. Zerknął na zegarek. 1.27. Następnie spojrzął na drzwi drugiego mieszkania. Żadnych odgłosów. Wszyscy śpią. Długo wycierał buty o słomiankę, po czym wyjął wytrychy i zaczął je wkładać do zamka. Po trzydziestu sekundach był w środku. Ziegler nie zamknęła ani dodatkowej zasuw, ani trzypunktowego zamka.

Na wprost znajdował się korytarz z dwójgiem drzwi po prawej stronie. Za pierwszymi kolejny korytarz, za drugimi salon. Blask ulicznych latarni rozświetlał ciemny pokój. Za oknami coraz gęściej sypał śnieg. Servaz wszedł do cichego i mrocznego pomieszczenia. Znalazł włącznik. Rozbłysło światło i jego oczom ukazało się przestronne wnętrze. Zamarł w bezruchu, z bijącym sercem.

Niech pan szuka bieli – powiedział Propp.

Powoli rozejrzał się dookoła. Ściany były białe. Pokój umeblowany w bezcielesnym, zimnym stylu. Nowocześnie. Spróbował sobie wyobrazić osobę, która tutaj mieszka, niezależnie od tej, którą zdążył już poznać. Nic nie przychodziło mu do głowy. Miał wrażenie, jakby oglądał pokój zamieszkiwany przez ducha. Podeszedł do książek, które stały na półce między pucharami za osiągnięcia sportowe. Przeszedł go gwałtowny dreszcz. Wszystkie miały podobną tematykę: przestępstwa seksualne, przemoc wobec kobiet, ucisk kobiet, pornografia, gwałt. Zakręciło mu się w głowie. Zbliżał się do prawdy... Przeszedł do kuchni. Wtem dostrzegł jakiś ruch po prawej stronie. Zanim zdążył zareagować, poczuł, że coś dotyka jego nogi. W panice uskoczył do tyłu. Jego serce waliło jak szalone. Rozległo się przeciągłe miauknięcie i kocur umknął, by schować się w innym kącie mieszkania. Psiakrew! Ale mi napędziłeś stracha! Servaz odczekał, aż jego serce się uspokoi, po czym pootwierał szafki. Nic szczególnego. Zauważył tylko, że Irène w przeciwieństwie do niego przestrzega zdrowej diety. Znowu przeszedł przez salon i skierował się ku pokojom. Drzwi do jednego z nich były otwarte. Znajdowało się w nim biurko, zaścielone

łóżko i metalowa komoda. Po kolei otwierał jej szuflady. Teczki. Deklaracje podatkowe, rachunki za prąd, wykłady ze szkoły żandarmerii, czynsz, ubezpieczenie, różne abonamenty... Na nocnej szafce książki w języku angielskim. *The Woman-Identified Woman, Radical Feminism a Documentary History*. Na głos brzęczącego w kieszeni telefonu Servaz podskoczył.

– I co? – zapytał Espérandieu.

– Na razie nic. Jakież ruchy?

– Nie, ciągle jest w środku. Myślałeś o tym, że może nie mieszkać sama? Psiakrew, nic o niej nie wiemy!

Servaza zmroziło. Espérandieu ma rację! Nawet się nad tym nie zastanawiał! W mieszkaniu jest troje zamkniętych drzwi. Co jest za nimi? Przynajmniej jedno z nich prowadzi do pokoju. Ten, w którym się aktualnie znajduje, nie wygląda na zamieszkały. Nie hałasował przy wchodzeniu. Jest druga w nocy. O tej porze ludzie zazwyczaj głęboko śpią. Ze ściśniętym żołądkiem wyszedł z pokoju i stanął przed sąsiednimi drzwiami. Wytężył słuch. Żadnych odgłosów. Przykleił ucho do drzwi. Cisza. Jedynie szum jego własnej krwi. Wreszcie położył dłoń na klamce i bardzo delikatnie otworzył.

Pokój... Niepościelone łóżko...

Pusto. Jego serce znowu zaczęło niebezpiecznie kołatać. Pomyślał, że to pewnie skutek kiepskiej kondycji fizycznej. Musi poważnie wziąć się do uprawiania sportu, jeśli nie chce pewnego dnia zejść na zawał.

Gdy otworzył pozostałe drzwi, jego przypuszczenia się potwierdziły: były za nimi łazienka i toaleta. Wrócił do pokoju z biurkiem. Otworzył trzy jego szuflady. Nic poza długopisami i wyciągami z karty płatniczej. Potem jego wzrok przyciągnęła kolorowa plama na podłodze pod biurkiem. Mapa samochodowa. Musiała się ześlizgnąć z biurka. W jego kieszeni znowu zabręczał telefon.

– Wyszła!

– W porządku. Jedź za nią. I zadzwoń do mnie, jak będziecie kilometr stąd.

– Co ty pieprzysz? – powiedział Espérandieu. – Na Boga, zabieraj się stamtąd!

– Może coś znalazłem.

– Już ruszyła! Jedzie!

– Goń ją. Szybko! Potrzebuję pięciu minut.

Rozłączył się.

Zapalił lampkę na biurku i schylił się, by podnieść mapę.

Była 2.02, gdy Espérandieu zobaczył, jak Irène Ziegler w towarzystwie innej kobiety wychodzi z klubu Pink Banana. W przeciwieństwie do Ziegler, która w kombinezonie motocyklowym i skórzanych botkach miała wygląd fascynującej amazonki, jej koleżanka była ubrana w błyszczącą kurtkę z futrzanym kołnierzem, obcisłe džinsy i białe botki sznurowane z dołu do góry. Wyglądała jak z żurnala. W odróżnieniu od jasnowłosej Irène była brunetką, jej długie włosy opadały na futrzany kołnierz. Kobiety podeszły do motocykla, na którym Ziegler usiadła okrakiem. Rozmawiały jeszcze przez chwilę. Po czym brunetka pochyliła się nad blondynką. Espérandieu przełknął ślinę, patrząc, jak młode kobiety namiętnie się całują.

– O kurczę – powiedział sam do siebie, z nagle wyschniętym gardłem.

Następnie Ziegler odpaliła maszynę. Odziana w skórę amazonka przylgnęła do stalowego rumaka. Ta kobieta może być morderczynią, pomyślał, by ostudzić rodzące się podniecenie.

Nagle zaświtała mu pewna myśl. Ci, którzy zmasakrowali konia Érica Lombarda, działali we dwójkę. Pstryknął brunetkę cyfrówką, tuż zanim zniknęła w drzwiach dyskoteki. Kim ona jest? Czy to możliwe, żeby zabójcami były dwie kobiety? Wyjął komórkę i zadzwonił do Servaza.

Cholera! – zaklął, gdy skończył rozmowę. Martin potrzebuje pięciu minut! To szaleństwo! Powinien się natychmiast stamtąd zmyć! Zapalił silnik i z rykiem przejechał przed bramkarzem. Trochę niezgrabnie skręcił przy wyjeździe z parkingu, koła znowu zabuksowały w śniegu, po czym samochód znalazł się na długiej, prostej szosie. Zdjął nogę z gazu dopiero wtedy, gdy zobaczył tylne światło motocykla. Odruchowo spojrzął na zegarek: 2.07.

Martin, na miłość boską, zabieraj się stamtąd!

Servaz obracał mapę na wszystkie strony.

Dokładna mapa rejonu Haut Comminges, w skali 1:50 000. Na próżno ją oglądał, rozkładał i przysuwał do lampki. Niczego nie zauważył. A jednak Ziegler ostatnio coś na tej mapie sprawdzała. Na pewno przed wyjściem. To jest gdzieś tutaj, tylko że ty tego nie widzisz, pomyślał. Ale co? I nagle go olśniło: kryjówka Chaperona!

Oczywiście, że gdzieś tu jest, gdzieś na tej mapie...

W pewnym momencie droga zrobiła się kręta. Jako że zakręty następowały po długim prostym odcinku, Espérandieu musiał znacznie zwolnić. Szosa wiła się pośród brzemienych śniegiem jodeł i brzoź, prowadząc przez okolicę usianą niewysokimi, białymi pagórkami, między którymi płynął strumień. W dzień pejzaż wyglądał jak z widokówki, a nocą, w świetle samochodowych reflektorów – niemal bajkowo.

Espérandieu zobaczył, że Ziegler zwalnia i hamuje, a następnie bardzo ostrożnie przechyla potężną maszynę, by wejść w zakręt, po czym znika za wysokimi jodłami. Zdjął nogę z gazu. Wziął zakręt z taką samą ostrożnością i z umiarkowaną prędkością okrążył pierwszy pagórek. Prawie na najniższych obrotach dojechał do miejsca, w którym płynął strumień. Ale to nie wystarczyło...

W pierwszej chwili nie był w stanie powiedzieć, co widzi. Jakiś czarny cień...

Kształt wyłonił się po drugiej stronie drogi i wpadł w światło reflektorów. Espérandieu instynktownie wcisnął hamulec. Za słaby refleks. Samochód rzuciło w poprzek, wprost na zwierzę. Uderzenie było gwałtowne. Przyklejony do kierownicy, zdołał wyprowadzić auto z poślizgu, ale było już za późno. Zatrzymał się, włączył światła awaryjne, wyjął ze schowka latarkę i wyskoczył na zewnątrz. Pies! Potrącił psa! Zwierzę leżało w śniegu na samym środku szosy. W strumieniu światła latarki patrzyło na Vincenta błagalnym wzrokiem. Zbyt szybki oddech unosił jego bok i wydobywał się z pyska białą parą. Jedna łapa konwulsyjnie drgała.

Nie ruszaj się, stary! Zaraz wracam! – pomyślał Espérandieu prawie na głos.

Sięgnął do kieszeni skafandra. Telefon! Nie ma go! Espérandieu spojrzął zrozpaczony w kierunku drogi. Motocykl dawno zniknął. Cholera, cholera i jeszcze raz cholera! Rzucił się do samochodu, zanurkował do środka i zapalił górne światło. Przesunął dłonią po siedzeniach. Nic! Ani śladu pieprzonego telefonu! Ani na fotelach, ani na podłodze. Gdzie się, do kurwy nędzy,

podział ten pierdolony telefon?

Servaz na próżno badał każdy szczegół mapy, nie było na niej żadnego punktu, żadnego symbolu, który pozwalałby myśleć, że Ziegler oznaczyła w ten sposób miejsce kryjówki Chaperona. Ale może wcale nie musiała tego robić. Może wystarczył jej rzut okiem, by potwierdzić coś, o czym wiedziała już wcześniej. Servaz miał przed oczami Saint-Martin, stację narciarską, doliny i szczyty otaczające miasto, drogę, którą przyjechał, i drogę prowadzącą do elektrowni, ośrodek kolonijny, Instytut i wszystkie okoliczne wioski.

Rozejrzał się wokół siebie. Jego uwagę przyciągnęła pewna kartka. Leżała na biurku pośród innych papierów.

Wyciągnął ją i pochylił się. Akt własności... Jego puls podskoczył. Akt wystawiony na nazwisko Rolanda Chaperona, zamieszkałego w Saint-Martin-de-Comminges. I adres: droga 12, sektor 4, dolina d'Aure, gmina La Hourcade. Servaz zaklął. Nie ma czasu, by iść do katastru czy biura nieruchomości. A potem zauważył, że Ziegler czerwonym mazakiem u dołu kartki zapisała jakąś literę i cyfrę. D4. Zrozumiał. Spoconymi dłońmi przysunął kartkę bliżej. Jego palec gorączkowo ślizgał się po mapie.

Espérandieu odwrócił się i zauważył leżący na szosie telefon. Skoczył w jego stronę. Urządzenie było w dwóch kawałkach, plastikowa obudowa była roztrzaskana. Cholera! Mimo wszystko spróbował połączyć się z Servazem. Nic z tego. Natychmiast ogarnął go lęk. Martin! Pies zaskomlał rozdzierająco. Espérandieu spojrzał na niego. To niemożliwe! Co to za kurewski koszmar?

Otworzył na oścież tylne drzwi samochodu, wrócił do zwierzaka i wziął go na ręce. Był ciężki. Pies zawarczał wrogo, ale nie stawiał oporu. Espérandieu położył go na tylnym siedzeniu, zatrzaskał drzwi i wrócił za kierownicę. Rzucił okiem na zegarek. 2.20. Ziegler nie będzie zwlekała z powrotem do domu. Martin, spieprzaj! SPIEPRZAJ! SPIEPRZAJ! Na miłość boską! Błyskawicznie ruszył, przejechał w poprzek, w ostatniej chwili wyrównał koła i pomknął białą drogą, wiele razy wpadając w poślizg na zakrętach, wczepiony w kierownicę jak kierowca rajdowy. Jego serce biło z częstotliwością stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę.

Krzyżyk... Małeńki krzyżyk narysowany na czerwono, który początkowo umykał jego uwagi. Na samym środku kwadratu D4. Servaza ogarnęła radość. W tym miejscu na mapie znajdował się niewielki czarny kwadracik w wyludnionej okolicy, pośród lasów i gór. Szalas, chatka? Nieważne. Już wie, dokąd pojechała Ziegler po wyjściu z dyskoteki.

Nagle zerknął na zegarek. 2.20. Coś tu nie gra... Espérandieu już dawno powinien był do niego zadzwonić. Ziegler wyszła z dyskoteki szesnaście minut temu! To znacznie więcej czasu, niż potrzebowała... Zimny pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa. Musi stąd iść. Natychmiast! Rzucił paniczne spojrzenie w kierunku drzwi, odłożył mapę tam, gdzie ją znalazł, zgasił lampkę na biurku, po czym wyłączył światło w pokoju i przeszedł do salonu. Warkot silnika na zewnątrz... Servaz rzucił się do okna dokładnie w chwili, gdy motocykl wyjechał zza narożnika budynku. Zalała go fala zimna. Już jest!

Dopał wyłącznika i zgasił światło w salonie.

Następnie ruszył do przedpokoju, wyszedł z mieszkania i cicho zamknął za sobą drzwi. Ręka tak mu się trzęsła, że o mało nie upuścił wytrycha. Przekręcił zamek od zewnątrz i wybiegł na schody, ale po kilku stopniach się zatrzymał. Co dalej? Ta droga jest spalona. Jeśli nią pójdzie, znajdzie się oko w oko z Ziegler. Wzdrygnął się, słysząc dwa piętra niżej skrzypienie drzwi klatki schodowej. Jest w pułapce! Najciszej jak potrafił, wrócił na górę, pokonując po dwa stopnie. Znalazł się w punkcie wyjścia: korytarz drugiego piętra. Żadnego wyjścia, żadnej kryjówki. Ziegler mieszkała na ostatnim piętrze.

Jego serce tłukło się w piersi, jakby chciało w niej wyżłobić tunel. Próbował się zastanowić. Irène za chwilę się tu pojawi i go zobaczy. Jak zareaguje? Podobno jest chory i miał leżeć w łóżku, a jest prawie wpół do trzeciej nad ranem. Myśl! Ale nie był w stanie. Nie miał wyboru. Znowu wyjął z kieszeni wytrych, wsunął go do zamka, otworzył drzwi i zamknął za sobą. Przekręć klucz! Popędził do salonu. To przeklęte mieszkanie jest zbyt puste, zbyt spartańskie. Nie ma się gdzie schować! Przez chwilę zamierzał zapalić światło, usiąść na sofie i przywitać Ziegler z wyluzowaną miną, jakby nigdy nic. Powie jej, że wszedł, używając wytrycha. Że ma jej coś ważnego do powiedzenia. Nie! To głupota! Jest spocony, ledwie dyszy. Irène od razu wyczyta wszystko z jego oczu. Powinien był poczekać w korytarzu. Co za idiota! Ale już za późno! Czy byłaby zdolna go zabić?

Gdy pomyślał, że już raz próbowała, przeszedł go lodowaty dreszcz. W ośrodku... Tego samego dnia... Ta myśl go otrzeźwiła. Schowaj się! Wielkimi krokami poszedł do pokoju. Wślizgnął się pod łóżko w chwili, gdy ona wkładała klucz do zamka.

Zdażył jeszcze zobaczyć przez otwarte drzwi parę butów wchodzących do przedpokoju. Leżąc tak, z podbródkiem opartym o podłogę i potem ciekącym po twarzy, nagle poczuł, jakby śnił koszmar. Wydawało mu się, że to, co przeżywa, nie jest całkiem rzeczywiste, że coś takiego nie może się zdarzyć.

Ziegler głośno rzuciła kluczyki na szafkę przy drzwiach. W każdym razie usłyszał brzęk kluczy, bo przecież nie mógł tego widzieć. Przez chwilę absolutnej trwogi sądził, że wejdzie prosto do pokoju.

Zobaczył jednak, że jej buty znikają w salonie. Jednocześnie słyszał skrzypienie skórzanego kombinezonu. Zamierzał wytrzeć wierzchem dłoni pot spływający po twarzy, gdy nagle zamarł: Telefon! Zapomniał go wyłączyć!

Pies skomlał na tylnym siedzeniu. Ale przynajmniej się nie ruszał. Espérandieu wszedł w ostatni zakręt tak samo jak we wszystkie poprzednie: na ostatecznej granicy utraty kontroli. Tył samochodu wyglądał, jakby chciał wyskoczyć z trasy, ale Vincent docisnął sprzęgło, skontrolował, dodał gazu i w ten sposób zdołał go utrzymać.

Budynek, w którym mieszka Ziegler.

Zaparkował przed nim, chwycił broń i wyskoczył na zewnątrz. Gdy spojrzął w górę, zauważył, że w salonie pali się światło. Motocykl był na miejscu. Ona także. Ale ani śladu po Martinie. Wyteżył słuch, ale do jego uszu nie dochodził żaden dźwięk poza świstem wiatru.

Kurwa, Martin, pokaż się!

Espérandieu rozpaczliwie lustrował okolice budynku, gdy pewna myśl zaświtała mu w głowie. Wrócił za kierownicę i uruchomił silnik. Pies cicho zaprotestował.

– Wiem, stary. Nie bój się, nie zostawię cię.

Wjechał krótkim, ale stromym podjazdem prowadzącym do parkingu i tablicy orientacyjnej, chwycił lornetkę i wsunął się w przestrzeń między krzewami żywopłotu. Akurat zdążył zobaczyć, jak Ziegler wychodzi z kuchni z butelką mleka w ręku. Rzuciła motocyklową kurtkę na sofę. Zobaczył, jak wypija łyk mleka, po czym rozpina pasek skórzanych spodni i zdejmuje botki. Następnie wyszła z salonu. W mniejszym, matowym oknie po lewej rozbłysło światło. Łazienka. Bierze prysznic. Dokąd poszedł Martin? Czy miał czas się wynieść? Ale jeśli tak, to gdzie się, psiakrew, schował? Espérandieu przełknął ślinę. Między oknem łazienki i przeszkloną ścianą salonu było jeszcze jedno okno. Ponieważ rolety były podniesione, a drzwi do pomieszczenia otwarte, w świetle dochodzącym z przedpokoju dostrzegł pokój i stojące w nim łóżko. Nagle spod łóżka wyłoniła się jakaś postać. Podniosła się, zawahała przez moment, a następnie wyszła z pomieszczenia i na czubkach palców skierowała się w stronę wyjścia. Martin! Espérandieu miał ochotę krzyknąć z radości, ale zamiast tego opuścił lornetkę i wpatrywał się w zewnętrzne drzwi budynku, aż wreszcie pojawił się w nich Servaz. Uśmiech rozjaśnił twarz asystenta. Komendant rozejrzał się w prawo i w lewo, szukając go wzrokiem. Vincent włożył dwa palce do ust i zagwizdał.

Servaz podniósł głowę i zobaczył go. Wyciągnął palec ku górze i Espérandieu zrozumiał. Popatrzył przez lornetkę na okna mieszkania. Ziegler ciągle była pod prysznicem. Skinął na Servaza, by podszedł na róg budynku, a sam wsiadł do samochodu. Po minucie jego szef otwierał drzwi od strony pasażera.

– Cholera, gdzie byłeś? – zapytał, a z jego ust uniosła się chmura pary. – Dlaczego nie... – Na widok psa leżącego na tylnym siedzeniu przerwał. – A to co?

– Pies.

– Widzę. Co on tu robi?

Espérandieu w kilku słowach streścił wypadek. Servaz usiadł na fotelu pasażera i zatrzasnął drzwi.

– Zostawiłeś mnie z powodu... psa?

Espérandieu zrobił przeproszającą minę.

– Pod tym względem jestem trochę jak Brigitte Bardot. A poza tym mój telefon i tak był w kawałkach. Ale mi napędziłeś stracha! Tym razem naprawdę nieźle się wpieprzyliśmy.

Servaz pokiwał głową w ciemnym wnętrzu samochodu.

– To wszystko moja wina. Miałeś rację: to nie był najlepszy pomysł.

To była jedna z rzeczy, za które Espérandieu cenił Martina. W przeciwieństwie do wielu innych szefów potrafił się przyznać do błędów i wziąć za nie odpowiedzialność.

– Mimo wszystko coś znalazłem – dodał.

Opowiedział mu o mapie. I o akcie własności. Wyjął kawałek papieru, na którym zdążył zanotować namiary. Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu.

– Trzeba wezwać Samirę i innych. Potrzebujemy posiłków.

– Jesteś pewien, że nie zostawiłeś śladów?

– Nie sądzę. Tylko litr potu pod łóżkiem.

– Dobrze, zgoda – powiedział Espérandieu. – Ale mamy pilniejszą sprawę.

– Aha, a co takiego?

– Psa. Trzeba znaleźć weterynarza. Natychmiast.

Servaz spojrział na Vincenta, zastanawiając się, czy ten nie stroi sobie żartów. Ale jego

asystent robił wrażenie całkiem poważnego. Popatrzył na zwierzę. Wyglądało na bardzo chore i wyczerpane. Pies z wysiłkiem podniósł łeb i obserwował ich smutnymi, zrezygnowanymi i łagodnymi oczami.

– Ziegler bierze prysznic – powiedział asystent – nie wyjdzie już dziś w nocy. Wie, że ma cały jutrzejszy dzień, by dopaść Chaperona, bo ty masz zostać u siebie. Zrobi to w ciągu dnia.

Servaz się zawahał.

– Zgoda. Zadzwoń do żandarmerii i dowiem się, gdzie jest jakiś weterynarz. Tymczasem ty wyciągniesz Samirę z łóżka i powiesz jej, żeby stawiła się tutaj z dwójką ludzi.

Espérandieu spojrział na zegarek: 2.45. Podniósł słuchawkę zawieszoną na desce rozdzielczej. Rozmawiał z Samirą dobre dziesięć minut. Odłożył telefon i odwrócił się do szefa. Servaz spał z głową opartą o drzwi.

Łóżko polowe skrzypnęło, gdy Servaz usiadł, wyciągnął stopy spod kołdry i postawił je na zimnej posadzce. Niewielkie pomieszczenie bez mebli. Ziewając, włączył nocną lampkę stojącą na podłodze i przypomniał sobie, że śniła mu się Charlène Espérandieu: obydwójce byli nadzy, leżeli na podłodze szpitalnego korytarza i... *kochali się!* Lekarze i pielęgniarki przechodzili obok nich, ale ich nie widzieli. Na podłodze szpitala? Spojrzał w dół na swój poranny wzwód. Parsknął śmiechem, uświadomiwszy sobie całkowitą nieadekwatność sytuacji, i podniósł zegarek, który leżał pod łóżkiem. Szósta... Wstał, przeciągnął się i sięgnął po czyste ubrania, które przygotowano dla niego na krześle. Koszula była zbyt obszerna, ale spodnie miały dobrą długość. Wziął bieliznę, ręcznik i żel pod prysznic zostawione do jego użytku. Zanim wyszedł do łazienki znajdującej się w głębi korytarza, zaczekał, aż odzyska całą swoją godność, choć o tej porze miał niewielkie szanse kogoś spotkać. Przydzielili Ziegler stałą obserwację, wołał więc spać w siedzibie żandarmerii niż w hotelu, by nadzorować działania w rzeczywistym czasie.

Kabiny prysznicowe były puste. Panował tu nieprzyjemny przeciąg niweczący wysiłki mizernego kaloryfera. Servaz wiedział, że żandarmi śpią w innym skrzydle, w którym mają osobne mieszkania, i że to pomieszczenie nie jest zbyt często używane. Zaklął jednak, gdy po odkręceniu kurka z ciepłą wodą na jego czaszkę popłynął ledwie letni strumień.

Każdy ruch, który wykonywał, żeby się namydlić, wywoływał na jego twarzy grymas bólu. Zaczął się zastanawiać. Nie miał już wątpliwości co do winy Irène Ziegler, pozostało jednak jeszcze parę ciemnych miejsc, kilkoro drzwi do otwarcia w długim korytarzu prowadzącym do prawdy. Podobnie jak inne kobiety z tej okolicy, Ziegler została zgwałcona przez czwórkę mężczyzn. Książki, które znalazł w jej mieszkaniu, dowodzą, że trauma nie została wyleczona. Grimm i Perrault ponieśli śmierć za popełnione gwałty. Ale dlaczego ich powieszono? Ze względu na samobójców? Czy chodzi o coś jeszcze? Jeden szczegół nie dawał mu spokoju: Chaperon uciekł w popłochu i zostawił swój dom, jakby się paliło. Czy wie, kto jest mordercą?

Próbował dodać sobie otuchy: Ziegler jest pod obserwacją, wiedzą, gdzie się ukrywa Chaperon, mają więc w ręku wszystkie karty.

A jednak – może z powodu lodowatego przeciągu albo coraz zimniejszej wody bądź też wskutek wspomnienia foliowej torby na głowie – Servazem wstrząsały tego ranka zimne dreszcze. Uczuciem, którego doświadczał w tej pustej łazience, był strach.

Siedział z kubkiem kawy przy stole w pustej sali zebrania, gdy zaczęli się schodzić jedno za drugim: Maillard, Confiant, Cathy d’Humières, Espérandieu i dwóch innych członków brygady, Pujol i Simeoni, ci sami mięśniacy, którzy uwzięli się na Vincenta. Usiedli i przed rozpoczęciem zebrania przeglądali notatki. Salę wypełnił szelest przewracanych kartek. Servaz obserwował ich

twarze: blade, zmęczone, rozdrażnione. Napięcie było niemal namacalne. Zapisał parę słów w swoim notatniku, czekając, aż wszyscy będą gotowi, a następnie wstał i zaczął mówić.

Nakreślił stan rzeczy. Kiedy opowiadał o tym, co mu się przydarzyło w ośrodku kolonijnym, panowała absolutna cisza. Pujol i Simeoni mierzyli go wzrokiem. Wyglądali, jakby obydwaj byli przekonani, że im nigdy nie mogłoby się przytrafić coś podobnego. Co mogło być prawdą. Choć byli wcieleniem najgorszych cech, jakie może posiadać glina, mimo wszystko byli doświadczonymi policjantami, na których można liczyć w trudnych sytuacjach.

Następnie wspomniał o podejrzeniach dotyczących Irène Ziegler. Tym razem Maillard zbladł i zacisnął zęby. Atmosfera zrobiła się ciężka. Funkcjonariuszka żandarmerii podejrzewana o morderstwo przez policjantów – zgrzyty wszelkiej maści gwarantowane.

– Paskudna sprawa – skomentowała ponuro d’Humières. Rzadko widywał ją bladą. Zmęczenie pogłębiło rysy jej twarzy, tak że pani prokurator wyglądała, jakby była chora. Rzucił okiem na zegarek. Ósma. Ziegler zaraz wstanie. Jakby na potwierdzenie tej myśli zadzwonił telefon.

– Już. Wstaje! – oświadczyła Samira Cheung po drugiej stronie słuchawki.

– Pujol – powiedział natychmiast Servaz – dołączysz do Samiry. Ziegler właśnie się obudziła. I weźcie trzeci samochód jako wsparcie. Jest w domu, nie może was zauważyć. Simeoni, pojedziesz trzecim wozem. W każdym razie wiemy, dokąd się wybiera. Lepiej, żebyście ją zgubili, niż miałyby się zorientować, że jedziecie za nią.

Pujol i Simeoni bez słowa opuścili salę. Servaz wstał i podszedł do ściany, na której wisiała duża mapa okolicy. Przez kilka chwil spoglądał to w notatki, to na mapę, aż wreszcie wskazał palcem dokładny punkt. Nie odsuwając palca, odwrócił się i przesunął wzrokiem po siedzących wokół stołu.

– Tutaj.

Warkocz dymu unosił się nad chatką, na której dachu znajdował się komin. Servaz rozejrzał się dookoła. Na zalesionych zboczach kładły się kłęby szarych chmur. Powietrze pachniało wilgocią, mgłą, gnijącą ściółką i dymem. U ich stóp, pomiędzy drzewami, stała chatka zbudowana w zagłębieniu niewielkiego wąwozu zaszypanego śniegiem, na środku otoczonej lasem polanki. Do domku prowadziła tylko jedna ścieżka. Trzej żandarmi i jeden łowczy, niewidoczni, strzegli do niej dostępu. Servaz odwrócił się do Espérandieu i Maillarda, a oni w odpowiedzi skinęli głowami. W towarzystwie dziesięciu ludzi zaczęli schodzić do wąwozu.

Nagle stanęli. Z chatki wyszedł mężczyzna. Przeciągnął się w blasku nowego dnia, odetchnął świeżym powietrzem, splunął na ziemię i z miejsca, w którym stali, usłyszeli pierdnięcie donośne jak dźwięk pasterskiego rogu. Jak na ironię, z lasu odpowiedział ptak, którego krzyk zabrzmiał jak drwiący chichot. Mężczyzna ostatni raz rozejrzał się dookoła i zniknął w środku.

Pomimo początków brody Servaz od razu go rozpoznał.

Chaperon.

Zeszli na polanę za chatką. Panowała tu wilgoć jak w łaźni tureckiej. Oczywiście nie było aż tak gorąco. Servaz spojrzął na pozostałych. Wymienili kilka znaków i rozdzielili się na dwie grupy. Wolno posuwali się naprzód, brnąc w śniegu po kolana, pochyleni przemknęli pod oknami i dotarli do frontowych drzwi. Servaz stanął na czele pierwszej grupy. Gdy wychodził zza przedniego węgła chatki, drzwi nagle się otworzyły. Servaz cofnął się i z pistoletem w dłoni

przywarł do ściany. Zobaczył, jak Chaperon robi trzy kroki, wyjmując fujarę i z lubością oddaje moc na śnieg, podśpiewując pod nosem.

– Skończ łać i ręce do góry, Pavarotti – odezwał się Servaz za jego plecami.

Mer zaklął: właśnie obsikał sobie buty.

Diane miała za sobą potworną noc. Cztery razy budziła się zrana potem z poczuciem ucisku, jakby jej klatkę piersiową opinał jakiś gorset. Nawet pościel była mokra. Zastanawiała się, czy czegoś nie złapała.

Przypomniała sobie, że miała koszmary sen, w którym włożono ją w kaftan i przywiązano do łóżka w jednej z cel Instytutu. Otaczał ją tłum pacjentów, którzy patrzyli na nią i dotykali jej twarzy rękami spoconymi z powodu zażywanych lekarstw. Potrząsała głową i krzyczała, aż drzwi do celi się otworzyły i wkroczył Julian Hirtmann z lubieżnym uśmiechem na ustach. Chwilę później Diane znajdowała się już nie w celi, ale na bardziej obszernej przestrzeni gdzieś na zewnątrz. Panował mrok, było jezioro, płonęły pożary, tysiące wielkich robali z ptasimi głowami pełzało po czarnej ziemi, nagie ciała mężczyzn i kobiet spółkowały setkami w czerwonym blasku płomieni. Był wśród nich Hirtmann i Diane zrozumiała, że to on zorganizował tę gigantyczną orgię. Wpadła w panikę, gdy sobie uświadomiła, że ona także jest naga i choć nie ma już kaftana, nadal jest przywiązana do łóżka. Wrywała się tak długo, aż się obudziła.

Po tym wszystkim spędziła dłuższą chwilę pod prysznicem, usiłując zmyć z siebie obrzydliwe uczucie, jakie zostawił sen.

Zastanawiała się, jak się teraz zachować. Ilekroć miała zamiar porozmawiać z Xavierem, przypominały jej się weterynaryjne środki znieczulające i czuła się nieswojo. A jeśli rzuci się w paszczę lwa? Diane nie miała jednoznacznego obrazu sytuacji. To, co widziała, przypominało trójwymiarowe zdjęcie, na którym fotografowany obiekt zmienia wygląd w zależności od tego, w jaki sposób trzyma się fotografię. Jaka w tym wszystkim jest rola psychiatry?

W świetle danych, które posiadała, wyglądało na to, że Xavier jest w takim samym położeniu jak ona: dowiedział się od policji, że ktoś z Instytutu jest zamieszany w morderstwa, i próbuje odkryć, kto to taki. Z tym że znacznie ją wyprzedza, dysponując informacjami, których ona nie posiada. Z drugiej strony – zaledwie na kilka dni przed śmiercią konia otrzymał środki znieczulające stosowane w weterynarii. Diane wciąż wracała do tego samego punktu. Miała dwie całkowicie przeciwstawne hipotezy, a każdą z nich potwierdzały fakty. Czy to możliwe, żeby Xavier dostarczył komuś te środki, nie wiedząc, co się wydarzy? Jeśli tak, nazwisko tej osoby powinno się pojawić w jego śledztwie. Diane nic z tego nie rozumiała.

Kim są Irène Ziegler i Gaspard Ferrand? Z całą pewnością to osoby związane z ośrodkiem Les Isards. Podobnie jak Lisa Ferney... Musi zacząć od niej. Jedyne konkretne trop, jakim dysponuje, to szefowa pielęgniarek.

Servaz wszedł do chatki. Bardzo niski, spadzisty dach. Czubkiem głowy policjant dotykał sufitu. W głębi niepościelona leżanka z białym prześcieradłem, kasztanową kołdrą i zaplamioną poduszką. Duża koza z czarną rurą kominową znikającą w dachu, obok ułożone w stos polana. Umywalka i niewielki blat kuchenny przy jednym z okien. I palnik gazowy, na pewno podłączony do butli. Na stole otwarta broszura z krzyżówkami, a obok niej butelka piwa

i popielniczka pełna niedopałków. Nad stołem lampa turystyczna. W powietrzu unosił się zapach drzewnego dymu, tytoniu, piwa, a przede wszystkim ciepka woń potu. Nie było prysznic. Servaz zastanawiał się, jak Chaperon radzi sobie z myciem.

Oto, co zostało z tych kanalii: dwa trupy i jeden biedak, który chowa się jak śmierdzący szczur.

Pootwierał szafki, wsunął rękę pod materac, przejrzał kieszenie kurtki wiszącej na drzwiach. Były tam klucze, portmonetka i portfel. Otworzył go: dowód osobisty, książeczka czekowa, karta ubezpieczenia zdrowotnego, karty Visa i American Express... W portmonetce znalazł osiemset euro w nominałach po dwadzieścia i pięćdziesiąt. Następnie otworzył szufladę. Były w niej broń i naboje.

Wyszedł.

W ciągu dziesięciu minut wszystkie posiłki były na miejscu. Dziesięciu ludzi w lesie otaczało chatkę. Sześciu innych na brzegach wąwozu i powyżej ścieżki czekało, by namierzyć nadciągającą Ziegler. Ubrani w kevlarowe kamizelki kuloodporne przypominali ludziki z klocków Playmobil. W chatce siedzieli Servaz i Espérandieu w towarzystwie Chaperona.

– Pieprzcie się – rzucił mer. – Jeśli nic na mnie nie macie, to idę. Nie możecie mnie przetrzymywać wbrew mojej woli.

– Jak pan uważa – odpowiedział Servaz. – Jeśli chce pan skończyć jak pana koledzy, droga wolna. Ale konfiskujemy broń. I w momencie, gdy oddali się pan stąd na krok, będzie pan bez ochrony. Szpieczy w takiej sytuacji mówią, że są „spaleni”.

Chaperon rzucił mu nienawistne spojrzenie, rozważył wszystkie za i przeciw i wzruszywszy ramionami, opadł na łóżko.

O 9.54 do Servaza zadzwoniła Samira, by oznajmić, że Ziegler wychodzi z mieszkania. Nie śpieszy się, pomyślał. Wie, że ma przed sobą cały dzień. Pewnie się przygotowowała. Wziął krótkofalówkę i poinformował wszystkie jednostki, że cel jest w ruchu. Następnie zrobił sobie kawę.

O 10.32 Servaz pił już trzecią tego ranka kawę i – pomimo protestów Espérandieu – palił piątego papierosa. Chaperon siedział w milczeniu przy stole i układał pasjansa.

O 10.43 Samira zatelefonowała po raz kolejny i powiedziała, że Ziegler zatrzymała się na kawę, a oprócz kawy kupiła papierosy, znaczki i kwiaty.

– Kwiaty? W kwaciarni?

– Tak. Przecież nie w piekarni.

Zauważyła ich...

O 10.52 otrzymał wiadomość, że Ziegler wreszcie jedzie w kierunku Saint-Martin. Aby dotrzeć do wąwozu, w którym stała chatka, trzeba było jechać drogą łączącą Saint-Martin i miasteczko,

w którym mieszkała Ziegler, a następnie skręcić w podrzędną drogę prowadzącą prosto na południe, przez krajobraz usiany jarami o urwistych zboczach i głębokimi lasami, i wreszcie zjechać na leśny trakt, od którego odchodziła ścieżka prowadząca do wąwozu.

– Co ona wyprawia? – zapytał Espérandieu, gdy minęła jedenasta. Od ponad godziny zamienili ze sobą nie więcej niż trzy zdania, jeśli nie liczyć szybkich rozmów telefonicznych między Samirą i Servazem.

Dobre pytanie, pomyślał Servaz.

O 11.09 Samira zadzwoniła, by oznajmić, że Ziegler minęła drogę prowadzącą do wąwozu, nawet nie zwalniając, i pojechała dalej w kierunku Saint-Martin. Nie jedzie tu... Servaz zaklął i wyszedł na zewnątrz, by odetchnąć świeżym powietrzem. Maillard wyłonił się spodzieży drzew i podszedł do niego.

– Co robimy?

– Czekamy.

– Jest na cmentarzu – odezwała się Samira po drugiej stronie słuchawki o godzinie 11.45.

– Co? Co ona robi na cmentarzu? Próbuje was wykiwać. Zauważyła was!

– Niekoniecznie. Zrobiła coś dziwnego.

– Jak to?

– Weszła do jednego grobowca i spędziła tam dobre pięć minut. Po to jej były kwiaty. Wyszła bez nich.

– To jest rodzinny grobowiec?

– Tak, ale nie jej. Poszłam sprawdzić. To grobowiec Lombardów.

Servaza zamurowało. Nie wiedział, że Lombardowie mają groby w Saint-Martin. Nagle poczuł, że sytuacja wymyka mu się z rąk. Jest jakieś martwe pole, którego nie widzi... Całe śledztwo zaczęło się od konia Érica Lombarda, potem tymczasowo odsunięto tę sprawę na bok, by skupić się na trio Grimm-Perrault-Chaperon i samobójcach. I oto karta Lombarda nagle znowu wraca do gry. Co to znaczy? Co robiła Irène Ziegler w tym grobowcu? Nic z tego nie rozumiał.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Jeszcze na cmentarzu. Zobaczyła mnie, więc Pujol i Simeoni ją przejęli.

– Jadę tam.

Wyszedł z chatki, ruszył ścieżką w kierunku leśnej drogi, a następnie zanurzył się w zaroślach po prawej. Odsunął ciężkie od śniegu gałęzie, które maskowały jeepa, i usiadł za kierownicą.

Było dwanaście minut po południu, kiedy Servaz zaparkował przed cmentarzem. Samira Cheung czekała na niego przy wejściu. Pomimo zimna miała na sobie zwykłą skórzaną kurtkę, ultrakrótkie szorty na ciemnych rajstopach i zużyte glany z ciemnobrązowej skóry. Muzyka w jej słuchawkach grała tak głośno, że Servaz usłyszał ją, gdy tylko wysiadł z jeepa. Jej

zacerwieniona twarz wystająca spod czapki przypominała mu dziwne stworzenie z filmu pełnego elfów, czarodziejów i magicznych pierścieni, na który zaciągnęła go Margot. Zmarszczył brwi na widok trupiej czaszki na bluzie Samiry. Nawet pasuje do sytuacji, pomyślał. Wyglądała bardziej jak wandalka profanująca groby niż jak policjantka.

Idąc wśród jodeł i nagrobków, weszli na niewielki pagórek i zbliżyli się do rzędu iglastych drzew otaczających środek cmentarza. Starsza kobieta rzuciła im srogie spojrzenie. Grobowiec Lombardów wyróżniał się wśród pozostałych. Pod względem rozmiarów było to niemal mauzoleum czy kaplica. Okalały go dwa ładnie przycięte cisy. Trzy kamienne stopnie prowadziły do wejścia zagrodzonego pięknie wykutą kratą. Samira wyrzuciła papierosa, weszła za pomnik i przez chwilę gdzieś szperała, po czym wróciła z kluczem w dłoni.

– Widziałam, że Ziegler tak zrobiła. Był schowany pod ruchomym kamieniem – wyjaśniła.

– Nie zauważyła cię? – zapytał Servaz sceptycznie, patrząc na strój swojej podwładnej.

Francuzko-Chinko-Marokanka spochmurniała.

– Znam się na mojej robocie. Widziała mnie, kiedy poprawiałam bukiet na jednym z grobów, gość nazywał się Lemeurt*. Zabawne, co?

Servaz podniósł głowę, ale na trójkątnym frontonie nad drzwiami nie było żadnego napisu. Samira włożyła klucz i pociągnęła kratę, która otwarła się ze zgrzytem. Wszedł za nią do mrocznego wnętrza grobowca. Przez otwór po prawej stronie wpadała odrobina dziennego światła, zbyt słabego, by mogli zobaczyć coś więcej poza niewyraźnymi kształtami trzech nagrobków. Po raz kolejny Servaz zadawał sobie pytanie, czemu ma służyć cała ta masywność, smutek, mroczność – jakby sama śmierć to było za mało. Istnieją jednak kraje, w których śmierć jest czymś niemal lekkim, wesołym, gdzie jest ona okazją do świętowania, ucztowania i radości. Nie to co te smutne i ponure kościoły, te msze żałobne, lakrimozy, kadsze i cała masa modlitw przedstawiających ten świat jako padół łez. Tak jakby nowotwory, wypadki drogowe, serca, które przestają bić, samobójstwa i morderstwa nie wystarczały, pomyślał. Zauważył samotny bukiet leżący na jednym z nagrobków, odcinający się od panującego półmroku jasną plamą. Samira wyjęła iPhone'a i włączyła aplikację „latarka”. Z białego wyświetlacza popłynęło słabe światło. Przesunęła jasną wiązkę nad trzema tablicami: *ÉDOUARD LOMBARD, HENRI LOMBARD...* Dziadek i ojciec... Servaz pomyślał, że ostatni nagrobek powinien należeć do matki Érica, żony Henriego – przegranej eksaktorki, byłej *call-girl*, a według Henriego Lombarda – dziwki. Dlaczego, u diabła, Irène przystroila ten grób?

Pochylił się, by odczytać inskrypcję. Zmarszczył brwi. Pomyślał, że jeszcze bardziej zbliżył się do prawdy, a jednocześnie wszystko po raz kolejny się komplikuje. Spojrzał na Samirę, a potem znowu skierował wzrok na napis widoczny w blasku wyświetlacza:

MAUD LOMBARD, 1976–1998.

– Kto to jest?

– Siostra Érica Lombarda, która urodziła się cztery lata po nim. Nie wiedziałem, że nie żyje.

– Czy to ważne?

– Może.

– Dlaczego twoim zdaniem Ziegler złożyła kwiaty na tym grobie? Masz jakiś pomysł?

– Nie mam pojęcia.

– Opowiadała ci o tym? Mówiła ci, że ją znała?

– Nie.

– Jaki to ma związek z morderstwami?

– Nie wiem.

– W każdym razie masz już przynajmniej jedno powiązanie – powiedziała Samira.

– Jak to?

– Między Lombardem a resztą sprawy.

– Jakże? – zapytał ogłupiały.

– Ziegler nie przysłała na ten grób przez przypadek. Jest jakiś związek. Ty nie wiesz, ale ona wie jaki. Wystarczy ją o to spytać podczas przesłuchania.

Tak, pomyślał. Irène Ziegler wie na temat całej tej sprawy znacznie więcej niż ja. Wyliczył, że Maud Lombard była mniej więcej jej rówieśnicą. Czy były przyjaciółkami? Najpierw pobyt w ośrodku kolonijnym, a teraz kolejny odcinek jej osobistej historii okazuje się mieć związek ze śledztwem. Z całą pewnością Irène Ziegler ma niejednego sekret.

Po małżonce Henriego Lombarda, matce Érica, nie było jednak śladu. Nie otrzymała zgody na uczestnictwo w smutnej wieczności tej rodziny – została odrzucona nawet w śmierci. Wracając w kierunku bramy cmentarza, Servaz myślał o tym, że Maud umarła w wieku dwudziestu jeden lat. Nagle poczuł, że właśnie dotyka sedna sprawy. Dlaczego umarła? Zginęła w wypadku? Zachorowała? A może z innego powodu?

Samira ma rację, Ziegler zna rozwiązanie. Może się przyzna, gdy znajdzie się pod kluczem. Jednak Servaz w to wątpił. Niejednym raz miał okazję stwierdzić, że pani kapitan ma silną osobowość.

A tymczasem, gdzie ona się podziewa?

Poczuł, że ogarnia go nagły niepokój. Spojrzał na zegarek. Od dłuższego czasu nie miał żadnych informacji. Już miał dzwonić do Pujola, gdy odezwał się jego telefon.

– Zgubiliśmy ją! – wrzasnął Simeoni w słuchawkę.

– Co?

– Ta lesba, dziwka jedna chyba nas namierzyła! Na tej swojej pieprzonej maszynie bez problemu nam związała!

Cholera! Servaz poczuł, jak do jego żył wsącza się adrenalina, a w żołądku robi się dziura. Znalazł w spisie kontaktów telefonu numer Maillarda.

– Pujol i Simeoni zgubili cel! – zawołał. – Związała! Niech pan powiadomi porucznika Espérandieu i bądźcie gotowi!

– Okay. Nie ma problemu. Czekamy na nią.

Servaz się rozłączył. Chciałby być taki spokojny.

Nagle pomyślał o czym innym. Wyjął telefon i zadzwonił do Saint-Cyra.

– Halo?

– Maud Lombard, czy to ci coś mówi?

Nastąpiła chwila wahania.

– Oczywiście, że to mi coś mówi. Siostra Érica Lombarda.

– Umarła w wieku dwudziestu jeden lat. Trochę młodo, nie? Wiesz, jak to było?

– Samobójstwo – odpowiedział sędzia, tym razem bez chwili wahania.

Servaz wstrzymał oddech. Takiej odpowiedzi oczekiwał. Zarysowuje się pewien schemat. Coraz jaśniej.

Jego puls przyśpieszył.

– Co się stało?

Znowu wahanie.

– Tragiczna historia – powiedział głos po drugiej stronie słuchawki. – Maud była wrażliwą osobą, idealistką. W czasie studiów w Stanach zakochała się na zabój w jakimś facecie, tak. Kiedy ją zostawił dla innej, nie wytrzymała. To, plus śmierć ojca rok wcześniej... Wróciła tu, by odebrać sobie życie.

– I to wszystko?

– A czego się spodziewałeś?

– Te krzewy w parku Lombarda to na pamiątkę po niej?

Wahanie.

– Tak. Jak wiesz, Henri Lombard był okrutnym człowiekiem i tyranem, ale czasami miewał tego rodzaju przebłyski. Chwile, kiedy ojcowska miłość brała górę. Kazał wyciąć te zwierzęta, gdy Maud miała sześć lat, o ile dobrze pamiętam. I Éric Lombard je zachował. Na pamiątkę po niej, jak mówisz.

– Była kiedykolwiek w ośrodku Les Isards?

– Córnica Lombardów w Les Isards, żartujesz! Ośrodek był przeznaczony wyłącznie dla dzieci z ubogich rodzin, które nie miały pieniędzy na wakacje.

– Wiem o tym.

– W takim razie jak możesz brać pod uwagę, że powstała tam noga córki Lombarda?

– Jeszcze jedno samobójstwo. Nie kusiło cię, by wciągnąć ją na listę?

– Po pięciu latach? Seria już dawno się skończyła. A Maud była kobietą, nie nastolatką.

– Ostatnie pytanie: W jaki sposób się zabiła?

Saint-Cyr zrobił przerwę.

– Podcięła sobie żyły.

Servaz był rozczarowany. Nie powiesiła się.

O 12.30 Espérandieu otrzymał wiadomość przez krótkofalówkę. Jedzenie... Spojrzał na wyciągniętego na leżance Chaperona, wzruszył ramionami i wyszedł. Pozostali czekali na niego na skraju lasu. Jako że był gościem żandarmów, mógł wybrać paryskiego sandwicza bagietka-szynka-ementaler, nadziewany chlebek albo kanapkę orientálną kebab-pomidory-papryczki-sałata.

Orientálną, postanowił.

Wsiadając znowu do jeepa, Servaz poczuł, że z magmy pytań bez odpowiedzi wyłania się pewna myśl. Maud Lombard popełniła samobójstwo... Koń Lombarda był pierwszy na liście... A jeśli to wcale nie ośrodek jest jądrem śledztwa? Instynktownie czuł, że otwierałoby to nowe perspektywy. Istnieją jedne drzwi, które jeszcze nie zostały otwarte, a na tych drzwiach jest napisane „Lombard”. Z jakiego powodu Lombard znalazł się wśród celów zemsty? Uświadomił sobie, że nie potraktował tego pytania z należytą uwagą. Przypomniał sobie reakcję Vilmera,

kiedy w jego biurze zasugerował, że między przestępcami seksualnymi a Lombardem istnieje jakiś związek. W tamtym momencie to był zwykły żart, który miał na celu utarcie nosa aroganckiemu szefowi policji kryminalnej w Tuluzie. Ale za żartem kryło się prawdziwe pytanie. Wizyta Ziegler w grobowcu Lombardów sprawiła, że stawało się ono kluczowe: na czym dokładnie polega związek Lombarda z pozostałymi ofiarami?

– Jedzie.

– Przyjąłem.

Espérandieu wstał w jednej chwili. Puścił przycisk krótkofalówki spojrzął na zegarek. 13.46. Sięgnął po broń.

– Tu baza 1 do szefa, mam ją na widoku. Zsiadła z motoru i weszła na drogę. Idzie w waszym kierunku. Przekazuję do bazy 2.

– Tu baza 2. Okay, właśnie przeszła.

Jakiś czas potem:

– Tu baza 3, nie przeszła koło mnie. Powtarzam: cel tędy nie przechodził.

– Cholera, gdzie ona jest? – zapiszczał Espérandieu do krótkofalówki. – Ktoś z was ją widział? Odpowiedzcie!

– Tu baza 3, nie, ciągle jej nie ma.

– Tu baza 4, ja też jej nie widzę.

– Baza 5, nikogo na widoku.

– ZGUBILIŚMY JĄ, SZEFIGIE. POWTARZAM: ZGUBILIŚMY JĄ!

Kurwa, gdzie Martin? Espérandieu jeszcze trzymał guzik krótkofalówki, gdy drzwi chatki otworzyły się na oścież i uderzyły o ścianę. Odwrócił się, trzymając pistolet przed sobą... i znalazł się oko w oko z lufą służbowej broni. Czarny otwór był wycelowany prosto w niego. Espérandieu przełknął ślinę.

– Co pan tu robi? – rzuciła Ziegler.

– Aresztuję panią! – odpowiedział wyjątkowo niepewnym głosem.

– Irène! Niech pani opuści broń! – zawołał Maillard z zewnątrz.

Nastąpiła potworna chwila niepewności. Następnie Ziegler usłuchała i opuściła broń.

– To Martin wpadł na ten pomysł?

Espérandieu wyczytał w jej oczach głęboki smutek. Jednocześnie wypełniło go poczucie niezmiernie ulgi.

O 16.35, kiedy mroźny zachód słońca ogarniał góry, a w powietrzu znów zaczynały wirować niesione wiatrem płatki śniegu, Diane wyslizgnęła się ze swojego pokoju i ruszyła opustoszałym korytarzem. Żadnych hałasów. O tej porze cały personel był na stanowiskach na niższych piętrach. Diane także powinna przebywać z jednym z przydzielonych jej pacjentów albo

w swoim gabinecie, ale dyskretnie wróciła na czwarte piętro kwadrans wcześniej. Zostawiła drzwi do swojego pokoju uchylone i wsłuchiwała się we wszystkie dochodzące odgłosy, dopóki nie przekonała się, że piętro sypialne jest puste.

Rozejrzała się na wszystkie strony i zawahała się pół sekundy, po czym przekręciła gałkę. Lisa Ferney nie zamknęła drzwi na klucz. Diane potraktowała to jako zły omen. Gdyby szefowa pielęgniarek miała cokolwiek do ukrycia, na pewno zamknęłaby drzwi. Niewielki pokój, dokładnie taki sam jak jej, był pogrążony w półmroku. Za oknem czerniały góry, a w ich zbocza znowu uderzała zamieć. Diane przekręciła włącznik i pokój zalała słaba żółta poświata. Jak stary detektyw doświadczony w sztuce rewizji, wsunęła dłoń pod materac, otworzyła szafę, szafkę nocną, zajrzała pod łóżko i przejrzała apteczkę w łazience. W pokoju było niewiele potencjalnych kryjówek i już po dziesięciu minutach Diane wyszła stamtąd z pustymi rękami.

* Nazwisko *Lemeurt* można przetłumaczyć na język polski jako „Zmarlak” (przyp. tłum.).

– Nie może jej pan przesłuchać – powiedziała d’Humières. – A to dlaczego?

– Czekamy na dwóch oficerów żandarmerii. Żadnych przesłuchań przed ich przyjazdem. Musimy unikać jakichkolwiek fałszywych kroków. Przesłuchanie kapitan Ziegler odbędzie się w obecności jej przełożonych.

– Nie chcę jej przesłuchiwać, chcę z nią po prostu porozmawiać!

– No nie, Martin. Powiedziałam: nie. Czekamy.

– A kiedy oni przyjadą?

Cathy d’Humières spojrzała na zegarek.

– Powinni tu być za dwie godziny.

– Wygląda na to, że Lisa dziś wieczorem wychodzi.

Diane odwróciła głowę w kierunku drzwi kafejki. Zobaczyła, jak Lisa Ferney podchodzi do lady i zamawia kawę. Zauważyła, że szefowa pielęgniarek nie jest ubrana w strój roboczy. Zamiast kitla miała na sobie biały płaszcz z futrzanym kołnierzem, długi bladuróżowy golf, dzinsy i botki za kolano. Jej włosy opadały luźno na błyszczący kołnierz. Przesadziła z cieniem do powiek, tuszem, błyszcznikiem i szminką.

– Wiesz, dokąd się wybiera?

Alex kiwnął głową, uśmiechając się porozumiewawczo. Szefowa pielęgniarek nawet nie raczyła na nich spojrzeć. Połknęła kawę i wyszła. Słyszeli jej pośpieszne kroki oddalające się korytarzem.

– Idzie się spotkać ze swoim „tajemniczym mężczyzną” – powiedział.

Diane spojrzała na niego. Wyglądał teraz jak młody kawalarz, który zbiera się, by wyjawić najlepszemu kumpłowi swój największy sekret.

– Co to za historia?

– Wszyscy wiedzą, że Lisa ma kochankę w Saint-Martin. Ale nikt nie wie, kto to jest. Nikt go nigdy nie widział. Kiedy wychodzi tak ubrana, zazwyczaj nie wraca wcześniej niż rano. Niektórzy już próbowali ją podpytywać, żeby coś powiedziała, ale za każdym razem wysyłała ich na drzewo. A najdziwniejsze jest to, że nikt nigdy nie widział ich razem, ani w Saint-Martin, ani gdzie indziej.

– Pewnie facet jest żonaty.

– Jeśli tak, to jego żona musi pracować nocami.

– Albo mieć taką pracę, że wyjeżdża w dalekie podróże.

– Jeżeli nie chodzi o coś znacznie bardziej tajemniczego – zasugerował Alex, schylając się

nad stolikiem i robiąc demoniczną minę.

– Na przykład co?

– Może bierze udział w jakichś wieczornych orgiach... A może jest mordercą, którego wszyscy szukają...

Poczuła, że jej żołądek zalewa fala zimna. Coraz trudniej było jej ukrywać stale obecny niepokój. Serce zaczęło jej szybciej bić. Lisa Ferney przez całą noc na zewnątrz... Jedyne taka okazja...

– Biały płaszcz i blad różowy golf to niezbyt praktyczny strój do zabijania ludzi – spróbowała zażartować. – Trochę łatwo się brudzi, prawda? I żeby się tak malować...

– Najpierw ich uwodzi, a potem załatwia. Wiesz, jak modliszka.

Wyglądało na to, że Alex świetnie się bawi. Diane wolałaby zakończyć tę rozmowę. Jej żołądek był twardy jak blok cementu.

– A potem idzie powiesić ofiarę pod mostem? To już nie modliszka, to Terminator.

– Problem z wami, Szwajcarami, polega na tym, że jesteście tacy praktyczni – droczył się z nią.

– Sądziłam, że doceniasz nasze szwajcarskie poczucie humoru.

Roześmiał się. Diane wstała.

– Muszę już iść.

Kiwnął głową, podnosząc na nią wzrok. Jego uśmiech był odrobinę zbyt ciepły.

– Zgoda. Ja też mam robotę. Do zobaczenia później, mam nadzieję.

O 18.30 Servaz miał już za sobą tyle podłych kaw i tyle wypalonych papierosów, że zaczynał się czuć naprawdę źle. Umknął do toalety, by ochłapać twarz zimną wodą, i o mało nie wymiotował do muszli klozetowej. Nudności ustąpiły, ale całkiem nie zniknęły.

– Kurwa, co oni wyprawiają? – zapytał, wróciwszy do niewielkiej poczekalni wyposażonej w plastikowe siedzenia, gdzie czekali członkowie brygady.

Diane zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Jej serce waliło.

Pomieszczenie było zalane takim samym szaroniebieskim blaskiem jak wczoraj gabinet Xaviera.

Odurzający zapach perfum. Diane go rozpoznała. Lolita Lempicka. Na gładkiej powierzchni biurka stał flakonik, w którym skupiało się światło wpadające przez okno.

Od czego zacząć?

W gabinecie stały metalowe komody, tak jak u Xaviera, ale Diane instynktownie skierowała się w stronę biurka.

Żadna z szuflad nie była zamknięta na klucz. Zapaliła lampkę, by zbadać ich zawartość. Na podkładce leżącej na blacie odkryła niezwykle interesującą rzecz: salamandrę z żółtego złota nabijaną kamieniami szlachetnymi: rubinami, szafirami i szmaragdami. Leżący na widoku przedmiot służył jako przycisk do papieru. Diane pomyślała, że sądząc po rozmiarach, może być wykonany z tombaku i sztucznych kamieni. Następnie zainteresowała się zawartością szuflad. Różnokolorowe segregatory. Otworzyła je. Wszystkie związane były z obowiązkami naczelnej pielęgniarki Instytutu. Rachunki, faktury, sprawozdania z wywiadów, notatki z przebiegu

leczenia... Nic zaskakującego. Przynajmniej do trzeciej szuflady.

Na jej dnie leżała tekturowa teczka.

Diane wyjęła ją i otworzyła. Wycinki z prasy. Wszystkie na temat morderstw w dolinie. Lisa Ferney starannie kolekcjonowała związane z nimi informacje.

Zwykła ciekawość? A może coś innego?

Diane poczuła podmuch wiatru, który wpadł przez szparę pod drzwiami, i na chwilę przerwała poszukiwania. Na zewnątrz coraz bardziej wiało. Przeszedł ją dreszcz. Wróciła do pracy.

Metalowe komody. Takie same wiszące teczki jak u Xaviera... Zaczęła z nimi podchodzić do światła i przeglądać jedną po drugiej, ale stwierdziła, że traci czas. Niczego nie znajdzie, ponieważ niczego tam nie ma. Kto byłby na tyle szalony albo głupi, żeby zostawiać w biurku ślady zbrodni?

Gdy tak przerzucała papiery, jej wzrok znowu padł na salamandrę, która lśniła w blasku lampy tysiącem kolorów. Diane nie była specjalistką, ale podróbka wydała jej się wyjątkowo piękna.

Wpatrywała się w przedmiot. A jeśli to autentyk?

Gdyby to była prawda, to co ona mówi na temat szefowej pielęgniarek? Z jednej strony, że jej władza i znaczenie w tym miejscu są tak potężne, iż wie, że nikt nie odważy się wejść do tego gabinetu bez jej wiedzy. Z drugiej strony, że jej kochanek jest bogatym człowiekiem, bo jeśli przedmiot jest autentyczny, to musiał kosztować majątek.

Diane rozważała oba aspekty. Poczowała, że trafiła na jakiś trop.

Dwaj przedstawiciele inspektoratu żandarmerii byli w cywilu. Mieli twarze tak pozbawione wyrazu, że można by je wziąć za woskowe maski. Przywitali się z Cathy d’Humières i Servazem krótkim, służbowym uściskiem dłoni i natychmiast zażądali możliwości przesłuchania kapitan Ziegler bez obecności osób trzecich. Servaz zamierzał zaprotestować, ale prokurator uprzedziła go, natychmiast spełniając ich prośbę. Upłynęło pół godziny, zanim drzwi, za którymi siedziała Ziegler, znowu się otworzyły.

– Teraz moja kolej, by przesłuchać kapitan Ziegler – oświadczył Servaz, gdy tamci wyszli. – To nie potrwa długo. Potem porównamy nasze punkty widzenia.

Cathy d’Humières odwróciła się do niego i już miała się odezwać, ale napotkała jego wzrok i nic nie powiedziała. Za to jedna z woskowych figur się poruszyła.

– Przedstawiciel żandarmerii nie powinien być przesłuchiwany przez...

Pani prokurator przerwała mu, podnosząc rękę.

– Panowie już wykorzystali swój czas, prawda? Ma pan dziesięć minut, Martin. Ani chwili dłużej. Później przesłuchanie będzie kontynuowane w obecności wszystkich.

Pchnął drzwi. Ziegler siedziała sama w niewielkim gabinecie. Światło lampy padało na jej profil. Tak jak poprzednim razem, gdy spotkali się w tym pomieszczeniu, za roletą w świetle latarni widać było płatki śniegu sypiące się z nieba. Na zewnątrz panowała ciemna noc. Usiadł i spojrzał na nią. Blond włosy oraz skórzany kombinezon usiany zamkami i ćwiekami, wyposażony w nakolanniki i naramienniki, upodabniały ją do bohaterki filmu science fiction.

– W porządku?

Skinęła głową, zaciskając wargi.

– Nie uważam, że jesteś winna – powiedział od razu z przekonaniem.

Spojrzała na niego bardziej intensywnie, ale nic nie odpowiedziała. Czekał kilka sekund, zanim znowu się odezwał. Nie miał pojęcia, od czego zacząć.

– To nie ty zabiłaś Grimma i Perraulta. A jednak wszystko świadczy przeciw tobie, jesteś tego świadoma?

Znowu skinęła głową.

Na palcach wyliczył fakty: skłamała – albo też ukryła prawdę – w sprawie pobytu w ośrodku i samobójców, nie powiedziała, że wie, gdzie się ukrywa Chaperon...

– I nie było cię na miejscu, gdy zabito Perraulta. Chociaż byłaś najbliżej i powinnaś przyjechać pierwsza.

– Miałam wypadek na motorze.

– Sama przyznasz, że to dość śliskie. Wypadek bez świadków.

– Ale tak było.

– Nie wierzę ci – odparował.

Oczy Ziegler lekko się rozszerzyły.

– Trzeba będzie to sprawdzić. Uważasz, że jestem niewinna czy winna?

– Niewinna. Ale w sprawie wypadku kłamiesz.

Najwyraźniej była pod wrażeniem jego przenikliwości. Ale tym razem to ona go zaskoczyła. Uśmiechnęła się.

– Od razu wiedziałam, że jesteś dobry – powiedziała.

– Ostatniej nocy – ciągnął swój wywód – po dwunastej pojechałaś do tamtej dyskoteki, a ja leżałem pod twoim łóżkiem, kiedy wróciłaś. Wyszedłem, gdy byłaś pod prysznicem. Powinnaś zamykać drzwi na coś więcej niż standardowy zamek. Po co tam pojechałaś?

Wyglądała na poruszoną. Przez długą chwilę wpatrywała się w niego zamyślona.

– Żeby się spotkać z przyjaciółką – odpowiedziała wreszcie.

– W samym środku nocy i w trakcie śledztwa? Które jest bliskie rozwiązanie i wymaga całej naszej energii?

– To było pilne.

– Co było takie pilne?

– Trudno to wytłumaczyć.

– Dlaczego? Dlatego że jestem facetem, samcem i gliniarzem, a ty jesteś zakochana w dziewczynie?

Patrzyła na niego wyzywająco.

– A co ty wiesz o tych sprawach?

– Nic, faktycznie. Ale to nie mnie grozi, że zostanę oskarżony o podwójne morderstwo. Nie jestem twoim wrogiem, Irène. Ani pierwszym lepszym ograniczonym dupkiem, macho i homofobem. Wysił się trochę.

Wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

– Wczoraj wieczorem, gdy wróciłam do siebie, znalazłam wiadomość. Od Zuzki, mojej dziewczyny. Pochodzi ze Słowacji. Postanowiła ode mnie odejść. Wyrzucała mi, że jestem za bardzo zaabsorbowana pracą, że ją zaniedbuję, że jestem myślami gdzie indziej... Takie tam.

Wyobrażam sobie, że przeszedłeś przez coś takiego, skoro jesteś rozwiedziony, więc wiesz, o czym mówię. Wśród glin jest sporo rozwodów i separacji, wśród homoseksualnych glin także. Musiałam to wyjaśnić. Natychmiast. Nie chciałam, żeby odeszła ot tak, bez szans na rozmowę. To było dla mnie nie do zniesienia w tamtym momencie. Więc bez zastanowienia pojechałam do Pink Banana. Zuzka jest tam kierowniczką.

– Od dawna jesteście razem?

– Osiemnaście miesięcy.

– Bardzo jesteś zakochana?

– Tak.

– Wróćmy do wypadku. Czy raczej do sfingowanego wypadku. Bo wypadku nie było, prawda?

– Oczywiście, że był! Nie widziałeś mojego kombinezonu? I zadrapań? Myślisz, że jak sobie to zrobiłam?

– Przez chwilę sądziłem, że skacząc z wagonika kolejki – odpowiedział. – Po wypchnięciu Perraulta w pustkę – uściślił.

Wierciła się na krześle.

– I już tak nie sądzisz?

– Nie, bo jesteś niewinna.

– Skąd wiesz?

– Bo myślę, że wiem, kto jest winny. Ale sądzę również, że nawet jeśli faktycznie miałaś wypadek, nie mówisz mi na ten temat całej prawdy.

Po raz kolejny wyglądała na uderzoną jego przenikliwością.

– Po wypadku specjalnie się spóźniłam – rzuciła. – Nie śpieszyłam się.

– Dlaczego?

– Z powodu Perraulta. Chciałam, żeby zginął. A raczej chciałam dać zabójcy szansę, żeby go dopadł.

Servaz przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Pokiwał głową.

– Z powodu tego, co ci zrobili – powiedział. – Grimm, Chaperon, Mourrenx i on.

Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

– W ośrodku kolonijnym.

Zaskoczona podniosła oczy.

– Nie... dużo później. Studiowałam prawo w Pau, trafiłam na Perraulta podczas jakiejś uroczystości w miasteczku, zaproponował, że mnie odwiezie. Grimm i Mourrenx czekali na nas na końcu drogi, kilka kilometrów od miejsca, w którym odbywał się festyn. Chaperona tamtej nocy nie było, nie wiem dlaczego. Z tego powodu nie widziałam związku między nim i pozostałymi, dopóki nie znalazłeś tego zdjęcia. Kiedy... Kiedy zobaczyłam, że Perrault skręca z drogi w tamtą ścieżkę, od razu zrozumiałam. Chciałam wysiąść, ale mnie uderzył, bił i bił, cały czas prowadząc samochód, traktował mnie jak dzidirę, jak dziwkę. Sikałam krwią. A potem...

Zamilkła. Servaz długo się zastanawiał, zanim zadał to pytanie:

– Dlaczego nie...?

– Dlaczego nie wniosłam skargi? Sypiałam w tamtym czasie z wieloma ludźmi. Z mężczyznami, z kobietami... Łącznie z moją profesorką z wydziału, mężatką, matką dwójki

dzieci. A mój ojciec był żandarmem. Wiedziałam, co by się działo: śledztwo, bagno, skandal... Pomyślałam o rodzicach, o tym, jak zareagują, o bracie i bratowej, którzy nic nie wiedzieli o moim prywatnym życiu...

I właśnie w ten sposób udało im się zachować tajemnicę aż do tej pory, pomyślał. Intuicja go nie zawiodła. Musieli liczyć na to, że dziewięćdziesiąt procent ofiar gwałtów nie wnosi skargi i poza nastolatkami z ośrodka, którzy nigdy nie widzieli ich twarzy, wybierali ofiary eksponowane, których nonkonformistyczny sposób życia także skłaniał je do milczenia. Inteligentni drapieżcy... A jednak nie całkiem nieprzeniknieni dla swoich żon, które w końcu zaczęły ich o coś podejrzewać i zamieszkały w osobnych pokojach albo odeszły.

Znowu pomyślał o dyrektorze Les Isards, który zginął w wypadku na motorze. Kolejna śmierć, która zdarzyła się w samą porę.

– Zdajesz sobie sprawę, że naraziłaś moje życie na niebezpieczeństwo?

– Bardzo mi przykro, Martin. Naprawdę. Ale na razie jestem raczej oskarżona o morderstwo – poprawiła go, uśmiechając się smutno.

Miała rację. Trzeba będzie grać ostro. Confiant tak łatwo nie zostawi takiego kaska, teraz, gdy wreszcie ma idealną sprawczynię. A Servaz osobiście mu ją wystawił!

– W jednym miejscu sprawa się komplikuje – powiedział. – Wtedy, kiedy skorzystałaś z mojej nieobecności, żeby pójść śladem Chaperona, nikomu o tym nie mówiąc.

– Nie chciałam go zabić. Chciałam go tylko... nastraszyć. Chciałam zobaczyć przerażenie w jego oczach, tak jak on widział przerażenie w oczach swoich ofiar i się nim delectował. Chciałam mu włożyć lułę do ust, gdy będziemy sami w lesie, chciałam, żeby myślał, że nadeszła jego ostatnia chwila. Potem bym go aresztowała.

Jej głos brzmiał jak cienka strużka lodowatej wody i Servaz zastanawiał się przez chwilę, czy aby się nie pomylił.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział. – W którym momencie zrozumiałaś, co się dzieje?

Zatopiała spojrzenie w jego oczach.

– Po pierwszym morderstwie miałam pewne podejrzenia. A potem, kiedy Perrault został zamordowany, a Chaperon zwiął, wiedziałam już, że ktoś się mści za ich zbrodnie. Ale nie wiedziałam kto.

– Dlaczego ukradłaś listę dzieci?

– Idiotyczny impuls. Byłam tam, w tym kartonie. A ty wyglądałeś, jakby cała zawartość tego pieprzonego pudła bardzo cię interesowała. Nie chciałam, żeby ktoś mnie o to pytał, żeby ktoś grzebał w mojej przeszłości.

– Ostatnie pytanie: dlaczego dzisiaj zaniósłś kwiaty na grób Maud Lombard?

Irène Ziegler przez chwilę milczała. Tym razem nie okazała zaskoczenia. Zrozumiała już, że przez cały dzień była śledzona.

– Maud Lombard też popełniła samobójstwo.

– Wiem.

– Zawsze wiedziałam, że w ten czy inny sposób była ofiarą tych drapieżników. Mnie też w pewnym momencie kusilo takie rozwiązanie. Przez jakiś czas Maud i ja bywałyśmy na tych samych imprezach, zanim wyjechałam na studia i zanim ona trafiła na tych drani. Znałyśmy się dość blisko, nie przyjaźniłyśmy się, ale byłyśmy koleżankami i bardzo ją lubiłam. To była niezależna i skryta dziewczyna, niewiele mówiła, ale starała się wyrwać ze swojego środowiska.

W każdą rocznicę zanoszę kwiaty na jej grób. A teraz, przed zatrzymaniem ostatniego z tych drani, który został jeszcze przy życiu, chciałam jej dać taki mały znak.

– Ale przecież Maud Lombard nigdy nie była w ośrodku.

– I co z tego? Maud wiele razy uciekała z domu. Często włóczyła się w niezbyt eleganckim towarzystwie. Nieraz późno wracała do siebie. Musiała na nich gdzieś wpaść, tak jak ja.

Servaz bardzo szybko myślał. Jego hipoteza nabierała wyraźnych kształtów. Niesłychane rozwiązanie... Nie miał więcej pytań. Znowu kręciło mu się w głowie. Rozmasował skronie i z trudem wstał.

– Być może jest pewna hipoteza, której nie wzięliśmy pod uwagę – powiedział.

D’Humières i Confiant czekali na niego na korytarzu. Servaz szedł w ich stronę, walcząc z wrażeniem, że ściany i podłoga się poruszają i że zaraz straci równowagę. Roztarł kark i głęboko odetchnął, ale to nie wystarczyło, by przegnać dziwne doznanie, jakby jego buty były wypełnione powietrzem.

– No i? – zapytała prokurator.

– Moim zdaniem to nie ona.

– Co?! – krzyknął Confiant. – Mam nadzieję, że pan żartuje!

– Nie mam czasu teraz tego tłumaczyć. Trzeba szybko działać. Może ją pan tymczasem zatrzymać, jeśli pan chce. Gdzie Chaperon?

– Próbuje z niego wyciągnąć przyznanie się do gwałtów na nastolatkach w ośrodku – powiedziała d’Humières lodowato. – Ale nic nie chce mówić.

– Nie ma przedawnienia?

– Nie ma, jeśli pojawiają się nowe elementy, które prowadzą do ponownego otwarcia śledztwa. Martin, mam nadzieję, że wie pan, co pan robi.

– Ja też mam taką nadzieję – powiedział.

Coraz bardziej kręciło mu się w głowie i miał migrenę. Poszedł do recepcji i poprosił o butelkę wody, połknął tabletkę od Xaviera i wrócił do stojącego na parkingu jeeпа.

W jaki sposób przedstawić im hipotezę bez ściągnięcia na siebie burzy ze strony młodego sędziego i wpędzenia d’Humières w kłopoty? Prześladowało go jeszcze jedno pytanie. Chciał mieć w tym względzie jasność, zanim wyłoży wszystkie karty. Potrzebował czyjejś opinii – opinii kogoś, kto mu powie, czy jest na dobrej drodze, i doradzi, jak daleko może się posunąć, nie narażając się na utratę wszystkiego. Spojrzał na zegarek. 21.12.

Komputer...

Diane włączyła go. W przeciwieństwie do komputera psychiatry ten był chroniony hasłem. Proszę, proszę... Zerknęła na zegarek. Była w gabinecie już prawie od godziny.

Pojawił się problem: Diane nie miała za grosz umiejętności hakera. Przez dobre dziesięć minut próbowała wpisywać imię Juliana Hirtmanna i Lisy Ferney we wszystkich kierunkach, ale żadna z jej godnych pożałowania prób nie okazała się skuteczna. Znowu zanurkowała w szufladzie, w której znalazła teczkę z osobistymi dokumentami. Wpisała najpierw od przodu i od tyłu numer telefonu ubezpieczalni, następnie datę urodzenia, kombinację obu imion (szefowa pielęgniarek nazywała się właściwie: Élisabeth Judith Ferney), kombinację inicjałów

i daty urodzenia. Bez skutku. *Cholera!*

Następnie jej wzrok znów padł na salamandrę.

Wystukała „salamandra”, a następnie „ardnamalas”.

Nic...

Diane spojrzała na zegarek w rogu monitora. 21.28.

Jeszcze raz popatrzyła na zwierzątko. Pchnięta nagłym impulsem podniosła je i odwróciła. Na brzuchu znajdował się napis: „Van Cleef & Arpels, New York”. Wprowadziła nazwę do komputera. Nic... Cholera! To idiotyczne! Jak w jakimś kretyńskim filmie szpiegowskim! Odwróciła je. Ciągłe nie to... A czego się spodziewałaś, kochana? Nie jesteś w kinie! W przypływie rozpaczy wprowadziła tylko pierwsze litery: VC&ANY. Nic. A potem od tyłu: YNA&CV...

Nagle ekran zamigotał, po czym otworzył się dostęp do systemu. Bingo! Diane nie wierzyła własnym oczom. Zaczekała, aż wyświetli się tło ze wszystkimi ikonami.

Gra może się zacząć... Ale czas leciał. Była 21.32.

Modliła się, żeby Lisa Ferney naprawdę wyszła na całą noc.

Maile...

Mniej więcej setka pochodziła od człowieka o tajemniczym imieniu Démétrius.

I za każdym razem w kolumnie „Temat” wyświetlała się wzmianka: *Encrypted email...*

Otworzyła jedną z wiadomości, ale zobaczyła tylko ciąg niezrozumiałych robaczków. Diane wiedziała, co się dzieje. Coś takiego zdarzyło jej się już na uniwersytecie: certyfikat używany do szyfrowania wiadomości wygaś i dlatego odbiorca nie może jej już odczytać.

Zastanowiła się błyskawicznie.

Najczęściej, aby uniknąć tego rodzaju problemów, odbiorcy doradzano zapisanie wiadomości w innym miejscu, na przykład w formacie HTML. Tak zrobiłaby ona, gdyby była na miejscu Lisy Ferney. Otworzyła folder „Moje dokumenty”, a następnie „Otrzymane pliki” i od razu zauważyła folder o nazwie „Démétrius”.

Lisa Ferney nie zastosowała specjalnych zabezpieczeń. Jej komputer był już chroniony hasłem i wiedziała, że tak czy owak nikt nie będzie miał tyle śmiałości, by się zabawiać grzebaniem w jej dokumentach.

Liso,

Jestem w Nowym Jorku do niedzieli. Central Park jest cały biały i panuje wręcz podbiegunowe zimno. Jest pięknie. Myślę o Tobie. Czasami budzę się w nocy zlany potem i wiem, że śniłem o Twoim ciele i Twoich ustach. Mam nadzieję, że będę w Saint-Martin za dziesięć dni.

Éric

Liso,

W piątek wyjeżdżam do Kuala Lumpur. Czy przedtem moglibyśmy się spotkać? Nie ruszam się z zamku. Przyjeżdż.

Éric

Liso, gdzie jesteś?

Dlaczego się nie odzywasz? Jeszcze jesteś na mnie zła za ostatni raz? Mam dla Ciebie prezent. Kupiony u Bucheronów. Bardzo drogi. Spodoba Ci się.

Listy miłosne. A raczej maile. Były ich dziesiątki... Może nawet setki... Pochodziły z okresu kilku lat...

Lisa Ferney skrupulatnie je przechowywała. Wszystkie. I wszystkie były podpisane tym samym imieniem. „Éric”. Éric dużo podróżuje. Éric jest bogaty, jego życzenia mniej lub bardziej oznaczają rozkazy. Éric lubuje się w szokujących obrazach i jest chorobliwie zazdrosnym kochankiem:

Zalewają mnie fale zazdrości i z każdą z nich coraz bardziej się duszę. Zastanawiam się, z kim się pieprzysz. Znam Cię, Liso: jak długo potrafisz wytrzymać bez kawałka mięsa między udami? Przysięgnij mi, że nikogo nie ma.

Czasami, kiedy ani prośby, ani groźby nie działały, Éric samokrytycznie się podlizywał:

Na pewno uważasz mnie za pieprzonego dupka. Za pieprzonego zasrańca i kanalię. Nie zasługuję na Ciebie, Liso. Myliłem się, sądząc, że mogę Cię kupić za moją pieprzoną forszę. Czy możesz mi wybaczyć?

Diane przewinęła listę do końca, przesuając się w czasie aż do najnowszych maili. Zauważyła, że ton ostatnich wiadomości się zmienił. To już nie była wyłącznie miłosna historia. Działo się coś jeszcze:

Masz rację. Nadeszła chwila, żeby przejść do działania. Za długo czekałem. Jeśli nie zrobimy tego teraz, nie zrobimy tego nigdy. Nie zapomniałem o naszym pakcie, Liso. A wiesz, że jestem słowny. O tak, dobrze o tym wiesz...

Liso, twoja siła i determinacja dodają mi odwagi. Myślę, że masz rację: żaden wyrok sądowy nie przywróci nam spokoju. Musimy to zrobić sami.

Czekaliśmy tak długo. Ale myślę, że teraz jest właściwy moment.

Nagle palec Diane na myszce znieruchomiał. Kroki w korytarzu... Wstrzymała oddech. Jeśli ta osoba wie, że Lisa wyszła, zdziwi się, widząc światło pod drzwiami.

Ale kroki przeszły, nie zatrzymując się.

Odetchnęła i wróciła do przeglądania maili. Przeklinała pod nosem. Czuła się coraz bardziej sfrustrowana. Nadal nie znalazła niczego konkretnego. Same aluzje i niedopowiedzenia.

Jeszcze pięć minut i będzie się zbierać. Systematycznie otworzyła trzydzieści ostatnich maili.

Liso, musimy porozmawiać. Mam plan. Straszny. Wiesz, co to jest gambit, Liso? W szachach gambit oznacza poświęcenie na początku partii jednej ze swoich figur po to, by zyskać strategiczną przewagę. To właśnie zamierzam zrobić. Gambit konia. Ale na myśl o tej ofierze pęka mi serce.

Koń, pomyślała z zapartym tchem.

Gdy otworzyła kolejnego maila, poczuła się tak, jakby serce miało wyskoczyć jej z piersi, jakby się zapadała w ciemność.

Dostałaś zamówienie? Jesteś pewna, że się nie zorientuje, że zamawiałaś na jego nazwisko?

Diane szeroko otworzyła oczy, zrobiło jej się sucho w ustach. Znalazła datę. *6 grudnia...* W pliku nie było odpowiedzi, podobnie jak w wypadku pozostałych maili, ale nie była potrzebna. Ostatni klocek układanki właśnie znalazł się na swoim miejscu. Dwie hipotezy od tej pory złączyły się w jedną. Xavier prowadził śledztwo, ponieważ jest niewinny i o niczym nie wiedział: to nie on złożył zamówienie na leki znieczulające. Zrobiła to Lisa Ferney – w *jego imieniu...*

Diane odwróciła się razem z fotelem i zastanawiała się, co to znaczy. Odpowiedź była oczywista. Lisa i mężczyzna o imieniu *Éric* zabili konia – i prawdopodobnie także aptekarza.

W imię paktu, który zawarli dawno temu i który wreszcie postanowili wypełnić.

Myślała pośpiesznie. Czas naglił.

Informacje, które teraz posiada, są wystarczające, by zawiadomić policję. Jak się nazywa ten gliniarz, który przyjechał do Instytutu? Servaz. Wydrukowała ostatniego maila na małej drukarce stojącej na biurku, po czym wyjęła telefon.

W blasku samochodowych świateł drzewa wyłaniały się z ciemności jak wroga armia. Ta dolina lubi mrok, tajemnicę; nie znosi wścibskich przybyszów z zewnątrz. Servaz zamrugał powiekami. Bolały go gałki oczne. Przez przednią szybę wpatrywał się w wąską drogę wijącą się w lesie. Migrena jeszcze się nasiliła, tak że miał wrażenie, iż jego skronie zaraz eksplodują. Na zewnątrz panowała wściekła zawierucha, miotająca płatki śniegu we wszystkich kierunkach, a prędkość sprawiała, że uderzały one o samochód, błyszcząc w świetle reflektorów jak małe, szybkie komety. Włączył płytę Mahlera na cały regulator. *VI Symfonia*. Jej pesymistyczne i przerażająco ostrzegawcze brzmienie akompaniowało wyciu zadymki.

Jak długo spał w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin? Był wyczerpany. Bez wyraźnego powodu pomyślał o *Charlène*. Wspomnienie tej kobiety, jej czułości w galerii, trochę go rozgrzało. Odezwał się samochodowy telefon...

– Muszę rozmawiać z komendantem Servazem.

– Kto mówi?

– Nazywam się Diane Berg. Jestem psychologiem w Instytucie Wargniera i...

– Nie mogę pani teraz połączyć – przerwał jej żandarm po drugiej stronie słuchawki.

– Ale ja muszę z nim rozmawiać!

– Proszę mi zostawić numer, oddzwoni do pani.

– To pilne!

– Przykro mi, wyszedł.

– A może mógłby mi pan podać jego numer?

– Proszę pani, ja...

– Pracuję w Instytucie – powiedziała najbardziej rozsądnym i zdecydowanym głosem, na jaki było ją stać – *i wiem, kto wyniósł DNA Juliana Hirtmanna*. Czy pan rozumie, co to znaczy?

Po drugiej stronie zapanowało długie milczenie.

– Może pani powtórzyć?

Powtórzyła.

– Sekundę. Połączę panią z kimś...

Trzy sygnały później:

– Kapitan Maillard, słucham.

– Proszę pana – oświadczyła – nie wiem, kim pan jest, ale muszę bardzo pilnie rozmawiać z komendantem Servazem. To ogromnie ważne.

– Kim pani jest?

Przedstawiła się po raz drugi.

– W jakiej sprawie pani dzwoni, doktor Berg?

– To dotyczy śledztwa w sprawie morderstw w Saint-Martin. Jak mówiłam, pracuję w Instytucie. *I wiem, kto wyniósł DNA Hirtmanna...*

Ostatnia informacja sprawiła, że jej rozmówca zamilkł i Diane się zastanawiała, czy nie odłożył słuchawki.

– W porządku – powiedział w końcu. – Ma pani coś do pisania? Dam pani jego numer.

– Servaz.

– Dobry wieczór – odezwał się damski głos po drugiej stronie słuchawki. – Nazywam się Diane Berg, jestem psychologiem w Instytucie Wargniera. Nie zna mnie pan, ale ja pana znam. Byłam w pomieszczeniu obok, kiedy pan był w gabinecie doktora Xaviera. Słyszałam waszą rozmowę.

Servaz już miał jej przerwać i powiedzieć, że się śpieszy, ale coś w tonie głosu kobiety i informacja o jej funkcji w Instytucie odwiodły go od tego zamiaru.

– Słyszysz mnie pan?

– Słucham panią – powiedział. – W jakiej sprawie pani dzwoni, pani Berg?

– Panno Berg. Wiem, kto zabił konia. I prawdopodobnie ta sama osoba wyniosła DNA Juliana Hirtmanna. Interesuje pana, kto to jest?

– Sekundę.

Zwolnił i zaparkował na poboczu, wśród drzew. Wiatr kołysał drzewami dokoła samochodu. Szponiaste gałęzie poruszały się w świetle reflektorów jak w starym niemieckim ekspresjonistycznym filmie.

– Proszę. Niech mi pani o wszystkim opowie.

– Mówi pani, że autor maili ma na imię Éric?

– Tak. Wie pan, kto to jest?

– Myślę, że wiem.

Siedząc w samochodzie zaparkowanym na poboczu drogi w środku lasu, rozmyślał o tym, czego się właśnie dowiedział od tej kobiety. Hipoteza, która zaczęła się zarysowywać po wizycie na cmentarzu i ukonkretniła na posterunku żandarmerii, kiedy Irène Ziegler wyjawiała mu, że Maud Lombard na pewno została zgwałcona, właśnie znalazła nowe potwierdzenie. I to jakie... *Éric Lombard*... Przypomniał sobie strażników z elektrowni, ich milczenie, kłamstwa. Od samego początku był przekonany, że coś ukrywają. Teraz już wiedział, że kłamali nie dlatego, że byli winni, ale dlatego, że ich do tego zmuszono. Ktoś ich zaszantażował albo kupił ich milczenie. Możliwe, że i to, i to. Coś widzieli, ale woleli milczeć i kłamać, ryzykując, że ściągną na siebie podejrzenia, *ponieważ wiedzieli, że to przestępstwo nie było w ich stylu*.

– Od dawna pani w tym grzebie, panno Berg?

Zwlekała jakiś czas z odpowiedzią.

– Jestem w Instytucie dopiero od kilku dni.

– To może być niebezpieczne.

Znowu cisza. Servaz zastanawiał się, jakie niebezpieczeństwo może jej grozić. Nie jest policjantką, na pewno popełniła jakieś błędy. Przebywa w środowisku, które z definicji jest pełne przemocy i w którym wszystko może się zdarzyć.

– Mówiła pani o tym komuś jeszcze?

– Nie.

– Proszę mnie uważnie posłuchać – powiedział. – Oto, co pani robi. Ma pani samochód?

– Tak.

– Świetnie. Niech pani natychmiast wyjdzie z Instytutu, wsiądzie w samochód i zjedzie do Saint-Martin, zanim zamieć to pani uniemożliwi. Niech pani jedzie na posterunek żandarmerii i poprosi o rozmowę z panią prokurator. Proszę powiedzieć, że to ja panią przysłałem. Proszę jej opowiedzieć wszystko, co mi pani mówiła. Zrozumiała pani?

– Tak.

Servaz się rozłączył i wtedy Diane przypomniała sobie, że jej samochód jest unieruchomiony.

Budynki stadniny pojawiły się w blasku samochodowych świateł. Ośrodek był pusty, ciemny. Żadnych koni ani masztalerzy na horyzoncie. Zamknięto boksy na noc, a może na zimę. Zaparkował samochód przed dużym budynkiem z cegły i drewna i wysiadł.

Natychmiast oblepiły go płatki śniegu. Wiatr coraz mocniej wył w koronach drzew. Servaz postawił kołnierz i skierował się ku wejściu. Psy zaczęły szczeleć w ciemności i miotać się na łańcuchach. W jednym z okien paliło się światło i policjant zobaczył, jak jakaś postać podchodzi i wygląda na zewnątrz.

Wszedł do budynku przez uchylone drzwi. Główny korytarz był oświetlony. Natychmiast owionęła go woń końskiego nawozu. Pomimo późnej pory po prawej stronie zauważył konia

i jeźdźca wykonujących ewolucje na dużym maneżu oświetlonym rzędami lamp. Marchand wyszedł z pierwszych drzwi po lewej.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Mam do pana kilka pytań.

Zarządca wskazał mu inne drzwi kawałek dalej. Servaz wszedł. To samo biuro pełne trofeów, książek o koniach i segregatorów, w którym byli za pierwszym razem. Na monitorze laptopa zdjęcie konia. Piękne zwierzę o gniadym umaszczeniu. Być może Freedom. Marchand przeszedł przed nim i Servaz wyczuł w jego oddechu zapach whisky. Na półce stała dość solidnie napoczęta butelka Label 5.

– W związku z Maud Lombard – wyjaśnił.

Marchand rzucił mu zdziwione i podejrzliwe spojrzenie. Jego oczy trochę za bardzo błyszcząły.

– Tak – powiedział stary zarządca. – Paskudna historia.

– W jakim sensie?

Zauważył, że Marchand się waha. Przez chwilę mężczyzna patrzył w inną stronę, po czym skierował spojrzenie na Servaza. Zamierza kłamać.

– Podcięła sobie żyły...

– BZDURY! – zawołał Servaz donośnym głosem, chwytając starego zarządcę za kołnierz. – Kłamie pan, Marchand! Niech pan posłucha: właśnie oskarżono o zamordowanie Grimma i Perraulta niewinną osobę! Jeśli w tej chwili nie powie mi pan prawdy, oskarżę pana o współudział w morderstwie! Niech się pan szybko zastanowi. Nie będę czekał całą noc! – dodał, sięgając po kajdanki.

Zarządca wyglądał na przestraszonego tym nieoczekiwanym gwałtownym wybuchem gniewu. Zbladł, usłyszawszy szcęknięcie kajdanek. A jednak badał glinę wzrokiem.

– To bluff!

Dobry pokerzysta. Nie da się łatwo oszukać. Servaz złapał go za nadgarstek i brutalnie wykręcił mu rękę.

– Co pan robi? – zapytał Marchand zbity z tropu.

– Uprzedziłem pana.

– Nie ma pan żadnego dowodu!

– Jak pan myśli, ilu oskarżonych bez dowodów gnije w tymczasowym areszcie?

– Niech pan zaczeka! Nie może pan tego zrobić! – zaprotestował zarządca w nagłym przypływie paniki. – Nie ma pan prawa!

– Uprzedzam pana: przed żandarmerią czekają dziennikarze – skłamał Servaz, ciągnąc go mocno w stronę drzwi. – Ale włożymy panu kurtkę na głowę, gdy będziemy wysiadać z auta. Będzie pan musiał tylko patrzeć na ziemię i pozwolić się prowadzić.

– Chwileczkę, niech pan zaczeka! Cholera, niech pan zaczeka!

Ale Servaz ciągnął go teraz mocno. Byli już na korytarzu. Na zewnątrz wył wiatr, przez otwarte drzwi wpadały do środka płatki śniegu.

– Dobrze, już dobrze! Kłamałem. Niech mi pan to zdejmie!

Policjant przerwał. Jeździec na maneżu zatrzymał się i obserwował ich.

– Najpierw prawda – zamruczał Servaz do ucha starego.

– POWIESIŁA SIĘ! Na huśtawce, która stała w parku przy zamku, kurwa!

Servaz wstrzymał oddech. Powieszona... No to jesteśmy w domu. Zdjął kajdanki. Marchand odruchowo rozcierał sobie nadgarstki.

– Nigdy tego nie zapomnę – powiedział ze spuszczoną głową. – To było latem, o zachodzie słońca. Włożyła białą sukienkę, prawie przezroczystą... Unosiła się nad trawnikiem jak duch, ze złamanym karkiem, w świetle zachodu. Ciągle mam przed oczami ten obraz. Prawie co wieczór...

Lato... Podobnie jak inni wybrała tę porę roku, żeby odebrać sobie życie. Biała sukienka: Niech pan szuka bieli, powiedział Propp.

– Dlaczego pan kłamał?

– Oczywiście *ktos* mnie o to poprosił – powiedział Marchand, spuszczać wzrok. – Niech mnie pan nie pyta, jaka to różnica. Nie mam pojęcia. Szef nie chciał, żeby ktoś się o tym dowiedział.

– Zasadnicza różnica – odpowiedział Servaz, kierując się ku drzwiom.

Espérandieu właśnie wyłączył komputer, gdy zadzwonił telefon. Westchnął, spojrział na zegarek – 22.40 – i odebrał. Usłyszawszy głos Luca Damblina, informatora z Interpolu, nieznacznie poprawił się na krześle. Czekał na ten telefon od chwili, gdy wrócił do Tuluzy, i już zaczynał tracić nadzieję.

– Miałeś rację – powiedział Damblin bez wstępów. – To faktycznie był on. Nad czym dokładnie pracujesz? Nie wiem, co się dzieje, ale psiakrew, wygląda na to, że złapałeś grubą rybę. Może powiesz coś więcej? Co taki facet jak on ma wspólnego ze śledztwem kryminalnym?

Espérandieu o mało nie spadł z krzesła. Przełknął ślinę i znów się wyprostował.

– Jesteś pewien? Twój gość z FBI to potwierdził? Opowiedz mi, jak zdobył tę informację.

W ciągu pięciu następnych minut Luc Damblin wytłumaczył mu to ze szczegółami. O kurwa! – pomyślał Espérandieu, gdy tamten się rozłączył. Tym razem musi zawiadomić Martina. Natychmiast!

Servaz miał wrażenie, że żywioty sprzysięgły się przeciw niemu. Płatki śniegu wirowały w blasku samochodowych świateł, pnie drzew od północnej strony zaczynały się robić białe. Prawdziwa śnieżna zamieć... Akurat tej nocy. Z niepokojem zastanawiał się, czy psycholożce udało się zjechać do Saint-Martin, czy tam na górze droga nie jest już zbyt zasypana. Przed kilkoma minutami, gdy wychodził z ośrodka jeździeckiego, odbył ostatnią rozmowę telefoniczną.

– Halo? – odezwał się głos po drugiej stronie słuchawki.

– Muszę się z tobą spotkać. Jeszcze dziś. I jestem trochę głodny. Nie jest za późno?

Po drugiej stronie rozległ się śmiech, który jednak nagle umilkł.

– Coś nowego? – zapytał Gabriel Saint-Cyr, nie kryjąc ogromnej ciekawości.

– *Wiem, kto to jest.*

– Naprawdę?

– Tak. Naprawdę.

Cisza.

- Masz nakaz z sądu?
- Jeszcze nie. Najpierw chciałbym znać twoje zdanie.
- Co zamierzasz?
- Po pierwsze, wyjaśnić z tobą kilka kwestii prawnych. Potem przejść do działania.
- Nie chcesz mi powiedzieć, kto to jest?
- Najpierw zjemy, później porozmawiamy.

Rozmówca znowu się zaśmiał.

- Przyznaję, że mnie kusisz. Przyjeżdżaj. Zostało mi trochę kurczaka, że tak powiem.
- Jadę – rzucił Servaz i odłożył słuchawkę.

Gdy zaparkował jeepa w pobliżu potoku, okna młyna pośród śnieżnej zawieruchy emanowały jasnością i ciepłem. Jadąc tu, Martin nie spotkał żadnego samochodu ani żadnego pieszego. Zamknął auto i pośpiesznie ruszył w stronę mostka, zgięty wpół, naprzeciw podmuchom wiatru miotającym płatki śniegu. Drzwi od razu się otworzyły. Miły zapach pieczonego kurczaka, ognia, wina i przypraw. Saint-Cyr odebrał od niego kurtkę i powiesił ją na wieszaku, a następnie wskazał mu drogę do znajdującego się niżej salonu.

– Lampkę grzanego wina na początek? Kurczak będzie gotowy za dwadzieścia minut. Będziemy mogli porozmawiać.

Servaz spojrział na zegarek. 22.30. Najbliższe godziny będą decydujące. Musi przesunąć wszystkie pionki, przewidując na kilka ruchów do przodu. Ale czy ma wystarczająco jasny obraz sprawy? Stary sędzia ze swoim doświadczeniem pomoże mu nie popełnić gafy. Przeciwnik jest niebezpieczny. Wykorzysta nawet najmniejsze prawne niedociągnięcie. Servaz był straszliwie głodny. Zapach piekącego się kurczaka przyprawiał jego żołądek o skurcze.

W kominku buchał duży płomień. Tak jak poprzednio ogień rzucał blaski i cienie na ściany i belki sufitu. Pokój wypełniały odgłosy trzaskających polan, świst wiatru w przewodzie kominowym i szum potoku. Tym razem nie było Schuberta. Najwyraźniej Saint-Cyr nie chciał uронić żadnego fragmentu z opowieści Servaza.

Na okrągłym stoliku stały dwie pękate lampki do połowy napełnione winem koloru rubinu. Po obu stronach stolika fotele z zagłówkami przysunięte do kominka. Wino parowało.

– Siadaj – powiedział sędzia, wskazując jeden z foteli.

Servaz sięgnął po stojący najbliżej kieliszek. Był gorący. Obrócił go w dłoni i wciągnął w nozdrza aromatyczne opary. Wydawało mu się, że rozpoznaje zapach pomarańczy, cynamonu i gałki muszkatołowej.

– Grzane wino z korzeniami – wyjaśnił Saint-Cyr. – Odświeżające i energetyzujące, w sam raz na taki wieczór jak dziś. A przede wszystkim doskonale na zmęczenie. Da ci kopa. Zapowiada się długa noc, prawda?

– Tak bardzo widać?

– Co?

– Zmęczenie.

Sędzia patrzył na niego dłuższą chwilę.

– Wyglądasz na wyczerpanego.

Servaz wypił łyk. Skrzywił się, sparzywszy sobie język, ale po jego ustach i przełyku rozlał się mocny smak ziołowego wina. Jako zakąskę Saint-Cyr przygotował w miseczce na stole małe kawałeczki korzennego chleba. Servaz połknął jeden, potem następny. Był głodny jak

wilk.

– To jak? – zapytał Saint-Cyr. – Opowiesz mi? *Kto to jest?*

– Jest pan tego pewien? – w słuchawce rozległ się głos Cathy d’Humières.

Espérandieu spojrział na czubki swoich conversów spoczywających na biurku w gabinecie przy boulevard Embouchure.

– Osoba, która mi przekazała tę informację, jest bez zarzutu. Pracuje w siedzibie Interpolu w Lyonie. Chodzi o Luca Damblina. Rozmawiał z jednym ze swoich informatorów w FBI. Ma dwieście procent pewności.

– Wielkie nieba! – krzyknęła prokurator. – I nie udało się panu połączyć z Martinem, tak?

– Próbowałem dwukrotnie. Za każdym razem było zajęte. Odzywa się poczta głosowa. Spróbuję znowu za parę minut.

Cathy d’Humières spojrziała na zegarek marki Chopard z żółtego złota, który dostała od męża z okazji dwudziestej rocznicy ślubu. 22.50. Westchnęła.

– Chciałabym, żeby pan coś dla mnie zrobił, Espérandieu. Niech pan do niego dzwoni. Bez przerwy. A kiedy już pan będzie z nim rozmawiał, niech mu pan powie, że bardzo chciałabym znaleźć się w łóżku przed świtem i że nie będziemy na niego czekać całą noc!

Espérandieu po drugiej stronie słuchawki zaszalutował po żołniersku.

– Tak jest, proszę pani.

Irène Ziegler wsłuchiwała się w wycie wiatru za zakratowanym oknem. Prawdziwa śnieżna zamieć. Odkleiła ucho od ściany. Z pewnością z przyczyn konstrukcyjnych ścianki działowe na tym posterunku żandarmerii – jak na setkach innych – były cienkie jak z tektury.

Ziegler wszystko słyszała. Najwyraźniej Espérandieu otrzymał jakąś ważną informację. Informację o kapitalnym znaczeniu, która radykalnie zmienia bieg śledztwa. Ziegler miała wrażenie, że rozumie, o co chodzi. Martin zniknął. Sądziła, że wie, gdzie jest. Poszedł zasięgnąć rady, zanim przejdzie do działania... Zastukała w drzwi, które otworzyły się niemal natychmiast.

– Muszę iść do toalety.

Dyżurny z powrotem zamknął drzwi. Kiedy po chwili znów się otworzyły, stanęła w nich młoda kobieta w mundurze, która przyglądała się Ziegler podejrzliwie.

– Proszę za mną, pani kapitan. Tylko bez numerów.

Ziegler wstała z dłońmi spiętymi kajdankami na plecach.

– Dziękuję – powiedziała. – Chciałabym też porozmawiać z panią prokurator. Niech jej to pani powie. Niech pani powie, że to ważne.

Wiatr wył w przewodzie kominowym i rozdmuchiwał płomienie. Servaz był na skraju wyczerpania. Odstawił kieliszek i zobaczył, że jego ręka się trzęsie. Przyciągnął ją do siebie, w obawie, by Saint-Cyr nie zauważył drżenia. Ziołowe wino było przyjemne, gdy je pił, zostawiło jednak po sobie gorzki posmak. Czuł się wstawiony. To nie był dobry moment. Postanowił, że przez najbliższe pół godziny będzie pił tylko wodę, a następnie poprosi o mocną kawę.

– Wyglądasz, jakbyś się kiepsko czuł – powiedział sędzia, odstawiając kieliszek i patrząc na niego uważnie.

– Bywało, że czułem się lepiej, ale może być.

Tak naprawdę nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek doświadczał takiego wyczerpania i stresu: padał ze zmęczenia, kręciło mu się w głowie, nie mógł jasno myśleć. A jednak znajdował się na progu rozwiązania najdziwniejszego śledztwa w całej swojej karierze.

– A zatem nie uważasz, że Irène Ziegler jest winna? – podjął sędzia. – Ale przecież wszystko przemawia przeciwko niej.

– Wiem. Ale jest nowy element.

Sędzia wysoko uniósł brwi.

– Dziś wieczorem miałem telefon od psycholożki, która pracuje w Instytucie Wargniera.

– No i?

– Nazywa się Diane Berg, pochodzi ze Szwajcarii. Jest tu od niedawna. Wygląda na to, że zorientowała się, że coś dziwnego się dzieje, i podjęła śledztwo na własną rękę, nikogo o tym nie informując. W ten sposób odkryła, że szefowa pielęgniarek w Instytucie zamówiła środki znieczulające dla koni... i że ta kobieta jest kochanką niejakiego Érica, bardzo bogatego człowieka, który dużo podróżuje, jak wynika z jego maili.

– W jaki sposób ta psycholożka na to wpadła? – zapytał sędzia sceptycznym głosem.

– To długa historia.

– A ten Éric, sądzisz, że to...? Ale on był w Stanach tej nocy, kiedy zabito konia.

– Doskonałe alibi – skomentował Servaz. – A poza tym, kto by podejrzewał, że ofiara jest jednocześnie winowajcą?

– Ta psycholożka... to ona do ciebie dzwoniła? I ty jej wierzysz? Jesteś pewien, że to osoba godna zaufania? Praca w Instytucie musi być bardzo wyczerpująca nerwowo, jeśli ktoś nie jest przyzwyczajony.

Servaz spojrział na Saint-Cyra. Przez chwilę poczuł wątpliwości. A jeśli stary sędzia ma rację?

– Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że wszystko, co się dzieje w tej dolinie, ma korzenie w przeszłości? – zapytał policjant.

Sędzia w milczeniu pokiwał głową.

– Sam mi powiedziałeś, że Maud, siostra Érica Lombarda, popełniła samobójstwo, gdy miała dwadzieścia jeden lat.

– Zgadza się – odezwał się w końcu Saint-Cyr. – Uważasz więc, że ta śmierć ma związek z samobójstwami dzieciaków, które przeszły przez ośrodek kolonijny? Ona tam nigdy nie była.

– Podobnie jak jeszcze dwoje z tych samobójców. W jakim stanie zostali znalezieni Grimm i Perrault? – zapytał, czując, że jego serce bez powodu zaczyna kołatać.

– Powieszeni.

– Zgadza się. Gdy zapytałem cię, w jaki sposób zabiła się siostra Érica Lombarda, powiedziałeś mi, że podcięła sobie żyły. Taka jest wersja oficjalna. Ale dziś wieczorem odkryłem, że tak naprawdę ona też się powiesiła. Dlaczego Lombard skłamał w tej sprawie? Czy nie po to, by uniknąć bezpośrednich skojarzeń między samobójstwem Maud a morderstwami?

– Czy ta psycholożka jeszcze komuś o tym mówiła?

– Nie, nie sądzę. Poradziłem jej, żeby jechała do Saint-Martin i skontaktowała się z Cathy

d'Humières.

– Sądziś więc...?

– Sądzę, że Éric Lombard jest sprawcą morderstw Grimma i Perraulta – wyartykułował Servaz. Miał wrażenie, że język przykleja mu się do podniebienia, a mięśnie żuchwy sztywnieją. – Sądzę, że się mści za to, co zrobili jego siostrze, siostrze, którą uwielbiał, i że słusznie obarcza ich winą za jej samobójstwo i za samobójstwa pozostałej siódemki młodych ludzi, którzy padli ofiarą kwartetu Grimm-Perrault-Chaperon-Mourrenx. Sądzę, że uknuł makiaweliczny plan, by samemu wymierzyć sprawiedliwość, odsuwając jednocześnie podejrzania od własnej osoby. Skorzystał z pomocy współpracownicy w Instytucie Wargniera i być może jeszcze kogoś w ośrodku jeździeckim.

Popatrzył na swoją lewą rękę. Podskakiwała na podłokietniku. Na próżno próbował ją unieruchomić. Podniósł wzrok i zauważył spoczywające na niej spojrzenie Saint-Cyra.

– Lombard to niesłychanie inteligentny człowiek. Zrozumiał, że prędzej czy później ci, którzy będą prowadzili śledztwo w sprawie morderstw, mogą je skojarzyć z falą samobójstw wśród nastolatków sprzed piętnastu lat, w tym z samobójstwem jego siostry. Najwyraźniej uznał, że najlepszym sposobem na odsunięcie podejrzeń od niego jest znalezienie się wśród ofiar. Konieczne więc było, by sam stał się celem pierwszej zbrodni. Ale jak to zrobić? Zabicie niewinnego człowieka nie wchodziło dla niego w grę. W którymś momencie musiał doznać oświecenia: zabić istotę, na której zależy mu bardziej niż na czymkolwiek innym. Ukochanego konia. Oto zbrodnia, o którą nikt nie będzie mógł go podejrzewać. Możliwe, że okupił tę decyzję ogromnym bólem. Ale czyż mogło istnieć lepsze alibi niż ta masakra, która wydarzyła się w czasie, gdy niby był w Stanach? To dlatego psy w stadninie nie szcekały. To dlatego koń nie rżał. Być może oprócz szefowej pielęgniarek w Instytucie ma także współnika w ośrodku jeździeckim. Bo trzeba było przynajmniej dwóch osób, by przetransportować konia na górę. I alarm w ośrodku nie zadziałał. Ale, podobnie jak w przypadku Grimma i Perraulta, także po to, by być pewnym, że Freedom nie będzie cierpiał, nie mógł pozwolić, by ktokolwiek inny zajął się zabiciem zwierzęcia. On nie jest z tych: Éric Lombard to siłacz, miłośnik przygód, wojownik, przyzwyczajony do ekstremalnego ryzyka i brania na siebie odpowiedzialności. I nie boi się, że sobie pobrudzi ręce. – Czy to efekt wyczerpania? Brak snu? Servazowi wydawało się, że jego wzrok zaczyna się rozmywać, tak jakby nagle założył źle dobrane okulary. – Sądzę też, że Lombard albo któryś z jego ludzi zaszantażował dwóch strażników z elektrowni. Bez wątplenia zagroził im, że wyładują w więzieniu, albo kupił ich milczenie. Zresztą Lombard musiał bardzo szybko zrozumieć, że hipoteza z Hirtmannem długo się nie utrzyma. Ale nie musiało mu to przeszkadzać: to była tylko pierwsza zasłona dymna. Ostatecznie nie przeszkodził mu również fakt, że dotarliśmy do fali samobójstw sprzed piętnastu lat. Przeciwnie, to tylko zwiększało liczbę tropów. Winnym mógł być którykolwiek z rodziców albo nawet jeden z dorosłych już dziś nastolatków zgwałconych przez członków kwartetu. Zastanawiam się, czy wiedział o Ziegler, o tym, że ona też była w ośrodku. I że może być idealną podejrzaną. Czy to tylko zwykły zbieg okoliczności.

Saint-Cyr milczał, skupiony i posepny. Servaz wytarł mankietem pot, który spływał mu do oczu.

– Ostatecznie musiał uznać, że nawet gdyby nie wszystko, co wymyślił, zadziałało tak, jak przewidywał, to na tyle zamieszał w kartach, że odkrycie prawdy i dotarcie do niego jest prawie niemożliwe.

– Prawie. – Saint-Cyr uśmiechnął się smutno. – Oczywiście nie spodziewał się, że trafi na kogoś takiego jak ty.

Servaz zauważył, że ton sędziego się zmienił. Zauważył też, że stary uśmiecha się do niego jednocześnie z podziwem i jakąś dwuznacznością. Spróbował poruszyć dłoń. Już się nie trzęsła. Ale nagle poczuł, że ma ramię ciężkie jak z ołowiu.

– Jesteś wybitnym detektywem – docenił go Saint-Cyr lodowatym głosem. – Gdybym miał pod sobą kogoś takiego jak ty, kto wie, ile spraw umorzonych z braku dowodów udałoby mi się rozwiązać?

W kieszeni Servaza zaczął dzwonić telefon. Policjant chciał po niego sięgnąć, ale poczuł, jakby jego ramię zalano szybkowiążącym cementem. Przesunięcie ręki o zaledwie kilka centymetrów trwało nieskończoność! Komórka dzwoniła długo, rozdzierając ciszę, która zapadła między dwójką mężczyzn, a potem rozległ się sygnał SMS-a i telefon zamilkł. Sędzia utkwili spojrzenie w policjancie.

– Czu... czuję się... Dziwnie... – wybełkotał Servaz, pozwalając, by jego ramię opadło.

Cholera! Co się z nim dzieje? Drętwiały mu szczęki. Mówił z wielkim trudem. Spróbował wstać, podpierając się rękami o podłokietniki. Pokój natychmiast zawirował mu przed oczami. Bez sił opadł na fotel. Miał wrażenie, że słyszy, jak Saint-Cyr mówi: „Włączenie w to Hirtmanna to był błąd...”. Zastanawiał się, czy dobrze usłyszał. Wyteżał zaciemiony mózg, żeby się skupić na słowach, które wychodziły z ust sędziego:

– ...do przewidzenia: ego Szwajcara wzięło górę, można się było tego spodziewać. W zamian za DNA wyciągał od Élisabeth informacje, a potem naprowadził cię na trop tych nastolatków dla czystej przyjemności pokazania, kto rozdaje karty. To łechtalo jego próżność. Jego potężną pychę. Wygląda na to, że wpadłeś mu w oko.

Servaz próbował zmarszczyć brwi. Czy to naprawdę Saint-Cyr z nim rozmawia? Przez moment wydawało mu się, że widzi przed sobą Lombarda. Potem zamrugał powiekami, by strącić pot, który palił go w oczy, i zobaczył, że sędzia siedzi w tym samym miejscu. Saint-Cyr wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer.

– Lisa? Tu Gabriel. Wygląda na to, że ta mała ciekawska nikomu więcej o tym nie powiedziała. Zdążyła tylko powiadomić Martina. Tak, jestem pewien. Tak, panuję nad sytuacją. – Rozłączył się i skierował uwagę na Servaza. – Opowiem ci pewną historię – zaczął. Komendant miał wrażenie, że głos sędziego dochodzi do niego z głębi tunelu. – Historię małego chłopca, który był synem porywczego tyra. Był to bardzo inteligentny, cudowny mały chłopiec. Kiedy do nas przychodził, zawsze przynosił bukiet kwiatów zerwanych po drodze albo garść kamyków zebranych na brzegu strumienia. Nie mieliśmy z żoną dzieci. Wystarczy powiedzieć, że pojawienie się Érica w naszym życiu było darem z nieba, promykiem słońca. – Wykonał gest, jakby chciał utrzymać to wspomnienie na dystans, by nie ulec emocjom. – Ale na błękitnym niebie była chmura. Ojciec Érica, słynny Henri Lombard, zaprowadził wokół siebie terror, zarówno w swoich fabrykach, jak i w domu, w znanym ci zamku. Choć chwilami bywał dla swoich dzieci kochającym i czułym ojcem, kiedy indziej terroryzował je swoimi wybuchami furii, krzykami i ciosami, którymi okładał ich matkę. Nie trzeba chyba mówić, że zarówno Éric, jak i Maud byli głęboko zranieni przez atmosferę panującą w zamku.

Servaz bezskutecznie usiłował przełknąć ślinę. Spróbował się poruszyć. Telefon w jego kieszeni znowu się rozdzwonił, a potem umilkł.

– Mieszkaliśmy wówczas z żoną w domu w lesie, niedaleko zamku, nad tym samym

potokiem – ciągnął Saint-Cyr, nie zwracając uwagi na telefon. – Choć Henri Lombard był człowiekiem podejrzliwym, paranoikiem, tyranem i, co tu kryć, szaleńcem, nigdy nie otoczył swojej posiadłości ogrodzeniami, drutem kolczastym ani kamerami, tak jak wygląda to dzisiaj. W tamtych czasach to nie było przyjęte. Nie było tylu zagrożeń i takiej przestępczości. Mimo wszystko świat był jeszcze ludzki. Krótko mówiąc, nasz dom był dla młodego Érica schronieniem. Chłopak spędzał w nim często całe popołudnia. Czasami przyproceedzał Maud, śliczną dziewczynkę o smutnym spojrzeniu, która prawie nigdy się nie uśmiechała. Éric bardzo ją kochał. Już jako dziesięcioletek postanowił, że musi ją chronić. – Zrobił krótką przerwę. – Prowadziłem intensywne życie zawodowe i rzadko bywałem w domu, ale od czasu, gdy Éric pojawił się w naszym życiu, starałem się, kiedy tylko mogłem, znajdować wolne chwile. Zawsze byłem szczęśliwy, gdy widziałem, jak pojawia się na drodze prowadzącej z zamku do naszego domu, sam albo z siostrą, którą ciągnął za sobą. W sumie spełniałem rolę, której nie spełniał jego ojciec. Wychowałem to dziecko jak własne. To moja największa chluba. Mój największy sukces. Uczyłem go wszystkiego, co sam potrafiłem. Był ogromnie pojętym chłopcem. Zwracał po stokroć to, co mu się ofiarowało. Zobacz, kim jest dzisiaj! Nie tylko dzięki odziedziczonemu imperium. Nie. Także dzięki moim lekcjom, dzięki naszej miłości.

Servaz zauważył ze zdumieniem, że stary sędzia płacze, a strumienie łez spływają po jego pociętych bruzdami policzkach.

– A potem wydarzyło się tamto. Pamiętam dzień, kiedy znaleźli Maud powieszoną na huśtawce. Od tego czasu Éric nie był już taki jak dawniej. Zamknął się w sobie, stał się bardziej ponury, oschły. Otoczył się pancierzem. Wyobrażam sobie, że musiało mu to pomagać w interesach. Ale to już nie był ten Éric, którego znałem.

– Co się... Co... się... Stało... z...?

– Co się stało z Maud? Éric wszystkiego mi nie powiedział, ale sądzę, że spotkała na swojej drodze tych drani.

– Nie... potem...

– Lata mijały. Kiedy Maud się zabiła, Éric właśnie odziedziczył imperium, jego ojciec zmarł rok wcześniej. Érica pochłoneła praca, jednego dnia był w Paryżu, a następnego w Nowym Jorku albo w Singapurze. Nie miał już ani chwili dla siebie. Potem znów zaczęły go dręczyć pytania i wątpliwości w sprawie śmierci siostry. Zrozumiałem to, gdy któregoś dnia przyszedł do mnie i zaczął mnie wypytywać. To było kilka lat temu. Postanowił sobie, że dojdzie prawdy. Zatrudnił prywatne biuro detektywistyczne. Ludzi niezbyt przebiegających w środkach i niezważających na etykę, którym bardzo drogo zapłacił za milczenie. Musieli pokonać mniej więcej tę samą drogę, którą ty przeszedłeś, i odkryć prawdę na temat tych czterech mężczyzn... Od tamtej chwili Éric mógł sobie bez trudu wyobrazić, co się przydarzyło jego siostrze, a przed nią innym kobietom. Postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość. Dysponował niezbędnymi środkami. Z uwagi na pozycję, jaką zajmował, miał ograniczone zaufanie do wymiaru sprawiedliwości w tym kraju. Znalazł nieocenioną pomoc w osobie swojej kochanki Lisy Ferney. Okazało się bowiem, że Lisa nie tylko dorastała w tej okolicy i jest zakochana w Éricu Lombardzie. Była także ofiarą kwartetu.

Blask świec i lamp raził Servaza w oczy. Policjant był mokry od potu.

– Jestem stary, mój czas się kończy – powiedział Saint-Cyr. – Rok, pięć, dziesięć lat. Cóż to zmienia? Mam już życie za sobą. Czas, który mi został, będzie już tylko długim oczekiwaniem końca. Dlaczego go nie skrócić, jeśli moja śmierć mogłaby komuś lub czemuś służyć? Komuś

tak wybitnemu i znaczącemu jak Éric Lombard.

Servaz poczuł, że ogarnia go panika. Jego serce kołatało tak mocno, że był przekonany, że za chwilę dostanie zawału. Ale wciąż nie mógł się ruszyć. A pokój wokół niego był teraz całkowicie rozmyty.

– Zostawię list z informacją, że to ja popełniłem wszystkie te zbrodnie – oświadczył Saint-Cyr zadziwiająco spokojnym i zdecydowanym głosem. – Po to, żeby wreszcie stało się zadość sprawiedliwości. Wielu ludzi wiedziało, jak bardzo dręczyła mnie sprawa tych samobójstw. Nikogo to więc nie zdziwi. Powiem, że zabiłem konia, bo sądziłem, że Henri, ojciec Érica, także brał udział w gwałtach. I że zabiłem ciebie, ponieważ mnie zdemaskowałeś. Po czym zrozumiałem, że sytuacja jest bez wyjścia, i tknięty wyrzutami sumienia uznałem, że lepiej będzie, jeśli przed śmiercią do wszystkiego się przyznam. Bardzo piękny, wzruszający i pełen godności list: już go napisałem.

Pomachał nim przed nosem Servaza. Trwoga, która opanowała policjanta, na chwilę przegnała mgłę zalegającą na jego umyśle i trochę go otrzeźwiła.

– To... to... na nic... Diane Berg... ma dowody wi... winy. Roz-mawia... z Ca-thy... d’Hu... d’Humières...

Gabriel Saint-Cyr ciągnął niewzruszony:

– Z drugiej strony dziś w nocy znajdą tę psycholożkę martwą. Po śledztwie w jej papierach zostanie odkryty formalny dowód na to, że przyjechała ze Szwajcarii tylko w jednym celu: aby pomóc Julianowi Hirtmannowi, swojemu rodakowi i byłemu kochankowi, w ucieczce.

– Dla... czego... to... robisz?

– Mówiłem ci: Éric to moja największa chluba. To ja go wychowałem. Ja zrobiłem z niego mężczyznę, jakim jest dzisiaj. Wybitnego biznesmena, ale także prawego człowieka, przykład do naśladowania. Syna, którego nie miałem...

– On jest... zamieszany... w... w malwersacje... korupcję... wyko... rzystywanie... dzieci...

– Kłamiesz! – krzyknął Saint-Cyr, zrywając się z fotela.

Miał w ręku broń... Pistolet automatyczny...

Servaz wytrzeszczył oczy. Pot kapiący z brwi natychmiast sprawił, że zapiekła go rogówka. Policjant miał wrażenie, że głos Saint-Cyra, dźwięki i zapachy stały się zbyt wyraźne. Wszystkie jego zmysły były bombardowane przyprawiającymi o paroksyzm doznaniem, które drażniły jego nerwy.

– To środki halucynogenne – powiedział Saint-Cyr, znowu się uśmiechając. – Nie wyobrażasz sobie, jakie dają możliwości. Nie bój się: narkotyki, które połykałeś we wszystkich posiłkach, jakimi cię częstowałem, nie były śmiertelne. Miały tylko osłabić twoje możliwości intelektualne i fizyczne i spowodować, by twoje reakcje były podejrzane dla niektórych ludzi i dla ciebie samego. Ten, który dodałem do wina, na jakiś czas cię sparaliżuje. Ale nie zdązysz się obudzić. Wcześniej będziesz martwy. Martin, naprawdę bardzo mi przykro, że muszę się posunąć do ostateczności. Niewątpliwie jesteś najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego od dłuższego czasu spotkałem.

Servaz rozdziawił usta jak ryba, którą wyjęto z wody. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się głupio w Saint-Cyra. Nagle opanowała go złość. Przez jakieś pieprzone prochy umrze z taką debilną miną!

– Ja, który spędziłem życie, walcząc z przestępczością, skończę jako morderca – powiedział

gorzko sędzia. – Ale nie dałeś mi wyboru: Éric Lombard musi pozostać na wolności. Ten człowiek ma mnóstwo planów. Dzięki organizacjom, które finansuje, dzieci mają co jeść, artyści mogą pracować, studenci otrzymują stypendia... Nie pozwolę, by jakiś mały glina zламаł życie jednego z najwybitniejszych ludzi tych czasów. Który zawinił tylko tym, że wymierzył sprawiedliwość na własną rękę w kraju, w którym to słowo już dawno straciło właściwy sens.

Servaz się zastanawiał, czy sędzia mówi o tym samym człowieku: o tym, który do spółki z innymi firmami farmaceutycznymi zrobił wszystko, by przeszkodzić afrykańskim krajom w produkcji leków przeciwko AIDS i zapaleniu opon mózgowych, o tym, który zachęca swoich podwykonawców do stosowania wyzysku wobec kobiet i dzieci w Indiach i Bangladeszu, o tym, którego prawnicy wykupili Polytex wyłącznie ze względu na patenty, by potem zwolnić robotników. Kim jest prawdziwy Éric Lombard? Cynicznym i pozbawionym skrupułów biznesmenem czy mecenasem i filantropem? Chłopcem, który chronił swoją małą siostrzyczkę, czy rekinem żerującym na ludzkiej nędzy? Nie był w stanie jasno myśleć.

– Ja... ta... psycholożka... – wyartykułował. – Morder-stwa... Prze... kreślasz... wszystkie... twoje... zasa... skończysz... w skórze... morder-cy...

Zobaczył cień wątpliwości na twarzy sędziego. Saint-Cyr energicznie potrząsnął głową, jakby chciał je przegnać.

– Odchodzę bez żalu. To prawda: Nigdy, przez całe moje życie, nie łamałem pewnych zasad. Ale teraz te zasady są deptane. Miernota, nieuczciwość i cynizm stały się dziś regułą. Dzisiejsi ludzie chcą żyć jak dzieci. Bez odpowiedzialności. Jak głupcy. Przestępcy. Idioci pozbawieni jakiegokolwiek moralności... Niedługo zmiecie nas z powierzchni ziemi fala barbarzyństwa, jakiej dotychczas nie było. Już widać pierwsze zwiastuny. I kto się będzie użalał nad naszym losem? Przez egoizm i chciwość trwonimy dziedzictwo naszych przodków. Tylko nieliczni, tacy jak Éric, utrzymują się jeszcze na powierzchni tego błota...

Pomachał bronią przed nosem Servaza. Choć policjant był przygwożdżony do fotela, w jego ciało wstępował gniew, który działał jak antidotum na truciznę, która płynęła z żołądka do żył. Servaz rzucił się do przodu. Ale gdy tylko zdołał odkleić się od fotela, zrozumiał, że jego usiłowania są daremne. Nogi się pod nim rozjechały, a Saint-Cyr odsunął się i patrzył, jak upada i uderza w stół, przewracając przy okazji wazon i lampę. Oślepiający blask żarówki uderzył w jego nerwy wzrokowe, wazon roztrzaskał się na podłodze. Servaz leżał na brzuchu na perskim dywanie. Światło lampy, która leżała tuż przy jego twarzy, parzyło go w oczy. Uderzając o stół, rozciął sobie czoło i krew spływała mu na brwi.

– Daj spokój, Martin, to nic nie da – powiedział Saint-Cyr pobłażliwie.

Z wysiłkiem uniósł się na łokciach. Wściekłość płonęła w nim jak rozżarzone węgle. Światło go oślepiało. Czarne plamy tańczyły mu przed oczami. Widział tylko jakieś blaski i cienie.

Podczołgał się wolno do Saint-Cyra i wyciągnął rękę w kierunku jego nogawki, ale ten się odsunął. Servaz widział między nogami sędziego ogień płonący w kominku. Blask płomieni raził go w oczy. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

– Niech pan odłoży broń! – odezwał się ktoś po lewej.

Servaz już kiedyś słyszał ten głos, ale jego sparaliżowany narkotykiem mózg nie potrafił mu przypisać żadnego imienia. Usłyszał strzał, potem drugi. Zobaczył, jak Saint-Cyr podskakuje i pada na kominek. Jego ciało odbiło się od kamiennego obramowania blatu i upadło na Servaza, który zdążył schylić głowę. Gdy ją podniósł, ktoś zdejmował z niego trupa, ciężkiego jak ciało konia.

– Martin! Martin! Wszystko w porządku?

Otworzył szeroko oczy, jakby chciał usunąć rzęsę. Niewyraźna twarz tańczyła przed jego załzawionymi oczami. Irène... Ktoś stał za nią... Maillard...

– Wo... Wody...

Irène Ziegler rzuciła się do kuchni, napełniła szklankę wodą i przyłożyła mu ją do warg. Servaz przełykał powoli, bolały go mięśnie żuchwy.

– Pomóż... mi... do... łazienki...

Żandarmi chwycili go pod pachy i podtrzymali. Za każdym krokiem Servaz miał wrażenie, że zaraz się przewróci.

– Lom-bard... – wyjąkał.

– Co?

– Blo... blo-kady...

– Już są – odpowiedziała pośpiesznie Irène. – Wszystkie drogi w dolinie zostały zablokowane po telefonie twojego asystenta. Nie da się opuścić doliny drogą.

– Vin-cent?

– Tak. Zdobył dowód na to, że Éric Lombard skłamał i wcale nie był w Stanach tej nocy, gdy zginął Freedom.

– Heli...

– Niemożliwe. Nie da rady wystartować przy tej pogodzie.

Pochylił się nad umywalką. Ziegler odkręciła kurek i ochlapała go zimną wodą. Servaz schylił się jeszcze bardziej i włożył twarz pod strumień. Lodowata woda podziałała na niego jak porażenie prądem. Zaczął kasłać i płuć. Jak długo stał nad umywalką, zanim odzyskał oddech i siły? Nie potrafił powiedzieć.

Kiedy się podniósł, czuł się już znacznie lepiej. Działanie narkotyku zaczęło ustępować. Nagle poczuł gwałtowny niepokój, który przemógł jego otępienie. Muszą działać... Szybko...

– Gdzie są... Cathy...?

– Czekają na nas. W żandarmerii. – Ziegler spojrzała na niego. – Okay. Jedziemy. Nie możemy tracić czasu.

Lisa Ferney zatrzasnęła klapkę telefonu. W drugiej dłoni trzymała pistolet. Diane ani trochę nie знаła się na broni, obejrzała jednak wystarczająco dużo filmów, żeby wiedzieć, że duży cylinder na końcu lufy to tłumik.

– Szczerze się obawiam, że nikt nie przyjdzie pani ratować, Diane – powiedziała szefowa pielęgniarek. – Za mniej niż pół godziny policjant, z którym pani rozmawiała, będzie martwy. To prawdziwe szczęście, że mój wieczór się nie udał z winy tego gliniarza.

– Potrafi się pani tym posługiwać? – zapytała Diane, wskazując na broń.

– Nauczyłam się. Należę do klubu strzeleckiego. To Éric mnie w to wprowadził. Éric Lombard.

– Pani kochanek. I pani wspólnik.

– Nieładnie grzebać w cudzych rzeczach – zakpiła pielęgniarka. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, Diane, ale kiedy Wargnier uznał, że potrzebuje asystenta, miał do wyboru wiele kandydatur, nawiasem mówiąc przy okazji mnie obraził, mówiąc, że nie mam wymaganych

kwalifikacji. To ja panią wybrałam i nalegałam, żeby pani otrzymała to stanowisko.

– Dlaczego?

– Bo jest pani Szwajcarką.

– Jak to?

Lisa Ferney otworzyła drzwi i rzuciła okiem na cichy korytarz, nie przestając celować w Diane.

– Tak jak Julian... Kiedy zobaczyłam pani kandydaturę wśród innych podań, uznałam, że to bardzo dobra wróżba dla naszych planów.

– Jakich planów?

– Zabicia tych kanalii.

– Kogo?

– Grimma, Perraulta i Chaperona.

– Za to, co zrobili w ośrodku kolonijnym. – Diane przypomniała sobie karteczkę w biurku Xaviera.

– Właśnie. W ośrodku i gdzie indziej. Ta dolina to był teren ich łowów.

– Widziałam kogoś w ośrodku... Kogoś, kto szlochał i krzyczał... To któraś z ich dawnych ofiar?

Lisa rzuciła jej przenikliwe spojrzenie, jakby się zastanawiała, co Diane właściwie wie.

– Tak, Mathias. Biedak nigdy się po tym nie pozbierał. Zwariował. Ale jest niegroźny.

– Ciągle nie widzę, jaki to ma związek ze mną.

– Nieważne – powiedziała Lisa Ferney. – Będzie pani osobą, która przyjechała ze Szwajcarii, żeby pomóc Hirtmannowi w ucieczce, Diane. Która podłożyła ogień pod Instytut i poprowadziła Juliana do wyjścia. Ale cóż za niefort, niewdzięczny Julian nie oprze się swoim od dawna powstrzymywanym popędom. Nie oprze się pokusie zabicia swojej rodaczki i współniczki, czyli *pani*. Koniec historii.

Diane znieruchomiała. Ogarnęła ją czysta groza.

– Na początku zastanawialiśmy się nad różnymi sposobami zmylenia tropów. Ale ja od razu pomyślałam o Julianie. Co ostatecznie okazało się błędem. Z kimś takim jak Julian zawsze jest coś za coś. W zamian za ślinę i krew chciał informacji, po co nam one. Ale jego wymagania na tym się nie skończyły. Musiałam mu coś obiecać. I tu właśnie pani wkracza do akcji, Diane...

– To bez sensu. Wiele osób w Szwajcarii mnie zna. Nikt nie uwierzy w taką historię.

– Ale to nie szwajcarska policja będzie prowadzić śledztwo. A poza tym wszyscy wiedzą, że to miejsce może wywierać niekorzystny wpływ na osoby o wrażliwej psychice. Doktor Wargnier miał w stosunku do pani pewne wątpliwości. W pani głosie i mailach dostrzegał „podatność na zranienia”. Gdy przyjdzie pora, nie omieszkam wspomnieć o tym policji, która z kolei nie omieszka zapytać Wargnier. A Xavier, który nie chciał pani obecności tutaj, nie zaprzeczy. Widzi pani: ostatecznie tak wiele przeciwko pani przemawia... Nie trzeba było wchodzić mi w drogę, Diane. Byłam zdecydowana pozostawić panią przy życiu. Spędziłaby pani tylko parę lat w więzieniu.

– Ale nie może pani zwalić na mnie sprawę z DNA – powiedziała Diane w przyływie desperacji.

– To prawda. Do tego przeznaczaliśmy innego kandydata. Od kilku miesięcy przelewamy pieniądze na konto Monsieur Monde’a. W zamian przymyka oczy na moje spacerunki do sektora

A i moje drobne konszachty z Hirtmannem. Tyle że te pieniądze obrócą się przeciwko niemu, kiedy policja odkryje, że przelewów dokonywano ze Szwajcarii, i gdy znajdą u niego strzykawkę ze śladami krwi Juliana.

– Jego też zabijecie? – Diane czuła, że kręci jej się w głowie i że spada w głąb studni bez dna.

– A jak pani sądzi? Myśli pani, że zamierzam spędzić resztę życia w więzieniu? No dobrze. Straciłyśmy już dość czasu.

– Państwo na mnie czekali?

Na dźwięk jego głosu Cathy d’Humières aż podskoczyła. Odwróciła się w stronę drzwi. Na dłuższą chwilę jej wzrok zatrzymał się na Servazie, po czym powędrował ku Ziegler i Maillardowi, a następnie wrócił do policjanta.

– Wielkie nieba! Co się panu stało?

W pobliżu drzwi wisiało zdjęcie za szkłem i Servaz zobaczył swoje odbicie. Czarne cienie pod przekrwionymi oczami, błędny wzrok.

– Wytłumacz im – powiedział do Ziegler i opadł na krzesło. Podłoga ciągle trochę tańczyła mu pod stopami.

Irène Ziegler opowiedziała, co się stało. D’Humières, Confiant i dwie woskowe figury wysłuchali jej w milczeniu. To prokurator po telefonie Espérandieu zadecydowała o zwolnieniu Ziegler. A intuicja Irène, że Servaz pojechał do swojego mentora, uratowała policjantowi życie. To oraz fakt, że młyn leży w odległości pięciu minut jazdy samochodem od posterunku żandarmerii.

– Saint-Cyr! – rzuciła d’Humières, potrząsając głową. – Nie mogę w to uwierzyć!

Servaz wrzucił musującą aspirynę do szklanki z wodą. Nagle mgła oblepiająca jego umysł się rozstąpiła i od początku do końca zobaczył to, co wydarzyło się w młynie. Patrzył na nich szeroko otwartymi oczami.

– Cholera! – wychrypiął. – Kiedy byłem zamroczony, Saint-Cyr telefonował do tej... Lisy z Instytutu... Żeby jej powiedzieć, że ta psycholożka nikomu oprócz mnie o tym nie mówiła i że kontroluje sytuację. Tuż przed tym, jak próbował mnie...

D’Humières zbladła.

– To znaczy, że dziewczyna jest w niebezpieczeństwie! Maillard, ekipa nadal pilnuje Instytutu? Niech pan powie swoim ludziom, żeby natychmiast interweniowali!

Cathy d’Humières wyjęła telefon i wybrała numer. Po kilku sekundach zrezygnowała.

– Doktor Xavier nie odbiera.

– Trzeba przesłuchać Lombarda – powiedział Servaz z trudem. – I przydzielić mu obserwację. Tylko pytanie, jak się do tego zabrać. Może być wszędzie: w Paryżu, w Nowym Jorku, na którejś ze swoich wysepek albo tutaj. Ale wątpię, żeby nam o tym ot tak powiedzieli.

– Jest tutaj – odezwał się Confiant.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego stronę.

– Zanim tu przyjechałem, na jego prośbę byłem w zamku, żeby poinformować go o postępach śledztwa. Tuż przed tym, jak zadzwonił pana asystent – powiedział do Servaza. – Nie zdążyłem, eee... o tym powiedzieć. Za dużo się potem działo...

Servaz zastanawiał się, ile razy od początku śledztwa młody sędzia odwiedził zamek.

– Później o tym porozmawiamy – rzuciła d’Humières surowym tonem. – Wszystkie drogi wyjazdowe z doliny są zablokowane? Świetnie. Skontaktujemy się z dyrekcją policji. Chcę, żeby przeszukano mieszkanie Lombarda w Paryżu w tym samym czasie, gdy będziemy przeszukiwać zamek. Ludzie muszą być doskonale skoordynowani. I dyskretni. Wtajemniczymy w sprawę jedynie absolutnie niezbędne osoby. Popęłił błąd, uderzając w jednego z moich ludzi – dodała, patrząc na Servaza. – Lombard czy nie, przekroczył granicę. A ten, kto ją przekracza, ma do czynienia ze mną. – Wstała. – Muszę zadzwonić do kancelarii. Mamy bardzo mało czasu na wysłanie ludzi na miejsce i ustalenie szczegółów. Potem przejdziemy do akcji. Nie mamy ani minuty do stracenia.

Przy stole natychmiast rozgorzała dyskusja. Nie wszyscy podzielali zdanie d’Humières. Podoficerowie żandarmerii się wahali. Lombard to gruba ryba. W grę wchodziły kariery, sprawa hierarchii i inne poboczne aspekty.

– W jaki sposób Vincent się dowiedział, że Lombard nie był w Stanach? – zapytał Servaz.

Ziegler mu opowiedziała. Mieli szczęście. Po anonimowym donosie brygada finansowa z Paryża przeprowadziła kontrolę księgowości w niektórych spółkach podlegających grupie. Zapowiadał się wielki skandal. Przed kilkoma dniami podczas sprawdzania ksiąg rachunkowych Lombard Média wykryto jeszcze jedną nieprawidłowość: przelew 135 tysięcy dolarów z konta Lombard Média na rachunek spółki zajmującej się produkcją reportaży telewizyjnych oraz stosowne faktury. Po rutynowej kontroli w tej firmie okazało się, że tamten reportaż nigdy nie został nakręcony i że faktury są fikcyjne. Oczywiście firma ta regularnie pracuje dla Lombard Média, ale tym razem nie zamówiono żadnego reportażu, którego cena odpowiadałaby tej sumie. Policjanci z brygady finansowej próbowali więc dojść, na jaki cel mogły zostać przeznaczone te pieniądze, a przede wszystkim dlaczego spółce zależało na ukryciu tego wydatku. Łapówka? Defraudacja środków? Otrzymali kolejny nakaz sądowy, tym razem dotyczący kontroli banku, który obsługiwał przelew, i poprosili o dane rzeczywistego beneficjenta. Niestety autorzy tej malwersacji podjęli wszelkie możliwe środki ostrożności: suma została przelana na kilka godzin na konto w Londynie, następnie na konto na Wyspach Bahama i wreszcie na kolejne, na Karaibach. Tu ślad się urwał. W jakim celu dokonano przelewu? 135 tysięcy dolarów to okrągła sumka, a jednocześnie drobniaczek dla imperium Lombarda. Wezwali więc prezesa wykonawczego Lombard Média i zagrozili mu, że zostanie oskarżony o fałszowanie dokumentów. Facet się przestraszył i w końcu uchylił rąbka tajemnicy: operację przeprowadzono w trybie pilnym na prośbę samego Érica Lombarda. Przysiągł, że nie wie, na co przeznaczono tę sumę. Ponieważ Vincent poprosił brygadę finansową o zgłaszanie mu wszelkich nieprawidłowości, do których doszło w ostatnim czasie, jego informatorka powiadomiła go o tym zdarzeniu, choć pozornie wydawało się ono nie mieć nic wspólnego ze śmiercią konia.

– Faktycznie, jaki tu związek? – zapytała jedna z szyc z żandarmerii.

– No cóż – powiedziała Ziegler – porucznik Espérandieu wpadł na pewien pomysł. Zatelefonował do linii lotniczych czarterujących samoloty dla bogatych biznesmenów. Okazało się, że taka kwota w zupełności wystarczyła na pokrycie kosztów transatlantyckiego lotu w tę i z powrotem na pokładzie prywatnego odrzutowca.

– Éric Lombard ma własne samoloty i własnych pilotów – zaproponował podoficer. – Po co miałby korzystać z innych linii?

– Po to, żeby po tym locie nigdzie nie było śladu, żeby nie pojawił się w żadnym miejscu

w rachunkach grupy – wyjaśniła Ziegler. – Pozostawało jedynie ukryć sam wydatek.

– Stąd sfinansowany reportaż – zrozumiała d’Humières.

– Właśnie.

– To ciekawe – powiedział podoficer. – Ale to tylko domniemania.

– Nie do końca. Porucznik Espérandieu doszedł do wniosku, że jeśli Éric Lombard wrócił po kryjomu ze Stanów tej nocy, kiedy zabito konia, musiał wylądować niedaleko stąd. Obdzwoił więc różne lotniska w tej strefie, zaczynając od najbliższego i stopniowo przechodząc ku dalszym: Tarbes, Pau, Biarritz... Przy trzecim bingo. Prywatny odrzutowiec amerykańskich linii lotniczych rzeczywiście wylądował na lotnisku Biarritz-Bayonne we wtorek 9 grudnia wieczorem. Jak wynika z posiadanych przez nas informacji, Éric Lombard przedostał się na terytorium Francji pod cudzym nazwiskiem, na fałszywych papierach. Nikt go nie widział. Samolot został na lotnisku jakieś dwanaście godzin i odleciał wczesnym rankiem. To wystarczająco dużo czasu, by pokonać samochodem trasę Bayonne–Saint-Martin, dostać się do stadniny, zabić konia, powiesić go na górnej stacji kolejki i wrócić.

Teraz wszyscy intensywnie wpatrywali się w Irène Ziegler.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnęła. – Lotnisko w Biarritz zachowało nazwę tych amerykańskich linii w rejestrze nocnych lotów i w formularzu planu lotów. Vincent Espérandieu zadzwonił więc do jednego ze swoich informatorów w Interpolu, a ten skontaktował się z informatorem w FBI. Funkcjonariusze FBI byli u pilota dziś rano. A on formalnie rozpoznał Érica Lombarda. Jest gotów zeznawać jako świadek. – Popatrzyła na Servaza. – Lombard może już wiedzieć o naszych zamiarach. Prawdopodobnie ma własne kontakty w FBI albo w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Servaz podniósł rękę.

– Mam dwójkę ludzi, którzy trzymają straż przed zamkiem od wczesnego wieczoru – oświadczył. – Odkąd zacząłem podejrzewać, co się dzieje. Jeśli pan sędzia ma rację, Lombard nadal jest w środku. A przy okazji, gdzie jest Vincent?

– W drodze. Będzie tu za parę minut – odpowiedziała Ziegler.

Servaz wstał. Z trudem trzymał się na nogach.

– Twoje miejsce jest na oddziale detoksykacji – zaproponowała Irène. – Nie jesteś w stanie brać udziału w akcji. Potrzebne ci płukanie żołądka i opieka lekarza. Nawet nie wiemy, jaki narkotyk podał ci Saint-Cyr.

– Pójdę do szpitala, kiedy zakończymy tę sprawę. To także moje śledztwo. Zostanę na tyłach. Chyba że Lombard nie będzie robił problemów i wpuści nas do środka, ale to by mnie zdziwiło.

– Jeżeli w ogóle jeszcze tam jest – zauważyła d’Humières.

– Coś mi mówi, że jest.

Hirtmann wsłuchiwał się w podmuchy wiatru, które bombardowały okno zmrożonymi płatkami śniegu. Prawdziwa zamieć, pomyślał, uśmiechając się. Tego wieczoru, siedząc w głowach łóżka, zastanawiał się, co zrobi w pierwszej kolejności w dniu, gdy odzyska wolność. Regularnie oddawał się takim rozważaniom i za każdym razem, gdy to robił, wpadał w długotrwały stan błógiego rozmarzenia.

Jeden z jego ulubionych scenariuszy przewidywał, że pojedzie po pieniądze i dokumenty, które ukrył na pewnym cmentarzu w Sabaudii, w pobliżu granicy ze Szwajcarią. Zabawny

szczegół: pieniądze, sto tysięcy franków szwajcarskich w nominałach po sto i dwieście, oraz fałszywe papiery były zamknięte w odpornej na wilgoć i temperaturę skrzynce, umieszczonej w trumnie matki jednej z jego ofiar. Lokalizację cmentarza i trumny wskazała mu przed śmiercią sama ofiara. Za pomocą tych funduszy opłaci chirurga plastycznego z departamentu Var, który nigdy nie zaszczycał swoją obecnością jego „wieczory genewskie”. W innej kryjówce Hirtmann przechowywał kilka nagrań wideo pogrążających lekarza, którego przytomnie oszczędził podczas swojego procesu. Kiedy z zabandażowaną głową, w pokoju za tysiąc euro z oknami wychodzącymi na Morze Śródziemne, będzie czekał, aż wydobrzeje, zażąda najwyższej jakości wieży do słuchania ukochanego Mahlera oraz nocnych usług profesjonalnej call-girl.

Nagle jego rozmarzony uśmiech zniknął. Krzywiąc się, uniósł dłoń do czoła. TEN KUREWSKI LEK PRZYPRAWIAŁ GO O POTWORNE MIGRENY. Ach, ten kretyn Xavier i WSZYSCY CI ZIDIOCIALI PSYCHIATRY! Wszyscy są tacy sami z tą swoją szarlatanerią!

Poczuł, że ogarnia go gniew. Wściekłość torowała sobie drogę przez jego mózg, odłączając po kolei każdą racjonalną myśl, by wreszcie jak plama czarnego atramentu rozlać się w oceanie jego umysłu. Była jak żarłoczna kałamarnica, która wychodzi ze swojej dziury i pochłania całą jego świadomość. Miał ochotę walnąć pięścią w ścianę albo zrobić komuś krzywdę. Zgrzytał zębami i kręcił głową na wszystkie strony, skomląc i zawodząc jak kot, którego oblano wrzątkiem, aż w końcu się uspokoił. Czasami było mu szalenie trudno nad sobą zapanować, ale dzięki samodyscyplinie osiągnął kontrolę. Podczas licznych pobytów w szpitalach psychiatrycznych spędzał miesiące na czytaniu książek tych idiotów psychiatrów i opanował ich sztukę psychicznego kuglarstwa, ich iluzjonistyczne kombinacje, które ćwiczył i ćwiczył w swojej celi z wytrwałością, do jakiej zdolny jest tylko człowiek ogarnięty obsesją. Znał ich największą słabość: na całym świecie nie ma psychiatry, który nie miałby o sobie bardzo wysokiego mniemania. Znalazł się jednak wśród nich jeden, który odkrył jego mały podstęp i zabrał książki. Jedyne na kilkudziesięciu spotkanych do tej pory.

Nagle usłyszał świdrujący, przenikliwy dźwięk. Wstał ze swojego siedziska. Z korytarza dochodził ogłuszający ryk syreny. Miotła rozdzierające dźwiękowe strzały, przyprowadzając go o ból bębenków w uszach i nasilając migrenę.

Ledwie zdążył zadać sobie pytanie, co się właściwie dzieje, gdy rozbłysło światło. Siedział w półcieniu rozjaśnianym przez szarą poświatę płynącą z okna i pomarańczowy blask, który w regularnych odstępach wpadał przez świetlik w drzwiach. Alarm przeciwpożarowy!

Jego serce zaczęło bić z prędkością stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Pożar w Instytucie! Taka okazja może się nigdy nie powtórzyć...

Nagle drzwi się otworzyły i do celi wbiegła Lisa Ferney. W agresywnym, pulsującym pomarańczowym blasku wpadającym z korytarza wyglądała jak postać z chińskiego teatru cieni.

Trzymała w ręku podbitą polarem kurtkę, biały fartuch i białe spodnie oraz parę wysokich butów. Rzuciła mu odzież.

– Ubieraj się. Szybko!

Położyła też na stole maskę przeciwgazową z filtrem i okulary ochronne z pleksi.

– To też załóż. Pośpiesz się!

– Co się tam dzieje? – zapytał, wciągając w pośpiechu ubrania. – Coś się nie udało? Potrzebujecie dywersanta, tak?

– Nigdy w to nie wierzyłeś, prawda? – powiedziała z uśmiechem na ustach. – Robiłeś to, bo cię to bawiło. Sądziłeś, że nie wypełnię mojej części umowy. – Patrzyła na niego bez mrugnienia

okiem: Lisa należała do tych niewielu osób, które były do tego zdolne. – Co przewidziałeś dla mnie, Julianie? Jaką karę? – Wyjrzała przez okno. – Pośpiesz się! – powiedziała. – Nie mamy na to całej nocy.

– Gdzie są ochroniarze?

– Unieszkodliwiłam Monsieur Monde'a. Inni biegają tam i z powrotem, żeby uniemożliwić pacjentom ucieczkę. Pożar wyłączył system zabezpieczeń. Tej nocy drzwi są otwarte. Pośpiesz się! Na dole jest oddział żandarmów. Pożar i reszta pacjentów na moment ich zatrzymają.

Włożył maskę na twarz i zapiął taśmy z tyłu głowy. Lisa była zadowolona z rezultatu. W tym fartuchu, w masce i przy słabym oświetleniu był prawie nierozpoznawalny – tylko ten wzrost...

– Zejdź schodami do podziemi. – Podała mu mały klucz. – Gdy będziesz na dole, musisz tylko iść za strzałkami namalowanymi na ścianach, zaprowadzą cię prosto do ukrytego wyjścia. Wypełniłam moją część układu. Teraz twoja kolej.

– Moja kolej? – jego głos pod maską brzmiał dziwnie.

Wyjęła z kieszeni pistolet i podała mu.

– Znajdziesz Diane Berg związaną w podziemiach. Zabierz ją ze sobą. I zabij. Zostaw ciało gdzieś na zewnątrz i zniknij.

Na korytarzu było pełno dymu. Oślepiające rozbłyski alarmu przeciwpożarowego szarpały jego nerwy wzrokowe, a dźwięk syreny wyjącej tuż obok sprawiał, że pękały mu bębniaki w uszach. Na korytarzu nikogo nie było, a wszystkie drzwi były otwarte. Mijając je, Hirtmann zauważył, że cele są puste.

Monsieur Monde leżał na posadzce przeszklonej dyżurki ze straszną raną z tyłu głowy. Krew na podłodze... Dużo krwi... Przeszli przez otwartą szluzę i zobaczyli klatkę schodową wypełnioną dymem.

– Trzeba się śpieszyć! – W głosie Lisy po raz pierwszy słychać było panikę.

Blask świateł alarmowych rozświetlał jej kasztanowe włosy i barwił twarz na groteskowy pomarańczowy kolor, złobiąc cienie pod jej łukami brwiowymi i nosem, podkreślając kwadratowy kształt szczęki i sprawiając, że wyglądała trochę jak mężczyzna.

Zbiegali po schodach. Dym gęstniał. Lisa zakaszłała. Gdy znaleźli się na parterze, zatrzymała się i pokazała mu schody prowadzące do podziemia.

– Uderz mnie – powiedziała.

– Co?

– Wal! Pięścią w nos! Szybko!

Wahał się tylko przez moment. Uderzona pięścią Lisa upadła do tyłu. Krzyknęła i podniosła dłonie do twarzy. Przez chwilę z satysfakcją obserwował tryskającą krew. A potem zniknął.

Patrzyła, jak rozplywa się wśród dymu. Ból był silny, ale przede wszystkim Lisa czuła niepokój. Jeszcze zanim wzniesiła pożar, zauważyła, że żandarmi trzymający straż na zboczach schodzą w kierunku Instytutu. Co oni tu robią, skoro tamten glina jest nieżywy, a Diane wciąż siedzi związana i unieruchomiona na dole?

Zdarzyło się coś, czego nie zaplanowali...

Wstała. Miała krew na twarzy i na kitlu. Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

Servaz stał przed bramą zamku. Byli tam także Maillard, Ziegler, Confiant, Cathy d'Humières, Espérandieu, Samira, Pujol i Simeoni. Za nimi trzy furgonetki żandarmerii pełne uzbrojonych ludzi. Servaz dwukrotnie nacisnął dzwonek. Na próżno.

– I co? – zapytała Cathy d'Humières, klaszcząc dłońmi w rękawiczkach, by się rozgrzać.

– Nie odzywają się.

Tak intensywnie wydeptywali śnieg przed bramą, że ich ślady krzyżowały się i nachodziły jedne na drugie.

– Niemożliwe, żeby tam nikogo nie było – powiedziała Ziegler. – Nawet jeśli nie ma Lombarda, zawsze są jeszcze strażnicy i personel zamku. To znaczy, że postanowili nie odpowiadać.

Ich oddechy materializowały się w postaci białej pary, którą szybko rozwiewał porywisty wiatr.

Pani prokurator spojrzała na swój złoty zegarek. 0.36.

– Wszyscy na miejscu? – zapytała.

Za pięć minut miała się zacząć rewizja w paryskim w mieszkaniu w ósmej dzielnicy, w pobliżu Étoile. Dwaj przemarznięci cywile przestępowali z nogi na nogę na rogu ulicy. Byli to doktor Castaing i pan Gamelin, notariusz, wezwani w charakterze neutralnych świadków z powodu nieobecności właściciela lokalu. Ponieważ chodziło o nocną rewizję, pani prokurator powołała się także na pilny charakter sprawy i ryzyko zaginięcia dowodów i zakwalifikowała to, co wydarzyło się po próbie zastrzelenia Servaza przez Saint-Cyra, jako schwywanie na gorącym uczynku.

– Maillard, niech pan zapyta, czy w Paryżu są gotowi. Martin, jak pan się czuje? Wygląda pan na wykończonego. Może zaczekałby pan tutaj? I zostawił kapitan Ziegler dowodzenie operacją? Świetnie da sobie radę.

Maillard poszedł w kierunku jednej z furgonetek. Servaz z uśmiechem na ustach przyglądał się Cathy d'Humières. Zamieć targała jej ufarbowane na blond włosy i szal. Najwyraźniej gniew i oburzenie wzięły w niej górę nad poczuciem zawodowej godności.

– Nie najgorzej – powiedział.

Z wnętrza furgonetki zaczęły dobiegać krzyki. Maillard wybuchnął:

– Dlatego że ja mówię, że nie możemy! Co? Gdzie? Tak, *zaraz im przekażę!*

– Co się dzieje? – zapytała d'Humières pędzącego w ich stronę Maillarda.

– Pożar w Instytucie! Wybuchła panika! Nasi ludzie są na miejscu, próbują razem z ochroniarzami przeszkodzić pacjentom w ucieczce! Wszystkie systemy zabezpieczeń są wyłączone! Musimy tam wysłać wszystkie nasze siły, natychmiast.

Servaz się zamyślił. To nie może być przypadek...

– To jest dywersja – powiedział.

Cathy d'Humières popatrzyła na niego z godnością.

– Wiem. – Odwróciła się do Maillarda. – Co panu dokładnie powiedzieli?

– Że Instytut się pali. Wszyscy pacjenci są na zewnątrz, pilnowani przez kilku ochroniarzy i nasz oddział. Sytuacja może się w każdej chwili pogorszyć. Wygląda na to, że wielu już skorzystało z okazji i uciekło. Próbuje ich łapać.

Servaz zbladł.

– Co z pacjentami z sektora A?

- Nie wiem.
 - Przy takim śniegu i mrozie daleko nie uciekną.
 - Przykro mi, Martin, ale mamy nagły wypadek – ucieła d’Humières. – Zostawiam panu pański zespół, ale zabieram jak najwięcej ludzi. I dzwonię po posiłki.
- Servaz spojrział na Irène.
- Proszę mi zostawić kapitan Ziegler – poprosił.
 - Chce pan wejść do środka bez wsparcia? Tam mogą być uzbrojeni ludzie.
 - Albo nie ma nikogo...
 - Pójdę z komendantem Servazem – odezwała się Irène. – Nie sądzę, żeby to było niebezpieczne. Lombard to morderca, ale nie gangster.
- D’Humières spojrziała po kolei na każdego z członków brygady.
- W porządku. Confiant, zostaje pan z nimi. Ale żadnych nierozsądnych kroków. W razie najmniejszego niebezpieczeństwa czekacie na posiłki. Zrozumiano?
 - Zostanie pan z tyłu – powiedział Servaz do sędziego. – Wezwę pana na rewizję, kiedy droga będzie wolna. Wejdziemy tylko wtedy, gdy nie będzie zagrożenia.
- Confiant skinął głową z ponurą miną. Cathy d’Humières znowu spojrziała na zegarek.
- No dobrze, jedziemy do Instytutu – powiedziała i poszła w stronę samochodu.
- Patrzyli, jak Maillard i inni żandarmi wsiadają do furgonetek. Po minucie już ich nie było.

Gdy otworzyły się metalowe drzwi, żandarm, który pilnował wyjścia ewakuacyjnego z podziemi, złapał za broń. Zobaczył wysokiego mężczyznę ubranego w pielęgniarski fartuch i maskę z filtrem powietrza, wchodzącego na schody z bezwładną kobietą na rękach.

– Straciła przytomność – powiedział mężczyzna przez maskę. – Dym... Ma pan samochód? Karetkę? Trzeba ją zawieźć do lekarza. Szybko!

Żandarm się zawahał. Większość pacjentów i ochroniarzy znajdowała się z drugiej strony budynku. Nie wiedział, czy jest wśród nich jakiś lekarz. I otrzymał rozkaz pilnowania tego wyjścia.

– Trzeba się śpieszyć – nalegał mężczyzna. – Już próbowałem ją reanimować. Liczy się każda minuta! Ma pan jakiś samochód? Tak czy nie?

Głos dobiegający spod maski brzmiał poważnie, grobowo i władczo.

– Poszukam kogoś – powiedział żandarm i oddalił się biegiem.

Po minucie na nasypie pojawił się samochód. Od strony pasażera wysiadł jeden żandarm, drugi, na miejscu kierowcy, dał Hirtmannowi znak, by usiadł z tyłu. Gdy tylko Szwajcar usadził Diane w fotelu, samochód ruszył. Kiedy okrążali budynek, Hirtmann zauważył znajome postaci – pacjentów i personel – zgromadzone w pewnej odległości od pożaru. Płomienie ogarniały już sporą część Instytutu. Strażacy rozwijali właśnie wąż umieszczony na czerwonym wozie strażackim, który błyszczał nowością. Drugi wóz był już w akcji. O wiele za późno. To nie wystarczy, by uratować zabudowania. Przed wejściem pielęgniarze rozkładali nosze, które wyjęli z karetki.

Gdy budynki znikwały w tyle, Hirtmann przez maskę wpatrywał się w kark kierowcy, trzymając dłoń na zimnym metalu pistoletu, który miał w kieszeni.

– Jak przejdziemy przez kraty?

Servaz przyglądał się ogrodzeniu. Kute żelazo wyglądało solidnie, tylko taran dałby sobie z nim radę. Odwrócił się do Ziegler. Wskazywała na pnącza porastające jeden z filarów.

– Tędy.

Pod samym okiem kamery, pomyślał.

– Wiadomo, ilu ich tam jest? – zapytała Samira.

Sprawdziła pistolet.

– Może wszyscy uciekli i nie ma nikogo – wysunęła przypuszczenie Ziegler.

– Albo jest ich dziesiątka, dwudziestka lub trzydziestka – powiedział Espérandieu.

Wyjął swojego sig sauera.

– W takim razie trzeba mieć nadzieję, że będą działać zgodnie z prawem – zażartowała Samira. – Mordercy, którzy zwiewają z dwóch różnych miejsc jednocześnie, to całkiem nowe zjawisko.

– Nic nie wskazuje na to, żeby Lombard zdążył uciec – odpowiedział Servaz. – Na pewno jest w środku. Dlatego wolałby zobaczyć, że wszyscy jedziemy do Instytutu.

Confiant się nie odzywał. Obserwował komendanta z ponurą miną. Ziegler, nie zwlekając, chwyciła za pnącze, wskoczyła na filar, wczepiła się w kamerę, złapała równowagę na szczycie i zeskoczyła na drugą stronę. Servaz dał znak Pujolowi i Simeoniu, żeby razem z sędzią zostali na straży. Następnie odetchnął głęboko i poszedł w ślad Ziegler, choć poszło mu nieco gorzej, tym bardziej że kamizelka kuloodporna, którą miał pod swetrem, krępowała jego ruchy. Espérandieu przeskoczył ostatni.

Zeskakując na ziemię, Servaz poczuł gwałtowny ból. Jęknął. Kiedy chciał zrobić krok, znowu poczuł ból. Zwichnął kostkę!

– Coś nie tak?

– Wszystko w porządku – odpowiedział sucho.

Na poparcie swoich słów ruszył do przodu. Każdy krok powodował cierpienie. Zacisnął zęby. Sprawdził, czy tym razem nie zapomniał broni.

– Nabity? – zapytała Ziegler, która szła obok. – Załaduj jedną kulkę. *Teraz*. I trzymaj broń w ręce.

Przełknął ślinę. Zdenerwowała go ta uwaga.

Była 1.05.

Servaz zapalił papierosa i patrzył na zamek, stojąc na początku długiej asfaltowej alei okolonej stuletnimi dębami. Fasada i zaśnieżone trawniki były podświetlone. Także krzewy w kształcie zwierząt. W śniegu świeciły małe reflektorki. W kilku oknach w centralnej części budynku paliło się światło. *Jakby na nich czekano...* Poza tym nic. Żadnego ruchu za oknami. To koniec drogi, pomyślał. Zamek... Jak w bajce... Jak w bajce dla dorosłych...

Jest w środku. Nie wyjechał, jest tutaj, gdzie wszystko ma się rozegrać.

To było postanowione. Od samego początku.

W sztucznym oświetleniu zamek nabierał cech fantasmagorii.

Biała fasada wyglądała naprawdę dumnie. Znowu. Servaz przypomniał sobie słowa Proppa.

„Niech pan szuka bieli”.

Jak to się stało, że nie pomyślał o tym wcześniej?

– Niech pan zatrzyma.

Kierowca lekko odwrócił głowę, nie przestając patrzeć na drogę.

– Słucham?

Hirtmann przyłożył zimny metal tłumika do karku żandarma.

– Stop – powiedział.

Mężczyzna zwolnił. Hirtmann zczekał, aż samochód całkiem się zatrzyma, i wystrzelił. Czaszka żandarma eksplodowała i papka z krwi, kości i mózgu bryznęła na lewy górny róg przedniej szyby, po czym mężczyzna opadł na kierownicę. Kabinę wypełnił ostry zapach prochu. Po przedniej szybie ściekały brunatne strugi i Hirtmann pomyślał, że będzie musiał ją wytrzeć, zanim ruszy.

Szwajcar obrócił się w stronę Diane: ciągle spała. Zdjął maskę i wysiadł prosto w zamieć. Następnie otworzył drzwi od strony kierowcy i wyciągnął mężczyznę na zewnątrz. Zostawił ciało na śniegu i zaczął przeszukiwać schowki w drzwiach, rozglądając się za szmatą. Starł krwawe błoto z szyby, a następnie wrócił do tyłu i chwycił Diane pod pachy. Była wiotka, ale czuł, że niedługo wydobędzie się z oparów chloroformu. Posadził ją na fotelu pasażera, zapiął pas i usiadł za kierownicą z bronią między udami. Ciepłe jeszcze ciało żandarma leżące na śniegu pośród zimnej nocy zaczęło dymić, jakby się paliło.

Na końcu długiej alei okolonej dębami, na granicy dużej, półkolistej esplanady przed zamkiem, Ziegler się zatrzymała. Wiał mroźny wiatr. Byli przemarznięci. Wielkie zwierzęta wycięte z krzewów, kwietniki pokryte śniegiem wyglądające jak polukrowane ciastka, biała fasada...

Wszystko wydawało się takie nierealne.

I spokojne. Zwodniczy spokój, pomyślał Servaz, trzymając wszystkie zmysły w pogotowiu.

Chowając się przed wiatrem za pień ostatniego dębu, Ziegler wyjęła krótkofalówki i podała Servazowi i Espérandieu. Pewnym głosem wydawała instrukcje:

– Rozdzielimy się. Dwie ekipy. Jedna na prawo, druga na lewo. Gdy zajmiecie pozycję, żeby nas osłaniać, wchodzimy – wskazała Samirę. – W razie oporu wycofujemy się i czekamy na oddział interwencyjny.

Samira skinęła głową i ruszyły szybko główną aleją w stronę drugiego rzędu drzew, między którymi zniknęły. Servaz nawet nie zdążył zareagować. Spojrzał na Espérandieu, a ten wzruszył ramionami. Teraz oni wślizgnęli się między drzewa, by idąc w przeciwnym kierunku, okrążyć półkolistą esplanadę. Posuwając się do przodu, Servaz nie tracił z oczu fasady budynku.

Nagle zadrżał.

Jakiś ruch... Wydawało mu się, że dostrzegł za oknem poruszający się cień.

Zabrzęczała krótkofalówka.

– Jesteście na pozycji?

Głos Ziegler. Zawahał się. Widział coś czy nie widział?

– Chyba widziałem kogoś na piętrze – powiedział. – Ale nie jestem pewien.

– Okay. Tak czy siak, idziemy tam. Osłaniajcie nas.

Miał jej powiedzieć, żeby zczekała.

Za późno. Już znalazły się między zaśnieżonymi kwietnikami, biegnąc po bruku. Gdy przechodziły między dwoma krzewami przyciętymi na kształt wielkich lwów, Servaz poczuł, że

krwew zastyga mu w żyłach: na pierwszym piętrze otworzyło się okno. Na końcu wyciągniętej ręki dostrzegł broń! Bez wahania wycelował i strzelił. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu szyba rozprysła się na kawałki. Ale nie w tym oknie! Cień zniknął.

– Co się dzieje? – rzuciła Irène przez krótkofalówkę.

Zobaczył ją, schowaną za jednym z wielkich zwierząt. To była żadna ochrona. Jedna seria przez krzak i byłoby po niej.

– Uwaga! – zawołał. – W środku jest co najmniej jeden uzbrojony człowiek! Chciał do was strzelać.

Dała znak Samirze i obie rzuciły się w kierunku fasady. Zniknęły w środku. Dobry Boże! Każda z nich ma więcej testosteronu niż on i Espérandieu razem wzięci!

– Teraz wy – rzuciła Ziegler przez radio.

Servaz warknął. Powinni byli zawrócić. I poczekać na posiłki. Ruszył jednak, a Espérandieu za nim. Biegli w stronę wejścia do zamku, kiedy w środku rozległ się huk wystrzałów. Wbiegli na taras wejściowy, pokonując po kilka stopni, i weszli przez otwarte drzwi. Ziegler strzelała, ukryta za jedną z rzeźb. Samira leżała na posadzce.

– Co się dzieje?! – wrzasnął Servaz.

– Ostrzelali nas!

Servaz spojrział nieufnie na ciąg pogrążonych w mroku pokoi. Ziegler pochyliła się nad Samirą. Rana w nodze obficie krwawiła. Na marmurowej posadzce został długi, krwawy ślad. Kula rozcięła jej udo, ale najprawdopodobniej ominęła tętnicę. Leżąc na podłodze, Samira przyłożyła do rany dłoń w rękawiczce, by zatamować krwawienie. Nic więcej nie można było zrobić w oczekiwaniu aż nadejdzie pomoc. Ziegler sięgnęła po krótkofalówkę, by wezwać karetkę.

– Nie ruszamy się stąd! – oświadczył Servaz, gdy skończyła. – Czekamy na posiłki!

– Nie dojadą tu prędzej niż za godzinę!

– Trudno! – Kiwnęła głową. – Zrobię ci opatrunek uciskowy – powiedziała do Samiry. – Musisz mieć wolne obie ręce, może będziesz musiała strzelać.

W kilka sekund, za pomocą bandaży, który miała w kieszeni, i paczuski chusteczek higienicznych zrobiła opatrunek i zacisnęła go na tyle mocno, że krwawienie ustało. Servaz wiedział, że gdy ustaje krwawienie, życie rannego nie jest bezpośrednio zagrożone. Chwylił swoją krótkofalówkę.

– Pujol, Simeoni, chodźcie tu!

– Co się dzieje? – zapytał Pujol.

– Była strzelanina. Samira jest ranna. Potrzebujemy wsparcia, jesteśmy w hallu zamku. Droga wolna.

– Przyjąłem.

Odwrócił głowę – i stanął jak wryty.

Ze ścian spoglądały na niego wypchane głowy zwierząt. Niedźwiedź. Kozica. Jeleń. Jedną z nich jakby skądś znał. Freedom... Koń wpatrywał się w niego złotymi oczami.

Nagle zobaczył, że Irène wstaje i pędzi w głąb budynku. Cholera!

– Zostań z nią! – rzucił do Vincenta i pobiegł za Ziegler. Diane miała wrażenie, że przespała wiele godzin. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła po otwarciu oczu, była droga ciągnąca się z przodu w blasku reflektorów i płatki śniegu, które zasypywały szybę samochodu. Słyszała

skrzypiące dźwięki wiadomości, dochodzące z deski rozdzielczej lekko po lewej.

Następnie odwróciła głowę i zobaczyła jego.

Nie zastanawiała się, czy to sen. Wiedziała, że niestety nie.

Zauważył, że się obudziła, i chwycił za broń, którą trzymał między udami. Nie przestając prowadzić, wycelował w nią.

Nie wypowiedział ani słowa. To było zbyt szybkie.

Diane nie mogła przestać myśleć o tym, gdzie i kiedy zamierza ją zabić. I w jaki sposób. Czy skończy tak jak inne, jak dziesiątki kobiet, których nigdy nie odnaleziono – na dnie jakiejś dziury w środku lasu? Na tę myśl sparaliżowała ją trwoga. Siedziała w tym samochodzie jak zwierzę schwytane w pułapkę. Ta perspektywa wydawała się jej tak nieznośna, że gniew i determinacja zaczęły stopniowo brać górę nad lękiem. Dokonała zimnej kalkulacji, tak lodowatej jak powietrze na zewnątrz: jeśli już musi umrzeć, nie umrze jako ofiara. Będzie walczyć, nie odda tanio swojej skóry. Ten drań jeszcze nie wie, co go czeka. Diane musi tylko poczekać na stosowny moment. Na pewno jakiś się nadarzy. Najważniejsze, żeby była gotowa...

Moja ukochana siostrzyczko. Śpij, maleńka. Śpij. Jesteś taka piękna, kiedy śpisz. Taka spokojna. Taka promienna.

Poniosłem klęskę, Maud. Chciałem cię chronić, ufalaś mi, wierzyłaś we mnie. Poniosłem klęskę. Nie zdołałem cię obronić przed światem, siostrzyczko. Nie potrafiłem zapobiec temu, by świat cię skalał i zranił.

– Proszę pana! Musimy już iść! Niech pan tu przyjdzie!

Éric Lombard się odwrócił. W ręku trzymał kanister z benzyną. Otto trzymał broń w jednej ręce, drugie ramię w rękawie przesiąkniętym krwią zwisało bezwładnie wzdłuż tułowia.

– Zaczekaj – powiedział. – Daj mi jeszcze chwilę, Otto. Moja siostrzyczka... Co oni ci zrobili? Co oni jej zrobili, Otto?

Odwrócił się do trumny. Stał w przestronnym, okrągłym pomieszczeniu, tonącym w jasnym blasku ściennych lamp. Wszystko tu było białe: ściany, posadzka, meble... Na środku koła ustawiono kwadratowy podest, do którego z każdej strony prowadziły dwa stopnie. Na nim duża trumna w kolorze kości słoniowej i dwa okrągłe stoliki z kwiatami w wazonach. Kwiaty, wazon i stoliki także były białe.

Éric Lombard potrząsnął kanistrem z benzyną nad katafalkiem. Trumna była otwarta. W środku, na wyściółce koloru kości słoniowej, leżała Maud Lombard w białej sukience. Wyglądała, jakby spała. Zamknięte oczy. Uśmiechnięta. Nieskalana, nieśmiertelna...

Plastynacja. Płyny biologiczne zastępuje się silikonem. Podobnie robi się na wystawach, na których można oglądać doskonale zachowane ludzkie zwłoki. Éric Lombard wpatrywał się w młode anielskie oblicze, po którym teraz ściekały strużki benzyny.

Gwałt stał się berłem niesprawiedliwości. Nic po nich nie pozostanie, nic z ich bogactwa, nic z ich krzyków, żaden ślad po ich wspaniałości. Nadchodzi czas, zbliża się ów dzień. Nikt z powodu swej niegodziwości nie będzie mógł ocalić życia. Nikt do boju nie ruszy. Księga Ezechiela 7, 11-14*

– Proszę pana! Czy pan mnie słyszy? Trzeba już iść!

– Popatrz, jak ona śpi. Jaka jest spokojna. Nigdy nie była taka piękna jak teraz.

– Ona jest martwa, dobry Boże! Niech się pan pozbiera!

– Ojciec co wieczór czytał nam Biblię, Ottonie. Pamiętasz? Stary Testament. Prawda, Maud? Uczył nas wyciągać z niej naukę, uczył, byśmy sami wymierzali sprawiedliwość i nigdy nie pozwalali, by obraza lub zbrodnia pozostały bez kary.

– Niech się pan obudzi, proszę pana! Trzeba iść!

– Ale on sam był człowiekiem niesprawiedliwym i okrutnym. I gdy Maud zaczęła się spotykać z chłopcami, traktował ją tak, jak wcześniej traktował jej matkę. *Ci, którzy będą się ratowali ucieczką, na górach staną się podobni do gołębi z dolin. Wszyscy będą jęczeć, każdy z powodu swej niegodziwości. Wszystkie ręce opadną i wszelkie kolano rozplynie się jak woda. Okryje ich strach. Księga Ezechiela 7, 16-18.*

Na zewnątrz rozległy się strzały. Otto się odwrócił i podszedł do schodów z pistoletem w dłoni, krzywiąc się z bólu.

Mężczyzna wyskoczył zza rogu. Wszystko rozegrało się bardzo szybko. Kula przeleciała tak blisko, że Servaz usłyszał jej świst. Nie zdążył zareagować. Irène już strzelała i zobaczył, jak napastnik chowa się za marmurową rzeźbą. Jego broń uderzyła o posadzkę z metalicznym brzękiem.

Ziegler podeszła do mężczyzny, wciąż trzymając przed sobą wycelowany pistolet. Pochyliła się nad nim. Na jego ramieniu było widać dużą czerwoną plamę. Żył, ale był w szoku. Przekazała wiadomość przez krótkofalówkę i wstała.

Idąc za nią, Servaz, Pujol i Simeoni zauważyli za rzeźbą drzwi, a za nimi schody prowadzące do podziemi.

– Tędy – powiedział Pujol.

Białe marmurowe stopnie. Kręta klatka schodowa. Szerokie ślimakowate schody, zstępujące do trzewi olbrzymiej budowli. Ziegler schodziła jako pierwsza, z pistoletem w dłoni. Nagle rozległ się strzał. Pędem wbiegła z powrotem, by się ukryć.

– Cholera! Jeszcze jeden strzelec na dole!

Zobaczyli, jak odpina coś od pasa. Servaz od razu się domyślił, o co chodzi.

Otto zauważył czarny przedmiot, który odbijając się jak piłka tenisowa, zeskoczył z dolnych stopni, a następnie przetoczył się po posadzce w pobliżu jego nóg. Stuk-stuk-stuk. Zbyt późno się zorientował. Granat obezwładniający... Kiedy przedmiot wybuchł, oślepiający blask o mocy milionów kandel dosłownie sparaliżował jego wzrok. Następnie rozległ się przeraźliwy huk, który wstrząsnął całą salą, a fala uderzeniowa przeszła przez jego ciało i bębniła w uszach. Otto miał wrażenie, że pomieszczenie wiruje wokół niego. Stracił równowagę.

Gdy odzyskał świadomość, w jego polu widzenia pojawiły się dwie postaci. Dostał kopniaka w żuchwę i upuścił broń, następnie przewrócono go na posadzkę i poczuł zimną stal kajdanek zatraskujących się wokół jego nadgarstków. W tej samej chwili zobaczył płomienie. Zaczynały pochłaniać katafalk. Jego szef zniknął. Otto nie stawiał oporu. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku służył w Afryce jako najemnik pod rozkazami Boba Denarda i Davida Smileya. Poznał okrucieństwo wojen postkolonialnych, torturował i był torturowany. Potem zaczął służyć u Henriego Lombarda, człowieka równie twardego jak on sam, a następnie służył u jego syna. Niewiele rzeczy mogło na nim zrobić wrażenie.

– Pierdolcie się – powiedział tylko.

Blask bijący od płonącego stosu parzył ich twarze. Płomienie zajęły środek pomieszczenia, kopiąc na wysoki sufit. Brakowało tlenu.

– Pujol i Simeoni, zabierzcie go do furgonetki! – rzuciła Ziegler, wchodząc po schodach.

Odwróciła się do Servaza, który wpatrywał się w ogarnięty płomieniami podest. Ogień pożerał leżące w trumnie ciało, zdążyli jednak zobaczyć młodą twarz i długie, jasne włosy.

– Na Boga! – wysapała Ziegler.

– Na cmentarzu widziałem jej grób – powiedział Servaz.

– To by znaczyło, że jest pusty. Jak zdołali przechować ją przez tak długi czas? Zabalsamowali ją?

– Nie, to by nie wystarczyło. Ale Lombard ma dość środków. I są odpowiednie techniki.

Servaz obserwował, jak anielskie oblicze przekształca się w bryłę stopionych ze sobą spalonych włosów, kości i silikonu. Wrażenie nierealności było totalne.

– Gdzie Lombard? – zapytała Ziegler.

Servaz ocknął się z odrętwienia wywołanego przez spektakl płomieni pożerających trumnę i wskazał podbródkiem na niewielkie otwarte drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Okrążyli salę i doszli do nich, posuwając się pod ścianami, jak najdalej od żaru, który bił od stosu.

Kolejne schody prowadzące na górę. Węższe i gorzej utrzymane od poprzednich. Z szarego, wilgotnego kamienia, pobrudzone czarnymi smugami.

Znaleźli się na tyłach zamku.

Wiatr. Śnieg. Zamieć. Noc.

Ziegler zatrzymała się i nasłuchiwała. Jeśli nie liczyć wiatru, dookoła panowała cisza. Księżyc w pełni to się pojawiał, to znikał za chmurami. Servaz wpatrywał się w poruszające się cienie drzew.

– Tam – powiedziała.

W blasku księżycy widać było potrójny ślad skutera śnieżnego. Biegł ścieżką w przecince między drzewami. Sklepienie chmur się zamknęło i ślady zniknęły.

– Za późno. Zwiął – powiedział Servaz.

– Wiem, dokąd prowadzi ta ścieżka. Dwa kilometry stąd jest kocioł lodowcowy. Tam szlak wspina się i przechodzi przez przełęcz do następnej doliny. Tamtędy przebiega droga, którą można się przedostać do Hiszpanii.

– Pujol i Simeoni mogą tam pojechać.

– Będą musieli zrobić pięćdziesięciokilometrowy objazd. Lombard dotrze tam przed nimi! Po drugiej stronie na pewno czeka na niego samochód!

Poszła w kierunku niewielkiej budki w lesie, skąd wychodziły ślady pojazdu. Ziegler otworzyła drzwi i przekręciła włącznik. W środku stały jeszcze dwa skutery śnieżne, na ścianie wisiała tablica z kluczami, narty, buty, kaski i czarne kombinezony, których odbłaskowe taśmy odbijały światło.

– Wielki Boże! – zawołała Ziegler. – Ciekawa jestem, jakie ma pozwolenie!

– Jak to?

– Używanie tych pojazdów jest ściśle reglamentowane – powiedziała, zdejmując z haka

jeden z kombinezonów.

Servaz przełknął ślinę, widząc, że Irène wkłada go na siebie.

– Co robisz?

– Włóż to!

Wskazała mu drugi kombinezon i buty. Servaz się zawahał. Na pewno istnieje jakiś inny sposób. Na przykład blokady... Ale wszystkie siły porządkowe zostały skierowane do Instytutu... A Lombard na pewno zaplanował, jak będzie się bronił, gdy już się znajdzie po drugiej stronie... Irène przeszukała tablicę z kluczami, uruchomiła jeden z wrzcionowatych pojazdów i wyprowadziła go na zewnątrz. Zapaliła światło, po czym wróciła do środka i chwyciła dwa kaski i dwie pary rękawiczek. Servaz walczył ze zbyt obszernym kombinezonem. W dodatku kamizelka kuloodporna krępowała jego ruchy.

– Włóż to i wsiadaj – rzuciła, przekrzykując hałas czterosuwowego silnika.

Założył czerwono-biały kask i od razu poczuł się tak, jakby się dusił. Naciągnął na wierzch kaptur kombinezonu i wyszedł. Wysokie buty sprawiały, że chodził jak astronauta albo pingwin.

Zamieć trochę przycichła. Wiatr osłabł i w snopie światła skutera widać było, że śnieg nie sypie już tak gęsto. Nacisnął na guzik krótkofalówki.

– Vincent? Jak tam Samira?

– W porządku. Ale z tym drugim gościem kiepsko. Karetki będą tu za pięć minut. A wy?

– Nie mam czasu opowiadać. Zostań z nią.

Rozłączył się, zasunął szybkę kasku i niezdarnie usiadł na fotelu za Ziegler. Przywarł nerkami do oparcia. Irène natychmiast ruszyła. W snopie światła, jakie rzucał jedyny reflektor, płatki śniegu leciały na nich jak spadające gwiazdy. Pnie drzew, białe tylko z jednej strony, zaczęły się przesuwać z dużą prędkością. Maszyna sprawnie sunęła śladem pozostawionym na ścieżce, świszcząc na śniegu i rycząc jak motocykl o potężnym silniku. Chmury znowu się rozstały i Servaz przez szybkę kasku w świetle księżyca ponad drzewami zobaczył góry. Były tuż-tuż.

– Wiem, o czym pani myśli, Diane.

Ochrypli i głęboki głos sprawił, że się wzdrygnęła. Była pogrążona w swoich myślach.

– Zastanawia się pani, w jaki sposób panią zabiję. I rozpaczliwie szuka pani wyjścia. Czeka pani na chwilę, gdy popełnię jakiś błąd. Z żalem muszę pani powiedzieć, że nie popełnię. A zatem, owszem, umrze pani tej nocy.

Gdy usłyszała te słowa, poczuła, że zstępuje w nią straszliwy chłód, który rozchodzi się z głowy do żołądka i nóg. Przez chwilę myślała, że zemdleje. Przełknęła ślinę, ale w jej gardle tkwiła bolesna gula.

– A może nie... Może ostatecznie zostawię panią przy życiu. Nie lubię, gdy się mną manipuluje. Może Élisabeth Ferney gorzko pożałuje, że się mną posłużyła. Ona, która lubi mieć zawsze ostatnie słowo, być może tym razem przeżyje okrutne rozczarowanie. Zabicie pani pozbawiłoby mnie tego małego zwycięstwa. Być może na tym polega pani szczęście, Diane. Prawdę mówiąc, jeszcze nie podjąłem decyzji.

Kłamie... Już zdecydował. Całe jej psychologiczne doświadczenie wprost o tym krzyczało. To tylko jedna z jego pokretnych gier, jeden z jego forteli: zostawić ofierze odrobinę nadziei, by następnie ją odebrać. Całkiem ją unicestwić. Tak, to było to: jeszcze jedna perwersyjna

przyjemność. Przerażenie, bezsensowna nadzieja, a potem, w ostatnim momencie, rozczarowanie i najczarniejsza rozpacz.

Nagle zamilkł i zaczął uważnie nasłuchiwać wiadomości dochodzących przez radio. Diane także usiłowała to zrobić, ale w jej głowie panował taki chaos, że nie była w stanie się skupić na ginących w trzaskach wezwaniach.

– Wygląda na to, że nasi przyjaciele żandarmi mają tam na górze mnóstwo roboty – powiedział. – Są trochę przeciążeni.

Diane patrzyła na krajobraz przesuwany się za szybami. Na wąskiej drodze zalegał śnieg, ale jechali z dużą prędkością. Samochód musiał mieć zimowe opony. Nic nie zakłócało nieskalanej bieli poza ciemnymi pniami drzew i szarymi skałami, które to tu, to tam wyłaniały się z mroku. W głębi, na tle nocnego nieba odcinały się wysokie góry i Diane zauważyła szczelinę między dwoma szczytami na wprost nich. Może tamtędy przechodzi droga.

Jeszcze raz na niego spojrzała. Właśnie patrzy na człowieka, który ją zabije. Pewna myśl, jasna jak lodowy stalaktyt w świetle księżyca, utorowała sobie drogę w jej głowie. Skłamał, mówiąc, że nie popełni błędu. Chciał tylko, żeby nabrała takiego przekonania. Żeby porzuciła wszelką nadzieję i zdała się na niego, wierząc, że pozostawi ją przy życiu.

Pomylił się. Nie ma zamiaru tego robić...

Wyjechali z lasu, sunąc między dwiema zmrożonymi zaspami. Servaz zauważył wejście do kotła – gigantycznych rozmiarów gardziel. Przypomniawszy sobie architekturę olbrzymów, którą odkrył po przyjeździe tutaj. Wszystko w tej okolicy było przesadnie duże: krajobrazy, namiętności, przestępstwa... Nagle zamieć się wzmogła. Oblepiły ich płatki śniegu. Ziegler przywarła do kierownicy, kuląc się przed wiatrem za śmieszoną osłoną z pleksi. Servaz pochylił się, by skorzystać z mizernej ochrony, jaką dawała mu siedząca z przodu towarzysząca. Rękawiczki i kombinezon nie wystarczały, by go ogrzać. Ostry wiatr przenikał przez ubrania. Tylko kamizelka kuloodporna trochę chroniła przed zimnem. Chwilami skuter wjeżdżał na zasy po prawej i lewej jak bobslej i Servazowi kilka razy wydawało się, że spadną.

Wkrótce, pomimo podmuchów wiatru, zobaczył, że zbliżają się do ogromnego amfiteatru z wyłobionymi stopniami, poprzecinanego piargami i lodowymi naciekami. Część wodospadów zamarzała i lód zamienił je w wysokie, białe świece przyklejone do ściany – z tej odległości wyglądały jak wosk ściekający z gromnicy. Gdy tarcza księżyca wyszła zza chmur i oświetliła okolicę, krajobraz stał się tak piękny, że zapierał dech w piersiach. Panowała tu atmosfera oczekiwania, zawieszony czas.

– Widzę go!

Wrzecionowaty kształt skutera śnieżnego wspinał się na zbocze po przeciwnej stronie kotła. Servaz miał wrażenie, że widzi niewyraźny ślad ścieżki prowadzącej w kierunku dużej szczeliny między skalnymi ścianami. Maszyna była już w połowie wysokości. Nagle chmury rozstały się szeroko i znów pojawił się księżyc, który wyglądał, jakby pływał po powierzchni czarnego stawu, odwróconego do góry nogami. Jego srebrny blask zalał kocioł. Servaz podniósł wzrok. Sylwetka znikła w cieniu urwiska i po chwili wyłoniła się po drugiej stronie w świetle księżyca. Policjant pochylił się do przodu, kiedy ich supermocna maszyna sprawnie pożerała kolejne metry zbocza.

Gdy przejechali przez szczelinę, znowu znaleźli się wśród jodeł. Lombard zniknął. Ścieżka

pięła się uparcie w górę, kreśląc zygzaki między drzewami, wiatr wiał nagłymi porywami, białoszara zasłona oślepiła ich, odbijając snop światła reflektora. Servaz miał wrażenie, jakby jakiś wściekły, ryczący bóg pluł im w twarz mroźnym oddechem. Trząsł się z zimna, ale jednocześnie czuł, że pomiędzy jego łopatkami cieknie stróżka potu.

– Gdzie on jest?! Cholera! Gdzie on się podział?! – wrzasnęła Ziegler z przodu.

Czuł jej napięcie. Naprężyła wszystkie mięśnie, by utrzymać maszynę. Wyczuwał też jej wściekłość. Przez niego o mało nie wylądowała w więzieniu. Wykorzystał ich. Przez ulotną chwilę Servaz zastawiał się, czy Irène działa w pełni świadomie, czy nie wpakuje ich w śmiertelną pułapkę.

Potem las się skończył. Przekroczyli niewielką przełęcz i zaczęli zjeżdżać na drugą stronę. Zamieć nagle się uspokoiła i wokół nich pojawiły się góry, niczym armia olbrzymów, która przysła obserwować śmiertelny pojedynek. Wtem go zobaczyli. Jakies sto metrów niżej. Porzucił ścieżkę i zostawił maszynę na śniegu. Zgięty w pasie, wyciągał ręce w dół.

– Ma deskę! – ryknęła Ziegler. – Co za drań! Wyślizgnie się nam!

Servaz zauważył, że Lombard stoi na górze bardzo stromego zbocza usianego wielkimi skałami. Przypomniał sobie wszystkie artykuły wychwalające jego sportowe wyczyny. Zastanawiał się, czy skuter śnieżny da radę tam wjechać, ale natychmiast uzmysłowił sobie, że gdyby tak było, Lombard nie zostawiałby swojej maszyny. Ziegler prowadziła skuter z zabójczą prędkością. Wskoczyła ze ścieżki, jadąc śladem, który zostawiła maszyna Lombarda, i Servazowi przez chwilę wydawało się, że zaraz spadną. Zobaczył, że biznesmen energicznie odwraca głowę i wyciąga ramię w ich kierunku.

– Uważaj! On ma broń!

Nie potrafiłby dokładnie powiedzieć, co zrobiła Ziegler, ale ich maszyna nagle stanęła w poprzek i Servaz wylądował z głową w śniegu i tyłkiem sterczącym do góry. Przed nimi błysnęło światło, a zaraz potem rozległ się huk wybuchu. Odgłos odbijał się od gór, powtarzany i potęgowany przez echo. Potem rozległ się drugi wybuch. I trzeci... Wystrzały i ich echo tworzyły ogłuszającą kanonadę. Wreszcie ucichły. Servaz czekał z bijącym sercem, zakopany w śnieżnym puchu. Ziegler leżała obok niego. Wyjęła broń, ale z jakiegoś tajemniczego powodu postanowiła jej nie użyć. Ostatni pogłos echa brzmiał jeszcze w powietrzu, gdy nagle rozległ się drugi huk, jakby narodził się z pierwszego. Straszliwy trzask...

Nieznany dźwięk. Servaz nie był w stanie powiedzieć, co to takiego.

Poczuł, że ziemia pod nim drży. Przez krótki moment myślał, że traci przytomność. Nigdy nie słyszał ani nie czuł czegoś podobnego.

Po trzasku rozległ się równie mu nieznany chrapliwy dźwięk – głębszy, bardziej rozległy i jakby wytłumiony.

Tępy, groźny warkot narastał i Servaz poczuł, jakby leżał na torach kolejowych i słuchał nadjeżdżającego pociągu... Nie, to nie był jeden pociąg, ale wiele pociągów jednocześnie!

Podniósł się i zobaczył, że Irène wznosi oczy ku górom, lecz nie rusza się, jakby była sparaliżowana.

I nagle zrozumiał.

Powiódł wzrokiem za jej przerażonym spojrzeniem w stronę szczytu po prawej stronie. Chwyciła go za ramię, by pomóc mu wstać.

– Szybko! Musimy biec! Szybko!

Pociągnęła go w kierunku ścieżki, zapadając się po kolana w śniegu. Szedł za nią ociężałym i nienaturalnym krokiem – kombinezon i buty krępowały mu ruchy. Przystanął na chwilę, by przez szybką kasku spojrzeć na Lombarda. Mężczyzna przestał strzelać i mocował się z wiązaniami snowboardu. Servaz zauważył, że Lombard z niepokojem spogląda w górę zbocza. Poszedł w jego ślady. To, co zobaczył, było jak cios pięścią w splot słoneczny. Wysoko nad ich głowami wielki kawał lodowca poruszał się jak uśpiony olbrzym, który właśnie się budzi. Z wnętrzościami ściśniętymi strachem Servaz ruszył przed siebie w podskokach, wymachując rękami, żeby iść szybciej. Nie spuszczał wzroku z lodowca.

Nadciągnęła olbrzymia chmura i zaczęła pożerać porośnięte jodłami zbocze. To koniec, pomyślał. To koniec! Próbował przyśpieszyć, nie oglądając się już na to, co się dzieje za nim. Kilka sekund później uderzyła w nich potężna fala. Został oderwany od ziemi, wyrzucony w górę, uniesiony podmuchem jak źdźbło zboża. Krzyknął słabo i natychmiast przyduśił go śnieg. Czuł się jak w bębnie pralki automatycznej. Otworzył usta, zakaszłał z powodu wdzierającego się do nich śniegu, zachłusnął się, młócił rękami i nogami. Dusił się. Tonął. Odwrócony głową w dół, napotkał wzrok Irène, która znajdowała się obok. Patrzyła na niego z wyrazem absolutnego przerażenia na twarzy. Potem zniknęła mu z pola widzenia. Rzuciło nim, potrząsało, obracało.

Nic już nie słyszał...

Szumiało mu w uszach...

Brakowało mu powietrza...

Umrze uduszony... zasypany...

TO KONIEC...

Diane pierwsza zobaczyła olbrzymią chmurę, która pochłaniała zbocze.

– Uwaga! – ryknęła, także po to, by go przestraszyć i wytrącić go z równowagi w obliczu niebezpieczeństwa.

Hirtmann spojrział na nią zaskoczony i Diane zauważyła, że jego oczy rozszerzają się ze zdumienia. W chwili, gdy fala śniegu, kawałków drzew i kamieni znalazła się na wysokości drogi i już miała ich przysypać, nagle skręcił kierownicą i stracił panowanie nad samochodem. Diane uderzyła głową w słupek i poczuła, że tył samochodu staje w poprzek drogi. W tej samej chwili lawina uderzyła w nich z całą siłą.

Niebo i ziemia wywróciły się do góry nogami. Diane zobaczyła, że droga wiruje jak karuzela na festynie. Kobieta rzuciła na wszystkie strony, uderzyła głową w szybę i metalową część drzwi. Biała mgła otoczyła ich z głuchym, przerażającym rykiem. Samochód kilka razy przekoziołkował, tocząc się w dół zbocza, i zatrzymał się na krzakach. Diane dwa czy trzy razy na krótko straciła przytomność, tak że cały ten ciąg zdarzeń wydał jej się serią nierealnych przebłysków i chwilowych czarnych dziur. Kiedy auto wreszcie stanęło nieruchomo z grobowym metalicznym skrzypnięciem, była oszołomiona, ale przytomna. Przednia szyba była rozbita na kawałki. Maskę samochodu całkowicie przykrywał zwał śniegu. Strużki śniegu i drobnych kamyków zsuwały się po desce rozdzielczej i spadały Diane na nogi. Spojrzała na Hirtmanna. Jechał bez pasów. Stracił przytomność. Miał całą twarz we krwi. Broń... Diane podjęła rozpaczliwą próbę odpięcia pasa i z trudem jej się to udało. Pochyliła się i szukała wzrokiem

pistoletu. Leżał między stopami mordercy, niemal wciśnięty pod pedały. Aby go podnieść, musiała pochylić się jeszcze bardziej i czując, jak lodowaty dreszcz wstrząsa jej ciałem, sięgnęła między nogi Szwajcara. Przez dłuższą chwilę oglądała broń, zastanawiając się, czy jest odbezpieczona, czy też nie. Jest bardzo dobry sposób, by to sprawdzić...

Wycelowwała w Hirtmanna, trzymając palec na spuście pistoletu. Natychmiast zrozumiała, że nie jest zabójczynią. Niezależnie od tego, co ten potwór zrobił, nie jest w stanie pociągnąć za spust. Opuściła lufę.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że wokół panuje cisza.

Poza szumem wiatru w bezlistnych gałęziach drzew nic się nie ruszało.

Obserwowała Szwajcara, szukając jakichś oznak, że się budzi, ale był całkowicie bezwładny. Może nie żyje... Nie miała ochoty go dotykać, żeby to sprawdzić. Wciąż się bała i miała się bać tak długo, jak długo pozostanie zamknięta razem z nim w tej metalowej skorupie. Przetrzęsnęła kieszenie w poszukiwaniu telefonu i stwierdziła, że jej go zabrano. Być może miał go Hirtmann, ale nie czuła się na siłach, by grzebać mu w kieszeniach.

Z pistoletem w ręku zaczęła się wspinać na deskę rozdzielczą. Przeszła na czworakach przez przednie okno i znalazła się na śniegu przykrywającym maskę. Już nawet nie czuła zimna. Rozgrzewała ją adrenalina. Zeszła z samochodu i natychmiast aż po uda zapadła się w śniegu. Z trudem brnęła naprzód. Opanowując rodzącą się panikę, zaczęła się wspinać w kierunku drogi. Pistolet dodawał jej otuchy. Ostatni raz rzuciła okiem na samochód. Hirtmann się nie poruszył. Może jest martwy.

Chyba się buuuudziiii

Czy pan nas słyyyszyyy???

Głosy. Z oddali. Mówią do niego. A potem ból. Niejeden... Zmęczenie, marzenie, żeby wreszcie odpocząć, lekarstwa... Krótki przebłysk świadomości, w którym dostrzegł twarz i światło. A potem znowu lawina, góry, zimno, a na końcu ciemność...

Maaartiin, słyyyszyyyysz mnieee????

Otworzył oczy – powoli. Najpierw oślepił go krąg światła na suficie. Następnie w jego polu widzenia pojawiła się jakaś postać, która się nad nim pochyliła. Servaz próbował patrzeć na twarz osoby przemawiającej do niego łagodnym głosem, ale krąg światła z tyłu, który otaczał jej głowę jak aureola, raził go w oczy. Twarz była raz zamazana, a raz wyraźna. Mimo wszystko miał wrażenie, że jest piękna.

Kobieca dłoń chwyciła go za rękę.

– Martin, słyszysz mnie?

Skinął głową. Charlène uśmiechnęła się do niego. Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Przyjemny dotyk. Lekki zapach perfum. Potem drzwi pokoju się otworzyły i wszedł Espérandieu.

– Obudził się?

– Na to wygląda. Jeszcze nic nie powiedział.

Odwróciła się do niego i porozumiewawczo mrugnęła okiem. Servaz w jednej chwili poczuł się całkowicie przytomny. Espérandieu przeszedł przez pokój, niosąc dwa parujące kubki. Jeden z nich podał żonie. Servaz spróbował przekręcić głowę i natychmiast poczuł opór: *kołnier ortopedyczny...*

– Kurwa, co za historia! – rzucił Vincent.

Servaz chciał usiąść, ale skrzywił się z bólu i zrezygnował. Espérandieu to zauważył.

– Lekarz powiedział, że nie powinieneś się ruszać. Masz pęknięte trzy żebra, różne małe kuku w okolicach głowy i szyi i odmrożenia. I... amputowali ci trzy paluchy.

– Co???

– Nie, żartuję.

– A Irène?

– Wyszła z tego. Jest w innym pokoju. Trochę bardziej pokiereszowana niż ty, ale jest okay. Kilka złamań, to wszystko.

Servaz poczuł, że ogarnia go uczucie ulgi. Ale na jego wargi już cisnęło się kolejne pytanie.

– Lombard?

– Nie znaleźli jego ciała, pogoda jest zbyt kiepska na poszukiwania. Jutro. Na pewno zginął pod lawiną. Wy dwoje mieliście szczęście. Tylko was musnęła.

Servaz znowu się skrzywił. Chciałby zobaczyć tak *muśniętego* asystenta.

– Pić... – poprosił.

Espérandieu skinął głową i wyszedł. Wrócił z pielęgniarką i lekarzem. Charlène i Vincent na chwilę wyszli z pokoju i Servaz został przepytany i przebadany na wszystkie strony. Pielęgniarka podała mu kubek ze słomką. Woda. Miał okrutnie wysuszone gardło. Wypił i poprosił o jeszcze. Po chwili drzwi się otworzyły i pojawiła się Margot. Z jej spojrzenia wywnioskował, że musi kiepsko wyglądać.

– Mógłbyś grać w horrorze! Naprawdę można się przestraszyć! – zażartowała.

– Pozwoliłem sobie przyprowadzić ci córkę – powiedział Espérandieu, trzymając dłoń na klamce. – Zostawiam was.

– Lawina – powiedziała Margot, która nie miała odwagi zbyt długo mu się przyglądać. – Brrr, masakra. – Uśmiechnęła się skrępowana, ale jej uśmiech wkrótce zniknął. – Zdajesz sobie sprawę, że mogłeś zdechnąć? Kurwa, tato, nie rób mi więcej takich rzeczy, do cholery!

Co to za język? – pomyślał już któryś raz. A potem zdał sobie sprawę, że Margot ma łzy w oczach. Musiała być tutaj na długo przedtem, zanim odzyskał przytomność, i była poruszona tym, co zobaczyła. Od razu zrobiło mu się bardzo miło. Wskazał na brzeg łóżka.

– Siadaj.

Wziął ją za rękę. Tym razem się nie opierała. Zapadło długie milczenie. Servaz już zamierzał się odezwać, gdy ktoś zastukał do drzwi. Spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył, że do pokoju wchodzi młoda kobieta około trzydziestki. Był pewien, że nigdy przedtem jej nie widział. Miała na twarzy kilka ran, stłuczony prawy łuk brwiowy i prawy policzek, paskudną szramę na czole, zaczerwienione i podkrążone oczy. Jeszcze jedna ofiara lawiny?

– Komendant Servaz?

Kiwnął głową.

– Jestem Diane Berg. Psycholog z Instytutu. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Co się pani stało?

– Miałam wypadek samochodowy – powiedziała, uśmiechając się, jakby było w tym coś zabawnego. – Mogłabym pana zapytać o to samo, ale znam już odpowiedź. – Spojrzała na Margot. – Mogę panu zająć minutkę?

Martin popatrzył na córkę, która skrzywiła się, zmierzyla kobietę wzrokiem od stóp do głów, po czym wstała i wyszła. Diane podeszła do łóżka. Servaz wskazał jej wolne krzesło.

– Wie pan, że Hirtmann zniknął? – zapytała, siadając.

Servaz wpatrywał się w nią przez chwilę. Potrząsnął przecząco głową, nie zważając na kołnierz. Hirtmann na wolności... Nagle spochmurniał i Diane zobaczyła, że jego spojrzenie staje się mroczne i twarde, jakby ktoś w jego wnętrzu zgasił światło. W sumie, pomyślał, cała ta ostatnia noc była jednym wielkim zamieszaniem. Choć Lombard był zabójcą, stanowił zagrożenie tylko dla garstki drani. Ale to, co pobudza do działania Hirtmanna, to zupełnie co innego. Nieokiełznana furia, płonąca nieustannie w jego sercu jak płomień i oddzielająca go od reszty żywych stworzeń. Okrucieństwo nieznające granic, żądza krwi i brak wyrzutów sumienia. Co się teraz wydarzy, gdy Szwajcar znalazł się na wolności? Na zewnątrz, bez leków, jego psychopatyczne zachowania, popędy i instynkt łowcy znowu się obudzą. Ta myśl go zmroziła. Wielcy psychopatyczni zbrodniecy pokroju Hirtmanna nie znają ludzkich odruchów. Rozkosz, jaką czerpią z tortur, gwałtów i zabijania, jest zbyt wielka. Szwajcar wróci do tego, gdy tylko będzie miał okazję.

– Co się stało? – zapytał.

Opowiedziała mu, co przeżyła w nocy od chwili, gdy Lisa Ferney zaskoczyła ją w swoim gabinecie, aż do momentu, gdy zaczęła wędrówkę zmrożoną drogą, zostawiwszy Hirtmanna w samochodzie. Szła przez prawie dwie godziny, zanim spotkała żywą duszę, a kiedy dotarła do pierwszych zabudowań wioski, była w stanie wychłodzenia. Gdy na miejsce wypadku dojechała żandarmeria, samochód był pusty. Krwawe ślady prowadziły do drogi i tam się urywały.

– Ktoś go zabrał – skomentował Servaz.

– Tak.

– Jakiś samochód, który przejeżdżał albo... inny współnik. – Odwrócił wzrok w stronę okna. Na zewnątrz było zupełnie ciemno. – Jak pani odkryła, że to Lisa Ferney jest współniczką Lombarda? – zapytał.

– To długa historia. Naprawdę chce się panu jej słuchać?

Spojrzał na nią z uśmiechem. Czuł, że psycholożka ma potrzebę komuś o tym opowiedzieć. To powinno znaleźć ujście. *Teraz...* To był dobry moment i dla niej, i dla niego. Zrozumiał, że w tej chwili dziewczyna doświadcza tego samego uczucia nierealności co on – uczucia, które zrodziło się w tę noc pełną trwogi i przemocy, ale także w ciągu poprzedzających ją dni. W tej chwili, siedząc sam na sam w ciszy szpitalnego pokoju, w ciemności przyklejonej z drugiej strony szyby, choć się nie znali, byli sobie bardzo bliscy.

– Mam przed sobą całą noc – powiedział.

Uśmiechnęła się i zaczęła mówić:

– Przyjechałam do Instytutu tego ranka, kiedy na górze znaleziono martwego konia. Pamiętam to bardzo dobrze. Padał śnieg i...

* Przekład cytatów biblijnych za: Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2000.

EPILOG

Crimen extinguitur mortalite.

[Wraz ze śmiercią wygasa przestępstwo.]

Spostrzegł to Cezar i dał znak owej czwartej linii, którą utworzył z sześciu kohort. W lot się ruszyli i z taką siłą i zawziętością uderzyli na jeźdźców Pompejusza, że nikt nie dotrzymał pola.*

– Są – powiedział Espérandieu.

Servaz podniósł oczy znad pamiętników Cezara *O wojnie domowej*. Opuścił szybę. W pierwszej chwili zobaczył tylko zwarty tłum tłoczący się pod bożonarodzeniowymi neonami. Następnie, jakby na zbliżeniu grupowej fotografii, z ciżby wyłoniły się dwie postaci. Na ten widok poczuł ucisk w klatce piersiowej. Margot. Nie była sama. U jej boku siedł mężczyzna. Wysoki, ubrany na czarno, elegancki, około czterdziestki...

– To właśnie on – powiedział Espérandieu, zdejmując słuchawki, w których Portishead śpiewali *The Rip*.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Servaz otworzył drzwi.

– Czekaj tu na mnie.

– Tylko nie rób głupstw, dobra? – rzucił jego asystent.

Servaz nie odpowiedział. Zanurzył się w tłumie. Sto pięćdziesiąt metrów przed nim Margot i mężczyzna skręcili w prawo. Servaz przyśpieszył kroku, by dojść do rogu ulicy, na wypadek gdyby mieli niecny zamiar skręcić w kolejną przecznicę, ale zobaczył, że po przejściu przez skrzyżowanie ruszyli prosto na Kapitol, przed którym odbywał się świąteczny kiermasz. Zwolnił, a potem rzucił się w stronę dużego placu, gdzie stała setka drewnianych budek. Margot i jej kochanek oglądali wystawy na stoiskach. Zauważył, że jego córka wygląda na absolutnie szczęśliwą. Raz po raz obejmowała mężczyznę ramieniem i coś mu pokazywała. Facet śmiał się i w zamian pokazywał jej co innego. Ich gesty wyraźnie świadczyły o fizycznej bliskości, choć się z nią nie afiszowali. Servaz poczuł ukłucie zazdrości. Kiedy ostatni raz widział, żeby jego córka była taka szczęśliwa? Bliski był przyznania racji Vincentowi: być może facet jest niegroźny.

Następnie przecięli plac, zmierzając w kierunku kafejek znajdujących się pod arkadami, i zobaczył, że mimo zimowej temperatury siadają w ogródku. Mężczyzna zamówił coś tylko dla siebie i Servaz wywnioskował, że Margot nie zamierza zostać. Ukrył się za jedną z budek i czekał. Po pięciu minutach jego podejrzenia się potwierdziły: jego córka wstała, złożyła długi pocałunek na ustach mężczyzny i odeszła. Servaz odczekał jeszcze kilka minut. Przyjrzał się

kochankowi Margot. Przystojny mężczyzna, pewny siebie, wysokie czoło i drogie ubrania świadczące o jego statusie społecznym. Dobrze zakonserwowany, ale Servaz ocenił, że jest o kilka lat starszy od niego. Obrączka na palcu serdecznym lewej dłoni. Jego wściekłość wróciła. Jego siedemnastoletnia córka spotyka się z żonatym mężczyzną starszym niż jej ojciec...

Wziął oddech, zdecydowanym krokiem pokonał ostatnie metry i usiadł na wolnym miejscu.

- Dzień dobry – przywitał się.
- Zajęte – powiedział mężczyzna.
- Nie sądzę, dziewczyna odeszła.

Mężczyzna popatrzył na niego zaskoczony. Zmierzył go wzrokiem. Servaz odwzajemnił jego spojrzenie, nie zdradzając najmniejszych emocji. Twarz mężczyzny rozjaśnił rozbawiony uśmiech.

– Widzi pan, są wolne stoliki. Wolałbym raczej zostać sam, jeśli to panu nie przeszkadza.

Ładne zdanie wypowiedziane ironicznym tonem, który dowodził pewności siebie. To nie jest facet, którego można łatwo wytrącić z równowagi.

– Jest nieletnia, prawda?

Mężczyzna przestał się uśmiechać. Jego spojrzenie stało się twarde.

- A co panu do tego?
- Nie odpowiada pan na moje pytanie.
- Nie wiem, kim pan jest, ale niech się pan stąd wynosi!
- Jestem ojcem.
- Słucham?

– Jestem ojcem Margot.

– Pan jest tym gliną? – zapytał kochanek jego córki z niedowierzaniem.

Servaz poczuł się tak, jakby kopnął go muł.

- Tak mnie nazywa?
- Nie, to ja pana tak nazywam. Margot mówi „tata”. Bardzo pana kocha.

Servaz nie dał się rozczulić.

– A co na to pana żona?

Mężczyzna znowu stał się chłodny.

– Nie pana sprawa – odparował.

Z satysfakcją zauważył, że zdołał wytrącić go z równowagi.

– Proszę pana, czy jest pan ojcem czy nie, to nie pana sprawa. Ale tak: powiedziałem wszystko Margot. Jest jej to obojętne. A teraz proszę pana, żeby pan już poszedł.

– A jeżeli nie mam ochoty? Co pan robi? Wezwie pan policję?

– Nie powinien pan zaczynać ze mną w te klocki – mężczyzna mówił cicho, ale w jego głosie było słycać groźbę.

– Ach tak? A gdybym poszedł do pana żony i o wszystkim jej opowiedział?

– Dlaczego pan to robi? – zapytał kochanek jego córki. Ku zaskoczeniu Servaza wyglądał nie tyle na przestraszonego, ile raczej na zakłopotanego.

Komendant się zawahał.

– Nie podoba mi się pomysł, żeby moja siedemnastoletnia córka służyła jako zabawka dorosłemu facetowi w pana wieku, który ma ją gdzieś.

– A co pan o tym wie?
– Rozwiedzie się pan dla siedemnastoletniej dziewczyny?
– Niech pan nie będzie śmieszny.
– Śmieszny? A pan nie uważa za śmieszne, że gość w pana wieku podrywa małą? Co pan o tym sądzi? Czy to nie jest żalosne?
– Mam dość tego przesłuchania – powiedział mężczyzna. – Wystarczy. Niech pan przestanie się zachowywać jak glina.
– Co pan powiedział?
– Dobrze pan usłyszał.
– Jest nieletnia. Mógłbym pana zatrzymać.
– Bzdura! Dojrzałość seksualna w tym kraju jest ustalona na piętnaście lat. I to pan może mieć duże nieprzyjemności, jeśli będzie się upierał przy tym zachowaniu.
– Doprawdy? – powiedział Servaz z sarkazmem.
– Jestem adwokatem. Pracuję w adwokaturze w Tuluzie. Margot bała się, żeby pan nie odkrył naszego... *związku*. Ma dla pana wiele szacunku, ale oczywiście pod pewnymi względami uważa, że jest pan trochę... *staroświecki*...
Servaz milczał. Patrzył prosto przed siebie.
– Pod tą buntowniczą powierzchownością kryje się wspaniała dziewczyna, błyskotliwa i niezależna. I o wiele bardziej dojrzała, niż pan zapewne uważa. To znaczy, ma pan rację: nie zamierzam opuścić rodziny z jej powodu. Ale co do niej, to jej też zdarza się spotykać z chłopakami w jej wieku.
Servaz miał ochotę kazać mu się zamknąć.
– Jak długo to trwa? – zapytał głosem, który jemu samemu wydał się dziwny.
– Dziesięć miesięcy. Spotkaliśmy się w kolejce do kina. I jeśli chce pan wiedzieć, to ona zrobiła pierwszy krok.
A więc kiedy to się stało, miała szesnaście lat... Krew szumiała Servazowi w uszach. Miał wrażenie, jakby głos mężczyzny zagłuszał brzęczenie roju pszczół.
– Rozumiem pana niepokój – powiedział adwokat – ale on jest bezpodstawny. Margot to zdrowa dziewczyna, zrównoważona, zadowolona z życia i zdolna do podejmowania samodzielnych decyzji.
– Zadowolona z życia? – Servaz zareagował resztkami sił. – Widział pan w ostatnim czasie jej... *smutek*? To przez pana?
Mężczyzna wyglądał na szczerze zafasowanego, ale wytrzymał spojrzenie komendanta.
– Nie – powiedział. – Przez *pana*. Wyczuwa, że pan jest zagubiony, niepewny, samotny. Widzi, że ta samotność pana niszczy, że wolałby pan, żeby spędzała z panem więcej czasu, że praca pana wypala, że brakuje panu jej matki. I to jej rozdziera serce. Powtarzam panu: Margot ogromnie pana kocha.
Nastąpiła chwila ciszy. Kiedy Servaz się odezwał, jego głos był lodowaty.
– Ładna obrona – powiedział. – Ale powinieneś zachować tę gadkę na salę sądową. Ze mną to strata czasu. – Kątem oka z satysfakcją zauważył, że przejście na ty sprawiło, iż facet się spiął.
– A teraz posłuchaj mnie uważnie. Jesteś adwokatem i masz reputację. Jej utrata to dla ciebie zawodowa śmierć. To, czy moja córka jest w oczach prawa seksualnie dojrzała czy nie, niczego nie zmienia. Jeśli jutro rozejdzie się plotka, że podrywasz małą, jesteś skończony. Stracisz

wszystkich klientów. Być może twoja żona przymyka oczy na twoje skoki w bok, ale wierz mi, będzie do tego znacznie mniej skłonna, kiedy na konto przestaną wpływać pieniądze. A zatem powiesz Margot, że między wami skończone, zrobisz to grzecznie, opowiesz jej, co zechcesz, jakąś bajeczkę, wy, adwokaci, jesteście w tym świetni. Ale nie chcę nigdy więcej o tobie słyszeć. Nagrałem tę rozmowę, poza końcówką. Na wszelki wypadek. Miłego dnia.

Wstał i odszedł uśmiechnięty, nie sprawdzając nawet, jakie wrażenie wywołały jego słowa. Wiedział. Potem pomyślał o bólu, jaki przeżyje jego córka, i przez chwilę poczuł wyrzuty sumienia.

W dniu Bożego Narodzenia Servaz wstał wcześniej. Bezszelestnie zszedł na parter. Czuł się pełen energii, mimo że do późnej nocy, kiedy już wszyscy poszli spać, rozmawiał z Margot – ojciec z córką w salonie obcego mieszkania, na sofie obok przystrojonej choinki.

Gdy zszedł po schodach, rzucił okiem na zewnętrzno-wewnętrzny termometr. Jeden stopień powyżej zera. A w środku piętnaście. W domu było chłodno, gospodarze na noc przykręcili ogrzewanie.

Servaz przez parę sekund wsłuchiwał się w panującą w domu ciszę. Wyobraził sobie, jak śpią: Vincent i Charlène, Mégan, Margot... Po raz pierwszy od wielu lat obudził się w poranek Bożego Narodzenia w obcym domu. Nie opuszczało go wrażenie dziwności tej sytuacji, które jednak nie było nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie. Pod tym samym dachem śpi właśnie jego asystent i najlepszy przyjaciel, kobieta, która budzi w nim przemożne pożądanie, i jego córka. Dziwne? Najdziwniejsze było to, że akceptował tę sytuację dokładnie taką, jaka była. Kiedy powiedział Espérandieu, że spędza Wigilię z córką, ten od razu ich zaprosił. Servaz zamierzał odmówić, ale ku wielkiemu własnemu zdziwieniu nie zrobił tego.

– Ja ich przecież nawet nie znam! – protestowała Margot w samochodzie. – Powiedziałeś, że będziemy tylko we dwójkę, a nie że spędzimy wieczór w towarzystwie glin!

Ale Margot bardzo dobrze się dogadała z Charlène i Mégan, a przede wszystkim z Vincentem. W pewnej chwili, lekko wstawiona, uniosła nawet butelkę szampana z okrzykiem: „Nigdy bym nie uwierzyła, że gliniarz może być taki sympatyczny!”. Po raz pierwszy Servaz widział swoją córkę pijaną. Vincent, prawie tak samo pijany jak ona, popłakał się ze śmiechu, pokładając się na dywanie u stóp sofy. Servaz z kolei początkowo czuł się skrępowany obecnością Charlène, nie potrafił nie myśleć o jej zachowaniu w galerii. Ale z pomocą alkoholu i sprzyjającej atmosfery w końcu się rozluźnił.

Szedł boso do kuchni, gdy nadepnął na jakiś przedmiot, który zaczął migotać i wydawać ostre dźwięki. Jakiś japoński robot. Albo chiński. Zastanawiał się, czy aby w tym kraju chińskich produktów nie jest już więcej niż francuskich. Następnie z salonu wypadł czarny kształt i zaczął na niego skakać. Servaz schylił się i energicznie pogłaskał psa, którego Espérandieu potrafił w drodze z dyskoteki i którego uratował weterynarz wyciągnięty z łóżka o trzeciej w nocy. Ponieważ zwierzak okazał się bardzo miły i łagodny, Espérandieu postanowił go zatrzymać. Na pamiątkę tej straszliwej, lodowatej nocy nazwał go Cień.

– Cześć, stary – powiedział. – Wesołych świąt. Kto wie, gdzie byś teraz był, gdybyś nie wpadł wtedy na genialny pomysł, żeby przejść przez tamtą drogę, co?

W odpowiedzi pies kilka razy szczeknął z aprobatą, tłukąc ogonem o nogi Servaza, który zastygł nieruchomo na progu kuchni. Wbrew temu, co myślał, to nie on wstał pierwszy. Charlène

Espérandieu już była na nogach. Włączyła czajnik i ekspres do kawy i właśnie wsuwała kawałki chleba do tosterka. Stała odwrócona do niego plecami i Servaz przez chwilę przyglądał się jej długim rudym włosom opadającym na szlafrok. Już miał się wycofać, ze ściśniętym gardłem, kiedy się do niego odwróciła, trzymając jedną dłoń na okrągłym brzuchu.

– Dzień dobry, Martin.

Jakiś samochód bardzo powoli przejechał ulicą za oknem. Na krawędzi dachu migotała girlanda. Musiała tak świecić przez całą noc. Prawdziwa noc Bożego Narodzenia, pomyślał. Zrobił krok do przodu i nadepnął na pluszaka, który zaplątał mu się pod nogami. Charlène zaśmiała się i kucnęła, by podnieść zabawkę. Potem wstała, przyciągnęła go do siebie i obejmując ręką za szyję, pocałowała go w usta. Servaz natychmiast się zarumienił. A co, jeśli ktoś wejdzie? Jednocześnie nagle poczuł, że pomimo brzucha, który ich dzieli, rodzi się w nim pożądanie. Nie pierwszy raz został pocałowany przez ciężarną kobietę, ale po raz pierwszy ta kobieta nie była w ciąży z nim.

– Charlène, ja...

– Ciiichooo. Nic nie mów. Wypałeś się?

– Bardzo. Mógłbym... mógłbym dostać kawy?

Pogłaskała go czule po policzku i podeszła do ekspresu.

– Charlène...

– Nic nie mów, Martin. Nie teraz. Później o tym porozmawiamy. Są święta.

Wziął filiżankę i wypił kawę, sam nie wiedząc kiedy, z pustką w głowie. Czuł niesmak w ustach. Nagle pożałował, że zanim zszedł na parter, nie umył zębów. Kiedy się odwrócił, Charlène już nie było. Servaz oparł się o krawędź blatu; miał wrażenie, jakby termity wyżerały mu żołądek. W kościach i mięśniach czuł wspomnienie szalonej wyprawy w góry. To najdziwniejsze Boże Narodzenie, jakie kiedykolwiek przeżył. A także najbardziej przerażające. Pamiętał, że Hirtmann jest na wolności. Czy Szwajcar wyjechał? Czy jest tysiące kilometrów stąd? Czy może krąży po okolicy? Servaz wciąż o nim myślał. Myślał też o Lombardzie. W końcu znaleziono jego ciało. Zamarznięte. Potworna agonია... *która o mały włos nie stała się jego udziałem.*

Często wspominał mroźny i krwawy epizod, jakim było tamto śledztwo: to takie nierealne. I już tak bardzo odległe. Servaz pomyślał, że w całej tej historii są elementy, które być może nigdy nie zostaną wyjaśnione. Jak inicjały na sygnetach. Co one oznaczają? Kiedy i przy jakiej okazji zaczęła się seria niezliczonych przestępstw kwartetu? I który z tych drani był inicjatorem i przywódcą? Odpowiedzi pozostaną na zawsze ukryte. Chaperon zamknął się w milczeniu. Czekał w areszcie na wyrok, ale nie puścił pary z ust. Potem Servaz pomyślał o czym innym. Za parę dni skończy czterdzieści lat. Urodził się 31 grudnia, zgodnie z tym, co mówiła jego matka – równo o północy. W chwili gdy usłyszała jego pierwszy krzyk, za ścianą strzelały korki szampana.

Poczuł, że ta myśl uderzyła go, jakby ktoś mu wymierzył policzek. Będzie miał czterdzieści lat. Czego w swoim życiu dokonał?

– W gruncie rzeczy to do ciebie należy najważniejsze odkrycie w tym śledztwie – oświadczył kategorycznie Kleim162 dzień po Bożym Narodzeniu. – Nie do twojego komendanta, jak mu tam?

Kleim162 przyjechał, by spędzić ostatnie dni roku na południowym zachodzie. Dotarł do różowego miasta poprzedniego dnia TGV Paryż–Bordeaux–Tuluza.

– Servaz.

– No dobrze, krótko mówiąc, twój Jegomość, Który Zgrywając Cwaniaka, Gada Po Łacinie, jest być może królem detektywów, ale to nie zmienia faktu, że go wyprzedziłeś.

– Bez przesady. Miałem szczęście. A Martin wykonał kawał dobrej roboty.

– A jakie on ma preferencje seksualne, ten twój wcielony bóg?

– W stu pięćdziesięciu procentach hetero.

– Szkoda.

Kleim162 wysunął nogi spod kołdry i usiadł na brzegu łóżka. Był nagi. Korzystając z okazji, Espérandieu podziwiał jego szerokie plecy. Zaciągnął się papierosem. Siedział z ręką założoną za głowę, oparty plecami o poduszki. Jego klatka piersiowa lśniła od potu. Kiedy dziennikarz wstał i poszedł do łazienki, policjant nie mógł się powstrzymać od zerknięcia na jego pośladki. Był 26 grudnia i za oknami w końcu sypał śnieg.

– A ty czasem nie jesteś w nim zakochany? – rzucił Kleim162 przez otwarte drzwi łazienki.

– Moja żona jest.

Blond czupryna natychmiast pojawiła się na zewnątrz.

– Jak to? Sypiają ze sobą?

– Jeszcze nie. – Vincent wydmuchnął dym w kierunku sufitu.

– Ale myślałem, że ona jest w ciąży? I on ma być chrzestnym?

– Dokładnie tak.

Kleim162 przyglądał mu się z nieskrywanym zdumieniem.

– I nie jesteś zazdrosny?

Espérandieu jeszcze raz się uśmiechnął, spoglądając na sufit. Młody dziennikarz wyglądał na wstrząśniętego do głębi. Pokręcił głową i znowu zniknął w łazience. Vincent założył słuchawki. Cudownie ochryply głos Marka Lanegana odpowiadał na delikatne mruczenie Isobel Campbell w piosence *The False Husband*.

W piękny kwietniowy poranek Servaz podjechał pod dom byłej żony, by zabrać córkę. Uśmiechnął się, widząc, jak wychodzi z plecakiem na plecach i w okularach słonecznych.

– Gotowa? – zapytał, gdy usiadła obok niego.

Pojechali autostradą w kierunku Pirenejów i skręcili (przy czym Servaz poczuł łaskotanie u podstawy czaszki i zmarszczył brwi) w zjazd Montréjeau/Saint-Martin-de-Comminges. Następnie jechali na południe, prosto w kierunku gór. Pogoda była piękna. Błękitne niebo, białe szczyty. Czyste powietrze wpadające przez uchyloną szybę przyprawiało o zawrót głowy jak eter. Jedyne zgrzyt: Margot słuchała w słuchawkach swoich ulubionych wrzasków i śpiewała. Ale nawet to nie było w stanie zakłócić dobrego humoru Servaza.

Wpadł na pomysł tego wypadu przed tygodniem, kiedy po miesiącach milczenia zadzwoniła Irène Ziegler, by zapytać, co nowego. Mijali malownicze wioski i góry coraz bardziej się zbliżały, aż znalazły się tak blisko, że przestali je widzieć, a droga zaczęła się wznosić. Na każdym zakręcie poniżej zielonych łąk ich oczom ukazywały się wspaniałe widoki: osady przycupnięte w zagłębieniach dolin, rzeki skrzące się w słońcu, welony mgły spowijające stada

bydła i świetliste aureole. Ten krajobraz, pomyślał Servaz, wyglądał wtedy zupełnie inaczej. Zatrzymali się na niewielkim parkingu. Poranne słońce schowane za górami jeszcze go nie oświetlało. Nie byli tu pierwsi. W głębi stał zaparkowany motocykl. Czekwały na nich dwie osoby siedzące na kamieniach. Wstały.

– Dzień dobry, Martin – powiedziała Ziegler.

– Dzień dobry, Irène. Przedstawiam ci moją córkę Margot. Margot, Irène.

Irène uściśnęła dłoń Margot i odwróciła się, by przedstawić im ładną brunetkę, która była razem z nią. Zuzka Smetanova miała mocny uścisk dłoni, włosy w kolorze węgla i promienny uśmiech. Zanim ruszyli w trasę, wymienili zaledwie kilka zdań, jakby widzieli się wczoraj. Ziegler i Martin otwierali pochód, a Zuzka i Margot trzymały się trochę w tyle. Servaz słyszał, jak śmieją się za jego plecami. Irène i on zaczęli rozmawiać nieco dalej, podczas długiego podejścia. Drobne kamyki na drodze skrzypiały pod grubymi podeszwami ich butów. W dole mruczał strumień. Słońce już mocno grzało.

– Wróciłam do moich poszukiwań – oznajmiła nagle, kiedy przeszli przez niewielki mostek z jodłowych bali.

– À propos czego?

– Kwartetu.

Spojrzał na nią podejrzliwie. Nie chciał stracić tego pięknego dnia na niepotrzebne sprzeczki.

– I co?

– Odkryłam, że w wieku piętnastu lat Chaperon, Perrault, Grimm i Mourrenx zostali wysłani przez rodziców do ośrodka kolonijnego. Nad morzem. Wiesz, jak się nazywał?

– Słucham.

– La Colonie des Sternes.

– I co z tego?

– Pamiętasz litery na sygnecie?

– C S – powiedział Servaz i nagle się zatrzymał.

– Tak.

– Myślisz, że...? Że to tam zaczęli...?

– Możliwe.

Poranne światło igrało w kępce osik przy ścieżce. Ich liście drżały poruszane delikatnym wiatrem.

– Piętnaście lat... To wiek, w którym człowiek odkrywa, kim naprawdę jest. Wiek zawierania przyjaźni na całe życie... I przebudzenia seksualnego – powiedział Servaz.

– A także pierwszych zbrodni – dodała Ziegler, patrząc na niego.

– Tak, może tak być.

– Albo zupełnie inaczej.

– Albo zupełnie inaczej.

– Co się dzieje? – rzuciła Margot, dołączając do nich. – Dlaczego się zatrzymujemy?

Zuzka rzuciła im przenikliwe spojrzenie.

– Wyluzujcie – powiedziała. – Cholera, wyluzujcie!

Servaz rozejrzał się dokoła. To był naprawdę cudowny dzień. Przez chwilę pomyślał o ojcu. Uśmiechnął się.

– Właśnie, *wyluzujmy* – powiedział i ruszył dalej.

* Juliusz Cezar, *O wojnie domowej*, przeł. Jan Parandowski, Czytelnik, Warszawa 1951, s. 118.

Kilka uściśleń

Pewne informacje i fakty przedstawione w tej książce mogłyby się wydawać tworem zbyt wybujałej wyobraźni. Nic z tych rzeczy. Podziemną nastawnię wyżłobioną na wysokości dwóch tysięcy metrów przeniosłem po prostu o kilkadziesiąt kilometrów. Podobnie rzecz ma się z opisanymi technikami psychiatrycznymi, takimi jak terapia awersyjna czy pletyzmografia penisa, które niestety praktykuje się w niektórych szpitalach w Europie i na świecie. Tak jak elektrowstrząsy, które choć oczywiście zmieniły się od czasów *Kill Your Sons* Lou Reeda, w dalszym ciągu, mimo że mamy XXI wiek, stosuje się w niektórych krajach. Jeśli chodzi o muzykę, której słucha Espérandieu, mogą państwo w każdej chwili ściągnąć ją z Internetu.

Podziękowania

Jeśli chodzi o podziękowania, podejrzany numer jeden nazywa się Jean-Pierre Chamber. To idealny sprawca, łączący w sobie niewątpliwy gust, namiętność do kryminału i innych gatunków literatury oraz znajomość muzyki, której mnie okrutnie brakuje. To on już od pierwszych stron tej książki uświadamiał mi, że przerywanie pisania byłoby niestosowne. Dziękuję, Przyjacielu!

Pozostali podejrzani, niezależnie od stopnia ich winy, wszyscy mają udział w popełnionej zbrodni: moja żona, która wie, co to znaczy żyć u boku pisarza, i która nieskończenie ułatwia mi życie; moja córka globtroterka, dla której nasza planeta to zbyt mały plac zabaw – jedno życie nie wystarczy, żeby ją dogonić; mój syn, który znacznie lepiej niż ja zna się na nowych technologiach i który, mam nadzieję, odłoży je na chwilę, żeby to przeczytać.

Dominique Matos Ventura to oczywiście inny trop. Bez jej zachęt, talentu i naszego wzajemnego zrozumienia nie byłoby tej książki. Ponadto jej piosenki służyły mi jako ścieżka dźwiękowa podczas pisania tej książki.

Być może nie winny, ale bezdyskusyjnie podejrzany: Greg Robert, niestrudzony poszukiwacz dziwności i cierpliwy czytelnik, który ma tylko jedną wadę: uwielbia fantasy. Greg to przede wszystkim mój przyjaciel, a poza tym – siostrzeniec.

I kolej na tych, których współudział został dowiedziony: podziękowania dla całego zespołu wydawnictwa XO, zaczynając od samego Bernarda Fixota, niezłomnego kingmakera, poprzez Édith Leblond za jej kompetencję i wsparcie, Jean-Paula Camposa za to, że zadeklarował się być moim pierwszym fanem, Valérie Taillefer za jej zręczność i mądrość, Gwenaëlle Le Goff, po rzecz jasna, *last but not least*, Caroline Lépée, która potrafiłaby zmienić bezwartościowy metal w złoto.

Dziękuję także Gaëlle za zdjęcia, Patrickowi za wyjątkowe poczucie humoru, Claudine i Philippe'owi za naoliwienie trybów, mojej siostrze i Jo za ich stałe towarzyszenie, i całej reszcie klanu K: Loïcowi za jego Bretanię, Christianowi za piwnicę (i narzędzia), Didierowi za bycie idealnym kumplem, Dominique, Ghislaine, Patricii i Nicole za ich wybuchy śmiechu.

Ostatecznie, wbrew temu, co sądziłem, pisanie wcale nie jest aż tak samotniczym zajęciem.

Tytuł oryginału: *Glacé*

Copyright © XO Éditions 2011

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Projekt okładki

© Dominique Ventura

Projekt i opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Michał Pawłowski /

www.kreskaikropka.pl

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Bielszy odcień śmierci, wyd. I, dodruk, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-914-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four small colored circles: light blue, purple, pink, and orange respectively.

woblink.com